

Agnieszka Marciniuk

Sad



*Każdy dom ma swoją tajemnicę.
Czy jesteśmy gotowi ją poznać?*

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Agnieszka Marciniuk

Sad

PROLOG

U wylotu głównej alei wielkiego wiśniowego sadu stała kobieta.

Był wczesny poranek, a ona jak co roku w ten dzień, tuż przed rozpoczęciem zbiorów, nie mogła usnąć z przejęcia, przewracała się całą noc z boku na bok, aż wreszcie doczekawszy świtu, wyszła cicho ze starego domu, przecięła podwórko i minawszy stodołę, dotarła do ogromnego sadu, który rozpościerał się na kilku hektarach żyznej wschodniej ziemi. To były ostatnie chwile, kiedy można było podziwiać go w całej okazałości, jeszcze nieprzetrzebiony rękami rwaczy. Na końcu alei wschodziło młode, różowe słońce, lekki wiatr szumiał w pogryzionych przez chrabąszcze liściach, pomiędzy splątanymi gałęziami rozjarzyła się czerwień dojrzałych owoców. Spomiędzy drzew do kobiety napływały śmiechy i rozmowy rwaczy, którzy mieli się tu zjawić lada chwila. Kiedy mrużyła podrażnione promieniami słońca oczy, widziała Mateusza, który szedł wzdłuż rzędka, nadzorując zbiory. Odetchnęła głębiej i poczuła zapach rozgrzanej lipcowym żarem ziemi. Gdzieś w oddali poderwał się do lotu dziki gołąb.

Kobieta podeszła do pierwszego drzewa i zerwała samotną wiśnię, która dojrzała na wyjątkowo długiej, nieprzyciętej gałęzi. Włożyła ją do ust. Cierpko-słodki sok rozlał się na jej języku, łaskocząc podniebienie.



Zawsze tuż przed rozpoczęciem zbiorów Regina wyjmowała albumy ze zdjęciami i siadała z nimi w drewnianej altance za domem, w starym jabłoniowym sadzie. Było upalne lipcowe popołudnie, powietrze stało nieruchomo, ale w altance panował przyjemny chłód; stary sad dawał kojący cień. Regina siedziała przez chwilę z głową opartą na ręku, a potem otwierała pierwszy album.

Wszyscy tu byli, jej mąż, dzieci, wnuki, prawnuk, ona sama. Oglądała stare zdjęcia niemowląt o wielkich oczach i pyzatyh buziach. Na kolejnych stronach albumów dzieci rosły, stawiały pierwsze kroki, szły pierwszy raz do szkoły, potem do Pierwszej Komunii. Dorastały. Syn Piotr spoglądał poważnie ze zdjęcia zrobionego w parku w Warszawie, gdzie studiował. Na następnej stronie dołączyła do niego długowłosa blondynka, Monika, a potem, kilka stron dalej, do Reginy uśmiechnęła się mała dziewczynka, która była jej wnuczką. Kilka stron w albumie to było kilka lat oczekiwania na Idę.

Jeszcze przed Piotrem do Warszawy pojechała Elżbieta, najstarsza z całej trójki, która patrzyła na Reginę ze zdjęć swoimi czarnymi oczami, zawsze przykrytymi długą grzywką. Regina szczególnie lubiła jej zdjęcia ślubne; obok Elżbiety stał wysoki i przystojny Andrzej, młody prawnik, oboje wyglądali pięknie i byli bardzo szczęśliwi, mimo że dzień był deszczowy i biała suknia Elżbiety miała ubłocony cały koronkowy dół. Na ich zdjęciach bardzo szybko pojawiła się dziewczynka, Flora, zawsze ubrana w piękne sukieneczki szyte z tych samych materiałów, z których szyte były sukienki jej matki.

Równolegle z historią Elżbiety toczyła się na kartach albumów historia Joanny, młodszej, zagubionej w cieniu siostry dziewczynki, z której wyłonił się najpierw niezgrabny podłotek, a potem nieokreślona kobieta. Nieokreślona może dlatego, że z jednego cienia wpadła prosto w drugi, a cieniem tym był z kolei jej mąż, człowiek, dla którego życiowe niespełnienie było nieodmiennym powodem do alkoholowych ciągów i mylenia drobnych postaci własnych dzieci z dziećmi sąsiadów. Robert już jako mały chłopiec był niebezpiecznie podobny do ojca. Beata na zdjęciach zawsze stała za nim, podobnie jak niegdyś Joanna stawała za Elżbietą.



Słońce przetoczyło się już na drugą stronę nieba, kiedy Regina zamknęła ostatni album i z zadumą spojrzała na rosochate jabłonie. Nowego sadu nie było stąd widać. Regina patrzyła na stare drzewa i uśmiechała się. Dotknęła dłonią albumów. To był czas, kiedy wszyscy obecni na fotografiach mieli się pojawić w starym domu pod lipami.

Zostawiła albumy w altance, a sama udała się przez podwórze do stodoły. Mateusz kończył tu zbijać wielki drewniany stół. Tuż po zakończeniu zbiorów Regina chciała uroczyście obejść swoje siedemdziesiąte urodziny. Długi stół miał pomieścić całą jej rodzinę.

— Czy nie uważasz, że jest za wysoki? — powiedziała Regina, przymierzając się do stołu. — Niewygodnie będzie przy nim siedzieć. Moim zdaniem powinieneś opiłować trochę nogi.

— O ile, twoim zdaniem? — mruknął Mateusz przez trzymane w ustach gwoździe.

— Myślę, że wystarczy o tyle. — Regina zbliżyła do siebie kciuk i wskazujący palec prawej ręki tak, jak gdyby trzymała między nimi niewidzialną wiśnię. Potem wyprostowała się i przeciągnęła dłonią po blacie. — Te deski są ciągle chropowate, Mateuszu, pozaciągają mi się wszystkie obrusy.

— Jeszcze nawet nie zacząłem ich szlifować — odrzekł staruszek.

Regina pokiwała głową.

— W każdym razie pamiętaj o tym, mój drogi — powtórzyła.

— Pamiętam, gołąbko — głos Mateusza drgnął nieco przy wyrazie „gołąbko”, bo właśnie uderzył się młotkiem w palec. Obecność żony zawsze go rozpraszała przy robocie, tylko z wiekiem zmieniały się tego przyczyny.

Regina odeszła kilka kroków i z tego dystansu jeszcze raz obejrzała stół.

— Już go widzę, Mateuszu — powiedziała. — Widzę, jak stoi w starym sadzie, jak układam na nim obrusy i nakrycia. Widzę, jak oni przy nim siadają. Widzisz to?

— Naturalnie — odrzekł Mateusz, skupiony na wbijaniu kolejnego gwoźdźca. — Naturalnie.

Regina uśmiechnęła się.

— Jest piękny.

— Moim zdaniem jest trochę za długi — zaproponował nieśmiało Mateusz.

— Mylisz się. — Regina pokręciła głową. — Jest akurat w sam raz, tak żeby każdy mógł siedzieć swobodnie. Pamiętaj, że będzie nas dużo.

Mateusz westchnął.

— Jest dokładnie taki, jak chciałam — powtórzyła Regina. — Dziękuję ci. Pamiętaj tylko o tym blacie. I nogach.



A kiedy słońce stało już nisko nad bujnymi łanami zbóż, rozpościerającymi się dookoła sadu, do Reginy zajrzała jej sąsiadka, Marynia Żałoskowa. Regina wyjęła wiśniową nalewkę z ubiegłorocznych zbiorów i razem z paterą z niedzielnym plackiem drożdżowym wyszła do Maryni na ganek. Dzięki wino zasłaniało im widok na zachód słońca, na ganku panował już półmrok. W oddali słychać było ujadanie psów we wsi.

— Jutro zaczynamy — powiedziała Regina do Maryni.

Marynia pokiwała głową. Pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech. Kiedy była młodsza, przychodziła zawsze rwać, podobnie zresztą jak inne sąsiadki z kolonii i ze wsi. Lubily bardzo te dwa lipcowe tygodnie; było to najważniejsze letnie wydarzenie towarzyskie we wsi, pomijając odpust i sierpniową pielgrzymkę do lokalnego sanktuarium. Gromadziły się wszystkie, przyprowadzały swoje córki, potem wnuczki, znajome i kuzynki, które przyjeżdżały do nich na wakacje. Ustawiały się w dwóch sąsiadujących ze sobą rzędkach i spędzały upływające szybko godziny, rwąc wiśnie, plotkując, żartując, nieraz pocieszając się wzajemnie. Czasem ścigały się, który rząddek zostanie szybciej oberwany, ale Mateusz tego nie lubił, bo duch walki przesłaniał wtedy zwykłą dbałość o jakość pracy; wiśnie nie były oberwane czysto, w skrzynkach znajdowały ogonki i listki. Przychodził wtedy, drapał się w głowę, wołał Marynię na bok i nieśmiałym

szeptem prosił, żeby zrywały dokładniej. Marynia chętnie zdejmowała z jego barków niemiły obowiązek zwracania uwagi pracownikom i żartem przerywała wyścigi. Inne kobiety zresztą same rozumiały, w czym rzecz, i zmieszane powracały do spokojniejszego tempa pracy. Mateusz oddychał z ulgą; obecność tylu kobiet naraz w jednym miejscu, w dodatku w jego własnym sadzie onieśmiała go bardzo i był niezmiernie wdzięczny Maryni za to, że wyręczała go w takich sytuacjach. Marynia zaś dzięki temu czuła się ważniejsza od innych sąsiadek i również była bardzo zadowolona.

Ale teraz obie z Reginą zestarzały się. Regina rzadko już pojawiała się w sadzie, czasem tylko szła do stodoły, kiedy ludzie schodzili z pola, żeby zamienić z sąsiadami kilka słów. W sadzie za to zbierała się cała jej rodzina; dziewczęta zrywały wiśnie, syn i zięć, a potem wnuk pomagali Mateuszowi zwozić pełne skrzynki i ważyć je w stodole.

— Franek i Stach będą przychodzić do ładowania samochodu, jak zawsze — powiedziała Marynia i wypła łyk nalewki. Sięgnęła po kawałek placka. — Ale Hania nie przyjdzie w tym roku do rwanja.

— Naturalnie. Powiedz jej, żeby przyszła któregoś dnia z malutką. Maryniu, musisz być bardzo dumna z wnuczki.

Franek urodził się Maryni i Stachowi bardzo późno, kiedy już stracili nadzieję na potomka. Marynia długie lata chodziła do mieszkającej pod lasem zielarki, za radą Reginy odwiedzała też lekarzy, jednak starania te nie przynosiły rezultatu. Franek urodził się dopiero, kiedy skończyła czterdzieści lat. Sąsiedzi po cichu twierdzili, że Franek nie jest synem Stacha, ale uderzające podobieństwo chłopca do nieładnego ojca szybko zamknęło ludziom usta. Franek wyrósł na brzydkiego, ale sympatycznego mężczyznę, na trzydzieste urodziny ożenił się z tutejszą dziewczyną, która pracowała jako kelnerka w pobliskim miasteczku. Oboje przed kilkoma miesiącami zostali rodzicami ku niewymownej radości starej Maryni, która w skrytości ducha bała się, iż nie doczeka wnucząt.

— Twoi przyjeżdżają?

— Naturalnie.

— Wszyscy?

— Na pewno.

Z biegiem lat czas, który dzieci, a potem także wnuki Reginy spędzały w tej wschodniej wiosce, kurczył się. Ale kiedy zaczynały się zbiory, każde z nich przynajmniej na chwilę pojawiało się w domu pod lipami.

— I wiesz, Maryniu, nie mogę się doczekać swoich urodzin na koniec zbiorów.

— Miałaś w marcu.

— Wiem. Ale zawsze chciałam urodzić się w lipcu. To musiała być jakaś pomyłka natury. Jestem lipcową dziewczyną. I właśnie w tym roku pomyślałam sobie, że mam już tyle lat, że nikt mi nie może zabronić obchodzenia urodzin wtedy, kiedy chcę, prawda?

Marynia pokiwała głową, chociaż oczywiście nie rozumiała, jaka może być różnica między marcem a lipcem. Było to jedno z dziwactw jej najbliższej sąsiadki, do których Marynia odnosiła się z szacunkiem. Regina urodziła się w mieście, na wieś przysłała za mężem, i Marynia czuła przed nią respekt. Więc teraz również nic nie odpowiedziała, tylko włożyła sobie do ust jeszcze jeden kawałek placka i uśmiechnęła się z udanym zrozumieniem.

— No właśnie — ciągnęła Regina. — Maryniu, to będzie piękne spotkanie rodzinne, w starym sadzie, przy długim stole. Mateusz zbił go dzisiaj, podziękuj jeszcze raz Stachowi za te deski.

— Stach przepędził wczoraj bimber — przypomniało się Maryni. — Kazał zapytać, ile butelek potrzebuje Mateusz na rozpoczęcie zbiorów.

ROZDZIAŁ 1

Mateusz każde zbiory rozpoczynał uroczystym powitaniem najętych rwaczy w stodołę. Nie była ona już stodołą w pełnym znaczeniu tego słowa – od kilku lat, odkąd Mateusz zaprzestał uprawy zboża, stała pusta i tylko latem, w czasie zbiorów wiśni pełniła funkcję czegoś w rodzaju składu i biura jednocześnie. Tutaj dzień przed rozpoczęciem zbiorów przywożono puste skrzynki, które ustawione w równe słupki czekały, aż wypełnią je wiśnie. Tutaj zwożono je potem z sadu, już pełne, tutaj rozliczano się z rwaczami i tutaj przyjmowano znanego w okolicy hurtownika, który codziennie przysyłał samochód po odbiór owoców.

Regina już w sobotę uprzątnęła stodołę na nowy sezon, Mateusz zaś skrupulatnie wyczyścił stary malowany kredens, w którym przechowywał podarunki od Stacha Żałoski. Kilka butelek trunku, który Stach rozrabiał z miodem z własnej pasieki, stało w równym rzędku na spróchniałej półce, oczekując rwaczy.

Świeciło piękne słońce, zapowiadając niemiłosierny upał, ale na razie jeszcze nikt tego nie odczuwał. Była siódma rano, kiedy zaczęli się schodzić pierwsi pracownicy, na czele z panią Gienią, która w tym roku przyprowadziła ze sobą dwie siostrzenice, chichoczące uroczo Olę i Jolę. Wkrótce po nich pojawili się następni rwacze, głównie sąsiadki z córkami i przyjezdnymi kuzynkami, które chciały posmakować pracy na wsi, a przy okazji zarobić sobie na błyskotki i lakier do paznokci, a także kilku miejscowych chłopaków, którzy całe lato imali się różnych zajęć z braku pieniędzy i z nudów. Miejscowi chłopcy i przyjezdne dziewczęta zerkali na siebie w półmroku stodoły, a Regina już czuła w powietrzu, jak co roku, przyjemne wibrowanie, napięcie, które miało potem znaleźć ujście w wesołych rozmowach przy wiśniowych drzewach, wspólnym umawianiu się na wiejskie zabawy w soboty, a niekiedy i w nagłych wybuchach namiętności w ustronnych zakątkach wiśniowego sadu. Regina była przekonana, że przez te wszystkie lata, kiedy uprawiali sad, co najmniej piątka okolicznych dzieci została w nim poczęta.

Mateusz i Regina witali każdego z pracowników we wrotach stodoły, rozlewano biber do metalowych kieliszków, których nikt już później nie mył, i wznoszono toast za udane zbiory. Rwacze brali potem puste skrzynki i drugimi wrotami stodoły wychodzili do sadu. Mateusz ustawiał ich w dwóch sąsiednich rzędkach najwcześniejszej odmiany, która dojrzewała nierówno; dużo owoców trzeba było zostawiać na drzewach, podczas gdy inne przy najlżejszym dotknięciu puszczały sok. Zrywanie ich było uciążliwe, dlatego też Mateusz za tę odmianę płacił najwięcej.

Rwacze przyciągali ze sobą zbite z desek trójnożne drabiny, czekające na nich za stodołą, ustawiali w niskich słupkach puste skrzynki, układali w cieniu przyniesione ze sobą kanapki i napoje, przywiązywali paskami łubianki. Oglądali drzewa, szukając najdogodniejszych miejsc na początek. Wreszcie pierwsze owoce posypały się do łubianek, potem z łubianek do skrzynek. Praca była rozpoczęta.

Regina tymczasem wracała przez podwórze, zasłuchana w dalekie odgłosy rozmów. Pod domem przyspieszyła kroku – z ganku dobiegł ją dzwonek telefonu komórkowego, prezentu od Elżbiety, który leżał na drewnianym stole. Zdażyła w ostatniej chwili; przez moment można było zauważyć, jak przysiadając na wyścielonym starą narzutą krześle, marszczy w skupieniu brwi – zawsze zapominała, że na ekraniku aparatu wyświetla się opis dzwoniącej osoby i zawsze miała jednakową niespodziankę. Rozmawiała krótko, szybko się pożegnała, rozejrzała bacznie po podwórku, przesunęła się z krzesłem w głąb ganku, gdzie trudno ją było dostrzec pomiędzy pnączami dzikiego wina, i wyjęła zza stanika, który ciągle jeszcze nosiła, zmiętego papierosa.



Pierwsze dni zawsze pełne były wigoru i energii, chęci do rwania, ciekawości nowych plotek, wesołych rozmów i docinków. Ludzie byli ożywieni, upał i monotonna praca jeszcze nie zdążyły dać się im we znaki. Mateusz lubił przejść się wzdłuż rzędków, zatrzymać przy starych pracownikach, przy sąsiadach, przysiąść na skrzynce i wymienić kilka życzliwych uwag. Pytał o zdrowie, o dzieci, o wnuki, rozmawiał o cenach w sklepach i o spodziewanych zyskach ze sprzedaży zboża. Przy okazji obserwował nowych pracowników, sprawdzał dyskretnie, czy aby w ich skrzynkach nie ma zbyt wielu listków i zepsutych wiśni. Potem wracał do stodoły po wózek i poplamiony szkolny zeszyt, żeby zwieźć skrzynki z wiśniami z rozgrzanego sadu do chłodnej stodoły i zapisać wyniki każdego pracownika.

Od kilku już lat zauważał mimochodem, jak zwożenie wiśni oraz ich ważenie robi się coraz cięższe. Od jakiegoś czasu, gdy zdarzało się tak, że na dłużej przyjeżdżał jego syn albo zięć, pozwalał im przejąć ster, ale chodził wtedy rozdrażniony. Piotr i Andrzej byli silni, nosili naraz po trzy skrzynki, ale zupełnie nie mieli do tego serca. Mateusz wolał, kiedy pomagały mu wnuczki – Beata, z pozoru krucha i delikatna, miała nadspodziewaną krzepę w rękach, co zawsze zauważał z uznaniem Stach Żałoska przy wieczornym załadunku samochodu. Na co dzień zaś Mateuszowi pomagał Franek albo któryś z chłopców, zajmujących się do rwania. Stosunkowo łatwo było więc nie zauważać własnej słabości. A jednak Mateusz zauważał. Coraz trudniej było mu pchać wyładowany skrzynkami wózek, coraz mniej skrzynek zabierał za jednym razem, a przez to

częściej musiał pokonywać drogę ze stodoły do rwaczy i z powrotem. Tymczasem nawet miarowy spacer bez wózka wzdłuż całego sadu przyprawiał go o silną zadyszkę. Mateuszowi, który całe życie przepracował w swoim sadzie, nigdy nie przyszłoby do głowy, że pewnego dnia zabraknie mu na to sił. A wszystko wskazywało na to, że żar tego lipca będzie dla niego wyjątkowo bezlitosny.



Autobus przystanął na zakręcie, gdzie od szosy odbijała polna droga, wybiegając daleko w złociste pola, w stronę widocznych gdzieniegdzie kolorowych domostw obrośniętych kępami drzew. Przy zakręcie szumiała brzezina, która dawała o tej porze nieco ciepłego cienia. Ida wysiadła z autobusu razem z kierowcą, który otworzył jej przepastny bagażnik i pomógł wyjąć wypakowany po brzegi ziony plecak. Podziękowała, zarzuciła plecak na ramiona, podniosła głowę i napotkała utkwiony w sobie wzrok. Przez okno przypatrywała jej się jedyna już teraz pasażerka, po chwili jej twarz znikła razem z autobusem. Ida patrzyła za nim, dopóki nie minął czerwonego, drewnianego kościółka, po czym skręciła w polną drogę wiodącą do domu dziadków. Droga była szeroka, piaszczysta, przecięta wzdłuż pasem pozółkłej od upału i długotrwałej suszy trawy. Idę korciło, żeby zdjąć sandały i iść bosą, ale piasek był zbyt gorący. Dochodziło południe, powietrze falowało od żaru, nawet motyle polatywały niemrawo i ociężale. Ida przetarła dłonią spocone czoło. Wzdłuż kręgosłupa spłynęła ciepła strużka.

Szła wolno, z każdą chwilą plecak ciążył i uwierał coraz bardziej. Do domu dziadków nie było daleko, widziała go stąd doskonale, ale droga nie biegła wprost, najpierw odbijała w lewo, w stronę domu Żałosków, a dopiero potem, na rozstajach, skręcała. Ida rozważała, czy nie lepiej byłoby pójść na skrótym miedzą. Miedza jednak była najeżona bujnym ostem, a ona miała gołe nogi i lekkie sandały.

Kiedy usłyszała za sobą skrzypienie roweru, odetchnęła z ulgą. Rowerzysta na tej polnej drodze musiał być kimś znajomym. Ida odwróciła się i rozpoznała w nadjeżdżającym mężczyźnie Franka Żałoskę. On również ją poznał i wyhamował gwałtownie. Opona roweru wyżłobiła głęboki ślad w suchym piasku.

– Cześć, Idka! – przywitał ją, uśmiechając się szeroko. – Na wakacje? A wiśnie właśnie dzisiaj ruszyły, ale pewnie wiesz.

– Wiem, wiem – przytaknęła. – Chcę zrobić dziadkom niespodziankę.

– Zdejmuj ten plecak, pewnie ciężki. – Franek pomógł jej wyswobodzić się z szelek i umocował plecak na bagażniku roweru. – Chodź, podprowadzę cię. Chyba jesteś pierwsza, co?

Moja mama była wczoraj u twojej babci i mówiła, że jeszcze nikogo z was nie ma.

– Nawet nie wiem – przyznała Ida, patrząc na okrągłą, różową, brzydką twarz Franka. – Myślałam, że może Beata już jest.

Szli chwilę w milczeniu. Nie znali się dobrze, Franek był od Idy sporo starszy i należał raczej do grona znajomych Beaty i Roberta. Jego żona była kiedyś ich dobrą koleżanką. Ale wtedy Ida była jeszcze zbyt mała, żeby ktokolwiek brał ją do kompanii.

– Co u Hani? – zapytała w końcu Ida, chcąc przełamać niezręczne milczenie. Wiejska cisza już zaczynała dzwonić jej w uszach.

Hani też dobrze nie znała.

– A dziękuję, ma się dobrze. – Brzydka twarz Franka rozciągnęła się znowu w uśmiechu. – Powiem jej, żeby zabrała Basię i przyszła do was któregoś dnia. No – przystanął, bo doszli do rozstaju dróg – stąd już dasz chyba sobie radę sama. Ja mam robotę, muszę wracać do domu, skoczyłem tylko na krzyżówkę po śrubki.

Zdjął plecak z roweru i podał go Idzie.

– Dziękuję – powiedziała Ida, odbierając plecak i znowu zarzucając go sobie na ramiona. Zrobił się jakby jeszcze cięższy, ale stąd do dziadków było już rzeczywiście blisko. – Pozdrów rodziców i Hankę i faktycznie powiedz jej, żeby przyszła do nas. Jak już Beata przyjedzie.

Franek pokiwał głową.

– Trzymaj się i pewnie do zobaczenia wieczorem. Jak samochód po wiśnie przyjedzie, przyjdziemy z ojcem pomóc załadować.

Franek pomachał jej, wsiadł na rower i pojechał dalej.

Ida popatrzyła za nim przez chwilę, potem rozejrzała się z uśmiechem po złocistej nieruchomej równinie i ruszyła w stronę starego domu ukrytego w cieniu rozłożystych lip.



Podwórko dziadków było dla niej tak swojskim widokiem, że zawsze, gdy skręcała z polnej drogi w otwartą na oścież bramę, miała wrażenie, jak gdyby nagle ktoś położył przed nią znajomą fotografię. Zawsze oglądała ją w ten sam sposób, zaczynając od prawej strony, gdzie wzdłuż drewnianego płotu rosły jarzębiny. Dalej, ocieniona czarnym bzem, stała buda Ryżej. Dokładnie naprzeciw siebie Ida miała stodołę, która zamykała podwórze i kryła rosnący za nią sad. Potem przesuwiała wzrokiem po lewej stronie, mijała stary spichlerz i ziemiankę, pomiędzy którymi było przejście do starego sadu, i kończyła na oplecionym dzikim winem ganku, za którym gnieździł się cały dom.

Regina była w kuchni. Stała pochylona przy zlewie, płukała czarne i czerwone porzeczki,

przesypując je delikatnie w dłoniach pod strumieniem wody. Ida lubiła, przyjeżdżając, zastawać babkę w kuchni. Obszerne pomieszczenie z dużymi oknami, z których jedno wychodziło na podwórze, a drugie na ganek, było miejscem, z którym Ida kojarzyła ją najsilniej.

– Jestem – powiedziała, stając w progu.

Regina podniosła na nią swoje stalowe oczy.

– Witaj, Iduniu. Płuczę właśnie porzeczeki na kompot do obiadu. Tak sobie pomyślałam rano, że lubisz. Uważaj, zamoczysz się – dodała, kiedy Ida objęła ją w pasie i pocałowała w policzek.

– Niespodzianka – westchnęła Ida, z ulgą zdejmując plecak i wynosząc go do sieni. – Myślałam, że chociaż tym razem mi się uda.

– Nie lubię niespodzianek, wolę domyślić się zawczasu – odrzekła Regina, wycierając ręce w kraciatą ścierekę. – Zrozumiesz, jak będziesz miała moje lata.

Do wysokiej szklanki naląła blad różowego kompotu ze stojącego na szafce dzbanka. Podała szklankę Idzie, a ona usiadła przy stojącym pod jednym z okien stole, wyciągnęła nogi na sąsiednim krześle i rozparła się wygodnie. Wreszcie odetchnęła.

– Co za okropny upał – powiedziała. – Na szczęście spotkałam po drodze Franka Żalosek, podwiózł mi plecak do rozstajów.

– Uczynny z niego chłopak – odpowiedziała Regina, również siadając za stołem. – Zdejmij nogi z krzesła, są całe w piachu.

Ida posłusznie opuściła stopy na podłogę. Dolała sobie kompotu.

– Beatka dzwoniła dzisiaj – dodała Regina. – Niedługo tu będzie.

Ida się uśmiechnęła.

– To cudnie. Nie widziałam jej od maja. Byłam u niej wtedy w Poznaniu, wiesz?

Regina pokiwała głową. Ida przymknęła oczy, wsłuchując się w znajome od dziecka tykanie ściennego zegara, które uspokajało bicie serca. W kuchni był leciutki przeciąg dzięki otwartym na oścież obu oknom. Zmęczenie podróży ustępowało powoli, pot na skórze wysychał.

– A Flora? – zapytała i otworzyła oczy.

Regina uśmiechała się trudnym do określenia uśmiechem.

– Nie wiem. Sądzę, że zjawi się niedługo.

– Ale my śpimy w lipnym, jak zawsze?

– Naturalnie.

Lipny pokój był położony na piętrze. Dawno temu, kiedy dzieci Reginy były jeszcze małe, Joasia uparła się, żeby nazywać go „lipowym” – od ogromnych lip, które szumiały tuż za jego oknami. Piotr jednak tak długo robił na złość siostrze i przekręcał nazwę, że w końcu to jego pomysł się przyjął. Wszystkie dzieci i wnuki Reginy najbardziej lubiły ten właśnie pokój. Był

narozny, posiadał okna w dwóch sąsiadujących ścianach; jedno z nich wychodziło na stary sad, z drugiego zaś rozciągał się widok na rozległą, falującą zbożem równinę. Latem panował w nim zawsze przyjemny chłód dzięki cieniowi, który dawały rosnące tuż przy domu lipy.

O nocowanie w tym pokoju staczano kiedyś bitwy, od kilku lat jednak Regina przydzieliła go dwóm młodszym wnuczkom, które zwykle przyjeżdżały na wieś pierwsze i zostawały najdłużej. Według Reginy było to sprawiedliwe rozwiązanie.

Na łóżku leżały dwie poduszki, lekka kołdra i błękitna pościel do powleczenia. Drzwi ogromnej trzydrzwiowej szafy były uchylone – jak gdyby już czekały na rzeczy Idy i Beaty. Nieraz oddawały jedną jej część Florze, która zawsze miała kłopoty z ułożeniem swoich niezliczonych ubrań w malutkiej szafie w sąsiednim pokoiku, w którym spała. Ida położyła plecak na podłodze, przymknęła szafę. Podeszła do toaletki, która stała w rogu pokoju, między oknami – stara, z trzema dużymi lustrami, trzema szufladami i dwiema szafeczkami po bokach. Przyklękła i z trudem otworzyła dolną szufladę; Regina przechowywała tu stare ozdoby swoich córek – szklane koraliki, broszki z modeliny, srebrne porwane łańcuszki i poczerniałe pierścionki. Ida dotknęła delikatnie żółtych plastikowych koraliki ciotki Elżbiety, którymi lubiła się bawić w dzieciństwie. Podniosła głowę – z trzech luster uśmiechnęły się do niej trzy dziewczyny.

Wstała z kolan, podeszła do okna, otworzyła je i wychyliła się przez szeroki parapet. W twarz uderzyło ją rozgrzane powietrze.



Obiad jedli na ganku. Ida była już wykapana i przebrana. Jej wilgotne włosy szybko schły na powietrzu. Mateusz przyszedł prosto z sadu. Oddech miał przyspieszony.

Przywitali się serdecznie. Mateusz z jasnym uśmiechem patrzył przez stół na pierwszą tego lata wnuczkę. Regina rozlewała zupę do głębokich talerzy, posypywała jej powierzchnię natką pietruszki. Głosy z sadu nie dosięgały ganku, było cicho i spokojnie. Dzikie wino dawało cień, i chociaż tak naprawdę była to znikoma ulga w samo południe, to jednak mieli wrażenie względnej ochrony przed palącym słońcem.

– Przychodziła tu dziś Zocha Charczukowa. Prosiła, żeby przyjąć Heńka do sadu.

– Coś takiego. – Mateusz w skupieniu mieszał łyżką w zupie, starając się zgarnąć pietruszkę na brzeg talerza. – Mam nadzieję, że odmówiłaś.

– Przeciwnie. Będzie przychodził od jutra.

– No wiesz. – Mateusz podniósł wzrok znad talerza; pietruszka natychmiast wróciła na swoje miejsce. – Czy mam ci przypomnieć, jak on rwie?

– Zawsze mówiłeś, że był dokładny.

– Tak, na wysokości rąk. – Mateusz pokiwał głową. – Tam zrywał do czysta. Niżej nie mógł, bo mu się w głowie kręciło, wyżej też nie, bo mu ramiona omdlewały. Szkoda, że mu nie omdlewały, jak mi cichaczem wynosił bimber z kredensu.

Ida zakrztusiła się zupą.

– To jest recydywista, czy ja ci to muszę tłumaczyć? – mówiła tymczasem Regina spokojnie. – Pomyśl o jego biednej matce, ona tak się o niego martwi. Trzeba mu dać jakieś zajęcie.

Mateusz nic na to nie odrzekł. Spojrzał z powrotem na swój talerz i zmarszczył brwi na widok pietruszki.

Zaraz po obiedzie wrócił do stodoły. Upał był tak straszny, że trzeba było regularnie zwozić wiśnie z sadu, żeby nie stały zbyt długo w słońcu. Ida z Reginą zostały na ganku. Przez podwórko przeszedł Franek Żałoska, pokiwał im z daleka i zniknął w stodole – przyszedł pomóc sąsiadowi w godzinach najgorszego upału. Ida odprowadzała go wzrokiem.

– Szkoda tej Hanki – powiedziała, podnosząc do ust szklankę z resztką kompotu.

– Nie rozumiem.

– Szkoda tej Hanki dla takiego Franka – uściśliła więc Ida.

– Aha. Szkoda kelnerki bez wykształcenia dla porządnego mężczyzny, który dba o dom i rodzinę, to miałaś na myśli?

Ida wzruszyła ramionami.

– Myślę, że Hanka mogła mieć niejednego. Zawsze była bardzo ładna.

– Z pewnością – pokiwała głową Regina – niejednego z klientów, których miała w swoim barze. I tylko Franek ją stamtąd zabrał.

Ida nic nie odpowiedziała.

– Podobno postanowiłaś nie zdawać na studia.

Ida uśmiechnęła się pod nosem.

– To prawda.

– Nie słyszałam natomiast, jaka jest tego przyczyna.

Ida wyprostowała nogi, przyjrzała się swoim bosym stopom.

– Jest wiele dróg, którymi może pójść dorosły człowiek – odrzekła po chwili. – Nie rozumiem, dlaczego studia to ta właściwa i jedynie słuszna.

Regina kiwała głową.

– Przy czym studia wyłącznie w Warszawie, bo przecież taniej, przecież mieszkałabym nadal z rodzicami.

Regina gładziła palcem podbródek.

– A zatem nic, absolutnie nic by się nie zmieniło. Tymczasem ja jestem dorosła, a dorosłość to wolność i samodzielność.

– I jaka jest ta twoja droga?

Ida nadal oglądała swoje nogi.

– Pójdę do pracy i wynajmę mieszkanie. Albo wyjadę za granicę. Nie zdecydowałam jeszcze.

– Do jakiej pracy?

Ida popatrzyła na Reginę, a potem znowu przeniosła wzrok na swoje stopy.

– Do knajpy – mruknęła.

– Aha.

Ida gwałtownym ruchem podkuliła nogi, zrobiła ruch, jakby zamierzała wstać. Ale nie podniosła się z krzesła.

– No dobrze. – Regina sięgnęła po talerz Mateusza, postawiła go na swoim. Wyciągnęła rękę, więc Ida podała jej swój. – Pomóż mi pozbierać ze stołu. Posprzątam, zanim zjawi się Beata.



Pociąg ledwie przystanął w biegu i zaraz pomknął dalej, a Beata została sama na malutkiej stacyjce, żałośnie porzuconej tuż przy sosnowym lasku. Powietrze na zewnątrz miało tę samą temperaturę co w rozgrzanym jak piekarnik wagonie. W pierwszym momencie wydawało się tylko trochę świeższe, ale wrażenie to szybko minęło. Nie było na ziemi ani jednego miejsca, gdzie powietrze nie zalegałoby ciężarem na ramionach i nie lepilo się do skóry. Trawa i chwasty, silne na tyle, żeby przecisnąć się między popękаныmi płytami, jakimi wyłożona była stacja, jednak nie umiały stawić czoła lejącemu się z nieba żarowi – zżółkły i zwiędły. Lasek wydawał się omdlewać w upale. Beata pomyślała, że wystarczyłoby dotknąć pierwszej z brzegu sosny i cały zagajnik rozsypałby się w proch jak wysuszone zioła.

Nieopatrznie założyła na drogę długie dzinsy. Nieopatrznie zabrała dużą walizkę na kółkach. Beata wiele rzeczy w życiu robiła nieopatrznie. Nie pozostawało jej nigdy nic innego, jak z pokorą ponosić tego konsekwencje. Gruby i sztywny materiał spodni przywodził na myśl zbroję. Walizka zabawnie podskakiwała na polnej drodze. Na wyjątkowo złośliwym kamieniu urwało się jedno kółko.

Jak zawsze poczuła ogromną ulgę, kiedy minęła lasek i przed jej oczami rozlała się złocista równina. Dom dziadków był niemal na wprost, ale polna droga, do której Beata dotarła, biegła ukosem, prowadząc najpierw do rozstajów. Wprost do domu prowadziła bujnie porośnięta ostem i rumiankami miedza, i Beata pewnie by ją wybrała, jako że miała długie spodnie i pełne buty,

chwasty były jej więc niestraszne, ale w porę uświadomiła sobie, że przedzieranie się przez splątane ziele z walizką na kółkach byłoby jednak głupie. Skreśliła zatem w polną drogę. Walizka wzbijała za sobą niewielki tuman pyłu.



Siedziały obie na ganku i piły kawę z glinianych filiżanek. Regina coś mówiła cicho, Ida kiwała głową. Jednocześnie ją zobaczyły, jednocześnie wstały. Beata z uśmiechem weszła na ganek, mimo że walizka z trudem pokonywała kolejne stopnie. Uściskały się i rozmawiały chwilę nieporadnie, tak jak zwykle przy powitaniu rozmawia się z kimś bliskim a długo niewidzianym. Potem Regina znikła w kuchni przygotować jej coś do jedzenia, a ona za Idą wspięła się na górę do lipnego pokoju.

– Cieszę się, że już jesteś – powiedziała Ida, siadając na łóżku i przyglądając się, jak Beata kuca nad swoją walizką i ogląda miejsce po urwanym kółku. – Bałam się, że będę tu sama z Florą.

– Flora jest?

– Nie. Ale babcia napomknęła, że może się tu zjawić lada chwila. A ona ma szósty zmysł, jeśli chodzi o takie sprawy.

Beata odsunęła suwak. Rzeczy, w miarę porządknie ułożone rano, nie wytrzymały drogi przez wiejskie wertepy.

– A ja nie sądziłam, że uda mi się dziś przyjechać. Na szczęście poszło szybciej, niż myślałam. Teraz już pozostaje tylko odebrać dyplom.

– I w świat? – Ida się uśmiechnęła. – Co dalej zamierzasz?

– Nie myślałam jeszcze o tym. – Beata otworzyła szafę. – I tutaj też nie będę myśleć.

– Ale chyba masz jakieś plany?

Beata uśmiechnęła się pod nosem.

– A ty? Masz jakieś plany?

Ida wzruszyła ramionami.

– Oczywiście. Pójdę do pracy albo wyjadę na rok do Irlandii.

– Aha. No to faktycznie masz plany, Iduś.

Ida wstała z łóżka i podeszła do okna.

– Nie mówmy na razie o tym, dobrze? – powiedziała.

– Jasne. Byłaś już w sadzie?

– Nie. – Ida pokręciła głową. – Z dziadkiem widziałam się na obiedzie. A tak to cały czas siedziałam z babcią.

- Nie mogłam się już doczekać, kiedy tu przyjadę.
 - Ja też.
 - I już jutro pójdziemy do sadu.
- Ida pokiwała głową.



Regina poszła zerwać maliny, a one usiadły na ganku, każda z piwem w dłoni. Beata kołysała się w bujanym krześle, Ida przysiadła na poręczy. Przez podwórko przemykały już pojedyncze postaci – to pierwsi rwacze schodzili z pola, ci najmniej wytrwali albo ci, którym śpieszyło się do własnych codziennych obowiązków. Ścienny zegar w kuchni wybił piątą.

– Jaki spokój – powiedziała Ida. – Jak cudownie. Wszystko dopiero się zaczyna.

Beata się uśmiechnęła.

– Czuję się, jakbym oglądała piękną okładkę nowej książki – odrzekła.

Jutro miały już pójść do sadu, ale dziś jeszcze były gośćmi. Upał nie zelżał ani odrobinę, ludzie przecinający podwórko byli spoceni i brudni. Na ganku było duszno i sennie. Beata przymknęła oczy, bujany fotel kołysał się miarowo. Ida, oparta o filar podtrzymujący daszek, patrzyła na ciemnozielone liście winorośli, przez które sączyło się słoneczne światło. Była bliska drzemki. Nagle bujany fotel skrzypnął i Ida się ocknęła, omal nie straciwszy równowagi.

– Słyszysz?

– Słyszę. – Ida pokiwała głową. – Jakby do nas.

W ciszy pól, które rozpościerały się przed domem, zaczął nagle nabrzmiwać daleki warkot samochodu, warkot, który przybliżał się i przybliżał, aż w końcu stał się tak wyraźny, że były już pewne, iż to ktoś do dziadków. Jeszcze chwila i na podwórko wjechał z chrzęstem srebrzysty ford, który zatoczył eleganckie półkole i zatrzymał się w cieniu rosnących pod płotem jarzębin.

Z samochodu wysiadła smukła, czarnowłosa kobieta w długiej fioletowej sukience i o ton ciemniejszych sandałkach na wysokim obcasie, które to zresztą obcasy natychmiast zapadły się w piach. Kobieta zdjęła duże ciemne okulary i powiodła wzrokiem po podwórku, potem zatrzasnęła swoje drzwi i otworzyła z kolei tylne. Pochyliła się w głąb samochodu, coś mówiła, ale jej głos niął we wnętrzu kabiny, potem się wyprostowała i cofnęła, by przepuścić drobnego ciemno włosego chłopca ubranego w szerokie džinsy i koszulkę w granatowo-szare pasy. Chłopiec zadarł głowę i coś jeszcze do niej mówił, ale kobieta już go nie słuchała, odwróciła się w stronę ganku i przysłoniła oczy dłonią. Chłopiec nie miał więc wyjścia i również spojrzął w tym samym kierunku.

A z ganku tymczasem schodziły Ida z Beatą.

– Cześć, Floro – odezwała się pierwsza Ida. – Cześć, Fifi.

Podeszły jeszcze kilka kroków. Mierzyły się wzrokiem.

– Hej – przywitała się Flora krótko. – Tak myślałam, że już jesteście obie.

Beata kucnęła i wyciągnęła ręce do Filipa. Chłopczyk po krótkim wahaniu podszedł do niej i dał się uściskać, sztywny jak kłoda.

– Gorąco jak jasny gwint. Myślałam, że oszaleję po drodze, mam zepsutą klimatyzację – mówiła Flora. – Chodźmy prędzej na ganek, potem mi pomożecie wyjąć bagaże. Jest coś do picia?

Wspięły się z powrotem na ganek. Flora opadła na bujany fotel, który jeszcze się kołysał wprawiony w ruch ciałem Beaty, i zgrabnymi ruchami zrzuciła z nóg sandaalki. Filip przysiadł na stopniach. Nie odzywał się.

– Jest piwo albo kompot z obiadu – powiedziała Ida.

Beata przysiadła na schodkach obok Filipa.

– A woda mineralna niegazowana? Z lodem.

– Jest woda naturalna gruntowa – odrzekła Ida. – Z kranu.

Flora wzruszyła ramionami.

– Poproszę w takim razie o kompot. Fifi, przynieś mi z samochodu moją torebkę. Muszę zapalić.

Ida znikła w kuchni, a Filip posłusznie podniósł się ze stopni ganku i powlókł do samochodu.

– Trochę życia! – zawołała za nim zniecierpliwiona Flora.

Filip wzruszył ramionami ruchem identycznym jak matka. Beata obserwowała go uważnie.

– Daj mu spokój, każdy jest ociążały w taki upał – powiedziała.

Flora popatrzyła na nią.

– Gdzie dziadkowie? – zapytała.

– Babcia rwie maliny, a dziadek jest w sadzie – przez otwarte na oścież kuchenne okno, które wychodziło na ganek, dał się słyszeć głos Idy.

Filip tymczasem dotarł do samochodu, wyjął stamtąd czarną dużą torebkę i równie wolnym krokiem wrócił na ganek.

– No nareszcie – mruknęła Flora, biorąc od niego torebkę. – Następnym razem zrobię ci kanapki na drogę.

Beata kręciła powoli głową.

– Fifi, a może też napijesz się kompotu, co? – zapytała.

– Nie chcę – odpowiedział chłopiec z ujmującą bezpośredniością i ponownie usiadł na schodkach.

– Jest obrażony – wyjaśniła Flora – ponieważ nie zatrzymaliśmy się po drodze w McDonalddie. Zostaw go, przejdzie mu.

Filip znowu wzruszył ramionami, wziął patyk i zaczął coś rysować na piasku. Z kuchni wróciła Ida, niosąc pełną szklanekę kompotu.

– No a wy, co porabiacie? Dawno tu jesteście? – zapytała Flora, biorąc od niej szklanekę. – Długo zamierzacie być? Wiem, że Regusia planuje jakieś uroczystości na koniec zbiorów.

– To mają być urodziny – powiedziała Ida, siadając z powrotem na poręczu. – Ja będę na pewno do końca wiśni, może dłużej.

– Słyszałam, że nie zdawałaś na studia. – Flora pokiwała głową. – No i fakt, pewnie nigdzie ci się nie śpieszy. A ty? – Odwróciła głowę do Beaty.

– Ja też zostanę. Mnie też się nigdzie nie śpieszy.

– Hmm... – Flora sięgnęła do torebki, pogrzebała w niej chwilę, po czym wyjęła prawie puste pudełko cienkich długich papierosów. – Szczęściary. Ja musiałam na ten cel wziąć urlop. A i tak szef może mnie w każdej chwili wezwać z powrotem do Warszawy.

– Czy to znaczy, że wzięłaś urlop, żeby przyjechać na wieś? Nie jedziesz na żadne Wyspy Kanaryjskie? – Ida zrobiła wielkie oczy. – Nie gadaj.

Flora zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

– Nie, Ida, wyobraź sobie, że jednak wolałam przyjechać tutaj – powiedziała, wypuszczając jednocześnie dym z płuc. – Potrzebuję wyciszenia. Muszę pomyśleć.

– Aha. – Ida pokiwała głową. – Pomyśleć, nie popracować.

Flora spojrzała na nią ironicznie.

– Dziadkowie najmują ludzi do rwania. Tutejszych. Gdyby potrzeba im było dodatkowej pary rąk, to by po prostu taką parę rąk najęli. Wy chcecie mimo wszystko pomóc. Pięknie. Naprawdę. – Wstała z fotela – Filip, biegnij do stodoły przywitać się z dziadkiem. Ida, możesz wyjąć moją walizkę z bagażnika? Tu masz kluczyki. I zanieś ją do mojego pokoju, jeśli możesz. Pójdę poszukać Regusi. A potem muszę koniecznie wziąć prysznic.

Po chwili jedynym śladem po Florze był ciągle jeszcze bujający się fotel. Beata milczała. Ida podrzucała w ręku lśniące kluczyki od srebrnego forda.



Wieczorem usiadły we cztery w altance w starym sadzie. Regina nie miała ogrodu kwiatowego,

nie licząc niewielkiego skrawka ziemi od strony drogi – każda szanująca się gospodyni musiała mieć kwiaty przed domem i Regina sadziła tam malwy – i tak naprawdę funkcję ogrodu pełnił stary sad. Kilka lat temu Mateusz zbudował w nim altankę, z której ani on, ani Regina prawie nie korzystali, woląc w ciepłe dni siedzieć na ganku, ale którą bardzo lubiły wnuczki, bo była miejscem ustronnym, niewidocznym ani z domu, ani z podwórka. Flora, gdy Filip był jeszcze malutki, przywiozła do dziadków hamak, który też rozwiesiła w starym sadzie i w którym kładła synka, podczas gdy sama rozstawiała sztalugi i malowała.

Mateusz przyniósł im nalewki orzechowej, a sam poszedł na skróty przez ogród warzywny do Stacha Żałoski. Pierwszy dzień dobiegł końca, ludzie zeszli z sadu o szóstej. Kiedy zakończyli ładowanie samochodu odbierającego owoce, Stach cicho zaproponował sąsiadowi degustację nowej porcji księżycówki dla uczczenia rozpoczęcia zbiorów, na co Mateusz chętnie przystał.

Siedziały w altance, popijały orzechówkę z małych kieliszków i przegryzały kruchymi ciasteczkami, które Regina trzymała zawsze w okrągłej blaszanej puszcze. Zapadał zmierzch, niebo dogasało tuż nad horyzontem. W trawie cykały świerszcze, z daleka echem niosło się ujadanie psów.

– No a wasi rodzice? – spytała Regina. – Kiedy przyjadą?

– Mama mówiła, że do ciebie zadzwoni – powiedziała Beata.

– A Robert?

Beata wzruszyła ramionami.

– Z nim nie znasz dnia ani godziny. Zechce, to przyjedzie. Albo coś mu strzeli do głowy i wyjedzie na Wyspy Dziewicze. Ostatnio wspominał, że bardzo mu się nazwa spodobała.

Regina pokiwała głową.

– Powiedz lepiej, Ida, czemu ty właściwie nie zdawałaś na studia? – zapytała Flora. – Babciu, słyszałaś o tym?

Ida wywróciła oczami. Rozparła się na krześle, jak gdyby w ten sposób chciała im dać do zrozumienia, że mają dać jej spokój.

– Daj jej spokój, Flora – mówiła tymczasem Regina. – Pozwólcie jej uczyć się na własnych błędach, skoro inaczej się nie da. Iduniu, nie wywracaj oczami.

– Moim zdaniem głupio robisz – powiedziała Flora, zapalając papierosa. – Studia to studia.

– Ja też tak uważam – poparła Florę Beata.

– A co tobie dały studia? – odgryzła się Ida. – Nie masz żadnych planów, nigdzie ci się nie spieszy. Dobrze pamiętam? I pewnie nikt na ciebie nie czeka.

Beata popatrzyła na nią.

– To nie ma nic do rzeczy – odrzekła po chwili.

– Oczywiście, że to nie ma nic do rzeczy – potwierdziła Regina. – Studia nie są po to, żeby łąpać mężów, Ida. Jeśli tak myślisz, to może dobrze, że robisz sobie przerwę. Pozmywasz trochę cudze kufle po piwie i spojrzysz na świat inaczej.

– A swoją drogą... – odezwała się Flora, wypuszczając z płuc wstęgę dymu i zwracając się w stronę Beaty. – No właśnie. Broniłaś się miesiąc temu. I co dalej? Zostajesz w Poznaniu? Wracasz do matki? A może dołączysz do brata w stolicy?

Beata pokręciła głową.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała cicho.

– No tak. – Flora się uśmiechnęła. – Wszystko jasne. Brawo, dziewczęta. Świat po prostu leży u waszych stóp.

Ida przez moment miała minę, jak gdyby coś cisnęło się jej na usta, ale się nie odezwała. Regina uśmiechała się kątem ust.

– Uroczo tak sobie usiąść z wami – powiedziała. – Nie mogłam się już doczekać, kiedy przyjedziecie tu wszystkie. Iduniu, weź sobie ciasteczko. Ono nie jest niczemu winne.

Ida z naburmuszoną miną wzięła ciastko. Flora paliła. Beata wypila nalewkę do dna.



Drewniany dom pod lipami jeszcze półtora roku wcześniej znajdował się w stanie opłakanym.

Dotychczasowa właścicielka zmarła w pierwszym roku wojny i od tego czasu nikt się jej chałupą nie opiekował. Ona sama zresztą nigdy nie dbała o dom; z nikim nie utrzymywała kontaktów, nie wiadomo było, z czego żyje, bo nie miała ani krów, ani świń, ani nawet własnego ogródka i była powszechnie uważana za wiedźmę. Krążyły plotki, że żywi się kotami, bo kotów miała nieprzeliczone ilości, ale nikt tego nie wiedział na pewno.

W końcu jednak staruszka umarła, ksiądz pogrzebał ją w poświęconej ziemi, choć nie miał pewności, czy aby na pewno była katoliczką, poza tym żywił do niej osobistą urazę za swego pięknego rudego kota, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Jej zmurszała chałupa została pozostawiona własnemu losowi. Starucha nie miała krewnych, a nikt z miejscowych nie odważył się zająć domu, bojąc się sił nieczystych i tabunów zdziczałych kotów. Odwagę mieli tylko miejscowi pijaczkowie, którzy bardzo szybko urządzili sobie tutaj miłą przystań, ale i oni nie byli zainteresowani tym, by przetrwała. Dom szybko popadł w ruinę, spomiędzy desek podłogi wyłaziło zielsko, okna wybito, strzechy w zasadzie w ogóle nie było, bo kiedyś dzicy lokatorzy urządzili sobie na

zarośniętym podwórzu ognisko.

I nagle pojawił się we wsi nieznany nikomu młody mężczyzna, który nie był zainteresowany złą legendą chałupy, załatwił z sołtysem wszystkie formalności (jak podejrzewali miejscowi, ograniczyły się one do paru butelek wódki) i został uznany za nowego właściciela. Mężczyzna szybko dźwignął chałupę z ruiny, przegonił pijaczków, wytruł koty, położył nową podłogę, wstawił szyby i nawet dobudował niewielkie piętro, które w owych czasach było na wsi rzadkością. Poza tym szybko zaprzyjaźnił się z całą wioską, ożenił się z dziewczyną z pobliskiego miasteczka, i oto minął rok od jego przyjazdu, cała wieś uznała mieszkańców domu pod lipami za swoich, a młodzi małżonkowie oczekiwali właśnie swego pierwszego potomka.

ROZDZIAŁ 2

Obie obudziły się wcześnie. W lipnym pokoju panował o tej porze półmrok — słońce wschodziło z drugiej strony domu, dostępu dziennemu światłu broniły poza tym gęsto porośnięte liśćmi gałęzie lip. Beata wstała pierwsza. Uchyliła okno wychodzące na stary sad i przysiadła na szerokim parapecie. Powietrze pachniało jeszcze poranną rosą, ale czuło się w nim już zapowiedź upału. Podkuliła nogi, schowała kolana pod obszerną koszulkę, w której spała. Patrzyła na stary sad, na altankę, gdzie wczoraj siedziały. Pomyślała, że lato dopiero się zaczyna.

Ida poruszyła się na łóżku, przeciągnęła się, przetarła oczy pięściami — zupełnie jak małe dziecko. Potem usiadła.

— Dzień dobry — powiedziała, ziewając. — Dobrze, że otworzyłaś okno, jest tak duszno.

Wstała i podeszła do toaletki. Poprzedniego wieczoru przed pójściem spać siedziały tu i układały swoje grzebienie, szczotki do włosów, spinki, chusteczki na głowę mające chronić przed upałem, kremy i cienie do powiek. Jak zawsze sprzeczały się, gdzie co powinno leżeć, zapominając o tym, że obie miały skłonność do bałaganiarstwa i że na starej toalecie szybko robi się nieporządek. Ida pozawieszała na porcelanowej kobiecej dłoni, która stała w rogu, swoje koraliki, a Beata zatknęła na jej wskazującym palcu swój pierścionek z granatem.

Teraz Ida usiadła na niskim taboreciku przed toaletką. Przyglądała się swojemu odbiciu w zmatowiałym lustrze.

— Wyglądam okropnie — stwierdziła, sięgnęła po szczotkę i zaczęła rozczesywać pojedyncze pasma włosów. — Zawsze zazdrościłam Florze, że tak ładnie rano wygląda. Zauważyłaś?

— Zauważyłam. Zawsze podejrzewałam, że ona po prostu nie wychodzi z pokoju bez makijażu.

— Może coś w tym jest — powiedziała Ida z zadumą. — Ciekawa jestem, ilu facetów odkochuje się w swoich wybrankach, kiedy pierwszy raz widzą je rano. To musi być straszne. Powiedz mi — odwróciła się od lustra i spojrzała na Beatę. — Jak to jest?

— Co?

Beata patrzyła na nią spokojnie, ale wiedziała, o co Ida chce zapytać, i zastanowiła się, co może jej odpowiedzieć. Jej doświadczenie nie było dużo większe.

— No wiesz... Jak to jest rano. Bo ja nigdy... — Ida znowu popatrzyła na własne odbicie w lustrze. — W zasadzie to nawet nie powinnam się przyznawać. Jeszcze nigdy... I zastanawiam

się, bo zawsze mi się wydawało, że najbardziej głupio jest rano. Co?

— To wszystko zależy... — powiedziała Beata niezdecydowanie, bo Ida znowu utkwiała w niej wzrok.

— O tak, ja wiem, wszystko to jest bardzo indywidualna sprawa — odrzekła Ida kpiąco. — Wiedziałam, że tak powiesz. Czemu nikt ze mną normalnie nie porozmawia? Mam wrażenie, że ostatnio cały świat przemawia do mnie sloganami. — Odłożyła gwałtownie szczotkę, potrząsnęła głową. — Jedna Regusia przyjęła inną taktykę, w ogóle do mnie nie przemawia, ona po prostu jawnie ze mnie szydzi.

— Przesadzasz, Ida. — Beata zeskoczyła z parapetu. Nie miała ochoty na tę rozmowę, bała się dalszych dociekań kuzynki i tego, że od rana popsuje jej to humor. — Chodź na dół, napiłabym się kawy.

— To ja pójdę w tym czasie do łazienki. — W Idzie ocknął się instynkt samozachowawczy, który mówił jej, że niedługo zaczną się w tym domu wojny o łazienkę. — A z babcią nie przesadzam, chociaż przyznaję, że miło mnie zaskoczyła. Bałam się, że będą rozmowy naprawcze. Wolę już jej docinki, zresztą ona zawsze ze mnie kpi.

Zostawiły otwarte okno i zeszły na dół. Ida skręciła do łazienki, a Beata zajrzała do kuchni. Reginy nie było.

Postawiła czajnik na gazie i przysiadła za stołem. Za oknem widziała, jak przez podwórko przechodzą ostatni rwacze. Ci, którzy przyszli pierwsi, już od godziny byli w sadzie. Przez uchylone okno doleciał do niej stłumiony śmiech. Należał do wysokiej dziewczyny w obciętych do kolan dżinsach i granatowej koszulce, która szła z ja kimś chłopakiem, nieco niższym od niej, ubranym w bojówki i czarny podkoszulek. Chłopak opowiadał coś żywo, a dziewczyna kiwała głową i tłumiała głośny śmiech. Po chwili zniknęli we wrotach stodoły.

Beata przypomniwała sobie podobną scenę, ale z własnego życia. Szła z mężczyzną aleją poznańskiego parku, była ciepła wczesna jesień, ona miała na sobie nowy ciemnozielony płaszcz, a on poprawiał jej srebrzystą chustę, która cały czas zsuwała się z ramion. On również opowiadał coś szybko, nie pamiętała już co, ale pamiętała, że śmiała się tak samo jak ta dziewczyna — zbyt głośno i zbyt nerwowo, dlatego tak samo jak ta dziewczyna próbowała stłumić śmiech, zagryzała wargi do krwi i przysłaniała twarz indyjską chustą. I podobnie jak ta dziewczyna — na próżno. Ale ta jesień była tak dawno temu, i ten śmiech, i ta rozmowa nic już nie znaczyły, nie zaznaczyły się w jej życiu jakoś szczególnie, nie pozostał po nich żaden widoczny ślad, i ona już wtedy, kiedy zasłaniała usta chustą, tak naprawdę wiedziała o tym, że jeszcze chwila, a każde z nich skręci we własną alejkę.

I tak się stało.

Tak było zawsze.

Zagwizdał czajnik. Beata ocknęła się z zamyślenia, podniosła i wyłączyła gaz. Wyjęła z szafki swój ulubiony brązowy kubek z tłoczonymi listkami koniczyny, nasypała do niego kawy rozpuszczalnej, którą Regina zawsze kupowała dla wnuczek, zalała wodą i dodała mleka. Rozejrzała się za cukierniczką, ale jej nie było. Wzięła kubek z kawą i wyszła na ganek. Cukierniczka stała tutaj, obok dwóch pustych kubków po kawie i dwóch talerzyków ze śladami po jajecznicy. Czyli dziadkowie byli już po śniadaniu.

Beata posłodziła kawę i wróciła do kuchni akurat w chwili, kiedy z łazienki wyszła Ida. Miała mokre włosy i krople wody na przedramionach.

— Gdzie babcia? — zapytała tonem małej dziewczynki, który jeszcze niekiedy wracał do niej, a z którego ona nie zdawała sobie sprawy. — Zrobiłaś mi kawę?

— Nie wiedziałam, czy chcesz — odrzekła Beata. — Może wolisz herbatę do śniadania. Co byś zjadła? — dodała, zaglądając do stojącej w kącie lodówki. — Widzę żółty ser i jajka. O, jest też kiełbaska, pewnie od Żałosków.

— Daj kiełbasę — zdecydowała Ida i sięgnęła po stojące na szafce w wiklinowym koszyczku pomidory. — I majonez, jak jest.

Wspólnie zrobiły śniadanie i usiadły przy stole. Ida włączyła radio. Jadły w milczeniu. Beata się bała, że Ida za chwilę wróci do przerwanej rozmowy, ale na ganku rozległy się kroki i w progu kuchni stanęła Regina.

— O, jak to miło, że jesteście już takie samodzielne — powiedziała. — Śpieszcie się, dziadziuś na was czeka. Wybrał dla was przepiękne drzewko do oberwania.

Usiadła przy stole. Rozmawiały chwilę. Ida dociekała, gdzie będą rwać, czy na początku sadu, czy może raczej przy końcu, ale Regina kręciła głową i mówiła, że nie odbierze Mateuszowi przyjemności pokazania im, które drzewka będą ich. Beata skończyła jeść pierwsza, wstała od stołu, zostawiła Idę i Reginę w kuchni, a sama poszła do łazienki. Podczas mycia zębów znowu przemknęła jej przez głowę scena w parku i usiłowała sobie przypomnieć, kiedy dokładnie to było. Dwa, trzy lata temu? Chyba dwa, chyba była wtedy na trzecim roku. Tak, to było na pewno wtedy, bo to właśnie z nim, z tym mężczyzną z parku była na hucznej imprezie zorganizowanej z okazji półmetka studiów. I od tamtej pory zaległa w jej życiu wielka cisza. Na tak długo.

W lipnym pokoju zastała Idę, już ubraną do sadu w szare rybaczkę i wyciągniętą koszulkę na ramiączkach we wściekle pomarańczowym kolorze. Ida smarowała sobie dekolt i ramiona balsamem do opalania z bardzo wysokim filtrem — miała bzika na punkcie nierównej opalenizny.

— Ubieraj się szybko i idziemy, już prawie dziewiąta — powiedziała do Beaty, nie podnosząc głowy. — I posmarujesz mi plecy, dobrze? Tylko dokładnie.

Beata otworzyła swoją część szafy i wyciągnęła krótkie szorty, które zabrała z myślą o tym, że wykorzysta czas spędzony w sadzie na opalanie nóg. Nie miała nigdy cierpliwości do leżenia plackiem na słońcu.

— Zamierzasz tak chodzić po podwórku? — Ida zrobiła wielkie oczy na widok postrzępionych spodenek, które można było wziąć za niemodne majtki. — Zapomnij, babcia ci nie pozwoli.

— Ida, pilnuj swoich ramiączek, co? — odparła Beata, szybko wciągając szorty. Rzeczywiście były bardzo krótkie. — Daj ten balsam. Przytrzymaj włosy.

— Cieszę się, że wiśnie się zaczęły — mówiła Ida, podczas gdy Beata okrężnymi ruchami wcierała balsam w jej skórę. — Ale jak sobie pomyślę, że czeka nas tyle godzin w sadzie... Zawsze rano mam kryzys. Najfajniej jest po południu, co nie? Przy ramiączkach też, bo potem zostaną takie paski. Jak już wiesz, że zaraz koniec, a babcia czeka z kolacją...

— Gotowe — powiedziała Beata, zakręcając tubkę. — Nie marudź. Chodź.

— Przecież nie marudzę — odparła Ida, przysiadając jeszcze przy toalecie, żeby zawiązać zieloną chusteczkę na głowie. — Ale dobrałam sobie kolory. — Zaśmiała się krótko do swojego odbicia w lustrze.

Na podwórku, pod leszczyną leżały porzucone rowery rwaczy, niedaleko, w słońcu ułożyła się stara kotka Żałusków, której nieraz myliły się domostwa. Przeszły przez podwórko i weszły do chłodnej stodoły. Mateusz przy pomocy Franka Żałoski ustawiał zwiezione już skrzynki z wiśniami. Obaj byli spoceni, Mateusz dyszał ciężko.

— Cześć, dziadku — powiedziała Ida, biorąc od niego skrzynkę i ustawiając ją na wadze. — Daj, pomożemy ci.

— Nie trzeba — odpowiedział Mateusz. — Franek tu jest, zaraz za stodołą rwą jeszcze dwaj chłopcy, Roch i Janek, kazali sobie wołać do noszenia. Damy sobie radę, dziewczynki.

— Będziesz ich odrywał od rwania? — zapytała Beata. — Nie zbuntują ci się?

— Sami prosili. Zresztą dorzucę im coś do wypłaty za pomoc.

— Dla nich to rozrywka — wtrącił się Franek. Był cały czerwony i wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle, choć Idzie zawsze wydawało się to niemożliwe. — Dla takich młodych chłopaków zrywanie wiśni to nuda i tyle. To bardziej babskie zajęcie, to jest, przepraszam was, dziewczynki, no ale jednak... — zaplątał się. — W każdym razie, jak tak od czasu do czasu podźwigają trochę i poprzestawiają parę skrzynek, to im to tylko dobrze robi. A ja zaraz pójdę po tego znajomego Hanki, o którym rozmawialiśmy.

— Dobrze, dobrze — odparł Mateusz nieuważnie. Sprawdzał wagę dziesięciu skrzynek i zapisywał ją skrupulatnie w zeszycie. — A wy poczekajcie chwilę, zaraz was zaprowadzę do waszego rządka.

— Gdzie rwiemy, dziadku? — chciała wiedzieć Ida. — Gdzieś blisko ludzi?

— Nie, ludzie zaczęli iść rządkami od strony stodoły. Wy zaczniecie z naprzeciwka.

— Czyli idziemy na sam koniec? — zapytała Ida z rozpaczą. — Tak daleko!

Zważyli wreszcie wszystkie skrzynki. Franek pożegnał się tymczasem, obiecując, że zaraz przyprowadzi nowego pracownika, i poszedł na skróty przez warzywny ogród Reginy do domu. Beata widziała, jak kotka ocknęła się i najwyraźniej rozpoznawszy znajomą postać, ruszyła za Frankiem. Mateusz schował swój zeszyt, ustawił na wózku kilkanaście pustych skrzynek i wyszedł z wnuczkami do sadu.

Szli głównym rządkiem, najszerszym, mijali poustawianych w niewielkich odległościach pracowników, w większości sąsiadów, którzy teraz witali serdecznie znane im od dziecka wnuczki Mateusza. Ubrane w robocze stroje, z chustkami na głowach były już tutejsze. Kobiety przyglądały im się życzliwymi oczyma, niektóre zagadywały. Popychany przez Beatę wózek skrzypiał i podskakiwał na napotykanym kamieniach; kilka osób podeszło wziąć sobie parę pustych skrzynek. Mateusz obiecywał, że zaraz przywiezie więcej.

Dotarli wreszcie do końca sadu. Drzewa były tu mniejsze, dawały mniej cienia. Za sadem, odgradzona dziurawą siatką, rozpościerała się łąka, a dalej zaczynały się już zabudowania sąsiedniej wsi. Mateusz miał stamtąd kilku pracowników — większość z nich przychodziła do sadu właśnie tędy, przełaząc górą przez ogrodzenie albo przez dziury w siatce.

— No, to tutaj — powiedział zasapany Mateusz. — Beatko, zabierz skrzynki i daj mi wózek. Rwijcie tylko te ładne wiśnie, niedojrzałe zostawiajcie na drzewach, będzie potem dorywka. Pełne skrzynki ustawiajcie w cieniu, dobrze? Pod tamtym drzewem stoi drabina, przyciągniecie sobie. Chociaż te drzewka nie są wysokie, łatwo będzie oberwać wierzchołki.

— A ty, dziadku, daj znać, gdyby ci trzeba było pomóc przy zwożeniu, dobrze? — powiedziała Ida.

— Dobrze, dobrze. No, to miłego rwania. — Pomachał im ręką i ruszył z pustym wózkiem w drogę powrotną.

Beata przypięła paskiem łubiankę. Spojrzała w niebo. Było przejrzyste, błękitne, przyozdobione gdzieniegdzie postrzępionymi obłokami. Zapowiadało upał.

Zza pleców dobiegł ją odgłos jakby przetaczających się kulek do gry. To Ida wyspała do swojej łubianki pierwsze zerwane wiśnie.



Flora obudziła się późno.

Spała, jak zawsze, w małym pokoiku przylegającym do lipnego pokoju. Nawet się za bardzo nie dąsała, przywykła już do tej klitki ze ścianami obitymi białą tapetą w fioletowe drobne kwiatki. W zeszłym roku sama zafundowała urocze metalowe łóżko specjalnie do tego pokoju.

Filip, odkąd skończył cztery lata, spał na dole, w pokoiku obok pokoju dziadków.

Flora sprawdziła telefon, przeciągnęła się, potem wstała i podeszła do okna. Wychodziło na drogę i dalej na pola. Drogą przechodzili jacyś ludzie, pewnie pracownicy dziadka, może sąsiedzi.

Zarzuciła na ramiona cienki szlafroczek i zeszła na dół. W domu nikogo nie było, przez otwarte okno w kuchni dojrzała głowę Reginy siedzącej na ganku. Flora nastawiła czajnik i przysiadła na parapecie; mogła stąd dotknąć Reginy ręką.

— Witaj, Floro — powiedziała Regina, nie podnosząc oczu znad szydełka.

— Cześć, Regusiu — odrzekła Flora. — Gdzie są wszyscy?

Regina spojrzała na nią kpiąco.

— W sadzie, moja droga. Dziadek wziął Fifiego za pomocnika, co zapewne polega na tym, że wozi go po sadzie na wózku z pustymi skrzynkami.

— Jadł śniadanie?

— Naturalnie.

— To super.

Zagwizdał czajnik. Flora zaparzyła sobie mocną czarną kawę, wyszła na ganek do Reginy i usiadła w bujanym fotelu.

— Co robisz?

— Serwetkę.

— Zawsze podziwiałam cierpliwość do takiej roboty.

— Jakie masz plany na dziś? — zapytała Regina, w skupieniu oglądając wzór, jaki wychodził spod jej szydełka, i porównując go z szablonem w czasopiśmie.

— Przywiozłam sztalugi, chciałabym sobie trochę pomalować. Dawno nie miałam okazji.

Regina pokiwała głową.

— Kiedyś chciałaś zdawać na Akademię Sztuk Pięknych. Może szkoda, że tego nie zrobiłaś.

— Czy ja wiem. — Flora podniosła filiżankę do ust; ona jedna zawsze piła kawę z filiżanki.
— Byłabym teraz biedna i bezrobotna. A tak mam stabilną pracę i pieniądze. Jest w porządku. Tylko czasem brak mi malowania... no, ale wtedy przyjeżdżam do ciebie. Tu się naprawdę można wyciszyć.

— Niedługo zaczną się żniwa — przypomniała wnuczce Regina. — Ciszę zakłóca kombajny,

miej to na względzie.

Siedziały chwilę w milczeniu. Regina szydełkowała, co jakiś czas poprawiając zjeżdżającą jej z nosa okulary. Flora piła kawę.

Na podwórku pojawili się tymczasem dwaj mężczyźni. Zatrzymali się przy ganku. W starszym Flora rozpoznała Franka Żaloskę, drugi natomiast, zupełnie młody chłopak, był chyba nietutejszy.

— Dzień dobry — przywitał się Franek z Regimą. — Witaj, Floro.

— Dzień dobry — odrzekła Regina, patrząc na nich znad okularów.

Flora przyglądała się nieznanemu. Młody chłopak, pewnie w wieku Idy, może trochę starszy. Zupełnie przystojny, oceniła mimochodem. Stał trochę z tyłu, czekając aż jego towarzysz wymieni kurtuazje ze starszą panią, nie patrzył na ganek. Flora pomyślała, że robi wrażenie zupełnie nieobecnego, jakby znalazł się tu przypadkiem i nie był zainteresowany tym, co się dzieje obok. W pewnej chwili chłopak nagle odwrócił głowę i spojrzał wprost na nią. Flora szybko przeniosła wzrok na Franka.

— Jak się córeczka chowa? — pytała tymczasem Regina. — Jeszcze jej nie widziałam, powiedz Hance, żeby tu kiedyś przyszła.

— Oj, pani Regino, aż wstyd się własnym dzieckiem chwalić, ale Basia jest prześliczna i spokojna też bardzo, prawie w ogóle nie płacze.

Biedna malutka, żeby się chociaż w ojca nie wdała, pomyślała Flora, patrząc na brzydką różową twarz Franka. Ten nieznanomy nie mógł być jego krewnym.

— A ja właśnie przyprowadziłem panu Mateuszowi pracownika — kontynuował Franek, opierając już jedną nogę na stopniach ganku. Jak tak dalej pójdzie, gotów jeszcze wprosić się na kawę, pomyślała Flora. — Kuba, przywitaj się z panią Regimą. To znajomy Hanki, trochę sobie kłopotów narobił, praca w polu dobrze mu robi. I pieniądze się przydadzą.

— Jakich kłopotów? — zainteresowała się Regina. — Bo mąż już wczoraj przyjął Heńka Charczuka. No, ale twoja matka nie puściłaby cię do nas z przestępcą. Idź, szukaj Mateusza i z nim rozmawiaj. Ja się nie znam na interesach.

— Zdrowia życzę dużo! Do widzenia — rzekł na pożegnanie Franek i pośpieszył za swym towarzyszem, który był już w połowie podwórza.

Flora cmoknęła, obserwując oddalających się mężczyzn.

— No, Regusiu droga, nie popisałaś się delikatnością — rzekła, łykając wystygłą kawę. — Jak mogłaś się tak wypowiadać o tym chłopcu? I to w dodatku przy nim samym.

— Sam z siebie zrobił osobę trzecią, a o trzecich chyba wolno, co? — odparła Regina. — Mam nadzieję, że twój dziadek będzie miał na tyle oleju w głowie, żeby wypytać Franka o te

kłopoty. Żeby tu za nim policja nie przyjeżdżała.

— Ho, ho, byłby skandal na wieś całą, co za smaczki! U bogobojnej parafianki policja znalazła ukrywającego się przed wymiarem sprawiedliwości wielokrotnego przestępcę. I mówią, że na wsi nudno. No to co, Regusiu, po papierosku?



Ida odczuwała coraz silniejsze parcie na pęcherz.

— Kucnij gdzieś pod drzewem — poradziła Beata w odpowiedzi na skargi młodszej kuzynki i wysypała pełną łąbiankę do skrzynki. — Też mi problem.

— Nie uznaję sikania na łonie natury — powiedziała płacząco Ida. — A jak ktoś będzie przechodził?

Mateusz jakoś zawsze zapominał, że pracownikom trzeba zapewnić kulturalne i higieniczne warunki, a może w ogóle mu to nigdy nie przyszło do głowy, dość, że rwacze załatwiali potrzeby albo pod drzewami, albo, jeśli znajdowali się bliżej stodoły, w zmurszałym wychodku, który poza sezonem letnim już dawno był nieużywany, a mimo to wciąż biła od niego obezwładniająca woń.

— No to idź do domu. — Beata wzruszyła ramionami. — Dziecię wielkiego miasta.

— Chyba nie dojdę — rozpaczła Ida. — Zsikam się po drodze.

— To dlaczego nie poszłaś wcześniej? — Beata obeszła drzewko dookoła i przystanęła przy uginającej się pod ciężarem owoców gałęzi, która niemalże leżała na ziemi. — Myślałaś, że samo przejdzie? Nie bądź dzieckiem, Ida, idź pod drzewo, tu nikogo nie ma, rwacze są w innej części sadu.

Ida westchnęła, ale nie pozostawało jej nic innego, jak tylko posłuchać kuzynki. Oddaliła się o trzy drzewka i przykucnęła, rozejrzawszy się bacznie, czy pomiędzy gałęziami nikt jej nie dojrzy.

Ogromnie jej ulżyło.

— O przepraszam, nie patrzę — rozległ się nagle zupełnie blisko czyjś głos.

Ida zmartwiała.

— Mogę w czymś pomóc? — dał się słyszeć głos Beaty. — Szukasz kogoś?

Ida usłyszała oddalające się kroki. Zbyt oszołomiona, ciągle siedziała w kucki, świadoma jedynie tego, że jej pomarańczowa koszulka była bardzo krótka, nie zasłaniała dobrze nawet pępka, nie mówiąc już o niczym innym.

— Ida? — zawołała Beata. — Pan jest ze mną, bądź spokojna.

— Naprawdę przepraszam — mówił męski głos. — Nie chciałem nikogo... przestraszyć.

Idzie zdało się, że intruz z trudem powstrzymuje śmiech. Zapięła swoje rybaczki, zastanawiając się, czy będzie bardzo głupio, jeśli teraz spróbuje przekraść się w inny rząddek, a następnie szybko uciec.

— Ida, nie wygłupiaj się, chodź. Kolega mówi, że nic nie widział.

Pałając wszystkimi odcieniami czerwieni, Ida wychynęła spomiędzy drzew.

— Ludzka sprawa. — Młody, bardzo przystojny chłopak uśmiechnął się. Rozpacz Idy sięgnęła zenitu. — Dziewczyna po prostu daje sobie radę w każdej sytuacji. Pan Mateusz mnie do was przysłał zapytać, czy nie brakuje wam skrzynek. Jestem Kuba.



Flora rozstawiła sztalugi w starym sadzie. W jej myślach dwa spojrzenia ciągle się przecinały i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wywarło to na niej aż takie wrażenie. Jej spojrzenia wielokrotnie napotykały spojrzenia mężczyzn, i to mężczyzn nieprzeciętnych. Rzadko kiedy nie była w stanie wyrzucić ich z pamięci.

Zapaliła papierosa i przyjrzała się rozciągniętemu na sztalugach kawałkowi zupełnie białego płótna.



Do obiadu narwały siedem skrzynek. Były zmęczone. Upał wzmagął się z każdą godziną, słońce osiągało zenit — o tej porze z żadnej strony drzewa nie kładł się nawet najkrótszy cień. Słoneczne światło oślepiało, przy zamkniętych powiekach przed oczami migotały kolorowe plamy. Ale drzewko było już do połowy oberwane; w przypływie determinacji Ida przyciągnęła nawet drabinę, wspięła się na nią i starając się być plecami do słońca, próbowała dosięgnąć wiśni czerwieniejących na samym wierzchołku. Przy okazji wysypała pół swojej łubianki na głowę Beaty, która wpełzła pod gałęzie i próbowała zerwać wszystkie wiśnie, które rosły nisko i najbliżej pnia. Mateusz, który przyszedł zawołać je na obiad, z uznaniem obejrzał najpierw drzewo, a potem owoce w skrzynkach. Pochwalił nawet częściowo już oberwany wierzchołek. Ida, która walcząc z zawrotami głowy, schodziła z drabiny, uśmiechnęła się dumnie.



— Jak to nie zapytałeś, jakich narobił sobie kłopotów? Na Boga, za tobą po prostu wszędzie

trzeba chodzić.

Siedzieli na ganku, podając sobie z rąk do rąk półmisek z plackami ziemniaczanymi. Placki zdawały się w ogóle nie stygnąć w południowym upale, parzyły w usta.

— To są prywatne sprawy tego chłopca, a poza tym to jest pracownik sezonowy. Franek za niego ręczy. A u nas już rwie Heniek Charczuk, może zapomniałaś. Poproszę jeszcze trzy placki.

Ida podała dziadkowi półmisek.

— A myśmy z Idą już go poznały — powiedziała Beata, uśmiechając się figlarnie, na co Ida splonęła rumieńcem.

— Nie lubię placków ziemniaczanych, Regusiu, dlaczego zawsze mi to robisz? — odezwała się Flora. — Filip, tłuszcz ścieka ci po brodzie, wygląda to obrzydliwie.

Regina otarła buzię chłopca papierową serwetką.

Ida dziobała widelcem placek. Oczyma wyobraźni widziała ironiczny uśmiech Kuby, w uszach dzwoniły słowa „ludzka rzecz przecież”, mówił też coś o zaradnych dziewczynach, nie pamiętała już co. Tyle razy w ciągu przedpołudnia przewinęła w pamięci haniebne poranne zdarzenie, że na koniec wszystko przemieszało się ze sobą i nie była już pewna ani słów, które padły, ani min, ani tonu głosu.

— Beatko, dlaczego chodzisz w samych majtkach? — zapytała Regina, dolewając Mateuszowi kompotu. — Podejrzewam, że gapi się na ciebie pół sadu.

— Ponieważ chcę opalić nogi — wyjaśniła spokojnie Beata. — Nie przesadzaj, babciu, nikt się na mnie nie gapi.

— Tego nie wiesz — wtrącił Mateusz. — Nasz sad ma setki par oczu. Dlatego w porze zbiorów zawsze czuję się w nim trochę nieswojo. I te wszystkie młodzieńcze śmiechy. Zauważyłaś, gołąbko?

— Miłość kwitnie i dojrzewa. — Regina pokiwała głową.

Beata przypomniała sobie parę, którą widziała rano.

— Pojadę po obiedzie do miasteczka, Regusiu, zastanów się, czego potrzebujesz — powiedziała Flora. — A może chcesz pojechać ze mną?

— Nie — pokręciła głową Regina — ale zrobię ci listę zakupów.

— Wy też pomyślcie, czy czegoś wam nie trzeba — powiedziała Flora do Idy i Beaty. — Ja funduję, dostałam ostatnio premię w pracy.



Po południu było dużo lżej. Może to obiad Reginy dodawał nowych sił, może nadchodzący

wieczór kusił bliskim już odpoczynkiem. Słońce minęło zenit i z wolna przetaczało się po drugiej części swego codziennego łuku, jego promienie nabierały miodowej barwy; cienie się wydłużyły, zieleń sadu matowiała. Pracownicy zrywali wolniej, bardziej leniwie, nieśpiesznie, między drzewami snuły się dłuższe rozmowy i opowieści. Ida i Beata nie odzywały się, próbując złowić ich strzępki.

— ...powiedziałam mojemu staremu, że nie potrzebuję tych jego pieniędzy, na papierosy sobie sama zarobię. O, chociażby tu. A on jak pierdolnął drzwiami, kochana, myślałam, że się nie wróci. Ale myślę sobie, co on mnie będzie mówił, co mam robić, nie? Mamy ten femizm w końcu, to i ja mam swoje prawa. Ale wkurwił się strasznie...

— ...i dumna taka jestem z tych moich dzieci, wie pani, u nas biednie było zawsze i im pomoc nie miał kto, same się wyuczyły. Córka medycynę kończy w tym roku, za mąż wychodzi, z dobrej rodziny chłopiec, mieszkanie ma swoje. Bałam się zawsze, żeby ona choć mojego losu nie powtórzyła, ale, Panu Bogu dzięki, lepsze to jej życie niż moje było...

— ...kurwi się toto, że też jej matka nic nie robi, ale co się dziwić, sama też latawica była, nawet się do mojego brata kiedyś u Jana dobierała, ale ją pogonił. A teraz w pierwszej ławce w kościele siedzi, a córunia mech w lesie wygniata z kim popadnie...

— ...mój wnusio, ach, powiem pani, cudo kochane, a taki zabawny, jakie minki robi, to my się z Ryśkiem napatrzeć nie możemy. W czerwcu byliśmy cały tydzień u dzieci, bo się niania rozchorowała i nie miał kto maluszka pilnować, ach, żeby oni bliżej mieszkali...

— ...i tak sobie pomyślałam wtedy, jak to Pan Bóg wobec każdego ma jakieś plany i człowiek z pokorą powinien robić to, co do niego należy, a nie rozдумыwać nad sensem. Nam tego nie pojąć...

Mateusz także przysłuchiwał się tym gawędom, jak zawsze zdumiony kobiecą intuicją i przenikliwością. Młodzi chłopcy, którzy pomagali mu zwozić skrzynki z sadu, też słuchali i co chwila tręcali się łokciami, tłumiąc ucieszny rechot. A kobiety w sadzie niezmiernie mówiły, plotły, snuły opowieści, wybuchały śmiechem i wzdychały. I nieprzerwanie, szybko i zręcznie oskubywały kolejne gałęzie i drzewa z dojrzałych, czerwonych wiśni. Słońce stało coraz niżej.

Beata przysiadła na odwróconej skrzynce i sięgnęła po wodę mineralną, którą zabrały do sadu po obiedzie. Obok, w zielu, dostrzegła przeciwsłoneczne okulary, które Ida porzuciła niedbale, kiedy słońce przestało już tak razić oczy. Beata podniosła je i zdmuchnęła z nich pył.

— Dochodzi szósta — powiedziała, sprawdzając telefon. — Pora chyba się zbierać.

— Już dawno pora — stęknęła Ida z drugiej strony drzewa.

— Jak chcesz, to oddaj mi swoją łubiankę, dokończę, a ty idź do stodoły po wózek.

— Chętnie — skwapliwie przystała na propozycję Ida.

Ludzie szykowali się powoli do domu. Kobiety zegnały się, sztorcowały dzieci, które przyszły z nimi do pomocy, zbierały swoje rzeczy, szły do stodoły. Gdzieś dalej, w innym rządku grupka młodych ludzi umawiała się na wieczorne piwo pod sklepem na krzyżówce. Rozlegały się śmiechy i nawoływania. Beata szybko dokończyła łubiankę Idy. Narwały czternaście skrzynek.

Ida wróciła, wlokąc za sobą mały wózek.

— Z dziadka to prawdziwy biznesmen, mówię ci — powiedziała. — Jak on fajnie im podlicza narwane skrzynki, wszystko ma w zeszytku — roześmiała się. — Dorwałeś? To super, ładujemy na wózek i idziemy, podobno niedługo ma przyjechać samochód po wiśnie.

— Przyszedł ktoś do pomocy? — zapytała Beata, kiedy już wspólnie popychały wózek wzdłuż rządka, w którym rwały. Butelka po wodzie mineralnej podskakiwała rytmicznie, okulary Idy niebezpiecznie zsuwały się z chustki, na której leżały.

— Jest Franek, razem z tymi dwoma chłopakami zwożą ostatnie skrzynki z sadu — odparła Ida.

W stodole była też Regina; stała z boku i rozmawiała z jakąś sąsiadką. Mateusz tymczasem tłumaczył kolejnym pracownikom, że jak co roku przez pierwsze dni nie będzie wypłaty.

— Nie mam gotówki, muszę poczekać, aż szef przyjedzie i zapłaci za odebrane wiśnie — mówił. — Chyba że się komuś bardzo śpieszy, to coś tam się wysupła...

— Daj spokój — machnęła ręką jakaś przysadzista kobieta, której dziewczęta nie znały. — Nikomu się nie śpieszy. Poczekamy jak co roku, solidna firma. Do widzenia, Renia.

We wrotach stodoły ukazał się wózek wyładowany skrzynkami, a za nim Franek Żałoska. Na różowym czole perlił mu się pot.

— Jutro, panie Mateuszu — wydyszał — przyjadę tym naszym traktorkiem, co go ojciec złożył z części na jesieni. Mogę go tu zostawić na cały czas zbiorów, niepodobna to wszystko wózkami zwozić. A traktorkiem to szast-prast.

— Pan pozwoli, to my będziemy jeździć — zabrzmiał głos jednego z chłopaków, który ciągnął za Frankiem drugi wózek.

— Jeszcze czego — mruknęła Regina, a Mateusz w tym samym czasie odparł swoim zwykłym nieuważnym tonem:

— Dobrze, dobrze.

Franek z chłopakiem, który okazał się mieć na imię Janek, rozładowywali ostatnie skrzynki, szybko je ważyli i ustawiali w słupkach. Regina podeszła do wnuczek.

— No jak tam? Jaki wynik?

— Czternaście — powiedziała Ida z dumą.

— Ładnie. — Regina kiwnęła głową. — Beatko, weźcie używane łubianki i umyć je,

dobrze? Pod baniakiem z deszczówką stoi balia, położyłam obok szmatkę. O, dzień dobry, Gieniu, nie widziałam cię dzisiaj.

Regina odeszła do pani Gieni, która jako ostatnia pojawiła się w stodole.

Łubianki były lepkie od soku, do którego przywarły gdzieniegdzie drobne listki. Ida nie bez obrzydzenia płukała je w balii z wodą. Beata składała je po cztery i odnosiła z powrotem do stodoły.

— Ciekawa jestem — powiedziała Ida, kiedy Beata wróciła po kolejną partię czystych łubianek — co też porabia w tej chwili Flora. Nie, nie odpowiadaj, przecież wiem. To było pytanie retoryczne. Pomóż mi wylać wodę z balii.

Wspólnie dźwignęły ciężką balię i wylały brudną wodę pod bujne drzewko brzoskwiniowe. Ida wytarła ręce o spodnie i sięgnęła po dojrzały owoc.

— Flora jest taka inna — powiedziała jakby do siebie, zdrapując paznokciami puchatą skórę brzoskwini. — Taka... A poznałaś jej Cypriana? Fajny gość, chociaż podobno ciotka go nie lubi.

— Kiedyś Regusia mnie o niego wypytywała — odrzekła Beata — ale ja go nie znam. Dawno nie widziałam się z Florą. Myślałam, że to jakiś kolejny dziwny typ, w stylu jej poprzednich facetów.

— Nie, nie — pokręciła głową Ida. Jej „nie, nie” było niewyraźne, bo miała usta pełne słodkiego soczystego miąższu. — On jest zupełnie inny. Wiesz, w sumie to trudno pojąć, dlaczego on na nią zwrócił uwagę.

— Dlaczego? — Beata przyjrzała się Idzie ze zdumieniem. Nikomu, kto zwrócił uwagę na Florę, nie można się było, jej zdaniem, dziwić.

— No... — Ida wypluła pestkę — ona jakoś do niego nie pasuje, sama nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Do niego pasowałaby jakaś normalna dziewczyna, a nie taka... taka Flora. Mi się wydaje — Ida z naciskiem wypowiedziała słowo „mi” — że on musi mieć z nią spory kłopot.

— A ty oczywiście jesteś znawczynią spraw damsko-męskich — odrzekła Beata i natychmiast tego pożałowała, bo Ida spojrzała na nią zimno. Przypomniała sobie poranną rozmowę.

— Mówię, co widzę — powiedziała Ida obrażonym tonem, znowu bardzo dziecinnym. Beata uśmiechnęła się w duchu, choć na zewnątrz zachowała przeproszącą minę. — Zabierz resztę łubianek, ja idę do domu.

I poszła.



Beata z Reginą wyszły na drogę sprawdzić, czy nie nadjeżdża samochód. Słońce powoli

zachodziło daleko, na horyzoncie — oddzielone od nich płaską równiną falującą ciemnozłotym zbożem, poprzecinaną gdzieniegdzie pasemkami niewielkich łasków. Poszły sobie wolno w stronę rozstajów, słuchając świerszczy i rozmawiając nieśpiesznie.

— Miło, że Flora też przyjechała — powiedziała Beata. — I że przyjechała z Fifim.

— W to, że Fifi przyjedzie, nie wątpiłam ani przez chwilę — odrzekła Regina.

— Często ci go podrzuca?

— Nieczęsto. — Regina wpatrywała się w tę stronę, gdzie za łąkami zbóż kryła się asfaltowa szosa. — Jak dla mnie, to może go przywozić, kiedy zechce, choć ma on swoją własną babcię, a ja już odwykłam od małych dzieci. A propos, wiesz, że Hanka niedawno urodziła córkę?

— Wiem. Mówiłaś kiedyś przez telefon.

— Myślałam, że usłyszałaś od Franka, on na okrągło pieje o tej małej. Sądzę, Beatko, że powinnaś je odwiedzić.

Beata trąciła butem duży krzemień, który leżał na drodze. Kamień potoczył się kilka centymetrów. Trąciła go znowu.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł. Dawno już nie miałam z nią kontaktu.

— Ale kiedyś byliście dobrymi koleżankami, prawda? I zaprosiła cię na wesele. Myślę, że byłoby jej miło.

— A ja myślę, że ty myślisz, że tak po prostu wypada.

— Też — przyznała Regina z prostotą. — Wypadłoby to bardzo przyzwoicie, gdybyś do nich zajrzała. Żałoskowie to nasi najbliżsi sąsiedzi, Stach i Franek bardzo nam pomagają.

Beata westchnęła.

— Wiem, babciu. Ale to nie z mojej winy tak się między nami popsuło. Co miałam zrobić? Gdyby nie Robert...

— Ale co ma do tego Robert? — zapytała Regina. — Nie bardzo rozumiem.

— No... — Beata spojrzała na nią zaskoczona — sama wiesz. Przecież oni...

— Bzdura — przerwała jej Regina. — Franek jest dla niej dużo bardziej odpowiedni, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Beata przystanąła.

— Co masz na myśli?

Regina szła jednak dalej, więc Beata musiała ruszyć za nią.

— Beatko, wasze drogi z Hanią tak czy siak by się wkrótce rozeszły. Ty poszłaś na studia, a ona pracowała jako kelnerka. To chyba oczywiste. Ale sąsiedzkie stosunki należy utrzymywać i pielęgnować. Dlatego myślę, że pora przestać się bawić w sentymenty i normalnie pójść odwiedzić starą koleżankę, która właśnie urodziła dziecko. Uważam zresztą, że Hanka jest bardzo

szczęśliwą żoną i matką. Zobacz, zobacz! Jedzie! — Regina złapała nagle Beatę za rękaw, zupełnie jak mała dziewczynka,

Drugą ręką machała w stronę szosy, którą rzeczywiście nadjeżdżała ciężarówka.



Tym razem ciężarówkę poprzedzało eleganckie granatowe audi, którym przyjeżdżał Hipolit Zarzycki, właściciel niedużej przetwórni, która skupowała owoce z tej części regionu. Nazywany „szefem”, „biznesmenem”, przez niektórych nawet „złodziejem”(złośliwi dopatrywali się konotacji jego nazwiska z czasownikiem „zarzynać”), zawsze osobiście pojawiał się, żeby obejrzyć owoce oraz ustalić cenę i warunki odbioru. Zarzycki, wytworny, zażywny jegomość o czerwonej twarzy i szerokim uśmiechu, bardzo lubił Mateusza i jego magiczny kredens, toteż kiedy miał w planach odwiedzić tutejszy sad, starał się wziąć sobie któregoś z pracowników za kierowcę swojego lśniącego auta. Dziś jednak, ponieważ był to początek sezonu i miał przed sobą jeszcze kilka wizyt w okolicznych sadach, musiał, jak to określił, „zachować fason” i z żalem pokręcił głową w odpowiedzi na gest Mateusza, który już kierował się w stronę swojego barku.

— No to chociaż kawki, panie Hipolicie, chociaż kawki — proponował gościnnie Mateusz. — I pan, panie kierowco, pan też się na pewno napije, prawda?

Kierowca ciężarówki skwapliwie pokiwał głową. Zarzycki radośnie zatarł ręce i przysiadł na plastikowym krzeselku, które niebezpiecznie pod nim chrupnęło.

— Beatko, przynieś kawę dla panów — poprosił Mateusz. — I powiedz Idzie, żeby przyszła zaraz, potrzebna będzie pomoc przy ładowaniu.



Regina z Florą przygotowywały kolację. W kuchni było już mroczno, z sąsiedniego pokoju przez otwarte drzwi padał na podłogę i szafki pomarańczowy poblask stojącego nisko nad równiną słońca.

— A jak ten twój fotograf? — zapytała Regina, smarując masłem kromki chleba. — Może przywiozłabyś go pokazać?

Flora kroїła ogórki i pomidory przyniesione z ogrodu, wsypywała je do szklanej salaterki.

— Mówisz o nim, jakby był małpą w cyrku — mruknęła Flora i spróbowała śmietany. — Jakaś taka kwaśna... Dodawać?

— Dodawać. No jak uważasz, oczywiście. Chociaż po opowieściach Eli myślę, że mogłabym

tego Kacpra polubić.

— On ma na imię Cyprian, Regusiu. I nie wiem, co ci matka powiedziała, ale pamiętaj, że nie ma drugiego takiego ideału męża oraz człowieka sukcesu jak mój ojciec. Oraz drugiej kobiety, która mogłaby na niego zasłużyć. Solić, pieprzyć? Jakie tam jeszcze czary nad tą sałatką odprawiasz?

Regina się uśmiechnęła. Słoneczny poblask obrysował jej głowę postrzępionymi nitkami złota. Za oknem przemknęło granatowe audi, a za nim, dysząc ciężko, przetoczyła się załadowana owocami ciężarówka.

— Solić i pieprzyć.



Mati był nowy w tych stronach.

Pierwszy raz Róża ujrzała go nad strumieniem; ona przyszła się wykąpać, a on na drugim brzegu prał lnianą koszulę. Woda pryskała mu na umięśniony tors i ziemistą, przystojną twarz, on sam parskał radośnie, potrząsając ciemnymi, mokrymi włosami. Róża, ukryta za krzakiem tarniny, przyglądała mu się z zachwytem, a potem, kiedy narzucił na siebie mokre, wyprane ubranie, patrzyła z żalem, jak odchodzi wąską ścieżką.

Mati, jak mu się wydawało, pierwszy raz zobaczył Różę w miejscowym sklepiku, gdzie zamawiał gwoździe. Potem spotykał ją w różnych niespodziewanych miejscach, co go nawet specjalnie nie zastanawiało. Szybko zawarli znajomość: on był otwarty na wszystkich ludzi mieszkających w tej wiosce, która miała stać się jego domem, a ona miała tę dziwną właściwość, że w jej towarzystwie mężczyźni zawsze dobrze się czuli. Nagle zaczęli bardziej siebie cenić, w jej niebieskim spojrzeniu czytali, że są silni, męscy i zdolni do pokonania każdej przeszkody. Róża nie stawiała im wielu przeszkód. W bardzo wczesnym wieku posiadała wielką życiową mądrość, by nie żądać za wiele i nie domagać się czułych zapewnień w najbardziej szczęśliwych chwilach. Kiedy żartowali – żartowała z nimi, kiedy mówili – słuchała, kiedy odchodzili – żegnała ich lekko i z uśmiechem. Nic dziwnego, że mężczyźni na ogół ubóstwiali Różę.

Co do kobiet, to uważały ją za dziwkę. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście nią była. Róża szukała, nie ustawała w poszukiwaniach. „Szczęście – myślała – jest jak cukierek w papierku. Trzeba wiele cukierków odwinąć i wielu spróbować, by wiedzieć na pewno, że to ten właściwy”. Kiedy zobaczyła przybysza nad strumieniem, zrozumiała, że teraz pora na niego. Co by zrobiła, gdyby okazało się, że to właśnie ten ulubiony? Róża wiedziała tylko,

że wtedy zrobi wszystko. Wiedziała też, że Bóg i natura będą po jej stronie.

ROZDZIAŁ 3

Beata zmywała naczynia po śniadaniu. Gorąca woda parzyła jej palce, ale kiedy próbowała puścić chłodniejszą, na dłoniach czuła tłusty osad z umytej przed chwilą patelni. Za plecami słyszała szelest kartek — to Flora siedziała przy stole i czytała jakiś stary magazyn.

— Tutaj piszą, że dla zachowania świeżości cery powinno się codziennie jeść rzeżuchę — odezwała się znad gazety. — Dziwne, nie? Może by posiać?

— Rzeżucha jest zdrowa. Można posiać.

— Ciekawe, czy Regusia ma nasiona, ona zawsze trzyma takie różne dziwne rzeczy w szafkach.

— Poszukaj.

Beata ustawiła naczynia na suszarce i sięgnęła po ścierkę. Flora nie ruszyła się z za stołu, przewracała kartki magazynu, szybko, niedbale, od czasu do czasu tylko zatrzymując na czymś wzrok. Minę też miała niedbałą, znudzoną, cała jej postać usadowiona za kuchennym dużym stołem zdawała się muśnięciem od niechcienia, muśnięciem wielkiego artysty, oczywiście, myślała Beata, stojąc ciągle przy zlewie i powoli wycierając ręce. W pewnym momencie drgnęła jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku, bo skrzypnęły drzwi wejściowe i Flora niespodziewanie podniosła głowę. Na progu kuchni stanęła Regina z pękiem młodych marchewek w ręku.

— Upał już zaczyna dawać się we znaki — powiedziała, a Beata zauważyła, że oddycha nieco ciężiej niż zazwyczaj. — Co za lipiec nam się zapowiada. Opłucz marchewki, Beatko, skoro już stoisz przy zlewie.

— A ja właśnie wybieram się do starego sadu. — Flora zamaszyście zamknęła magazyn. — Chociaż wczoraj miałam wrażenie, że farby mi się rozpuszczą od tej temperatury.

— Wiesz — powiedziała Regina, a Beata, stojąc plecami do nich, usłyszała odgłos odsuwanego krzesła — wiesz, tak sobie pomyślałam, że twój Cyprian mógłby przyjechać na mój jubileusz.

Beata zakręciła kran, znowu sięgnęła po ścierkę i zaczęła osuszać marchewki.

— Nie mógłby — odrzekła Flora. — Ma dużo pracy. Ja też mam dużo pracy. Pójdę już.

Zgarnęła ze stołu filizankę z niedopitą kawą i pudełko papierosów, minęła Beatę i wyszła bez słowa. Regina, siedząc bokiem przy stole, odprowadziła ją wzrokiem, a potem spojrzała na Beatę.

Beata poczuła się nieswojo, jak nieraz bywało, kiedy zostawała z Regimą sam na sam. Kiedy

niczyja obecność nie stanowiła dla niej zasłony, żaden cudzy gest i głos nie odwracał od niej uwagi Reginy, Beata czuła, że staje się przezroczysta, a babka przygląda się jej zakamarkom swoimi szyderczymi stalowymi oczami. Na moment zapadła cisza, dla Beaty pełna napięcia, ale to była chwila. Regina odwróciła wzrok, podniosła się z krzesła, szcęknięły drzwiczki zamrażarki, i ten odgłos przywrócił wszystkiemu naturalne rozmiary.

— No cóż — powiedziała Regina, wyjmując mięso — pyszny dziś rosółek będzie. Z marchewką i pietruszką. — Zamknęła zamrażarkę, zajrzała do szafki i cmoknęła z niezadowoleniem. — Ojej. Nie ma makaronu. Skoczysz na krzyżówkę?



Upał wprawiał Idę w rozdrażnienie. Beata miała przyjść zaraz po niej do sadu, ale minuty płynęły, słońce podnosiło się coraz wyżej, a jej nadal nie było widać na horyzoncie. Ida lubiła, kiedy zrywały razem. W ciągu roku widywały się rzadko, mieszkały w różnych miastach i każda miała swoje życie, ale to traciło znaczenie podczas wakacji u dziadków, kiedy spotykały się nieraz po całych miesiącach obustronnej ciszy. Nagle znowu stawały się sobie bliskie i potrafiły przegadać cały dzień, stojąc po dwóch stronach wiśniowego drzewa. Czas płynął szybciej i zmęczenie było jakby mniejsze.

Wysypała wiśnie do skrzynki i usiadła na ziemi, w lichym cieniu drzewka. Oparła głowę o kolana. Jedyłą rzeczą, o której w tej chwili marzyła, było zimne piwo w przyjemnym chłodzie knajpianego ogródka. Ale knajpy w pobliżu nie było. Piwa też nie.

— Przyniosłem wam puste skrzynki — odezwał się nad jej głową znajomy głos.

Nie usłyszała, kiedy nadszedł, podobnie jak wczoraj. Postawił obok niej cały słupek skrzynek. Potem kucnął obok.

— Rwiesz sama? Jak ci idzie?

— Dobrze.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Nudne zajęcie.

— Więc po co przychodzisz?

Wzruszył ramionami i podniósł się. Zerwał kilka wiśni, podrzucał je w dłoni.

Było coś nieprzyjemnego w tym, że tak stał nad nią, więc Ida szybko też się podniosła.

Ale Kuba był sporo wyższy i nadal patrzył na nią z góry.

— Potrzebne mi są pieniądze. Poza tym mam pewien układ z rodzicami. Obiecałem, że będę tu siedział i zarabiał na siebie, w zamian za... coś. — Umilkł na chwilę, jak gdyby czekał, aż Ida

go o to coś zapyta, ale ona milczała. — A ty, tobie się to podoba? Czy pomagasz z obowiązku?

— Co za różnica. — Wzruszyła ramionami. — Jestem tu, więc pomagam. Nie jestem Florą. Kuba się uśmiechnął.

— No cóż, nie przeszkadzam ci. Ja rwę na końcu trzeciego rządka, gdybyś chciała mnie odwiedzić. Pogadać czy coś. Jak ci się znudzi.

Odliczył z przyniesionego słupka pięć skrzynek, podniósł je lekko i nie odwracając się, poszedł na koniec sadu.



Skrzyżowanie dróg, z których jedna prowadziła przez wieś do kolonii, przeistaczając się z wylanej kiepskim asfaltem, ale jednak szosy, w polną dróżkę, było sercem wioski, jej śródmieściem i centrum. Tutaj w miesiącach letnich zbierała się okoliczna młodzież, by pić wino kupione u Jana, palić papierosy sprowadzone z Białorusi oraz prowadzić życie towarzyskie. Nieopodal, w kępie drzew rosnących przy rowie skojarzyło się kilka par. Tutaj znajdował się również miejscowy sklep.

Beata zsiadła z rozklekotanego roweru dziadka, oparła go o drzewo, wyminęła grupkę miejscowych chłystków, ignorując niewybredne uwagi kierowane najprawdopodobniej pod jej adresem, ale wypowiedziane zbyt bełkotliwie, aby mogła zrozumieć ich sens, i weszła do sklepu. Było to małe pomieszczenie, a towar poupychano na półkach, co sprawiało wrażenie obfitości. Wszystkie rzeczy niezbędne do przetrwania w małej wiosce. I tylko takie, ponieważ na większe zakupy mieszkańcy wybierali się do pobliskiego miasteczka. Proszki do prania obok czekolad i chipsów, woda mineralna i piwo. Mała lodówka ze śmietaną, żółtym serem i jogurtami. Kilka bochenków chleba i stojak z gazetami.

Beata w ostatniej kolejności spojrzała na sprzedawcę. Pochylony, rozczochrany, w wyciągniętej granatowej koszulce i spranych dżinsach. Z ołówkiem za uchem.

Zbyszek.

Ta bardziej dziecinna część jej osoby w tym momencie odwracała się na pięcie i wychodziła ze sklepu. Dlatego Beata nie bardzo rozumiała, dlaczego wciąż tkwi w tym samym miejscu. Ta chwila wystarczyła, żeby Zbyszek podniósł głowę znad zeszytu, w którym najwyraźniej coś liczył, rozpoznał ją i ukazał w uśmiechu nierówne zęby.

— Cześć — powiedziała więc niepewnie.

— Cześć, Beatko — odrzekł najnaturalniej w świecie. — Kopę lat. Na wakacjach?

— Tak, tak. Mam trochę wolnego, zajrzałam do dziadków.

Beata podeszła do lady i podała mu rękę, którą on mocno uściśnił. Otworzyła usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, żeby tylko nie zapadła niezręczna cisza, ale Zbyszek przeniósł wzrok ponad nią, bo do sklepu weszła właśnie jedna z siostrzenic pani Gieni, kończąc po drodze jakąś wypowiedź skierowaną do tych samych młodzieńców, którzy zaczepiali Beatę. Minę dziewczyna miała oburzoną.

— Coś podać pani? — zwrócił się do niej.

— Czy ma pan jaja? — zapytała siostrzenica nieuważnie. Była jeszcze pod wrażeniem usłyszanych komentarzy.

— Mam — odparł Zbyszek z powagą. — Chce pani, abym stanął w jej obronie?

— Słucham? — Siostrzenica wytrzeszczyła oczy. Beata parsknęła śmiechem i odwróciła się do lodówki, udając, że sprawdza ceny zimnych napojów. — Nie potrzeba, chociaż mógłby pan ich stąd przegonić. Myślę, że odstraszą panu klientów. Poproszę dziesięć jaj i śmietanę. I napój pomarańczowy, o ten.

Beata odczekała, aż Ola lub też Jola wyjdzie ze sklepu i znowu podeszła do lady.

— Czy ta dziewczyna nie pracuje u was w sadzie? — zapytał Zbyszek, patrząc za swą klientką, która znowu wdała się w dyskusję z młodzieżą pod sklepem.

— Pracuje. — Beata pokiwała głową. — Ale może dziś coś jej wypadło, że jest tu, a nie u nas.

Zbyszek się roześmiał.

— Ano pani Gienia była tu ostatnio i narzekała, że siostrzenice ma leniwe. Ale też drugiej tak pracowitej osoby jak pani Gienia nie spotkasz. Podobno jedna z nich wychodzi wkrótce za mąż za jakiegoś Niemca. Widzisz, tylko proboszcz wie więcej ode mnie, co się w wiosce dzieje — uśmiechnął się znowu. — Coś ci podać?

— Makaron. Trzy opakowania. I może piwo. Zabiorę do sadu, Ida się ucieszy. Potwornie dziś gorąco.

— Ida też jest? Wszyscy przyjechaliście? — Zbyszek rozglądał się po półkach za makaronem. — Bo wczoraj była tu u mnie Flora.

— Nie ma Roberta — odrzekła Beata. — Ale chyba też się w końcu zjawi. Nie wiem.

Zbyszek podał jej reklamówkę i przyjął pieniądze.

— Dobrze byłoby go zobaczyć. Co u niego?

— Bez zmian — uśmiechnęła się. — Robert to Robert, sam wiesz.

Zbyszek odpowiedział jej szerokim uśmiechem. Pokiwał głową. Patrzyli na siebie poprzez ladę.

— No a... tutaj — odchrząknęła — co słyhać?

Zbyszek wzruszył ramionami.

— A nic, u nas wszystko po staremu. Co się może dziać w tej dziurze? Beznadzieja ogólna, brak perspektyw, nijakość. Ludziom nic się nie chce, wystarczy popatrzeć na tych koleśki pod sklepem. Nic lepszego nie mają do roboty.

— A ty? — wyrwało się jej zupełnie niespodziewanie. — To znaczy...

Patrzył na nią swoimi niebieskimi, szczerymi oczami.

— Co ty tu właściwie robisz? — wyjąkała w końcu. — Przepraszam — dodała szybko. — Po prostu zaskoczył mnie twój widok tutaj.

Zbyszek wzruszył ramionami.

— Ktoś musi pomóc matce. Ojciec umarł mi w zeszłym roku.

— Słyszałam. Przykro mi.

— Moi bracia są jeszcze mali. Pamiętasz ich w ogóle?

— No jasne — uśmiechnęła się Beata.

— Obaj są dopiero w podstawówce. Oni wszyscy potrzebują faceta w domu. A poza tym studiuje zaocznie ekonomię i mam nadzieję kiedyś w końcu się stąd wyrwać.

Beata spojrzała na niego zaskoczona.

— Ekonomię? A co z twoją polonistyką? Chciałeś uczyć w szkole...

Zbyszek się uśmiechnął.

— Ekonomia to lepszy plan niż kaganek oświaty na tym zadupiu. Słuchaj — ożywił się nagle — a może masz ochotę na piwo teraz? Możemy usiąść na dworze.

Beata się zawahała.

— No a ci... tam?

Zbyszek podniósł rękę w uspokajającym geście, wyszedł przed sklep i zamienił kilka słów z wyrostkami, a oni bez słowa się podnieśli i odeszli w sobie tylko znanym kierunku.

— No widzisz? — Zbyszek wszedł z powrotem. — I po kłopotcie. Wybierz sobie coś z lodówki, a ja wezmę ścierkę z zaplecza.

Beata wzięła piwo. Wyszli przed sklep. Zbyszek przetań szmatą dwa białe plastikowe krzeselka i stolik, które stały pod rozłożystym kasztanem, tuż przy szosie. Usiedli.

— Co im powiedziałaś?

— Spokojna głowa. Muszą ze mną dobrze żyć, jeśli nie chcą za każdym razem, kiedy mają ochotę się napić, jeździć do miasteczka. Jan też już nie ma takiego asortymentu jak kiedyś.

Zbyszek zapalił papierosa, Beata otworzyła piwo.

— Nadal lubicie tu przyjeżdżać, co? — zapytał po chwili.

Beata kiwnęła głową. Zimne piwo przyjemnie drapało gardło.

— To jest trochę tak, jakbyśmy wracali do dzieciństwa. Przynajmniej ja tak mam. Ida chyba też.

— Myślisz, że takie powroty są możliwe?

— Człowiek chyba chce w to wierzyć. Że ma takie miejsce, gdzie się wraca. Zawsze. I że w tym miejscu... To głupie.

Zaśmiała się nerwowo.

Zbyszek palił i nie patrzył na nią.

— Mów — powiedział tylko.

— Chodzi mi o to, że ja tutaj zawsze odnajduję dawną siebie. I mam wrażenie, że tylko ta Beata jest prawdziwa. To, kim jestem tam, w świecie...

— To nie jesteś ty?

— To nie jestem ja do końca. Nie wiem... — Beata upiła kilka łyków. — Dziwnie się o tym mówi. Może wcale tak nie jest, może po prostu tutaj mam czas i spokój, żeby się nad sobą zastanowić.

— Dziadkowie na pewno bardzo się cieszą, że tu wszyscy przyjeżdżacie.

Beata się uśmiechnęła.

— Chyba tak. Ale znasz moją babcię. Czasem mam wrażenie, że ona nas po prostu toleruje. Rozumie, że nam to jest potrzebne, to przyjeżdżanie tutaj, i jakoś to znosi. Wiesz — Beata oparła się wygodniej i spojrzała na niebo — nieraz mi się wydawało, że ona nawet niespecjalnie lubi nas wszystkich.

— Twoja babcia to niestandardowa kobieta — powiedział Zbyszek i w końcu spojrzał na nią. Ale jego spojrzenie było zwyczajne, tak jak się patrzy na przechodnia, który na moment zasłonił sobą widok. — Ja się jej zawsze trochę bałem. A Hanka to już panicznie, pamiętam, że zawsze bała się wejść do was do domu.

Roześmieli się oboje.

— Widujesz się z Hanką czasem? — zapytała Beata po chwili.

Zbyszek podrapał się w głowę.

— Trudno powiedzieć, Beata. Przychodzi do sklepu, rozmawiamy, wiem, co u niej słychać. Widziałem jej córeczkę. Ale ona bardzo się zmieniła.

Beata wodziła palcem po puszcze. Piwo szybko się nagrzewało, puszkę pokryła rosa.

— Co masz na myśli?

— Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Ona się stała żoną i matką, gospodynią w pełnym tego słowa znaczeniu. Pani Żałowska numer dwa.

Beata popatrzyła poważnie na Zbyszka.

— Może myśmy też się zmienili od tego czasu.

Patrzyli na siebie. Długo. Pewnie patrzyliby za długo, ale w tym momencie od strony wsi nadeszła jakaś kobieta, spojrzała na nich, kiwnęła Zbyszkowi głową i weszła do sklepu. Zbyszek się podniósł.

— Poczekaj chwilę, zaraz wrócę.

— Nie, nie. — Beata też wstała. Nagle poczuła się bardzo niezręcznie. — Muszę już iść, babcia pewnie zachodzi w głowę, gdzie się podziałam.

Zbyszek pokiwał głową.

— W takim razie... tak, myślę, że my też się zmieniliśmy. Tylko trochę inaczej. Dobrego dnia.

— Do widzenia. — Beata zgmiotła puszkę i wrzuciła ją do kosza na śmieci. — Zajrzyj do nas któregoś dnia.

Zbyszek nie odpowiedział, pomachał jej tylko i zniknął w mrocznym wnętrzu sklepiku.



Rower toczył się gładko po szosie. Na twarzy czuła coś, co udawało powiew wiatru, ale nie było w stanie nawet schłodzić jej policzków. Wieś wyglądała jak wymarła, nawet psy skryły się w budach przed rozpalonym słońcem.

Patrzyła, jak rozgrzany asfalt ucieka spod kół. Była pewna, że on wspominał tamto lato, wspominał je bardzo często, do tej pory. Jak było naprawdę? Bo wtedy przecież właściwie nic się między nimi nie wydarzyło. Nawet jej nie pocałował. Wszystko, co działo się między nimi, było nieuchwytnie, niewyraźne. Tak łatwo było się pomylić. Może rzeczywiście się pomyliła. Przypomniała sobie, że faktycznie nigdy się do niej potem sam z siebie nie odezwał. Nie napisał. Nie zadzwonił. Nawet to spotkanie na ślubie Hanki i Franka było przypadkowe.

Możliwe, że chciała samą siebie oszukać, pocieszyć w ten czas wielkiej ciszy. Gdzieś tam, w odległej wschodniej wiosce czekał ktoś, kto w bezsenne noce układał historię z nią w roli głównej. Przecież tyle razy to widziała. Tyle razy stosowała tę myśl jak tusz do rzęs, który nadawał głębi jej spojrzeniu. Zachciało jej się śmiać, zaśmiać szyderczo nad sobą. Za zakrętem, przy którym stała kapliczka, teren lekko opadał. Pozwoliła, żeby koła niosły ją same. Wyminęła wysokiego mężczyznę z plecakiem, który szedł skrajem szosy. Pomyślała o Florze, o tym, ilu mężczyzn właśnie ją widziało w swe bezsenne noce. Gdzie tkwiła tajemnica?

Nie zauważyła, kiedy szosa się skończyła, kiedy pod koła wdarła się polna droga, i zahaczyła o nie wystającym kamieniem. Beata straciła równowagę i przewróciła się wprost na suchą, twardą

ziemię. Rower brzęknął głucho, puszki potoczyły się po ubitym piasku; jedna z nich zatrzymała się pod nogami wysokiego mężczyzny z plecakiem, który również skręcił w polną drogę. Beata z lat dziecięcych pamiętała, jak spaść z roweru, żeby nie zrobić sobie krzywdy, ale upadając, natrafiła kolaniem na kolejny kamień. Syknęła z bólu.

— Wszystko w porządku? — zapytał nieznajomy, ignorując puszkę i szybko podchodząc do niej. — Nic się pani nie stało?

— Nic, dziękuję — odrzekła Beata, krzywiąc się i rozcierając kolano. Skóra była zdarta, obtarcie zaczynało krwawić.

— Niezbyt dobrze to wygląda. — Mężczyzna kucnął przy niej i obejrzał ranę. — Proszę chwilę poczekać. — Zdjął plecak i zaczął w nim szperać. — Powinienem gdzieś tu mieć chustkę.

Wyjął niewielką chustkę i nim Beata zdążyła zaprotestować, obwiązał nią jej kolano.

— To powinno chwilowo pomóc, ale jak najszybciej trzeba zdezynfekować, inaczej będzie się długo goić. Daleko pani mieszka? Odprowadzę panią, pewnie na początku będzie pani trudno iść, w dodatku z zakupami...

— Naprawdę...

— To żaden problem — przerwał jej szybko. — Głupio byłoby panią tak zostawić, tym bardziej że chyba idziemy w tym samym kierunku. Poza tym może mi się pani odwdzięczyć. Widzi pani, przyjechałem tu do kogoś w odwiedziny, ale nie znam ani numeru domu, ani nazwiska jego właścicieli.

Beata spojrzała na niego zdumiona.

— Pan sobie kpi?

— Nie kpię, lecz o drogę pytam. — Nieznajomy uśmiechnął się znowu. — Wiem, że to brzmi dziwnie, zaraz pani wszystko wyjaśnię, tylko proszę mi najpierw podać rękę, pomogę pani wstać.

— Jeszcze nie wiem, czy chcę iść z panem — odparła Beata ostrożnie, ale podała mu rękę.

Miał bardzo miły dotyk i mocny, a zarazem delikatny uścisk. Dźwignął ją z ziemi, szybko pozbierał puszki z piwem i na końcu podniósł rower.

— To jak? — zapytał. — Idziemy?

Patrzył jasnymi oczami, uśmiechał się lekko.

— Dobrze — zgodziła się Beata w końcu. Zaczęli wolno iść. Mężczyzna sprawnie prowadził rower jedną ręką, drugą zaoferował Beacie jako punkt oparcia. — Więc kogo pan szuka? — zapytała po chwili.

Nieznajomy miał na sobie zieloną koszulę i ciężkie buty, przez jego prawe ramię przewieszony był duży aparat fotograficzny. Wokół niego unosił się delikatny zapach dobrej

wody kolońskiej.

— Widzi pani, bawi tu z wizytą u dziadków moja dobra znajoma — powiedział. — Nie wie, że przyjechałem, i zapewne nie ucieszy się na mój widok. Ja jednak muszę się z nią zobaczyć. Mamy pewne sprawy do wyjaśnienia. Pomoże mi pani?

Beata uśmiechnęła się lekko do siebie. No tak.

— Pomogę — odrzekła. — To nie będzie trudne. Widzi pan — westchnęła — pana znajoma jest zapewne moją kuzynką i bawi u tych samych dziadków, u których bawię ja.



Flora przyszła ze starego sadu zrobić sobie kolejną kawę. W kuchni leciutko drgało powietrze dzięki obu oknom otwartym na oścież. Przy uprzątniętym stole siedziała Regina i kroїła marchew w równą, drobną kostkę.

— Mam nadzieję, że Beata szybko wróci z tym makaronem, pora wstawiać rosół — powiedziała. — Coś długo jej nie ma.

Flora napełniła czajnik i zapaliła gaz. Oparła się o szafki.

— Może zagadała się ze Zbyszkiem — odrzekła. — Jak wracałam z miasteczka, wstąpiłam na krzyżówkę, bo zapomniałam kupić papierosy. Widziałam, że teraz on stoi za ladą. Przecież byli kiedyś parą chyba, nie?

— Jaką parą? Co ty mówisz, Flora? — Regina podniosła na nią stalowe oczy. — Zbyszek jest miły, ale bez przesady. No a poza tym byli jeszcze dziećmi.

— Skoro tak mówisz — rzekła Flora ironicznie — to na pewno tak właśnie było. Gdzie jest Filip?

Woda zaczęła szumieć.

— Czy nie uważasz — powiedziała Regina, znowu skupiając wzrok na marchwi — że jesteś osobą, która przede wszystkim powinna znać odpowiedź na to pytanie?

— No więc właśnie chcę ją poznać. Z dziadkiem?

— Z dziadkiem.

— Regusiu, nie przesadzaj. Przecież już nie jest małym dzieckiem, nie muszę go pilnować na każdym kroku. Poza tym są wakacje, niech ma więcej swobody.

— Wszystko to pięknie — Regina wrzuciła marchew do garnka — jeśli to rzeczywiście o jego swobodę tu chodzi.

Flora już nabierała powietrza, żeby coś powiedzieć, kiedy nagle za oknem mignęły dwie głowy. Po chwili do kuchni weszła Beata, a za nią przystojny, krótko ostrzyżony mężczyzna.

Regina uniosła brwi, a Flora ze świstem wypuściła powietrze.

— Cypis? — Pokręciła głową z niedowierzaniem. — Ale... co ty tutaj robisz?



— No więc wsiadłem w autobus i przyjechałem. Ty nie powiedziałaś, jak długo chcesz tu zostać, a ja myślę, że najwyższa pora, żeby porozmawiać.

Szli polną drogą, szybko oddalali się od domu. Flora patrzyła przed siebie. Milczała.

— Chyba nic takiego się nie stało, że wpadłem tu na kilka dni? Floro?

Usiłował zajrzeć jej w oczy, ale ona nadal na niego nie patrzyła.

— To nie jest mój dom, Cypis. To jest dom moich dziadków. Jest sezon, są wiśnie. Jest dużo pracy. Szkoda, że o tym nie pomyślałeś. Szkoda, że nie pomyślałeś też — ciągnęła, nie zwracając uwagi na to, że Cyprian chciał coś powiedzieć — że może ja tu przyjechałam specjalnie, żeby sobie sama wszystko przemyśleć. Sama.

— A ty... Szkoda, że ty nie pomyślałaś, że może warto ustalić coś ze mną, zanim wyjedziesz. Co?

Cyprian przystanął. Chcąc nie chcąc, Flora zatrzymała się również. Wreszcie spojrzeli na siebie.

— Nie mów mi, że chodzi o dziadków. Mogę im pomóc w sadzie, sam się tu o siebie zatroszczę. Nie będę problemem. Ale...

— Cyprian! — rozległ się gdzieś za nimi radosny pisk.

Odwrócili się; drogą biegł roześmiany Filip. Zdyszany, z rozpędu wpadł w ramiona mężczyzny, który uniósł go wysoko i też się roześmiał.

— No cześć, stary. A ja już myślałem, że zupełnie o mnie zapomniałeś! Obiecałeś mi pocztówkę z wakacji, pamiętasz?

— Pamiętam, ale wiesz — Filip potarł dłonią policzek, zabawnie zakłopotany — tu nie ma pocztówek. Szukałem, naprawdę. Ale fajnie, że jesteś! — rozpromienił się na nowo. — Pójdiesz ze mną nad rzekę? Pokażę ci te, no... zapomniałem. A babcia kazała powiedzieć, żeby wracać do domu na rosół.

— Jest tu twoja babcia? — Cyprian chrząknął.

— On tak mówi na moją babcię — wyjaśniła Flora niecierpliwie. Cała ta scena w jakiś niewytłumaczalny sposób ją zirytowała. — Filip, złaż z Cypisa, ale już! I do domu!

— Daj spokój, Floro. — Cyprian zgrabnie przerzucił chłopca do tyłu i usadowił go sobie na ramionach — Pójdziemy wszyscy razem. My chyba i tak na razie wyczerpaliśmy temat, prawda?

Znowu spojrzeli na siebie jakoś obco, niemal wrogo. Flora okręciła się na pięcie i szybko pomaszerowała drogą w stronę domu. Cyprian z Filipem zostali w tyle.

— Nie przejmuj się — powiedział Cyprian do chłopca. — Może po prostu obraz jej nie wyszedł.

— W takim razie — odpowiedział reżolutnie Filip — obrazy mamie często nie wychodzą.

— W takim razie — powtórzył za nim Cyprian — może ona po prostu nie jest dobrą malarką.



Siedzieli na ganku wokół drewnianego stołu. Beata nalewała kompot. Filip pobiegł do sadu po Idę, ze stodoły nadchodził Mateusz. Flora gdzieś znikła.

— Bardzo dziękuję za gościnę — mówił Cyprian. — Wiem, że to nieładnie tak bez uprzedzenia, ale nie zostanę długo i postaram się na coś przydać. Mam nadzieję, że nie sprawię kłopotu...

— Proszę nie pleść bzdur — przerwała mu Regina, ustawiając na stole wazę z rosołem. — Skoro pan przyjechał, to znaczy, że zaistniała taka potrzeba, a zostanie pan tak długo, jak pan to uzna za stosowne. Najlepiej do moich urodzin. Wie pan, będę obchodzić siedemdziesiąte urodziny w przyszłą niedzielę. Jest pan zaproszony, oczywiście. A Mateuszowi bardzo się pan przyda, prawda, mój drogi?

Na ganek właśnie wszedł Mateusz. Cyprian wstał i uściśnął mocną, żylastą dłoń. Przywitały go jasne, dobre oczy.

— Naturalnie — powiedział odruchowo Mateusz. — Dzień dobry.

— To jest pan Cyprian, znajomy naszej Flory — przedstawiła Cypriana Regina.

— Aha. — Mateusz pokiwał głową. Imię nic mu nie mówiło, ale był pewien, że jego żona wie wszystko, co trzeba.

— Jeśli rzeczywiście się przydam, to bardzo chętnie pomogę — zapewnił Cyprian.

— Na pewno się pan przyda — powtórzyła w imieniu męża Regina. — Beatko, powleciesz panu pościel w tym pokoiku z telewizorem, dobrze?

Beacie wydało się, że Regina chce zawczasu rozwiązać kłopotliwy problem noclegu.

Ale Cyprian umiał wybrnąć z sytuacji po swojemu.

— Jeśli można... — odezwał się. — Nie wiem, ale... Flora kiedyś wspominała, że w liceum spała tu z koleżankami w namiocie. Jest jeszcze u państwa? Widziałem tu taki ładny sad za domem, gdyby można było... Sprawiałbym mniej kłopotu i czułbym się zręczniejszy.

— Skoro pan tak woli. — Regina uśmiechnęła się ironicznie, ale też, jak się zdało Beacie,

z uznaniem. — Rzeczywiście będzie pan miał więcej swobody. Poszukam.

— I wilk syty, i owca cała — mruknął pod nosem Mateusz, ale usłyszała go tylko Ida, która właśnie razem z Filipem wchodziła na ganek. A ona nie rozumiała, o co chodzi.



Jak co wieczór, po odprawieniu pracowników Mateusz poszedł jeszcze raz do sadu. Była to jego ulubiona pora, kiedy słońce stało nisko nad horyzontem, a sad wreszcie oddychał z ulgą, pławiąc się w ciszy, jaka nastawała po całodziennym harmidrze. Mateusz szedł wolno wzdłuż rządka, w którym w ciągu dnia pracowali ludzie. Oglądał drzewka, sprawdzał, czy są czysto oberwane, dotykał delikatnych gałązek, upewniając się, że nikt nie obszedł się z nimi zbyt brutalnie. W wysokiej trawie odnalazł porzuconą pustą skrzynkę. Schylił się, jak zwykle zbyt gwałtownie, coś niemile chrupnęło mu w plecach, ale tym razem nie zabolęło. Kiedy się prostował, już powoli, z oddali dobiegł go warkot walczącej z piaszczystą polną drogą ciężarówka. Mateusz zawrócił do stodoły.

Olbrzymi samochód wtoczył się ciężko na środek podwórza, potem nagle się zatrzymał i kabina wygięła się jak kręgosłup baleriny; kierowca musiał odwrócić ciężarówkę tak, żeby podjechać tyłem do wrót stodoły. Maszyna dyszała ciężko, wyła, nie było łatwo manewrować nią na wąskim podwórzu, ale w końcu samochód zatrzymał się przy stodole, silnik zgasł.

Z kabiny wyskoczył kierowca.

— Witam, panie Mateuszu — przywitał się, wchodząc do stodoły. — Jak tam dzisiejszy dzień? Dużo mamy do załadowania?

— Cztery i pół tony — oznajmił Mateusz. Podał kierowcy rękę.

— Sporo — przyznał kierowca, zakładając szmaciane rękawice i otwierając naczepę. — Najpierw trzeba puste wyładować.

Cała przyczepa była wypełniona pustymi skrzynkami, ustawionymi w słupki sięgające górnej plandeki.

— To może pan kierowca wskoczy na przyczepę i nam podaje po słupku — zaproponował Roch, który razem z Jankiem został jak co wieczór do pomocy. — Może Janek jako drugi, a ja i dziewczyny będziemy odbierać. To sprawnie pójdzie.

— Można — zgodził się krótko kierowca.

— No, no, dziewczęta mają dziś wolne — rozległ się tubalny głos Stacha Żałoski. Za nim do stodoły weszli Franek i Kuba. — Franek zobaczył samochód, przyszliśmy pomóc ładować.

— No to świetnie. — Beata podniosła się z murka, na którym siedziała. — To ja pójdę płukać

łubianki.

— To może kawy, co, panowie? — zaproponował Mateusz. — Idusiu, leć do domu i przynieś nam kawy.

— Jasne — odrzekła Ida. Wychodząc ze stodoły, musiała przejść obok Kuby, ale minęła go, nie podniósłszy wzroku. On też jej nie zaczepił.

Flora uniosła brwi, usłyszawszy, że trzeba zaparzyć siedem kaw. Siedziała za stołem nakrytym już do kolacji, czytała książkę.

— Czy to nie przesada? — pytała Reginy, która nastawiała czajnik i wsypywała kawę do szklanek. — Ja rozumiem Żałosków, ale te chłoptasie z sadu? Chyba dziadek im płaci za pomoc, co? A kierowca jest w pracy.

— Cicho bądź, Flora — odparła Regina, zajęta liczeniem łyżeczek kawy.

Ida usiadła na progu, czekając aż Regina przygotuje tacę. Regina ustawiła na niej szklanki, cukierniczkę i duży talerz z ciastkami.

— Trzymaj, Ida, tylko nie przewróć się po drodze — rzekła, podając tacę wnuczce.

Ida nic nie powiedziała. Ostrożnie wyszła z kuchni, pokonała schodki z werandy i wolno poszła przez podwórze do stodoły. Powierzchnia kawy w szklankach falowała niebezpiecznie. Od strony starego sadu wyszedł Cyprian z Filipem.

— Fifi mówi, że to samochód po wiśnie — zagadnął Idę Cyprian, wskazując na ciężarówkę. Filip pokiwał głową. — Może trzeba pomóc przy ładowaniu?

— Możesz iść ze mną i zapytać, pewnie się przydasz — odrzekła Ida, nie spuszczając wzroku z tacy.

Szła bardzo wolno; zniecierpliwiony Filip pobiegł przodem, ale Cyprian dostosował się do jej tempa. Nic nie mówił, ona też milczała, skupiona na siedmiu szklankach. Ale to nie była niezręczna cisza, Ida zauważyła ją, dopiero kiedy dotarli do stodoły. Skądś płynęło przekonanie, że Cyprian bardzo łatwo wtopi się w tutejszy krajobraz, że jego fragment doskonale dopasuje się do reszty mozaiki. I tylko nie umiała go jakoś powiązać z Florą. Ida była bardzo ciekawa, co też wyniknie z tego niespodziewanego przyjazdu. Jak na razie dostrzegła tylko naburmuszoną minę Flory i przez to poczuła jeszcze większą sympatię do Cypriana.

W stodole już ładowano wiśnie. Roch i Kuba, jako najsilniejsi, byli na przyczepie, Franek z Jankiem podawali im skrzynki. Puste pojemniki, już wyładowane, stały w wysokich słupkach w głębi stodoły. Mateusz z kierowcą, który, jak głosiła kolorowa tabliczka oparta o przednią szybę kabiny samochodu, miał na imię Zdzisiek, wypełniali druczki odbioru towaru. Stach stał obok, obserwując z uśmiechem młodych mężczyzn, którzy uwijali się szybko z ładowaniem. Beata ustawiała w kącie wypłukane łubianki na jutro. Ida postawiła tacę na odwróconej skrzynce.

— Dzień dobry — przywitał się Cyprian.

Mateusz uśmiechnął się i przywołał go gestem ręki.

— Pan tu jest dzisiaj niepotrzebny — powiedział cicho. — Chłopcy świetnie sobie radzą. Pomoże pan jutro.

W trakcie ładowania zrobiło się ciemno i Mateusz zapalił światło. Wokół brudnej żarówki załopotały ćmy. Ida przysiadła na murku obok Beaty i obserwowała ogromne cienie, jakie rzucały na ściany stodoły ich maleńkie skrzydełka. Ćmy leciały na oślep w mętne światło, parzyły się, odbijały na moment od szklanej powierzchni, ale natychmiast znowu wracały. Ida zapatrzyła się na ten dziwny taniec i ocknęła, dopiero kiedy ładowanie dobiegło końca. Kuba i Roch zeskoczyli na ziemię, podali sobie ręce, kierowca zamknął przyczepę, dopił swoją kawę, pożegnał się i odjechał, rozdzierając noc dwoma silnymi snopami światła. Beata wstała z murka i zaczęła pobieżnie zamiatać klepisko, więc Ida podniosła się również. Roch podszedł do tacy i kucnął; wyglądał, jak gdyby kucnął u jej stóp. Pił swoją kawę i zerkał na nią, więc powoli przeszła na drugą stronę stodoły, dalej od niego. Jego dziwny wzrok lepił się do niej, czuła się przez to jeszcze brudniejsza. Kątem oka zerknęła w stronę Kubę, ale nie, nie patrzył na nią, stał oparty o drzwi stodoły i rozmawiał z Frankiem; w pewnej chwili uśmiechnął się na coś, co tamten powiedział. To był normalny uśmiech, nie kpiący, nie ironiczny, nie zagadkowy. Piękny uśmiech.

— No, chłopaki, idziemy — rzekł na koniec Stach, podając rękę Mateuszowi, który wylewnie dziękował mu za pomoc. — Jutro też ich przyślę.

— No jasne — przytaknął Franek. — Będziemy co dzień przychodzić pomóc, od nas z podwórka widać, jak jedzie samochód, nawet nas wołać nie trzeba. Dla nas to pestka, a u pana same baby, dla nich ciężko. To znaczy... — Urwał, bo spojrzał w tym momencie na stojącego obok Beaty Cypriana.

— No, no. — Beata pogroziła Frankowi miotłą. — Nie raz i nie dwa się ładowało, i to we dwie z Idą tylko, i jakoś dawałyśmy radę.

— No jasne, Beatko, ja tylko tak, przecież wiadomo, że facetowi lżej — tłumaczył się niezręcznie Franek.

— A ta dziewczyna, którą wczoraj spotkaliśmy? — odezwał się nagle Kuba ni to do Franka, ni to do Beaty. — Franek mówił, że to też pańska wnuczka. — skierował się ostatecznie do Mateusza. — Ona nie pomaga?

— Ty jeszcze Florki nie znasz. — Stach Żałoska się roześmiał. Cyprian popatrzył na niego z ciekawioną. — To artystka, gdzie jej tam skrzynki z wiśniami nosić! Ale ładna jest, co, Kuba? No, ale w stodole czy w sadzie jej nie spotkasz. No, Mateusz, to do jutra! Ukłony dla Reni.



W starym sadzie zmierzch zapadał szybciej, bo ogromne korony drzew zasłaniały niebo. W powietrzu miejscami unosiły się roje drobnych muszek. Cyprian kończył rozstawianie namiotu. Od strony domu nadeszła Regina.

— Przyniosłam spray na komary. Przyda się panu. I radzę ułożyć roztarty piołun w rogach namiotu, odstrasza szczypawki. Rośnie tam dalej, przy ogrodzie, obok porzeczek. Pokazać panu?

— Dziękuję.

Regina zaprowadziła go na kraniec sadu, gdzie miała ogród warzywny. Pochyliła się nad wysokim, zielonoszarym zielskiem, które rosło obok znużonych upałem słoneczników, i zerwała kilka łądyg. Roztarła w dłoniach i podsunęła Cyprianowi pod nos. Ziele pachniało gorzko.

— Widzi pan? To dobry sposób. W ogóle chciałam panu powiedzieć, że dobrze pan zrobił, przyjeżdżając.

— Tak sobie pomyślałem właśnie. Pomyślałem, że to dobre rozwiązanie. Cieszę się, że pani rozumie.

— Nie twierdzę, że rozumiem. Raczej podziwiam. I szanuję. Proszę się tu czuć jak u siebie i zostać tak długo, aż uzna pan, że dłużej nie ma sensu.

Czy to możliwe, że ona wie o wszystkim? — pomyślał Cyprian. — Czyżby Flora jej się zwierzała?

Patrzyły na niego dziwne stalowe oczy.

— Po kolacji proszę sobie zabrać wodę mineralną do namiotu. Noce są parne, może się panu chcieć pić. A jak będzie panu za gorąco w namiocie, to może się pan przenieść na hamak. Wisi o, tam. Za dnia okupuje go Flora. Oczywiście, tylko kiedy nie jest zajęta malowaniem.

Czy mu się zdawało, czy puściła do niego oko? I poszła.



Kolację jedli w domu; o tej porze na zewnątrz bardzo dokuczały komary. Przez komary też Regina musiała zamknąć okna rozświetlonej kuchni. Zrobiło się duszno, Mateusz przyniósł mały elektryczny wiatrak, ale nie dawał on wielkiego wytchnienia. Powietrze ledwie drgnęło, za to uporczywy szum sprawił, że w kuchni zrobiło się jakby jeszcze mniej przestrzeni.

— Fifi, zjedz jeszcze jedną kanapkę — powiedziała Regina — bo będziesz najmniejszy w klasie.

— I tak jest najmniejszy — odrzekła w imieniu syna Flora. — Włączmy radio, denerwuje mnie ten wiatrak.

Beata odchyliła się w krześle i odszukała włącznik. Z małego odbiornika popłynęły dźwięki spokojnej muzyki.

— Dziękuję. — Podniosła się, zabrała swój talerz i wstawiła go do zlewu. — Wyjdę na chwilę na ganek, muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

— Pójdę z tobą — powiedziała Flora, także wstając. Zjadła kolację już dawno, kiedy oni ładowali samochód.

Usiadły na mrocznym ganku. W oddali cykały świerszcze, intensywnie pachniała maciejka, którą Regina specjalnie siała tuż obok ganku. Milczały przez chwilę. Beata wyciągnęła z rozkoszą nogi. Była zmęczona przyjemnym zmęczeniem, które było wynikiem fizycznej pracy, zmęczeniem, które miało zaprowadzić ją prosto w kojący sen. Przymknęła oczy i pomyślała o chłodnej pościeli czekającej na nią w lipnym pokoju.

Flora zapaliła papierosa.

— Przyjemnie tu — rzekła. — Człowiek zapomina o całym świecie. Jakby czas tu płynął inaczej.

— To prawda — przytaknęła Beata.

— Dlatego teraz przyjechałam, wiesz? Rozśmieszyła mnie Ida, pytając o te Wyspy Kanaryjskie. Ona jest jeszcze taka dziecinna, nie sądzisz?

Beata nie odpowiedziała.

— W każdym razie — kontynuowała Flora — trafiłam w sam środek wiśni. No, ale nie miałam wyjścia.

— Masz jakieś problemy? — zapytała Beata, nadal mając zamknięte oczy. Tylko chwile dzieliły ją od drzemki.

— Mam — odrzekła Flora, wypuszczając długą smugę białego dymu. Flora zawsze zaciągała się głęboko. — Mężczyźni potrafią bardzo osaczyć człowieka, nie uważasz?

Beata nie rozumiała, czemu Flora powtarza stale to „nie sądzisz?“, „nie uważasz?“, jak gdyby chciała ją zmusić od odpowiedzi. A jej coraz trudniej było otworzyć usta. Najchętniej siedziałaby tak, na chłodnym nocnym powietrzu, z zamkniętymi oczami, czekając aż całodzienne zmęczenie spłynie przez wszystkie mięśnie aż do jej stóp.

— Osaczyć, zmusić do podjęcia decyzji, których podejmować się nie chce. Są tacy nudni!

Beata czuła przyjemne mrowienie w żyłach. Pomyślała, że od lipnego pokoju dzielą ją schody i nieuchronna wizyta w łazience. Najchętniej usnęłaby właśnie tu, na ganku, otulona słodkim zapachem maciejki.

— Przyjadą za tobą na koniec świata, skąd nie ma już gdzie uciec.

Beata nagle otworzyła oczy, a jej wzrok natychmiast wyłuskał w ciemności żar papierosa Flory. Opasywał wąską nitką popiół. Kiedy Flora się zaciagała, rozpalał się na chwilę, a potem znowu przygasał. W końcu dotarł do ustnika. Flora zgasła niedopałek o poręcz ganku i wyrzuciła go w winorośl. Wstała.

— Pójdę chyba się wykapać. Słyszę, że Ida jest jeszcze w kuchni. Zostajesz?

— Posiedzę jeszcze chwilkę.

Została sama na ganku. Sen nagle pierzchnął, ciało spięło się i naprężyło, jak gdyby znowu gotowe do wysiłku. Nisko nad polami wisiał sierp księżyca. Beata obserwowała go od kilku nocy. Niedługo powinna być pełnia. Pełnia księżyca. Spełniony księżyc. Księżyc się spełnia, a potem rozpoczyna wędrówkę na nowo.

Pomyślała o Florze.



Gina nigdy nie sądziła, że zgodzi się zamieszkać na wsi. Urodziła się w malutkim miasteczku jako córka pary nauczycieli i była przekonana, że droga stąd prowadzi tylko w górę. Wcześniej straciła ojca, który nie wytrzymał długo z kapryśną żoną, obrażoną na Pana Boga za to, że nie stworzył jej szlachcianką i że musiała sama zarabiać na chleb. Gina uwięziona z matką i jej zrzędliwą siostrą w maleńkim mieszkanku na piętrze niedużej kamieniczki bardzo szybko zdała sobie sprawę z tego, że jedyne, co może zrobić, by jakoś odmienić swój los, to jak najszybciej wydać się za mąż.

Cóż, skoro Bóg nie był przychylny dla jej chwiejnych planów: pierwszemu narzeczonemu zesłał posadę w stolicy, dokąd nie można było zabrać ukochanej z prowincji, a drugiego przedwcześnie powołał przed swe oblicze pod pretekstem panującej epidemii tyfusu. Trudno było powiedzieć, co Gina uznała za większą złośliwość, w każdym razie z ewentualnymi kandydatami do jej ręki było coraz bardziej krucho. Kiedy więc zainteresował się nią młody, przystojny chłopak znikąd, który kilka miesięcy wcześniej kupił to, co zostało po chałupie miejscowej czarownicy, i podobno całkiem udanie doprowadził do stanu używalności, Gina uznała, że ostatecznie mogła trafić gorzej.

Nie była romantyczką i nie urzekła jej tajemniczość młodego przybysza, podobała jej się raczej jego gospodarność. Kiedy przywoził ją do nowo odremontowanego domu, który, jak przyznawali mieszkańcy wsi, okazał się nagle zupełnie ładny, podziwiała, jak szybko postępują w nim wszelkie naprawy, mimo że Mati pracował głównie sam, czasem tylko

najmując do pomocy miejscowych wyrostków. Z omszałej, walącej się chałupy bez dachu wyłonił się obszerny, drewniany dom, ogołoczone z chwastów podwórze nabrało kształtu, dalej Mati wznosił stodołę, a za stodołą, jak opowiadał jej z rozmarzonymi oczyma, chciał założyć piękny, duży sad. Gina przyznała, że sad to jednak nie to samo, co hodowla świń, i szybko zgodziła się zostać żoną Matiego. Matka, początkowo zachwycona perspektywą zamieszkania w obszernym domu na wsi, szybko obraziła się na córkę, która stanowczo i bezlitośnie rozwiła jej plany przeniesienia się na starość „do dzieci”. Niedługo potem zresztą zmarła, zostawiając mieszkanie w kamieniczce swej siostrze dewotce i nie mając oczywiście pojęcia, że córka na wieść o jej śmierci w skrytości ducha odetchnęła z ulgą. Mieszkanko koniec końców przypadło na rzecz Kościoła, który ostatnia właścicielka uczyniła jedynym spadkobiercą, i oto żadna już nic nie łączyła Giny z jej dawnym życiem.

Stawszy się nagle panią własnego losu, żoną powszechnie lubianego i przystojnego gospodarza, Gina nareszcie odetchnęła pełną piersią. Czuła, że oto Bóg powierzył jej rolę, do której była powołana.

ROZDZIAŁ 4

Śniadanie jedli razem, wszyscy zgromadzeni przy kuchennym stole. Przez okno wychodzące na podwórkę wlewał się świeży blask porannego słońca — to była jedyna pora dnia, kiedy w kuchni było jasno i słonecznie. Za firanką brzęczały muchy; od czasu do czasu słychać było chrzęst roweru — podwórkiem przejeżdżali kolejni rwacze.

— Upiekę dziś szarlotkę — powiedziała Regina w pewnej chwili.

Filip radośnie zbulgotał w kakao; siedział przy stole obok Cypriana, którego od wczoraj w zasadzie nie odstępował na krok. Jakoś tak wyszło, że po drugiej stronie Cypriana usiadła Beata. Flora siedziała w kącie; odmówiła wypicia kakao do śniadania, trzymała w dłoni filiżankę mocnej, czarnej kawy.

— Fajnie, babciu — powiedziała Ida, smarując chleb płynnym, złocistym miodem, który przyniósł poprzedniego dnia Stach Żałoska. — Pomóc ci?

— Możesz iść pozbierać jabłka do starego sadu — odrzekła Regina.

— Pójdę odwiedzić Hanke — wtrąciła Beata. — Zaraz po śniadaniu.

— Tak oto zaczyna się proces stopniowej utraty pracowników — westchnął Mateusz.

— Zaraz po powrocie zobaczysz mnie w sadzie, słowo. — Beata się uśmiechnęła.

— Przecież nie chcę iść spać na hamak, tylko pomóc babci przy szarlotce, dziadku. O co ci chodzi? — powiedziała w tym samym momencie Ida obrażonym tonem.

— Komu jeszcze kakao?

— Ja poproszę. — Mateusz podsunął żonie swój gliniany kubek, wyglądając jednocześnie przez okno. — O, popatrzcie, siostrzenice pani Gieni. Jak wcześnie!

— A gdzie pani Gienia? — zapytała Beata, patrząc, jak rozchichotane Ola i Jola wolno podjeżdżają rowerami pod leszczyny.

— W sadzie — odrzekła Regina. — Od szóstej rano.

— Czy mają tu państwo Internet? — zapytał Cyprian, robiąc Filipowi kanapkę z dżemem truskawkowym.

— Tak, Elżbieta nam kupiła takie urządzenie... Jak to się nazywa, Flora?

— Modem, babciu.

— No właśnie. Matka Flory bardzo dba o to, żebyśmy szli z duchem czasu — powiedziała

Regina, a Cyprianowi znowu się zdało, że dostrzegł chochliki w jej oczach. — Komputer stoi w pokoiku obok kuchni. Może pan korzystać, kiedy pan chce.



Leciwe jabłonie rosnące w starym sadzie rodziły coraz mniej owoców. Wczesne, letnie jabłka były małe, zielonożółte, poznaczone czarnymi pieprzykami. Ida musiała się schylać i wyłuskiwać opadłe kulki spośród bujnej trawy. Wrzucała jabłka, do niedużego wiklinowego koszyka, objęły się o siebie, ale nie zwracała na to uwagi. Potem usiadła w altance, wyjęła z kieszeni nieduży nożyk. Regina zawsze chwaliła Idę, że ta potrafi obrać jabłko, pozostawiając jeden, nieprzerwany pasek skórki. Gdy była młodsza, zawsze zakładała się ze sobą o coś, kiedy obierała owoce. „Jeśli uda mi się obrać gruszkę, nie odrywając noża od mięszu, on zadzwoni”. Albo: „Uda mi się zaliczyć sprawdzian za pierwszym podejściem”. Albo: „Mama zrobi prawdziwy obiad”. Najczęściej wychodziło.

Obrała jabłka, wrzuciła je razem z nożykiem do koszyka i zniosła do kuchni. Regina stała przy zlewie i kończyła zmywanie po śniadaniu; nuciła razem z radiem starą piosenkę.

— No jak tam? — zapytała, zaglądając do koszyka. — Umyj je, z łaski swojej. Powinnaś to zrobić, zanim je obrałaś. I możesz jeszcze pokroić w kostkę.

Odsunęła się od zlewu i przepuściła Idę. Jabłka były nieprzyjemnie miękkie w dotyku, Ida miała wrażenie, że woda wsiąknie w nie jak w gąbkę.

— A co tam w domu?

— Nic nowego.

Ida starannie układała umyte jabłka na talerzu, potem wzięła z suszarki drewnianą deskę do krojenia i usiadła przy stole.

— Sama zadzwoń do taty, jak chcesz.

Regina nastawiła czajnik i przysiadła naprzeciwko wnuczki.

— Wiesz, babciu — Ida zaczęła kroić jabłka w nierówną kostkę — przestań się tak ciągle o nich martwić. Naprawdę. Ja też mam już dosyć martwienia się o nich.

Regina nadal milczała. Zagwizdał czajnik.

— Ja już bardzo chcę mieć swoje życie, wiesz? — dodała Ida. — Swoje własne prawdziwe życie i swoje własne problemy. Wreszcie swoje własne, a nie ich.

Regina pokiwała głową.

— Chcesz herbaty?

— Nie.

Regina wstała, zdjęła z suszarki jeden z umytych przed chwilą kubków, wrzuciła do niego suszoną miętę i zalała wodą z czajnika. Wróciła do stołu i usiadła.

— No tak. — Zbliżyła kubek do ust, ostrożnie dmuchała na marszczącą się pod jej oddechem powierzchnię. — Może zadzwonię do twojej mamy. Zapytam o ich przyjazd.

— Jak uważasz, babciu. Ja dałabym sobie spokój.

Regina w zamyśleniu piła napar.

— Była taką miłą młodą żoną — powiedziała nagle. — Taka pogodna, poukładana kobietka.

— Naprawdę? — Ida podniosła głowę. — Nie opowiadałaś nigdy... — Popatrzyła na Reginę jak gdyby z niedowierzaniem. — Powiedz coś jeszcze — poprosiła po chwili, zupełnie jak mała dziewczynka, która domaga się kolejnej bajki.

Regina przyglądała się pokrojonym jabłkom, więc Ida podążyła za jej wzrokiem. Kostki były duże i nierówne, ale chyba nie miało to znaczenia, bo Regina się uśmiechała.

— Pamiętam, jak przyjeżdżali z Piotrem do nas, kiedy już była z tobą w ciąży. Bardzo uważała, cały czas miała uwagę podzieloną między nas a ciebie, czy się poruszyłaś, czy masz czkawkę. Tak, tak. Doskonale to pamiętam.

Podniosła wzrok i przez moment patrzyły sobie prosto w oczy.

— I co się z nią stało? — zapytała Ida po długiej chwili milczenia. — Co się stało z nami?

Regina nie odpowiedziała. Ida odchyliła się na krześle.

— A mnie się wydaje, że to jej wina. Ona sama nie wie, czego chce. Coraz mniej ją interesuje dom, wiesz? Niby w nim jest, a jakby jej nie było. Ojciec jest, jaki jest, ale przynajmniej jest. Trwa. Wraca po pracy do domu, pyta o obiad, chce, żeby ten dom istniał. A ją to już chyba niewiele obchodzi. Ja się nawet zdziwiłam, że ona się tak przejęła tymi moimi studiami. Zaczęła coś mówić o niezależności, o wyborach, w końcu sama się w tym wszystkim zaplątała. Myślę, że oni się powinni rozstać, że jeśli ona jest z nami taka nieszczęśliwa, to powinna odejść, tylko widzisz... jest na to zbyt wielkim tchórzem.

Po policzku Idy spłynęła nagle łza, ale wyglądała, jakby pojawiła się przypadkiem, bo mina Idy pozostała niezmienną.

Regina kręciła głową.

— Ida, nie masz prawa tak mówić. Nikt z nas nie ma. Nie wiemy nigdy wszystkiego o drugim człowieku. Ty masz być w porządku, a innych zostaw z ich własnymi sumieniami. — Zmarszczyła brwi. — Skończyłaś? To idź do sadu wreszcie, dziadek czeka.



Beata długo zbierała się w sobie, żeby wreszcie odwiedzić swoją starą przyjaciółkę.

Słowo „przyjaciółka” było już dawno nie na miejscu, ale Beata nie miała pomysłu, jakim określeniem mogłaby je zastąpić. Hanka stawała się powoli postacią z przeszłości, sama się w tę przeszłość usunęła, i jeszcze tylko to słowo jakoś ją przy Beacie trzymało. A Beacie szkoda było tak zupełnie się z Hanką rozstać.

Hanka pochodziła z biednej rodziny, mieszkającej na skraju wsi, jej ojciec często zaglądał do kieliszka, a matka codziennie biegła do kościoła. Pomiedzy tymi dwoma biegunami Hanka wyrosła na zahukaną dziewczynę, zamkniętą w sobie i niepewną. Długo trwało, zanim zaprzyjaźniła się z Beatą, ale przecież w końcu im się udało. Beata, która latem często spotykała u dziadków Florę, była podobnie nieśmiała i przytłoczona obecnością starszej, ładniejszej i pewnej siebie kuzynki. W Hance odnalazła bratnią duszę, a z biegiem lat, w miarę jak łączyło je coraz więcej wspólnych wspomnień, ich koleżeństwo nabierało nowych odcieni. Beata do matury spędzała u dziadków niemalże całe lato i Hanka była wtedy zawsze jej nieodłączną towarzyszką. Wspólnie urządzały rowerowe wypadki do pobliskiego miasteczka na ulubione lody gałkowe, które sprzedawał w budce nieprzyjemny jegomość. W upalne popołudnia czytały książki i czasopisma na rozłożonym pod lipami kraciastym kocu, kąpały się w rzece, słuchały muzyki ze starego magnetofonu Reginy i powierzały sobie pierwsze dziewczęce sekrety. Wspólnie marzyły. Kiedy były już obie w liceum, grono ich znajomych powiększyło się o kilkoro przedstawicieli miejscowej młodzieży i Beata do dziś z uśmiechem wspominała wspólne picie taniego wina od Jana na krzyżówce oraz sobotnie przejażdżki w osiem osób zardzewiałym maluchem do sąsiedniej wsi na zabawę.

Potem zaś przyszło pamiętne lato po maturze Beaty, gorące i burzliwe, które najpierw jeszcze bardziej zbliżyło do siebie obie przyjaciółki, by potem je rozdzielić — chyba już na zawsze. Przynajmniej tak myślała Beata.

Zaczął się normalnie, jak co roku. Beata przyjechała czerwonym, osobowym pociągiem, na peronie czekali na nią Hanka i Zbyszek. Zbyszek wziął plecak Beaty i we trójkę ruszyli do domu pod lipami. Regina czekała na nich z obiadem, Beata pamiętała, że był wtedy barszcz ukraiński — specjalnie dla niej. Jedli, śmiali się, opowiadali sobie zdarzenia minionych miesięcy, potem Zbyszek się pożegnał, obdarzając Beatę powłóczystym spojrzeniem, którego istnienia teraz nie była już taka pewna, a one we dwie długo jeszcze siedziały w altance w starym sadzie. Zapowiadało się wesołe, szczęśliwe lato.

A potem przyjechał Robert. I wbrew temu, co twierdziła Regina, to właśnie on wszystko, absolutnie wszystko popsuł.

Beata od razu rozpoznała jego charakterystyczne żarty, szczególne spojrzenia, wyjątkową

uwagę, jaką poświęcał dziewczynie, którą postanawiał sobie wybrać na najbliższy okres. Robert potrafił być uroczy, ilekroć mu się chciało. Tym razem jego wybór padł na Hankę.

Hanka zakochała się natychmiast, swoją pierwszą, naiwną, ufną miłością. A Beata najbardziej wyrzucała sobie, że i ona dała się nabrać na prawdziwość uczuć swojego brata, mimo że znała go jak zły szeląg, znała zastępy jego dziewczyn, które zmieniały się tak szybko, że nawet nie starała się z nimi zaprzyjaźniać. Ale tym razem uwierzyła mu, być może dlatego, że cały czas odwlekał swój wyjazd do Warszawy, a może dlatego, że do głowy by jej nie przyszło, że Robert mógłby świadomie oszukać jej przyjaciółkę.

I zaczęło się rozpalone lato, które spędzili we czwórkę — ona, Hanka, Robert i Zbyszek. Pili tanie wino od Jana, którego Robert świetnie znał od wczesnych lat nastoletnich, palili ogniska, Zbyszek grywał nawet na gitarze. Beata pamiętała pewien wczesny poranek, kiedy Hanka z wypiekami na twarzy wspięła się po drzewie przez okno do lipnego pokoju (co robiła nieraz z powodu wrodzonej nieśmiałości oraz irracjonalnego lęku przed Reginą) i urywanym głosem oznajmiła, że właśnie zrobili z Robertem „to” w sadzie i że było tak pięknie, wschodziło słońce, a oni byli cali mokrzy od rosy. Beata pamiętała też, że Robert nie chciał powiedzieć Reginie, gdzie się podziewał całą noc, zjadł tylko ogromne śniadanie, beknął (nie wiadomo czemu utkwił jej w pamięci ten szczegół), a potem poszedł spać.

A tymczasem rozanielona Hanka zwierzała się swej przyjaciółce i uszczęśliwiona słuchała, jak Beata szczerze jej kibicowała i cieszyła się razem z nią. Chodziły na skróty przez pola do wsi, do Jana, kupowały tanie wino z jabłek, siadały na skraju brzeziny i wspólnie snuły plany na szczęśliwą przyszłość. To chyba wtedy, podczas tych rozmów, kiedy Beata słuchała, jak Hanka mówi o Robercie, sama zaczęła tęsknić do tego miłosnego rozedrgania i wtedy chyba po raz pierwszy pomyślała o Zbyszku inaczej. Bo jednak Zbyszek cały czas był obecny tego lata. Krążył wokół nich jak satelita. Czekał na swój czas. A przynajmniej tak sądziła wtedy.

A potem Robert po prostu spakował plecak i wrócił do Warszawy, a stamtąd pojechał ze swoimi warszawskimi kolegami na Mazury. Lato dobiegało końca, a on chciał wykorzystać ostatnie ciepłe dni. Tak powiedział.

Beata była tym chyba równie oszołomiona jak Hanka, ale tego nie wiedziała na pewno, ponieważ Hanka nagle jakoś znikła, a niedługo potem znalazła sobie pracę w knajpie w pobliskim miasteczku, gdzie spędziła kolejne cztery lata, dopóki faktycznie nie zabrał jej stamtąd Franek Żałoska. Kontakt między dziewczętami się urwał.

Idąc teraz drogą do Żałosków, Beata zastanawiała się, nie po raz pierwszy zresztą, czy Hanka jeszcze wspomina Roberta, czy może dawno już o nim zapomniała. Może Regina miała rację i Hanka rzeczywiście była szczęśliwa ze swoim obecnym życiem. Po kilku latach obopólnego

milczenia któregoś kwietniowego dnia Beata wyjęła ze skrzynki na listy tandetne, złożone zaproszenie na ślub. Pojechała. Hanka wyglądała bardzo ładnie, w białej szerokiej sukni i długim welonie, z wpatrzonym w nią jak w obrazek mężem u boku, i wydawała się szczęśliwa. Z uśmiechem wysłuchiwała nieporadnych życzeń Beaty, która walczyła z tym, żeby nie wywrócić się na wysokich obcasach, potem ją ucałowała, odebrała bukietik konwalii i natychmiast przeniosła wzrok na kolejnego gościa, który przepychał się do niej z kolejnym bukietem i kolejnymi życzeniami. Beatę odszukał w tłumie Zbyszek i jakoś tak wyszło, że nie podeszła już więcej do Hanki. Na weselu siedzieli ze Zbyszkiem daleko od młodej pary, potem Beata źle się poczuła i jeszcze przed oczepinami wróciła do domu dziadków. Na drugi dzień rano wyjechała do Poznania, minąwszy się ze Zbyszkiem, który wpadł po południu z propozycją spaceru i zastał tylko Reginę. Od tamtej pory dawne przyjaciółki się nie widziały.

Ale teraz wypadało zajrzeć i poznać córeczkę Hanki. Regina miała rację. Miała też rację, że minęło już bardzo dużo czasu.

Podwórko Żałosków było schludne i miłe. Zaraz przy drewnianym parterowym domu rosła rozłożysta czeremcha, dalej znajdował się ogromny skalniak, którego Beata nie pamiętała — musiał być dziełem Hanki. W oddali na rozwieszonym między drzewami sznurku dumnie łopotały tetrowe pieluchy. Beata rozglądając się dookoła i podziwiając porządek, skrzyła za róg domu i wpadła prosto na dziecięcy wózek. Jego zawartość zamachała rączkami i zapłakała żałośnie.

— Już, już mama idzie — doniósł się z głębi domu głos Hanki i po chwili na progu stanęła ona sama, ubrana w prostą niebieską sukienkę i fartuch. Na widok Beaty otworzyła szeroko oczy.

— Przepraszam, obudziłam ci małą — wyjąkała oszołomiona dziecięcym płaczem Beata. — Nie zauważyłam jej...

Hanka bez słowa wyjęła córkę z wózka i przytuliła swój policzek do malutkiej buzi. Dziewczynka momentalnie ucichła.

— Nic się nie stało. Pewnie i tak zaraz by się obudziła. Nie śpi zbyt długo w dzień.

Beata odczuwała niezrozumiałe napięcie. Przyglądała się Hance kołyszącej w ramionach niemowlę, które teraz wydawało z siebie dziwne gulgotanie. Hanka prawie nic się nie zmieniła. Była nawet uczesana tak jak kiedyś, w wysoki kucyk. Przez chwilę Beata czuła się, jakby na progu stała tamta stara przyjaciółka sprzed kilku lat. Mimowolny uśmiech wypłynął na jej twarz.

— No cześć — powiedziała wesoło. — Ojej. Jaka ty jesteś dorosła!

Hanka uśmiechnęła się uśmiechem, którego Beata nie знаła.

— Wejdz, proszę. Gdybyś mogła wnieść do środka wózek...

— Oczywiście.

Weszły do obszernej, schludnej kuchni Maryni Żałoskowej. Hanka ułożyła małą w wózku i wetknęła jej w rączkę kolorową grzechotkę.

— Popatrz, nawet nic dla niej nie mam — powiedziała Beata, nachylając się nad niemowlęciem. Chabrowe oczka przyglądały się jej z uwagą. — Ale śliczna! Chyba będzie podobna do ciebie.

— Tak mówi teściowa. Ja na razie nie widzę w niej podobieństwa do nikogo. Napijesz się czegoś? Soku, kompotu?

— Soku. Straszne upały mamy tego lata, co?

— O tak.

Beata czekała, aż Hanka usiądzie razem z nią przy stole, ale ta naląła soku tylko do jednej szklanki, którą postawiła przed gościem razem z talerzykiem domowych ciasteczek. Potem pokołysała wózek, poprawiła córeczce śpioszki, następnie wyszła do sieni i wróciła z blaszanym wiadrem pełnym ziemniaków.

— Nie będzie ci przeszkadzało, że będę obierać? Muszę zdążyć z obiadem. Teraz latem moi nie lubią za długo czekać. Przychodzą zawsze na drugą i chcą mieć obiad na stole. Szkoda im czasu.

— No coś ty. — Beata sięgnęła po szklankę, ale natychmiast ją odstawiła. — Może ci pomóc? Regusia mówi, że jestem coraz lepsza w obieraniu ziemniaków. Wczoraj na przykład...

— Nie trzeba.

Hanka usiadła na niskim drewnianym taboreciku i nachyliła się nad wiadrem. Beata stwierdziła, że przynajmniej może pokołysać wózek, ale Basia zaczęła pojękiwać, więc szybko tego zaprzestała.

— No to powiedz, co tam u ciebie słyhać.

Czuła się coraz bardziej niezręcznie.

— Wysłam za mąż, urodziłam dziecko... Poza tym nic ciekawego. Żyjemy sobie, raz lepiej, raz gorzej.

Spod palców Hanki spływały równe, długie obierki.

— To tak jak wszędzie — pokiwała głową Beata.

W uszach odbił się echem jej własny ton — ton zdawkowej, sąsiedzkiej pogawędki. Takim tonem rozmawiała z sąsiadkami u siebie w Poznaniu, gdy przypadkiem spotykała je na klatce.

— Nie wiem, jak jest wszędzie — odpowiedziała Hanka.

Milczały chwilę. Za długo.

— No a jak ci się żyje z teściami? Bo podobno różnie to bywa. — Beata puściła do Hanki oko, ale tamta tego nie zauważyła.

— Normalnie. Moi teściowie są w porządku. Bardzo mi przy Basi pomagają.

— Aha. To fajnie, że tak ci się ułożyło.

Znowu milczenie.

— A ja skończyłam niedawno studia — powiedziała Beata. — Teraz robię sobie wakacje, a potem będę szukać pracy. Śmieszne to trochę, zupełnie nie mam pomysłu, co chciałabym robić. I czy zostawać w Poznaniu, czy może wrócić do mamy...

— Za mąż nie wychodzisz?

Beata otworzyła usta ze zdumienia.

— Nie — pokręciła powoli głową — nie wychodzę.

— A masz kogoś?

Hanka spoglądała na nią znad obieranego ziemniaka. Beata przełknęła ślinę.

— Nie mam...

Hanka wrzuciła obrane ziemniaki do zlewu i zaczęła je płukać.

— Powinnaś się o to zatroszczyć, nie stajesz się młodsza — rzekła poprzez głośnie chlustanie wody. — Kobieta powinna wyjść za mąż i urodzić dziecko, najlepiej przed trzydziestką.

— No to mam jeszcze trochę czasu — próbowała zażartować Beata, ale zabrzmiało to raczej gorzko. Zresztą Hanka chyba też się nie uśmiechnęła; Beata nie widziała jej miny, bo stała odwrócona do niej plecami.

— To się tylko tak wydaje.

Beata odstawiła szklankę, którą trzymała od dłuższego czasu, żeby zrobić coś z rękami.

— Będę się zbierać, Haniu — rzekła, wstając z krzesła. — Tak tylko zajrzałam, przywitać się i zobaczyć twoją córeczkę. Jest naprawdę słodka.

Hanka kroїła opłukane ziemniaki i wrzucała je do garnka z wodą.

— Dziękuję. Miło, że wpadłaś.

— Miło było cię zobaczyć. Trzymaj się.

— Ty też.

Hanka odwróciła na chwilę twarz i Beata znowu zobaczyła ten jej nowy, obcy uśmiech. Ona także się uśmiechnęła, ale wiedziała, że jej uśmiech też wygląda dziwnie, bo czuła, że jej wargi rozciągają się zupełnie inaczej niż zazwyczaj.



Cyprian skończył odpisywanie na ostatniego maila, wylogował się i wyłączył komputer. Przeciągnął się na krześle. Ziewnął.

Nie spał dobrze tej nocy, dawno już nie spał w namiocie, na łonie natury, przeszkadzały mu dźwięki dobiegające zewsząd. Wycie psów, cykanie świerszczy, jakieś trzaski, szelesty — wszystkie te nocne hałasy, które dla nienawykłego ucha brzmiały obco i złowrogo. Było mu niewygodnie na źle napompowanym materacu, śpiwór krępował mu ruchy. Obudziło go, o ironio, pianie kogutów. Cyprian tyle razy mawiał, że wstał z kurami, a dziś po raz pierwszy w jego życiu było to najzupełniej zgodne z prawdą. Oczywiście już nie usnął, jakoś przeleżał do rana, rozmyślając. W kuchni pojawił się, kiedy wszystkie dziewczęta jeszcze spały, a Regina z Mateuszem pili razem poranną kawę.

Teraz było piękne przedpołudnie, w otwartym oknie, za szczelną firanką brzęczały pszczoły, które ochoczo odwiedzały dorodne malwy Reginy, z kuchni napływał zniewalający, gorący zapach pieczonego ciasta. Cyprian przymknął oczy. Wyobraził sobie, że krząta się tam teraz Flora, że to ona właśnie nastawiła czajnik, brzęka kubkami, podśpiewuje. Ma na sobie domową sukienkę w drobną kratkę, czarne włosy zwinęła w niedbały kok. Teraz wyszła do sieni. Wróciła. Otworzyła okno wychodzące na podwórze, rozmawia z kimś, kto właśnie przechodzi. Śmieje się i z powrotem przymyka okno. Czajnik właśnie gwizdże, a ona uchyla drzwi do pokoju i mówi swoim niskim, głębokim głosem, którego sama tak nie lubi:

— Panie Cyprianie, zapraszam na ganek. Właśnie wyjęłam szarlotkę z blachy, co pan na to?



Szarlotka była dokładnie taka, jaką lubił. Ciasto było słodkie, delikatnie zwilżone sokiem, który puściły kwaśne jabłka. Nadzienie nie zdążyło jeszcze wystygnąć i Cyprian, który łakomie odgryzł spory kęs, oparzył się w język.

Regina nie jadła, piła tylko mocną herbatę i przyglądała mu się. Czuł się nieswojo pod jej wzrokiem, nigdy dotąd nie widział takich oczu, stalowych, uważnych, czujnych. Nic nie mogło się przed nimi ukryć, był tego pewien.

Jej osoba budziła w nim jednocześnie onieśmienie i fascynację. Oczarowała go zwłaszcza jej twarz. Teraz też zerkał na nią ukradkiem. Była nieregularna, ale miała w sobie coś, co przykuwało uwagę. Być może Regina była piękna w młodości, a może po prostu urodziła się z tym niewytłumaczalnym urokiem, który nie miał nic wspólnego z idealnymi rysami twarzy. Cyprian usiłował wyobrazić ją sobie jako młodą dziewczynę, ale obraz, jaki widział przed sobą, zbyt silnie zawładnął jego umysłem. Regina była skończonym tworem nieznanego artysty właśnie teraz. Jej młodość musiała być jedynie wstępnym szkicem. Dziewczęcy zarys zatarł się, przykryło go ostateczne wykończenie. Nie było doń powrotu, nawet w wyobraźni.

Rozmawiali chwilę uprzejmie, aż Cyprian skończył herbatę. Odsunął talerzyk, na którym pozostały okruszki, i chrząknął.

— To może ja się pożegnam tymczasem — powiedział. — Pójdę do pana Mateusza, może się na coś przydam...

— Bardzo proszę. — Regina skinęła głową. — Na pewno się pan przyda.

Pod stodołą Mateusz zegnał właśnie siostrzenice pani Gieni, wręczając im pieniądze. Cyprian odczekał z boku, póki rozchichotane panny nie wymieniły ostatnich uprzejmości. Potem podszedł do Mateusza i razem patrzyli, jak dziewczęta wsiadają na swoje składaki i odjeżdżają.

— Właśnie straciłem dwóch pracowników — westchnął Mateusz.

— Zrezygnowały? — Cyprian starał się zabrzmieć współczująco.

— Za ciężko, za gorąco, za nudno. Chociaż oficjalny powód był taki, że Jola ma problemy z dyskiem, a Ola z głową. Lub też odwrotnie, mało je rozróżniam — usprawiedliwił się Mateusz. — Ma problemy z głową w sensie... miewa migreny — zmitygował się po chwili. — Nic dziwnego, panie Cyprianie, wy młodzi tacy niecierpliwi do wszystkiego jesteście, nie umiecie robić czegoś jednostajnego przez dłuższy czas. Lada dzień i moje wnuczki wymówią się dyskiem, głową i czym tam jeszcze.

— A dużo pan ludzi ma? Zdążą zerwać? — zainteresował się Cyprian. — Bo ja służę pomocą, na ile będę w stanie. Nigdy co prawda nie zrywałem wiśni, ale to chyba nie jest skomplikowane?

— Proszę dać sobie spokój. Powiem szczerze... — Mateusz rozejrzał się wokół z miną małego urwisa — powiem panu szczerze, że zrywanie wiśni to jest babskie zajęcie. Mam oczywiście paru młodych chłopaków tutaj, ale widzę, że nie mają do tego serca. Wieczorem, jak samochód przyjedzie wcześniej, a oni jeszcze są w sadzie, wtedy rwą się do pomocy. Samochód jest załadowany w dziesięć minut. I nie chcą za to żadnych pieniędzy, wie pan? Po prostu są tak znudzeni tym całodziennym zrywaniem, że muszą się na czymś wyładować. Dlatego panu wara od tego. Pomoże mi pan w zwożeniu skrzynek z pola.

Weszli do chłodnej stodoły.

— Wie pan, panie Mateuszu, proszę mi mówić po imieniu, dobrze? Będę się czuł zręczniejszy — powiedział Cyprian, siadając na murku.

— Znakomicie — odrzekł Mateusz. — Ja panu tego nie zaproponuję, w końcu jest pan w wieku moich wnuczek, ale mi osobiście będzie dużo wygodniej mówić panu na ty. Niech pan chwilę zaczeka... — Mateusz z błyskiem w oku sięgnął w głąb malowanego kredensu. — Żeby tradycji stało się zadość — wyjaśnił, wydobywając z przepastnego wnętrza prawie pustą butelkę z żółtym trunkiem i dwa przybrudzone metalowe kieliszki. — To popisowy numer naszego

sąsiada, Stacha Żałoski.

Rozlał bimber do kieliszków, podał jeden Cyprianowi. Ten wziął go niepewnie. Dawno już nie pił samogonu, od lat był przyzwyczajony do drogich, markowych alkoholi.

— No to co, panie Cyprianie? — Mateusz zatarł ręce. — Zdrowie i zaczynam panu mówić na ty.



Ida przyszła z sadu po piwo. Upał był niemiłosierny, poza tym bardzo jej się nudziło bez Beaty. Zdziwiła się, gdy zastała kuzynkę na ganku.

— Co ty tu robisz? — zapytała. — Już wróciłaś?

— Już wróciłam — odrzekła Beata. Siedziała w bujanym fotelu i popijała piwo z puszki. Nogi oparła na poręczy ganku. Ida znikła na chwilę w domu, wróciła ze swoją puszką i przysiadła wprost na balustradzie.

— Gdzie Regusia? Pewnie gdzieś daleko, skoro trzymasz nogi na poręczy? — zainteresowała się, otwierając piwo.

— Co? — odparła Beata nieuważnie. — Babcia jest w ogrodzie, powiedziała, że musi opieścić pietruszkę.

— W taki upał? Dobrze, że dziadek tego nie widzi. — Ida upiła łyk i zrobiła śmieszoną, błogą minę. — No to opowiadaj, co tam u Hanki. Czemu tak szybko jesteś z powrotem?

— Ponieważ Hanka nie miała dla mnie czasu — powiedziała Beata po prostu.

Ida zrobiła wielkie oczy.

— Jak to nie miała dla ciebie czasu? A cóż ona takiego robi, że nie ma czasu pogadać z koleżanką?

— Jest żoną, matką i gospodynią, moja droga. A najważniejsze jest dla niej to, żeby mąż i teść dostali obiad na czas.

— Żartujesz! — Ida się roześmiała. — Popatrz, myślałam, że ona jest inna. Kiedyś się chyba przyjaźniłyście, z tego co pamiętam.

Beata westchnęła i łyknęła piwa.

— Nie wiem. Teraz to jest po prostu gospodyni. To było okropne, w ogóle nie wiedziałam, o czym mam z nią rozmawiać.

— Rozumiem. — Ida pokiwała głową. — No cóż, ludzie się zmieniają.

— Zaczęłam jej opowiadać o sobie — ciągnęła Beata — a ona mi przerwała i wiesz, o co zapytała?

— Pewnie, czy nie wychodzisz za mąż.

Beata zakrztusiła się piwem.

— Skąd wiesz?

— No przecież ludzi tutaj tylko to interesuje — wyjaśniła Ida z prostotą. — Chyba się nie spodziewasz, że będą z tobą rozmawiali o twoich studiach?

Chwilę milczały.

— Najgorsze jest to — odezwała się Beata po chwili — że ona zapytała o to z taką... czy ja wiem? Wyższością. Okropna była ta wizyta. — Beata aż się wzdrygnęła.

Ida pokiwała głową. Chwilę siedziały w milczeniu, każda sącząc swoje piwo. Powietrze stało nieruchomo, żar przedzierał się nawet na ganek. Beata bujała się w fotelu, kończąc nieśpiesznie napój. Ida bezmyślnie zrywała listki winorośli. Nie miały zupełnie ochoty wracać do sadu, choć obie nękała myśl, że dziadek w tej chwili w pocie czoła zwozi skrzynki. Franek co prawda rzeczywiście zostawił swój traktorek w stodole do dyspozycji Mateusza, a Janek i Roch rwali się do pomocy przy zwożeniu, ale nie zmieniało to faktu, że wszyscy w tej chwili pracowali. Nawet babcia, która peła w ogrodzie pietruszkę.

— Która godzina? — zapytała w końcu Ida.

— Dochodzi pierwsza — odparła Beata, przechylając się niebezpiecznie do tyłu, żeby przez otwarte okno dojrzeć zegar w kuchni. — Chodź, pójdziemy jeszcze trochę porwać przed obiadem.



Cyprian pomógł Mateuszowi zwieźć pierwszą partię skrzynek z sadu. Poszli po nie ze starym wózkiem, który chwilami ciężko było pchać — koła zaplątywały się w zielsko, którego Mateusz nie zdążył na czas opryskać. Zatrzymywali się przy rwaczach, Mateusz ich zagadywał — starych znajomych serdecznie, nowych pracowników uprzejmie. Zapisywał starannie liczbę skrzynek, a Cyprian ustawiał je na wózku. Pierwsze skrzynki ustawił źle — nie przy dyszlu, ale w przeciwległym końcu; na szczęście Mateusz w porę to zauważył i wózek nie zdążył się wywrócić. Potem już szło sprawniej. Mimo regularnych wizyt na siłowni w upale z Cypriana łał się pot, na zielonej koszuli pojawiły się mokre plamy. Zastanawiał się, jak też staruszek daje sobie radę sam z tym wszystkim.

Obok nich cały czas kręcił się Filip. Cyprian już poprzedniego dnia zauważył, jak bardzo chłopczyk jest zżyty ze swoim pradziadkiem. Filip był dość nieśmiałym dzieckiem, potrzebował dużo czasu, żeby oswoić się z nowymi ludźmi. Cypriana zaakceptował wyjątkowo szybko, ale też

był wtedy dużo młodszy, miał niewiele ponad cztery lata. Tutaj, na wsi, Cyprian odnosił wrażenie, jak gdyby miał do czynienia z zupełnie innym dzieckiem — Fifi był ożywiony, odzywał się częściej niż zwykle i mnóstwo czasu spędzał z Mateuszem. Istniała między nimi jakaś szczególna więź.

W stodole ustawiali skrzynki po dziesięć na starej wadze, Mateusz sprawdzał wyniki i pozwalał Filipowi zapisywać je w przybrudzonym szkolnym zeszycie, a potem Cyprian przestawiał skrzynki na klepisko, znowu po dziesięć, w równych słupkach. Miały tak czekać w chłodzie do wieczora na przyjazd samochodu. Skończywszy z pierwszą partią, usiedli na murku. Wszyscy trzej.

— No to godzinka przerwy — powiedział Mateusz i poklepał Filipa po chudych plecach. — Zuch chłopak, bardzo pomogłeś dziadkowi. A i twój starszy przyjaciel nieźle się spisuje, co? Jak myślisz?

— Cypis jest fajny — powiedział Fifi poważnie. — I jest bardzo silny. Kupił mi ostatnio hantle, wiesz? Tylko trochę mniejsze od swoich.

— No bo ty sam jesteś mniejszy — odrzekł Cyprian. — Ale kiedyś będziesz ćwiczył na jeszcze cięższych niż moje, twardzielu.

Siedzieli we trzech, zmęczeni upałem, Mateusz z uśmiechem kiwał głową, Filip także, w bardzo podobny sposób. Cyprian uśmiechnął się również.



Chociaż słońce minęło już zenit i teraz wędrowało ku horyzontowi, sad ciągle jeszcze był rozgrzany południowym żarem. Beata wysypała wiśnie do skrzynki, wybrała listki i ogonki, które zawieruszyły się razem z owocami, i przystawiła z wierzchu pustą skrzynkę, żeby ochronić wiśnie przed gorącem. Wyprostowała się i przymknęła oczy. Pod powiekami zamigotały kolorowe plamy, czuła, jak po plecach spływa strużka potu. Do wieczora pozostawało jeszcze kilka godzin.

— Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć — powiedziała Ida, chociaż sama nie wyglądała lepiej. Stała na niewysokiej drabinie i usiłowała oberwać do czysta wierzchołek drzewa. Słońce ją oślepiało mimo ciemnych okularów.

Beata sięgnęła po ukrytą w cieniu obok pnia wiśni puszkę z resztką piwa. Pociągnęła łyk i się skrzywiła. Piwo było ciepłe i pozbawione gazu.

— Wiesz, spotkałam wczoraj w sklepie Zbyszka. — powiedziała do Idy, siadając na ziemi i prostując nogi. Zaczynały się ładnie opalać. — Sprzedaje tam teraz.

— To jest chyba sklep jego rodziców, co? — zapytała Ida, schodząc z drabiny i siadając obok Beaty. — Nic dziwnego, że tam sprzedaje. Daj się napić.

— No tak, nie o to chodzi. — Beata dała puszkę Idzie i zerwała dużą wiśnię, która dyndała jej tuż nad głową. — Kiedyś myślałam, że coś zrobi ze swoim życiem. On był inny niż tutejsze chłopaki. Miał jakieś marzenia, ideały, bo ja wiem? Wczoraj, jak z nim rozmawiałam, miałam wrażenie, że jakoś mu się to wszystko rozmyło.

Włożyła wiśnię do ust; nagrzana słońcem, napięta skórka pękła natychmiast, a na języku rozlał się cierpkawy sok.

— On chciał uczyć polskiego, prawda? Dobrze pamiętam? — zapytała Ida. — To nie był jakiś wielki plan.

Beata ssła pestkę, potem ją wypluła.

— Nie rozumiesz. On kochał te swoje książki. A teraz zamienił literaturę na cyferki, chce skończyć ekonomię, a jego głównym celem jest wyrwanie się stąd. Mam wrażenie, że nieważne dokąd.

— Byliście kiedyś razem, prawda?

Beata spojrzała na Idę zaskoczona.

— Przepraszam, że tak obcesowo — powiedziała szybko Ida — ale to przecież było dawno. Ile ja mogłam mieć wtedy lat? Ty mi nic nie mówiłaś, ale ja wiedziałam. Pamiętam, jak kiedyś wyłaziłaś z lipnego pokoju przez okno i mówiłaś, że idziesz odwiedzić Hanię. A ja wyjrzałam za tobą i zobaczyłam, że na drodze czeka na ciebie Zbyszek. Ale nie pocałował cię wtedy.

— Nigdy mnie nie pocałował — powiedziała Beata w zamyśleniu.

Ida popatrzyła na nią z ciekawością.

— To dziwne — stwierdziła. — Dlaczego?

— Nie wiem. Nie byliśmy parą, Ida, nigdy. Ale... — zawahała się przez moment, ale Ida zachęcająco pokiwała głową. — Nie wiem, Hanka zawsze mówiła, że on się o mnie jakoś tak specjalnie troszczy, i ja to czułam. I może dlatego nigdy mnie nie pocałował. Może myślał, że mnie skrzywdzi, a może bał się, że coś zepsuje. Może nie miał odwagi. Nie wiem.

— Żałujesz?

Beata uśmiechnęła się lekko takim samym uśmiechem, jakim uśmiechała się do siebie, wracając wczoraj ze sklepu Zbyszka.

— Nieraz wracam myślą do tamtego lata. — powiedziała. — Może podświadomie jakoś go wabiłam do siebie. Chciałam, żeby coś się wydarzyło, i bałam się jednocześnie. A może sobie to wszystko wymyśliłam.

— A jeżeli nie wymyśliłaś? — zapytała Ida. Zmrużyła oczy i przyglądała się Beacie uważnie.

Milczały przez chwilę.

— Jeżeli nie wymyśliłaś, to szkoda, że nic się nie wydarzyło — odpowiedziała w końcu Ida samej sobie. — Nie zastanawiasz się czasem, jak to by było?

— Może — odrzekła Beata ostrożnie. — Ale tamto lato minęło i już nigdy nie będziemy tacy jak wtedy. Dziś bym już tego nie zrobiła. Nie z nim.

— Ale może szkoda, że nie zrobiłaś tego wtedy — powtórzyła Ida.

Siedziały chwilę obok siebie, obie zamyślane. Ida dopiła piwo, oparła głowę o kolano Beaty.

— Ale Robert i Hanka byli razem, prawda? — zapytała po chwili.

— Prawda — odpowiedziała Beata.

— I co się stało potem? Pytałam Regusi, ale ona twierdzi, że to była dziecinada i nie ma o czym mówić.

Beata westchnęła. Włożyła do ust ogonek, który pozostał w jej ręku po wiśni.

— Robert ją zostawił, a nawet może nie tyle zostawił, ile dla niego po prostu nic się nie stało. Jak się skończyły wakacje, to po prostu wyjechał. Ja wtedy myślałam, że Hanka to strasznie przeżywa, w ogóle odsunęła się wtedy ode mnie. Myślałam, że czuje się upokorzona. Gdyby on ją zostawił na serio, wiesz, porozmawiał, wyjaśnił, nie odbierał tak zupełnie znaczenia temu, co się między nimi wydarzyło, to może byłoby inaczej. A zrobiło się nijak. Hanka nawet nie mogła się poczuć porzucona. On ją po prostu zaczął traktować jak koleżankę. Był dla niej tak obrzydliwie miły. Nawet jej przysłał pocztówkę z Mazur, z serdecznymi pozdrowieniami.

— Nie wiedziałam, że Robert jest taki.

— Spójrz, jak on się zachowuje. Lubisz go bardzo, prawda? Dlaczego?

— Czy ja wiem — zastanowiła się Ida, ciągle oparta o kolano Beaty. Beata nawijała jej ciemne włosy na palec i puszczała. — Jest moim kuzynem.

— Flora też jest twoją kuzynką.

— No fakt. — Ida zaśmiała się krótko. — Chyba lubię go dlatego, że z nim jest tak lekko. Zawsze mnie rozśmiesza. Wiesz, że ja pierwszy raz w życiu upiłam się właśnie z nim? Tutaj, u dziadków. Zabrał mnie do Jana. Paskudnie wymiotowałam pod tą gruszą na miedzy. Ale było wesoło.

— No właśnie. Oto Robert. Z nim jest zawsze wesoło i zawsze nieodpowiedzialnie. Jest fajnym kuzynem, świetnym bratem. Dziewczyny się do niego lepią jak do miodu. I każda się sparzyła. Ale Hanka była moją przyjaciółką.

— A kiedy pojawił się Franek? Jak to się stało, że za niego wyszła?

— Nie mam pojęcia. Kiedyś pisywałyśmy do siebie listy w ciągu roku, wiesz? To było takie urocze... Gdy przyjeżdżałam tu na wakacje, czułyśmy się, jakbyśmy się rozstały wczoraj. A teraz

nawet nie wiem, co u niej słycać tak naprawdę, w środku.

Ida wystukiwała paznokciami na butelce sobie tylko znany rytm.

— Nie wierzę, że ona jest szczęśliwa — powiedziała. — Myślisz, że po tym, jak była z naszym Robertem, mogłaby naprawdę pokochać takiego Franka?

Podniosła głowę i popatrzyła Beacie w oczy. Beata westchnęła.

— Oj, Ida, nigdy nie wiadomo, co czuje drugi człowiek. Czasem sami nie rozumiemy, dlaczego czujemy tak, a nie inaczej. Może właśnie Franek dał jej to, czego potrzebowała, a czego nie chciał dać jej mój brat?

Ida wzruszyła ramionami, a Beata dodała:

— Właściwie to po naszym dzisiejszym spotkaniu jestem tego pewna.



Obie bardzo lubiły moment, kiedy rwanie dobiegało końca. Ludzie zaczęli zbierać się do domów, i chociaż nie rozróżniały słów, to w samych brzmieniach głosów rwaczy było coś, co świadczyło o tym, że się już żegnają, życzą sobie miłego wieczoru i stopniowo, grupami lub w pojedynkę udają się do stodoły. One same czuły wtedy przypływ ostatnich sił, szybko dorywały swoje łubianki albo rwały jedną, brakującą do pełnej skrzynki, wspólnie. Potem zabierały swoje rzeczy i przemierzały długość sadu dzielącą je od stodoły, czując przyjemne zmęczenie, dumę z kolejnego przepracowanego dnia i radość, że dzień ten już się kończy.

Ida minęła stodołę i poszła prosto do domu. Beata wzięła jej pustą łubiankę i weszła do mrocznego wnętrza w ślad za jakąś parą.

— No to fajrant na dziś, panie Mateuszu — usłyszała głos chłopaka. — Patryk i Gośka, powinno być osiemnaście skrzynek.

— Zgadza się.

Beata dostrzegła już zarys Mateusza, który pochylał się nad swoim zeszykiem.

— Dziękujemy, do jutra. — Chłopak uklonił się śmiesznie, odbierając pieniądze. Dziewczyna już czekała na zewnątrz, odwrócona plecami.

Beata rozejrzała się i oprócz dziadka dostrzegła siedzącego na murku Cypriana.

Patrzył na nią. Kiedy napotkał jej wzrok, uśmiechnął się do niej.

Nie wiedziała, dlaczego nagle poczuła się niezręcznie w swoich krótkich szortach, które obnażały poplamione sokiem nogi prawie po pachwiny. Przetarła dłonią spocone czoło.

— Pójdę umyć łubianki, dziadku, dobrze?

— Naturalnie, naturalnie, dziękuję ci — odrzekł nieuważnie Mateusz, bo właśnie do stodoły

weszła pani Gienia. — Gieniu, już myślałem, że będziesz nocować w sadzie, bój się Boga.

— Pomogę ci.

Cyprian wstał z murka i pomógł jej pozbierać porzucone przez rwaczy w kącie stodoły łubianki.

Z naręczem plastikowych pojemników poszli wolno w stronę balii z wodą. W powietrzu unosił się zapach dojrzałych, nagrzanych słońcem brzoskwiń. Beata zanurzyła w balii kilka łubianek, sięgnęła po szmatkę i zaczęła usuwać przyklepione do plastiku listki i rozgniecione owoce. Woda szybko robiła się brudna.

— Jak ci się u nas podoba? — zagadnęła, podnosząc głowę i spoglądając na niego. Kucnął obok.

— Nigdy nie byłem w podobnym miejscu — powiedział, uśmiechając się do niej. — Nawet nie umiem tego określić.

Beata odwzajemniła uśmiech. Zapomniała o swoich szortach. Zresztą on nie patrzył na nie, patrzył na jej twarz. W jej oczy. Uśmiechał się.

— Pewnie tu tylko zawadzam, ale wszyscy są dla mnie tacy mili, zwłaszcza twój dziadek, że nawet przez moment uwierzyłem, że jestem tu niezbędny — roześmiał się cicho. — Zwoziliśmy dziś skrzynki z sadu, i wiesz, nie sądziłem, że to może sprawiać taką frajdę. Zapomniałem o wszystkim, najważniejsze było zabrać owoce jak najszybciej ze słońca. Nie sądzę, żeby cokolwiek innego na świecie mogło być w tej chwili równie ważne.

— Wiem, co masz na myśli — pokiwała głową. — Zerwać, zwieźć w porę, zważyć na czas, załadować i zakończyć kolejny dzień, tylko to się liczy. To jedno ma sens.

— Też tak sobie dziś pomyślałem — przytaknął prędko, jak gdyby zachwyciło go to, że mówią o tym samym. — Patrzyłem na wasz sad i pomyślałem sobie, że cokolwiek się stanie, te drzewa za rok znowu wydadzą owoce, które trzeba będzie zerwać, zwieźć i zważyć. A potem znowu. I znowu. Nas już dawno zabraknie, a ten cykl będzie się powtarzał. Taka myśl niesamowicie uspokaja. Fantastyczny jest ten wasz sad. Flora jakoś nigdy o nim dużo nie mówiła.

— Flora podchodzi do tego trochę inaczej — powiedziała Beata ostrożnie.

Nadgnita wiśnia wyjątkowo uporczywie trzymała się łubianki, Beata pochyliła się i zaczęła skrupulatnie szorować to miejsce szmatką.

— A jak twoja wizyta? — zapytał, wyławiając ręką z balii kilka dużych liści. Jeden z nich przyklepił się Beacie tuż pod łokciem i Cyprian zdjął go delikatnie. — Rano wspomniałaś, że idziesz do koleżanki. Dobrze się bawiłaś?

Zepsuty owoc odkleił się wreszcie od plastiku, Beata jeszcze raz przetarła łubiankę szmatką, przepłukała ją i odstawiła obok, na trawę.

— Nie — odrzekła. — Nie wiem, czy miałeś tak kiedyś... — zastanowiła się chwilę, jak gdyby szukała najlepszych słów. — Jakbyś sądził, że rozmawiasz z kimś dobrze znajomym i bliskim, a okazało się, że stoi przed tobą obca osoba. I nagle nie wiadomo, co mówić, co robić, kiedy się uśmiechnąć.

Cyprian pokiwał głową.

— Doskonale cię rozumiem — powiedział poważnie. — Paskudne uczucie.

— To dziwne, jak się czasem ludziom drogi rozchodzą, bez żadnej widocznej przyczyny. — Beata zanurzyła w balii kolejną łąbiankę. Pojemnik walczył z nią chwilę, a potem zanurzył się pod ciężarem wody, która wlała się przez szczeliny do jego środka. — Smutne.

— Ale czasem jest odwrotnie, czasem ludziom drogi niespodziewanie się przecinają — odrzekł. — I to jest niesamowite — jego głos przybrał nagle wesoły ton. — Może to kwestia zachowania równowagi w przyrodzie, jak sądzisz? — zapytał i prysnął na nią strumieniem ciepłej wody. Beata parsknęła śmiechem, a on dodał: — Ja w każdym razie bardzo się cieszę, że moja droga przecięła się wczoraj z twoją. Zawiodłaś mnie wprost do edenu.



Po tym jak skończyli ładować samochód, Franek się pożegnał, Stach Żałoska zaś skorzystał z zaproszenia Reginy na szarlotkę i siedzieli sobie teraz we troje z Mateuszem na ganku. Flora, która właśnie skończyła się kąpać i odstąpiła łazienkę Beacie, zeszła do nich na chwilę. Szukała Filipa, ale nie było go z nimi. Wróciła więc do domu, weszła na górę i zajrzała do lipnego pokoju. Ida leżała w samej bieliźnie na łóżku i czytała książkę, czekając na swoją kolej do łazienki.

— Nie wiesz, gdzie jest Filip? — zapytała Flora, siadając na skraju łóżka. Skrzypnęło.

— Nie wiem — ziewnęła Ida.

— Powinien już iść spać — mruknęła Flora. — Co czytasz?

— Nic — odrzekła Ida i zamknęła książkę. — Woda już się nie leje, chyba Beata skończyła się kąpać. Przepraszam cię.

Wstała z łóżka i otworzyła szufladę, w której trzymały z Beatą czystą bieliznę.

Flora też się podniosła.

— Pójdę go poszukać. Pewnie siedzi w namiocie z Cyprianem. Zasługuje na to, żeby porządnie oberwać, jak słowo daję.

Drzwi łazienki na dole skrzypnęły, po chwili do lipnego pokoju weszła Beata. Miała na sobie krótką nocną koszulkę w motylki, mokre kędziorki ładnie okalały jej szczupłą twarz. Pachniała

bzem. Flora popatrzyła na nią uważnie. Krótka koszulka w motylki odsłaniała pięknie opalone, zgrabne nogi. Flora nie odezwała się.

— Co tam, Floro? — zagadnęła Beata, rzucając na łóżko swój balsam do ciała. — Możesz iść się myć, Ida.

— Znowu zgubiła Filipa — mruknęła Ida, wychodząc z pokoju.

Beata spojrzała na Florę.

— Pewnie siedzi w namiocie u Cypriana — powiedziała. — Ale lepiej go poszukaj, jest ciemno.

Uśmiechnęła się, ale Flora nie odwzajemniła uśmiechu. Pa trzymała na lekko piegowaną twarz kuzynki i czuła nieokreślony niepokój.

— Lepiej go poszukam — powiedziała po chwili i szybko wyszła.

Na dworze zapaliła papierosa. Serce biło jej mocniej niż zwykle i nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Zaciągała się głęboko i wydmuchiwała dym w noc. Przymknęła oczy. Z ganku dobiegały dźwięki cichej, leniwej rozmowy. Powoli się uspokajała. Zgasiła niedopałek i wyszła do starego sadu.

Namiot świecił się w mroku na pomarańczowo. Na ściankach odcinały się wyraźnie dwa cienie, duży i mały. No tak.

Flora policzyła do dziesięciu, potem jeszcze raz i jeszcze raz, w końcu zdecydowała się zajrzeć do środka. Siedzieli tu obaj przy zapalanej latarce i grali w warcaby. Cypis siedział odwrócony do niej plecami, ale widziała twarz Filipa — uśmiechniętą, szczęśliwą. Rzadko miał taką minę. Flora poczuła znajomy aż za dobrze przypływ nagłej irytacji.

— Filip, co ty tutaj robisz? — powiedziała ostro, a oni aż podskoczyli. Cyprian się odwrócił; na jego twarzy były jeszcze widoczne ślady rozluźnienia, ale rysy szybko tężały i układały się w spiętą, zaciętą minę. Popatrzył na nią zimno.

— Gramy w warcaby, obiecałem mu dzisiaj rozgrywkę, a do tej pory nie było czasu — powiedział spokojnie.

— On powinien już pójść spać. Jest późno.

— Przesadzasz.

Kulka w gardle niemal zatamowała jej oddech. Musiał to zauważyć, bo natychmiast zmienił ton. Jednym ruchem zgarnął pionki z szachownicy i wrzucił je do płóciennego woreczka.

— I tak byłeś na straconej pozycji, stary — powiedział do Filipa, który z rozpaczą obserwował, co się dzieje. — Przemyśl sobie strategię, zagramy jutro po śniadaniu, słowo. A teraz idź do domu, mama ma rację, jest już późno.

Filip bez słowa wyczołgał się z namiotu, tuż obok matki, nie patrząc na nią. Flora ze złością

pomyślała, że pewnie płacze. Chciała wycofać się za synem, ale Cyprian przytrzymał jej dłoń.

— Przyjdiesz dzisiaj? — zapytał cicho.

Popatrzyła na niego. W jej wzroku było coś takiego, że puścił jej rękę i bez słowa patrzył, jak wychodzi z namiotu.



Matiemu co prawda nawet przemknęło przez myśl, żeby po ślubie zakończyć swą zażyłą znajomość z Różą, ale jakoś mu to nie wychodziło. Musiał przyznać, że Róża była naprawdę niezwykle dyskretna, a przy tym sprytna w organizowaniu schadzek, tak by nikt we wsi nie zorientował się w ich romansie. Gina była najpierw zaabsorbowana domem, potem śmiercią matki, a potem – swoją ciężką, i też nie podejrzewała niczego.

Według Matiego zresztą nie było czego podejrzewać. Szanował swoją żonę, która zawsze przypominała mu wysmukłą brzozę, a on kochał brzozy. Gina była idealną panią jego wymarzonego domu. Wspólnie planowali założenie jabłoniowego sadu, wspólnie sadzili drzewka przy domu. Mati wyciął prawie wszystkie chaszczce, jakie okalały chałupę, zostawił tylko na prośbę żony dwie lipy rosnące zaraz przy wejściu. Zdaniem Giny dodawały nowemu domowi godności i dostojęstwa, a Mati przyznawał jej rację.

Róża była dla niego miłą rozrywką, zwłaszcza teraz, gdy Gina była w ciąży. Nie chciała odeń niczego, wiedziała doskonale, że jego prawdziwe życie jest w domu pod lipami, widywała Ginę w kościele i nawet podobała jej się ta panna z miasta, która teraz bawiła się w panią na gospodarstwie. Na pewno Róża nie czuła do niej niechęci. Była gotowa oddać Matiego, gdy tylko zajdzie taka konieczność, bo chociaż bardzo go lubiła i ceniła jego umiejętności, to już zdążyła się przekonać, że nie jest on tym, na którego czekała.

ROZDZIAŁ 5

Był wczesny ranek, ale Ida już nie spała. Leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w sufit. Za uchylonym oknem brzęczała pszczoła.

Ida zawsze czuła się bezpiecznie w domu dziadków. Tutaj wszystko było jasne, przejrzyste i harmonijne. Brzęczenie pszczół rano, cykanie świerszczy wieczorem, a w międzyczasie szereg innych dźwięków i odgłosów, które układały się razem w spokojną, swojską melodię. Ida pomyślała, że dyrygentem jest i pozostanie Regina, i uśmiechnęła się na tę myśl.

Zawsze chciała być taka jak ona. Dominująca, poukładana, niezachwiana. Ze spizu. Ze stali. Nieraz wyobrażała sobie babkę jako młodą dziewczynę: pewną siebie piękność o czarnych włosach i ironicznym spojrzeniu, w której kochało się pół pobliskiego miasteczka, ale ona wybrała tajemniczego przybysza nie wiadomo skąd, który pokochał ją szaleńczo i w którym ona zakochała się bez pamięci. Z którym założyła dom. Dom, w którym odtąd niepodzielnie panowała. Życie Reginy było dla Idy symbolem życia spełnionej kobiety, życia, w którym zawsze ostatnie słowo należało do głównej bohaterki. Nikt z nich potem nie żył tak jak ona. Losy jej dzieci i wnuków rozmywały się, były niewyraźne i nieokreślone. Żadne z nich nie potrafiło tak do końca wziąć spraw w swoje ręce.

Ida coraz częściej myślała o tym, czy ona sama jest w stanie wpłynąć na swoje życie. Czy potrafi sama zdecydować o tym, jakie będzie. Tak jak Regina, kobieta, która sama ukształtowała siebie, swój los i całą swoją rodzinę. Ida czuła, że to lato jest ważne. Że wydarzy się coś, co będzie dla niej sprawdzianem, jakim jest człowiekiem. Jaką jest kobietą. Skądś przecież pojawił się w sadzie dziadka Kuba. Coś go tutaj przywiodło. Ida uśmiechnęła się do siebie.

Beata poruszyła się obok.

– Śpisz? – zapytała natychmiast Ida. Bardzo chciała z nią porozmawiać.

Beata otworzyła jedno oko i natychmiast je zamknęła. Ziewnęła.

– Uroczą hipokryzja, obudzić kogoś troską o jego spokojny sen. Nie śpię, Iduniu. Która godzina?

– Jeszcze nie ma siódmej. Nie mogę spać – odpowiedziała Ida; przewróciła się na bok i oparła na łokciu. – Myślę o babci – rzekła poważnie. – I o sobie.

– I co tam takiego wymyśliłaś? – wymruczała Beata w poduszkę.

– Powiedz, czy ja jestem do niej podobna?

Beata otworzyła oczy; uniosła głowę o kilka centymetrów.

– Do kogo, do babci? – powiedziała szczerze zdziwiona. – Skąd ten pomysł?

– A więc nie jestem – westchnęła Ida i przewróciła się z powrotem na plecy.

Leżały obok siebie, jedna na plecach, druga na brzuchu.

– Nie, nie jesteś – powiedziała Beata po chwili. – Do niej trudno być podobnym. Ona jest jedyna w swoim rodzaju.

– Zastanawiałam się, czy odziedziczyłam jej siłę... jej charakter.

– No cóż... Chyba nikt z nas tego nie odziedziczył.

Ida westchnęła. Potem znów odwróciła się w stronę Beaty i ponownie oparła na łokciu.

– Co sądzisz o przyjeździe Cypriana?

Beata uśmiechnęła się mimowolnie.

– A co mam sądzić?

– Moim zdaniem to bardzo romantyczne – powiedziała Ida. – To tak, jak gdyby przyjechał za nią na koniec świata. Ale na tym chyba kończy się cały romantyzm, ponieważ nasza artystka jak zwykle stroi fochy. Zżera mnie ciekawość, co się teraz dzieje między nimi. Jak ci się zdaje?

– Nie wiem.

Beata zrobiła ruch, który miał być wzruszeniem ramion, ale ciężko było wzruszyć ramionami, leżąc na brzuchu w pościeli. Ktoś ostatnio mówił coś o jechaniu na koniec świata, ale kto to był?

– Jakoś mało czasu ze sobą spędzają – ciągnęła Ida. – Ale jest fajny, co? Miałam rację?

– Jest bardzo sympatyczny – odrzekła ostrożnie Beata.

– Widzisz, mówiłam ci – powiedziała Ida. – Jak go poznałam, od razu sobie pomyślałam, że się polubicie. Jesteście z tej samej gliny.

Beata bez słowa wstała, podeszła do okna i usiadła na parapecie. Było stąd widać rozległą równinę pokrytą polami zbóż; gdzieś tam usadowiły się domostwa sąsiadów, w oddali biegła szosa, horyzont odznaczał się równą linią lasu. Dochodziła siódma, ale w powietrzu czuć już było zapowiedź upału. Drogą nadchodzili pierwsi rwacze.

Ida znowu przewróciła się na wznak, skrzyżowała ręce pod głową.

– Cześć! – krzyknęła nagle Beata do kogoś, kto przechodził drogą. – Co tak wcześniej?

– Cześć! – Ida rozpoznała głos Kuby. Usiadła na łóżku. – Chcę dziś wcześniej wyjść – odkrzyknął Kuba. Ida zrozumiała, że przystanął, bo głos dochodził ciągle z tego samego miejsca. – Mam coś do załatwienia potem.

– To znaczy, że dziś ładujemy samochód bez ciebie? – roześmiała się Beata.

– Niestety. Ale na pewno dacie sobie radę.

Ida siedziała na łóżku, serce dziwnie się jej ścisnęło, a potem zabiło gwałtownie. Czy to był

znak, że w chwilę potem, jak myślała o nim, usłyszała jego głos? Uśmiechnęła się, uśmiech sam siłą wcisnął się na jej usta.

Beata tymczasem zeskoczyła z parapetu.

– Chodź – powiedziała do Idy, skulonej na łóżku. – Zapraszam cię na kawę na ganek.



Cyprian zapomniał zabrać wieczorem wodę z domu i teraz od świtu męczyło go pragnienie. Wyczekał jakoś siódmej, po czym stwierdził, że Regina na pewno już nie śpi, więc można śmiało udać się do kuchni. Wypełzył z namiotu, wyprostował się, przeciągnął. Ziewnął. Powietrze przesycone było zapachem rosy, wilgotnej trawy i czegoś jeszcze, czego nie potrafił zidentyfikować. Ta poranna rześkość udzieliła się i jemu, poczuł nagły przypływ sił i energii. I całkiem dobrego humoru, mimo że Flora rzeczywiście nie przyszła w nocy.

Przypomniał sobie nagle swój sen. Śniła mu się łąka i dziewczyna, która stała odwrócona plecami do niego, a twarzą do oślepiającego słońca, tak że widział tylko ciemny zarys jej postaci. Pamiętał, że wyciągnął do niej rękę, a ona cały czas się oddalała. Zupełnie jak Flora.

Cyprian lubił takie sny, dawały mu zawsze inspirację do nowych zdjęć. Pomyślał, że zabierze dziś Fifię na spacer i weźmie ze sobą aparat. Po południu będzie dobre światło. Mógłby też namówić Florę, zrobiłby jej piękne zdjęcia w zbożach i trawach. Znaleźć łąkę i zrobić jej zdjęcie dokładnie w takiej formie, w jakiej mu się śniła.

Z ganku mimo wczesnej pory dobiegł go dziewczęcy śmiech. Cyprian wspiął się po trzeszczących schodkach i zza winorośli wyłoniły się nagle kuzynki Flory. Siedziały tu, wokół unosił się zapach świeżej kawy, a one opowiadały coś sobie, obie w krótkich nocnych koszulkach, z nogami opartymi o poręcz. Na jego widok obie jednakowo się spłoniły, co było niezmiernie urocze, i szybko opuściły nogi, starając się tymi żalonymi rąbkami koszulek zakryć jak najwięcej ciała. Uciekać jednak nie miały zamiaru.

– Co tak wcześnie? – zapytali wszyscy troje naraz i każde z nich wybuchnęło śmiechem.

Cyprian zauważył, że Beata bardzo ładnie się śmieje, co zdarzało się niewielu osobom. Ludzie, zdaniem Cypriana, za bardzo starali się kontrolować emocje, a przez to tracili zdolność do naturalnych reakcji. Śmiech Beaty zaś był jasny i dźwięczny, czuło się, że wydobywa się z głębi jej istoty, że jest szczery.

– Przepraszam za to nieprzyzwoite najście – wytłumaczył się, siadając na najwyższym schodku, u ich stóp – ale męczy mnie pragnienie nie do opisania.

– Przepraszam za mój nieprzyzwoity strój – odrzekła Ida poważnym tonem. – Jednakowoż

męczy mnie upał nie do wyobrażenia.

Beacie wydało się, że słyszy w głosie Idy zaczepną nutę. Zaczepną czy zalotną? Wstała.

– Przyniosę ci wody – powiedziała. – I kawy, jeśli chcesz.

Spojrzał na nią; jego głowa znajdowała się na wysokości jej kolan. Mimochodem popatrzył na jej stłuczenie. Zmieszał się na ułamek sekundy, potem spojrzał jej w oczy.

– Jak kolano? – zapytał.

– W porządku. – Uśmiechnęła się. – To jak z tą kawą?

– Dzięki – odparł. – Miło z twojej strony.

Beata znikła w drzwiach.

– A może chcesz już śniadanie? – odezwała się Ida. – Chociaż właściwie Flora powinna się o ciebie troszczyć.

– Wstała już? – zapytał, mimo że jakoś tu jej nie brakowało.

– O tej porze? – Ida się roześmiała, ale nie był to ładny śmiech; może dlatego, że nie miała dobrych intencji. – Pewnie właśnie przewraca się na drugi bok.

Cyprian pomyślał, że Flora chyba nie jest specjalnie lubiana przez swoje kuzynki. Nigdy dotąd nie miał okazji zobaczyć jej na tle rodziny, ciekawiło go teraz, jaką osobą okaże się w tym otoczeniu. Do tej pory wydawała się taka sama. Brak sympatii jej nie przeszkadzał, chyba niewiele ją obchodziło zdanie młodszych kuzynek. A one pewnie to czuły. I może dlatego lubiły ją jeszcze mniej.

Na ganek wyszła Beata, niosąc małą butelkę wody i kubek z kawą. Za nią pojawił się Mateusz w kraciastej koszuli i luźnych, płóciennych spodniach, poplamionych już obficie czerwonym sokiem. Wybierał się do sadu.

– Witam, witam – odpowiedział dobrodusznie na przywitanie Cypriana. – Co tak wcześniej? Żle się panu śpi w namiocie?

– Skądże – zaprzeczył Cyprian. – Właśnie znakomicie się wyspałem, sam tego nie rozumiem. Proszę mi dać dziesięć minut i jestem w stodole.

– Daj spokój, chłopcze, nie miałbym serca gonić cię do roboty, kiedy moje wnuczki machają sobie nogami na ganku. Zjedz śniadanie z dziewczętami, załatw swoje sprawy, potem możesz wpaść. Jest już Roch i Janek, pomogą mi.

– Wieczorem będziesz mógł przejąć cały interes – dał się słyszeć głos Reginy i jej głowa ukazała się w kuchennym oknie. – Rozmawiałeś już z nim? – zwróciła się do męża.

– Kiedy miałbym to zrobić? – szczerze zdumiał się Mateusz. – Przecież w tej sekundzie wyszedłem z domu.

– Musimy wyjść z mężem wieczorem – powiedziała Regina do Cypriana. – O osiemnastej

mamy w parafii nabożeństwo pożegnalne, nasz proboszcz odchodzi.

– A to nie w niedzielę, uroczyście? – zdziwiła się Ida.

– W niedzielę będzie swoją drogą, z władzami gminy i powiatu – wyjaśniła Regina – a dziś jest taka skromna msza, proboszcz chce nas pożegnać po swojemu.

– I nie wypada, żebym nie szedł? – upewnił się Mateusz, sądząc z tonu głosu, po raz kolejny. Mina Reginy mówiła sama za siebie.

– W każdym razie, moi kochani – kontynuowała – nie wrócimy przed siódmą. Samochód będzie pewnie jak zwykle koło szóstej, więc będziecie musieli sobie poradzić.

– Ja już wczoraj rozmawiałem z Jankiem i Rochem, zostaną i pomogą ładować – wtrącił szybko Mateusz. – Myślę, że nie będzie problemu, jeśli zgodzisz się pomóc. Wiesz, chodzi o to, żeby ktoś to nadzorował, bo Żałoskowie też idą do kościoła, inaczej Franek by wszystkiego dopilnował. To jak, mogę na ciebie liczyć?

– Oczywiście – powiedział Cyprian.

Jasne oczy patrzyły na niego z zaufaniem i wdzięcznością. Poczul miły przypływ dumy.

– No to świetnie. – Mateusz się uśmiechnął. – Dziewczynki, zapiszecie ostatnie partie skrzynek, te, których nie zdążę zwieźć z pola przed wyjściem. Kierowca będzie miał przy sobie druczki do wypełnienia, Beatko, ty je widziałaś, wiesz, jak to się robi. Waga netto, liczba skrzynek. Liczba odebranych skrzynek pustych, bo mają przywieźć. I nie zapomnij się podpisać. Iduniu, ty nie zapomnij zaproponować kawy. Widzisz, ile to zachodu z tym moim wyjściem – zaburczał na koniec z pretensją do żony.

– Poradzą sobie. – Regina wzruszyła ramionami. – Idź już, Gieni trzeba pewnie zawieźć puste skrzynki.

Mateusz wyminął siedzącego na schodkach Cypriana, zakładając po drodze stary, wypłowiały kaszkiecik, który nosił w upały. Cyprianowi wydało się, że staruszek jeszcze coś mruczy pod nosem.

– Może byście się ubrały – powiedziała tymczasem Regina. – I kto kupił te małe butelki wody? Przecież to się zupełnie nie opłaca.

– Ja je kupiłam, Regusiu, o co ci chodzi? – gdzieś z głębi domu dobiegł zaspany głos Flory. – Takie są wygodniejsze, każdy może wziąć ze sobą do sadu czy gdziekolwiek. – Stała na progu, okryta zwiewnym szlafrocikiem. Przeciągnęła się. – Co tu taki rejwach od rana? Nie można spać przy otwartym oknie, zewsząd kogoś słyszeć. Ty byłaś najlepsza – zwróciła się do Beaty – z tym wywrzaskiwaniem do kogoś bladym świtem. Kto to był?

– Kuba, jeden z pracowników – odparła Beata, patrząc na Florę przepaszająco. – Rzeczywiście nie pomyślałam, że mogę cię obudzić.

- Na drugi raz pomyśl – odrzekła Flora i ziewnęła. – Czy Filip już wstał?
- Jest w łazience – poinformowała Regina, nadal wychylając się przez okno. – Floro, czy ty mu wbiłaś do głowy, że do śniadania trzeba mieć czyste zęby?
- Mówiłam mu o czystych rękach, ale to dziecko zawsze coś pomyli. – Flora wzruszyła ramionami. – Lepiej, żeby mył częściej niż rzadziej, prawda? A jeśli już mowa o śniadaniu...
- To zapraszam do kuchni – przerwała jej Regina. – Ludzie już przychodzą do sadu, a wy w szlafrokach. Wstyd. Zejdźcie im chociaż z oczu.



Koło południa Ida przysłała do stodoły po puste skrzynki. Dobrze im się rwało z Beatą, miały akurat nieduże, wygodne drzewko, więc nawet nie trzeba było wiele czasu spędzać na drabinie w palącym słońcu. Niewiele rozmawiały, ale to był ten przyjemny rodzaj milczenia, kiedy pozwala się drugiemu człowiekowi zatopić we własnych myślach, wiedząc, że w odpowiedniej chwili człowiek ten dopuści nas do swego świata.

W stodole Mateusz czyścił właśnie stary rowerek Idy. Filip stał z boku i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

- Dziadku, kiedy? – dopytywał się.
- Czekaj, czekaj, już zaraz – odpowiadał Mateusz. – Nie wypada, żeby taki duży chłopak jeździł na brudnym rowerze, chyba rozumiesz.
- A będę mógł pojechać do lasu i z powrotem?
- Halo – odezwała się Ida. Odwrócili się obaj w jej stronę, lekko zaskoczeni. – Przyszłam po skrzynki. Dziadku, masz tu coś do picia? Coś zimnego?
- Flora przyniosła przed chwilą sok dla Fifiego, stoi tam na skrzynkach, weź sobie – odrzekł Mateusz. – No, gotowe – powiedział, oddając kierownicę uszczęśliwionemu Filipowi. – A o ten lasek to lepiej zapytaj mamę.

Filip wskoczył na rower, wykręcił zgrabne kółeczko na środku stodoły i pojechał w stronę domu.

– Iduniu, pomyślałem, że może przydałaby się wam jeszcze jedna para rąk dziś wieczorem – powiedział tymczasem Mateusz, drapiąc się w głowę. – Zawsze to szybciej. Nie chcę bardzo obciążać Cypriana, nie wiem zresztą... No wiesz, on jest nienawykły do ciężkiej pracy.

Ida wzruszyła ramionami.

– Flora mogłaby nam pomóc – burknęła. – Obija się całymi dniami.

– Iduniu – Mateusz spojrział na nią prosząco, a jej natychmiast zrobiło się głupio – zawsze

wam mówiłem, i babcia też, że nikt z was nie musi tu pracować. To, że nam pomagacie, traktuję jako piękny prezent i odruch serduszka. Ale to nie jest wasz obowiązek. Nie zapominaj, że jesteście tu na wakacjach. Flora chce odpocząć, a my z babcią cieszymy się, że na miejsce odpoczynku wybiera właśnie nasz dom. Rozumiesz?

– Mhm – mruknęła Ida. I na wszelki wypadek pokiwała jeszcze głową.

– Wracając do sprawy... Pomyślałem o tym Kubie. Jest kolegą Franka, więc wydaje mi się, że najzręczniejszym będzie poprosić jego.

Ida drgnęła.

– Ale Kuba mówił, że chce dziś wyjść wcześniej, rozmawiał z Beatą... – powiedziała.

– Tak, tak, wiem – odrzekł Mateusz, znowu drapiąc się w głowę. – Dlatego właśnie z tobą rozmawiam. Poprosiłbym go sam, ale boję się, że może będzie mu niezręcznie mi odmówić. Nie wiem, na ile ważne sprawy ma do załatwienia, może mógłby to przełożyć. Pomyślałem, że najlepiej, jak ty byś z nim porozmawiała. Tak wiesz, niezobowiązująco. Zresztą co ja ci będę tłumaczyć, wy młodzi pięć razy się dogadacie, zanim ja w ogóle wyłuszcze sprawę. No to co, podejdziesz do niego zapytać? Rwie w piątym rzędku, mniej więcej w połowie. Zawiozłabyś tam przy okazji puste skrzynki.

Ida kiwnęła głową. Wstała. Zapomniała o soku Filipa. Myślała o tym, jak wygląda, czy wystarczająco dobrze, a zarazem na tyle nieporządnie, żeby wydać się zupełnie naturalna. Wózek stał na zewnątrz. Sięgnęła po puste skrzynki, Mateusz wziął drugą partię i wrzucili je byle jak na wózek.

– Dziękuję, Iduniu – powiedział Mateusz na odchodne. – Tylko wiesz, nie nalegaj zbyt mocno, może ten chłopiec naprawdę ma coś ważnego do załatwienia. Zapytaj po prostu. I nie wspominaj, że w moim imieniu, dobrze?

– Tak, tak, dziadku, wiem – przerwała mu Ida trochę niecierpliwie.

– No – Mateusz uśmiechnął się do niej – a ja wezmę drugi wózek i pójdę do Beatki.



Lekki wózek podskakiwał na dróźce między rzędami drzew. Razem z nim podskakiwały puste skrzynki, czyniąc nieprawdopodobny hałas i zapowiadając ją, na długo zanim znalazła się w polu widzenia. On już dawno wiedział, że ktoś nadchodzi – choć pewnie sądził, że to Mateusz. Ona zobaczyła go, będąc dopiero o kilka metrów od niego – tak szczelnie zasłaniały go splątane gałęzie wiśni.

– Cześć – powiedziała. W duszy skrzywiła się na ton tego „cześć”, nienaturalny, zbyt wysoki,

zbyt nerwowy. – Cześć – powtórzyła i odchrząknęła.

– Hej – odezwały się na to trzy głosy.

Bo Kuba nie rwał sam. Zza drzewa wychynęła wysoka dziewczyna w obciętych do kolan dżinsach i wysypała zawartość swojej łubianki do ustawionej w cieniu skrzynki. Z drabiny natomiast pomachał do zaskoczonej Idy chłopak w bojówkach.

– Cześć – powtórzył jeszcze raz Kuba i uśmiechnął się swoim pięknym, ironicznym uśmiechem. – Przywiozłaś skrzynki, fajnie. Kończą się nam.

– Wszystkie dla nas? – zapytała dziewczyna, uśmiechając się do Idy. Patrzyła na nią z zainteresowaniem.

– Tak. – Ida zrobiła wysiłek, żeby odzyskać normalny ton głosu. – Myślałam, że rwiesz sam, może za mało wam przywiozłam... – usłyszała, co powiedziała, i zmieszała się jeszcze bardziej. – To znaczy dziadek mnie tu przysłał, prosił, żeby ci podwieźć skrzynki, nie wspomniał, że jest was więcej – zaplątała się i umilkła.

– Dziękujemy – odezwała się szybko dziewczyna. Ida wiedziała, że chce ona pokryć jej zmieszanie, ale jednocześnie poczuła, że zainteresowanie dziewczyny przedzierzgnęło się wraz z tymi słowami w rodzaj pobłażania. Poczowała przyływ irytacji.

– To jest wnuczka pana Mateusza – powiedział tymczasem Kuba, nie spuszczać z niej oczu. – Ida. A to są pracownicy twojego dziadka, Gośka i Boro.

– Cze, Ida! – krzyknął z drabiny chłopak. – Miło poznać.

Po czym przeniósł swą uwagę z powrotem na czubek drzewka, który właśnie obrywał.

– Mnie również miło cię poznać – dodała dziewczyna.

Idzie wydało się, że nadal słyszy w jej głosie lekceważącą nutę, choć dziewczyna uśmiechała się miło.

Nie podobało jej się, w jaki sposób Kuba ich przedstawił. Poczowała się głupio, choć przecież nie miała obowiązku znać wszystkich, którzy przychodzili do sadu. To była jedna z tych chwil, kiedy żałowała, że nie jest Florą. Flora nigdy nie dawała sobie narzucić żadnej roli. Idę irytował coraz bardziej uśmiech Kuby. Był nieprzenikniony, mógł oznaczać zarówno sympatię, jak i pogardę.

– No to co – powiedziała dziewczyna dziarsko. – To ja może wyładuję te skrzynki z wózka, co? Zabierzesz od razu pełne? Niby staramy się, żeby stały w cieniu, ale gorąco dociera wszędzie, a to nie wpływa dobrze na owoce. W stodole będzie im zdecydowanie lepiej.

– Dobry pomysł – rzekł szybko Kuba, w ogóle nie czekając na to, co powie Ida. – Ja jej pomogę. Boro, ile jest twoich? – zawołał do chłopaka, który stojąc na najwyższym stopniu drabiny, zapalał właśnie papierosa. – Pan Mateusz notuje te skrzynki, które są zwiezione z pola,

trzeba mu będzie powiedzieć, ile zabraliśmy.

– Pięć – odkrzyknął chłopak niewyraźnie, poprzez trzymanego w ustach papierosa.

– Gocha?

– Sześć.

– Czyli moich też sześć – policzył Kuba szybko, spoglądając na dwa słupki. – Oj, Gocha, idziemy łeb w łeb – żartobliwie pogroził dziewczynie palcem. – Pamiętaj o naszym zakładzie.

Gośka się roześmiała.

– Ja pamiętam. Boję się, że to ty się go w końcu będziesz wypierał. Mamy zakład, kto nazrywa więcej – zwróciła się do Idy, która czuła się właśnie jak zakończenie dyszla wózka ze skrzynkami, przy którym stała, przestępując z nogi na nogę. – Wczoraj dyskutowaliśmy o profesjach typowo damskich i profesjach typowo męskich – kontynuowała z uśmiechem dziewczyna, podczas gdy Kuba zaczął zestawiać z wózka puste skrzynki, a na ich miejsce ustawiać pełne. – Jak we wszystkich naszych dysputach w tej również utknęliśmy w martwym punkcie i postanowiliśmy udowodnić nasze tezy doświadczalnie. To znaczy ja i Kuba, bo Boro jak zwykle wstrzymał się od głosu. Taką już ma życiową zasadę.

Ida nie potrzebowała, by ktoś jej cokolwiek wyjaśniał.

– Gotowe – powiedział Kuba tymczasem. – Pomogę jej zawieźć te skrzynki, a ty, Boro, pilnuj, żeby Gośka nie rwała w tym czasie. Zrób sobie przerwę na papierosa czy coś. Uczciwie ma być.

– No jasne – zgodziła się dziewczyna i uroczyście usiadła na środku ścieżki. – Czekam na ciebie w tym miejscu. Boro! – zawołała w stronę wierzchołka drzewa – Chodź tu i daj mi papierosa.

– Chodźmy – powiedział Kuba do Idy i popchnął przed sobą wózek.

Ida ruszyła za nim. Przypomniała sobie o prośbie dziadka, ale nie miała zupełnie ochoty poruszać z Kubą tego tematu. W uszach dzwonił jej zaimek „ona”. „Pomogę jej”, trzecia osoba, wielka nieobecna. Najsubtelniejszy wyraz lekceważenia.

Ale Kuba odezwał się pierwszy.

– Słyszałem, że jest dziś jakaś uroczystość parafialna. Franek mówił, że wybierają się całą rodziną. Może trzeba zostać i wam pomóc, co?

– Może jakoś sobie poradzimy – odparła Ida ostrożnie. – Ty zresztą chyba chciałeś dziś wyjść wcześniej...

– To nic pilnego – przerwał jej. – Wiem, że jesteś dużą i dzielną dziewczynką, ale przecież to jest kilka ton do załadowania.

– My codziennie pomagamy w ładowaniu – powiedziała Ida, słysząc ton małej obrażonej

dziewczynki. Jej głos postanowił dziś płatać jej figla za figlem.

– No wiem. – Kuba się uśmiechnął. – Przyjmijmy zatem po prostu, że moje sprawy nie są aż tak ważne i wolę dziś zostać i ci pomóc, dobrze?

Jakiś czas szli w milczeniu.

– Myślałam, że nie znasz tu nikogo – odezwała się Ida po chwili. – Poza Frankiem.

– Bo nie znam – odpowiedział Kuba.

Ida zrobiła zaskoczoną minę.

– No a tych dwoje tam? – zapytała. – Myślałam, że jesteście przyjaciółmi.

– Szybko wydajesz ocenę w tak delikatnej materii, jaką jest przyjaźń – odrzekł Kuba, uśmiechając się. – Nie, nie jesteśmy przyjaciółmi. Poznałem ich tutaj, w sadzie.

– Naprawdę? – Ida spojrzała na niego. – Robicie wrażenie bardzo zżytych ze sobą. Myślałam... No, nieważne.

Kuba milczał chwilę.

– Fajnie nam się razem pracuje – powiedział w końcu. – Oni nie są stąd, przyjechali tu do jakichś znajomych, śpią u nich na podwórku, pod namiotem, tak jak ja u państwa Żałosków. Ktoś im powiedział, że tu można zarobić, więc przyszli. Potrzebują kasy, wybierają się potem na Mazury.

– Są parą?

Kuba zerknął na nią i zaśmiał się krótko.

– Lubisz mieć wszystko ponazywane, co? – powiedział, a w jego głosie znów zabrzmiała ledwie wyczuwalna ironia. – To są przyjaciele, a to jest para. Takie to wszystko proste – przerwał, jak gdyby czekając, aż Ida coś odpowie, ale ona milczała. – Owszem – rzekł więc po chwili – dzieje się między nimi coś fajnego. Tyle.

Dotarli do tylnych wrót stodoły. Na zewnątrz wystawiony był traktorek Franka, on sam majstrował przy nim, tłumacząc coś jednocześnie Rochowi. Chłopak kuczał obok, słuchając w najwyższym skupieniu wywodów Franka na temat przedziwnej i zmyślnej konstrukcji pojazdu. Czerwoną, brudną koszulkę przerzucił sobie przez ramię.

– Cześć – zawołał do nich Franek, gdy tylko wyłonili się z rządka. – Kuba, dobrze, że cię widzę, możesz zostać dzisiaj dłużej? Wiem, że chciałeś załatwić coś w miasteczku, ale trzeba pomóc dziewczynom przy załadunku.

– Jasne – odrzekł Kuba, wyhamowując wózkem tuż przy traktorku; na przedramieniu zarysowały mu się mięśnie. – Właśnie rozmawiałem o tym z Idą, nie ma żadnego problemu.

– No i my zostajemy, damy radę wszyscy – odezwał się Roch. – Fajna zabawa z tym załadunkiem, a panu Mateuszowi to ja zawsze chętnie pomogę. No i dziewczynom też –

wyszczерzył nierówne zęby w uśmiechu, który przyprawił Idę o dreszcz odrazy.

– Jest jeszcze ten facet z Warszawy – przypomniał sobie Franek. – Pan Mateusz mówił, że on się wszystkim zajmie, ale szczerze mówiąc... Idzia, tylko nie miej mi za złe i nie powtarzaj Florce – tu spojrzął na Idę przepaszająco – szczerze mówiąc – znowu zwrócił się do Kuby – to ja bym wolał, żebyś ty miał oko na wszystko, ty już wiesz co i jak, znasz kierowcę. I myślę, że pan Mateusz będzie spokojniejszy, jak zostaniesz.

Kuba tylko skinął głową. Najwyraźniej nie uznał za stosowne powtarzać tego, co powiedział przed chwilą.

– To jak, Roch, siadasz za kierownicę? – Franek odwrócił się do chłopaka, który zakładał z powrotem przepoconą koszulkę. – Ja wskoczę na przyczepkę i możemy jechać na koniec sadu.



Wracając do Beaty, Ida usłyszała strzępy cichej rozmowy i stłumiony śmiech kuzynki. Wyjątkowo wesoły. Podeszła bliżej. Beata właśnie odwiązywała pasek, którym łubianka była przymocowana do jej bioder. Obok stał Cyprian.

– O, jesteś. – Beacie wreszcie udało się wysupłać z aksamitnego czarnego paska, należącego kiedyś do ciotki Elżbiety. – Zastanawiałam się, gdzie się podziałaś.

– Załatwiałam pomoc na dziś.

Cyprian miał ręce w kieszeniach. Uśmiechał się do Idy.

– A ty dokąd? – zapytała Ida Beatę.

– Cyprian chciałby zrobić trochę zdjęć tutaj na wsi i poprosił mnie, żebym pokazała mu parę naszych ulubionych zakątków. Zostaniesz sama?

– A Flora? – zapytała Ida. Sama dokładnie nie wiedziała, co ma na myśli, pytając o Florę. To pytanie samo wcisnęło się jej na usta.

Beata chyba nie zrozumiała również, a może zrozumiała za dużo, po swojemu, w każdym razie drgnęła. Drgnęli oboje.

– Co Flora?

– A... nic. – Ida zmieszała się tak samo jak oni. – Nie przejmuj się mną, skończę tę skrzynkę i pójdę pomóc dziadkowi.

– To fajnie. – Beata uśmiechnęła się, ale jakoś dziwnie. Nie było uśmiechu w tym uśmiechu.

– Dzięki – odezwał się Cyprian.

– To do zobaczenia.

I poszli.



Cyprian chyba tak naprawdę nigdy nie był na prawdziwej, bezkresnej niemal łące. Horyzonty wyznaczały mu zawsze odrapane ściany budynków, pomiędzy nimi czuł się wielki i bezpieczny, a teraz nagle pozostał sam ze sobą pośrodku wielkiej pustki i przytłoczyła go kopuła nieba.

– Nie wiedziałem, że ono jest takie wielkie – szepnął.

Beata się roześmiała.

– Prawda? A ty jesteś taki mały. Taki mały i nieważny.

Zapomnieli już zupełnie o niezręcznym pytaniu Idy.

– Nie czuję się nieważny – zaprzeczył, żartobliwie urażony. – Jestem bardzo ważny. Inaczej by mnie tu nie było, prawda? Przecież każdy z nas przybywa tu po coś.

Z rękami w kieszeniach zrobił kilka kroków i zapatrzył się na wschód.

– Pusto tu – powiedział po chwili.

– Wcale nie. – Podeszła do niego i wzięła go za rękę. – Trzeba tylko położyć się na trawie i posłuchać, jak rośnie. Zobacz.

Rozgrzana słońcem trawa pachniała sianem, Cyprian żałował, że ten zapach nie kojarzy mu się z dzieciństwem. Z niczym mu się nie kojarzył. A potem nagle pomyślał, że odtąd jednak będzie mu się już kojarzył – z tym rozgrzaniem przedpołudniem, kolorową od kwiatów i motyli łąką, z rudawymi włosami i niespodziewanym poczuciem spokoju. I bezpieczeństwa.

– Po raz pierwszy od dawna czuję, że jestem dokładnie tam, gdzie powinienem. Że w tej minucie nie czeka na mnie żadne inne miejsce – powiedział cicho, siadając. – Pięknie. Szkoda, że nie zabrałem aparatu.

Mówiąc to, uświadomił sobie, że przecież przyszli tu robić zdjęcia. A on nawet przez chwilę nie pomyślał o tym, żeby zabrać swoją lustrzanekę.

– I co byś zrobił z takim zdjęciem? – zapytała, też siadając. – Myślisz, że udałoby ci się zamknąć tę chwilę do czarodziejskiego pudełka?

– Myślę, że gdybym zimą spoglądał na to zdjęcie, byłoby mi jakoś... lepiej. Przypominałbym sobie to uczucie błogości.

– A mnie się wydaje, że uczuć nie można sobie przypomnieć. Trzeba je przeżyć, póki trwają.

– To źle, że ludzie chcą utrwaląć te chwile, kiedy jest im dobrze?

– Nie – pokręciła głową; włosy jej się przesywały, zaśniły w słońcu nieokreślonym kolorem.

Włosy Flory zaśniłyby jak heban.

– Nie – kontynuowała. – To nic złego. Dopóki proces utrwalania nie jest zamiast czegoś.

– Ty nie lubisz niczego zamiast, prawda? – zapytał, patrząc jej uważnie w oczy.

– Nie. – Znowu pokręciła głową. – Nieważne.

Wstała. I nagle znalazła się dokładnie między Cyprianem i słońcem, i stała się na moment zaledwie ciemnym zarysem postaci. Cyprian zmrużył oczy, jakieś skojarzenie przemknęło mu przez głowę, ale było zbyt szybkie, zbyt ulotne, by mógł je zatrzymać i określić. Wiedział, że ta niepomyślana myśl będzie go teraz dręczyć.

Wstał również.

– Zrobię ci bukiet, chcesz?

Popatrzyła na niego roześmianymi oczami.

– Ale ja najbardziej lubię takie malutkie bukietiki z dzikich bratków i niezapominajek. Takie robiłam w dzieciństwie.

– Nie ma sprawy. – Cyprian udał, że rozgląda się fachowo po łące. – Zaraz, zaraz...

– Niestety. – Pokręciła głową. – One już dawno przekwitły.

Cyprian podszedł do niej i z bliska zajrzał jej w oczy. One także były nieokreślonego koloru.

– Szkoda – powiedział poważnie. – Szkoda, bo chciałbym ci dać takie kwiaty, jakie lubisz.

Beata także spoważniała i prędko odwróciła głowę.



Regina zapaliła gaz pod gamkiem z ziemniakami, potem przyjrzała się kawałkom opanierowanej ryby. Flora stała obok przy zlewie, płukała sałatę i rzodkiewki przyniesione z ogrodu. Dochodziła pierwsza.

– Ciekawa jestem, gdzie Fifi- powiedziała Regina. – Wysłałabym go po dziewczęta do sadu, zanim przyjdą, obiad akurat będzie gotowy.

– Pewnie jest w stodole – odrzekła Flora, delikatnie osuszając liście sałaty kraciastą ścierką – z dziadkiem i Cypisem. Jak zawsze.

– Fifi go bardzo lubi, prawda? – powiedziała Regina, wlewając olej na patelnię. – Jest z nim bardzo zżyty.

– Zakładam, że nie mówisz o dziadku. – W głosie Flory pobrzmiwała ironia. – Tak, jest z nim zżyty. Za bardzo, moim zdaniem.

– Ale nie przeszkadza ci, że tyle czasu ze sobą spędzają, co? Masz wtedy spokój – ton głosu Reginy był nieodgadniony. Położyła na patelni pierwszy kawałek ryby. Zaskwierczał.

Flora rwała sałatę palcami i wrzucała do dużej szklanej miski.

– Fifi spędza czas z dziadkiem. Z dziadkiem spędza również czas Cypis, ponieważ mu

pomaga, jak twierdzi. Siłą rzeczy więc spędzają czas razem. Mam zakazać któremuś z nich pokazywać się w stodole?

Regina przewracała kawałki ryby na drugą stronę. Pięknie się rumieniły.

– Przecież i tak wiem, że rozumiesz, co mam na myśli, po co więc silisz się na złośliwości, w dodatku w taki upał. Otwórz okno, swoją drogą, gorąco się robi od tej patelni.

Flora bez słowa podeszła do okna i otworzyła je. Skrzypnęło. Przez winorośl widać było kawałek drogi. Po drodze tej szły dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Ich sylwetki były aż nadto znajome.

Flora spokojnie odeszła od okna, sięgnęła po deskę do krojenia i usiadła przy stole. Zaczęła kroić rzodkiewki w cieniutkie białe kółka o różowych brzegach i wrzucać je do miski z sałatą.

– Jak skończysz, to przejdź się z łaski swojej do stodoły – mówiła tymczasem Regina, zmniejszając gaz pod patelnią. – Zawołaj dziadka i Cypriana i wyślij Fifię po dziewczęta do sadu.

– Cyprian z Beatą już idą – odrzekła Flora spokojnie. – Właśnie ich widziałam przez okno.

Zapadła cisza. Nie patrzyły na siebie, bo Flora siedziała plecami do Reginy.

– Aha – powiedziała Regina po chwili. – Aha. To ty tu siedź sobie, rób sałatkę, a ja się przespaceruję. Pilnuj tylko ryby, nic nie jest ważne na tyle, żeby dopuścić do zwęglenia obiadu.

Wytarła ręce w ścierkę, zdjęła fartuszek i wyszła z kuchni, nim Flora zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Flora zresztą nie miała zamiaru nic mówić.

Regina zeszła z ganku akurat w chwili, kiedy Beata i Cyprian wchodzili na podwórze. Kiwnęła im głową i szybko, nie zatrzymując się, podążyła do stodoły. Nie widzieli dobrze jej twarzy.

W stodole oprócz Mateusza Regina zastała jeszcze Stacha Żalóskę; siedzieli obaj na plastikowych krzeselkach, drzwiczki do malowanego kredensu były uchylone. Cmoknęła z niezadowoleniem.

– Gdzie Fifi? – zapytała bez powitań.

– Nie wiem, gdzieś jeździ po sadzie – odrzekł Mateusz z pokorną miną. Wyczuł w głosie żony ogromną irytację i jak zawsze wziął ją do siebie. – Zaraz go poszukam.

– Tak byłoby najlepiej, zaraz będzie obiad. – Regina kiwnęła głową, a Mateusz czym prędzej podniósł się z krzeselka. – Poszukaj też Idy.

– Jak się miewasz, Renia? – zagadnął Stach, podczas gdy Mateusz wyszedł do sadu wołać swe wnuki. – Ale skwar, nie pamiętam takiego. Marynia chciała dziś iść do porzeczek, ale kazałem jej siedzieć w domu, wczoraj wieczorem kręciło się jej w głowie i tak zem pomyślał, że

to z tego gorąca.

– Możliwe – zgodziła się Regina nieuważnie. – Dobrze zrobiłeś, Stachu.

Stach uśmiechnął się i korzystając z tego, że Regina nie patrzyła w jego stronę, zwinnym ruchem schował przybrudzoną butelkę do kredensu.

Do stodoły wrócił Mateusz z Idą i Filipem. Stach podniósł się z krzeselka.

– I ja będę szedł, Hania też już pewno obiad naszykowała. Powiem wam, że jednak co synowa, to synowa. Zawsze to będę mówił i powtarzał. – Stach uśmiechnął się szeroko i klepnął Idę po ramieniu. – I z ciebie, Idzia, też będzie dobra synowa, ty fajna dziewczuszka jesteś. A jak ci się widzi ten nasz Kuba? Trochę narwany, ale Hania mówi, że złoty chłopak. Ja tam nie namawiam, ale jak masz pod nosem, to przypatrz się dobrze – Stach roześmiał się rubasznie i puścił oko do Mateusza.

Ida mruknęła coś pod nosem, ale napotkała wzrok Reginy i umilkła.

Wyszli ze stodoły.

– No to co, widzimy się na nabożeństwie – mówił jeszcze Stach, kiedy już dochodzili do ganku. – Szkoda tego naszego proboszcza, swój chłop był. A teraz to nie wiadomo kogo przysłał, oby nie takiego, co to w miasteczku jest. Po błogosławieństwie każe jeszcze piętnaście zwrotek pieśni śpiewać i z ambony zawraca każdego, co chyłkiem wcześniej chce z kościoła wyjść.

– Może nie będzie tak źle – odrzekł Mateusz, podając mu rękę. – Do zobaczenia, Stachu.

Stach uklonił się Reginie i wyszedł na drogę, pogwizdując.

– No, jak tam obiad? – zapytała Regina, wchodząc do kuchni.

Ida stanęła na progu: Flora nakrywała do stołu, Beata odcedzała ziemniaki, Cyprian zaś siedział w kącie i przenosił wzrok z jednej na drugą. Było cicho jak makiem zasiał.

– Ida, Fifi, myć ręce – powiedziała Regina swym głębokim, niskim głosem.

Zabrzmiało to tak, że Ida posłusznie wycofała się do łazienki, zgarniając po drodze Filipa, który również wyjątkowo nie marudził.

Kiedy oboje wrócili, wszyscy siedzieli już przy stole. Regina i Mateusz rozmawiali o odchodzącym proboszczu, Beata i Cyprian siedzieli obok siebie, patrzyli w swoje talerze i uśmiechali się, a Flora siedziała w kącie i obserwowała ich swoimi zmrużonymi oczami.



Flora zajrzała do pokoju dziadków. Regina stała przy oknie, prasowała spódnice do kościoła. Pokój był przyjemnie ocieniony przez wysokie malwy i pień lipy. Cicho grało radio, Regina nuciła sobie pod nosem. Obok, na stoliku stał kieliszek z ciemnoczerwoną nalewką Mateusza.

Flora przysiadła na szerokim tapczanie.

– I ty tak przed kościołem? – zapytała żartobliwie, wskazując palcem na stolik. – No, no, Regusiu, jak tak można.

– Cicho bądź – odrzekła Regina. – Muszę się trochę rozkręcić, na pewno będzie strasznie nudno.

Flora się zaśmiała.

– Ja myślę, że będziesz miała okazję do mnóstwa ciekawych obserwacji dotyczących swoich sąsiadek. Po drodze ze starego sadu spotkałam panią Gienię, pędziła już do domu, żeby się szykować, jak to ujęła. – Flora prychnęła pogardliwie. – Dziadek tak przeżywał rano, że zostawia sad, a tu cały sad pójdzie razem z nim na mszę. I po problemie.

– Nie przesadzaj. – Regina podniosła spódnice do okna, pod światło, sprawdzając, czy nie ma żadnych zgnieceń. – Tu nie pracują same starsze panie, wiedziałabyś, gdybyś czasem zajrzała do sadu. Poza tym nie chodzi o pracowników, tylko o samochód, który trzeba będzie załadować. Nawiasem mówiąc – położyła spódnice znowu na desce do prasowania, sięgnęła po żelazko, które wypuściło z trzewi kłęb pary – to ja rozumiem dziadka, tylko nie mów mu tego, na Boga. Wypada się pokazać.

– Oczywiście. – Flora kiwnęła głową i obie spojrzały na siebie tym samym kpiącym wzrokiem. – Będę milczeć jak grób.

– Masz zresztą u mnie dług milczenia – powiedziała Regina, dokładnie wodząc żelazkiem po fioletowo-czarnej materii. – Popatrz, już dwa dni gościmy twego konkubenta, a ja o nic nie pytam.

Flora pokiwała głową.

– Właśnie to mnie dziwi, Regusiu. Zawzięłaś się?

– A widzisz. Postanowiłam się nie wtrącać i trwam w tym postanowieniu.

Flora się roześmiała.

– A ja nie wierzę, że postanowiłaś się nie wtrącać. Ty czekasz po prostu na odpowiedni moment. Ale ja ci nic nie powiem – przechyliła się przez krawędź tapczanu, sięgnęła po kieliszek Reginy – ponieważ sama nic nie wiem. I ty dlatego nie pytasz, bo wiesz, że ja ci nie będę umiała odpowiedzieć.

Regina podniosła głowę i patrzyła na wnuczkę z głębokim namysłem.

– Jest ktoś w domu? – zapytała po chwili.

Flora pokręciła przecząco głową.

Regina podeszła do szuflady z bielizną, pogrzebała w niej chwilę i wyjęła paczkę długich eleganckich papierosów oraz zapalniczkę.

– Otwórz okno – poleciła. – Wiesz co? – kontynuowała, zapalając papierosa i podając paczkę Florze. – Uważaj.

Flora spojrzała na nią spod przymkniętych powiek, zapaliła papierosa, zaciągnęła się.

– Nie mam zamiaru uważać – odparła. – Jeśli muszę uważać, to właśnie znaczy, że uważać nie warto.

Regina wypuściła długą białą smugę wprost w otwarte okno.

– Jesteś głupia – powiedziała. – Jest dokładnie odwrotnie.

– Co ty mówisz. – Flora wzruszyła ramionami. – Albo coś jest, albo czegoś nie ma. Nie zatrzymasz niczego siłą.

Regina zaciągała się równie głęboko jak Flora. Ich papierosy spalały się w równym tempie.

– Nie zdajesz sobie nawet sprawy, ile półcieni istnieje pomiędzy bielą i czernią – powiedziała Regina po chwili milczenia. – I to na nie trzeba uważać, bo są najbardziej zdradzieckie. A są zdradzieckie dlatego, że ludzie najczęściej w ogóle ich nie rozumieją. Ale ja ci tylko mówię, a ty, oczywiście, zrobisz, jak zechcesz. Dzwoniła twoja matka.

– O. I co?

– Chcą przyjechać jutro z twoim ojcem.

– Zostaną aż do twoich urodzin? Wiem, że ojciec starał się o urlop, ale nie sądziłam, że mu się uda...

– Udało mu się. Ale nie zostaną do moich urodzin. Twoja matka mówiła coś o Grecji – odrzekła Regina. – Tak zrozumiałam, last coś tam, jakaś dobra oferta chyba. Przyjadą tu tylko na sobotę i niedzielę.

Flora popatrzyła na nią poważnie.

– Tak mi przykro, Regusiu. Serio. Ale znasz matkę, mogłaś się czegoś takiego po niej spodziewać. Dziwi mnie, że ojciec się nie sprzeciwił, on bardzo chciał uczcić ten twój jubileusz, chociaż nie rozumie, czemu jest w lipcu, skoro był już jeden w marcu. Ale wiesz, jak on ciebie szanuje.

Milczały przez chwilę.

– Pojedź zaraz do miasta, zanim zamkną sklepy – odezwała się Regina, gasząc niedopałek o parapet. – Do obiadu mam wszystko, ale kupisz cukier waniliowy i jakąś czerwoną galaretkę do tortu. I piwo dla twojego ojca. I wino dla twojej matki. I wodę mineralną, i może jakieś soki. Tak, kup soki.

– A poza tym? Coś do domu?

– Papier toaletowy – przypomniała sobie Regina. – Kończy się. Z każdym dniem więcej... No, nieważne zresztą.

Ponieważ to, co chciała powiedzieć, było niegodne damy.

– Idź już, chcę się przebrać.

– Pójdę zebrać rzeczy z altanki i zaraz pojedę – odrzekła Flora, również gasząc papierosa. – Daj niedopałek, wyrzucę do śmieci. Zamknąć okno?

– Nie, musi się tu wywietrzyć, dziadek ma okropnie czuły nos. Gdzie też on jest, swoją drogą? Powinien już tu być. – Regina otworzyła szafę. – Co malujesz? – zapytała jeszcze nieuważnie.

– A... nic szczególnego – odrzekła Flora niezdecydowanie, ale Regina szperała w szafie i sprawiała wrażenie, jak gdyby w ogóle nie czekała na odpowiedź.

Więc Flora odwróciła się na pięcie i wyszła.

Zajrzała do kuchni, wyrzuciła oba niedopałki do kosza i wyszła do starego sadu. Przechodząc podwórzem, natknęła się na Beatę, która szła właśnie w stronę domu.

– Już koniec rwania? – zainteresowała się Flora uprzejmie. – A gdzie dziadek? Regusia zaraz go zacznie szukać.

Beata przystanęła, przecierając wierzchem dłoni lśniące czoło i patrząc na upudrowany nos kuzynki.

– Dziadek jest w stodole, już idzie do domu. Kończymy powoli, Cyprian z Kubą właśnie zwożą skrzynki z końca sadu.

– Jest z nimi Filip?

– Tak.

– To w porządku.

Stały naprzeciwko siebie. Wyminęły je trzy dziewczynki, mówiąc im „dzień dobry”, ale żadna z nich nie zwróciła na to uwagi.

– A ty? Co robisz? – zapytała Beata po chwili.

– Jadę do miasta. Moi rodzice jutro przyjeżdżają, trzeba zrobić zakupy. – Flora spojrzała w stronę stodoły, bo w tej chwili właśnie wrota rozwarły się z charakterystycznym skrzypieniem i wyłonił się z nich Mateusz. – Dziadku, radziłabym się pospieszyć, babcia nie jest w najlepszym ze swoich nastrojów.

Mateusz szedł śpiesznym krokiem, mrużąc coś pod nosem.

– Beatko, zapisz dokładnie wszystko, tak jak ci tłumaczyłem, dobrze? – powiedział do Beaty, przechodząc. – Chłopcy już wrócili z sadu, zaraz zaczną ważyć. Poradzicie sobie, co? – zapytał jeszcze niepewnym głosem.

– No jasne, dziadku.

Beata poklepała go leciutko po ramieniu. Mateusz uśmiechnął się pocziwie.

- No to idę – rzekł i ruszył szybko w stronę domu, na ganku ukazała się bowiem Regina.
 - Ja też idę – powiedziała Beata.
 - I ja – kiwnęła głową Flora.
- Rozeszły się, każda w swoją stronę, każda z jednakową ulgą.



Miasteczko położone było kilkanaście kilometrów od wsi i wyglądało tak samo jak setki innych małych miasteczek, które istniały wyłącznie po to, żeby ludność wiejska miała gdzie robić zakupy, chodzić do fryzjera i ewentualnie przeprowadzać się lub kupować mieszkanie dzieciom. Na uroczym, mikroskopijnym rynku wydawała ostatnie tchnienia fontanna, otoczona zadbanym klombem. I klomb, i fontanna, i kolorowe kamieniczki mieszczące na parterach przeróżne sklepy zdawały się mieć zadowolone z siebie miny. Zewsząd wiało małomiasteczkową, przyjemną, sytą nudą. Flora nienawidziła takich klimatów.

Zrobiła szybko zakupy w delikatesach, pamiętając jeszcze o papierosach dla Reginy. Zapakowała wszystko do bagażnika swego srebrnego forda i ruszyła w drogę powrotną. Tuż przed skrzyżowaniem w polną drogę prowadzącą do domu dziadków przypomniała sobie o papierze toaletowym.

Najchętniej zawróciłaby do miasteczka, ale było późno i sklepy już zamykano. Nie miała wyjścia. Trzeba było podjechać na krzyżówkę.

Sklepik był jeszcze otwarty. W progu, oparty o futrynę, stał Zbyszek i palił papierosa. Flora zaparkowała pod kasztanem i wysiadła.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć, Floro – odrzekł Zbyszek. Zgasił papierosa o podeszwę i wyrzucił niedopałek do blaszanego kosza stojącego tuż przy wejściu. – Zapraszam.

Weszli do sklepu.

– Co cię do mnie sprowadza? – zapytał uprzejmie, stając za ladą.

Flora spojrzała na półkę ponad ramieniem Zbyszka.

– Podaj mi ten czerwony batonik – powiedziała. – Kupię Filipowi.

Zbyszek z uśmiechem podał jej batonik. Popatrzył na nią, ale Flora nadal rozglądała się po półkach.

– A jak w ogóle idzie ten interes? – zapytała, opierając się o ladę. – Opłaca się wam to jeszcze?

Zbyszek wzruszył ramionami.

– Na tyle, że nie zwijamy kramu.

– Pytam, bo tyle się ostatnio słyszy o plajtach małych przedsiębiorstw. Zakładam, że to dotyczy także takich interesików – kontynuowała Flora, ciągle rozglądając się po wnętrzu.

Zbyszek się uśmiechnął.

– Ten interesik jest tak mały, że już go w ogóle nic nie dotyczy.

Flora pokiwała głową. Zabębniła paznokciami w ladę. Na moment zapadła cisza, słychać było wysokie brzęczenie much złapanych na zwisający z sufitu lep.

– Coś jeszcze ci podać? – zapytał Zbyszek, a Flora w tym samym momencie powiedziała:

– Słuchaj, a czemu właściwie nie wpadniesz któregoś dnia? Myślę, że Beacie byłoby miło. Wspominała, że rozmawiała z tobą parę dni temu. Przecież kiedyś się przyjaźniliście, prawda?

– Dziękuję ci – powiedział Zbyszek; głos mu drgnął. – Może masz rację. Zajrzę któregoś dnia. Złoty pięćdziesiąt.

Flora sięgnęła do torebki.

– To daj mi jeszcze tylko papier toaletowy – powiedziała, szukając portmonetki i nie podnosząc głowy.

Zbyszek podrapał się za uchem.

– Mam tylko taki zwykły, szary.

Flora nadal grzebała w torebce.

– Dwa opakowania.

Zbyszek pokiwał głową i podał jej dwa duże opakowania. Flora nagle odnalazła portmonetkę, zapłaciła, pożegnała się i wyszła, pamiętając o uprzejmym uśmiechu na odchodne, który zresztą znikł z jej twarzy, gdy tylko się odwróciła.

Zakłęła pod nosem. Opakowania były tak duże, że nie sposób było elegancko zanieść je do samochodu.



Ponad połowa rwaczy pożegnała się już wcześniej – wszyscy sąsiedzi chcieli zdążyć na mszę. Kiedy Beata zajęła w stodole miejsce Mateusza, w sadzie zostało już niewielu pracowników – okoliczna młodzież, której odejście proboszcza nie interesowało, oraz przyjezdni – krewni, znajomi znajomych oraz ludzie, którzy trafili do sadu Mateusza zupełnym przypadkiem. Większość z nich rwała niedaleko stodoły i kiedy Beata stanęła we wrotach, mogła doskonale słyszeć śmiechy, chichoty, głosy, które pod nieobecność matek i ciotek stały się jakby pewniejsze i bardziej zalotne. Jakaś frywolna atmosfera zapanowała nagle w sadzie, Beata mogła to wyczuć,

przysłuchując się dobiegającym do niej żartom i przekomarzaniom. Może właśnie teraz jakaś para nikła w rżdkach, w słodko pachnącym ziele, w sobie nawzajem? Beata uśmiechnęła się do siebie.

Pracownicy schodzili z sadu nieśpiesznie, nieobecność Mateusza oraz starszych kobiet sprawiła, że praca jakoś się rozpełzła, dorywali swoje skrzynki powoli, zajęci nagle sobą, rozmowami, i choć Beata ich nie widziała, to przecież czuła, że zajęci byli także spojrzeciami i uśmiechami, powietrze aż wibrowało od tej nagle rozluźnionej, rozwiązłej atmosfery. I od upału. Przychodzili do stodoły, młodzi chłopcy i młode dziewczęta, nie potrafili powiedzieć, ile skrzynek zostawili w sadzie, zastanawiali się, a Beata stała z zeszykiem dziadka i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dwie osoby, zapisane na liście rwaczy pod dzisiejszą datą, w ogóle nie zjawily się w stodole.

Potem zawarczał traktorek Franka Żałoski. Cyprian zeskoczył z siedzenia, Kuba z przyczepki i już byli przy nich Roch i Janek, brali od razu po dwie skrzynki i nosili szybko na wagę, która stała w głębi stodoły. Cyprian przestawiał odważniki, Beata stanęła obok niego, przewróciła kartkę w zeszyku i czekała na kolejne wyniki.

– Dziesięć – powiedział Roch, stawiając ostatnie dwie skrzynki na wierzchołku słupka.

Cyprian w skupieniu odczytywał wagę.

– Sto czternaście – powiedział do Beaty.

Beata zapisała w zeszycie „10 – 114”. Była to już dwudziesta ósma dziesiątka. Na przyczepce stało jeszcze mnóstwo skrzynek. Jeszcze więcej skrzynek czekało w sadzie.

Roch i Janek odstawiali skrzynki z wagi na klepisko. Kuba niósł już kolejną skrzynkę z traktorka. Ida siedziała na murku, chwilowo niepotrzebna, bo czterej młodzi mężczyźni znakomicie dawali sobie radę. Potem Kuba i Cyprian pojechali traktorkiem po następną partię skrzynek, Janek i Roch wzięli wózek i także zniknęli w sadzie. Było jakoś wesoło i lekko, zwożenie i ważenie szło im szybko, Janek i Roch bez przerwy żartowali, i chociaż Ida przyglądała im się z niesmakiem, to oni tego nie widzieli, zajęci pracą i własną młodzieńczą siłą, której dawali teraz upust. Beata obserwowała, jak Cyprian zręcznie manewruje traktorkiem, jak Kuba zwinnie wskakuje na przyczepkę i stoi na niej, nie przytrzymując się niczego. Ida też patrzyła w tym kierunku. Który z nich zajmował jej uwagę? Beacie uśmiech cisnął się na usta, nie potrafiła go powstrzymać. Na sercu było jej bardzo lekko.

A potem przyjechał samochód, kierowca zdziwił się nieobecnością Mateusza i Żałosków, w takiej sytuacji nie chciał kawy, chociaż Ida przypomniała sobie o tym w samą porę i grzecznie zaproponowała poczęstunek, ale on odmówił, nie był zainteresowany tym młodym towarzystwem, szybko skończyli ładowanie, kierowca uzupełnił z Beatą druczki odbioru,

pożegnał się i odjechał. Pożegnali się także Roch i Janek, Ida zabrała do umycia puste łubianki, Kuba gdzieś znikł, może wyszedł za nią, i Beata została w stodole razem z Cyprianem.

Znowu uśmiechali się do siebie.

– Chyba pan Mateusz będzie z nas dumny – powiedział on.

– Był pewien, że damy sobie radę – powiedziała ona.

– Wiem.

Usiedli oboje na murku. Cyprian oddychał ciężko, był zmęczony dźwiganiem, ale czuł się fantastycznie. Kierowca tylko jemu uściśnął dłoń na pożegnanie, jak gdyby założył z góry, że pod nieobecność Mateusza on tu dowodzi, mimo że przecież rozliczał się z Beatą. Ale Beata była kobietą, a kierowcy potrzebny był męski uścisk ręki na przypieczętowanie kolejnego dnia. Odbiór owoców potwierdził z Cyprianem. Był pewien, że Mateusz będzie dumny, ale przede wszystkim był z siebie dumny sam.



Ida skończyła ustawiać umyte łubianki i wyszła ze stodoły. Na wprost przed nią, patrząc przez podwórko i dalej, przez pola, nisko nad horyzontem wisiało słońce. Niebo traciło intensywny błękitny kolor, nabierało rozmytej, fiołkowej barwy. Nadchodził piękny wieczór. Tuż pod nogami Idy przebiegła kotka Żałusków; Ida spojrzała za nią i wzrok jej napotkał Kubę. Siedział na dyszlu od wózka, stojącego pod ścianą stodoły, i zawiązywał sznurówkę starego trampka. Miał zmierzwione włosy, mokre od potu, Ida zauważyła, że kręciły mu się lekko, wyglądał jak ciemnowłosy cherubin. W podartych džinsach i wymiętej brązowej koszulce.

Nie sądziła, że jeszcze tu jest.

– Ładnie się uwinęliśmy – powiedział do niej, nie podnosząc głowy. – Pan Mateusz będzie zadowolony.

– To prawda – przytaknęła.

– Twój dziadek to jest taki człowiek, wiesz... – podniósł wreszcie głowę i popatrzył na nią – taki człowiek, że aż mu się chce pomagać. Nie spotkałem nigdy nikogo takiego. To musi być fajne uczucie mieć takiego dziadka.

Ida kiwnęła głową.

– Bardzo go wszyscy kochamy.

Kuba podniósł się z dyszla.

– Będę się już zbierał.

– A może zostaniesz na kolacji? – zapytała nagle, nie wierząc, że to mówi. – Dziadków

jeszcze nie ma, zrobimy coś szybko z Beatą, możemy sobie usiąść na ganku. Byłoby miło.

Uśmiechnął się, a Ida nie dostrzegła w tym uśmiechu jego zwykłej ironii.

– Na pewno byłoby miło. Ale ja przyszedłem dziś bardzo wcześnie, ciężki dzień. Pora wracać do siebie. Ale może przejdziesz się ze mną kawałek? To też byłoby sympatyczne.

Znowu się uśmiechnął. Ida też się uśmiechnęła i po raz pierwszy poczuła, że naprawdę uśmiechnęli się do siebie, że odwzajemnili dobrą energię.

– Chętnie – powiedziała tylko.

Szybko przeszli przez podwórko, minęli dom, wyszli na drogę i skręcili w stronę gospodarstwa Żałosków. W zbożu zapamiętałe cykały świerszcze.

– Często tu przyjeżdżasz? – zapytał Kuba, kopiąc kamień. Zwolnili tempo, szli nieśpiesznie, z rękami w kieszeniach.

– Nieczęsto. – Ida pokręciła głową. – Jak byłem mała, bez przerwy siedziałam u dziadków. Teraz jest inaczej. Ale bardzo lubię tu przyjeżdżać, tutaj czas inaczej płynie.

– Rozumiem. – Kuba pokiwał głową. – Mi też się tu spodobało, jak tylko wysiadłem z pociągu. Spokój, cisza. Życie sobie płynie i wszystko się wydaje proste.

– O właśnie – podchwyciła Ida. – Problemy robią się tutaj jakby mniejsze, prawda?

Kuba spojrzął na nią kątem oka.

– Tyle że i ty, i ja możemy to oglądać od środka i wiemy doskonale, że problemy tutaj wcale nie są mniejsze. A życie wcale nie jest prostsze.

Ida przygryzła wargę. Jakoś nigdy nie myślała w ten sposób.

– Nieważne – powiedział Kuba, choć ton jego głosu jakby lekko się zmienił.

– A ty – odezwała się szybko Ida – skąd znasz Hankę? Jakoś nie zapytałam do tej pory, a w sumie Hanka to nasza koleżanka.

Kuba uśmiechnął się, ale tym swoim zwykłym, ironicznym uśmiechem.

– Naprawdę? Jakoś nie zauważyłem, żeby tu przychodziła... Mam ciotkę w miasteczku, trzy lata temu pracowałem tam w knajpie i tak poznałem Hankę. Była kelnerką. Ale to pewnie wiesz.

– Coś tam słyszałam – odrzekła Ida niepewnie. – Właściwie to ona się bardziej przyjaźniła z Beatą...

Z twarzy Kuby nie schodził ironiczny uśmiech.

– W każdym razie zakumplowaliśmy się. Teraz potrzebowałem spokojnego miejsca i pracy i pomyślałem o niej. Hanka mówiła kiedyś o waszym sadzie, że zatrudniacie pół wsi i przyjezdnych, a państwo Żałoskowie zgodzili się, żebym spał u nich w namiocie.

– To tak jak Cypis. – Ida się uśmiechnęła. – On też śpi w namiocie, nawet mu się podoba.

Kuba kopał kamień.

– To narzeczony twojej kuzynki? – zapytał po chwili.

Ida wzruszyła ramionami.

– Kto ich tam wie. Flora jest dziwna. Chyba nie układa się między nimi najlepiej, mało czasu spędzają razem. Dziwi mnie trochę, że on nie wyjeżdża, ja bym dawno dała sobie spokój.

– Widocznie ją kocha – odrzekł Kuba, a wypowiedział to słowo bardzo naturalnie, po prostu.

Ida aż podniosła głowę.

– No chyba nie ma innego wyjaśnienia – zgodziła się.

– A może i jest – powiedział z namysłem Kuba, ale bardziej do siebie niż do niej. – A Flora jest malarką, dobrze zrozumiałem? – zapytał już głośniej.

Ida pokręciła głową.

– Nie, Flora pracuje w dużej firmie i zarabia duże pieniądze. Maluje dla rozrywki. Takie snobistyczne hobby.

Kuba się roześmiał.

– Nie wygląda na snobkę. Myślę, że to jest jakaś forma ochrony starych marzeń i nadziei. Chyba nie bardzo to jeszcze rozumiesz.

Ida przeknęła ślinę.

– Myślę, że Florę mało kto rozumie – powiedziała wolno i spokojnie. – Ale mnie to jakoś nie przeszkadza.

Zatrzymała się, bo dochodzili do rozstajów. Kuba przystanął również. Odwrócił się i stali teraz naprzeciwko siebie.

– Dlaczego ona tak cię irytuje? – zapytał cicho.

Czuła jego zapach, stał bardzo blisko.

– Nie irytuje – wydusiła.

Nie śmiała podnieść wzroku, patrzyła pod nogi. Piasek drogi był żółty, poznaczony w różne wzory wiatrem, butami, oponami rowerów i samochodów. Wiedziała, że on patrzy na nią.

– Myślę, że warto ją trochę bliżej poznać – powiedział głos nad jej głową i Ida poczuła, że on już odwrócił wzrok, nawet cofnął się o krok, chwila jakiejś dziwnej bliskości była tak ulotna, że w zasadzie w ogóle jej nie było, i Kuba znów miał nieprzenikniony wyraz twarzy, bardzo różny od tego sprzed zaledwie paru chwil, kiedy uśmiechali się do siebie pod stodołą.

– Wracaj do domu, do jutra – powiedział i odszedł, nie oglądając się za siebie.

A ona stała jeszcze chwilę na rozstajach, niezdolna oderwać od niego wzroku, oszołomiona tymi przedziwnymi zmianami napięcia między nimi. Nie rozumiała, co mogły one oznaczać.



Duże kuchnie o ogromnych stołach były stworzone do tego, aby gromadzić całą rodzinę. Cyprianowi bardzo podobała się kuchnia Reginy; nie przeszkadzało mu nawet, że była trochę ciemnawa, z uwagi na to iż jedno z okien wychodziło na ocieniony winoroślą ganek. Cyprian lubił jasne pomieszczenia, ale ta kuchnia, pomimo ograniczonego dostępu dziennego światła, miała jednak jakiś swój wewnętrzny, niewytłumaczalny blask. Być może blaskiem tym była Regina.

Cyprian od lat mieszkał zupełnie sam i ta samotność zaczynała mu coraz bardziej doskwierać. Od pewnego czasu coraz częściej łapał się na myśli, że marzy o własnej kuchni z własną rodziną wokół stołu. Kiedy zobaczył po raz pierwszy kuchnię Reginy, zobaczył swoje własne marzenie, zniszczone już dawno i przez kogoś zupełnie innego. Skoro marzenie dało się ziścić raz, czemu nie mogło ziścić się po raz kolejny? Flora była przecież wnuczką Reginy.

Teraz siedzieli w kuchni we czworo. Zmęczona, jakby nieobecna Ida, piękna Flora, cicha i zamyślona Beata, i on sam. Pili herbatę, kanapki robili wprost na stole – Ida, która siedziała najbliżej, powyciągała z lodówki wszystko, co mogło się nadać na kolację, i każde z nich sięgało po to, na co miało ochotę. Regina bardzo tego nie lubiła.

Z łazienki dobiegał plusk wody – to Fifi się kąpał. Cyprian pomyślał, że trzeba by mu było umyć głowę, ale Flora nie ruszała się z miejsca, a on jakoś nagle nie chciał demonstrować tej swojej zażyłości z chłopcem.

Zerkał na Beatę. Wiedział, że za często.

Za oknem mignęły sylwetki, dały się słyszeć jakieś głosy i po chwili do kuchni weszli Regina i Mateusz.

Regina była ubrana w elegancki kostium, który kiedyś dostała od Elżbiety – ciemnośliwkowy w wielkie czarne kwiaty. Cyprian znowu mimowolnie się na nią zapatrzył; może to fakt, że przed chwilą myślał o nich obydwo, o relacji między nimi, sprawił, że przypomniał sobie poranną scenę, kiedy jedna stała w oknie, a druga w progu – wychylały się jedna do drugiej, żeby widzieć siebie przez płaszczyznę ściany, obie coś mówiły, ale żadna nie zdawała się słuchać. Regina niedbale oparta o parapet. Flora niedbale oparta o framugę. Piękne zdjęcie.

– No i jak to pożegnanie proboszcza? – zapytała Ida. Wstała i włączyła czajnik. – Herbatki?

– Ja chętnie – odparł Mateusz, sadowiąc się na krześle.

Z łazienki przyszedł Filip w pizamce, zostawiając na podłodze mokre ślady stóp. Usiadł obok Mateusza.

– Msza była bardzo uroczysta – powiedziała Regina, patrząc z dezaprobatą na stół, gdzie królował chleb w plastikowej reklamówce. – Choć mam nadzieję, że pożegnamy wkrótce także

organistę, fałszuje nie do wytrzymania. Rada parafialna pięknie to zorganizowała, było dużo kwiatów.

– I nie tylko – parsknął Mateusz, mieszając herbatę, którą podała mu Ida. – Poproszę cukier.

– Ach, no tak – Regina uśmiechnęła się figlarnie. – Przewodnicząca była tak wzruszona, że z wrażenia postawiła pamiątkową butelkę wódki wprost na ołtarz, a proboszcz ją odruchowo przeżegnał. No ale poza tym było urocz.

– A tutaj? Wszystko w porządku? – zapytał Mateusz. Pytanie skierowane było do Cypriana i ten znowu poczuł przypływ dumy.

– Oczywiście – odparł.

– Beatko, pokażesz mi potem zeszyt, dobrze? I druczki.

– Oczywiście, dziadku – odparła Beata, przypominając sobie, że dwie osoby nie odmeldowały się tego wieczora.

Regina tymczasem usiadła obok Mateusza, spojrzała na Florę.

– Kupiłaś wszystko?

Flora pokiwała głową.

– To dobrze. Zaraz zabiorę się do tortu. Twój ojciec na pewno się ucieszy.

Cyprian drgnął, Ida podniosła głowę. Tylko Beata siedziała nieporuszenie.

– Dziadek przyjeżdża? – zapytał w imieniu wszystkich Filip. – Z babcią?

Regina znowu popatrzyła na Florę.

– Nie było okazji im powiedzieć – wzruszyła ramionami Flora.

– Tak, Fifi, przyjeżdża babcia Ela – powiedziała Regina, kręcąc głową. – Z dziadkiem.



Cyprian zapukał delikatnie i zajrzał do pokoiku Flory.

Leżała na łóżku, jeszcze w ubraniu, przeglądała jakieś pismo. Na odgłos otwieranych drzwi podniosła głowę. Spojrzeli na siebie. Cyprian zamknął za sobą drzwi.

– Ja tylko na chwilę – powiedział. – Musimy porozmawiać.

Odsunęła nogę tak, żeby zrobić mu miejsce na swym wąskim łóżku, ale on nie usiadł. Oparł się o ścianę, włożył ręce do kieszeni.

Flora wzruszyła ramionami.

– Słucham.

– Chodzi o przyjazd twoich rodziców.

Patrzyła na niego swoimi zmrużonymi oczami.

– Myślę, że to bardzo niezręczna sytuacja. Jakoś wobec twoich dziadków to inaczej wygląda, ale twoja matka... Jednym słowem, chyba najlepiej będzie, jak wrócę na kilka dni do Warszawy.

Flora opuściła wzrok z powrotem na pismo, przewróciła kilka stron.

– Jak chcesz.

– Nie chcę, żeby pani Regina musiała tłumaczyć, co tutaj robię – dodał Cyprian.

– W porządku.

Nie patrzyła na niego, patrzyła na stronę w piśmie, miała zmarszczone brwi. Cyprian chrząknął.

– To wszystko. Sprawdzę w Internecie rozkład autobusów. Wyjadę jutro rano.

Flora kiwnęła głową. Cyprian popatrzył na nią, po czym bez słowa wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Przez szparę sąsiednich drzwi sączyło się światło, z pokoju dobiegł głos Idy, potem Beaty. Cyprian stał chwilę u szczytu schodów, wstrzymując oddech. Potem powoli zszedł na dół. Z kuchni napływał słodki zapach pieczonego biszkoptu.



Olo zdecydował, że zaproszenie Matiego przyszło do niego w samą porę.

Lidka ciągle się wahała między dwoma mężczyznami swego życia, jak mówiła, a on nawet nie czuł się tym dotknięty, tak bardzo ją kochał. Matka patrzyła smutnym wzrokiem na to, jak chudł, mizerniał w oczach, a on nie mógł nic na to poradzić. Sił wystarczało mu tylko na to, żeby czekać na decyzję Lidki.

Kiedy Mati napisał mu, że kupił dom w jakiejś zapadłej wschodniej wiosce i ożenił się, Olo aż otworzył usta ze zdumienia. Mati bardzo chciał, żeby stary przyjaciel z wojska zobaczył wszystkie jego zdobycze, a Olo po namyśle stwierdził, że wyjazd był najlepszą rzeczą, jaką mógł sobie w tej sytuacji zafundować. Przede wszystkim chciał zejść z oczu swojej biednej, schorowanej matce, która co rano przeklinała dzień, w którym spotkał Lidkę. Pewnego słonecznego dnia z początkiem lipca Olo zostawił więc Lidce adres Matiego i wsiadł do pociągu jadącego na wschód. Wioska Matiego była bardzo daleko i to dla Ola było jej główną zaletą. Oglądane z okien pociągu pola złociły się zbożem i niebiesciły chabrami.

ROZDZIAŁ 6

Dochodziła dziesiąta, a one jeszcze nie zebrały się do sadu.

Regina poszła zebrać maliny, które obficie dojrzewały w promieniach lipcowego słońca, za nią do starego sadu wyszła Flora. Filip pobiegł z dziadkiem do stodoły. Ida wyszła na ganek, gotowa iść w ślad za nimi, ale coś ją na tym ganku zatrzymało, jakaś cisza i błogość późnego letniego poranka. Upał już się natężał, napinał przed południowym atakiem, a wszystko wokół zdawało się zamierać w oczekiwaniu. Więc Ida też zamarła — na krześle wyścielonym starą narzutą w czarno-zielono-żółte paski, w zieleni opasającej ganek. Beata była jeszcze w domu, podobnie jak Cyprian. Autobus do Warszawy odchodził o jedenastej.

Cyprian oznajmił im tylko, że ma coś do załatwienia w Warszawie, dlatego musi wracać. Nie mówił, kiedy wróci i czy w ogóle wróci, ale też nie żegnał się z nimi jakoś specjalnie i właściwie Ida była pewna, że Cyprian pojawi się, kiedy tylko za ciotką Elżbietą zamkną się drzwi.

Bo że jego nagły wyjazd miał coś wspólnego z przyjazdem rodziców Flory — to nie było tajemnicą nawet dla niej. W pierwszej chwili rozśmieszyło ją to bardzo, to salwowanie się ucieczką przed ciotką Elżbietą, tym bardziej że Ida doskonale mogła ją sobie wyobrazić w roli teściowej z dowcipów. Nie dziwiła się Cyprianowi. Ale teraz, siedząc na ganku i słysząc stłumione głosy dobiegające z kuchni, mimo szczelnie zamkniętego okna — a Ida mogła przysiąc, że jeszcze przed chwilą okno to było otwarte — nagle zaczęła układać sobie w głowie wszystko, co widziała przez ostatnich kilka dni. Spojrzenia, uśmiechy, gesty. Swoje własne słowa, które teraz nabierały nowego znaczenia. Ida przyglądała się temu nagłemu skojarzeniu, jak naukowiec przygląda się swojemu niespodziewanemu odkryciu — z zachwytem i zdumieniem. Jeszcze nie wiedziała, co owo odkrycie znaczy. Co z tego wyniknie. Ale nagle pojęła, że wyjazd Cypriana ma jeszcze inną przyczynę, i może ta właśnie przyczyna jest pierwsza i najważniejsza. Ida zakryła dłonią usta, zasłaniając nagły radosny uśmiech.

Przewidziała to przecież już dawno, ledwie go poznała, tylko nie uświadomiła sobie tego. Była wtedy jeszcze zbyt niedojrzała. Ale ta jej niedojrzałość nie miała potrwać już długo. Czy nie przyjechała tu z uczuciem, że coś się wydarzy podczas tych wakacji? I oto zaczynało się dziać, magia tego rozżarzonego lata już zaczęła działać. Pozostawało mieć oczy szeroko otwarte i w odpowiednim momencie wejść do gry.

Pomyślała o Kubie. I o jego znajomych. To był tak zupełnie inny świat, pachnący wolnością,

stężoną energią, naturalny i niewymuszony. Może gra się już rozpoczęła, tylko ona znowu dostrzegąca wszystko z opóźnieniem? Jak inaczej mogła wytłumaczyć to, co czuła wczoraj, stojąc blisko Kuby na rozstajach? Ida kiwała głową sama do siebie. Było tylko jedno wyjaśnienie. A Kuba był od niej mądrzejszy. Była pewna, że on wie dużo więcej niż ona. O życiu, o świecie. O niej samej. Czuła, że on doskonale rozumie, co się z nią dzieje, i że przyjdzie czas, kiedy jej to wytłumaczy. Tak, Ida była tego pewna. Odetchnęła z ulgą.

Ryza szczerknęła krótko. Ida wychyliła się i dojrzała Gośkę, w bladuróżowej koszulce i spranych dżinsach, nierówno obciętych tuż nad kolanami. Gośka szła wolno, z ramienia zwisała jej duża zielona torba. Może przez tę torbę cała jej postać była przygarbiona.

Ida wstała z krzesła i podeszła do poręczy.

— Cześć — zawołała do Gośki.

Gośka podniosła głowę i uśmiechnęła się. Podeszła.

— Cześć — powiedziała, opierając jedną nogę o najniższy stopień schodków. — Późno jestem, co? Ale nie mogłam zwlec się z łóżka. Co ja mówię — klepnęła się zabawnie dłonią w czoło. — Z jakiego łóżka, popatrz, jakich człowiek wyświechtanych frazesów używa bezmyślnie. Muszę to powiedzieć Kubusiowi — roześmiała się. — Z materaca nie mogłam się zwlec, i to z materaca, z którego co noc schodzi powietrze. Dramat.

Ida pokiwała głową.

— Ale chyba i tak się nie wyspałaś, co? — powiedziała.

Gośka miała bardzo podkrążone oczy i zgaszony uśmiech.

— To prawda. Dużo myślę nocą. Czasem nie mogę zasnąć do rana. A teraz jeszcze pokłóciłam się z Patrykiem. Dziwnie tak. Spaliśmy odwróceniem do siebie plecami, rozumiesz? Blisko i obco jednocześnie. Mam dreszcze, jak o tym myślę.

Ida pokiwała głową, chociaż nigdy nie spała odwrócona do nikogo plecami. Z wyjątkiem Beaty.

— A może napiłabyś się kawy? — zaproponowała. — A potem pójdziemy razem do sadu. Co?

— Chętnie. — Gośka kiwnęła głową i wspięła się po schodkach na ganek. — Ale tu fajnie — powiedziała, sadowiąc się w bujanym fotelu i rozglądając się dokoła. — Kurczę, gdybym miała coś takiego, siedziałabym tu cały dzień. Z książką i herbatą. I taki przyjemny cień daje ta winorośl.

— Tak samo myśli moja kuzynka Flora — powiedziała Ida. — Rozpuszczalna z mlekiem i cukrem?

— Parzona, jeśli mogę prosić. Czarna, bez cukru.

Ida weszła do domu. W sieni odgłosy z kuchni stały się wyraźniejsze. Zajrzała.

Stali oparci o szafki, oboje z kubkami kawy w dłoniach, bardzo blisko siebie. Rozmawiali cicho, uśmiechali się. W kuchni było duszno, bo również to okno wychodzące na podwórze było zamknięte.

Na odgłos jej kroków oboje podnieśli głowy. Beata dziwnie drgnęła, jakby się przestraszyła albo jakby ktoś ją nagle obudził.

— Przyszłam tylko zrobić kawę koleżance — powiedziała Ida i natychmiast poczuła się głupio. Słowo „tylko” zabrzmiało jakoś bardzo nie na miejscu.

— Jasne — odrzekła Beata dziwnym głosem.

— Cypis, mógłbyś się przesunąć na chwilę? — Ida chrząknęła. — Potrzebuję łyżeczkę z szuflady.

Cyprian odsunął się, pozwalając jej wyciągnąć szufladę. Wydało się jej, że drżą mu ręce.

Ida nastawiła czajnik, potem zdejmowała z suszarki czysty kubek, sypała do niego kawę, a w kuchni tymczasem wisiła niezręczna cisza. Beata oderwała się od szafek, podeszła do zlewu, gdzie było kilka nieumytych talerzy ze śniadania, odkręciła kran. Cyprian usiadł za stołem.

Czajnik zagwizdał. Ida zalała kawę.

— Idę — powiedziała i szybko wyszła z kuchni.

Gośka bujała się w fotelu, oczy miała przymknięte, nogi oparte o poręcz ganku.

— Jak pięknie pachnie — powiedziała. — Uwielbiam zapach kawy o poranku. Kawa nie smakuje tak o żadnej innej porze dnia, nie sądzisz?

— Proszę, czarna, bez cukru — odrzekła Ida, stawiając kubek na stole i siadając obok.

— Dziękuję. — Gośka otworzyła oczy, zdjęła nogi z poręczy i sięgnęła po kubek. — Miło z twojej strony. W ogóle wydajesz się miła.

Uśmiechała się bardzo sympatycznie.

Ida uśmiechnęła się również.

— Kuba mówił, że wybieracie się po wiśniach na Mazury. Fajny plan.

Gośka pokiwała głową.

— Fajny, tylko widzisz, teraz się pokłóciliśmy i ja już nie wiem, co z tego wyjazdu wyjdzie. — Umilkła. — A ty? — zapytała po chwili. — Gdzie jedziesz potem?

— Ja? Nigdzie.

— Żartujesz? — Oczy Gośki zrobiły się okrągłe ze zdumienia. — No coś ty, człowiek musi wyjeżdżać w nowe miejsca, inaczej nigdy nie odnajdzie siebie. Nowe miejsca weryfikują nas w pewien sposób. Rozumiesz, co mam na myśli? A lato to jest najlepszy okres. Ciepło sprawia, że ludzie są bardziej otwarci, swobodni, zauważyłaś? Dlatego to jest najlepszy czas na takie

podróże. Żeby poznać innych i siebie.

— Myślę, że dla mnie takim miejscem jest to tutaj, u dziadków — powiedziała Ida ostrożnie. Gośka się roześmiała.

— No nie wiem, myślę, że jeśli gdzieś się przyjeżdża od dziecka, to takie miejsce jest już w nas, w środku. W sercu, w duszy. Nie pozwala nam nic odkryć, raczej nas ogranicza. Nie czujesz tego czasami? Masz tu już ustalone miejsce i ustaloną rolę. Tak jak w domu. Nie znajdziesz tu nowej Idy.

Ida milczała; czoło miała zmarszczone.

— A może przyszlabyś dziś do nas rwać? — zapytała Gośka po chwili. — U nas jest naprawdę wesoło. Pogadamy sobie. Przyjdiesz?

— Zobaczę — odrzekła Ida, jakby wyrwana z zamyślenia. — Wiesz, ja zwykle rwę z moją kuzynką.

Ale przecież wiedziała, że przyjdzie. Gra się rozpoczęła.

— No to przyjdźcie obie. — Gośka wzruszyła ramionami. — W gromadzie zawsze weselej. — Odstawiła kubek z niedopitą kawą i wstała. — Pójdę już, poszukam chłopaków. Muszę pogadać z Borem, bo mi strasznie leży na wątrobie ta cała sytuacja. Mam nadzieję, że do zobaczenia — pomachała jej zabawnie ręką, zarzuciła na ramię zieloną torbę i poszła w stronę stodoły. Ida słyszała jeszcze, jak z daleka wita się z Mateuszem, który właśnie wyjrzał na podwórko.

Tymczasem tuż nad jej głową z rozmachem otworzyło się kuchenne okno. Wyjrzała Beata.

— Nie poszłaś jeszcze? — zapytała. — Co to za koleżanka była?

Ida odwróciła się na krześle.

— Taka... Rwie u nas. Znajoma Kuby.

— Dziewczyna?

— Znajoma — powtórzyła Ida poirytowanym głosem.

— Aha. — Beata jakby w ogóle nie zwróciła uwagi na ton kuzynki. — Bo wiesz, ja jeszcze nie idę do sadu. Odprowadzę Cypriana kawalek.



Gośka miała rację — z nimi było naprawdę wesoło.

Ida czuła się skrepowana tylko przez kilka pierwszych minut. Zaraz potem Boro przezwał ją panną dziedziczką, ona zaczęła się mu odgryzać, Kuba i Gośka śmiali się — i zrobiło się jakoś swojsko. Zaakceptowali ją.

Gośka i Boro wyglądali na zupełnie pogodzonych. Coś do siebie szeptali, ocierali się o siebie przy każdej okazji, gładzili po ramionach, zaglądali sobie w oczy. Ida spuszczała wtedy wzrok, to były jedyne momenty, kiedy czuła się nieswojo, ale też chwile te trwały krótko, zaraz potem jedno z nich mówiło coś wesołego, do wszystkich, tak że znowu śmiali się razem, rozwijała się nowa dyskusja, nowe pole do żartów i przekomarzań. Powietrze aż wibrowało.

Kuba śmiał się z nimi, sprzeczał z Goską, palił z Borem, na ich czułości zdawał się nie zwracać uwagi. Podobnie zresztą jak na Idę. Unikali swojego wzroku, ale Ida czuła, że napięcie między nimi było takie, iż można było podłączyć żarówkę. Zastanawiała się, czy Gośka i Boro to widzą, ale oni zdawali się bardziej zajęci sobą niż resztą świata.

— Palisz? — zapytał nagle Boro, podsuwając jej paczkę papierosów.

— Nie — pokręciła głową. — Nie tutaj.

— Aha, czyli normalnie palisz. I fajnie. — Boro wyjął papierosa, zapalił i podał paczkę Kubie; ten pokręcił głową. — Wygląda, że koleżanka to taka cicha woda, co, Kuba? Trzeba by ją lepiej poznać.

Kuba tylko się uśmiechnął.

— Potrzeba nam jedynie okazji, bo rozumiem, że tutaj nie odsłoni swego prawdziwego oblicza. A szkoda byłaby wielka i strata, gdybyśmy go nie poznali.

— Widzisz? W taki właśnie sposób to miejsce cię ogranicza — szepnęła jej Gośka do ucha i już głośniejszym głosem dodała: — A może Ida wyskoczyłaby z nami jutro do knajpy, co? Miałaby okazję pokazać to oblicze, którego ty, Boro, jesteś tak ciekaw.

— Ja myślę, że to Kuba powinien się tym obliczem zainteresować. Mnie nie interesują żadne oblicza poza twoim — rzekł wesoło Boro, chwycił Goškę za rękę i okręcił ją w jakimś dziwnym piruecie — moja panno. Moja — i pocałował ją prosto w usta.

Oni się śmiali, a między nią i Kubą znowu skoczyło napięcie. Kuba zrywał wiśnie, nie podnosząc głowy. W ogóle na nią nie patrzył. Nie wiedziała dlaczego, ale mimo to była pewna, że on czuje dokładnie to samo co ona. I chociaż była znowu skrepowana, chociaż czuła się tak nieswojo, to jednak serce jej podskoczyło. Ida była przekonana, że z radości.



Kiedy Beata wróciła, w wielkim garze spoczywały ułożone równo gołąbki. Regina siedziała na krześle i obierała ziemniaki. Obok, przy stole, siedziała Marynia Żałoskowa.

— Dzień dobry — powiedziała Beata i przestraszyła się swojego głosu. Brzmiał dziwnie słabo i piskliwie. Odchrząknęła.

— Dzień dobry, Beatko, dzień dobry — przywitała się Marynia i zmarszczki na jej twarzy na chwilę zmieniły układ, rozciągając się w uśmiechu.

— Gdzie byłaś? — zapytała Regina, nie podnosząc głowy.

— Odprowadzałam Cypriana.

— Aha.

— Ten pan Cyprian to ładny chłopiec — wtrąciła Marynia. — I do Florke pasuje, ona taka elegancka! Aż miło popatrzeć. Chociaż wczoraj, jakem szła do Zochy, to akuratnie widziałam Florkę pod naszym sklepem na krzyżówce, obładowaną papierem toaletowym, oj, nietęgą miała minę. — Marynia aż się zatrzęsała ze śmiechu, a jej niebieskie, wodniste oczka niemal znikły pod zmarszczkami. — Ale chłopca to sobie ładnego wzięła, a i mój Franuś mówił, że robotny jest, w stodole Mateuszowi pomaga. To kiedy ślub, Renia? Pewno się doczekać nie możesz pierwszą wnuczkę za mąż wydać.

Beata przestąpiła z nogi na nogę.

— Ja już pójdę, babciu, do sadu.

Regina podniosła głowę.

— Pamiętaj, że ciotka z wujkiem dziś przyjeżdżają.

— Pamiętam.

— Kto przyjeżdża? — zainteresowała się Marynia, gdy tylko Beata znikła w sieni.

— Elżbieta i Andrzej.

— O, to ty masz pewno pełne ręce roboty.

Marynia zrobiła ruch, jak gdyby chciała wstać od stołu. Uśmiechnęła się przepaszająco.

— Dajże spokój, Maryniu. — Regina machnęła ręką. Opłukała szybko obrane ziemniaki, wysypała je do garnka i zalała wodą. — Już mam wszystko podszykowane. Zrobię nam herbaty.

— No to jak, Renia, będzie weselisko? — wróciła do tematu Marynia, podczas gdy Regina parzyła dwie mocne herbaty. — Przydałoby się w rodzinie, co?

Regina westchnęła.

— To nie nasza sprawa, Maryniu. Zrobiam, jak zechcę.

Usiadła naprzeciwko Maryni. Podsunęła jej kubek z herbatą i cukierniczkę.

— E, takie nowomodne bzdury, że nie nasza sprawa — wzruszyła ramionami Marynia, sypiąc sobie do herbaty cztery łyżeczki cukru. — Ja tam, jak tylko mnie słuchy doszły, że mój Franuś w konkury uderza do Hanki, to go od razu wzięłam na spytki i kazałam pierścionek kupować. Beze mnie to pewnie by się jeszcze do tej pory prowadzali, a to nie ma na co czekać. I ja myślę, Florke fajna dziewczyna jest i ten pan Cyprian się znalazł, pora by już jej za mąż iść.

Marynia uśmiechała się dobrodusznie, siorbiąc herbatę.

— A powiedz, jak tam Hania sobie radzi jako mama? — zapytała Regina.

Marynia się rozpromieniła.

— Oj, ona to i jako mama, i jako żona, i jako gospodyni... No, lepszey synowej nie mogłam sobie wymodlić, Renia, naprawdę. I Basia nam się chowa dobrze, nie mamy z nią żadnych kłopotów.

— Ja też tak zawsze myślałam — przytaknęła Regina — jak jeszcze Hania się z naszą Beatką kolegowala, że to byłaby idealna żona dla waszego Franka.

Marynia z uśmiechem pokiwała głową.

— Będę już iść, Renia. Hania chce jechać na zakupy, obiecałam jej, że popilnuję Basi. Pozdrów serdecznie Elżbietkę. Miło, że znalazła czas, żeby tu na cały tydzień przyjechać, prawda?

— Oni będą tylko do jutra — chrząknęła Regina, wstając za Marynią od stołu. — No, ale cała reszta będzie na moich urodzinach, nic takiego się nie stało.

— No tak, no tak — kiwała głową Marynia, wychodząc do sieni. — Teraz ten świat taki zabiegany, nie ma kiedy rodziców odwiedzić. Ja to się cieszę, że mam Franka przy sobie, i wnusię. Tak jest najlepiej. Tak.

— Do widzenia, Maryniu — powiedziała Regina.

Marynia minęła się na ganku z Idą.

— Właśnie Beatka poszła do ciebie — powiedziała Regina, przepuszczając Idę w drzwiach i wchodząc za nią do kuchni.

— Tak, wiem, spotkałam ją w stodole — odrzekła Ida, nalewając sobie soku. — Przyszłam po wodę, znowu zapomniałam zabrać. Widziałam, że Cyprian nie złożył namiotu po sobie.

— Nie złożył, ponieważ go o to prosiłam — powiedziała Regina, wyciągając z lodówki małą butelkę wody i podając wnuczce. — Ponieważ przyjeżdża ciocia z wujkiem.

Ida zmarszczyła brwi.

— Zakładam, że nie zamierzasz ich tam położyć.

— Słusznie.

— A ponieważ mimo to namiot wiąże się z ich przyjazdem, zakładam, że ktoś będzie potrzebował namiotu, gdyż musi im odstąpić swój pokój.

— Brawo. Widzisz, Iduniu, i ty z twoim byстрыm umysłem chcesz iść zmywać kufle po piwie.



Elżbieta i Andrzej przyjechali w południe. Ciemnozielony mercedes z gracją wtoczył się na

podwórko i zaparkował w cieniu jarzębin, tuż obok srebrzystego forda. Para, która z niego wysiadła, prezentowała się bardzo elegancko, a przy tym swobodnie, dokładnie tak, jak przystało wyglądać parze ludzi sukcesu w weekend. On miał na sobie beżowe letnie spodnie i jasnozieloną koszulkę polo, ona sukienkę w delikatne motywy kwiatowe oraz urocze sandaalki z kokardkami. Nawet z daleka można było sobie wyobrazić, że otacza ich delikatna woń dobrych perfum, zarówno damskich, jak i męskich, a dobranych tak, by komponowały się w zniewalający i harmonijny zestaw. Trzy dziewczynki, które przechodziły właśnie podwórkiem, ponieważ znudziło im się rwanie wiśni i matka puściła je do domu, aż się zapatrzyły na to zjawisko. Wiedziały, że ludzie z tego domu należą do innego świata, ale nie sądziły, że aż tak bardzo. Pan Mateusz wydawał się normalnym panem, jak wszyscy we wsi, pani Reginy dziewczynki bały się panicznie, ale też rzadko ją widywały, a te wszystkie wnuczki też jakoś prze mykały niezauważenie, czasem tylko pomagały wieczorem przy liczeniu kilogramów i pieniędzy, ale wtedy były tak samo brudne i zmęczone jak wszyscy inni rwacze. A tu nagle na podwórku pojawiła się para jak z gazet albo z telewizji, w dodatku w okularach przeciwsłonecznych, co w pojęciu dziewczynek było szczytem elegancji. Dziewczynki wiedziały, że to córka i zięć pana Mateusza, ponieważ wszyscy w sadzie już zdążyli poinformować się nawzajem o tej wizycie, starsze kobiety powspominały nawet trochę tę córkę z czasów, gdy jeszcze tu mieszkała. Ale dziewczynki patrząc na tę gwiazdę filmową, która właśnie z wdziękiem wchodziła na ganek, nie wierzyły, że to tu właśnie się urodziła i wychowała, w tej samej wsi co one. Gwiazda weszła na ganek, skrzypnęły drzwi prowadzące do domu, gwiazdor natomiast rozglądał się z życzliwym uśmiechem po podwórku, wreszcie starannie zamknął samochód i ruszył w kierunku stodoły. Dziewczynki dały nura w leszczyny i uciekły na przełaj do domu.

Andrzej tymczasem dotarł do stodoły, z ogromnym trudem otworzył ciężkie wrota i zajrzał do środka. Nie zastał nikogo. Pooglądał z umiarkowanym zainteresowaniem ustawione równo w słupki skrzynki, poczęstował się jedną wiśnią i wyszedł drugimi wrotami do sadu. W oczy buchnęła mu obfita zieleń przemieszana z czerwienią dojrzałych owoców, dobiegł go wesoły gwar, bo część ludzi rwała blisko stodoły. Nad sadem stało wysoko doskonale błękitne niebo, gdzieś tam płynęły spokojnie białe obłoczki. Andrzej westchnął z rozmarzeniem i stwierdził, że jednak świetnie zrobili, przyjeżdżając do rodziców na weekend, chociaż przyjaciele zapraszali ich do swego domku nad jeziorem. No i poza tym te dziwne urodziny teściowej, wypadało przyjechać mimo wszystko. Andrzej westchnął po raz drugi. Bardzo szanował swoją teściową, darzył ją nawet sympatią, aczkolwiek dawno przestał próbować ją zrozumieć. Cieszył się za to z każdym rokiem coraz bardziej, że jego żona nie była do Reginy podobna, choć ona uparcie twierdziła, że jest inaczej. No, ale Elżbieta bardzo matkę ceniła, głównie za to, jaki wpływ miała

ona na wszystkich. Pewnie dlatego lubiła wyobrazać sobie, że jest taka sama, i Andrzej to absolutnie rozumiał, a nawet nie wyprowadzał jej z błędu. Już dawno zauważył, że jest to świetna recepta na harmonijne pożycie małżeńskie.

Teraz też urodziny matki były tylko pretekstem do przyjazdu, tak naprawdę Elżbieta po tym, jak w rozmowie telefonicznej dowiedziała się, że przebywa tu Cyprian, chciała na własne oczy zobaczyć, co się święci, i ewentualnie wyłożyć młodemu swoje zdanie oraz wpłynąć na sytuację. Co do Andrzeja, to szczerze wątpił w pomyślność tej misji, poza tym obecność córki i jej przyjaciela kładła się cieniem na tym skądinąd mile się zapowiadającym weekendzie. Andrzej już marzył o hamaku w starym sadzie teściów, w bagażniku, w przenośnej lodówce czekały dwie zgrzewki piwa i nie uśmiechały mu się rodzinne rozmowy o przyszłości z córką, którą uważał za taki sam cud natury jak Regina, obawiał się ponadto, że może zostać przymuszony do zabaw z wnukiem, z którym zawsze czuł się bardzo nieswojo. O rozmowach z Cyprianem starał się chwilowo w ogóle nie myśleć.

— Kogo szuka? — odezwał się tymczasem tubalny, zachrypnięty głos za jego plecami.

Andrzej się odwrócił. Głos należał do jegomościa we flanelowej koszuli w czerwoną kratę, która pięknie harmonizowała z pąsowym nosem o kształcie kartofla.

Andrzej poprawił okulary.

— Jestem zięciem właściciela. A pan?

Jegomość splunął.

— Heniek Charczuk — odrzekł, wyciągając rękę, którą Andrzej po chwili wahania zdecydował się, nie bez lekkiej odrazy, ucisnąć. — Rwać tu przychodzę do pana Mateusza. Dziś trochę przypóźno mi się wstaęło, ale już jestem.

— To świetnie — pochwalił Andrzej. — To proszę do sadu — dodał, stwierdziwszy, że pod nieobecność teścia należy przejąć kontrolę nad pracownikami. — Może... o, tutaj, przy tym drzewku.

Heniek podrapał się w głowę.

— Z tego co wiem, to tę odmianę najpóźniej się obrywa. Może lepiej pójdę tam, gdzie wczoraj skończyłem. I matka moja, zdaje się, tam rwie, dziś miała przyjść od rana, żeby doły i czuby oberwać, wie pan, gorąc taki, ja nie mogę.

Andrzej skinął głową; okulary znowu zsunęły mu się z nosa.

— Znakomicie.

Heniek niemal niezauważalnie się skłonił i znikł w jednej z alejek sadu. W tej samej chwili z innej alejki wyłonił się Mateusz. Za nim jakiś młody chłopak ciągnął wózek wyładowany skrzynkami. Andrzej pomyślał ze zgrozą, że może to być Cyprian, nie spodziewał się spotkania

tak od razu, bez wsparcia żony. Oni jednak zbliżyli się i Andrzej z ulgą stwierdził, że z tego co pamięta, Cyprian był dużo wyższy i w ogóle wyglądał chyba nieco inaczej.

— Dzień dobry, tato — powiedział z uśmiechem i podał rękę Mateuszowi. Chłopaka postanowił póki co zignorować.

Mateusz uścisnął rękę zięcia.

— Witam, witam — odrzekł, spoglądając dobrodusznie na Andrzeja. — Dobrze, że już jesteście. Janku, do stodoły z tym wózkiem, dobrze? Poważymy od razu. No i jak tam, jak podróż? — zagadnął, kiedy wszyscy trzej skierowali się do stodoły.

— Bardzo męcząca — przyznał Andrzej. — Straszliwe mamy te upały, w mieście wprost nie da się wytrzymać, wy tutaj macie zupełnie inaczej, jest przestrzeń, powietrze...

— Tak, tak. — Mateusz pokiwał głową. — Janek, po dziesięć na wagę, jak zawsze. A gdzie Roch? Szedł przecież za nami.

— On do Kaśki wykręcił. — Janek się roześmiał, sprawnie ustawiając słupek na wadze. — Pan wie, tej z miasteczka. Cholewki do niej smali.

— Sam smalisz, głupku — burknął Roch, który właśnie wszedł do stodoły. — W wychodku byłem.

Andrzej uniósł brwi. Poprawił okulary; mimo że w stodole panował półmrok i przez ciemne szkła niewiele widział, postanowił jednak pozostawić je na nosie.

— Andrzej, może poszukasz Filipa? Jeździ rowerem po sadzie, zawołaj go, usłyszy. Czeka na was od rana — powiedział Mateusz.

— Wiesz, tato, pójdę najpierw do domu — odrzekł pośpiesznie Andrzej. — Powinienem odświeżyć się po podróży, no i nie przywitałem się jeszcze z mamą.

— Aha, no dobrze. — Mateusz kiwnął głową. — To przyślę wam Fifię do domu.



Elżbietę zastał w kuchni; siedziała przy stole razem z Reginą i Florą i we trzy oglądały prezent od nich dla jubilatki — elegancki złoty wisiołek z ametystami, który kupili poprzedniego dnia. Flora miała swoją codzienną, znudzoną minę, która zawsze irytowała Andrzeja, Regina zaś przyglądała się drogiemu cacku z ciekawością. A może kpina. Andrzej nie był dobry w odgadywaniu min swojej teściowej.

Na jego widok wszystkie trzy podniosły swoje ciemne głowy.

— Witaj, mamó — przywitał się szarmancko Andrzej. — Witaj, Floro.

— Dzień dobry, Andrzejku. — Regina pięknie się uśmiechnęła i wstała, żeby podać mu dłoń,

którą on czym prędzej ucałował. — Ela już mi wręczyła prezent, zawsze była niecierpliwa. Ogromnie dziękuję, jak zwykle niepotrzebnie wydajecie na mnie tyle pieniędzy.

— Piękne klejnoty dla pięknych dam — przypomniało się Andrzejowi w samą porę okrągłe zdanie. — Mama jest warta każdych pieniędzy.

Elżbieta promieniała. Regina się uśmiechała. Flora kiwała się na krześle.

— Daj ojcu pić — powiedziała Elżbieta do Flory. — Gdzie byłeś? — zwróciła się do męża.

— U ojca, w sadzie — odrzekł Andrzej. — Dziękuję ci — dodał, bo Flora wręczyła mu szklankę z sokiem. — Sad jak zawsze robi wrażenie, piękny po prostu. Ta zieleń! I te wiśnie! Udały się w tym roku, prawda?

— O tak — potwierdziła Regina. — Wiśnie tak. Cena mniej.

Andrzej małymi łykami pił sok.

— No, ale nie rozmawiajmy o tym — dodała wesoło Regina. — Przyjechaliście w sam raz na obiad, zaraz wstawię ziemniaki. Fifi pewnie się niedługo zamelduje, to wyślę go po dziewczęta i siądziemy sobie całą rodziną przy stole. Gdzie chcecie jeść? W kuchni, na ganku, w altance?

— Na ganku — odparła Elżbieta. — Tam będzie zdecydowanie najprzyjemniej. Andrzej, chodźmy tymczasem do samochodu, przyniesiemy torby. Gdzie śpimy? — zapytała matkę.

— Dziewczynki odstąpiły wam lipny pokój, pójda spać pod namiot. Możecie już zanieść tam swoje bagaże.

— Nie ma go tutaj — syknęła Elżbieta, gdy tylko znaleźli się we dwoje na podwórku. — Dasz wiarę? Wyjechał dzisiaj.

Andrzej momentalnie się rozluźnił. A więc Cyprian dał nogę. Życie jednak nie było takie złe. Hamak i piwo nabierały realnych kształtów.

— No popatrz — powiedział ze zmartwioną miną. — A to pech.

— No pech — potwierdziła Elżbieta. — Matka mówi, że miał jakieś ważne sprawy do załatwienia w Warszawie, ale jak dla mnie, to po prostu uciekł. Jak każdy jej facet zresztą. No i cóż, pozostaje mi tylko wypytać matkę, bo Flora oczywiście nic mi nie powie — mówiła, czekając aż Andrzej otworzy bagażnik i wyjmie torby oraz piwo. — Cały przyjazd na marnie. Podaj mi tę kosmetyczkę.



Podczas obiadu Elżbieta wypytała Beatę o plany na przyszłość, Ida wysłuchiwała zaś obszernego wywodu na temat wagi studiów. Andrzej rozplýwał się nad gołąbkami, opowiadał teściowi, co ostatnio przeczytał na temat uprawy sadów i ogólnej sytuacji rolnictwa w Polsce, udzielił mu

kilku drogocennych rad, a potem dyskretnie oddalił się na hamak. Filip dziobał widelcem ziemniaki, co ogromnie zirytowało jego babcię i doprowadziło do wymiany zdań z jego matką, która skwitowała sytuację wzruszeniem ramion. Wreszcie Regina zaczęła sprzątać ze stołu. Mateusz podniósł się, a z nim Beata.

— Ja już muszę iść, miałem dopilnować chłopców przy zwożeniu — wyjaśnił Mateusz, zakładając swój kaszkiecik. — Dziękuję.

— Ja pójdę z dziadkiem — powiedziała Beata. — Pomogę wam. Ida, jeśli chcesz, to idź potem do tych swoich znajomych, ja już chyba dzisiaj nie wrócę do rwania. Pomogę zwozić.

Ida kiwnęła głową.

— Pomogę ci, mamó — odezwała się Elżbieta.

— A kiedy tort? — chciał wiedzieć Filip.

— Mamó, upiekłaś dla nas tort? Naprawdę nie trzeba było...

— Po południu — rzekła Regina, nie zwracając uwagi na Elżbietę; uśmiechnęła się ciepło do prawnuka. — Dostaniesz największą porcję, bardzo ładnie zjadłeś obiad.



W sobotę ludzie schodzili z sadu wcześniej. W stodole zatrzymywali się za to dłużej, plotkowali jeszcze, jak gdyby fakt, że mieli się zobaczyć dopiero w poniedziałek, sprawiał, iż musieli tym bardziej nasycić się swoją obecnością. Beata siedziała na murku z poplamionym szkolnym zeszytem na jednym kolanie i kalkulatorem na drugim i skrupulatnie zliczała każdemu jego kilogramy. Na szczęście para, przez którą wczoraj Beata nie mogła się doliczyć kilku skrzynek, z samego rana wyjaśniła swoje nieopatrzne ominięcie stodoły przy wychodzeniu z sadu i słupki znowu się zgodziły. Beata była bardzo zmęczona, całe popołudnie zwoziła skrzynki z Jankiem (Roch faktycznie gdzieś się w końcu zawieruszył na amen, podobnie jak Kaśka, której szukała ciotka), ustawiała, ważyła, zestawiała, znowu ustawiała i tak naprawdę ciągle było jej mało tego wysiłku, nie mogła się doczekać, kiedy przyjedzie samochód, żeby cały ten ogrom ustawionych po dziesięć skrzynek ruszyć raz jeszcze. Tymczasem zajęła myśli słupkami cyfr, które przez cały dzień uzupełniał Mateusz, kiedy oni zwozili nowe partie wiśni do stodoły, a które teraz trzeba było przeliczyć na wypłatę dla każdego rwacza.

W stodole panował miły gwar. Pani Gienia ujęła się pod boki i rozmawiała z Zochą Charczukową, która cały dzień dorywała doły i czuby po swym knąbnym synu. Heniek już dawno poszedł do domu, tłumacząc się ciemnymi plamami przed oczami. Ciotka Kaśki wypytywała każdego, czy przypadkiem nie widział jej siostrzenicy. Dwie młode kobiety, czekając

na swoją kolej do wypłaty, wymieniały się przepisem na ciasto.

Do stodoły weszła Ida, za nią Kuba i dwoje młodych ludzi, których imion Beata nie pamiętała. Popatrzyła na nich przez chwilę. Ida żartowała z dziewczyną, dyskutowała o czymś z chłopakiem — na Kubę zaś uparcie nie zwracała uwagi. On patrzył na nią, ale jakimś dziwnym wzrokiem. Za to trzymali się cały czas zastanawiająco blisko, ich ramiona w pewnym momencie otarły się o siebie i każde z nich zrobiło taki ruch, jak gdyby się oparzyło. Przy czym Kuba cały czas uważnie obserwował Idę, a ona cały czas starała się na niego nie patrzeć. Dziewczyna podeszła do Beaty.

— Jesteśmy zapisani jako Gośka i Patryk — powiedziała, próbując zajrzeć do zeszytu. — O, tutaj — dodała, pokazując palcem.

Beata zaczęła dodawać słupki. Potem sięgnęła do dużej starej portmonetki Reginy, w której Mateusz trzymał pieniądze, i odliczyła sumę.

— Dzięki. — Gośka puściła do niej oko. — Przyda się, jutro niedziela, trzeba mieć za co się bawić, nie? To jak, Idka? Zdzwonimy się, ale proszę cię, nie wykręcaj się, dobrze? Zobaczysz, będzie fajnie.

Ida pokiwała głową, coś jeszcze mówiła do chłopaka, on podał jej rękę, podbiegł do Gośki, zarzucił jej rękę na ramiona i wyszli, śmiejąc się, ze stodoły. Kuba podszedł do Beaty.

— Jak się rwało? — zapytała Beata, mnożąc cyfry.

— Pytasz o wiśnie? — Uśmiechnął się swoim ironicznym uśmiechem. — W porządku. Nie mogę dziś zostać do ładowania, ale wiem, że Franek przyjdzie. Poradzicie sobie? Pytam, bo nie widzę Rocha, poza tym słyszałem, że Cyprian wyjechał.

Beacie słupki zachwiały się na kratkowanej kartce. Zaczęła liczyć od początku.

— Na pewno damy radę. Poza tym przyjechał wujek.

Kuba przysiadł obok niej na murku.

— Ojciec waszej kuzynki, tak? Rodzice przyjeżdżają, Cyprian wyjeżdża. Zabawna zbieżność — powiedział i schylił się, żeby poprawić sznurówkę w trampku. — A Flora?

— Co Flora? — nie zrozumiała Beata.

— Flora zostaje? Wyjeżdża?

W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta. Beata podniosła głowę znad zeszytu. Popatrzyli na siebie.

— Dlaczego cię to interesuje?

Jego oczy zwęziły się, na wargi wypłynął dziwny uśmiech.

— A ciebie? Ciebie to nie interesuje?

Roześmiał się i podniósł z murka. Patrzył teraz na nią kpiąco, z góry. Beata bez słowa podała

mu pieniądze, oszołomiona. Kuba odwrócił się, pomachał Idzie, która stała po drugiej stronie stodoły, najwyraźniej czekając na niego, i wyszedł. Beata spuściła głowę. Nie chciała widzieć miny swojej kuzynki w tym momencie. Zagryzła wargi.



Flora siedziała samotnie na ganku. Palila papierosa. Matka i Regina zabrały tort i poszły do starego sadu, do ojca; dobiegały stamtąd dźwięki rozmowy i śmiech. Flora powiedziała, że musi sprawdzić maile i że przyjdzie za chwilę. Maili nie sprawdziła. Usiadła za to w bujanym fotelu, w cieniu winorośli, delektując się papierosem i tym, że wszyscy znajdowali się daleko od niej.

Nie był to azyl idealny. Ludzie kończyli rwanie i co rusz musiała odpowiadać na pozdrowienia przechodzących przez podwórko rwaczy. Ale nie miała innego miejsca. Jej altanka była zajęta, a w domu było dla niej zbyt duszno.

Kubę zauważyła w ostatniej chwili. On musiał widzieć ją dużo wcześniej, może nawet rozglądał się za nią, bo kiedy podniosła głowę, napotkała utkwiony w niej przenikliwy wzrok. Zmarszczyła brwi.

— Cześć — powiedział, przystając przy ganku.

Flora nie odpowiedziała, zaciągała się właśnie papierosem. Kiwnęła tylko głową.

— Urocze popołudnie — zagadnął z uśmiechem; miał piękny uśmiech. — O tej porze zaczyna się już robić przyjemnie i człowiek ma ochotę na spacer.

— Możliwe — odrzekła.

Kuba nadal się jej przyglądał.

— A ty? Masz ochotę na spacer?

Flora uniosła brwi.

— Słucham?

Kuba uśmiechnął się znowu, tym razem przekornie.

— Wyglądasz, jakbyś umyślnie siedziała tutaj sama.

Flora starannie zgasila papierosa w spodku od filizanki. Wyglądała pięknie — z rozpuszczonymi włosami, które wiły się jej aż do połowy pleców, w białej sukience z delikatnym haftem wokół dekoltu. Uśmiechała się kątem ust.

— Rzeczywiście, umyślnie siedzę tu sama. Wyciągnij z tego wnioski dla siebie.

Spojrzała mu w oczy. Patrzyły na nią z uznaniem, wcale nie obrażone czy dotknięte, raczej zaciekawione, zaintrygowane nawet. Kuba przechylił głowę, jak gdyby chciał na nią spojrzeć pod innym kątem. Flora nie spuszczała zeń wzroku.

Wreszcie roześmieli się oboje.

— Nigdzie nie wyjeżdżaj — powiedział Kuba i bez słowa pożegnania poszedł dalej.

Flora słyszała tylko jego pogwizdywanie.



Było już bardzo późno. Andrzej wrócił spod prysznic i rzucił się na łóżko. Był bardzo zmęczony dzisiejszym dniem. Zaraz po tym, jak zjedli w altance tort, przebrał się w modne szorty i poszedł do stodoły pomóc ładować samochód. Ona została z matką i Florą w domu, wspólnie przygotowywały kolację. Było bardzo miło, chociaż Flora wydawała się zupełnie nieobecna, ale z drugiej strony Elżbieta przywykła już do dziwnych nastrojów córki, więc nawet nie zwracała na nią specjalnej uwagi. Włączyły radio i kroїły warzywa na sałatkę, słuchając starych piosenek i rozmawiając o ich wycieczce do Grecji. Matka pytała o szczegóły i Elżbieta z przyjemnością opowiadała, co zamierzają zwiedzić i jakie sukienki kupiła sobie na tę podróż. W pewnym momencie okna rozjarzyły się reflektorami — to załadowana ciężarówka mijala dom i wykrecala na droge, po chwili w kuchni zjawily sie dziewczeta z Filipem. Na pytanie o wuja Ida odrzekla, ze na razie odpoczywa w stodole, ale jest z nim dziadek oraz pan Stach Żalotka, więc zeby ciocia sie nie martwila, bo zaraz przyjdą. I rzeczywiście zaraz przyszli, zarumienieni i jakoś dziwnie weseli. No i posiedzieli sobie wspólnie przy kolacji, choć Beata z Idą niewiele mówiły i w zasadzie szybko pożegnały się i poszły do namiotu. I dobrze. Elżbieta nie przepadała specjalnie za swoją siostrzenicą i bratanicą i cieszyła się, że mogą zostać tylko w swoim gronie.

Andrzej usnął niemal natychmiast. Elżbieta pogłaskała go po policzku, jak zwykle zapatrzyła się przez chwilę na jego piękny, męski profil, a potem cicho wymknęła się z pokoju, zeszła na dół i wyszła na ganek. Usiadła w bujanym fotelu i okryła się piękną wiśniową chustą, która znakomicie kontrastowała z hebanową czernią jej włosów.

Cieszyła się, że Andrzej przyjechał tu razem z nią. Bała się, że coś mu wypadnie w pracy, jak już nieraz bywało, że rzuci ją samą na pastwę polnych dróg, śmieącego na wszystkie strony zboża, że spojrzy w lustro w starej łazience rodziców i zobaczy dawną Elkę, wiejską dziewczynę, którą ojciec ofukiwał za przeglądanie godzinami kolorowych magazynów. Ale to ona miała wtedy rację. Wiedziała, że kiedyś sama stanie się jedną z tych zadbanych, dobrze ubranych kobiet, które uśmiechały się do niej ze zdjęć.

Gdy zobaczyła Andrzeja po raz pierwszy, on był studentem prawa, a ona kelnerką w stołówce. Od razu wiedziała, że zostanie jego żoną.

Jadąc na wieś z Andrzejem, nigdy nie wypadła z roli. Samej ciężiej było stawić czoło

wspomnieniom, pogodzić w sobie dwie Elżbiety — tę, którą znała tak dobrze, i tę, która uparcie przypominała o sobie podczas każdej wizyty u rodziców.

Pomyślała o Florze i poczuła ukłucie złości. Flora tak bardzo różniła się od córek jej przyjaciółek, które będąc mniej więcej w wieku Flory, miały już dawno ułożone życie, dobrze zapowiadającego się męża, wysmakowane mieszkanie, a urlopy spędzały w modnych kurortach. Flora zaś miała nieślubne dziecko, które w dodatku nosiło jej nazwisko, tak jakby było zupełnie niczyje, a jej związek z miernie zarabiającym fotografem trwał już dwa lata i nic z niego nie wynikało. Gdyby się pobrali, Elżbieta jeszcze by to jakoś przeboleła, ale taki stan w zawieszeniu wymykał się wszelkiej interpretacji i trudno było powiedzieć o nim coś konkretnego, zwłaszcza w rozmowie z przyjaciółkami przy włoskiej kawie.

W kuchni brzęknęło szkło, skrzypnęły drzwi. Na ganek wyszła matka, niosąc dwa duże kieliszki i butelkę z nalewką ojca. Usiadła obok Elżbiety, ustawiła kieliszki na stoliku, wypełniła je ciemnoczerwonym płynem. Podała jeden córce.

— Ładny wieczór — powiedziała. — Andrzej już śpi?

— Tak. — Elżbieta upiła łyk, nalewka przyjemnie ogrzewała przełyk. — Zmęczyła go jazda w upale, a potem jeszcze nadźwigał się w stodole.

Matka pokiwała głową. Ona także podniosła swój kieliszek do ust, choć Elżbiecie wydało się, że nic nie upiła.

— Mamo, jak ty możesz pozwalać ojcu prowadzić ten sad? Przecież to zupełnie nie na jego siły. Dobrze, że wam chociaż ten młody Żałosek pomaga, zapomniałam, jak ma na imię.

— Franek — powiedziała matka.

— Ale chyba się zgodzisz, że to i tak za mało. Powinnaś kazać ojcu skończyć tę zabawę w sadownika. Jeszcze gdyby to przynosiło jakieś rozsądne pieniądze...

Umilkła na chwilę, ale matka się nie odezwała. Najwidoczniej rozważała w duchu usłyszane słowa, więc Elżbieta dodała jeszcze pośpiesznie:

— Ja wiem, my wszyscy jesteśmy z tym sadem zżyci, zwłaszcza dzieci. Ale gdzieś jest granica między sentymentem a rzeczywistością. Ojciec zawsze był romantykiem, ale ty powinnaś spojrzeć na sytuację trzeźwo.

Siedziały obok siebie i obie patrzyły na wilgotne, czarne liście dzikiego wina, które odbijały wątpy blask zapalanej w kuchni lampy.

— No tak — odrzekła w końcu matka. — Tak, naturalnie. Ale nie martw się jeszcze aż tak bardzo. Oprócz Franka są też ci młodzi chłopcy, którzy przychodzą do rwania. Nawet Cyprian z chęcią pomagał i w dodatku twierdził, że mu się to podoba.

Elżbieta pociągnęła większy łyk z kieliszka.

— No właśnie — powiedziała. — Chciałam cię o to zapytać.

— O co?

Głos matki brzmiał, jak gdyby rzeczywiście nie wiedziała, o co córce chodzi, i Elżbieta poczuła rozdrażnienie.

— Co o nich sądzisz? — zapytała. — Jakie sprawiali na tobie wrażenie? Co tam jest między nimi?

Matka milczała przez chwilę.

— Nie rozumiem, dlaczego mnie o to pytasz.

Elżbieta wodziła paznokciem po krawędzi kieliszka.

— Znasz Floreę, ona w ogóle nie chce ze mną o tym rozmawiać. Nie zwierza mi się. Córka powinna czuć potrzebę zwierzenia się matce z takich spraw, nie uważasz?

— Czy ja wiem — głos matki drgnął i Elżbiecie wydało się, jak gdyby powstrzymywała śmiech. Ale było jeszcze za wcześnie irytować się na matkę, jeszcze nie otrzymała odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Powiedz mi, a co sądzisz o nim? — zapytała więc spokojnie.

— Jest bardzo miły — odrzekła matka.

Elżbieta pokręciła głową. Cmoknęła cicho, z niezadowoleniem.

— Nie rozumiem w ogóle, w jakim charakterze on tu przyjechał.

— Spał w namiocie, jeśli o to ci chodzi — pośpieszyła z informacją matka. — Ale czy ona tam do niego nie zaglądała, to już nie umiem powiedzieć. Możliwe, że coś umknęło mojej uwadze.

Elżbieta irytowała się coraz bardziej.

— Miałam na myśli, że przyjechał tu bez zaproszenia.

— Naprawdę nikomu nie zawadzał. Ty także przywoziłaś tu swoje koleżanki.

— Ale Cyprian nie jest Flory koleżanką — przypomniała matce Elżbieta. — Przyjechał tu tak, jak gdyby już był członkiem rodziny. Co? Jak myślisz? Może mają w końcu jakieś plany?

Matka nie odpowiadała, na moment zapadła cisza. Cykały świerszcze. Elżbieta zmarszczyła brwi. Nie było sensu się złościć. Poza tym była zbyt przejęta.

— Martwię się o nią — powiedziała. — I szczerze mówiąc, liczyłam, że go tu zastanę. Może wtedy sytuacja stałaby się dla mnie jaśniejsza.

— Flora jest mądrą kobietą — odrzekła Regina i Elżbiecie wydało się, że matka nagle spoważniała. — I myślę, że wszystko dobrze się dla niej skończy. No i jeszcze ja tu jestem. Tak więc bądź spokojna. — Podniosła się i potarła dłonią kark. — Pójdę się już położyć. Wstałam dziś bardzo wcześnie, żeby zrobić gołąbki dla mojego ulubionego zięcia.



Ida usnęła szybko, zmęczona pracą, potem kazaniem ciotki Elżbiety dotyczącym studiów, a na koniec własnym utyskiwaniem na niewygodny materac i drażniący zapach piołunu, nie wiadomo dlaczego rozsypanego po całym namiocie.

— Czy on to zamierzał palić wieczorami jako zioło czy co? — powiedziała poirytowanym tonem, zgarniając zwiędłe, szarozielone liście i wyrzucając na zewnątrz. — Śmierdzi jak nie wiem.

Beata nie miała ochoty rozmawiać i cieszyła się w duchu, że Idę szybko zmorzył sen. Zresztą kuzynka też wydawała się pogrążona we własnych myślach i wyjątkowo nie wykazywała ochoty na pogaduszki. Powierciła się chwilę w śpiworze, po chwili dał się słyszeć miarowy, spokojny oddech. Spała.

Beata leżała z otwartymi oczami. Świat spał, ale żył jednocześnie, zewsząd dobiegały nocne odgłosy, jakieś świerszcze, ujadanie psów we wsi, które nie wiedzieć czemu zawsze ją uspokajało, i cała masa innych, trudnych do zidentyfikowania dźwięków.

Pomiędzy nutą piołunu snuł się inny zapach i Beata wiedziała, że jest to zapach Cypriana. On sam spał tu jeszcze zeszłej nocy, jeszcze dzisiejszego ranka obudził się tutaj. Może leżał z otwartymi oczami, tak jak ona, i też wsłuchiwał się w odgłosy nocy, i też rozmyślał. Nad czym? Czy jego myśli i odczucia były tak samo niesprecyzowane jak jej?

Beata skupiła się nagle. Pociągnęła nosem uważniej. Próbowwała wyczuć jeszcze jeden zapach. Zapach Flory. Czy ona tu przychodziła? Ta myśl przebiegła przez nią nagłym spazmem. Zagryzła wargi. Czy kochał się z nią tutaj, na tym samym materacu, na którym teraz leżała ona?

Ida śniła dziwny sen o chłopaku, który szedł drogą i pogwizdywał, a Beata leżała z otwartymi oczami jeszcze długo w noc.



Z Olem poszło Róży bardzo szybko. Spotkała go pewnego razu, kiedy przechadzał się wśród pól, zamyślony i smutny. Nawiązanie przypadkowej rozmowy nie było trudne. Olo, poza tym, że starał się pomóc Matiemu, nie miał tu wiele do roboty, z radością więc skorzystał z okazji nawiązania nowej znajomości. Róża czuła, że Olo jest nieszczęśliwy, że potrzebuje czułości i zainteresowania – i potrafiła mu to dać. Uległ jej czarowi pewnej bezksiężycowej nocy w kępie młodych topoli.

Olo przypominał Róży prawdziwego Kozaka. Był niespokojny i namiętny. Mati był

spokojnym i zrównoważonym kochankiem – i Róża wołała Ola. Żadnemu z nich nie powiedziała o drugim. Róża starała się – w miarę możliwości i kiedy w grę nie wchodziły jej własne interesy – nie krzywdzić innych. Poza tym Matiego nigdy nie obchodzili jej pozostali mężczyźni, a i ona sama obchodziła go tylko do pewnego stopnia. Teraz, kiedy już lada dzień miał zostać ojcem, widywali się bardzo rzadko. Róża czuła, że to już nie potrwa długo i skończy się bezboleśnie dla obu stron.

Z Olem jednak rzecz miała się zgoła inaczej. Po kilku nocach w kępie topoli Róża zaczęła bowiem podejrzewać, że jej wytrwałe poszukiwania zostały w końcu uwieńczone sukcesem.

ROZDZIAŁ 7

Elżbieta i Andrzej pojechali zaraz po niedzielnym obiedzie. Andrzej zdążył jeszcze rano poleżeć w hamaku, a Elżbieta wybrać się z Reginą na spacer do sadu, w którym nie była od zeszłego lata. Nie rozmawiały już o niczym ważnym. Słońce przypiekało, obcasy Elżbiety plątały się w chwastach i grzęzły w piachu. Elżbieta nie żywiła do sadu szczególnej sympatii, przypominał jej on jej własne schadzki, które miały miejsce w czasach szkolnych, a których obecnie bardzo się wstydziła. Nieraz myślała o tym, że gdyby tylko mogła dostać od losu czarodziejską gumkę, wymazałaby ze swojego życia wszystko aż do czasów poznania Andrzeja. Dopiero wtedy bowiem światło dzienne ujrzała prawdziwa Elżbieta – pewna siebie, atrakcyjna, obyta w świecie kobieta.

Wracając z sadu, zastały na podwórku Marynię i Stacha Żałosków, którzy zajrzeli w drodze powrotnej z kościoła. Elżbieta popatrzyła z niesmakiem na starą, pomarszczoną Marynię, której głowę zdobiła czerwona chustka w kwiaty. Podeszły i wymieniły grzecznie kilka uwag, Elżbieta zauważyła z zadowoleniem, że matka jest powściągliwa i uprzejma. Na ganek wyszła Ida w kostiumie kąpielowym i z kocem pod pachą, oznajmiając, że idzie się opalać do starego sadu. Regina uniosła brwi na widok tego stroju, ale nic nie powiedziała, Stach Żałoska roześmiał się rubasznie, żałując głośno, że nie ma z nimi jakiegoś Kuby, na co Ida burknęła coś pod nosem. Za nią z domu wyszła Flora w szafirowej długiej sukience i z niezapalonym papierosem w ustach, oznajmiając, że idzie do starego sadu malować. Za nią zaś wyszedł Filip, niosąc blok rysunkowy i duże pudełko nowych kredek, które przywiozła mu Elżbieta, i oznajmił, że idzie rysować do altanki. Nie minęło pięć minut, jak ze starego sadu przyszedł oszołomiony liczebnością rodziny Andrzej. Naprawdę czas był najwyższy wracać do Warszawy. Matka zapakowała im jeszcze duży kawałek tortu, przyniosła z piwnicy kilka słoików ogórków kiszonych, które uwielbiał Andrzej, Elżbieta pozbierała szybko ich rzeczy. Żegnali się długo na podwórku, ojciec ścisnął im ręce, uśmiechając się swym dobrym, jasnym uśmiechem, matka podała Andrzejowi dłoń, którą ten szarmancko ucałował, nawet Ida, Flora i Fifi przyszli z sadu się pożegnać. Elżbiecie w ostatniej chwili przypomniało się, że przecież jest jeszcze Beata, ale nie było jej nigdzie widać od śniadania. Wsiadając do samochodu, pomyślała przez chwilę o Joannie, z którą nie widziały się tak długo, w zasadzie tylko od matki wiedziała, że Joanna rozstała się z tym Romanem czy Romualdem. Obiecywała sobie, że zadzwoni do młodszej siostry, ale jakoś zawsze brakowało na to czasu.

Nigdy nie były ze sobą zżyte, poza tym Elżbieta zawsze przeczuwała, że życie się Aśce nie ułoży z tym jej nadwrażliwym charakterem i że z biegiem lat coraz mniej będą miały ze sobą wspólnego. A teraz wyglądało na to, że Beata idzie w ślady swej matki. Skończyła studia i proszę, ani pracy, ani jakiegoś chłopaka na horyzoncie. Za to bardzo smutne oczy, zupełnie takie, jakie miała Aśka w jej wieku. Przeglądając się w bocznym lusterku, Elżbieta uświadomiła sobie, że obserwowała Beatę przy wczorajszej kolacji i że uderzyło ją to nagle dostrzeżone podobieństwo do Joanny. Podobieństwo, które Beacie nie wróżyło niczego dobrego.

Wyjechali z polnej drogi na szosę. Była bardzo nierówna i poszarpana, ale stał przy niej zielony drogowskaz. Na Warszawę.



Ida znalazła sobie w cienistym sadzie szeroką plamę słońca i rozłożyła na niej kraciasty koc. Zebrała włosy pod chustkę, ułożyła się wygodnie na brzuchu i sięgnęła po książkę. Obok niej leżał telefon. Próbowwała czytać, ale tak naprawdę zerkała co chwilę na ekranik. Rano napisała Goście, że się zgadza, że z chęcią wybierze się razem z nimi, i do tej pory nie dostała odpowiedzi. Ida w zasadzie była zdecydowana już wczoraj, ale wolała dać sobie jeszcze czas do namysłu. Nie wiedziała, czy Kuba wybiera się razem z nimi. Przypuszczała, że tak, ale dlaczegoś nie umiała o to zapytać wtedy, kiedy Gośka ją zapraszała. A przecież bez niego cała ta wyprawa nie miała najmniejszego sensu.

Flora stała nieopodal, przy sztalugach, z ust zwisał jej papieros, na twarzy malowało się najwyższe skupienie. Pociągała pędzlem, pocierała nos, odchodziła kilka kroków, wracała, wydawała się bardzo czymś zniecierpliwiona. Ida obserwowała ją ukradkiem. Flora była piękna, choć tak naprawdę sama jej twarz miała dość nieregularne rysy. Ale wiecznie zmrużone oczy w jakiś niepojęty sposób były oczami piękności, a z całej postaci bił nieokreślony wdzięk i dostojeństwo. Flora nosiła długie sukienki, lubiła duże, ciężkie kolczyki i ogromne bransolety. Długie czarne włosy były albo rozpuszczone, albo upięte w luźny kok, z którego wymykały się wijące kosmyki. Ida nieraz zastanawiała się, po kim Flora odziedziczyła to wszystko. Była, oczywiście, podobna w jakiś sposób do ciotki Elżbiety, miała te same włosy, choć ciotka nosiła krótką fryzurę, ale jednak ciotka wydawała się, mimo drogiej biżuterii i eleganckich kostiumów, bardzo pospolitą kobietą. We Florze było coś, czego nie miała żadna z nich – ani ciotka Elżbieta, ani matka Beaty, ciotka Joanna, ani Beata, ani ona sama. To było bardzo niesprawiedliwe.

Słońce zaczynało parzyć Idę w plecy. Odłożyła książkę, wstała i wolnym krokiem poszła do altanki, gdzie Regina wyniosła im świeży kompot. Minęła Florę, sztalugi były ustawione tak, że

nie widziała płótna, ale nie interesowało jej to. Usiadła naprzeciwko Filipa, który z wysuniętym językiem rysował rajd samochodowy. Nalała sobie kompotu i przyjrzała się rysunkowi. Na ile potrafiła ocenić sztukę, siostrzeniec miał spory talent. Samochody narysowane były ze wszystkimi znanymi Idzie detalami, zachowana była świetna perspektywa, przez co obrazek nabierał głębi, Fifi pamiętał nawet o kilku delikatnych kreskach przy kołach, przez co widać było, że samochody są w ruchu. Ida upiła jeszcze łyk kompotu i dostrzegła leżące na ławeczce albumy. Sięgnęła po jeden z nich.

Był to album babci, z ich najstarszymi zdjęciami. Ida znała go, ale nie widziała już od wielu lat. Zdjęcie babci jeszcze jako panny z wycieczki do Częstochowy, babcia ubrana w białą sukienkę z czarną kokardą pod brodą, zdjęcie z jakimiś koleżankami na rynku w miasteczku, gdzie babcia mieszkała, zanim wyszła za dziadka, zdjęcie ślubne, dziadek ze swoim jasnym uśmiechem jako zupełnie młody chłopak, niemal nie do poznania, obok babcia uśmiechająca się dumnie wprost do obiektywu. Potem zdjęcie domu, przy którym rosły tylko dwie duże lipy, nic więcej poza krzakami i chwastami do pasa, zdjęcie dziadka z jakimś młodym chłopakiem na ławce przez domem, potem zdjęcie babci z tym samym chłopakiem, na tej samej ławce. Cała trójka uśmiechała się wesoło, mieli rozluźnione twarze. Potem zdjęcie tego samego chłopaka i babci między malutkimi drzewkami. Ida rozpoznała stary sad, który był wtedy młodziutki, dopiero co posadzony. To musiał być ten sam dzień, w którym zrobione zostały zdjęcia na ławce, bo babcia miała tak samo upięte włosy i tę samą sukienkę na sobie. Na tym zdjęciu stała bokiem i można było dostrzec, że jest w ciąży. Rękę miała opartą o brzuch i uśmiechała się z dumą. Na następnym zdjęciu ich miejsce zajął dziadek; stał pomiędzy jabłonkami, a na jego twarzy malował się ten sam wyraz szczęśliwej dumy, który na poprzednim zdjęciu miała babcia. Potem następowały zdjęcia malutkiego, tłustego bobasa, zapewne ciotki Elżbiety. Ida podniosła głowę.

– To ty przyniosłaś tu te zdjęcia? – zapytała Florę, która klnąc, zapalała właśnie papierosa.

– Co? – Flora podniosła oczy znad sztalug. – Jakie zdjęcia? Ach, te... tak, to ja.

Odłożyła pędzel i podeszła do altanki. Usiadła obok syna.

– No, nieźle, mały – powiedziała, oglądając rysunek Filipa. – Popraw tylko ten samochodzik z tyłu. To, że jest mały i na drugim planie, nie znaczy, że może być narysowany niedbale.

Ida tymczasem oglądała kolejne zdjęcie babci-nie-babci, młodej dziewczyny, która stała pod lipą z dzieckiem na rękach. Obok niej stała druga dziewczyna.

– Ciekawe, kto to – powiedziała, wskazując palcem na drobną postać w ciemnej sukience.

– To? – Flora zerknęła na zdjęcie. – To jest Marynia Żałoskowa.

– No coś ty. – Ida pochyliła się nad albumem, przyglądając się zdjęciu uważniej. – Skąd wiesz?

– Spójrz na wykrój ust. I oczy. – Flora postukała palcem w zdjęcie. – Tutaj, przyjrzyj się.

Ida spojrzała posłusznie, ale nie dostrzegła podobieństwa. Dziwnie było zobaczyć Marynię jako młodą dziewczynę, była całkiem ładna, choć miała spłoszoną minę, jakby bała się obiektywu. Stała trochę z tyłu, tak że Regina z dzieckiem była na pierwszym planie. Ida odłożyła album.

– Dawno nie oglądałam tych zdjęć – powiedziała. – Fajnie zobaczyć dziadków w młodości. I babcię w ciąży.

– Babcia była niezwykłą dziewczyną – odrzekła Flora. – Myślę, że w tym albumie ma najszcześniejszy wyraz twarzy.

Ida spojrzała na Florę. Nigdy się nad tym nie zastanawiała.

– To musiał być dla nich szczęśliwy czas – kontynuowała Flora, zaciągając się dymem. – Pierwsze wspólne miesiące, sadzenie sadu, ogrom nadziei na przyszłość. Taka powinna być młodość każdej dziewczyny.

Ida milczała. Nie umiała rozmawiać z Florą w ten sposób. Flora zresztą też jak gdyby się ocknęła, zgasła papierosa i wstała.

– A gdzie Beata? Przecież zwykle nie odstępujecie siebie na krok – powiedziała kpiąco, wracając do sztalug. – Chyba że ona nie chce siedzieć tu ze mną – dodała.

Ida nic nie odpowiedziała. Nie wiedziała, gdzie jest Beata. Każdą z nich pochłaniało teraz coś, co było inne i nowe, i nie było sensu szukać się na siłę.

Filip z uszczęśliwionym uśmiechem nanosił poprawki, które kazała mu zrobić matka. Ida wróciła na koc. Sięgnęła po telefon.



Beata leżała na miedzy pod starą, rozłożystą gruszą. Miedza dzieliła pole Żałusków i poletko Zochy Charczukowej, na którym kobiecina hodowała tytoń. Tytoń Zochy i żyto Stacha były na tyle bujne, że Beaty nie było widać z żadnej strony, nawet gdyby ktoś jej uparcie szukał. A miała nadzieję, że nie szuka.

Śpiewały ptaki. Chciała przypomnieć sobie ostatnie dni, godzina po godzinie, ale obrazy się rozmywały, głosy nikły. Ogarniała ją jakaś dziwna ociężałość i bezwładność. Rozgrzana trawa pachniała sianem. Zrobiła jeszcze jeden wysięk, żeby przypomnieć sobie ten moment, kiedy przewróciła się na rowerze, a on do niej pod biegł. Jego zapach. Ten zapach, który czuła wczoraj w namiocie. Ale nie mogła, rozpraszał ją szum zboża, falowanie liści gruszy, słońce. Jakies głosy z oddali.

Jeden był tylko obraz, który powracał do niej, powracał często w ciągu ostatnich dni. Miała pięć lat, podartą kraciatą sukienkę i biegła drapiącym kostki rżyskiem w stronę drewnianego domu, potknęła się na progu, została złapana, podniesiona z podłogi i posadzona na dziadkowych kolanach. A potem dostała od babci kubek gorącego kakao.



Gośka odpisała w końcu, że się cieszy i że wpadną po nią koło szóstej. Boro miał samochód, co zdziwiło Idę, która wyobrażała ich sobie jako włóczęgów podróżujących autostopem.

Zaraz po obiedzie zamknęła się w łazience, gdzie wzięła długą kąpiel, a potem usiadła przed toaletką w lipnym pokoju, który znowu był ich; unosił się tu jeszcze tylko delikatny zapach perfum ciotki Elżbiety. Otworzyła szufladę i wyjęła wszystkie przywiezione ze sobą kosmetyki. Nie wiedziała, czy to w ogóle ma jakiś sens, bo liczba mnoga użyta przez Gośkę pozostała wielką niewiadomą, ale Ida uznała, że lepiej żałować, iż straciła czas na szykowanie się niż odwrotnie. Poza tym przeczuwała jednak, że on też będzie.

Włosy zostawiła rozpuszczone. Nie były tak piękne jak włosy Flory, były zwyczajne, proste, o ciemnym, niezdecydowanym odcieniu. Ale były długie i ojciec często powtarzał, że dodają jej wdzięku i dziewczęcości. Zrobiła przedziałek z boku, a tę część włosów, które opadały jej na oko, podpięła srebrną spinką z motylkiem. Upudrowała się starannie swoim nowym pudrem z drobinkami brokatu, na powieki położyła delikatne wrzosowe cienie. Sięgnęła po tusz do rzęs.

Lubiła siebie w tym makijażu, wyglądała w nim dojrzalej niż na co dzień, oczy wydawały się większe. Wydeła wargi i z lustra spojrzała na nią uroczo zdziwiona, jakby obrażona dziewczyna. Wstała.

Przejrzała szafę, zarówno swoją część, jak i część Beaty. Wybór był trudny, bo nie do końca wiedziała, jaką rolę chce odegrać. Bała się, że jeżeli w stroju pójdzie tropem makijażu i założy coś ko biecego, to będzie zbyt ostentacyjne, zbyt widoczne i zrozumiałe dla reszty, i że będzie się czuć nieswojo. Dużo lepiej czułaby się w czymś luźnym i nieformalnym, w stroju bezpłciowym, jak określała babcia jej ubrania. Nie chciała, żeby on wiedział, że stroiła się specjalnie, wiedziała, że to ją bardzo skrępuje. Ale z drugiej strony jakaś jej część miała dosyć odgrywania koleżanki z sadu w wyciągniętych koszulkach i podartych dżinsach. Sięgnęła w głąb szafy i wyjęła sukienkę, którą kupiła jej matka, a którą zabrała tu tknięta jakimś dziwnym przecuciem. Sukienka była szara, bardzo prosta, odsłaniała ramiona i kolana. Ida spojrzała na postać w lustrze. Zza smukłej dziewczyny wyłaniała się młodziotka kobieta. Może czas było pozwolić jej dojść do głosu? Wypuścić ją na zewnątrz? Ale Ida wiedziała, że kobietę do istnienia powołuje mężczyzna.

I żeby zechciał to zrobić, należało mu pokazać załączek tego, co może stworzyć.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wsunęła się Beata.

– A ty dokąd? – zapytała zdziwiona.

– Wychodzę ze znajomymi.

– Tymi z sadu?

– Tak. Mają przyjechać po mnie niedługo.

– Aha. – Beata usiadła na łóżku; wydawała się śmiertelnie znużona. – A babcia wie?

– Wie – odburknęła Ida, obrażona tym, że traktuje się ją jak uczennicę. – Mam być o dziesiątej.

– Żartujesz. – Beata się roześmiała, ale jakimś dziwnym, zupełnie niewesołym śmiechem; jak gdyby ta Beata na zewnątrz się śmiała, a ta Beata w środku przyglądała się temu z boku ze smutną miną. – Naprawdę tak ci babcia powiedziała?

– Naprawdę.

Beata popatrzyła na młodszą kuzynkę. Na jej smutnej twarzy zostały jeszcze ślady uśmiechu.

– Żartowała. Wiem, bo byłam w twoim wieku. Zabierz telefon i zadzwoń do mnie, jak już będziecie się zbierać do powrotu. Porozmawiam z babcią.

Ida spojrzała na nią z wdzięcznością.

– A ty? Gdzie byłaś cały dzień? – zapytała, pakując torebkę. – Jakoś mało się widzimy ostatnio.

Beata zrobiła nieokreślony ruch głową.

– A... tu i tam. Musiałam trochę pomyśleć. Lubię czasem być sama, nie gniewaj się. Zresztą ty sobie świetnie radzisz, popatrz, masz już swoje towarzystwo tutaj.

– To tak jak ty kiedyś, co? – odrzekła Ida, przysiadając obok Beaty na łóżku. – I co się stało z twoim towarzystwem? Z tym będzie tak samo. Tak myślę. Ale w to jedno lato należy się pobawić. Chcę mieć takie lato do wspomnienia, jak ty.

– Pobawić mówisz? – Beata spojrzała na Idę z zaciekawieniem, jakby dopiero teraz dostrzegając szarą sukienkę i motylka we włosach. – Aha. – Podniosła się z łóżka, podeszła do okna i otworzyła je szeroko. – Pachnie tu ciotką Elżbietą – wyjaśniła, potem znowu przysiadła na łóżku. – No cóż, Ida. Skoro tak właśnie chcesz... Pilnuj tylko, żeby było po twojemu.

– A u ciebie? – zapytała nagle Ida. – U ciebie jest po twojemu?

Beata podniosła na nią spłoszony wzrok.

– Co masz na myśli?

Ida przyglądała się jej uważnie.

– Dokładnie to, o co zapytałam. Czy jest po twojemu. Skoro tylko to się liczy.

– Nie powiedziałam, że tylko to się liczy.

– Ależ tak właśnie powiedziałaś. Mam tylko pilnować, żeby było po mojemu.

Beata nie patrzyła na nią, patrzyła w otwarte okno, wypełnione zielenią lip.

– Chodziło mi o to, żeby on cię nie skrzywdził...

– Tak, wiem – przerwała jej niecierpliwie Ida. – Tylko czy tak się da? Widzisz, mnie nie interesuje, czy on mnie skrzywdzi, czy nie. Ja bardzo chcę coś przeżyć.

– Wiem – powiedziała cicho Beata. – I przeraża mnie ta twoja chęć poznania życia już teraz, w tej chwili. Właśnie dlatego powiedziałam to, co powiedziałam. Zrobisz, jak zechcesz, nikt cię nie powstrzyma, nawet Regusia. Jeśli będzie po twojemu, to pół biedy.

– U ciebie nie było po twojemu, prawda? – zapytała Ida. – Nadal nie jest, wiem. Ja przecież widzę.

Milczały przez chwilę.

– Ty niczego nie bierzesz głęboko do serca, prawda? – zapytała Beata po chwili. – Ja tamto lato bardzo przeżywałam, ono było we mnie. Nadal jest. Hanka i Robert, Hanka i Franek, sama Hanka, której nie poznaję... Zbyszek – dodała po chwili. – Boję się, Ida, że ty wszystko bierzesz tak bardzo powierzchownie, ma się coś stać, i nieważne z kim, ważne, że w tej chwili. Ta twoja decyzja o studiach też tak naprawdę niewiele dla ciebie znaczy, podjęłaś ją ot tak i teraz przyglądasz się, co z tego wyniknie. Bo dla ciebie najważniejsze jest, żeby coś się działo. A nie o to chodzi, Ida. Czasem ważne rzeczy dzieją się bez naszej woli. Nie mamy na nie wpływu. Na prawdziwe życie nie mamy wpływu, ono się po prostu toczy. Nie można go reżyserować, wplatać w nie scen, które naszym zdaniem akurat w tym momencie pasują. To nie od nas zależy i nie powinniśmy się za bardzo wtrącać do biegu zdarzeń.

– Tak jak ty teraz? Też się nie wtrącasz do biegu zdarzeń, co? – przerwała jej Ida kąśliwie.

Beata patrzyła na nią poważnie.

– Na pewno nie wszystko, co dzieje się w moim życiu, wynika z moich chęci.

Ida wstała gwałtownie z łóżka.

– Ja, Beata, nie jestem głupia ani naiwna. Widzę te wasze spojrzenia. Myślę, że ona też to widzi. I myślę, że bardzo źle jest w takiej sytuacji pozostawić sprawy własnemu biegowi.

– A ja myślę, że to jedyne wyjście. – Beata również wstała z łóżka, podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce. – Weź telefon i zadzwoń. Baw się, Ida. Baw się dobrze.

– Chcę tylko powiedzieć – dodała Ida pośpiesznie – że ja bym na twoim miejscu też pilnowała, żeby było po twojemu. Wtedy byłoby dobrze.

Beata nic nie odpowiedziała. Wyszła.



Sad był cichy, martwy przy niedzieli, kiedy nie ożywiały go żadne nawoływania, żaden ruch. Beata minęła porzucony za stodołą wózek i skręciła w główną aleję. Szła powoli.

Bardzo lubiła późne letnie popołudnia. Powietrze miało wtedy inny zapach, było nabrzmiałe całodziennym upałem, którego jeszcze nie zaczęło oddawać nocy. Cienie się wydłużały, świat nabierał koloru sepii, nawet zieleń była jakby przefiltrowana przez szkło brązowej butelki. Ten brąz ciemniał i ciemniał z każdą godziną, przedzierzgając się powoli w hebanową czerń. Zbliżał się wieczór. Kolejny, spokojny, przesycony zapachem maciejki wieczór.

Beata nie mogła się doczekać wieczoru. Chciała, żeby już było jutro, żeby zaczął się normalny dzień, żeby mogła obudzić się rano, zjeść śniadanie, a potem pójść prosto do sadu i zostać tam cały dzień. Przyglądać się własnym palcom, które zrywały wiśnie, i poddać się tej hipnotycznej monotonii. Dzisiaj czas się rozciągał, przeciągał jak po przebudzeniu i zupełnie nie miała pojęcia, co z nim zrobić, żeby nie było go tak strasznie, tak przytłaczająco, tak niepojęcie dużo.



Minęła siódma, a ich nadal nie było. Ida siedziała na ganku jak na szpilkach, obok siedziała Regina, z herbatą i książką, i popatrywała na wnuczkę znad okularów, które zakładała do czytania.

– Moim zdaniem – powiedziała Regina i polizała palec, żeby przewrócić stronę – jeśli ktoś ma być około szóstej, to znaczy, że będzie albo kwadrans przed, albo kwadrans po.

Ida wzruszyła ramionami. Regina nie odrywała wzroku od książki. Okulary miała zsunięte do połowy nosa. Ida pomyślała, że wygląda jak czarownica. Zaraz zresztą zbeształa się w duchu za tę myśl.

– Ale naturalnie teraz są inne czasy – ciągnęła Regina, nadal wydając się jednocześnie bardzo pochłonięta lekturą. – Chociaż myślałam, że to właśnie wasze pokolenie bardziej się liczy z czasem, macie go zawsze tak mało. No, ale oczywiście mogę się mylić.

– Nie, babciu – odrzekła rozzłoszczona Ida. – Ty się nigdy nie mylisz.

Regina się uśmiechnęła.

– Skoro tak mówisz...

Ida przysięgłaby, że Regina ma dużo innych miejsc, w których mogłaby teraz przyjemnie spędzać czas, na przykład w starym sadzie, z Florą i Filipem, albo w pokoju z dziadkiem, który oglądał wiadomości, ale dla Reginy oczywiście najprzyjemniej było tam, gdzie mogła sobie pożartować. Siedziały więc obie na ganku, bo Ida też nie miała zamiaru ruszyć się z miejsca.

Samochód wjechał na podwórko w momencie, kiedy stary zegar w kuchni wybijał ósmą. Ida, którą zaskoczył już sam fakt posiadania przez Bora samochodu, spodziewała się malucha, w najlepszym wypadku starego poloneza z powyginaną karoserią. Tymczasem przez gankiem z gracją zaparkowało jasnoczerwone, lśniące bmw. Regina uniosła brwi na ten widok i zdjęła okulary. Obie wstały.

– No to ja lecę, babciu – rzuciła Ida, zbiegając szybko ze schodków. – Zadzwońię do Beaty, tak się umówiłyśmy.

Przednie drzwi się otworzyły i wysiedli obaj – Boro od strony kierowcy, Kuba od strony pasażera. Gośka siedziała z tyłu. Odkręciła szybę.

– Dzień dobry – padło w stronę Reginy potrójne przywitanie.

– Dobry wieczór – odrzekła Regina, której brwi nie wróciły jeszcze na swoje miejsce. – Ładny samochód. Mam nadzieję, że nie wróćicie późno.

– Niech się szanowna pani nie martwi – odrzekł z galanterią Boro, podczas gdy Kuba otwierał Idzie drzwi. Regina obserwowała ich, zupełnie nie zwracając uwagi na Bora, który kontynuował: – Wszyscy wstajemy jutro do pracy. Z rosą, że tak powiem. Bładym świtem.

– Przestań już z tymi poezjami – przerwała mu Gośka, uśmiechając się do Reginy. – Naprawdę nie będziemy późno. Proszę się nie niepokoić.

Na ganek wyszedł tymczasem Mateusz. Z domu doleciały dźwięki zwiastujące prognozę pogody.

– Dobry wieczór – powiedział, oszołomiony z lekka widokiem tyłu młodych ludzi przed swoim gankiem. – Jaki ładny samochód. To pański?

– Owszem – odrzekł z dumą Boro. – Prezent od ojca.

– Aha. – Mateusz podrapał się w głowę, jak gdyby usiłując sobie przypomnieć coś, co zamierzał powiedzieć. – Mam nadzieję, że nie zdarza się panu pić alkoholu, kiedy jest pan kierowcą – dodał po chwili.

– Dziadku, daj spokój.

Ida wywróciła oczami. Ciągle jeszcze nie wsiadła. Kuba trzymał jej drzwi. Regina nie odrywała od nich wzroku.

– Do widzenia – powiedział Boro, posyłając Reginie piękny uśmiech, ale nie doczekał się od niej nawet spojrzenia.

– Bawcie się dobrze – odrzekł za żonę Mateusz. – Niech pan jedzie ostrożnie.

Troje drzwi trzasnęło jednocześnie. Bmw pięknie wykręciło na podwórku i wzniesając tuman pyłu, pomknęło połą drogą w stronę miasteczka.

– Wiesz, o czym tak sobie myślę? – zagadnęła Regina w zadumie, patrząc za odjeżdżającymi.

– Wiem. – Mateusz pokiwał głową. – Bo ja myślę dokładnie o tym samym. Po co ten chłopak się do nas najał, skoro ma taki piękny samochód? Będą kłopoty, tak samo jak z tym twoim Heńkiem.



Ida знаła knajpę w miasteczku wyłącznie z opowieści Roberta. Sama nie miała nigdy dotąd okazji zobaczyć tego jedyne miejsca w okolicy, gdzie można było napić się piwa, siedząc gdzie indziej niż na krawężniku lub przy plastikowym stoliku ustawionym pod drzewem. Robert zresztą też znał to miejsce z jego gorszych czasów. Kilka lat temu zmienił się bowiem właściciel, który zręcznie wykorzystał naturalne uroki położonej nad niewielkim sztucznym jeziorem meliny dla miejscowych pijaczków i zmienił ją w przyjemne, schludne miejsce z ogrodzonym, drewnianym, zadaszonym podestem, na którym ustawione były stoliki i który kończył się malutkim, wrzynającym się w jezioro molo. Właściciel zapowiadał rozszerzenie oferty o rowery wodne i kajaki, ale jakoś projektu tego dotąd nie zrealizował, furorę za to robiły organizowane przez niego niedzielne zabawy, na których grał miejscowy zespół i które zawsze kończyły się czyjąś kąpielą w jeziorze.

W sam środek takiej zabawy właśnie trafili. Dla Idy nieoczekiwanie, ale reszta nie wydawała się zaskoczona. Szybko znaleźli fragment wolnego drewnianego stołu i nim Ida zdążyła się zorientować, stał przed nią plastikowy kufel z piwem. Nie wiedziała, kto go przyniósł, była zbyt oszołomiona hałasem, muzyką i ludźmi, którzy tańczyli w takt krajowych przebojów, aż podest drżał niebezpiecznie. Zapadający wokół zmierzch rozcinały kolorowe lampki zawieszane wokół dachu, które migotały, rażąc oczy. Wokalistka zespołu mocnym głosem skarżyła się na nieszczęśliwą miłość, jakiś pan w wieku wuja Andrzeja pociągnął na podest swoją towarzyszkę i para ta odtańczyła piękne, nieco tylko chybotliwe tango, przedzierając się przez grupki miejscowych nastolatek, które podrygiwały niezdarnie, skupiając się głównie na robieniu znudzonej miny. Ustawione wzdłuż brzegów podestu stoliki były oblepione ludźmi w każdym wieku. Ida dojrzała kilka twarzy, które znała z sadu.

Boro wyciągnął papierosy. Hałas był taki, że trudno było rozmawiać z kimkolwiek, komu nie można było nachylić się wprost do ucha. Wymiana uśmiechów nie potrwała długo i po chwili Boro i Gośka, siedzący po jednej stronie stołu, zatopili się we własnej rozmowie. Nie przestawali palić, Gośka dużo piła. W torebce miała ćwiartkę wódki, którą wprawnie uzupełniała pod stołem plastikowy kufelek z piwem. Oczy wpatrzone w Bora były coraz bardziej nieprzytomne.

Kuba też palił. Swoje piwo sączył od niechcenia, obserwował ludzi. Ida odwróciła się na

chwilę – tuż za jej plecami była barierka ogradzająca podest, za nią migotała tafla wody, niebo ciemniało. Odwróciła się z powrotem i napotkała wzrok Kuby. Uśmiechnęli się do siebie, tym razem miło. Kuba wrzucił niedopałek do puszki po coli, która zawieruszyła się na stole. Wstał.

– Chodź – powiedział tylko, a ona posłusznie się podniosła.

Z trudem wyminęli tancerzy, którzy teraz śpiewali razem z wokalistką, bo akurat grano przebój tego lata, i zeszli po kilku stopniach wprost nad jezioro. Nie mówiąc nic, zaczęli iść brzegiem. Ida szybko się potknęła, choć nie była potem pewna, czy nie zrobiła tego celowo, dość, że on ją złapał, a ona już go nie puściła. Szli dalej w milczeniu, trzymając się za ręce. Wreszcie znaleźli się dokładnie na wprost rozświetlonego podestu z tancerzami. Z daleka wyglądało to bardzo ładnie, jak kolorowa, migotliwa łódka płynąca po czarnej wodzie. Zatrzymali się.

– Kiedy tu pracowałem, Benek dopiero miał w planach urządzenie tych zabaw. Pukaliśmy się z Hanką w czoło. A tu proszę, chwyciło.

– To tutaj pracowałeś? – zapytała Ida, która nie skojarzyła do tej pory tego miejsca z opowieścią Kuby.

– Tak, zaraz po tym, jak zmienił się właściciel. Benek to fajny gość, ma łeb na karku. Dźwignął tę spelunę na nogi, Hanka opowiadała, że jak zaczęła tu pracować, to klientami byli wyłącznie czerwonoноси. A teraz proszę, połowa składu niedzielnej mszy się tu bawi. No, no.

Wydawał się zamyślony nad losem knajpy. Ale przecież ciągle trzymał jej rękę w swojej dłoni, więc chyba to coś znaczyło.

– Trudno prowadzić taki interes w takiej miejscinie. Ja pracowałem tu tylko jedno lato, ale trochę się napatrzyłem na to wszystko. Ludzie wolą kupić piwo w sklepiku i wypić je na własnym podwórku, bo taniej. Cieszę się, że Benkowi się udało, sporo się nad tym nagłowił.

– To był twój pomysł, żeby tu dziś przyjechać? – zapytała Ida.

– Tak. Chciałem zobaczyć, co się tu podziało. Miałem zobaczyć się z Benkiem w tygodniu, akurat był tutaj doglądać interesu, ale wtedy wypadło to ładowanie, no wiesz, kiedy twojego dziadka nie było. Ale widzę, że jest dobrze.

– No nie wiem – odrzekła Ida z namysłem. – To nie mój klimat.

Kuba się roześmiał.

– Nie porównuj tego miejsca z lokalami, do których chadzasz w stolicy. Jasne, że to tandeta. Benek to chłop z Warszawy, swoją drogą, ma tu w miasteczku dziadków. Ja go podziwiam, bo umiał wczuć się w potrzeby lokalnej społeczności i dać ludziom to, czego potrzebują. Trzeba umieć zmienić perspektywę.

Wszystko to było bardzo ciekawe, ale Ida wolałaby, żeby zmienił temat. Dłonie miała tak wilgotne z emocji, że bała się, iż ta, którą trzymał, wyslizgnie się z jego dłoni. On chyba pomyślał

o tym samym, bo umilkł.

– Zimno ci? – zapytał po chwili, bo nagle zadrżała.

– Nie – odrzekła. Głos miała zduszony.

I wtedy on odwrócił się lekko i spojrzał na nią. Dokoła było ciemno, ale białka jego oczu jarzyły się w tych ciemnościach. Próbowała dostrzec w nich tę jego zwykłą kpinę, ale nie, widziała tylko skupienie i zainteresowanie. Przechylił lekko głowę. Zamknęła oczy.

To był pocałunek, jakiego nie знаła do tej pory, pocałunek, który nie kończył się sam w sobie, ale był wstępem do czegoś innego, głębszego, ważniejszego. Zaliczką. Dokładnie to słowo przyszło jej do głowy, gdy ją całował. Dygotała od stóp do głów. Objął ją ramieniem. Czekala, aż pociągnie ją za sobą, w wysokie trawy, w których cykały świerszcze zagłuszane przez muzykę. To byłoby bardzo piękne. Czula jego ciepły oddech tuż obok swojego ucha.

– Chodźmy dalej, co? – wyszeptał. – Komary gryzą.

Na szczęście wystarczyło jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów, żeby muzyka znowu stała się tak głośna, że nie trzeba było rozmawiać. Kuba szedł pierwszy, już nie trzymał jej za rękę. Ona pokornie dreptała za nim. Weszli na podest. Siedzący przy drugim krańcu ich stolika ogolony na łyso chłopak właśnie szykował się do bójki z identycznie wyglądającym kolegą. Dwie dziewczyny w ostrym makijażu, najwyraźniej ich towarzyszki, chichotały uroczo, mocno już podpite. Gośka spała na ramieniu Bora.

– No jesteście wreszcie – powitał ich Boro z wyrzutem. – Musimy jechać, Gośka źle się czuje. Przed chwilą wymiotowała za barierkę.

– Jasne – odpowiedział Kuba. W ogóle nie patrzył na Idę.

W drodze powrotnej zatrzymywali się jeszcze dwa razy, żeby Gośka mogła zwymiotować. Boro włączył radio, nikt nic nie mówił. Samochody z naprzeciwka oślepiały ich reflektorami. Ida siedziała z Goską z tyłu, podtrzymywała jej głowę.

Długo brała prysznic. Nie myślała o niczym. Potem stała przed lustrem, usiłując sobie przypomnieć jakieś uczucie, którego niedawno doświadczyła, ale nie mogła. Wreszcie poszła do lipnego pokoju.

Po stronie Beaty świeciła się nocna lampka. Ona sama spała z głową na książce. Ida delikatnie wyjęła ją, zerknęła odruchowo na tytuł i odłożyła na parapet. Beata coś mruknęła, ale się nie obudziła. Ida usiadła przy toalecie. W świetle nocnej lampki patrzyła na nią obca dziewczyna. Dziwnym, zawziętym wzrokiem.



Olo doskonale czuł się w drewnianym domu pod lipami. To było dobre, solidne miejsce na początek nowego życia. Widział wszędzie wprawna, dokładną dłoń Matiego – w samym domu i w obejściu. Podobał mu się pomysł z sadem, długo oglądali z Matim młodziutkie jabłonki, posadzone zaraz za domem. Doradził za to Matiemu wycięcie lip – jego zdaniem rosły zbyt blisko domu. Ale Gina nie chciała o tym słyszeć.

Polubił Ginę. Zapowiadała się na solidną gospodynię, dbała o dom, krzątała się od świtu do zmierzchu, gotowała im smaczne obiady, prała koszule nad rzeką. Miała w sobie przy tym tę miejską ogładę, lubiła usiąść z nimi wieczorem i porozmawiać, sporo czytała i w każdej ich rozmowie potrafiła dorzucić własną, celną, inteligentną uwagę. Olo bardzo lubił te wieczory, oni z Matim popijali nalewkę z czarnego bzu, a Gina, z uwagi na swój stan, piła herbatę lub mleko. Olo widział, że Mati bardzo szanuje swą żonę. Wydawali się szczęśliwi.

Mati miał w życiu przeważnie potężnego farta.

ROZDZIAŁ 8

Cyprian wysiadł z autobusu. W twarz buchnął mu odór rozgrzanego asfaltu. Zakręciło mu się w głowie, tak że na chwilę musiał przystanąć. Podróż go umęczyła, w autobusie było potwornie duszno mimo otwartych wszystkich okienek, w dodatku nie przyszło mu do głowy zabrać ze sobą czegokolwiek do picia. Zrobił kilka głębszych wdechów, chociaż tak naprawdę nie było czym oddychać, i rozejrzał się. Na skrzyżowaniu, przy którym wysiadł, był mały sklepik, a przed nim plastikowy stolik, ustawiony pod rozłożystym kasztanem. Cyprian zarzucił plecak na ramię i ruszył w tym kierunku.

W środku panował półmrok. Oczy, osłepione wcześniej słońcem, musiały przyzwyczajać się przez chwilę, zanim dostrzegły półki, stojak z gazetami i chłopaka w bordowym podkoszulku za ladą. Chłopak czytał książkę.

— Dzień dobry — przywitał się uprzejmie Cyprian.

— Słucham — odrzekł chłopak, podnosząc głowę znad książki.

— Poproszę piwo. Zimne.

— Innego nie miałbym serca panu sprzedać — odrzekł wesoło chłopak, sięgając w głąb lodówki po puszkę.

Cyprian podał mu zmięty banknot. Chłopak szybko odliczył resztę.

Tymczasem do sklepu wszedł jeszcze ktoś. Chłopak podniósł nieuważnie wzrok, ale rozpoznawszy klienta, uśmiechnął się. Cyprian obserwował ten uśmiech. Wyglądało, jakby do sklepu wszedł ktoś bardzo przez chłopaka lubiany. A może nawet więcej.

— Cześć, Zbys — rozległ się znajomy głos.

Cyprian wiedział, że jeszcze go nie rozpoznała. Pewnie jej wzrok też musiał przyzwycząić się do półmroku.

— Serwus — odparł wesoło chłopak. — Co za miły początek tygodnia. Dziękuję — rzekł jeszcze do Cypriana, ale cała jego uwaga skupiła się już na dziewczynie.

Cyprian się odwrócił. Beata wyglądała zwyczajnie, ubrana w krótkie spodnie i bluzkę na ramiączkach, na włosach miała opaskę. Wyglądała jak tutejsze dziewczęta. Tylko minę miała niecodzienną, zaskoczenie pomieszane z radością i smutkiem jednocześnie. Chłopak przyglądał się tej minie i uśmiech na jego twarzy powoli wygasał. Najwyraźniej poznał, że żadne z uczuć na twarzy dziewczyny nie było skierowane do niego.

— Cześć — powiedziała cicho Beata.

— Cześć — odrzekł Cyprian.

Na chwilę zapadła bardzo niezręczna cisza. Chłopak pierwszy zdecydował się ją przerwać, pewnie dlatego, że mimo wszystko czuł się tu gospodarzem.

— No proszę. Znacie się? Zbyszek w takim razie, miło mi — i wyciągnął rękę.

— Cyprian. — Cyprian uściskał podaną mu dłoń.

Zbyszek nie doczekał się żadnych dodatkowych wyjaśnień.

— Co słyhać? — zapytał więc Beatę.

— Wszystko dobrze — odrzekła, ale jej rozbiegany wzrok zdradził, że myślała o czymś innym. — Daj mi śmietanę, proszę, babci się skończyła. Potrzebuje do zupy — dodała nie wiadomo dlaczego.

— Poczekam na ciebie na zewnątrz — powiedział Cyprian do Beaty i wyszedł ze sklepu.

Zbyszkowi bardzo nie spodobał się sposób, w jaki to powiedział. Bez słowa podał Beacie śmietanę.

— Dziękuję — powiedziała, ale Zbyszek wiedział, że już jej nie ma w sklepiku, że już stoi razem z tamtym pod kasztanem. — Muszę iść, babcia chce skończyć tę zupę — dodała jakimś przeproszającym tonem, który bardzo go uraził.

Wzruszył ramionami.

— Trzymaj się — powiedział.

Beata się uśmiechnęła. Ten uśmiech był jak nagroda pocieszenia.

Zbyszek odczekał kilka minut i wyszedł na zewnątrz zapalić. Stał w progu sklepu i zaciągał się głęboko. Jeszcze mógł dojrzeć dwie sylwetki na szosie, między domami, były już prawie na wysokości kapliczki stojącej przy zakręcie; jedna z plecakiem, druga z zieloną siatką, w której majtał kubeczek śmietany.



Beata nie mogła sobie potem przypomnieć, o czym rozmawiali. Szli drogą, prażyło słońce, po plecach płynęły jej strużki potu, w chabrach brzęczały pszczoły. Zboże szumiało delikatnie. Pamiętała, że Cyprian mówił, iż za każdym razem, kiedy przyjeżdża, natyka się właśnie na nią. Chyba mówił to żartobliwym tonem, ale nie była pewna. Opowiadał, co robił w Warszawie. Pytał, co działo się tutaj, więc mówiła coś o Idzie, o dziadkach. Na końcu o wizycie rodziców Flory. Pytał o coś w związku z tym, ale nie pamiętała o co. Ani co mu odpowiedziała. Nie potrafiła rozpoznać uczuć, które przelewały się przez nią. To było coś jak zapierająca dech

w piersiach radość, ale równie dobrze mogła to być rozpacz.

Weszli na podwórko. Na ganku siedziała Regina z Florą. Regina zrobiła jakiś szybki, nerwowy ruch, którego Beata nie zrozumiała. Flora spokojnie paliła, nie zmieniła wyrazu twarzy, nawet kiedy już podeszli. Cyprian się przywitał.

— Chodź, Beatko — powiedziała Regina. — Pomożesz mi skończyć zupę.

Beata posłusznie poszła za Regimą do kuchni. Przez otwarte okno próbowała usłyszeć rozmowę, która toczyła się na ganku. Ale głosy były zbyt ciche. A potem usłyszała kroki na schodkach. Poszli.

— A wiesz? — mówiła tymczasem Regina. — Robert dzwonił.

Beata zrobiła ogromny wysiłek, żeby wrócić do rzeczywistości.

— Tak?

— Tak. — Regina pokiwała głową, uśmiechając się z zadowoleniem. — Dzwonił zaraz po tym, jak poszłaś na krzyżówkę. Powiedział, że przyjedzie jutro.

Beata zamrużyła oczami. Jakaś myśl obijała się o obrzeża jej świadomości, a ona nie potrafiła jej uchwycić.

— A to niespodzianka — powiedziała i myśl, przestraszona dźwiękiem głosu, umknęła ostatecznie. — Na długo?

— No, do moich urodzin, rzecz jasna — odparła Regina, jak gdyby zdziwiona pytaniem. — Zastanawiam się, gdzie go położyć. Myślałam o namiocie, ale Cyprian wrócił, więc to raczej odpada. Chyba że zgodziliby się spać we dwóch, co? Jak myślisz?

— Nie sądzę — odrzekła szybko Beata.

Robert w jednym namiocie z Cyprianem odciąłby wprowadzić drogę Florze. Ale odciąłby również drogę jej.

Regina się uśmiechała.

— Zapytam jednak. Jeśli nie, to przygotujemy mu pokój z telewizorem.

— Mogę tam posprzątać — zaproponowała Beata.

— Zdasz jutro — odrzekła Regina. — Może nie będzie trzeba. A teraz idź do Idy. Chyba rwie dzisiaj sama. Zauważyłaś jej minę przy śniadaniu? Coś im się nie udało ta wycieczka.



Ida rzeczywiście była sama. Skubała wiśnie w zamyśleniu, na uszach miała słuchawki. Oczy ukryte były pod okularami przeciwsłonecznymi, ale Beata poznała jej nastrój po układzie ust. Były zaciśnięte.

Ustawiała w cieniu przyniesione ze sobą puste skrzynki i stanęła po drugiej stronie drzewka.

— Cyprian przyjechał — to były jej pierwsze słowa. Zrobiło jej się jakoś lżej, kiedy to powiedziała.

Ida podniosła głowę i Beata wiedziała, że patrzy na nią uważnie poprzez wiotkie gałęzie, chociaż oczy miała ukryte za ciemnymi szklami. Potem odeszła na chwilę, żeby wysypać wiśnie do skrzynki. Parę rządków dalej rozległ się czyjś głośny śmiech. Ida wróciła na swoje miejsce.

— A wiesz, do kogo przyjechał? — zapytała w końcu.

Beata rozpoznała to pytanie. To właśnie ono tłukło jej się w głowie, kiedy rozmawiała z Reginą w kuchni.

— Bo ja myślę, że warto byłoby wiedzieć — ciągnęła Ida. — To jest takie pytanie, które na pewno zadałaby babcia.

— Babcia o nic nie pytała — powiedziała Beata. — Nie była nawet zaskoczona. Chyba wiedziała, że on przyjedzie.

— No oczywiście, że wiedziała. I zna też odpowiedź na to drugie pytanie. Ona wie — powiedziała Ida i Beata znowu poczuła, że kuzynka patrzy na nią czujnie. — Ona już wie. Zapytaj ją.

— Robert przyjeżdża jutro — odrzekła na to Beata.

Na twarz Idy wypłynął uśmiech.

— Nareszcie — powiedziała. — Nareszcie.

Beata czuła ulgę, bo rozpoznała myśl, a uwaga Idy skoncentrowała się na przyjeździe Roberta. Zerwała kilka wiśni i uważnie umieściła je w łubiance.

— A ty? Dlaczego rwiesz dzisiaj sama?

— Nie rwę sama. — Ida pokręciła głową. — Rwę z tobą. Chcę dzisiaj rwać z tobą, dobrze?

Beata pokiwała głową. Umilkły.



Przyjechał uszczęśliwiony Filip i powiedział, że babcia woła na obiad. Beatę uderzyła nagle ta radosna mina chłopca, ale nie mogła zrozumieć dlaczego. Odstawiły łubianki i poszły w stronę stodoły. Zewsząd dobiegały głosy rwaczy, śmiechy i pokrzykiwania. Słońce stało w zenicie. Pachniała rozgrzana ziemia.

W stodole zastały Mateusza i Franka Żałoskę. Franek umorusany smarem nachylał się nad silnikiem traktorka, Mateusz stał nad nim i zaglądał mu przez ramię. Minę miał niewesołą.

— Naprawi się, panie Mateuszu, pan się nie martwi. Naprawdę — mówił Franek. — Ja teraz

tylko skoczę obiad zjeść, bo Hania już pewno naszykowała, a potem wrócę i popatrzę uważniej. Będzie na chodzie jeszcze dziś, to nic wielkiego.

— Tak, tak — odrzekł Mateusz. — Oczywiście, nie trzeba, żeby Hania czekała. U nas też obiad gotowy. O, i dziewczęta już są.

Wyszli we czwórkę na podwórko. Przy ganku stała Hanka z wózkiem. Zadarła głowę i rozmawiała z Reginą, która wychylała się do niej przez poręcz. Flory i Cypriana nie było nigdzie widać.

— No jesteś, obiad gotowy, stygnie, a ciebie nie ma — powiedziała z wyrzutem Hanka, kiedy oni dotarli do ganku. — Dzień dobry, panie Mateuszu. Cześć, dziewczyny.

— Dzień dobry — odrzekł Mateusz.

— Cześć — powiedziała Beata.

Ida zajrzała do wózka. Malutka robiła dziwne miny, z kącika ust sączyła się ślina.

— Fajna moja córka, co, Idzia? — zagadnął Franek z dumą. Ida zdobyła się tylko na kiwnięcie głową. — Przepraszam, Haniu, ale zepsuł się traktor, musiałem zajrzeć.

— Jak to zepsuł się traktor? — zainteresowała się Regina.

— Nic wielkiego — zapewnił ją Mateusz. — Chodź, Fifi — powiedział, bo właśnie z sadu przyjechał Filip, w biegu zsiadając z rowerka. — Idziemy myć ręce.

— Naturalnie — rzekła Hanka, choć jej mina mówiła zupełnie co innego. — Rozumiem.

Z sadu nadeszli Flora i Cyprian. Beata obserwowała ich kątem oka, ale miny obojga nie zdradzały niczego.

— Cześć, Hanka — powiedziała Flora. — No wreszcie się spotykamy. To twoja mała, tam w wózku?

Hanka bez słowa wyjęła córkę z wózka. Wszyscy spojrzeli na bobasa, który zdziwiony rozglądał się dokoła.

— Słodka — powiedziała Regina.

— Urocza — dodała Flora i podeszła bliżej. — Podobna do ciebie, to dobrze.

— Dziewczynki powinny być podobne do matek — dodała Regina.

— Zwłaszcza jeśli mają takie ładne matki — rzekł Franek, przyciągając Hanke do siebie i całując ją we włosy.

Cyprian jako jedyny nie patrzył na dziecko, które niespecjalnie go interesowało, lecz na Hanke i dostrzegł cień, który przebiegł przez jej twarz, kiedy Franek ją przytulał. Zmarszczył brwi.

Basia została umieszczona z powrotem w wózku, w którym tu przyjechała, i teraz widać było tylko rączki i nóżki, którymi zawzięcie machała. Cyprian nie spuszczał wzroku z Hanki,

z zaciekawieniem obserwując, jak szybko zmieniała się jej twarz. Teraz, gdy zaglądała do wózka, rozświetlił ją niepowtarzalny matczyzny uśmiech, który zdawał się promieniować z samego wnętrza jej istoty, nadając rysom nieuchwytną miękkość i łagodność. Cyprian pomyślał, że warto byłoby namówić Hankę na kilka zdjęć.

— Chodźmy już — powiedziała Hanka, prostując się, i jej twarz znowu się zmieniła. Była teraz zupełnie bez wyrazu. — Do widzenia.

Poszli. Cyprian obserwował jeszcze, jak Franek zarzucił rękę na ramię żony i ta ręka chyba była dla niej zbyt ciężka, bo cała jej postać się skuliła. Hanka spuściła nawet głowę, podczas gdy Franek rozprawiał o czymś wesoło.

Cyprian oderwał od nich wzrok, dopiero gdy zniknęli za domem. Zobaczył, że Beata stała za nim i też patrzyła w ich stronę.

— To była właśnie ta moja koleżanka — powiedziała, a Cyprian nie wiedział, czy czas przeszły odnosi się do tego, że Hanka już poszła, czy do tego, jakie miejsce zajmuje w życiu Beaty.

— Interesująca dziewczyna — odrzekł.

— Moim zdaniem bardzo pospolita — dobiegł z ganku głos Flory. Rozkładała na stole sztuce. — Na zewnątrz i w środku. Ale mogę się mylić. Ostatecznie to koleżanka Beaty, nie moja.

Beata zmarszczyła brwi. Cyprian wszedł na ganek, nie oglądając się za nią, i usiadł przy stole. Ida wyniosła wazę z zupą. Z domu wyszli dziadkowie i Filip.



Mateusz szedł między dwoma rządami najpóźniejszej odmiany wiśni. Jutro miał zamiar rozstawić tu ludzi. Normalnie odczekałby dzień lub dwa, ale tym razem chciał, żeby zbiory były zakończone do niedzieli. Był już bardzo zmęczony.

Nie było zresztą na co czekać. Mateusz co chwilę przystawał i oglądał ciemnobordowe, smukłe wiśnie, zaatakowane zgnilizną brunatną. Wyglądało to tak, jakby ktoś szedł sadem i odcinał kawałek każdej wiśni nożem, który barwił na czarno. Była to wspólna wina — natury, która przez cały maj i początek czerwca chłostała sad deszczem, i Mateusza, który zlekceważył sytuację i nie poprosił Franka, żeby opryskał sad którymś ze środków przeciw grzybom. Teraz owoce umierały i należało jak najszybciej uwolnić od nich drzewa.



Dopiero po południu Ida zdecydowała, że może już zajrzeć do swoich nowych przyjaciół. Miała wrażenie, jak gdyby stąpała po linie i bardzo się bała zrobić fałszywy ruch. Gdzieś tam, na wpół uświadomione, powracały do niej spojrzenia i gesty, które były tak ulotne, że Ida przeczuwała, iż w każdej chwili mogą stracić znaczenie. Należało być ostrożną, a jednocześnie należało bardzo się śpieszyć. Bo Ida była pewna, że jest już bardzo blisko celu.

Szła rzędkiem, w którym spodziewała się ich zastać. Ale sad już prawie się kończył, a ona nikogo nie spotkała. Miała już zawrócić, kiedy usłyszała dziwny szelest zeschniętego zielska i coś, jakby miauczenie kota. Było to bardzo dziwne, ponieważ nie wiedzieć czemu koty zwykle trzymały się z dala od obejścia dziadków, z wyjątkiem zagubionej, niemal ślepej kotki Żałosków. Ida podeszła bliżej.

Nie była to jednak stara kotka Żałosków ani też żaden inny kot. Kiedy bowiem Ida doszła do ostatniego, wyjątkowo dużego i rozłożystego drzewa wiśniowego, którego gałęzie układały się tak, że wokół pnia tworzyła się pusta, szczelnie osłonięta przestrzeń, dojrzała nierówno obcięte na wysokości kolan dzinsy, porzucone w trawie, a zaraz potem cztery stopy wystające pod różnym kątem spod zwieszających się pod ciężarem owoców gałęzi. Oprócz jęków, które Ida wzięła za miauczenie kota, spod drzewa dobiegało też dyszenie Bora — gdyby Ida zamknęła oczy, mogłaby przypuszczać, że Boro właśnie przebiega dwudziestą długość sadu. Ida jednak nie zamknęła oczu. Stała chwilę, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, ponieważ jednak ani jęki, ani dyszenie nie ustawały, a stopy pozostały na swoich dziwnych miejscach, tylko od czasu do czasu lekko zmieniając położenie, Ida uznała, że chyba jednak nikt jej nie zauważył, a w związku z tym może się dyskretnie oddalić.



Kubę spotkała w zupełnie innym rzędkiem i zupełnie przypadkiem — dziadek wysłał ją z pustymi skrzynkami do pani Gieni. Ida pchała przed sobą wózek, kiedy dostrzegła Kubę obrywającego samotnie na wpół uschnięte drzewko. Przystanęła.

Kuba usłyszał wózek, obejrzał się, uśmiechnął do niej przez ramię, po czym wrócił do rwania. — Pan Mateusz powinien je wyciąć — zauważył, wskazując na drzewko.

— Pewnie tak zrobi. — Ida pokiwała głową, po czym uświadomiła sobie, że on przecież nie widzi jej ruchów. — Zawsze po skończonych zbiorach przycina się sad. Usuwa wszystkie niepotrzebne przyrosty, uschnięte gałęzie, a potem dziadek robi wielkie ognisko na końcu sadu.

— Oczyszczająca siła ognia, zawsze i nieodmiennie — powiedział Kuba. Odwiązał pasek, którym miał przymocowaną łubiankę do bioder, i wysypał wiśnie do skrzynki.

— Późną jesienią sad wygląda bardzo ładnie, kiedy jest już uprzątnięty — Ida słuchała swojego głosu. — Ja najbardziej lubię sad właśnie wtedy. Tylko czarne zarysy drzew, fiolet ziemi i ciężkie niebo nad sadem. Flora kiedyś namalowała taki obraz.

Całe to zdanie brzmiało tak, jak gdyby wypowiedziała je Flora. Ida zastanowiła się — chyba rzeczywiście to Flora kiedyś tak powiedziała. Ida przecież najbardziej lubiła sad latem.

Ale Kuba patrzył na nią z zainteresowaniem.

— Jesień to najprawdziwsza z pór roku — powiedział. — Obnażony smutek świata. Mieliśmy ostatnio dyskusję na ten temat z Goską. Nie widziałaś ich, swoją drogą?

— Nie. — Ida pokręciła głową. Było to po części zgodne z prawdą. Wszystkim bowiem, co widziała, były dzinsy Gośki oraz cztery stopy wystające spod gałęzi z wiśniami.

— Ja też ich nie widziałem od rana. No cóż... — Przywiązał sobie łubiankę z powrotem do pasa.

W sąsiednim rządku ukazała się przysadzista postać Zochy Charczukowej. Zocha dostrzegła Idę i zaczęła przedzierać się przez splątane gałęzie do ich rządka.

— Dzień dobry — przywitała się, osłaniając twarz przed wiotkimi gałęziami. — Idzia, nie wiesz, gdzie jest dziadzius?

— Nie. — Ida pokręciła głową. — Był w stodole przed chwilą.

— Aha, to świetnie, tak właśnie myślałam, żeby nie iść przez stodołę — ucieszyła się niezrozumiale Zocha. — Idzia, nie wiesz, gdzie mój Henio rwie?

— Heniek rwie w tym rządku, tylko na końcu — odpowiedział za Idę Kuba. — Całkiem nieźle mu dziś idzie, od rana pełen werwy. Przychodził tu do mnie kilka razy na papierosa.

— Wspaniale — Zocha Charczukowa ucieszyła się jeszcze bardziej. — To ja idę do niego, pomogę mu czuby poobrywać. Do widzenia, dzieci — pożegnała się i poszła.

— No cóż — podjął Kuba przerwany nadejściem Zochy temat — może Gośka źle się dziś czuje, nie zdziwiłbym się po wczorajszym. Rzygała jak kot. Ty też się nie pokazywałaś cały dzień — dodał z nutą kpiny w głosie, a Ida od razu pojęła, że on doskonale wie, że od rana chciała tu przyjść, i doskonale wie, dlaczego nie przyszła. — Też się źle czułaś? Przecież nie wypić dużo.

— Nie czułam się źle — pokręciła głową Ida, starając się, by jej głos brzmiał tak zwyczajnie, jak to tylko możliwe. — Przyjechał Cypis — wyjaśniła, po czym zastanowiła się, czy ma to jakikolwiek związek z pytaniem.

Ale Kuba wydał się zainteresowany tą informacją.

— Wrócił jednak? — powiedział bardziej do siebie niż do Idy. — No proszę. Myślałem, że już się tu więcej nie pokaże.

— Dlaczego miałby się nie pokazywać? — zdziwiła się Ida.

— A co na to twoje kuzynki?

Stał teraz bokiem do niej i nie widziała jego miny. Nie mogła więc ocenić, jaki sens mają jego słowa.

— Słucham?

Kuba odwrócił twarz i zobaczyła na niej dziwny uśmiech.

— Co na to Flora? — rzekł tak, jak gdyby dokładnie powtarzał powiedziane przed chwilą zdanie. Nie czekając na jej odpowiedź, odwrócił się do drzewa i zaczął zrywać wiśnie do pustej łubianki. — Dziwne, jeśli się ucieszyła — dodał, a Idzie wydawało się, że mówi do siebie.

— Trudno powiedzieć, co Flora na to — odparła na wszelki wypadek.

Znowu rozmawiali o Florze. To było niepojęte. I w ogóle było tak, jak gdyby ten wczorajszy pocałunek nigdy nie miał miejsca. Ida czuła z rozpaczą, że jest dalej od celu niż kiedykolwiek. Rzuciła krótkie „muszę iść”, bo na horyzoncie dostrzegła panią Gienię, która dziarskim krokiem zmierzała w ich stronę, zapewne nie mogąc się doczekać pustych skrzynek. Idąc pani Gieni na spotkanie, skupiła się na wózku i postarała się nie myśleć o wszystkich dziwnych zdaniach, które wypowiedział Kuba.

Nie wróciła do Beaty, która cierpliwie rwała wiśnie w odległym końcu sadu. Nie mogła pojąć zachowania kuzynki, która zostawiła Cypriana na pastwę Flory, a sama spokojnie przyszła do sadu skubać drzewka. I kiedy opadły już emocje wywołane wiadomością o przyjeździe Roberta, a Ida spróbowała wrócić do tematu Cypriana i jego powrotu, z drugiej strony drzewka napotkała jedynie ciężkie, denerwujące milczenie. Beata sprawiała wrażenie, jak gdyby właśnie zatrzasnęła się w swoim wnętrzu i świat zewnętrzny przestał jej dotyczyć.

A przecież tak bardzo pasowali do siebie. Cyprian, taki solidny i odpowiedzialny, i Beata — czuła i delikatna. On by ją ochraniał, ona go wspierała. Ida widziała to bardzo wyraźnie, i jeszcze mały domek z ogródkiem i dzieci, i psy. Westchnęła niecierpliwie — gdyby mogła, osobiście już by coś zrobiła w tej sprawie. Nie byłoby jej żal Flory; uważała zresztą, że Florze na Cyprianie zupełnie nie zależy. Całe dni spędzali osobno, ona w starym sadzie, on w sadzie nowym, podczas posiłków siedzieli daleko od siebie, a ponadto — bo Ida ostatnio bardzo się wyczuliła na te sprawy — ani razu nie zauważyła, żeby znikali razem w namiocie. Ani wieczorem, ani rano, ani o każdej innej porze dnia. Ida prawie zawsze widziała przynajmniej jedno z nich, albo przynajmniej wiedziała, gdzie się znajdują, słyszała głos Cypriana w sadzie, albo — kiedy szła do domu — widziała pomiędzy jabłoniemi postać Flory. Wieczorem słyszała Florę w jej pokoiku przylegającym do lipnego pokoju. Rano słyszała, jak Cyprian stuka w klawiaturę w pokoju przy kuchni. Ida była pewna, że odkąd tu są, ani razu nie kochali się ze sobą. A był to dla niej najbardziej oczywisty dowód, że tych dwoje nie darzy się żadnym uczuciem.

Ona sama zresztą przeczuła kogoś zupełnie innego u jego boku; i gdyby tylko Beata wzięła sprawy w swoje ręce, gdyby go do siebie przywabiła — wystarczyłby jeden raz, Ida była pewna — wszystko potoczyłoby się pomyślnie. I jeśli tak trudno jej było samej zdać sobie z tego wszystkiego sprawę, to przecież gdyby choć na chwilę wychyliła głowę ze swojej skorupy, Ida wszystko by jej wytłumaczyła. Ale Beata nie chciała rozmawiać, odpowiadała półsłówkami, a potem znowu popadała w milczenie. Ida czuła się tym ogromnie urażona.

Minęła stodołę, przecięła podwórze i weszła na ocieniony ganek. Nie było tu nikogo, na stole leżała jej książka — w tym samym miejscu, w którym porzuciła ją rano. Ida zniknęła na chwilę w kuchni, po czym wróciła na ganek ze szklanką soku. Usiadła w bujanym fotelu, oparła nogi o poręcz. Regina musiała być w ogrodzie albo u siebie w pokoju — w każdym razie Ida nie słyszała jej w domu. Upiła łyk soku. Tak naprawdę ona sama też nie potrafiła pokierować biegiem zdarzeń tak, jakby tego chciała. Mimo że usiłowała coś zrobić, efekt był równie marny jak u Beaty. Gdzie tkwił klucz do życia? Jaką wiedzę trzeba było osiąść, żeby móc nadać rzeczom właściwy bieg?

Poprzedniego dnia, stojąc z Kubą nad brzegiem jeziora, myślała, że jest u celu. Dzisiaj znowu znalazła się w punkcie wyjścia. Dlaczego ludzie byli tacy ślepi? Gdyby Beata rozumiała, co Ida chciała jej powiedzieć, gdyby Kuba rozumiał, co Ida chciała mu pokazać — wszystko byłoby tak, jak trzeba. Ale oni woleli błądzić we mgle, głusi na wszelkie nawoływania. Potrzeba było żelaznej ręki, żeby skierować ich na właściwe tory. Takiej ręki, jaką miała babcia.

Siedziała tak bardzo długo, ocknęła się dopiero, kiedy podwórzem zaczęli przechodzić pojedynczy rwacze. Jeszcze chwila i z ogrodu przyszła Regina z koszykiem pełnym ogórków. Wyglądała na zmęczoną, chociaż zmieniła wyraz twarzy, gdy tylko dojrzała Idę. Czy ona też przybierała maski? Ida pomyślała nagle ze zgrozą, że siła Reginy także może być tylko spektaklem na użytek innych, ale natychmiast odpędziła od siebie ten pomysł. Ponieważ postać Reginy była dla Idy dowodem, że człowiek wcale nie jest słaby, że ma w sobie moc, by być panem nad czymś tak knąbnym i przekornym jak los. A z tego przekonania Ida czerpała siłę i wiarę dla siebie.

— Co tu robisz? — zapytała Regina, stawiając koszyk na stole. — Zdejmij nogi z poręczy.

Ida posłusznie opuściła nogi.

— Odpoczywam — odrzekła, ale jej głos zdradził nagły wyrzut sumienia. — Ale zaraz pójdę do stodoły, pomogę zwozić skrzynki.

— Cyprian jest, a w ogrodzie spotkałam Franka, szedł do nas na skrót.

Ida nie potrafiła odgadnąć, czy babcia mówi to informacyjnie, czy ma na myśli, że Ida może spokojnie zostać z książką na ganku. Na wszelki wypadek założyła to pierwsze.

— Aha — powiedziała więc.

— Ale oczywiście możesz się przydać w stodole — dodała Regina.

— Będiesz zaparzać ogórki? — zapytała Ida. — Dziś przy śniadaniu poszły prawie wszystkie.

— Tak. I część pójdzie już do kiszenia.

Spojrzały obie na pleciony koszyk. Ogórków było tak dużo i były ułożone w tak karkołomny stos, że chyba tylko Reginie udało się nie wysypać ich po drodze.

— Pora już zacząć robić przetwory, chciałabym dać trochę twoim rodzicom, kiedy przyjadą — powiedziała Regina. — I Florze, jak będzie odjeżdżać. Nie wiadomo, kiedy któreś z was znowu tu zawita.

Ida poczuła chłód w okolicy serca. Tak już zdążyła wsiąknąć w tutejszy rytm, w ten dom, w sad, że powoli zapominała, że gdzieś jeszcze jest inny świat. Jej prawdziwe życie wydawało się złudzeniem, kiedy myślała o nim, siedząc na ganku u dziadków. Wszystko, co ważne, istniało tu i teraz. Kiedy Regina wspomniała o tym, że tak naprawdę za kilka dni się rozjadą i wrócą tu, przy dobrych wiatrach, na któryś z długich jesiennych weekendów, może na Święto Zmarłych, to było tak, jak gdyby ktoś chciał brutalnie wyrwać Idę ze snu.

— Zaparz ogórki na teraz — powiedziała szybko. — Jeszcze nikt nie odjeżdża.

Regina popatrzyła na nią i przysiadła na wyścielonym pasiastą narzutą krześle.

— Niedługo zaczną się żniwa — powiedziała. — Stach już wczoraj wspominał, że zboże dojrzało i pora umawiać kombajn. Rżyska to już sierpień, Iduniu. A zaraz potem pola zostaną zaorane. Jesień na wsi przychodzi bardzo wcześnie. Jednego dnia widzisz złocisty łąn i lato w pełni, a następnego bure i puste pola. Nie uciekniesz przed tym.

— Wiem — odrzekła Ida cicho.

— A kiedy zaczynam robić przetwory, to tak, jakbym oswajała jesień — kontynuowała Regina. — Kiedy wkładam ogórki do sło ików, to jest moja zgoda na to, że jesień przyjdzie. I łatwiej się z nią godzić. Ja lubię jesień.

Siedziały na ganku, powietrze było przesycone zapachem kurzu i słońca, a Ida nie potrafiła uwierzyć, że to nie będzie trwać i trwać, że to się kiedyś skończy. Że przeminie ta chwila. A skoro chwile przemijały — to czy warto było ciągle walczyć?

— Idę — powiedziała Regina, patrząc na swój mały zegarek i podnosząc się z krzesła. — Ludzie już schodzą, zaraz przyjedzie samochód, pora przygotować kolację. Muszę zajrzeć do kur.



Kiedy była młodsza, zawsze pilnowała, żeby kiszenie ogórków nie zbiegło się w czasie z jej okresem. To był dawny przesąd, niedorzeczny, ale coś w nim jednak było, bo ilekroć Regina go lekceważyła, ogórki się nie udawały. Regina, zazwyczaj sceptyczna, jeśli chodziło o wszelkie tutejsze zabobony, po tym, jak trzeci raz ogórki jej nie wyszły, skapitulowała i odtąd planowała kiszenie ze swoim kalendarzykiem w ręku. Ale to było dawno — już od wielu lat nie musiała się o to martwić. Zabawne, że to właśnie podczas kiszenia, kiedy układała w słojach kwiaty kopru i wielkie liście chrzanu, nachodziły ją refleksje o tym utraconym fragmencie kobiecości. Napęliając słoje zalewą, Regina łapała się na ironicznej myśli, że menopauza oznaczała dla niej wyswobodzenie się z absurdalnych przesądów, którym do tej pory musiała jednak być posłuszna.



Po odejściu Reginy Ida posiedziała jeszcze chwilę, a potem podniosła się z bujanego fotela i wolnym krokiem udała się do stodoły.

Dziadek z Beatą wypłacali ludziom pieniądze. Cypriana ani Franka nie było. Ida domyśliła się, że pojechali po wiśnie do sadu. Minęła Zochę Charczukową, która odbierała pieniądze za syna — Heniek już zdążył pójść do domu, Ida widziała go z ganku — postąpiła chwilę przy Beacie, zaglądając jej przez ramię do poplamionego zeszytu dziadka, po czym dostrzegła we wrotach stodoły Gośkę. Gośka była sama, stała tuż przy progu stodoły, ale jeszcze na dworze, czekała, aż przyjdzie jej kolej, żeby podejść do Beaty po pieniądze. Ona też zauważyła Idę, uśmiechnęła się i uczyniła ręką zapraszający gest. Ida podeszła do niej.

— Witaj — powiedziała Gośka, uśmiechając się szeroko.

Wyglądała pięknie, mimo że była nieumalowana, a na jej twarzy widoczne były zaschnięte krople soku z wiśni. A może, pomyślała Ida, wyglądała pięknie właśnie dlatego. Włosy miała ściągnięte do tyłu, tuż nad czołem przytrzymała je szeroka opaska. Jej wygląd był zupełnie naturalny, niepodrobiony ani jednym pociągnięciem tuszu do rzęs, ani jednym muśnięciem pomadki. Od Gośki bił jakiś wewnętrzny blask, którego Ida w pierwszej chwili nie zrozumiała.

— Cały dzień o tobie myślałam — mówiła Gośka, robiąc kilka kroków w stronę sadu, dalej od stodoły; Ida szła za nią. — Jak ci się podobało z nami wczoraj? Nie miałam okazji... zapytać.

Puściła do Idy oko.

— Było bardzo sympatycznie — odrzekła Ida ostrożnie. — Nie byłam dotąd w tej knajpie. Ciekawe miejsce.

Gośka się roześmiała.

— Masz czas przejść się ze mną kawałek? I tak czekam na chłopaków, pojechali z Frankiem

po skrzynki.

— A... pieniądze? — zapytała niezręcznie Ida, wykonując gest w kierunku Beaty z zeszytem dziadka i starą portmonetką Reginy.

Dziadek zagadał się z jakąś kobietą, dwie inne stały z boku, cierpliwie czekając na swoją kolej i rozmawiając z ożywieniem — kończyły jeszcze jakiś temat podjęty w sadzie. Gośka machnęła ręką.

— Później. Albo jutro.

Ruszyły wokół stodoły, przecięły podwórko i wyszły na drogę. Skręciły w lewo i poszły wzdłuż rosnących przy płocie jarzębin, aż dotarły do miejsca, gdzie drewniany płot kończył się i zakręcał pod kątem prostym, biegnąc wzdłuż podwórka. Dalej rozpościerał się ugor — dawne pole dziadków, które, odkąd dziadek przestał uprawiać zboże, leżało odłogiem, porośnięte ostrą trawą, powojem i rdestem.

— Siądziemy sobie tutaj, pod płotem? — zaproponowała Gośka. — Ładnie tu.

Ida kiwnęła głową. Ganek wychodził wprost na tę stronę, ale i płot, i jarzębiny doskonale kryły ugor przed widokiem z domu.

— Zapalisz? — zapytała Gośka, wyjmując z kieszeni znajomych Idzie džinsów zmiętą paczkę papierosów.

— Nie.

— Ja staram się nie palić przy Patryku — westchnęła Gośka, zapalając papierosa. — Wkurza go, kiedy widzi mnie z papierosem. Ale lubię czasem zapalić w samotności. Lepiej się myśli.

— Możliwe.

Gośka wypuściła wolno dym, rozglądając się po ugorze.

— Widzisz... tam? — zapytała, wskazując ręką w nieokreślonym kierunku.

Ida popatrzyła w ślad za jej gestem, ale zobaczyła tylko kępę chwastów.

— To rdest — powiedziała Gośka. — Kiedyś kobiety stosowały to do usuwania ciąży, wiedziałas o tym?

Ida pokręciła głową. Wyprostowała nogi i oparła się o deski płotu. Pomyślała, że właściwie do tej chwili bardzo pasowałby papieros. Gośka wyglądała z nim tak naturalnie i tak dorośle. Ale irracjonalny strach przed sokolim wzrokiem Reginy był silniejszy.

— A mi powiedziała teściowa Hanki. Byliśmy u Kubusia w niedzielę, zanim przyjechaliśmy po ciebie. Hanka zawołała nas na ławkę pod domem, siedziały z panią Żałoskową, łuskały groch. I tak sobie porozmawialiśmy. Bardzo sympatycznie było.

Ida nie spodziewała się, że pogawędka z Hanką i Marynią Żałoskową może się wydać sympatyczna komuś takiemu jak Gośka.

— I wiesz, podobno była tu kiedyś we wsi zielarka — mówiła tymczasem Gośka. — Taka co to, wiesz, znała się na ziołach i leczyła tutejszych. Zwłaszcza kobietom pomagała. Słyszałaś o niej?

— Nie — pokręciła głową Ida. — Nie słyszałam.

Gośka popatrzyła na nią z zastanowieniem.

— To miejsce jest dla ciebie tak oklepane, że jesteś na nie ślepa — powiedziała. — Niczego nie widzisz, bo wszystko wydaje ci się już od dawna znajome. To smutne.

Idy ta uwaga nawet nie zirytowała, ponieważ w tej chwili pomyślała dokładnie to samo. Tych troje czuło się tu pewniej niż ona, która tu się wychowała. Patrzyli na wszystko z ciekawością, widzieli i rozumieli więcej niż ona, bo dla niej wszystko tutaj było tak naturalne, że nigdy się nad niczym głębiej nie zastanawiała. Nie przyszłoby jej do głowy rozmawiać o czymkolwiek z Marynią Żałoskową. Westchnęła.

— No i co z tą zielarką? — zapytała tylko.

— Nic. Żyła tutaj, twoja babcia na pewno może ci o niej więcej powiedzieć niż ja. To musiała być ciekawa postać. Hanka opowiadała, że jej matka, podobnie jak wiele innych kobiet, trzymała się od niej z daleka, bo jej zdaniem tamta dopuszczała się praktyk niezgodnych z religią katolicką. No pewnie, skoro pomagała kobietom usuwać ciążę.

Gośka przerwała na chwilę i zgasiła papierosa w trawie.

— Ale pani Żałoskowa mówiła też, że wielu wyleczyła — podjęła. — Nawet coś wspominała o sobie samej, ale nie powiedziała dokładnie, o co chodziło, a ja nie dopytywałam się, w końcu to jej sprawa. No a potem zaczęłyśmy rozmawiać o ziołach. Kojarzysz krwawnik? Podobno można to palić i niezłe daje kopa. Śmieliśmy się potem z Borem, że musimy tego narwać i wysuszyć. Może się nam spodoba.

Krwawnik rósł tuż obok, wysoki, pachnący gorzko, o białych drobnych kwiatkach. Ida znała go dobrze, zawsze ją złościł, bo trudno było go zerwać, a tak bardzo pasował do bukietów, jakie robiła mamie, kiedy była małą dziewczynką.

Siedziały chwilę w milczeniu. Gośka podkuliła kolana, oparła na nich brodę. Drogą przejechała pani Gienia na swoim starym rowerze; nie zauważyła ich.

— Wiesz, chciałam cię zapytać o naszego Kubusia — powiedziała nagle Gośka.

Ida drgnęła. Chyba sama właśnie po to przyszła tu z Gośką. Przełknęła ślinę.

— To znaczy?

Gośka odwróciła głowę i spojrzała na nią.

— Wyczuwam między wami takie samo napięcie, jakie bywa między mną a Patrykiem — odrzekła. — Tyle tylko, że my już nauczyliśmy się je kanalizować. Rozumiesz, co mam na myśli?

Ida pokiwała głową.

— Na to nie wolno być ślepym. To zbyt duża siła. Od rana myślałam, żeby z tobą porozmawiać, bo jakoś tak... Wydaje mi się, że ty to nie do końca rozumiesz. Jeszcze nie wiesz. Mam rację?

Uśmiechała się do Idy swoim pełnym sympatii uśmiechem, który Idzie wydał się taki podejrzany na początku ich znajomości. Ale przecież były koleżankami, nie miała powodu jej nie ufać.

— Masz — przyznała więc cicho. — Ale ja rozumiem, tylko...

Gośka przerwała jej ruchem ręki.

— To będzie cudowne, zobaczysz. Tylko poddaj się temu. Nie rozumiesz, co się z tobą dzieje, czy nie tak? Dlatego jesteś taka niespokojna. Ale zrozumiesz, musisz mu tylko zaufać. Nie bój się.

To „nie bój się” brzmiało jak wypowiedziane do małego dziecka. Ale Ida była wdzięczna Goście. Wreszcie miała z kim o tym porozmawiać. Ktoś ją dyskretnie obserwował i rozumiał. Wspierał w tym, co sama już dawno postanowiła zrobić, zachęcał. Dodawał odwagi.

— A potem wszystko będzie zupełnie inaczej, aż się zdziwisz — mówiła jeszcze Gośka. — Jakbyś nagle stała się zupełnie nowym człowiekiem. Mówię ci, to jest siła. Prawdziwa kobieca siła, to jest jej źródło.

— Tak myślałam — powiedziała Ida. — Tak właśnie to sobie wyobrażałam. Że to będzie przełom dla mnie jako... no wiesz, kobiety.

Gośka pokiwała głową. Odnalazła w trawie dłoń Idy i uścisnęła ją.

— Nie ma na co czekać. — powiedziała. — Nie zwlekaj. A gdybyś potrzebowała jakiejś rady... no wiesz, bardziej przyziemnej, to śmiało. Chociaż myślę, że Kubuś sam o wszystko się zatroszczy, możesz być spokojna.

Ida nagle poczuła, że się czerwieni. Serce zatrzepotało jej w piersiach. Ale Gośka była po jej stronie, rozumiała ją — nie było sensu wstydić się przed nią swoich uczuć. Odwzajemniła uśmiech — dziewczęcy, kobiecy, porozumiewawczy uśmiech. Odwzajemniła też uścisk ręki.



Regina ustawiła na stole półmisek jajek ze szczypiorkiem. Jej kury doskonale się niosły, tak że miała już odłożoną porcję potrzebną jej na jubileusz, a i tak śniadania i kolacje w domu pełnym ludzi obfitowały w jajecznicę i naleśniki. Regina przypuszczała, że kiedy już zostaną z Mateuszem sami, okaże się, że kur jest za dużo i że przez okres jesiennych chłódów będą mieli regularny

niedzielny rosół.

Beata stała przy szafkach i kroїła wędzoną szynkę od Stacha Żałoski. Minę miała nieobecna, plastry były nierówne i poszarpane.

— Niesamowite są swojskie jajka, nawet kolor żółtek mają inny — zachwycił się Cyprian na widok półmiska, który ustawiono mu przed nosem.

— To prawda. — Flora pokiwała głową. — Nałożyć ci, Cypis?

— A może wolisz kanapkę z szynką — zaproponowała Beata ze swego miejsca przy szafkach. — Już kończę.

Cyprian zawahał się przez moment. Zaszurało krzesło, to Regina siadała przy stole; sięgnęła po koszyczek z chlebem, wzięła sobie kromkę i zaczęła uważnie smarować ją masłem.

— Długo się zastanawiasz — powiedziała Ida.

Wydawało mu się, że usłyszał nutę zaczepki w jej głosie.

Przy stole zapadła cisza, zupełnie przypadkowa. Regina mieszała herbatę, Filip usiłował wyłowić sobie ogórka z wielkiego słoja, Flora nakładała jajko na własny talerzyk. Ale jemu wydało się, że wszyscy czekają na jego odpowiedź i że z każdą sekundą jego odpowiedź nabiera coraz większej wagi.

— Właściwie... — wyjąkał — właściwie nie pogardzę ani jednym, ani drugim — dokończył niezgrabnie. Miał niejasne wrażenie, że jego odpowiedź nie zadowoliła nikogo.

Regina odłożyła łyżeczkę.

— Naturalnie — powiedziała. — Jedno i drugie jest przecież wyborne. Beatko, weź jeszcze po drodze pomidory z suszarki.

Wydawało się, że powiedziała to mimochodem. Cyprian przełknął ślinę. Regina popatrzyła na niego i delikatnie podsunęła półmisek z jajkami w jego stronę.

— Smacznego — powiedziała, więc Cyprian nałożył sobie od razu trzy połówki.

Beata usiadła obok niej, stawiając na stole talerz z różowymi plastrami Stachowej szynki. Nie odezwała się.

— O, jak ślicznie pokroїłaś. — Mateusz chrząknął niezręcznie, uśmiechając się przez stół do wnuczki.

Miał niejasne wrażenie, że Beatce może być przykro, jak gdyby wybór jajek godził w nią osobiście; w końcu nabiedziła się z krojeniem tej szynki. Wziął sobie od razu kilka plasterków i poprosił Idę o ogórki. Ida podała mu wielki słoje, nawet na niego nie patrząc, pochłonięta jakimiś własnymi troskami. Mateusz westchnął bezwiednie. Coś się działo przy jego własnym stole, a on tego nie pojmował, było to dlań zbyt ulotne, zbyt mało wyraziste. Mógł się rzecz jasna domyślać, że młode dziewczęta trapią najczęściej problemy miłosne, ale młodość, miłość — to wszystko

było już odeń tak dalekie, że nawet myślą niechętnie do tego wracał. Zateęsknił nagle do zimowych wieczorów, spędzanych w ciszy, w przyjemnym poczuciu absolutnej harmonii, w tym cudownym spokoju, kiedy Regina robiła na drutach, a on oglądał telewizję. Jakim szczęściem była taka błoga starość, kiedy człowiek nie był już wystawiony na pastwę tych dziwacznych rozterek i uniesień. Mateusz popatrzył ze współczuciem na swe wnuczki i odgryzł spory kęs swej kanapki z szynką. Mięso było doskonale uwędzone. Stach jak zwykle okazał się mistrzem.



W zachodzącym słońcu zboże nabierało różowego koloru. Cała równina falowała, poruszana delikatnym wschodnim wiatrem. Nad wysuszonymi polnymi drogami unosił się świetlisty pył. Lasy na horyzoncie wyglądały jak na starej, zakurzonej fotografii.

Cały dzień nie zdarzyła się ani jedna chwila, żeby zostali sami. Zaraz po obiedzie dziadek zagarnął go do stodoły, gdzie pomagał aż do przyjazdu samochodu, potem była kolacja, a teraz siedział w namiocie z Filipem, bo obiecał mu warcaby. W ogóle Filip nie odstępował go na krok. Jeździł za nim na rowerku po sadzie, kręcił się po stodole w czasie załadunku, a podczas kolacji pewnie byłby mu wszedł na kolana, gdyby nie uwaga Flory, że jest już na to stanowczo za duży. Flora siedziała obok nich. Chyba po raz pierwszy.

Bardzo ładnie razem wyglądali.



W ciemnościach sad wyglądał zupełnie inaczej niż za dnia. Nie było wprawdzie zupełnie ciemno — nad sadem wisiał jasny księżyc, który delikatnie srebrzył liście wiśni. Oczy szybko przyzwyczyły się do mroku i teraz Ida zupełnie swobodnie szła jedną z alejek sadu, wprost przed siebie. W świetle słońca wesoły i gwarny, teraz sad pogrążony był w specyficznej nocnej ciszy, która była i nie była ciszą jednocześnie; zewsząd dobiegały najrozmaitsze dźwięki, ponad które wybijało się przejmujące cykanie świerszczy. Ida przypomniała sobie, jak kiedyś Robert założył się z nią, że nie odważy się pójść nocą na koniec sadu — miała wtedy kilka lat, siedzieli wieczorem w kuchni dziadków, już po kolacji, i on nagle zaczął snuć opowieści o duchach. A kiedy była już wystarczająco wystraszona, on nagle roześmiał się i powiedział, że jest taka mała i na pewno boi się sadu nocą. Idzie to wystarczyło — odkąd pamiętała, nie lubiła, kiedy traktowano ją jak dziecko; była sporo młodsza od reszty kuzynów i zawsze, na każdym kroku starała się udowodnić, że mimo to nie jest od nich gorsza. Robert, który skądinąd był dobrym

kuzynem, lubił jednak od czasu do czasu ją podpuścić; wiedział, że jest bardzo czuła na punkcie swojej dziecięcości. I wtedy także poszła, a właściwie pobiegła, przebiegła cały sad na oślep, z sercem kołoczącym z wysiłku i ze strachu. Pamiętała swoje uczucie triumfu, kiedy wróciła. A jednak od tamtej pory zostało w niej coś, co sprawiało, że nocą czuła się w sadzie nieswojo. Lubiła to uczucie, stan czujności i napięcia, mrówki biegające po plecach. Dreszcz na odgłos łamiącej się z trzaskiem gałązki.

Przeszła na sam skraj sadu i przystanęła. Tuż obok zaczynały się porzeczeki Franka; dalej, w kępie drzew, na wpół ukryty stał dom Żałusków. W jednym z okien paliło się światło. Ida nigdy nie była u Żałusków, nie wiedziała, jakie to pomieszczenie, ale nagle nabrała pewności, że to pokój Franka i Hanki. Może Franek był teraz w łazience, Marynia i Stach już spali, a Hanka czekała na męża. Co czuła? Czy naprawdę ktokolwiek był w stanie pokochać pocziwego, brzydkiego Franka jako mężczyznę? A może Hanka siedziała teraz na skraju ich małżeńskiego łóżka i wzdragała się na myśl o tym, że Franek zaraz wróci z łazienki? Ida przypomniała ich sobie takimi, jakimi widziała ich dzisiaj; Franek ze swoim nachalnym uwielbieniem, jak gdyby do tej pory nie mógł uwierzyć, że Hanka należy do niego, i Hanka zniecierpliwiona — ona pewnie też nie mogła uwierzyć, że należy do Franka.

Ida patrzyła na rozświetlone okno Żałusków i usiłowała wyobrazić sobie tę Hanke, która była zakochana w Robercie. Czy miała dla niego takie samo natrętne uwielbienie, jakiego obecnie sama doświadczała ze strony swojego męża? Robert był jej pierwszym mężczyzną — co czuła, kiedy akt się dopełniał? Jak to było z kimś, w kim było się zakochanym? Pewnie była nieprzytomna ze szczęścia — znajdowała się w ramionach mężczyzny, którego kochała, i poddawała mu się z uczuciem niewysłowionej słodyczy w sercu i w całym ciele. O tak, Ida mogła to sobie wyobrazić. Ale czy te chwile warte były późniejszych łez? Bo przecież płakała na pewno, nie mogło być inaczej. I czy te łzy nie były dowodem na to, że pewnych rzeczy lepiej doświadczyć bez emocji?

Nie wiadomo skąd, ale nagle Ida nabrała przekonania, że to się dopełni, że to się dopełni już bardzo niedługo. To był odpowiedni moment i odpowiedni człowiek — nic dla siebie nie znaczyli, ich drogi wkrótce miały się rozejść. Nikt nikogo nie mógł skrzywdzić. Tak było najwłaściwiej, Ida była o tym przekonana. Tylko w ten sposób można było uniknąć katastrofy.

Spojrzała jeszcze raz na dom Żałusków. Światło w oknie zgasło. Co się tam teraz działo? Kto był szczęśliwy, a komu serce pękało po raz tysięczny? Ida była pewna, że zna odpowiedź.



Olo musiał przyznać, że Róża bardzo umiała mu czas. Była niezwykle czarująca, ze

swoim złocistym warkoczem i okrągłymi oczyma, które wpatrywały się weń z uwielbieniem i oddaniem. Ona cała była jednym wielkim oddaniem, kiedy spotykali się w ustronnym zakątku, ukrytym wśród smukłych, młodych topoli. Przyjmowała go jak czcicielka, jak służka, a potem gładziła jego skórę i włosy, podczas gdy jemu oddech wracał do normalnego rytmu. Nie pytała o nic, w ogóle mało mówiła, lubiła za to słuchać, jak opowiadał o stronach, z których pochodził. Kiedy bawił się jej długim warkoczem, uśmiechała się i patrzyła nań spod półprzymkniętych powiek. Była naprawdę urocza.

Poza upojnymi chwilami z Różą Ołowi pobyt na wschodniej równinie zaczynał jednak powoli doskwierać. Im lepiej czuł się w drewnianym domu dźwigniętym z ruiny, tym tak naprawdę czuł się gorzej, bo przecież dom ten był cudzym domem i Olo codziennie rano patrzył na cudze szczęście.

I kiedy zaczynał już poważnie zazdrościć przyjacielowi tego domu, ciężarnej żony i młodziutkich jabłonek, kiedy ta zawiść zaczynała wypuszczać coraz bardziej lepkie macki, które ścisnęły go od środka, nadszedł list. Lidka podjęła decyzję. Prosiła, żeby wracał.

Macki obumarły w jednej chwili, Olo ucałował zaskoczoną Ginę, pogłaskał ją nawet po wielkim brzuchu, uścisnął dłoń zdumionego Matiego i wyjechał. Dopiero w pociągu pomyślał przelotnie, że nie pożegnał Róży.

ROZDZIAŁ 9

Robert oparł czoło o szybę, ale nawet ona była rozgrzana i nie przyniosła mu żadnej ulgi. Osobowy pociąg toczył się wolno po rozpalonych szynach, powietrze było lepkie i ciężkie. Zieleń lasów za oknem wyblakła w słońcu, maki, które czerwieniły się wzdłuż torów, zwieszały udęczone żarem główki. Robert miał kaca po wieczorze kawalerskim kumpla, dawno już opróżnił butelkę ciepłej coli, którą znalazł rano w mieszkaniu, i teraz pragnął umrzeć.

Bardzo chciało mu się palić. Wrócił do domu nad ranem, spał dwie godziny, przez które zdążył jedynie wstępnie wytrzeźwieć, ledwo złapał pociąg, bo pomylił perony na Dworcu Wschodnim. Nie zdążył kupić papierosów. Dobrze, że chociaż przyszło mu do głowy wrzucić do plecaka tę colę. Nie pamiętał, kiedy to zrobił, rano był półprzytomny. Ale widocznie zadziałał tu jego niezawodny instynkt samozachowawczy.

Nawet nie liczył na to, że zdoła się przespać. Miarowy stukot pociągu odbijał mu się echem we wszystkich zakamarkach czaszki.

Naprzeciwko Roberta siedział starszy człowiek z siwą brodą i niebieskimi, żywymi oczami. Zerkali na siebie ukradkiem. Kiedy ich spojrzenia po raz kolejny się spotkały, staruszek bez słowa wyjął z kieszeni spodni paczkę dobrych papierosów i wyciągnął ją w stronę Roberta. Ten popatrzył na papierosy zdziwiony.

— Zapali pan? — spytał staruszek, a oczy mu się śmiały. — Wygląda pan, jakby chciało się panu palić.

— Dziękuję — odrzekł uszczęśliwiony Robert i wyjął z paczki jednego papierosa.

Wyszli na platformę łączącą wagony. Zepsute drzwi były otwarte, na twarzach czuli podmuch gorącego powietrza. Staruszek wyjął zapalki, otoczył płomień dłonią. Zapalili.

— Robert — przedstawił się Robert, podając nieznanemu dłoń.

— Aleksander — odrzekł staruszek, ściskając mu mocno rękę.

Palili chwilę w milczeniu. Pociąg toczył się przez wyschnięte łąki i złociste pola, poprzetykane błękitem chabrów.

— Ładna okolica — zauważył Aleksander. — Dawno tu nie byłem. Wschodnie równiny mają w sobie coś urzekającego.

Robert spojrział w otwarte drzwi pociągu, ale nie zauważył niczego szczególnego.

Aleksander obserwował go z życzliwym uśmiechem.

— Pewnie jesteś stąd i dla ciebie ten krajobraz jest czymś najnaturalniejszym w świecie — powiedział.

— Jestem z Warszawy — odrzekł Robert, zaciągając się z rozkoszą dymem. — Ale mam tu dziadków, właśnie do nich jadę. Spędziłem tu sporą część dzieciństwa.

— Ja byłem tutaj bardzo dawno temu i tylko przez jedno lato. Ale mam miłe wspomnienia.

— Jedzie pan do kogoś? — zapytał Robert.

— Tak — potwierdził Aleksander. Robert zauważył, że staruszek zaciąga się równie głęboko jak on sam i z równie wielką przyjemnością. — Jadę odwiedzić moich przyjaciół. Na specjalną okazję.

— To miło.

Robert czuł sympatię do tego człowieka.

— Zostańmy tu jeszcze chwilę — zaproponował Aleksander, kiedy już zgasili niedopałki. — Tu jest przynajmniej jakiś ruch powietrza, poza tym od tej pani, która siedzi za mną, bije dziwny zapach. Przypuszczam, że wiezie w torbie kiełbasę, w każdym razie nie mogę tego znieść.

Robert się roześmiał.

— Dobrze — zgodził się. — Zresztą ja już niedługo wysiadam.

Aleksander spojrzał na zegarek.

— Ja też — powiedział. — Zgodnie z rozkładem teraz powinna być moja stacja.

— Czyli wysiadamy na tej samej.

Robert popatrzył na towarzysza z zainteresowaniem.

To samo zainteresowanie odbiło się w niebieskich oczach staruszka.

— Jesteś wnukiem Mateusza, prawda? — bardziej stwierdził niż zapytał.

— Prawda — przytaknął Robert. — A pan jedzie na urodziny mojej babci, prawda?

— Prawda. — Staruszek się uśmiechnął.

Roześmieli się obydwaj.

— No proszę — rzekł Aleksander. — Co za miłe spotkanie. Kto by pomyślał. Czy zdążymy jeszcze zapalić?

Robert wyjrzał na zewnątrz. W oddali majaczył już znajomy sosnowy las, do którego przytulona była stacja.

— Nie — pokręcił głową. — Ale możemy zapalić, jak tylko wyśiadziemy. Od stacji do dziadków idzie się kawałek skrajem lasu. Będzie trochę cienia.



Regina z Florą wieszały pranie na sznurkach rozciągniętych w starym sadzie. Wokół nich stały kolorowe miednice, pośrodku koszyk z klamerkami do bielizny. Regina wieszała pranie metodycznie, układała osobno bieliznę, osobno ubrania, osobno pościel i ręczniki. Flora wieszała wszystko jak popadnie, dbając jedynie o to, żeby kolory rozłożone były w miarę równomiernie. Regina cmokała z niezadowoleniem, ale się nie odzywała. Flora uśmiechała się rozbawiona.

— Szybko wyschnie — powiedziała Regina, przeciągając dłonią po białym prześcieradle. — Dobrze.

W starym sadzie było duszno.

— Muszę wracać pilnować sernika — powiedziała jeszcze, podnosząc z trawy największą miednicę. — Robert zawsze musi mieć sernik.

— Rozpuściłaś go — odrzekła Flora, podając Reginie koszyk po klamerkach. — Jak żadną z nas.

— Bzdura.

— Tak jest. — Flora uśmiechnęła się i przechyliła głowę, patrząc kpiąco na Reginę. — Ale to chyba normalne. Jest chłopakiem. Kto ma być oczkiem w twojej głowie, jeśli nie on?

Regina się uśmiechnęła.

— Cyprian jednak wrócił — powiedziała.

Flora włożyła do ust papierosa.

— Nie rozumiem słowa „jednak” — powiedziała, zapalając go i nie patrząc na Reginę. — Pomóc ci z tymi miednicami?

— Ja też go nie rozumiem, tak mi się samo powiedziało — przyznała Regina. — Mówi ci się coś samo czasami? I potem człowiek długo się zastanawia, czemu tak właśnie powiedział. Niekiedy dużo czasu potrzeba, zanim zrozumie sens własnych słów.

— Pytałam o miednice — powtórzyła Flora zniecierpliwionym tonem.

— Pomóż mi.

Wyszły ze starego sadu akurat w chwili, kiedy na podwórku ukazał się Robert z jakimś nieznanym mężczyzną. Robert miał spory plecak zawieszony na jednym ramieniu, nieznanomy trzymał w dłoni niedużą, elegancką walizkę. Flora skinęła Robertowi głową i spojrzała z zaciekawieniem na jego towarzysza.

— Cześć, babciu. — Robert rzucił plecak przy schodkach prowadzących na ganek, podszedł szybko do Reginy, cmoknął ją w policzek i wyjął jej koszyk i miednicę z ręki. — Daj, pomogę ci. Zobacz... — machnął ręką w stronę drugiego przybysza, który ustawiał właśnie swoją walizkę obok porzuconego plecaka — zobacz, jakiego gościa ci przywiozłem.

Gość uśmiechał się niepewnie. Stał przy ganku, w spodniach w kant i beżowej kraciastej

koszuli, elegancki starszy pan z łysiejącym czołem i niewielką siwą brodą. Flora przyglądała mu się zaintrygowana. Dwie miednice, złożone razem, trzymała pod pachą, w prawej dłoni nadal miała zapalonego papierosa, którego podniosła do ust.

Regina tymczasem szła w stronę ganku, wyciągając rękę.

— Olo — powiedziała. Flora nie widziała twarzy, ale słyszała w jej głosie, że Regina się uśmiecha, i to jakimś niecodziennym, rzewnym uśmiechem. — Olo.

Na obcej twarzy staruszka także odmalowało się wzruszenie. Ujął wyciągniętą w jego stronę dłoń w obie pomarszczone ręce i podniósł do ust. Potem przytulił ją do twarzy.

— Olo — śmiała się Regina. — Olo, skąd ty się tu wzięłeś, na Boga?

Flora podeszła do Roberta, który stał trochę z tyłu, czekając, aż tamtych dwoje się przywita. Trąciła go łokciem.

— Kto to? — zapytała szeptem. Niechcący wypuściła mu w twarz cały dym, który miała w płucach.

Robert zakaszłał.

— Przepraszam — powiedziała szybko.

— Od ciebie nie szkodzi — odrzekł szarmancko, uśmiechając się szeroko. — To Aleksander, przyjaciel dziadków. Fajny, nie?

Popatrzyli oboje na Reginę i Aleksandra.

— Skąd go wzięłeś?

— Przywiozłem babci w prezencie — wzruszył ramionami Robert. — Pomyślałem, że przebiję was wszystkich.

— Ty nas, Robert, możesz co najwyżej przepić — zaśmiała się Flora krótko. — Nic więcej.

— Spotkałem go w pociągu. Poczęstował mnie papierosem i tak jakoś wyszło w rozmowie. Bardzo sympatyczny człowiek.

— Regusia wygląda na zaskoczoną.

— Moim zdaniem na bardzo szczęśliwą. Masz jakieś fajki, Flora? Jestem w potrzebie.

Regina odwróciła się do nich.

— No chodźcie tu — zawołała. — Olo, a to jest nasza najstarsza wnuczka.

— Flora, pamiętam. — Aleksander pokiwał głową, więc Flora niedbałym ruchem rzuciła niedokończonego papierosa w trawę i podeszła, wyciągając do przybysza oswobodzoną dłoń. Aleksander ujął ją i ucałował równie szarmancko jak przed chwilą dłoń Reginy. — Pamiętam. Córka Elusi.

Flora nigdy nie słyszała, żeby ktokolwiek mówił o jej matce Elusia.

— Pan zna moją matkę? — zapytała.

Aleksander i Regina roześmieli się szczęśliwym śmiechem.

— Prawie — odparł. — Prawie udało mi się ją poznać.

— Robert, idź do stodoły — powiedziała Regina do wnuka, który podszedł do nich w ślad za Florą, po drodze przydeptując jej niedopałek. — Poszukaj dziadka i przyprowadź go tutaj — poleciła, po czym ujęła Aleksandra pod ramię. — Chodźmy na ganek, Olo, dam ci coś do picia, zaraz też wyjmę sernik z piekarnika, o ile jeszcze nie spłonął. Co za niespodzianka, naprawdę — mówiąc to, wspinała się po stopniach i prowadziła za sobą Aleksandra. Robert wręczył Florze koszyk i miednicę Reginy, sam zaś udał się do stodoły, ona zaś po chwili niezrozumiałego wahania weszła za dwojgiem starszych ludzi do domu.



Robert odnalazł ją jakiś czas później w altance. Zbliżało się południe, powietrze stężało w upale, w starym sadzie było duszno. Flora siedziała nad starymi albumami rozłożonymi na całym stole, paliła. Nie poruszyła się nawet, kiedy Robert zabębnił palcami w ściankę altanki i wszedł do środka, podsunęła mu tylko bez słowa papierosy. Wyjął jednego i zapalił.

— Miło tu — powiedział, rozsiadając się wygodniej na ławce. — Nieźle się tu urządziłaś.

— Widziałeś się już z dziadkiem?

— Tak, widziałem się już ze wszystkimi, z całą naszą kochaną rodziną. Z twoim synem. Z moją siostrą. Z naszą wspólną kuzynką. A z dziadkiem najpierw, bo spotkałem go już w stodole. Krótco zresztą rozmawialiśmy, za wcześniej mu powiedziałem o Aleksandrze, stracił dla mnie całe zainteresowanie. Siedzą teraz we trójkę na ganku, boję się, że nie będzie obiadu, dziadek już wyciągnął swoje nalewki.

Flora uśmiechnęła się pod nosem.

— No a w stodole został twój facet — ciągnął Robert. — Jest chyba tutaj prawą ręką dziadka, co? Mądrze.

Flora wzruszyła ramionami.

— Całkiem fajny chłop, Florka. Muszę się z nim napić, to wydam ostateczny osąd, ale wygląda mi na swojaka. Co tam masz?

— Zdjęcia.

— Chyba jakieś straszne starocie, co?

— Zobacz. — Flora podsunęła Robertowi album. — Poznajesz?

Robert rzucił okiem na wyblakłe zdjęcie.

— Nie.

— Przyjrzyj się.

Robert pochylił się nad albumem, tym razem uważniej. Pokręcił głową.

— Nie, nie poznaję. Kto to?

— To Regusia. — Flora postukała palcem w miejsce, gdzie na zdjęciu była postać kobiety w ciąży.

— A ten obok to dziadek, no tak, nawet podobny. — Robert pokiwał głową.

— To nie jest dziadek, to ten Aleksander.

— Żartujesz. — Robert niemal dotknął nosem zdjęcia. — Skąd wiesz?

— Kiedy go zobaczyłam, jego twarz wydała mi się znajoma. Ostatnio oglądałam ten album. Potem siedziałam z nimi chwilę na ganku i babcia powiedziała, że on tu był dawno temu, kiedy ona była w ciąży z moją mamą. To on.

— Kiedy mówisz o babci w ciąży, to brzmi tak jakoś nieprzyzwoicie — Robert zmarszczył nos.

Flora postukała się palcem w czoło.

— No nic. — Robert zgasił niedopałek, wstał i przeciągnął się. — Chyba skoczę przed obiadem na krzyżówkę, muszę kupić fajki. Zapytam Regusi, czy czegoś nie trzeba, moim zdaniem z okazji takiego gościa wypadałoby zrobić dzisiaj jakąś bibę, co ty na to? Zglądałem do kredensu, jak dziadek już poszedł, stoi tam cały arsenał. Plus piwo dla dziewczyn, no i ty. Może kupić ci jakieś wino?

— Kup — zgodziła się Flora. — Możesz wziąć mój samochód.

— Dzięki, przejdę się. Dobrze mi to robi.

— Wieczny kac — mruknęła Flora, ale on jej już nie słyszał.

Z ganku dobiegały wesołe śmiechy. Robert pomyślał, że brzmi to jak wesołe spotkanie trojga młodych przyjaciół. Aleksander coś opowiadał, chyba wspominał, bo Mateusz co rusz mu przerywał i coś dopowiadał od siebie. Na odgłos jego kroków wszyscy troje odwrócili głowy, uśmiechy zastygły im na twarzach i Robert pomyślał, że jest tu zupełnie zbędny. Uśmiechnął się przepraszająco.

— Aleksander mówi, że spotkaliście się w pociągu — rzekł Mateusz. — Jak przyjdą dziewczęta, to poznasz wszystkie nasze wnuki — zwrócił się do przyjaciela.

— Z przyjemnością. — Aleksander pokiwał głową.

— Ładną niespodziankę zrobiłem babci, co? — to znów było skierowane do Roberta. — Bałem się, co prawda, że Olo nie przyjedzie, a tu proszę, nadspodziewanie chętnie przystał na moją propozycję.

— Na taki jubileusz nie sposób nie przybyć. — Aleksander się uśmiechnął. — Poza tym od

jakiegoś czasu coraz częściej wspominałem to lato u was. Twój list był jak na zawołanie. Człowiek na starość chce przeżyć swoje życie raz jeszcze i chętnie wraca do starych miejsc.

Robert przestąpił z nogi na nogę.

— Babciu, przejdę się na krzyżówkę do Zbycha. Kupić ci coś?

— Co? — zapytała Regina nieuważnie. Policzki miała pięknie zaróżowione. — Nie, nie, nic nie trzeba. Ja jutro zabiorę Florę i pojedziemy na zakupy do miasteczka.

— W porządku.

— Tylko wróć na obiad — zawołała jeszcze za nim Regina, kiedy był już na drodze, zupełnie jak wtedy, gdy był małym chłopcem.

Robert odwrócił się, uśmiechnął i pomachał jej ręką.



Zbyszek siedział pod sklepem, przy plastikowym stoliku ustawionym w cieniu kasztana, czytał książkę i palił. Opodał, na krawężniku, siedziało dwóch chłystków w powyciąganych koszulkach. Robert minął ich, nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia, podszedł do Zbyszka i poklepał go w ramię. Ten, zaskoczony, obejrzał się, poznał Roberta i uśmiechnął się szeroko. Wstał i wyciągnął rękę.

— Piwo — powiedział.

— Obowiązkowo — przytaknął Robert, ściskając mu dłoń. — I fajki, bo umieram.

Zniknęli na chwilę w sklepie, po czym wyszli znowu, obaj z zimnym piwem w ręku. Usiedli przy stoliku.

— Błogostan. — Robert pociągnął duży łyk i zapalił papierosa. — Niczego więcej nie trzeba.

— Przydałaby się jeszcze dziewczyna — powiedział Zbyszek.

— Nie, nie, żadnych problemów dzisiaj.

Roześmieli się obydwaj.

— Nie wyglądasz dobrze — zauważył Zbyszek po chwili.

— Wierz mi, i tak jest lepiej niż parę godzin temu. — Robert się zaśmiał. — Na szczęście do dziadków przyjechał jakiś ich prehistoryczny przyjaciel, jeszcze z czasów, kiedy babcia była kobietą i bywała w ciążach, choć ciężko mi to sobie wyobrazić. No i Regusia nie obdarzyła mnie swoją zwykłą nachalną troską i zgubną, nadmierną uwagą. Liczę na to, że tu u ciebie dojdę ostatecznie do siebie i na obiad wrócę już w formie.

Zbyszek pokiwał głową.

— Coraz więcej was się zjeżdża.

— Fakt. No ale Regusia wymyśliła te śmieszne urodziny, więc chyba się liczy z dużą liczbą ludzi w domu. Dziadek liczy się na pewno. Kredens jest wypełniony po brzegi.

— Pamiętam kredens twojego dziadka — roześmiał się Zbyszek. — Nigdy potem nie mogłem mu spojrzeć w oczy.

— Stach Żałoska jest mistrzem i zawsze to będę powtarzał. No i jeszcze Jan ze swoim jabołem. Jak tam Jan, swoją drogą?

— Już nie w takiej formie co kiedyś. Ale coś tam jeszcze nastawia od czasu do czasu.

— Muszę się do niego wybrać któregoś dnia.

— Kiedyś byliśmy wiernymi klientami.

— To były czasy — westchnął Robert. — Piękne to było lato.

Chłopcy z krawężnika podnieśli się i wolno poszli szosą w stronę wsi.

— A jak tam teraz z płcią piękną tutaj? — zainteresował się Robert. — Jest jeszcze w czym wybierać?

Zbyszek uśmiechnął się szelmowsko.

— Jak sam powiedziałaś, nie trzeba nam problemów.

— Córka organisty zapowiadała się na niezłą dziewczynę. — Robert przekrzywił głowę jak ptak siedzący na gałęzi. — I bez nadmiernych moralnych cugli.

— Córka organisty uczy się w mieście na fryzjerkę.

— O popatrz. Ciekawe.

Zgasił papierosa.

— Słyszałem, że Hanka ma córkę — powiedział po chwili.

— To prawda.

— Popatrz, kto by przypuszczał, że skończy jako pani Żałoskowa? — Robert uśmiechnął się i rozparł wygodniej na plastikowym krzeselku. — Pamiętam, że już wtedy Franek do niej uderzał, a ona z niego kpiła w żywe oczy. Ale chłopak miał cierpliwość, swoje wychodził. Zawsze znajdzie się jakiś sposób. Na każdą z nich.

Zbyszek podniósł się, bo do sklepu przyszła jakaś głucha staruszka. Siedzący pod kasztanem Robert słyszał, jak głośno prosiła o masło i proszek do prania. Zapalił następnego papierosa.

— Beata też nie jest tu sama — powiedział Zbyszek, kiedy już odprowadził staruszkę kawałek szosą i wrócił do stolika.

— W jakim sensie? — Robert odchylił głowę do tyłu, próbując strząsnąć na wciąż spragnione usta ostatnie krople piwa.

Zbyszek przyglądał się swojej puszcze.

— Była tu z jakimś gościem, wygląda na to, że to jej chłopak — chrząknął.

Głowa Roberta wróciła do normalnego położenia, jego oczy zaokrągliły się ze zdumienia.

— Przecież Beata nie ma faceta — powiedział zdziwiony — Chyba że to jakaś świeża sprawa, ale raczej bym wiedział. I co, jest tu razem z nim?

— No, tak to wyglądało.

— Nie wierzę. — Robert kręcił głową. — I przywiozła go do dziadków? Ale czemu ja go nie widziałem?

— Może już wyjechał. Nie wiem.

Zbyszek nadal nie podnosił oczu znad puszeki.

Robert przyjrzał mu się uważniej.

— Wypytam Idkę — powiedział. — A swoją drogą, Zbych, ty to zawsze byłeś głupi, jeśli idzie o moją siostrę. Baby nie lubią, jak się ich boisz. Popatrz na Florę. Ona sieje postrach wśród facetów i to ją drażni i nudzi. Trzeba brać, co swoje, i nie pytać o zdanie, kobiety nie lubią, jak się je pyta o zdanie.

— Nieważne.

— No pewnie, że teraz już nieważne — zgodził się Robert. — Nie ma co płakać nad rozlaną wódką, choć serce boli. Tego kwiatu to pół świata, na miejsce jednej znajdą się trzy inne. No nic... — Zgasił papierosa, zmiął puszkę i celnie rzucił ją do stojącego obok schodków kosza. — Będę się zbierał. Chodź jeszcze na chwilę do sklepu, obiecałem Florce wino. Mam nadzieję, że masz jakieś przyzwoite.



Aleksander chciał zobaczyć stary sad.

— Nie mogę uwierzyć, że nazywacie go starym... że on już jest stary — mówił, idąc za Mateuszem. — Przecież pamiętam go, jak był ledwo posadzony. Takie malutkie jabłonki. Byliście tacy dumni. A teraz one są stare. — Patrzył na rozłożyste jabłonie, które sklepiały się ponad ich głowami, tworząc migotliwy, czarno-światlisty dach. — Ciężko w to uwierzyć.

— To prawda — przyznał cicho Mateusz. — Ciężko. Tyle czasu minęło.

— Kiedy tu jechałem, próbowałem sobie wyobrazić to wasze domostwo — mówił dalej Aleksander, przechadzając się między jabłoniami. — Ale cały czas miałem przed oczami ten obraz sprzed lat. Nie wiem czemu, ale byłem pewien, że tu się nic nie zmieniło.

— Drzewa urosły, dzieci urosły. Nawet wnuki. Jest nowy sad. I on też już nie jest młody.

— Musisz mi go pokazać.

— Pójdziemy po obiedzie.

— Pewnie też jesteś z niego dumny.

— Jestem — przyznał Mateusz. — Ale to już nie ten rodzaj dumy co kiedyś.

— Daliście sobie radę.

— Tak.

— Było mi bardzo trudno teraz. Kiedy Lidka zmarła.

— Spędziliście razem całe życie.

Stali pod jabłonią, Aleksander wodził palcem po korze drzewa.

— Ostatnio uświadomiłem sobie, że znowu jestem wolnym człowiekiem. To dziwne uczucie.

— Ja już bym chyba nie potrafił.

— Wiesz, to tak się wydaje na początku. Przyglądasz się temu nowemu życiu, bez drugiej osoby, próbujesz je tak jak grubość lodu na rzece, ostrożnie, jedną nogą. Z jednej strony rozumiesz, że jesteś za stary, aby dotyczyło cię coś takiego jak nowy rozdział. To brzmi śmiesznie. Ale dni mijają i jednak coś się dalej toczy. A ty zaczynasz czuć, jakby jakiś kawałek ciebie, który ona ci odebrała, został ci oddany po wielu latach.

Milczeli przez chwilę.

— Ale do tego potrzeba dużej odwagi — dodał Aleksander.

— Cieszę się, że przyjechałeś — powiedział Mateusz, patrząc na niego ciepłym wzrokiem.

— I ja się cieszę. I cieszę się, że poznam waszą rodzinę. Ciekawi mnie, co też spłodziliście.

Czuję, że twój wnuk przypadnie mi do serca.

Mateusz zaśmiał się cicho.

Z ganku dobiegło wołanie Reginy.



Po obiedzie poszli we troje do sadu. Upał ciągle się wzmagął, ale zerwał się lekki wiatr, który przynosił odrobinę ulgi. Szli wolno główną aleją, prowadzącą wprost na wschód, trochę rozmawiali, ale przede wszystkim milczeli i było im z tym dobrze. Każde z nich myślało o czymś, o czymś bardzo odległym, i każde z nich miało pewność, że pozostałych dwoje myśli o tym samym. Aleksander podziwiał bujne drzewa, w tej części sadu już ogołocone z owoców, uważnie słuchał, kiedy Mateusz przystawał na chwilę, coś mu pokazywał i objaśniał. Regina szła przodem.

Na jej twarzy pojawił się niedostrzegalny cień. Był niewidoczny, bo przysłaniała go ogromna radość z wizyty starego przyjaciela. Ale jednak wołała iść przodem. Nie była pewna, czy przypadkiem Mateusz nie zna jej na tyle, żeby ten cień dostrzec.



Beata rwała sama. Ida przyszła z nią po obiedzie, ale cierpliwości wystarczyło jej na jedną łubiankę. Wysypała owoce do skrzynki zamaszystym ruchem, aż kilka wiśni wypadło. Beata słyszała, jak Ida klnie pod nosem — przez chwilę sądziła, że kuzynka pozostawi wiśnie na ziemi, ale szacunek dla sadu latami wpajany im przez dziadka i tym razem dał o sobie znać; Ida schyliła się po tych kilka owoców zagubionych w trawie. Zaraz potem oznajmiła, że musi iść do domu na siusiu, a w ogóle to chyba zostanie w stodole i pomoże chłopakom w zwożeniu. W zasadzie miała słuszność, dziadek był zajęty swoim przyjacielem i zupełnie dziś nie miał głowy do interesu, już przy obiedzie wypili z Aleksandrem sporo pigwówki, a wszystko wskazywało na to, że powitania dopiero się rozpoczynały. Cyprian zaproponował, że zatroszczy się o wszystko w sadzie, Robert, który o dziwo nie tknął przy obiedzie alkoholu, zaofiarował się z pomocą. Dziadek nie protestował.

Ida mogła więc przydać się w stodole.

Beata przez chwilę próbowała pomyśleć o Cyprianie, ale jej umysł zamknął się natychmiast. Nie umiała wyobrazić sobie najbliższej z nim rozmowy, najbliższego spotkania. Bezpiecznie było w tym niebycie, w tej próżni ogromnego sadu, kiedy sprawy toczyły się daleko, nie mając tu dostępu. I nie musiała ich rozważać, bo przecież toczyły się same. Senność rozłożyła się na jej powiekach, rozparła w jej ciele jak matrona w swym łożu i Beata sądziła, że jest to ulga, choć jednocześnie miała wrażenie, że skądś ciągle sączy się niepokój.

Byli tacy, którzy wiedzieli, jaki scenariusz jest najlepszy. Z wiedzy tej płynęła siła, która pozwalała wprowadzić go w życie — swoje i cudze. Beata nieraz zastanawiała się, skąd ludzie ci brali owo niesłychane przekonanie o właściwym biegu rzeczy. A przecież musieli wiedzieć, skoro oszczędzone im było wahanie prowadzące do niemożności działania. Musieli wiedzieć, bo przecież potrzeba było wielkiej odwagi, by wpływać na rozwój wypadków, a potem żyć ze świadomością istnienia alternatywnego scenariusza, jedną decyzją odłożonego na półkę. Musieli wiedzieć — bo jak inaczej mogliby dać sobie do tej decyzji prawo? I kim oni byli?

Kim była ona, żeby decydować, jak ma potoczyć się los?

Zauważyła, że od paru chwil stoi nieruchomo pod drzewem. Otrząsnęła się. Łubianka była prawie pełna, pasek osunął się pod jej ciężarem i wpijał się boleśnie w ciało. Beata powoli go odpięła, podeszła do skrzynki i wysypała owoce. Kilka wiśni wypadło, więc schyliła się po nie, takim samym ruchem jak niedawno Ida. Wyprostowała się i przypięła z powrotem pustą łubiankę. Podeszła do drzewa. Ida, która miała tak dużo do stracenia i zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Ida z tą przerażającą determinacją, by życie toczyło się już, teraz. Być może należało ją chronić. Być może. Ale kto mógł ocenić, czy Ida postępuje dobrze, czy źle? A może

tak właśnie należało czynić — brać życie w swoje ręce i śmiało nim kierować według własnej woli i uznania? I tylko z postacią Kuby wiązał się jakiś niejasny lęk i coś na kształt poczucia winy.

Beata stała pod wiśniowym drzewem, z pustą łubianką przypiętą do bioder, tak zamysłona, że usłyszała pogwizdywanie Roberta, dopiero kiedy był już bardzo blisko.

Nie rozmawiali dzisiaj wiele. Widzieli się przez chwilę przed południem, wkrótce po jego przyjeździe. Robert odnalazł je w sadzie, przywitali się, on poprzekomarzał się z Idą. Wtedy Beata obserwowała ich z uśmiechem, teraz jednak zobaczyła nagle całą tę scenę na nowo. W żartach Idy była sympatia dla kuzyna, ale teraz Beata dostrzegła w nich także fascynację mężczyzną. Śmiech Idy był zbyt głośny, teraz to słyszała; sama Ida zaś była błyskotliwa i urocza. I Beata zobaczyła nagle Roberta oczami młodziutkiej Idy: przystojnego, inteligentnego młodego mężczyznę, który zdawał się być ponad zwykłą rzeczywistość, niezależny, swobodny, niczym nieskrępowany. Nieprzywiązany do nikogo i niczego. Ida oczywiście nie mogła jeszcze wiedzieć, jak złudna jest jego wolność, jak bardzo ta jego nonszalancja wynika z faktu, że gdyby przyznał, iż zależy mu na czymkolwiek, musiałby też przyznać się do porażki. Bo w życiu Roberta nie było nikogo i niczego, na czym mogłoby mu zależeć.

I jeśli Idę to właśnie w nim fascynowało, jeśli tym była zauroczona — to jak łatwo w takim razie było ją oszukać. Jak bardzo była podatna na wszelkie wykreowane przez innych iluzje, zwłaszcza teraz, kiedy z taką determinacją usiłowała napisać wielką sztukę z własnego życia.

Pogwizdywanie było coraz bliżej. Beata wzdrygnęła się, bo tak samo pogwizdywał ojciec, ilekroć był trzeźwy i w dobrym humorze. Rano Robert nie wyglądał dobrze, nawet mówił trochę niewyraźnie. Opowiedział im o przyjacielu dziadka, który z nim przyjechał, po czym oznajmił, że poszuka Flory. Robert dogadywał się z Florą równie dobrze jak z Idą. Dla Beaty była to jedna z tych cech, które w oczach innych określały fenomen jej brata, a na które ona patrzyła jak gdyby pod światło. W Robertcie było coś, co powodo wało, że wydawał się świetnie czuć z każdym, był tak samo ubawiony docinkami, które wymieniali z Idą, co paleniem papierosów z Florą. Potrafił znaleźć wspólny temat z Janem, Stachem Żalorską, nawet panią Gienią. W pojęciu ogółu to właśnie było w Robertcie zniewalające. Tymczasem Beata wiedziała, że Robertowi po prostu nie robi większej różnicy, czy gra w piłkę z Filipem, czy dyskutuje z wujem Andrzejem. Robert wszystko to traktował jednakowo, ponieważ nic i tak nie było w stanie zająć na dłużej jego myśli.

Teraz też był zbyt podekscytowany czymś nowym, przyjazdem jakiegoś dziwnego staruszka, by pobyć dłużej z dawno niewidzianą siostrą. Do tego źle się czuł, a Flora na pewno siedziała w chłodnej altance w cienistym starym sadzie. Z Florą też nie wytrzymał długo; wkrótce poszedł na krzyżówkę, o czym Beata usłyszała, kiedy przyszły z Idą na obiad. Przekazał jej pozdrowienia

od Zbyszka, a ona spłonęła rumieńcem. Zupełnie bezsensownym. Zastanawiała się, czy Cyprian ten rumieniec zauważył.

Aleksander był dziwny — to było pierwsze słowo, jakie przyszło na myśl Beacie, zanim postarała się określić go dokładniej. Wydawał się młodszy od dziadka, choć byli podobno w tym samym wieku, ale on trzymał się zupełnie prosto i miał dużo żywszą mimikę twarzy. Śmiały mu się oczy. Oczy dziadka były zawsze jasne i życzliwe, ale — co Beata uświadomiła sobie, dopiero gdy porównała je z oczami Aleksandra — zmęczone. Aleksander musiał być poza tym niezwykle przystojnym mężczyzną; jeszcze teraz między siatką zmarszczek można było dostrzec szlachetność rysów jego twarzy.

Jeśli zaś o babci można było powiedzieć, że kiedykolwiek straciła głowę, to chyba było to właśnie dzisiaj. Nie mogła oderwać wzroku od Aleksandra, i było w tym spojrzeniu jakieś niedowierzanie. Zapomniała o nakryciu dla Roberta, potem rozlała na stół zupę, na koniec mówiąc coś do Flory, zwróciła się do Idy. Beata nie sądziła, że babcia potrafi w taki sposób przeżywać radość. Jak gdyby z chwilą przyjazdu Aleksandra przestało liczyć się cokolwiek innego.

Robert przystanął tuż przy niej. Przestał gwizdać, zerwał wiśnię, która rosła dokładnie na wysokości jego nadgarstka, tak że nie trzeba było po nią sięgać, i włożył ją sobie do ust. Po chwili wypluł pestkę.

— Ida mówi, że w sadzie nie można wytrzymać z gorąca — powiedział. — Nie chcesz iść do domu?

— Nie — pokręciła głową. Miała nadzieję, że nie zauważył, jak do tej pory stała nieruchomo. Zaczęła szybko zrywać owoce.

Robert spojrział na zegarek.

— Dziadek mówił, że ludzie schodzą o szóstej i że trzeba jeszcze rozwieźć puste skrzynki. Myślisz, że jeszcze dużo zdążą narwać?

— Pani Gienia na pewno. — Beata się uśmiechnęła. — Zawieź jej w pierwszej kolejności.

— Do pani Gieni już poszła Ida z wózkiem — oznajmił siostrze Robert, opierając się o trójnożną drabinę. — Cyp mówi, że jest tu jakichś dwóch łebków, lubią wozić skrzynki traktorkiem Franka. Nie wiesz, gdzie rwą?

Beata westchnęła.

— Robert, weź drugi wózek i rozwieź ludziom skrzynki. Nic ci się nie stanie. Daj tym chłopakom spokój.

— Drugi wózek wziął Cyp — poinformował Beatę Robert. Na szczęście stał za jej plecami, nie widział jej twarzy. — Ja się boję jeździć tym rękem. Cyp chyba też, chociaż na razie głośno

planuje, że będziemy tym zwozić wiśnie z sadu.

— Cyprian da sobie radę, od paru dni pomaga dziadkowi — powiedziała Beata głośno i wyraźnie. Potem odchrząknęła.

— Tak, słyszałem — dobiegł zza jej pleców niefrasobliwy głos Roberta. — Ale ja jakoś nie daję temu wiary. Lepiej poszukam tamtych dwóch.

Beata wzruszyła ramionami.

— Jak chcesz.

Ale Robertowi nie śpieszyło się z dalszym spacerem po sadzie.

— Skończ tę skrzynkę i przyjdź do nas do stodoły — powiedział. — Wesoło jest. Idka się już nieźle zaprawiła w boju, przestała nawet nudzić, żeby iść do domu po coś do popicia.

— Mielicie pomóc dziadkowi, a nie siedzieć przy kredensie — zauważyła cierpko Beata.

— Co ty taka jesteś? — Robert nagle zmienił ton, jak gdyby dopiero teraz dostrzegł obcą nutę w głosie siostry. — Co? Beata? Wszystko w porządku?

— Tak — odrzekła szybko. — To przez ten upał.

— Żebyś jakiegoś udaru nie dostała — powiedział Robert z troską, ale tej troski wystarczyło tylko na to jedno zdanie. — To idę ich szukać. Cyp twierdzi, że pora zacząć zwozić popołudniowe skrzynki, bo nie zdążymy powazyć. Śmieszny typ, co? Taki zaaferowany tym pomaganiem w sadzie, chyba chce robić dobre wrażenie za nich oboje.

I poszedł, znowu gwizdząc, z rękami w kieszeniach. Beacie dźwięczały w uszach jego ostatnie słowa. Nawet dla jej brata Cyprian i Flora byli już „obojgiem”.



Przyszła do stodoły dopiero, kiedy skończyły jej się puste skrzynki.

Ludzie jeszcze rwali, dochodziła piąta. O tej godzinie zawsze był w sadzie największy gwar; upał zelżał odrobinę, kolejny dzień w sadzie dobiegał końca. Beata wiedziała, że dla tych ludzi koniec rwania nie oznacza końca pracy — na wielu rwaczy czekały jeszcze zajęcia we własnym gospodarstwie. A jednak znajdowali w sobie energię, która zdawała się pierwotna, naturalna — ludzka żywotność, która kazała szukać sił do czegoś poza pracą; choćby to miały być plotki i żarty z sąsiadami. Beata pomyślała o własnej ospałości i znużeniu i zrobiło jej się wstyd.

Przy stodole natknęła się na Cypriana, ale znowu nie był sam. Stali we dwóch, razem z Jankiem, nad traktorkiem Franka, coś sobie pokazywali, żywo dyskutując. Potem Cyprian usiadł za kierownicą, traktor zawarczał głucho, a chłopak pochylił się nad czymś, chyba nad silnikiem. Ze stodoły wyjrzał Robert.

Beata wyminęła traktor, nie patrząc na Cypriana ani na Roberta, i weszła do stodoły. Oczy przez chwilę przyzwyczajają się do półmroku, jeszcze słyszała rozmowę z zewnątrz i dopiero po chwili do jej zmysłów dotarła scena rozgrywająca się przed nią.

Ida i Kuba ważyli skrzynki. Ona stała wyprostowana, przy pełnym słupek, trzymając prawą dłoń na najwyższej, dziesiątej skrzynce, jak gdyby podtrzymywała cały słupek, chroniąc go przez wywróceniem. Była w swoich szarych rybaczkach i czarnej koszulce. Nogi miała poplamione sokiem z wiśni. Włosy zwinęła niedbale, kilka kosmyków wymknęło się spod gumki, ładnie okalając jej twarz. Było coś obcego w jej niedbałej pozie, w lewej ręce wspartej na biodrze, w naprężonej linii szyi. Ida patrzyła na Kubę, który kuczał przy odważnikach, a on, chociaż skupiony na wadze, co chwila zadzierał głowę, spoglądając na nią zaczepnie. Uśmiechali się do siebie.

Beata zrozumiała, że jest już za późno. I nie chodziło o to, czy coś już się stało; Beata patrząc na nich, była właściwie pewna, że nie. Zbyt dużo napięcia było między nimi. Ale ten nagle dostrzeżony nowy odcień sprawił, iż Beata pojęła, że Ida nagle przestała być od niej młodsza, a zdanie jej samej, Beaty, przestało mieć znaczenie. Niczyje zdanie nie miało już znaczenia, bo Ida właśnie odkryła nieznane dotąd obszary samej siebie. Beata westchnęła. Każdy musi przeżyć wszystko od nowa. Jaka szkoda. Jaka szkoda, że rozczarowania poprzednich pokoleń idą na marne. Patrząc na Idę i Kubę, tak się właśnie czuła — jak starsze, rozczarowane pokolenie, z którego doświadczeń nie tylko nikt nie chce czerpać, ale na które nikt nie zwraca większej uwagi.

— Robert — zawołała Ida, która ciągle jeszcze nie zauważyła nadejścia Beaty. — Robert, zapisujesz czy nie?

Odwróciła głowę w stronę wrót stodoły, skąd dobiegał nierówny warkot traktora, i zauważyła Beatę.

— Ważymy — wyjaśniła rzecz dla Beaty oczywistą.

Obok Beaty stanął Robert z rozłożonym zeszytikiem dziadka w jednej ręce i długopisem w drugiej.

— Sto siedemnaście — powiedziała Ida, a on skrupulatnie zanotował to w zeszycie. — To chyba skrzynki pani Gieni, nikt nie narywa tyle co ona.

Kuba zaczął zestawiać skrzynki z wagi na klepisko. Beata obrzuciła szybkim spojrzeniem skrzynki z wiśniami i bezwiednie je policzyła; trzydzieści dwa słupek. Ponad trzy tony. A ludzie jeszcze byli w sadzie, jeszcze nie wszystkie skrzynki były zwiezione.

— Na razie to wszystko — powiedział Robert, składając zeszytik. — Cyp zamierza zaraz jechać na koniec sadu tym Franusiowym cackiem.

Odłożył zeszyt dziadka na najbliższy słupek skrzynki i zatarł ręce.

— To co, Beata? Z tobą dziś jeszcze nie piliśmy.

Ida kiwała ochoczo głową, uśmiechała się. Miała zaróżowione policzki. Kuba stał za nią. Beata poczuła rozdrażnienie.

— Daj spokój — powiedziała, podchodząc do Roberta; zniżyła głos: — Jeśli rzeczywiście macie zamiar pomóc dziś dziadkowi, to daj spokój. W przeciwnym wypadku ciekawa jestem, kto to wszystko poważy i policzy.

— Moja siostra ma dar psucia najlepszej atmosfery — powiedział Robert głośno do Kuby. Cyprian akurat zgasił traktor i wszedł do stodoły, słyszał więc wszystko doskonale. — A było tak miło. Ale my się nie damy, mamy wszak gości — ciągnął, bo za Cyprianem do stodoły weszli Janek i Roch, który akurat wrócił z wózkiem.

Robert szybkim krokiem przeciął klepisko, przeskoczył lekko przez murek i znalazł się przy malowanym kredensie. Janek i Roch wymienili zachwycone spojrzenia. Cyprian obserwował Roberta z uśmiechem. Beata z nagłą furią rzuciła w kąt swoją łubiankę, obróciła się na pięcie i wyszła ze stodoły.

Na zewnątrz zrobiła kilka głębszych oddechów. Wiedziała, że zachowuje się głupio, już w chwili, kiedy usłyszała łoskot, jaki spowodowała jej łubianka, uderzając o starą pordzewiałą taczkę, ale nie potrafiła się opanować. To było dla niej za dużo — odmieniona Ida, zajęty głupim traktorem Cyprian i Robert, który zawsze musiał być w centrum zainteresowania. Zirykował ją już na wstępie, teraz to widziała, tym, że nie poświęcił jej należytej uwagi. Bardziej bawiło go dokuczanie Idzie, potem wolał poszukać Flory, by w jej inspirującym towarzystwie wypalić papierosa. Beata wolała myśleć, że złość, którą czuła, była wynikiem zazdrości o względy czarującego brata, nawet to było lepsze niż prawda, której przecież była świadoma. Bo gdzieś tam, z tyłu głowy ciągle dźwięczała fraza „ich oboje”.

Obeszła wolno stodołę i poszła podwórzem w stronę domu. Dziadkowie siedzieli na ganku, razem z tym malowniczym jegomościem. Beata poczuła się jak intruz, kiedy tylko postawiła stopę na pierwszym stopniu schodków. Przerwali rozmowę i spojrzeli na nią zaskoczeni. Zamieniła z nimi kilka słów, po czym przeprosiła, mówiąc, że marzy o kąpiel. Nikt jej nie zatrzymywał.

W lipnym pokoju było duszno. Beata zamknęła za sobą drzwi, podeszła do okna i otworzyła je szeroko. Powietrze było rozgrzane, przesycone zapachem traw i kurzu. Miało w sobie coś uspokajającego, więc przymknęła oczy, starając się oddychać miarowo i głęboko. Potem uśmiechnęła się do siebie. Ostatecznie dobrze było poczuć złość, uczucie silne i skoncentrowane na konkretnym obiekcie, to było dużo lepsze niż ta dziwna apatyczność i ciągły, podskórny

niepokój.

Lipy szumiały łagodnie, poruszane niewyczuwalnym wiatrem. Wróciła myślami do Idy, która ze swoją nowo odkrytą kobiecością szykowała się właśnie do skoku na głębinę, szczęśliwa, że na jej horyzoncie pojawił się Cel. Dzielna, zdeterminowana Ida. Ida bez rozterek, Ida pewna siebie, Ida waleczna. Dorosła kobieta czy wciąż mała dziewczynka?

W oddali, na rozstajach dostrzegła Filipa. Beata przypomniała sobie nagle Roberta w tym mniej więcej wieku i siebie samą, jak oboje biegali z miejscową dzieciarnią po tej samej polnej drodze, grali w berka albo w ciuciubabkę. A teraz w tym bezkresie pól był tylko jeden mały Filip, który samotnie wykręcał na rowerze bezsensowne ósemki. Zaskoczyło ją nagle, jak mało do tej pory zwracała na niego uwagi. Wszystkie słowa, które do niego kierowała, były bez znaczenia, wypowiadała je mimochodem, obojętnie. Nie obchodził jej. Czy to dlatego, że był dzieckiem Flory? A przecież był tak zupełnie do Flory niepodobny. I teraz, kiedy głębiej się nad tym zastanowiła, uprzytomniła sobie, że Flora nie mówiła do syna wiele więcej niż ona, a w dodatku bardzo podobnym tonem. Filip miał zawsze najnowsze zabawki i modne ciuszki, ale przecież Flora tak szybko nudziła się ludźmi.

A potem Beata przypomniała sobie wszystkie chwile, kiedy widziała Filipa razem z Cyprianem. Zagryzła wargi. Cyprian był nie tylko mężczyzną Flory, Cyprian był też mężczyzną Filipa, i może to było najważniejsze. Spojrzała jeszcze raz na drobną figurkę na rozstajach, której nikt, idąc za przykładem matki, nie poświęcał większej uwagi. Nikt z wyjątkiem Cypriana. I Beata zrozumiała, że tym niepokojem, który nie pozwalał jej sprecyzować swoich uczuć, był nie kto inny, ale właśnie mały, chudy Filip, taki dla niej zwykle niedostrzegalny. Widziała jego czujne oczy utkwione w jej twarzy z niemym wyrzutem.

Nie mogła oderwać wzroku od kruchej postaci uwiecznionej w idiotycznej ósemce i czuła się tak, jak gdyby ktoś bardzo mocno szarpnął drzwi, które ona tyle czasu usiłowała przytrzymać, jak gdyby kurczowo trzymana klamka wymknęła się z jej rąk i drzwi się otworzyły. I nagle drgnęła na odgłos skrzypnięcia, ponieważ drzwi otworzyły się naprawdę.

— Beata? — Do pokoju zajrzała Ida. Ponieważ Beata się nie odwróciła, Ida podeszła i stanęła obok niej w oknie. — Wszystko w porządku?

— Tak — odpowiedziała, nadal nie odwracając twarzy, ale nie patrzyła już na Filipa, pozwoliła oczom spocząć na ciemnej, niemal czarnej na tle popołudniowego słońca zieleni lip.

— Wyszłaś tak nagle... — powiedziała Ida, przysiadając na parapecie i przyglądając się jej twarzy. — Nie zauważyłam, co cię tak rozdrażniło.

Beata wzruszyła ramionami.

— Nic. Upał. Robert.

Ida się uśmiechnęła.

— Nie złość się na niego. Znasz go przecież. Poza tym naprawdę było miło.

— Imprezę może sobie urządzić wieczorem, nie interesuje mnie to — odparła Beata, czując, jak drży jej głos. — Ale on sobie robi dobrą zabawę z ciężkiej pracy. Przyjeżdża i odtąd ma być tak, żeby jemu było przyjemnie. Żeby się przypadkiem nie nudził. W dodatku bierze sobie do kompanii pracowników dziadka.

— Tych dwóch chłopaczków? — zapytała Ida. — Może rzeczywiście trochę przesadził. I to cię tak rozzłościło?

Patrzyła na nią z ciepłym, nagle bardzo u niej dojrzałym uśmiechem i Beata wiedziała, że Idy nie oszuka. Ale jednak wołała milczeć.

— Czasowi płynąć, rzeczom dziać się, a życiu toczyć — powiedziała nagle Ida. — Tylko powiedz mi, co z tego może wyniknąć? Oczywiście nic, i ty to wiesz, i właśnie to cię drażni.

Beata nadal milczała.

— Powiedz mi... — Ida odchrząknęła, jak gdyby wahając się, czy mówić dalej. — Powiedz mi, dlaczego nic nie zrobisz z tym, co się dzieje?

— Co mam zrobić? — zapytała Beata spokojnie.

— Cokolwiek — odrzekła jej natychmiast Ida. — Cokolwiek, żeby tylko sprawy ruszyły z miejsca. Nieważne, w którą stronę.

Beata uśmiechnęła się mimowolnie. Nie, ta kobieta w stodole to była tylko projekcja jej wyobraźni, tu, w lipnym pokoju, na parapecie siedziała ciągle mała dziewczynka.

— Ida, a czy ty zrobisz cokolwiek, żeby tylko? — zapytała nagle.

Ida była tak zaskoczona zmianą tematu, że nie odpowiadała przez chwilę.

— Co masz na myśli? — zapytała w końcu.

— Ty wiesz — powiedziała Beata. — Rzucić się z głową w coś zupełnie bez sensu, a zastanawiać się będziesz później. Czy nie tak to sobie wymyśliłaś? I zdajesz sobie doskonale sprawę z tego, że będzie się nad czym zastanawiać, oj będzie. Gdyby nie było, pozwoliłabyś sobie myśleć o tym już teraz, ale ty nie chcesz myśleć, bezpieczniej jest nie myśleć, bezpieczniej jest pomyśleć o tym później. Czy nie jest tak?

Ida milczała.

— I namawiasz mnie do tego samego, ale, Ida, uwierz mi, czasem lepiej, jeśli nic się nie wydarzy. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo niszcząca potrafi być siła wspomnień.

— Ty za to sobie zdajesz — burknęła Ida, ale głos miała niepewny.

— Zdaję sobie tylko sprawę z tego, że tak może być.

Milczały obie przez chwilę. Drogą zaczęły przemykać pojedyncze sylwetki pierwszych

rwaczy schodzących z sadu. Beata pomyślała, że trzeba wracać do stodoły, dziadek wiedział, że obie są w domu, i pewnie był niespokojny, że wszystko zostało w rękach Cypriana i Roberta. Może nawet opuścił swojego przyjaciela i poszedł sam nadzorować ostatnie ważenie i płacenie ludziom za ten dzień. A przecież mieli go dzisiaj wyręczyć. Beata wiedziała, że trzeba iść, a jednocześnie czuła, że ta chwila, kiedy Ida wydawała się wytrącona ze swej upartej i ślepej wizji i była gotowa wysłuchać jakiegokolwiek rady, może się już nie powtórzyć. Westchnęła. To babcia teraz powinna tu stać zamiast niej, babcia umiałaby wykorzystać moment i powiedzieć Idzie coś takiego, że ta natychmiast wróciłaby na ziemię. Przynajmniej w tym konkretnym wypadku — Beata była pewna, że Reginie nie spodobałoby się to, co zamierza zrobić jej najmłodsza wnuczka. Bo poza tym — której z nich przyznałaby słuszność? Czy może miała jeszcze inny pogląd na to, jak wielki wpływ można wyrzucić na własne życie?

I znowu wahanie i wątpliwość nie pozwoliły Beacie powiedzieć niczego sensownego. Pogłaskała tylko kuzynkę po jej ładnej twarzy. Jaką kobietą będzie za parę lat?

— Nie pozwól, by tworzył cię ktoś inny — powiedziała jakby zupełnie nie à propos. — Stwórz się sama. Kto to zrobi lepiej od ciebie?



Kiedy obie wyszły na ganek, okazało się, że dziadek rzeczywiście udał się do stodoły, a zaciekawiony Aleksander z ochotą do niego dołączył. Na ganku została tylko Regina, która dopijała spokojnie ciemnoczerwoną wiśniową nalewkę. Zamieniły z nią kilka słów, ale wydawała się tak nieobecna myślami, że chyba nawet nie do końca słuchała, co do niej mówiły. Schodząc po stopniach ganku, zauważyły Florę, która składała sztalugi. W mrocznym starym sadzie wyglądała jak biały duch.

W stodole okazały się zbędne. Wiśnie były już zwiezione i zważone, pracownicy odprawieni z wypłatą — Robert z dumą pokazywał dziadkowi kolumny uzupełnione w jego poplamionym zeszycie. Aleksander zaglądał im przez ramię. Kuba rozmawiał z Cyprianem — kiedy weszły, obaj na chwilę odwrócili się w ich stronę, obaj z podobnym wyrazem twarzy; szybko jednak powrócili do przerwanej rozmowy. Janek i Roch siedzieli na murku, cierpliwie czekając na samochód.

Jedyne, co jeszcze mogły zrobić, to zebrać brudne łubianki rwaczy i zanieść do balii z wodą. Idąc w stronę baniaka z deszczówką, zobaczyły nadchodzącego Franka — na swoim podwórku usłyszał warkot wcześniej niż one. Ciężki samochód zgrabnie wtoczył się na podwórko w chwili, kiedy płukały pierwsze łubianki. Za nim wjechał Filip — jeszcze mniejszy niż zwykle na tle

potężnej ciężarówce. Beata patrzyła za nim i zmroziła ją nagła myśl, że on był tam, na rozstajach, wprost na drodze olbrzymiego samochodu, sam, malutki i bezbronny. Obraz, jaki mimo woli zobaczyła w wyobraźni, sprawił, że przeszył ją dreszcz.

Zebrały umyte łubianki. W głównych wrotach stodoły stał samochód, okrążyły więc budynek i weszły od strony sadu, niezauważone przez żadnego z mężczyzn i chłopców, których zainteresowanie skupione było teraz na radosnym wysiłku, jaki włożyć trzeba było w załadunek ponad czterech ton wiśni na samochód. Były tu niepotrzebne. Ustawiły mokre łubianki w kącie i bez słowa wyszły ze stodoły.



Aleksander bardzo chciał pomóc przy ładowaniu, ale Mateusz kategorycznie odmówił. Teraz był już Robert. Razem z Cyprianem, Frankiem Żałoską i chłopcami z sadu świetnie dawali sobie radę. Staruszkowie stali przy wrotach stodoły i obserwowali, jak młodzi mężczyźni sprawnie uwijają się z tonami wiśni, które trzeba było załadować na ogromny samochód. Była już prawie siódma. Kierowca, zadowolony, że nie musi uczestniczyć w załadunku, palił papierosa, przestępując z nogi na nogę. Wreszcie skończyli, kierowca się pożegnał, pożegnali się też Roch i Janek. Franek podszedł do Mateusza.

— Dobiegamy powoli do końca, co, panie Mateuszu? — zagadnął. — Chyba zdążymy do niedzieli, jak pan myśli? Nie zostało już tak dużo, pogoda się pięknie utrzymuje. Pamięta pan, jak dwa lata temu bez przerwy padało? Ależ to był lipiec! Co rusz deszcz wyganiał ludzi z sadu. A teraz spiekota, pewnie, że ciężko, ale i pracować można bez przeszkód żadnych.

— Idziemy? — zapytał Kuba. Stał już przy drugich wrotach, skąd przed chwilą odjechał samochód.

— Chwileczkę — powiedział szybko Mateusz. — Chciałbym uczcić przyjazd mojego przyjaciela. Nie było go tu równo pięćdziesiąt lat. Dla was to niewyobrażalny czas. Korzystając z okazji, że nie ma między nami żadnych dam — to mówiąc, podszedł do malowanego kredensu — zapraszam.

— No wreszcie. — Robert zatarł ręce. — A masz tam coś dobrego?

— Doskonale wiesz, przecież na pewno już tam zaglądałeś — zaśmiał się Mateusz.

Wyjął przybrudzony kieliszek i butelkę specjału Stacha Żałoski.

— Niestety nie ma z nami dzisiaj autora — kontynuował, napełniając kieliszek i podając go Aleksandrowi — ale poznasz go w najbliższym czasie.

— Pan Stach to mistrz — dorzucił Robert, siadając na odwróconym wiadrze. — Franek,

poznajesz już tajniki? Jesteś wszak spadkobiercą, można powiedzieć.

— Robert, na Boga. — Mateusz zgromił wnuka spojrzaniem. — Stach jeszcze się nie wybiera na tamten świat.

— Doskonale. — Aleksander z błogą miną oddał kieliszek Mateuszowi. — Doskonale. Jakie delikatne, w ogóle nie trzeba popijać.

— Delikatne i bardzo zdradzieckie. Niczym prawdziwa kobieta. — Robert puścił do Aleksandra oko.

— Franek? — Mateusz wyciągnął dłoń z pełnym kieliszkiem.

— Ja dziękuję — powiedział Franek. — Muszę jeszcze wykąpać Basię.

— Jak chuchniesz, to będzie lepiej spała — poradził Robert, biorąc kieliszek od Mateusza. — Ale ja oczywiście nie znam się na dzieciach. To za tych, co nie piją — i wychylił kieliszek do dna.

— Kuba?

— Chętnie.

— Cyprian?

— Naturalnie.

— Powinniśmy tu urządzić jakąś męską imprezę — zaśmiał się Robert. — Takie zacne grono, brakuje jeszcze tylko pana Stacha.

— I ogórków kiszonych, i śledzi — dodał Cyprian.

Robert pokiwał głową.

— Czuję, że się zakumplujemy — powiedział. — Dziadku, jeszcze po jednym. Z moim nowym szwagrem.

— Ja się już pożegnam. — Franek uścisnął dłoń Mateuszowi.

— Tak, tak, idź. Hanka już cię pewnie wypatruje z okna — odrzekł za Mateusza Robert. — Trzeba wykąpać dzieciaczka. Do jutra, Franek.

Franek popatrzył na niego przez chwilę, ale się nie odezwał. Zresztą Robert nie patrzył na niego, unosił właśnie kieliszek w stronę Cypriana. Cyprianowi wydało się, że Robert powiedział coś niestosownego, dostrzegł dziwną minę Franka, ale zanim zdążył ją zrozumieć, Franek wyszedł ze stodoły. Kuba wahał się przez chwilę, po czym wyszedł za nim.

— No to zostaliśmy sami sami — zauważył Robert, wychylając trzeci kieliszek. — Idziemy? Dziadku, zabieramy butelkę. Pora uderzyć do naszych pań. Na pewno już czekają stęsknione z kolacją.



Ginie coraz bardziej przeszkadzał brzuch i strach, który nagle pojawił się nie wiadomo skąd. Sęk tkwił w tym, że Gina nigdy nie miała zaufania do Pana Boga i była przekonana, że nie lubi On, kiedy ludziom zanadto się w życiu układa. Na jednym z kazań w kościele ksiądz tłumaczył coś o jakimś Hiobie – Gina rzadko przysłuchiwała się temu, co miał do powiedzenia proboszcz i Pismo Święte, ale tym razem słuchała z uwagą, bo ta okropna historia była dla niej dowodem na brak współczucia Stwórcy dla rodzaju ludzkiego. Proboszcz co prawda wyciągał z czytania zupełnie inne wnioski, ale Gina wiedziała swoje.

Ona sama nie była może doskonale szczęśliwa, ale zupełnie zadowolona z sytuacji życiowej, w jakiej się znalazła. Miała zaradnego męża, który ją szanował i którego szanowała wieś, nieźle im się wiodło finansowo, mieli ładny dom, a co najważniejsze – i z tego Gina była naprawdę dumna – wkrótce mieli zostać rodzicami. Gina bardzo współczuła Maryni Żałoskowej, która była w jej wieku, a za swojego Staszka wyszła już trzy lata temu, a jednak ciągle nie mogła doczekać się potomka. Marynia przychodziła czasem do domu pod lipami, siadała na progu i stamtąd patrzyła ze smutkiem na wydatny brzuch swej nowej sąsiadki. Pewnego razu zaś zwierzyła się, że chodzi do mieszkającej pod lasem zielarki, szukając u niej pomocy. Gina słyszała coś niecoś o tej kobiecie, głównie śmieszne pogłoski o jej miłosnych naporach z lubczyku, które skojarzyły we wsi niejedną parę, niekoniecznie małżeńską. Jej stałą klientką była podobno niejaka Róża, o której do Giny dotarły bardzo już dziwaczne słuchy. Wonne mikstury zielarki pomagały też ponoć w szeregu innych dolegliwości, co przyznawała niejedna spośród zacnych gospodyń we wsi. Gina jako córka nauczycieli nie bardzo wierzyła w zioła i czary, choć musiała przyznać, że nękały ją nieraz zabobonne myśli o tym, że Marynia swymi nieszczęśliwymi spojrzeniami, które tak ją drażniły, niechcący rzuci urok na niemowlę. Ale to był zabobon i tak naprawdę Gina bardzo biednej Maryni współczuła, a kiedy ta się żegnała, Gina zawsze jeszcze czulej głaskała swój brzuch.

Im głębiej jednak odczuwała pomyślność swego losu, tym mniej pewnie zerkąta w niebo. Wiedziała, iż Bóg ma wszelkie powody, by zdecydować, że dostało się jej zbyt wiele. Na ogół miała zbyt wiele obowiązków, by dłużej się nad tym zastanawiać, zajęta domem, jabłonkami i swoim mężem. Żałowała, że Olo wyjechał – obecność gościa jeszcze szczelniej wypełniała jej czas i myśli. Już się nie czuła tak niezwykle, kiedy prała im koszule (Ola wyglądała tak, jakby dni spędzał na tarzaniu się w koniczynie), kiedy przypalała spóźniony obiad albo kiedy w nocy budziły ją ich pijackie śpiewy dobiegające z ławki pod lipami. Ale Olo niespodziewanie, wśród mętnych tłumaczeń – wyjechał. A strach powrócił. I Gina zaczęła wyczekiwać, z której strony spadnie cios.

Kiedy była sama w domu, bała się nieustannie. Nie pomagały nawet krosna, na których Marynia popołudniami uczyła ją tkać piękną narzutę w czarno-zielono-żółte paski. Zaczęła więc rozmawiać ze swoim dzieckiem. Opowiadała mu o pięknym domu, który na nie czekał, pełnym spokoju i nadziei. Przemawiała do niego łagodnie, starając się, by nie usłyszało, jak kulka w gardle łamie jej głos.

Pewnego dnia Mati usłyszał przypadkiem, jak opowiadała dziecku o jego wspaniałym ojcu. I postanowił, że nadszedł czas, by zakończył swój romans z Różą.

ROZDZIAŁ 10

Robert obudził się w wyśmienitym humorze. Wczorajszy wieczór był bardzo sympatyczny, siedzieli najpierw wszyscy na ganku, przy kolacji, potem stopniowo dziewczęta zaczęły się żegnać (łazienka była tylko jedna, jak zauważyła Ida), a oni, gdy zostali tylko we czterech, postanowili przenieść się do altanki. Siedzieli tam jeszcze długo, przy półmisku z wędliną i ogórkach parzonych, którymi tak doskonale zagryzało się bimber Stacha Żałoski. Dziadek z Aleksandrem snuli zamierzchłe historie, odgrzebywali jakieś wspólne wspomnienia, ale zadziwiająco miło się ich słuchało, i Robert nawet nie nudził się specjalnie. Zwłaszcza kiedy opowiadał Aleksander, Robert po błyskach w jego oku poznawał wszystkie niedopowiedziane szczegóły. Był pewien, że gdyby nie on i Cyprian, rozmowa dwojga staruszków, kiedy już nie krępowała ich obecność Reginy, wyglądałaby zupełnie inaczej. Ale oni byli, poza tym rozmowa zeszła na sad, Cyprian zaczął coś opowiadać o tym, jak wspaniale było sprawdzić się w takiej pracy w polu (Robert jakoś nigdy nie wierzył, że można się sprawdzić w takiej pracy, w każdym razie nigdy nie próbował, ale rozumiał, że Cyprian musi mówić różne rzeczy, dopóki nie ożeni się z Florką), i temat kobiet, który gdzieś błysnął, przepadł w otchłani innych wątków rozmowy.

Robert pomacał ręką za głowę i odnalazł swój zegarek. Dochodziła dziewiąta. Zerknął na sąsiedni śpiwór. Cyprian jeszcze spał, pochrapywał lekko. Najwidoczniej nie był przyzwyczajony do samogonu. Wypili wczoraj sporo, zwłaszcza Robert, ale jemu jeszcze nigdy nie zdarzyło się mieć kaca po bimbrze Stacha Żałoski. Kolega natomiast wyglądał tak, jakby miał się obudzić z potężnym bólem głowy.

Robert od dziecka bardzo lubił Stacha. To był swój chłop. Szkoda, że Franek wdał się w całości w matkę, a może Marynia po prostu tak go rozpieściła, w każdym razie odkąd Robert sięgał pamięcią, Franek był zawsze beksą i maminsynkiem. Pamiętał, jak kiedyś zimą Marynia przybiegła za swym jedynakiem do starej żwirowni, gdzie Robert, który spędzał u dziadków ferie, wraz z miejscowymi kolegami urządzali zawody w zjeżdżaniu na sankach z bardzo stromego zbocza. Robert zawsze miał we wsi kolegów; ilekroć przyjeżdżał, czekali na niego na krzyżówce albo przy domu pod lipami, co zawsze złościło Reginę. Robert połykał w pośpiechu obiad, co złościło Reginę jeszcze bardziej, i pędził na spotkanie z wiernymi kumplami na czele ze Zbychem, który był całkiem niezłym urwisem i wesołkiem, dopóki nie zmarł jego ojciec i dopóki nie zakochał się w Beacie. Dziesięć kroków za całą bandą stał zawsze nieśmiały Franek — na

próżno usiłujący dostać się do paczki. Franek, który zawsze bał się skakać przez rowy, zakradać się do ogródka pani Gieni na agrest, ślizgać się na zamrożonej rzeczce. Franek, który w zasadzie bał się wszystkiego, a najbardziej dziewczyn. I Robert teraz przypomniał sobie tę scenę w żwirowni, kiedy Franek, w akcie desperacji, zdecydował się zjeżdżać ze wszystkimi ze stromego zbocza na sankach Zbyszka. Zdążył zjechać tylko raz — z zamkniętymi ze strachu oczami — kiedy na górze ukazała się postać Maryni Żałoskowej. Marynia najpierw coś krzyczała, ale szybko zorientowała się, że jej nie słyszą, więc zaczęła zbiegać po zboczu na dół, do nich wszystkich, poślizgnęła się na mokrym śniegu, upadła i pozostałą część zbocza przebyła, jadąc na tylnej części ciała ku uciechu chłopców. Kiedy dotarła na sam dół, kiedy już wstała i otrzepała się ze śniegu, oni zbili się w ciasną i chichoczącą gromadę i tylko Franek pozostał z boku, ze spuszczoną głową. Marynia popatrzyła na miejscowych hultajów i darowała sobie to, co miała do powiedzenia, ostatecznie obchodziło ją tylko bezpieczeństwo jej własnego dziecka, toteż chwyciła syna za ramię, przygarnęła do siebie i szybkim krokiem odeszła drugą stroną żwirowni, która miała dużo łagodniejsze zbocze. Przez resztę ferii Robert nie widział Franka.

Później, kiedy już dorośli, Franek nie szukał ich towarzystwa. Zresztą cała paczka się posypała, ktoś wyjechał do szkoły, ktoś do pracy, a dwóch ulubionych kolegów Roberta, którzy mieszkali we wsi naprzeciwko kapliczki, siedziało w więzieniu za przemyt samochodów na Białoruś. Z całej dawnej bandy został w zasadzie tylko Zbych. Ale Robert lubił Zbycha i we dwóch bardzo lubili Stacha Żałoskę. Robert pamiętał to wesołe lato, kiedy po drugim roku skreślono go z listy studentów, lato spędzone z Beatą, Zbyszkiem i Hanką. Dużo wtedy pili ze Zbychem, a Stach zawsze miał dla nich coś specjalnego. Kiedy odwiedzali go w jego komórce, gdzie stała cała instalacja, Franek najczęściej siedział w domu i oglądał telewizję. To chyba od Zbyszka Robert dowiedział się, że Franek jest beznadziejnie zakochany w Hance — dziewczynie z biednego domu pod lasem, dziwnej, zahukanej, wiecznie przestraszonej koleżance Beaty. Robert pamiętał, że bardzo go to rozśmieszyło.

Robert zawsze uważał Hankę za bardzo przeciętną dziewczynę, chociaż niewątpliwie miłą, ale jego zdaniem nawet ona mogła liczyć na coś ciekawszego niż syn Żałosków. Zapadając ponownie w sen, Robert pomyślał jeszcze, że biedna Hania jednak nie miała dużo szczęścia w życiu.



Obie nie mogły spać. Ale Ida nie potrafiła uleżeć spokojnie i zerwała się bardzo wcześnie. Beata spod półprzymkniętych powiek obserwowała ją, jak siedziała przed toaletką, szarpiąc szczotką

włosy, potem ubierała się pośpiesznie. Drzwi dolipnego pokoju zamknęła ostrożnie, ale Beata słyszała z dołu, z kuchni, brzęk sztućców, głośniejszy niż zwykle, metaliczne uderzenie kubka o zlew. Potem trzasnęły drzwi wejściowe.

Ona sama nie spała całą noc, ale leżenie bez ruchu przynosiło jej ulgę. Wczoraj położyła się wcześniej, irytowała ją nachalna obecność Roberta, nie miała siły patrzeć na Cypriana, a widok chudziutkiego Filipa sprawiał, że coś jej się przewracało w żołądku. Ze starego sadu dobiegały głosy wesołej biesiady — to Robert w pewnym momencie zaproponował przenosiny z ganku do altanki, najpewniej znudzony siedzeniem zbyt długo w jednym miejscu. Słyszała, jak nieporadnie przenoszą półmiski i kieliszki, już sami, tylko we czterech, jak w skąpym świetle starej naftowej lampy zawieszanej pod daszkiem altanki usiłują wygodnie się ulokować, słyszała niewyraźne strzępki rozmowy, śmiechy i trąca nie się kieliszkami. Ich głosy niosły się wraz z nocną rosą, mieszały z cykaniem świerszczy.

Dom szykował się do snu. W łazience obficie lała się woda — to Ida brała jedną ze swoich niekończących się kąpieli. Z pokoju dziadków dobiegał kojący, niski głos Reginy; Filip musiał być u niej, już wykąpany, w piżamie, i z książeczką pod pachą. Może bał się spać samotnie w swoim małym pokoiku, przylegającym do pokoju dziadków? Już poprzedniego lata spał sam na dole, i jeszcze wcześniej chyba też. Właściwie, jeśli dobrze pamiętała, sypiał na górze z Florą tylko jako bardzo małe dziecko. Na ile był to jego wybór, a na ile wygoda Flory? A może Fifi naprawdę wolał przed snem leżeć w dużym, miękkim łóżku dziadków, przy lampce z pomarańczowym abażurem, z której sączyło się ciepłe światło, niż w surowym łóżku swojej matki? Może to nie był dziecięcy strach przed ciemnością; może Filip naprawdę lubił, kiedy Regina czytała mu bajki, chociaż Beacie wydawało się zawsze, że Fifi obawia się nieco swej prababki.

Szum wody w łazience ustał; głos Reginy stał się wyraźniejszy, oprócz niego Beata usłyszała też szelest kartek dobiegający zza ściany. Flora również czytała przed snem. Czy odgłosy z dołu — Regina modulująca głos, by lepiej oddać nastrój bajki, jakieś ciche pytanie Filipa — w ogóle docierały do jej świadomości? A może były dla niej tak oczywiste, że nie zwracała na nie uwagi? Tak jak i na obecność Cypriana w swoim życiu — ona też była dla niej tak oczywista, że aż niewidzialna, przezroczysta i pozbawiona znaczenia. Nie potrafiła jej docenić. To Filip zasługiwał na Cypriana, nie Flora.

Ida wyszła z łazienki, zajrzała do dziadków, na dole na chwilę zrobiło się żywiej, wszczął się ruch. Beata słyszała, jak Filip mówi dobranoc i idzie do swego pokoiku, słyszała, jak Ida rozmawia w korytarzu z Reginą, potem któraś z nich poszła do kuchni, chyba Ida, bo jednocześnie druga z nich przeszła do pokoju obok kuchni, tego, gdzie stał komputer, i Beata

usłyszała skrzyp szafy i rozkładanej wersalki; a więc to musiała być babcia, babcia szykowała pokój dla Aleksandra. Powlekała pościel, ścieliła łóżko. W kuchni brzęknęła szklanka, ktoś odkręcił kran. W końcu ponownie skrzypnęły drzwi do pokoju dziadków. Beata usłyszała ciche życzenia dobrej nocy, które wymieniła Ida i Regina, po czym zaskrzypiały schody wiodące na górę.

Ida krzątała się jeszcze chwilę w ciemnościach — nie zapalała światła, sądząc, że Beata śpi, a ona nie wyprowadziła jej z błędu. Słyszała, jak Ida wychyla się przez okno — to, które wychodziło na stary sad — i pomyślała, że kuzynka rozważa teraz dołączenie do wesołej kompanii. Ale w dobiegających z altanki głosach było coś, co powstrzymało Idę przed zejściem z powrotem na dół. Może usłyszała w nich ten etap wesołości, którego nie sposób doścignąć, a może uderzyła ją męskość tych głosów, która podpowiedziała jej, że nie ma tam czego szukać; a może po prostu Ida była zbyt zmęczona całodzienną pracą — w każdym razie oderwała się od okna i szybko wsunęła pod lekką kołdrę.

Ale Beacie przyszło długo czekać na jej miarowy, spokojny oddech. Ida wierciła się, odrzucała kołdrę, znowu się przykrywała, przewracała się na wszystkie strony, wzdychając niecierpliwie. Beata nadal nie zdradzała się z tym, że nie śpi. Nie chciała już kolejnej rozmowy.

Wreszcie Ida usnęła, w dziwnej pozie, jednej z wielu, jakie przybierała dzisiejszej nocy, a w której w końcu zaskoczył ją sen — na brzuchu, z ręką na głowie i nogą opuszczoną na podłogę. I tak spała przez całą noc, podczas gdy głosy w altance stopniowo cichły, w domu skrzypiały drzwi wejściowe, Mateusz cicho pokazywał Aleksandrowi jego pokój, w łazience znowu zaszumiała woda, znowu brzęknęły naczynia w kuchni. Ze starego sadu dobiegały jeszcze głosy Cypriana i Roberta, ale bardzo zniekształcone — musieli już być w namiocie. Ostatnim dźwiękiem było skrzypnięcie drzwi do pokoju dziadków. I cały dom zapadł w sen.

A potem Beata leżała samotnie, z wykręconym ciałem Idy przy boku, bezpieczna w swoim odrętwieniu. Nie był to rodzaj bezsenności, który dręczył Idę. Beata czuła, że mogłaby tak leżeć bez ruchu do końca świata. I żeby świat też trwał w takim bezruchu, żeby Flora na zawsze pozostała zamknięta w pokoiku obok, a on żeby już zawsze był tam, w namiocie w starym sadzie. Każde z nich trojga osobno.

Pływały godziny, stary drewniany dom żył swoim tajemnym życiem uwięzionym w dziwnych trzaskach i chrobotaniach, a potem był świt i poranek i znowu skrzypnęły drzwi do pokoju dziadków, znowu polala się woda w kuchni, zaszumiał czajnik. Regina jak zwykle wstała pierwsza, budząc dom z powrotem do życia. Trzasnęły drzwi wejściowe, raz i drugi — babcia musiała wyjść na dwór i wrócić, pewnie chodziła do altanki pozbierać naczynia, o których zapomniał dziadek, bo zaraz potem z kuchni dobiegły odgłosy zmywania. Beata usłyszała głosik

Filipa, dzieci zawsze wstawały przekornie wcześniej. I zaraz potem Ida raptownie przewróciła się na wznak, przeciągnęła i poderwała się z łóżka.

Teraz siedziała pewnie z kawą na ganku — samotnie, bo Beata słyszała dobiegające z kuchni głosy Reginy i Filipa. Dziadek był w łazience. Aleksandra nie było słyhać — ciekawe, jakie on miał nawyki, jeśli chodzi o poranne wstawanie. Dostał mu się pokój, który zwykle uważany był za wspólny, stał tam telewizor i komputer. Dla Filipa, który lubił rano oglądać bajki, nowy gość mógł okazać się przykrym doświadczeniem. Cyprian też miał nawyk sprawdzania poczty zaraz po śniadaniu — choć w jego wypadku śniadanie mogło dziś okazać się wyjątkowo późnym posiłkiem. Beata nie patrzyła na zegarek, ale mogła określić, że wieczorna męska biesiada w starym sadzie skończyła się grubo po północy.

Leżała spokojnie, na wznak, w takiej samej pozie, w jakiej spędziła całą noc. Filip w starym głębokim fotelu oglądający bajki, z kubkiem kakao w ręczce, Cyprian przy stoliku z komputerem, pochłonięty zewnętrznym światem, który usiłował przedrzeć się przez szklany monitor wprost do tego spokojnego zacisza, obok niego kubek kawy. Zwyczajny, błogi poranek, chwila, z której czerpie się siły na cały dzień. Czego dokonała Flora, że zasłużyła sobie na to wszystko?

I czym zawiniła, że nie dane jej było tego docenić?



Aleksander obudził się o dziesiątej.

Kiedyś bardzo lubił nowe miejsca — kiedy budził się w nowym otoczeniu, miał wrażenie, że wszystko zaczyna zupełnie od nowa, on sam był nowym człowiekiem, bez zwyczajów i nawyków, mógł zmienić kolejność picia kawy, palenia papierosa i jedzenia śnia dania, mógł zaczynać dzień od przeczytania gazety albo od spaceru. Lidka też lubiła tę świeżość, dlatego zawsze, kiedy wyjeżdżali na urlop, postanawiali, że jadą jako zupełnie nowi ludzie.

Może dlatego przez tyle lat się sobą nie znudzili.

Teraz jednak nie był pewien, czy podoba mu się to, że ma nad sobą obcy sufit, że wzór tapety jest tak nieznamy. Z przylegającej do pokoju kuchni dobiegały dźwięki, do których nie nawykł. I miał niejasne wrażenie, że ktoś kręci się pod jego drzwiami.

Wstał, odszukał swoją ustawioną w kącie walizkę. Wyjął z niej świeżą koszulę. Na upartego nie wymagała prasowania — była zgnieciona tylko na linii złożenia. Aleksander lubił być odprasowany, Lidkę doprowadzały do szału kanty jego spodni, które musiały być idealne, ale wyjście z pokoju nieubrany było dla Aleksandra nie do pomyślenia. Już wołał zgniecenia na

koszuli. Zdecydował, że po śniadaniu zapyta Reginę o żelazko. Uśmiechnął się do siebie, zapinając guziki. Kiedyś Gina prała koszule im obu. To było tak dawno i niedawno zarazem. Pamiętał, jak burczała, że trudno jej doprać pozielenione trawą ubrania — pamiętał dokładnie, co mówiła, jakim tonem, jaką minę miała. To mogło być zaledwie wczoraj, a jednocześnie taka przepaść dzieliła te dwa lata, tamto i obecne, tak ogromny, tak niewyobrażalny szmat czasu, tak monumentalny kawał życia. Całe życie w zasadzie — jesienią tamtego roku ożenił się z Lidką, w tym roku Lidkę pochował. To było jak początek i koniec i Aleksandrowi zdawało się, że czas bez Lidki liczy się inaczej i należy do innego życia. Swoje główne życie przeżył więc dokładnie pomiędzy dwoma lipcami spędzonymi tutaj.

Wyglądził koszulę, przecesał dłonią włosy. Nie miał lustra, ale przez tyle lat obcowania z własną postacią mógł odgadnąć, jak wygląda — na tyle porządnie, że mógł udać się do kuchni na śniadanie.

Aleksander otworzył drzwi i wpadł prosto na małego chłopca, prawnuka Reginy i Mateusza. Dziecko popatrzyło na niego, jego buzia nie zdradziła żadnej emocji. Maluch przepuścił go w drzwiach, po czym spokojnie wszedł do pokoju. Po kilku sekundach, podczas których Aleksander stał oszołomiony faktem, że ktoś tak bezceremonialnie wchodzi na jego terytorium, do jego uszu dobiegł dźwięk włączonego telewizora. Aleksander nie zdążył jeszcze ochłonąć, kiedy w korytarzu pojawił się ojciec chłopca — i ten również, w ślad za synem, tyle że bąknąwszy niewyraźne „dzień dobry”, zniknął w jego pokoju. Tym razem Aleksander usłyszał znajomą melodię odpalanego komputera.

Aleksander mrugał szybko oczami, zdegustowany takim zachowaniem. Potem wziął kilka głębszych oddechów. Ostatecznie nie należał do ludzi konfliktowych, nie chciał też psuć sobie humoru z samego rana; poza tym był pewien, że Regina szybko zauważy tę gafę członków swojej rodziny i zwróci im uwagę — wszak był gościem, a to był jego pokój. Uspokoiwszy się, Aleksander odetchnął jeszcze raz i z uśmiechem na ustach wszedł do kuchni.

Gina siedziała nad blaszonym wiadrem i obierała ziemniaki. Na stole stał półmisek z wędliną, koszyczek z chlebem, talerzyk z pokrojonymi w ósemki pomidorami. Brudny talerz — zapewne męża Flory, obok czyste nakrycie — to pewnie dla niego. Gina podniosła głowę, przywitała go swoim pięknym uśmiechem, który nie zmienił się przez tyle lat.

— Słyszałam, że wstałeś, postawiłam ci czysty talerzyk — powiedziała. — Usiądź, proszę. Czego się napijesz?

— Słabej herbaty — poprosił i usiadł za stołem. Sięgnął po kromkę chleba i zaczął ją smarować masłem.

To była scena sprzed pół wieku. Gina tak samo obierała ziemniaki, a on tak samo smarował

chleb masłem. Brudny talerz mógł należeć do Mateusza, który zawsze wstawał wcześniej niż on i zawsze wychodził rano na obchód swoich jabłonek. Jak to się stało, że było to takie podobne i niepodobne jednocześnie? Jak to się stało, że kolor włosów Giny nie był już tak intensywny jak niegdyś, że on miał plamy na pomarszczonej dłoni, która trzymała nóż do smarowania, że talerz należał do męża ich wnuczki? I tylko Mateusz jak zwykle był w sadzie, ale znowu już nie w tym sadzie, nie przy swoich kilku jabłoncek, ale na olbrzymiej polaci, jaką porastał jego nowy sad wiśniowy, sad, który już nie był tym intymnym sadem ich dwojga, gdzie przechadzała się ciężarna Gina, z uwagą oglądająca młode pędy, ale istną fabryką, świetnie zorganizowaną, w której było rojno i gwarno. Aleksander wczoraj zauważył, jak ogromnie z tym sadem związane są dzieci — dla nich był on już fragmentem ich historii, ale dla Aleksandra ten nowy sad był zbyt nowy, zbyt duży. Nie był młodzieńczą, radosną nadzieją na przyszłość — on już był ową przyszłością. Po nim nie było już nic.

— Mateusz już w sadzie?

— Już dawno.

Gina płukała teraz ziemniaki w zlewie i wrzucała je do olbrzymiego gara.

— Coraz więcej muszę obierać — powiedziała z uśmiechem, wskazując na garnek. — Ale to miłe.

— Byłem pewien, że będziesz miała dużą rodzinę — odrzekł. — Miałś ją w oczach. Już wtedy.

— Nie wyobrażałam sobie, żeby mogło być inaczej. — Podeszła do kuchenki i zgasła gaz pod gwizdzącym czajnikiem. — Choć obecność dzieci bywa dokuczliwa.

Aleksander pokiwał głową.

— Kiedy Lidka skończyła trzydzieści lat, mieliśmy poważną rozmowę. Rozumiesz, to był już czas na podjęcie decyzji. I oboje doszliśmy do wniosku, że nie chcemy niczego zmieniać. Było dobrze, tak jak było.

Regina zalewała herbatę, ale nie spuszczała z niego wzroku.

— Uważaj — zdążył powiedzieć, ale było za późno, woda przelała się przez brzeg kubka, płynęła chwilę wzdłuż blatu szafki, potem pociekła na podłogę.

— To nic — powiedziała szybko, sięgnęła po ścierkę i wytarła kubek. — Wyschnie. I powiedz... nigdy nie żałowałeś? — zapytała, podając mu herbatę.

— Wiem, dla was to nie do wyobrażenia — odpowiedział z uśmiechem — ale nam naprawdę było razem doskonale. Niepotrzebny był trzeci element do tej układanki.

— To dobrze — wyszeptała. — To znaczy, że decyzja była słuszna.

Aleksander układał na chlebie plastry różowej szynki. Wyglądała na swojską. Pięknie

pachniała.

— Wiesz, to nigdy nie jest tak, że perspektywa, z której patrzysz, do końca życia pozostaje niezmienna. Nieraz potem myślałem, że niczego po sobie nie pozostawimy. To będzie przykre, że człowiek odejdzie niezauważenie. Ale kiedy to do mnie zaczęło docierać, dla niej było już za późno.

Gina przysiadła naprzeciw niego, oparła brodę na splecionych rękach.

— Ale czy kiedyś żałowałeś tak naprawdę? — zapytała.

— Jeśli nie liczyć jałowych refleksji wieku starczego, to nie. Nigdy.

Uśmiechnęła się.

— Ale miło popatrzeć na waszą rodzinę — dodał. — I już nawet prawnuka się doczekaliście. To musi być niezwykle uczucie.

— Powiedziałabym: dziwne — odrzekła. — Wnuki mieszczą się w standardzie. Kiedy rodzi ci się prawnuk, masz wrażenie, że zaczynasz niepotrzebnie zajmować miejsce na świecie. — Zaśmiała się krótko. — Nadchodzi czwarte pokolenie, a ty ciągle tutaj tkwisz!

— Jeśli ktoś się wyłamał z tradycyjnego tempa życia, to chyba raczej twoja wnuczka, a nie ty — zauważył z uśmiechem. — To nie ty się ociągasz, to ona się pośpieszyła. Przepraszam, może to nie na miejscu uwaga — zreflektował się.

— Nie szkodzi. To miłe. Poza tym ja też tak uważam.

— Zresztą, jakie znaczenie ma tempo — dodał Aleksander — skoro efektem jest taka urocza rodzina? Dobry mąż, zdrowy synek.

Regina się uśmiechnęła.

— Cyprian nie jest mężem Flory — powiedziała. — A Fifi nie jest jego synem.

Obserwowała jego minę, musiała być zabawna, bo znowu się roześmiała.

— Nauczysz się naszej rodziny — powiedziała. — Na razie rzuca ci się w oczy, że jest liczna. Tak liczna, że nawet nie dysponuję w tym domu prywatnym pokojem dla zacnego gościa. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, iż za dnia wszyscy będą korzystać z pokoju, w którym śpisz?

— Ależ skąd — zapewnił ją natychmiast Aleksander. — Absolutnie nie mam nic przeciwko temu.



Była jedenasta, kiedy wreszcie zdecydowała się opuścić lipny pokój. Wyrwanie się z odrętwienia przyszło jej z niemałym trudem — ale w pewnej chwili coś kazało jej wstać. Nagle doznała silnego uczucia, że coś czeka na nią, a ona musi wyjść temu na spotkanie. Nie mogła dłużej zostać

w pokoju.

Ubrała się, nasłuchując odgłosów domu. Dzisiejszego ranka nic nie umknęło jej uwadze, więc słyszała, jak wstał Aleksander, jak oboje z babcią rozmawiali w kuchni, jak potem dołączył do nich Filip i jak we trójkę wychodzili z domu — pewnie na ganek, a może do starego sadu. Flora wstała wkrótce potem, spotkała się w kuchni z Robertem, zjedli razem śniadanie — Beata słyszała ich wesołe śmiechy i nie rozumiała, czemu było to dla niej takie nieprzyjemne — i również opuścili dom.

Cypriana słyszała po raz ostatni, kiedy witał się w korytarzu z Aleksandrem. Od tamtej pory minęła godzina, a ona nie mogła zlokalizować żadnego szelestu, który wiązałyby się z jego osobą. To znaczyło, że ciągle był przy komputerze. To znaczyło, że w domu byli tylko we dwoje.

Tak mogłoby być już zawsze, tylko dom byłby inny. Ona w sypialni, on w gabinecie. Możliwe, że on także o tym myślał, a może zupełnie nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, lub też jej obecność nic dla niego nie znaczyła. Ale nie, tak być nie mogło. Wiedziała, że tak nie jest.

Zeszła cicho na dół, zamknęła się w łazience. Długo brała prysznic.

Musiał ją słyszeć, bo kiedy weszła do kuchni, już tam był. Stał przy kuchence, zapalał gaz pod czajnikiem.

— Cześć — powiedziała i pomyślała, jak różne formy może przybierać zwykłe „cześć”.

— Długo spałaś — zauważył, wyjmując z szafki dwa kubki. — Czego się napijesz? Kawy, herbaty?

— Kawy — odrzekła. — Nie spałam. Nie chciało mi się wstawać.

Uśmiechnął się swoim pięknym uśmiechem.

— Ja piję już drugą, niezłe tempo narzucił wczoraj twój brat.

— Tak, to do niego podobne.

Usiadła pod oknem, które wychodziło na ganek, tak że od Cypriana oddzielał ją stół. Przechyliła się i otworzyła lodówkę; wyjęła jogurt.

Czajnik zagwizdał, Cyprian zalał dwie kawy. Usiadł naprzeciwko i podsunął jej parujący kubek.

— Miły gość, ten twój brat. Zabawny.

— Robi dobre wrażenie, prawda?

Uśmiechnęli się do siebie.

— Wiem, co masz na myśli — odparł. — Ale naprawdę wydaje mi się, że polubilibyśmy się.

Beata zastanowiła się, czy Cyprian użył tego „byśmy” bezwiednie, czy umyślnie. Łatwiej było powiedzieć: „Polubimy się”.

Otworzyła jogurt, upiła łyk kawy. Cyprian wlał jej dużo mleka i nasypał dokładnie tyle

cukru, ile lubiła.

— Dostałem maila z propozycją czasowej wystawy moich zdjęć w jednej z knajp w Krakowie — powiedział, opierając łokcie o stół; podparł czoło jedną ręką, drugą mieszał kawę. — Kumpel mi załatwił.

Wyglądał mizernie, musieli wczoraj rzeczywiście dużo wypić. Miał podkrążone oczy, włosy w nieładzie. Beata pomyślała, że powinien się jeszcze położyć, chciała mu powiedzieć, żeby poszedł do namiotu i spróbował się jeszcze przespać, ale to zdanie zamarło jej na ustach. Było w nim coś nazbyt intymnego, wiedziała, że nie zdołałaby ukryć czułości w głosie.

— Myślę, że to byłoby dobre miejsce dla twoich zdjęć — powiedziała zamiast tego.

Uśmiechnął się do niej, łyknął kawy i skrzywił się przelotnie.

— Tak uważasz? Ja mam mieszane uczucia — odparł. — Napisałem mu, że odezwę się po powrocie do Warszawy. Muszę to przemyśleć na spokojnie.

Wodził palcem po brzegu glinianego kubka. Jego oczy były intensywnie zielone, on cały był zielenią, zielonością, czymś naturalnym i świeżym.

— Tutaj jakoś... — powiedział, jak gdyby kończąc zdanie, chociaż na chwilę zapadła cisza. — Jakoś... nie mam do tego głowy. Nie wiem.

Beata patrzyła na niego, świadoma faktu, jak ciepłe jest jej spojrzenie, jak serdeczne i tkliwe. On w pewnej chwili podniósł na nią swe zielone oczy, a ona się nie spłoszyła, i tak patrzyli na siebie przez długą chwilę, i była w tych spojrzeniach jakaś ufność i szczerść, i nagle niezrozumiała bliskość. Siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, z kubkami kawy, podpierali głowy rękami i — patrzyli. Beatę zdumiało to, że w ogóle się nie czerwieni, nie odwraca wzroku, nie szuka gorączkowo w głowie tematu, który byłoby można bezpiecznie poruszyć. Patrzyła na jego szczęśliwą, zmęczoną wczorajszym wieczorem twarz i sama poczuła się nagle szczęśliwa, i było to tak proste i niewymuszone, że na moment ogarnął ją cudowny spokój. Mogłaby tak siedzieć całą wieczność i wiedziała, że on również mógłby, widziała to w odwzajemnionym spojrzeniu, w którym jej własne przeglądało się jak w lustrze. W powietrzu unosił się zapach kawy, przez wychodzące na podwórze okno wpadał jasny promień słońca. Za firanką brzęczała pszczoła.

— Ale jeśli uważasz, że to dobry pomysł, to kto wie? — odezwał się po chwili swojskim, codziennym głosem, jak gdyby każdy poranek spędzali w ten sposób, pijąc kawę, patrząc na siebie i rozmawiając o zwykłych sprawach. — Trzeba będzie o tym pomyśleć. Co będziesz teraz robić? — zapytał nagle, też zupełnie zwyczajnie, jak gdyby przywykł wiedzieć, gdzie ona jest, co robi i jakie ma plany. Serce Beaty pływało w gorącym miodzie.

— Myślę, że pora iść do sadu — odrzekła. — Już prawie południe.

— Chodźmy razem — powiedział, przeciągając się; potem potarł oczy. — Pewnie trzeba rozwieźć ludziom puste skrzynki.

Uśmiechnęli się do siebie. Beata podniosła się, zebrała ze stołu oba kubki i opakowanie po jogurcie. Płukała kubki, wiedząc, że ma go za plecami, że zaraz wyjdą oboje z domu i ruszą razem do stodoły. Porozmawiają z dziadkiem, potem Cyprian zajmie się skrzynkami, a ona pójdzie szukać Idy, ale przez cały czas w jakiś sposób będą razem. Myślami, wspomnieniem. W jednej osobie zawrze się obecność drugiej. On w niej, a ona w nim.



On w niej, a ona w nim.

Beata nie odnalazła Idy, nie szukała jej nawet specjalnie. Wędrowała zamyślona sadem, który przeżywał właśnie codzienne południowe apogeum gorąca; nie zwracała uwagi na to, dokąd zmierza, w pewnym momencie zatrzymała się obok przypadkowego drzewka, zaczęła skubać owoce i pojedynczo wrzucać je do łubianki. Nie miała przy sobie ani jednej pustej skrzynki. Nie myślała, znowu przez chwilę nie myślała — chciała bezmyślnie przeżyć ten wyjątkowy stan upojenia, który ogarnął ją w kuchni. Skrajem świadomości rejestrowała daleki warkot traktorka Franka Żałoski — a więc Cyprian był tam, daleko w sadzie, jej, a ona była tutaj, jego. I on tam, zabierając skrzynki od pani Gieni, myślą był tutaj, przy niej, tak samo jak ona, zrywając wiśnie, duchem była przy nim. I wszyscy, cały świat wiedział, że należą do siebie i stanowią jedno, nawet jeśli akurat byli osobno. I to o nich ktoś właśnie mówił: „oni oboje”. Nie istnieli inaczej.



Ida była niespokojna, nie potrafiła na niczym skupić myśli i zastanawiała się, na ile jest to widoczne dla reszty. Tamta trójka jak co dzień wiodła abstrakcyjne dyskusje, przerywane żartami i wzajemnymi docinkami, ale ilekroć któreś z nich kierowało jakąś uwagę bezpośrednio do Idy, ta wpadała w popłoch i zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Drżały jej ręce. Wiedziała, że Gośka uważnie ją obserwuje, kilka razy złowiła jej porozumiewawczy uśmiech. Na szczęście Boro był całkowicie ślepy i głuchy na wszystko, co nie było wyraźnym gestem i donośnym głosem, więc o niego Ida mogła być spokojna. Nie zaczepiał jej też; w ogóle Boro w dyskusjach najbardziej lubił własne monologi — usłyszeć cudzą opinię miał szansę tylko w przypadku, gdy ktoś brutalnie mu przerwał. Co do Kuby zaś, Idzie było już wszystko jedno. Była pewna, że on i tak wie. Martwić się, czy słyszy drżenie w jej głosie, czy widzi jej nienaturalnie zaróżowione

policzki, było nonsensem. Oczywiście, że słyszał, oczywiście, że widział. Mało tego, doskonale je rozumiał.

Skądś płynęło przeświadczenie, że to się stanie dziś, niedługo — Ida nie wiedziała jak, w jaki sposób i kiedy znajdą się sami, ale wiedziała, że tak się stanie, i ta myśl w pewien sposób czyniła ją spokojniejszą. Nie chciała już rozmawiać z Goską, nagle wydało jej się to niepotrzebne. Być może nawet — jak pomyślała w pewnej chwili, używając słowa, którego pewnie użyłaby Regina — być może nawet byłoby to niestosowne.



Dziwna atmosfera panowała przy obiedzie. Być może dlatego, że było niezwykle gorąco. Regina podała krupnik, który zjedli na ocienionym ganku, bardziej z grzeczności, ponieważ nikt najwyraźniej nie miał apetytu.

— Doskonale — mówił uprzejmie Aleksander — doskonale.

Ale ciągle gmerał łyżką w talerzu, tylko od czasu do czasu podnosząc ją do ust.

Po drugie danie sięgnęli tylko mężczyźni, którzy musieli wzmocnić siły przed popołudniowym zwożeniem wiśni z sadu. Aleksander podziękował grzecznie, twierdząc, że lekarz zalecił mu dietę. Ida, Beata i Flora bez słowa pokręciły głowami. Żadna z nich nie odzywała się przy obiedzie. Flora, kiedy tylko skończyła zupę, wstała od stołu, usiadła na schodkach i zapaliła papierosa. Beata podnosiła nieprzytomne oczy, ilekroć ktoś kierował do niej jakieś pytanie, poza tym wpatrywała się w talerz. Ida trzy razy upuściła łyżkę na ziemię, a w końcu rozlała krupnik wprost na kraciasty obrus, którego Regina używała do posiłków na ganku. Cyprian kątem oka obserwował Beatę, potem przenosił wzrok na plecy Flory. Marszczył czoło. Nawet Robert stracił już cały swój animusz. Siedział rozparty na krześle, ze znudzoną miną. I tylko Regina rozmawiała niespiesznie z Aleksandrem, a Mateusz cicho droczył się z Filipem.

Dzikię wino oplatające ganek dawało cień, ale jednocześnie hamowało najlżejszy ruch powietrza. Na ganku było duszno. Flora pierwsza podniosła się ze stopni, na których siedziała, otrzepała sukienkę.

— Pojadę w takim razie, Regusiu — zwróciła się do Reginy. — Mam nadzieję, że pamiętałaś, by przygotować mi listę zakupów.

— Naturalnie — odrzekła Regina, wstała od stołu, znikła na chwilę w domu, po czym wróciła z zapisaną gęsto kartką. Podała ją Florze.

— Kapustę kiszoną kup w warzywniaku, tym naprzeciwko kościoła — powiedziała. —

Możesz tam też zapytać o mak, czasami mają. Jeśli nie, to w delikatesach.

Flora ze ściągniętymi brwiami studiowała pismo Reginy.

— To ocet winny? — zapytała w pewnym momencie, pokazując palcem jedną z pozycji na liście.

Regina spojrzała na kartkę.

— Tak, Floro, przecież wyraźnie napisałam, nie przesadzaj. I pilnuj, żeby nie sprzedali ci starych śledzi.

— Dobrze — mruknęła niecierpliwie Flora. — Filip, przynieś moją torebkę, jest w sieni.

Regina nachyliła się w stronę Flory i powiedziała coś do niej, ale tak cicho, że nikt nie usłyszał. Flora machnęła ręką, jak gdyby jej przerywając w pół zdania, i odpowiedziała nieco głośniejszym głosem:

— Daj spokój.

Regina wycofała się na ganek. Filip wyłonił się z głębi domu, niosąc w ręku dużą czarną torbę matki. Flora zarzuciła ją na ramię i nie patrząc na nikogo, odwróciła się i poszła w stronę zaparkowanego w cieniu jarzębin srebrzystego forda. Po chwili usłyszeli warkot zapalnego silnika, między gęstymi liśćmi dzikiego wina przesunął się srebrny cień.

Jej odejście było jak znak dla innych. Jedno po drugim wszyscy zaczęli wstawać, z minami zdradzającymi ulgę, przepraszać i rozchodzić w różne strony. Robert zniknął w domu, twierdząc, że musi sprawdzić pocztę. Filip zsunął się z krzesła i pobiegł w ślad za Cyprianem i Mateuszem do stodoły. Za nimi do sadu poszła Ida. Beata zaczęła zbierać talerze ze stołu, po chwili przez otwarte kuchenne okno dał się słyszeć szum obficie lanej wody i brzęk naczyń.

Regina wróciła spokojnie na swoje miejsce, obok niej, rozanielony, siedział Aleksander.

— Będę dziś robić śledzie, Olo — powiedziała. — Na mój jubileusz.

— Doskonale — odparł Aleksander. — Jeśli pozwolisz, mogę się zająć śledziami w śmietanie. Jestem w tym mistrzem.

— Świetnie.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

— Jak miło, kiedy tak cała rodzina siada do stołu — zauważył Aleksander w pewnym momencie. — Wszystkie pokolenia. To piękne.

Regina się uśmiechnęła.

— To prawda — odrzekła. — Bardzo piękne.



Robert nie czekał na żadne wiadomości, ale nie miał chwilowo lepszego pomysłu na spędzenie popołudnia. W pokoju, w którym stał komputer, było stosunkowo chłodno, w każdym razie znośniej niż na zewnątrz, gdzie rozpalone powietrze parzyło nozdrza. Zaciągnął zasłony, włączył komputer, usiadł na starym krześle. Sprawdził pocztę, gdzie rzeczywiście nie znalazł nic nowego, przejrzał kilka stron, zajrzał na portal aukcyjny; próbował posłuchać muzyki, ale nie miał cierpliwości wysłuchać do końca choćby jednego utworu. Przez ścianę dobiegał go denerwujący brzęk naczyń — ktoś zmywał po obiedzie. Robert skrzywił się; był rozdrażniony upałem, a ponadto jego świadomość zaczynała już rejestrować pierwsze sygnały nadejścia aż nadto znajomej, obezwładniającej nudy — stanu, który nieraz go nękał, który czynił go nieznośnym i agresywnym. A przecież tyle jeszcze dni zostało do niedzieli. Robert wyłączył gwałtownie komputer, położył się na starannie pościelonym łóżku — chyba spał tu Aleksander, ale Robert był pewien, że staruszek nie miałby nic przeciwko temu, że on sobie tutaj chwilę poleży. Podłożył ręce pod głowę. Ziewnął.

Wydawało mu się, że w domu dziadków panuje dziwna atmosfera, odczuł to już pierwszego dnia i to wrażenie narastało. Dzieciństwo nauczyło go rozpoznawać nastrój domu, w którym przebywał. Już jako mały chłopiec, w chwili kiedy przekraczał próg, Robert wiedział, czy ojciec jest w mieszkaniu i w jakim stanie oraz czy tym razem matka robiła mu awanturę, czy też panowało między nimi chwilowe zawieszenie broni. Teraz po całym obejściu dziadków, po ganku, podwórzu i sadzie rozpełzał się jakiś dziwny niepokój i niezdrowa ekscytacja, potęgowane jeszcze przez tę niewyobrażalną spiekotę.

Zdaniem Roberta coś wisiało w powietrzu. Nie chciało mu się jednak analizować całej sytuacji. Powieki mu ciążyły. Odezwał się wczorajszy długi wieczór. Usnął.



Ida z ulgą wróciła do sadu. Czowała dziś wyjątkowo dotkliwie, że będąc z dala od nich, od niego, jest nie na swoim miejscu, nawet przez te pół godziny, które spędziła przy stole, miała wrażenie, że coś ją omija, coś jej umyka. Była coraz bardziej niecierpliwa.

Już z daleka słyszała ich śmiech. Kończyli jeść przyniesione ze sobą kanapki. Siedzieli wprost na ziemi, w splątanej wysokiej trawie, podawali sobie butelkę z wodą. Słońce lśniło w ich włosach. Gośka zobaczyła ją pierwsza, spojrzała ponad głowami chłopaków, którzy siedzieli plecami do nadchodzącej Idy i uśmiechnęła się do niej, a oni zauważyli ten uśmiech i także się odwrócili. Boro pomachał jej ręką, ale dostrzegła ten gest zaledwie kątem oka. Patrzyła na Kubę. On patrzył na nią. Żadne z nich się nie uśmiechnęło.

Potem rwali wiśnie. Słońce przelewało się przez gałęzie, drażniło zmysły. Głosy rwaczy, dobiegające z innych zakątków sadu, jeszcze nigdy nie wydały się Idzie tak głośnie i przenikliwe, miała wrażenie, że wlewają się rwącym strumieniem wprost do jej ucha. W sadzie było duszno, nad zgniłymi owocami brzęczały dokuczliwie muchy. Zapach rozgrzanej ziemi przyprawiał o mdłości.

— Gośka? Wszystko w porządku? — usłyszała głos Bora, który stał przy sąsiednim drzewku.

Gośka odpinała pasek przytrzymujący łubiankę, siadała na trawie. Ida obserwowała ją jak puszczonego w zwolnionym tempie film.

— Kręci mi się w głowie — powiedziała Gośka.

Boro kucnął obok niej. Z bliska zajął jej w oczy.

— Co jest, mała?

— Słabo mi — wyszeptała Gośka.

Ida i Kuba stali po przeciwnych stronach drzewka, nieruchomo, obserwując rozgrywającą się przed nimi scenę. Oboje czekali na jej finał, Ida była tego pewna.

— Chcesz już iść? — zapytał Boro.

Gośka bez słowa pokiwała głową.

Boro wyprostował się, odwiązał swoją łubiankę, podszedł do zaczonej skrzynki i wysypał do niej owoce. Pozbierał leżące w cieniu pod drzewem rzeczy.

— Zabiorę ją już — powiedział do Kuby. — Jeszcze mi tu zemdleje.

Podszedł znowu do Gośki, pogłaskał ją po głowie, a potem pomógł jej wstać. Gośka wsparła się na jego ramieniu. Uśmiechnęła się niewyraźnie do Idy.

— To do jutra — powiedziała.

— Trzymaj się — odrzekła Ida.

— Wy też.

— Na razie — powiedział Boro.

Wolnym krokiem poszli w stronę stodoły, Gośka cały czas wsparta na ramieniu Bora. Ida dopiero teraz zauważyła, że jest od niego trochę wyższa.

Rwali w milczeniu. Oddzielało ich całe rozłożyste wiśniowe drzewo. Płynęły minuty, a żadne z nich się nie odzywało. Ida czekała.

— Nie masz już dość rwania na dziś? — zapytał w końcu Kuba, a ona natychmiast, nie pozwalwszy upłynąć tej chwili, powiedziała:

— Mam.

I wtedy Kuba odwiązał łubiankę, wysypał wiśnie do skrzynki, wyprostował się i pomiędzy wiotkimi gałęziami wyciągnął do niej rękę.



Beata kończyła zmywanie, ustawiała równo talerze na suszarce, wycierała ściereczką sztućce i układała je w szufladzie. Była świadoma tego, że wbrew jej woli wyobraźnia produkuje w tej chwili obrazy jej samej w ich wspólnej słonecznej kuchni, gdzieś daleko stąd, sprzątajacej po kolejnym wspólnym obiedzie. Za ścianą, w pokoiku z komputerem był Robert, ale jak łatwo było wyobrazić sobie, że jest tam teraz Cyprian. Beata była bezsilna wobec własnej wyobraźni, która zachowywała się tak, jak gdyby dopiero dzisiaj w pełni zdała sobie sprawę z własnej potęgi i nie mogąc się nią nacieszyć, snuła wciąż nowe wątki, malowała w umyśle Beaty coraz to śmielsze obrazy. Płatała jej okrutnego figła, a Beata, wiedząc o tym, nic nie mogła na to poradzić. Nie mogła się już obronić.

Wytarła ręce, powiesiła ścierekę na haczyku obok zlewu i wyszła na ganek. Reginy i Aleksandra już tu nie było — Beata nie zwróciła uwagi, kiedy głosy dobiegające z ganku przez otwarte okno ucichły. Może poszli do starego sadu, może do ogrodu — w każdym razie poszli i Beata mogła przez chwilę pobyc na ganku sama.

Usiadła w najdalszym kącie, w najgłębszym cieniu dzikiego wina. Na podwórzu było cicho, z domu też nie dobiegał żaden dźwięk — Robert pewnie usnął, bo Beacie nie chciało się wierzyć, że jej brat jest w stanie tak długo wytrzymać, siedząc w milczeniu przed komputerem. Gdzieś z oddali, z sadu, dobiegały niewyraźne pokrzykiwania, śmiechy — i te odgłosy były tak swojskie, w rozlewającym się dokoła upale było coś tak kojącego, że Beata aż przymknęła oczy. Gdyby to tak mogło trwać, gdyby mogła siedzieć tak nieporuszenie, z zamkniętymi oczyma, w spokoju, ciepło i ciszy. Beata westchnęła; jakoś nigdy dotąd nie przeszkadzała jej obecność tylu ludzi tutaj.

Skrzypienie schodków wyrwało ją z chwilowego błogostanu. Otworzyła oczy. Przed nią stał Cyprian.

— Póki co wszystko zwiezione — powiedział. — Franek uwija się jak w ukropie. Nie jestem tam potrzebny — machnął ręką w kierunku, który miał określać sad, i usiadł na krześle obok Beaty. — Co robisz? — zapytał, podobnie jak zapytał rano, jak gdyby to było jego zwyczajne, codzienne pytanie.

— Myślę — odrzekła i natychmiast ugryzła się w język. Jak on mógł odczytać jej odpowiedź?

Ale Cyprian uśmiechał się; nie patrzył na nią.

— Jaki błogostan — powiedział powoli. — Cisza, harmonia człowieka i natury. Nawet ten

upał niesie ze sobą coś kojącego, nie sądzisz? Nie drgnie nawet listek, wszystko wokół zamarło. Trwa.

— To, co trwa, daje nam poczucie bezpieczeństwa — odrzekła cicho Beata.

— Mam wrażenie, że tutaj wszystko trwa. Myślę sobie, jak ogromną siłę cała wasza rodzina musi czerpać z tego miejsca. Ty teraz... siedziałaś z zamkniętymi oczami, miałaś taki szczególny wyraz twarzy. W tym momencie czerpałaś siłę stąd. Z tej ziemi.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Ujął jej dłoń w obie swoje ręce i przyglądał się uważnie jej wnętrzu.

— Są ludzie, którzy wierzą, że tutaj jest wszystko zapisane — powiedział. — Szkoda, że nie umiem tego dostrzec. Chciałbym wiedzieć, co zapisane jest dla ciebie.

Mówiąc to, zamknął jej dłoń w swojej i spojrzał na nią, ale innym spojrzeniem, niż patrzył dotychczas; jego wzrok był dla niej zupełnie nowy, poważny i — choć to się mogło Beacie tylko zdawać — nagle złękniony.

— A może... — zaczął i urwał na chwilę, jak gdyby się wahając — a może pójdziemy gdzieś... stąd. Gdzieś... tam.

Beata pokiwała głową. Wstali i niemal bezszelestnie, jak gdyby umówili się, że nikt nie może ich usłyszeć, zeszli po skrzypiących schodkach ganku i szybko znaleźli się na polnej drodze.



Robert spał długo. Kiedy otworzył oczy, zegar ścienny w kuchni wybijał czwartą. Przeciągnął się. W domu panowała cisza.

Wyszedł na ganek, ale tutaj również nie zastał nikogo. Wrota stodoły były na pół rozwarte — mógł stąd dojrzeć, że stodoła jest pusta. Wszyscy gdzieś się rozpierchli, rozmyli na tej ogromnej połaci ziemi. Robert czuł rozdrażnienie, jak zawsze, kiedy nie wiedział, co ze sobą zrobić. Mógł oczywiście iść do sadu, było to nawet wskazane, ale było zbyt gorąco, zbyt ciężko. Przez to, że był Cyp, który na pewno dwoił się i troił, chcąc zrobić odpowiednie wrażenie (dobrze, że chłop nie zdawał sobie sprawy, z jaką ulgą odetchnie rodzina, kiedy Florka w końcu wyjdzie za mąż, jak wszyscy się ucieszą, że ktoś zdecydował się z nią wytrzymywać na dobre i — częściej — na złe), Robert nawet nie miał wyrzutów sumienia, że nie zwozi w tym momencie w pocie czoła skrzynek z pola. Mógł iść do Florki — na pewno była w starym sadzie, pod jarzębinami stał jej ford, a więc już wróciła z miasteczka — ale nie chciało mu się dziś prowadzić z nią tych wyszukanych, złośliwych dysput, które zazwyczaj tak oboje lubili. Szukanie Beaty lub Idki też nie wchodziło w grę — obie były zajęte jakimiś innymi mężczyznami, których Robert nie znał;

a chociaż był w tym wypadku bratem i kuzynem, to jednak przebywanie w towarzystwie kobiety opętanej myślą o innym w jakiś sposób uwłaczało jego męskiej godności. Najchętniej może napiłby się zimnego piwa z Aleksandrem, ale ten na pewno przebywał teraz w towarzystwie babci, a na docinki babci też jakoś nie miał ochoty.

Wychodziło więc na to, że nie ma dla Roberta miejsca w tym domu. Nie było ani jednej osoby, z którą przyjemnie spędziłby czas, nie było ani jednego zajęcia, któremu poświęciłby się z ochotą. W dodatku wyspał się, więc nawet leżenie, jego zazwyczaj ulubiona czynność, odpadało. Robert był poirytowany i nie potrafił opanować tego uczucia. Zszedł — umyślnie wolno, chcąc przynajmniej w ten sposób spróbować się uspokoić — po trzeszczących stopniach ganku, wyszedł na polną drogę i z rękami w kieszeniach ruszył w stronę rozstajów. Nieśpieszny, miarowy spacer był jedyną szansą, by powstrzymać nadciągający niespokojny stan ducha, przez który stałby się nieprzyjemny dla otoczenia. Tego Robert chciał uniknąć. Wszak Regusia miała te swoje dziwaczne urodziny, a Regusia była ostatnią osobą, której Robert śmiałby sprawić przykrość.

Szedł na pozór spokojnie, zamyślony. W pewnej chwili zaczął nawet nieświadomie pogwizdywać — był to znak, że chwilowo odpędził od siebie widmo zimnej i lepkiej nudy, która już mu zaczynała oplatać duszę. Dopiero kiedy minął rozstaje, zorientował się, że skręcił w kierunku gospodarstwa Żałosków. Przystanął na moment, niezdecydowany. Mógł jeszcze zawrócić, ale ona równie dobrze mogła go już dojrzeć, z okna, z podwórka — gdziekolwiek była. Poza tym przecież zastanawiał się dziś rano, co się z nią stało. W końcu kiedyś dobrze się znali. Cóż lepszego zresztą miał do roboty?

I Robert, nadal z rękami w kieszeniach i nadal bezwiednie pogwizdując, ruszył przed siebie, wprost do drzwi Hanki Żałoskowej.



Drzwi były uchylone, więc Robert nie zastanawiając się długo, wszedł przez czystą sień do środka i zajrzał do kuchni. Hanka tu była, odwrócona plecami, nachylała się nad wózkiem i próbowała karmić córeczkę łyżeczką. Zapukał o framugę.

Odwróciła głowę, zza niej z wózka niezdarnie wychyliło się niemowlę z pyzată buzią umazaną kaszką.

— Cześć, Haniu — powiedział Robert

Idąc tutaj polną drogą, wyobrażał sobie, że Hanka rozjaśni się na jego widok, ponieważ ta wizyta będzie dla niej urozmaiceniem nudnego dnia. Ale zamiast tego zobaczył na jej twarzy

zmieszanie i to zmieszanie nagle udzieliło się również jemu, ponieważ mgliście przypomniał sobie (a do tej pory jakoś o tym nie pamiętał) noce w sadzie dziadka i chyba nawet jakiś jej płacz.

Robert bardzo nie lubił sytuacji, kiedy czuł się zmieszany.

— Jakoś niespecjalnie ucieszył cię mój widok — zagadnął więc, a Hanka w okamgnieniu przedzierzgnęła się ze zmieszanej dziewczyny w uprzejmą gospodynię. Podniosła się, odstawiła dziecięcą miseczkę do zlewu. Bobas włożył sobie do ust duży palec prawej stópki i przyglądał się przybyszowi z nieskrępowanym zainteresowaniem.

— Witaj — powiedziała Hanka. — Dlaczego nie miałabym się cieszyć na widok starego znajomego? Dawno się nie widzieliśmy.

Robert przestąpił z nogi na nogę.

— No tak — przyznał. — Zrobiłem sobie krótkie wakacje na łonie natury. Poza tym dziadkowie marudzą, że tak rzadko ich odwiedzamy.

Hanka pokiwała głową.

— Herbaty? Może czegoś zimnego? — zaproponowała.

— Nie, nie, dziękuję. Przepraszam, że w ogóle tak cię nachodzę bez uprzedzenia, pewnie jesteś zajęta...

Robert sam nie wiedział, co mówi. Dziecko wpatrywało się w niego okrągłymi oczami — pewnie oboje w tym momencie zastanawiali się, co on tu właściwie robi. Hanka na szczęście odwróciła się plecami, myła miseczkę córki.

— Na brak zajęć nie narzekam — powiedziała przez ramię. — W gospodarstwie, z małym dzieckiem...

Robert wzruszył ramionami w stronę małej, co miało znaczyć: „sam nie wiem, po co przyszedłem”. Czuł się jak w szkole przy tablicy. Dziewczynka wyjęła z ust stopę, na jej miejsce wetknęła kciuk i przeniosła swój pytający wzrok na matkę. Robert powędrował za jej spojrzeniem. Hanka stała przy zlewie, woda pryskała na jej obnażone ręce; miała na sobie żółtą sukienkę bez rękawów, dosyć obcisłą — można było ocenić, że jej linia nadal jest bez zarzutu, brzuch był prawie idealnie płaski. Włosy miała luźno spięte, w pewnym momencie odgarnęła mokrą dłonią jakiś niesforny kosmyk z czoła. Robertowi było duszno.

— A może znajdziesz chwilę dla starego znajomego? Dasz się namówić na krótki spacer?

Hanka nie odpowiedziała od razu. Odstawiła umyte naczynie na suszarkę, powoli wycierała ręce czerwoną ścierką.

— Właściwie czemu nie — powiedziała w końcu. — Nie wychodziłam dziś z Basią, cały dzień był taki straszny upał...

Z podwórka Żałosków można było pójść w dwie strony — albo w stronę wsi, albo polami,

w stronę lasu i domu starej zielarki. Nie umawiając się, oboje skręcili w tym drugim kierunku. Wyschnięta, żółkła trawa chrzęściła pod stopami, kurz wzbijał się tumanami ponad drogą. Ziemia potrzebowała deszczu.



Polną dróżką dotarli aż do domu zielarki. Robert pamiętał z wczesnego dzieciństwa zgrzybiałą staruszkę, którą czasem widywał we wsi. O tej kobiecie krążyły w okolicy legendy, które Robert znał głównie z opowieści u Jana. Zielarka warzyła lecznicze mikstury, rozdawała miłosne napary, rozwiązywała też podobno zgoła odwrotne kobiece problemy. Już po jej śmierci chatka, która teraz chyliła się ku upadkowi, służyła wielu parom jako miejsce tajemnych schadzek. Toteż do dziś, choć żadnej rodziny zielarka po sobie nie zostawiła, od czasu do czasu na jej grobie wdzięczne ręce zapalały znicze i układały skromne wieńce na Święto Zmarłych.

Dotarli na zapuszczone podwórko, przysiedli na zmurszałej ławce. Basia podczas spaceru usnęła, więc Hanka ustawiła jej wózek w cieniu starej czeremchy, na widoku, ale na tyle daleko, by mogli swobodnie rozmawiać, nie budząc małej.

Dopóki szli, rozmowa się jakoś kleiła, Robert pytał o mieszkańców domów, które było widać na horyzoncie, Hanka pokazywała mu jakieś polne kwiatki (Robert zapamiętał nazwę krwawnik), co chwila poprawiała coś w wózku. Teraz siedzieli obok siebie i rozmowa się urwała.

Robert wiedział, że powinien coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia co. I jak. Więc milczał. Hanka też milczała. Podwórko zielarki tak zarosło, że byli praktycznie niewidoczni — nawet gdyby ktoś tędy przechodził. Dziewczynka spała. W powietrzu snuły się dziwne, odurzające zapachy.

— Ładnie wyglądasz — odezwał się w końcu Robert. Po chwili uświadomił sobie, że mówi to zawsze i że są to słowa bez znaczenia, ale nie mógł wymyślić nic lepszego. — W tej sukience — dodał jeszcze i umilkł.

Patrzył na jej opalone kolana.

I wtedy ona ujęła jego twarz obiema dłońmi i pocałowała. Na początku delikatnie, potem śmieiej. Jej usta były chłodne i wilgotne.

Robert był zszokowany.

— Ale... — zdołał tylko wydusić między jej pocałunkami, ona jednak nie była zainteresowana tym, co miał jej do powiedzenia. Nie przestawała go całować. Zsunęła się z ławki i pociągnęła go za sobą.

Była pośpieszna i nieuważna. Robert, na początku zupełnie ogłupiały, odnalazł po chwili jej

rytm, dopasował się do niego; jego ciało reagowało instynktownie, szybciej niż on sam, jak zawsze mógł na nim polegać. Chociaż może nie do końca, ponieważ Hanka nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, a z jej twarzy, która znajdowała się tuż pod jego twarzą, nie mógł niczego odczytać. Potem przez chwilę leżeli obok siebie. Robert czuł się tak, jak gdyby jego świadomość nie nadążała za rzeczywistością. Myślami, które ledwo zebrał, był dopiero przy tym, jak zsunęli się z ławki, a tu już cały akt dobiegł końca i chyba znowu wypadało coś powiedzieć. Robert był jednak zbyt oszołomiony — po raz pierwszy w życiu nie przewidział takiego zakończenia. Poza tym uznał, że może to ona powinna odezwać się pierwsza. Ostatecznie to nie on pociągnął ją na trawę.

Hanka jednak nie miała mu chyba do powiedzenia nic ważnego. Wstała z ziemi, poprawiła sukienkę. Zasłoniła sobą słońce — w ten sposób cała jej postać stała się jedną ciemną plamą i Robert nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy. Spod czeremchy dobiegło kwilenie.

— Muszę wracać do domu — powiedziała zupełnie spokojnie. — Niedługo wróci Franek.

I nim myśli Roberta zdołały dotrzeć do tej chwili, już była daleko, idąc z wózkiem wijącą się wśród rozgorzałych pól drogą, która prowadziła do jej nowego domu.



W tym samym momencie Ida przeżywała chwile, na które czekała od początku lata. Leżała pod rozłożystą gruszą, naga, na wyschniętej trawie. I niestety, chociaż Kuba się starał, Ida czuła przede wszystkim kłucie trawy na plecach. W pewnym momencie zaboląło, ale to był ułamek sekundy, i nie było to takie straszne. Jęknęła nawet, bo ból ten przeszył ją nieoczekiwanie, a potem już tylko czekała, aż on skończy. Trawa wpijała się w jej nagie plecy. Było jej bardzo niewygodnie.

Kuba skończył. Położył się obok niej i pocałował ją w czoło. Syknął, bo trawa ukłuła go w bok.

Leżeli chwilę w milczeniu.

— O czym myślisz? — zapytał w końcu cicho, bawiąc się pasmem jej długich włosów.

— O niczym — odrzekła Ida zgodnie z prawdą.

Kuba przewrócił się na plecy. Znowu syknął.

— Potwornie kłuje ta trawa.

— No.

— Czemu nic nie powiedziałaś?

— O czym?

— Że cię kłuje.

— Ach, o tym. — Ida usiadła. Na plecach miała odbity wzór ze splątanych łądyżek. — Nie wiem. Kłuło i tyle. Czy to ważne?

Sięgnęła po swoją koszulkę. Potem po spodnie. Na prawym udzie czerwieniła się delikatna smużka krwi.

Kuba też usiadł.

— Czy teraz już o czymś myślisz? — zapytał znowu.

— Myślę, że powinniśmy wracać do sadu — odrzekła, zapinając zegarek na rękę. — Niedługo przyjedzie samochód.

Kuba uśmiechnął się i pogłaskał ją czule po głowie.

— Naprawdę fajna z ciebie dziewczyna, wiesz? — powiedział i wstał.

Ubrał się szybko, podczas gdy ona stała odwrócona plecami i obserwowała drogę od tej strony, którą miał nadjechać samochód. Potem ruszyli miedzą. Szli w milczeniu, Kuba pogwizdywał.



Leżeli obok siebie w wysokiej trawie i rumiankach. Wdychali aromat rozgrzanego słońcem zielska. Mówili coś od niechcienia od czasu do czasu. Cyprian opowiadał jej o swoich zdjęciach. Miał jedno ulubione — przedstawiało staruszkę z bukietem astrów wysiadającą z pociągu.

— Nie miała nic, żadnych bagaży, tylko te astry. Ostatnie jesienne kwiaty. I ona sama, taka stara, stareńka. Jakby wysiadła na ostatniej stacji na trasie pociągu życia. Sama. To ta jej samotność zawsze tak mnie uderza na tym zdjęciu.

Beata podniosła głowę i oparła ją na rękę. Przyglądała mu się.

— Skąd wiesz, że była samotna? — zaprotestowała. — Miała przecież astry. Może miała też kogoś, kto podarował jej te kwiaty?

Cyprian się uśmiechał. Miał zamknięte oczy, ale wiedział, że ona na niego patrzy, a ona wiedziała, że on wie i że uśmiecha się właśnie do niej.

— Dał jej kwiaty, ale nie towarzyszył do ostatniej stacji. Na ostatniej stacji zawsze jesteśmy sami. Dobrze, jeśli mamy chociaż astry.

Beata nie odpowiedziała. Bardzo chciała go pocałować w tej chwili. Może racja była po stronie Idy, może należało żyć, a refleksje zostawić na później? Ale kiedy miałyby nadejść to później? Jutro? Za tydzień? Za rok, za dziesięć lat? A może najpierw należało przeżyć życie, a dopiero potem, na sam koniec, oddać się wspomnieniom? I nie tylko wspomnieniom, ale także poczuciu winy.

Cyprian otworzył oczy i spojrział na nią.

— Ty byłąbyś dobrym modelem do zdjęć. Jesteś taka... Czy ja wiem? Melancholijna. Nastrojowa. Gdybyś miała długie włosy, mogłabyś na sesji odegrać rolę rusałki.

Beata czekała, kiedy pogłaszczę ją po tych włosach. Możliwe, że każda z nich miała rację. Niewykluczone, że każda droga była dobra. Czy w takim razie ona sama byłaby w stanie odsunąć od siebie poczucie winy — jedyne uczucie, które zdołała u siebie zdefiniować — na bliżej nieokreślone później?

Nagle coś się stało między nimi. Jeszcze przed chwilą w powietrzu wisiał pocałunek — Beata go wyczuwała w nagłej, nieokreślonej bliskości, w pewności, że myślą o tym samym i czują to samo. I chyba dlatego jego uczucia podążyły za jej uczuciami, za jej wątpliwościami i niepewnością. Cyprian nagle usiadł, przez jego ciało przeszedł dreszcz, jak gdyby otrząsał się z czegoś.

Usiadła również.

— A przy tobie widzę barczystego mężczyznę — powiedział głośno i wyraźnie, pozbawionym emocji głosem; wypowiadał kolejne słowa tak, jak gdyby wypowiadał zaklęcie. — Mężczyznę, który grałby rolę rybaka. Rybak łowi rusałkę, na początku ona się go boi, ale to właśnie on zdejmuje z niej urok i uczy prawdziwego życia.

Siedzieli obok siebie, w wysokiej trawie, patrzyli w tym samym kierunku. Nadal myśleli o tym samym, oboje to wiedzieli. Oboje wiedzieli też, że Cyprian miał słuszość, mówiąc to. Tak właśnie należało zrobić.

— To byłyby bardzo piękne zdjęcia — powiedziała więc Beata.

Cyprian na moment ukrył twarz w dłoniach. Kiedy ją odsłonił, miał na ustach swój zwyczajny uśmiech.

— Chyba pora wracać — powiedział, patrząc na zegarek. — Dochodzi piąta, trzeba pomóc zwozić skrzynki z sadu.



Spostrzegli się nawzajem z daleka. Szli równym tempem i w tym samym momencie, z przeciwnych stron, dotarli na podwórze.

— Hej — powiedziała Ida pierwsza.

— Hej — odrzekła Beata.

Kuba i Cyprian podali sobie ręce. Nie widzieli się jeszcze tego dnia.

Nie pozostawało nic więcej do powiedzenia.

— Hej, hej — dobiegł z ganku głos Reginy i jej postać ukazała się w pięknej ramie ciemnozielonego dzikiego wina. Popatrzyła na nich, stojących pod gankiem w różnych niezręcznych pozach. Kuba zapomniał, że nadal gwizdże, Cyprian wkładał ręce do kieszeni, po czym znów je wyjmował, Ida wierciła butem w piasku. — Myślałam, że jesteście wszyscy w sadzie.

Powiodła wzrokiem po całej czwórce, najdłużej zatrzymując się na twarzy Beaty. Potem się uśmiechnęła.

— Wracamy ze spaceru — powiedziała Ida.

— My też — dodała Beata.

— Gorąco w sadzie strasznie.

— No właśnie.

Regina uśmiechała się i kiwała głową. Za nią ukazał się Aleksander. Wycierał ręce kraciatą ścierką.

— Byliście na spacerze? Szkoda, że mnie nie zawołaliście — powiedział, uśmiechając się z żalem — Bardzo lubię spacerować. Myślałem, że obejdę sobie stare zakątki, a Gina nie chce nawet o tym słyszeć. Zapędziła mnie za to do kuchni.

— Sam się przecież zaoferowałeś — odrzekła Regina, ale nawet na niego nie spojrzała. Nie spuszczała wzroku z czwórki stojącej pod gankiem. Idzie wydało się, że wzrok ten jest rozbawiony.

— Będziemy pamiętać... następnym razem — powiedziała i chrząknęła.

— Na pewno — dodała Beata.

— To miło z waszej strony — uśmiechnął się Aleksander. — Czy to nie Robert idzie?

Wszyscy z ulgą odwrócili głowy w stronę starego sadu, skąd rzeczywiście nadchodził Robert. Był zamyślony. Dostrzegł ich w ostatniej chwili i w pierwszym momencie zrobił ruch, jak gdyby chciał się cofnąć. Wydawał się po raz pierwszy niezadowolony z faktu, że znalazł się nagle w centrum zainteresowania; szybko się jednak opanował.

— Hej — powiedział, podchodząc. — Witam wszystkich. Właśnie wracam ze spaceru. Strasznie dziś gorąco w sadzie.

— To prawda — potwierdził skwapliwie Cyprian. — Trzeba się przewietrzyć.

— Oni też byli się przewietrzyć — wyjaśniła zdumionemu Robertowi Regina. — Swoją drogą nie wiedziałam, że trzeba się wietrzyć po pracy w naszym sadzie — powiedziała do Aleksandra, dopiero teraz odwracając się w jego stronę. — Może tam jest jakiś mikroklimat?

Cała piątka, umęczona świdrującym wzrokiem Reginy, który do tej pory trzymał ich wszystkich na uwięzi, skwapliwie skorzystała z okazji; pięć par oczu spoczęło na Aleksandrze.

— W każdym razie dajcie mi koniecznie znać, jak będziecie szli znowu na spacer — powiedział Aleksander, miło zaskoczony nagłym zainteresowaniem. — Chętnie się dołączę. Naprawdę bardzo lubię spacerować.



Robert zapukał do drzwi lipnego pokoju i wszedł, nie czekając na odzew. Beata siedziała na parapecie, nogi miała podkulone, obok stała miseczka pełna czereśni. Spojrzała na niego bezmyślnie. Robert zamknął za sobą drzwi i przysiadł obok niej. Wyjrzał za siebie, przez otwarte okno. Stąd mógł obserwować, jak drogą przechodzili rwacze schodzący z pola.

— Widziałem się z Hanką — zaczął bez żadnych wstępów.

— Tak? — odparła Beata nieuważnie. — To fajnie.

Wypluła pestkę przez okno, wprost na malwy Reginy.

Długie milczenie Roberta sprawiło, że Beata zrobiła wysiłek i spojrzała na brata w miarę przytomnie.

— No?... — zapytała.

— Rzecz w tym, że my... Ona i ja... w sensie... — Robert chciał powiedzieć wszystko bez ogródek, ale nie wiedział, jakie dobrać słowa. Jedyne kulturalne wyrażenie, które przychodziło mu do głowy, to jest „przespaliśmy się ze sobą”, brzmiało idiotycznie w zestawieniu z dziwnym zdarzeniem na podwórkowej trawie.

Ale Beata nie na darmo była jego siostrą.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

— Dokładnie to chcę ci powiedzieć. — Robert pospiesznie pokiwał głową.

Beata ocknęła się z resztek swojego stanu bezwładności.

— Robert, jesteś jednym z najgorszych sukinsynów, jakich znam — powiedziała i wypluła kolejną pestkę, która trafiła zamasyście w pień lipy. — Zdajesz sobie sprawę, że się uśmiechasz w tej chwili?

— Naprawdę? — Robert dał się złapać i natychmiast się tym zirytował. — Nie jest tak, jak myślisz. Chodzi o to, że ona to wszystko sprowokowała, rozumiesz? Poszliśmy na spacer...

Beata mu przerwała:

— Błagam cię. Do czego zmierzasz? Przecież nie opowiadasz mi tego bez powodu.

Wzięła sobie jeszcze kilka czereśni, po kolei wkładała je do ust i wypluwała pestki za okno, nie spuszczać z niego wzroku.

— Mówię ci, bo może ty mi to wszystko wytłumaczysz. — Robert uśmiechnął się do niej

przepraszająco. — Widzisz... — zamyślił się — ja nie bardzo to rozumiem. To znaczy było kiedyś coś tam... W sensie... ja myślałam, że byłem dla niej kimś ważnym...

Beata parsknęła jakimś złym śmiechem, który słyszał u niej po raz pierwszy.

— Naprawdę? Jakoś nie dałeś po sobie wtedy poznać.

Robert spojrział na nią autentycznie zaskoczony.

— O co ci chodzi? Przecież kiedyś tam podkochiwała się we mnie, prawda?

Beata westchnęła. Już nie patrzyła na niego, patrzyła za okno, a jej wzrok znowu stawał się nieobecny.

— Prawda — powiedziała cicho. — I ty to wiedziałeś. No tak.

— No widzisz. — Robert rozjaśnił się jak ktoś, kogo wreszcie zrozumiano. — Miałem rację. A dziś... Nie umiem ci tego wytłumaczyć. — Podrapał się w głowę, szukając odpowiednich słów. — Potraktowała mnie, jakbym nic dla niej nie znaczył.

Beata uśmiechnęła się gorzko.

— Zwykle kiedy kobieta ciągnie kogoś do łóżka, znaczy to coś zupełnie odwrotnego.

Robert pokręcił głową.

— Jak ty jednak nic nie rozumiesz, Beata, z tych spraw. Kompletnie nic. Pora dorosnąć wreszcie, słowo daję. To zabawne... — uśmiechnął się nagle do własnych myśli — to zabawne, ale ona chyba zachowała się tak, jak zwykle zachowuję się ja.



Reginie humor dopisywał jak rzadko. Skończyła przygotowywać kolację i z zadowoleniem popatrzyła na ładnie nakryty stół z dwoma półmiskami kolorowych, wesołych kanapek z warzywami z ogródka i wielkim słojem z parzonymi ogórkami. Na kredensie, ustawione w dwóch równych rzędach stały słoiki ze śledziami — w śmietanie, autorstwa Aleksandra, i na słodko, z rodzynekami. W sieni czekała kapusta. Regina zamierzała po kolacji zająć się bigosem.

Wyjrzała przez okno. U wrót stodoły stała ciężarówka. Pewnie już kończyli ładować.

Na ganek Aleksander opowiadał zachwyconemu Filipowi swoje wojenne przygody. Regina usłyszała coś o drucie przestrelonym podczas czyszczenia karabinu i uśmiechnęła się pod nosem. Beata siedziała na górze, w lipnym pokoju. Ida powiedziała, że źle się czuje, i poszła z książką do altanki. Po podwórku płatali się ostatni rwacze.

Reginie bardzo chciało się palić.

Wyszła na ganek, uśmiechnęła się do Aleksandra i Filipa i dała im ręką znak, żeby sobie nie przerywali. Zeszła po schodkach, kiwnęła głową trzem dziewczynkom, które ją minęły,

i przecięła wolnym krokiem podwórko. Ze starego sadu dobiegały głosy Idy i Flory. Regina szła powoli, skręciła trochę w prawo, popatrzyła na kury, które spokojnie dziobały ziarno, potem odwróciła się i spojrzała jeszcze raz w stronę domu. Aleksandra i Filipa skrywało dzikie wino. Na podwórku nie było nikogo, wrota stodoły w całości zasłaniał samochód, słyszała tylko głosy Cypriana i Franka Żałoski. Jeszcze chwila i Regina znalazła się w ustronnym wychodku pod wybujaną brzozą.

Na chwilę zapało jej dech, ale prędko się opanowała. Panował tu półmrok, światło docierało tylko przez szczeliny między poczerniałymi deskami, z których niedbale zbity był wychodek. Sięgnęła za stanik, z kieszeni spódnicy wydobyła starą zapalniczkę. Zaciągnęła się, starając się oddychać jedynie przez papierosa.

— Kochana? — dobiegł ją nagle zza drzwiczek głos Mateusza. — Kochana, jesteś tu?

Reginie papieros zastygł w ustach.

— Jestem — powiedziała i odchrząknęła; wyjęła papierosa z ust i wyciągnęła rękę jak najdalej od drzwiczek, za którymi stał mąż, tak aby dym uchodził drugą stroną wychodka.

— Właśnie widziałem, jak tu wchodziłaś, akurat wyjrzałem ze stodoły — głos Mateusza wyrażał niepomiernie zdumienie. — I aż wyszedłem zapytać, co się stało. Co tam robisz?

Regina westchnęła z irytacją.

— A jak myślisz — mruknęła, ale zdała sobie sprawę, że Mateusz prawdopodobnie jej nie słyszy. — No robię, co robię, idź sobie — powiedziała głośnie.

— Źle się czujesz? — dopytywał się zatroskany głos zza drzwiczek.

Regina nie miała czym oddychać, mdliło ją. Wyrzuciła papierosa i z rozmachem otworzyła drzwiczki, omal nie uderzając nimi Mateusza w twarz.

— Człowiek nigdzie nie może być sam — powiedziała ze złością, mijając oszołomionego Mateusza, który ledwo zdążył uskoczyć jej z drogi. — Kończę to ładowanie, kolacja czeka.

I nie oglądając się, pomaszerowała w stronę domu.



Hanka siedziała na progu. Basia w drodze powrotnej znowu usnęła, więc Hanka przełożyła ją do łóżeczka, choć wiedziała, że mała nie będzie przez to spała później, w nocy. Ale w domu ciągle nikogo nie było i Hanka chciała побыć przez chwilę zupełnie sama.

Wszystkie jej koleżanki ostrzegały ją, że dzieci i wnuki z domu pod lipami mierzą wysoko i szukają czegoś więcej, niż rodzinna wieś mogła im dać. Hanka patrzyła na wielkie piwonie teściowej i przypominała sobie, jak potem te koleżanki triumfowały, że miały rację, jak potem

zjawił się rycerski Franek Żałoska, który długo mówił coś o czekaniu i dawnej miłości, ale ona nie wiedziała co dokładnie, bo wszystko słyszała jak przez grubą i ciężką zasłonę — i jego „ślubuję ci wierność”, i swoje „że cię nie opuszczę”. Nie pamiętała, co działo się podczas nocy poślubnej, gdy na podwórzu Żałosków trwały jeszcze tańce, a Franek ciągnął ją gdzieś, chyba do stodoły, a może za stodołę, i potem, gdy rodziła się Basia, tego też nie pamiętała.

Ale wiedziała, że dzisiejsze popołudnie będzie mogła odtworzyć w najdrobniejszych szczegółach nawet jako staruszka.



Filip z zaciekawieniem wyglądał przez okno.

— Dziadku — powiedział w pewnej chwili swoim zwykłym, powolnym i rozwlekłym tonem — dziadku, zobacz.

— Co tam takiego? — zapytał Mateusz nieuważnie; z kanapki zsuwał mu się właśnie wielki plaster pomidora. — Iduniu, wyłów mi ogórek ze słoja, masz najbliżej.

— Dziadku — nudził dalej Filip — dziadku, popatrz.

— Nie zawracaj dziadkowi głowy — upomniała syna Flora. — Zejdź z tego krzesła i siadaj do stołu. Regusiu, i jak, w porządku ta kapusta?

— W porządku — odrzekła Regina. — Po kolacji pomożecie mi ją posiekać.

Flora wywróciła oczami.

— Zamierzasz to jeszcze dzisiaj gotować?

— Zamierzam — odparła Regina spokojnie. — Będzie miał czas się przegryźć do niedzieli.

I nie wywracaj oczami z łaski swojej.

— A można wiedzieć, gdzie byliście dzisiaj na spacerze? — zagadnął Aleksander.

— Nigdzie — odezwało się naraz kilka głosów.

Regina uniosła brwi.

— W żadnym szczególnym miejscu — dodał pospiesznie Robert. — Ale jutro możemy się wybrać na ryby, jest tu taka fajna rzeczka.

— O! — rozjaśnił się Aleksander. — Wspaniale. Bardzo chętnie.

— Fifi, chcesz iść z nami?

— Tak — pokiwał głową Filip, który właśnie schodził z krzesła i sadowił się przy stole. — Babciu, co takiego będziecie gotować? — zapytał Reginę, po czym nagle przypomniał sobie, co chciał powiedzieć przed chwilą, i nie czekając na jej odpowiedź, zwrócił się do Mateusza: — Dziadku, ten domek pod brzoźką się dymi.



Regina nie uznała za stosowne komentować pożaru wychodka.

Sam pożar był rzecz jasna niegroźny, trudno go było w zasadzie w ogóle nazwać pożarem; więcej było bowiem dymu niż samych płomieni, chociaż i te zdołały jednak liznąć zmurszałe deski i zabarwić je na czarno, zanim ktokolwiek zdążył wybiec z domu. Robert przyciągnął szlauch i krztusząc się od specyficznego zapachu, puścił obfity strumień na dymiące ściany, podczas gdy reszta stała zaciekawiona w bezpiecznej odległości. Cyprian mocno trzymał rączkę Filipa, który wyrywał się z pomocą wujkowi. Mateusz założył ręce i spokojnie obserwował, jak wychodek bucha kłębamii dymu i pary i chwieje się pod silnym naporem wody.

— Kto by pomyślał — rzekła Ida. — Jak to w ogóle możliwe?

— Może to ktoś od sąsiadów? — podsunął Aleksander. — Ludzie bywają tacy złośliwi...

— Jest susza, wystarczyła pewnie iskierka — zaprotestowała Beata delikatnie. — Na pewno ktoś nieumyślnie zaproszył ogień. To się zdarza.

Robert podszedł właśnie do wychodka i dla pewności polewał go wodą z bliska, sprawdzając, czy gdzieś jeszcze nie tli się płomień. Mateusz nie spuszczał z niego wzroku.

— Myślę, kochana, że powinnaś uznać to za znak — powiedział głośno i wszyscy jak na komendę spojrzeli w jego imieniu na Reginę, która podobnie jak Mateusz nie odrywała wzroku od Roberta. — Pora skończyć z dziewczęcymi figlami, moja droga. Już i tak długo to tolerowałem.

Flora chrząknęła dziwnie i zakryła usta dłonią. Teraz wszyscy zaskoczeni przenosili wzrok z Reginy na Mateusza i z powrotem, tylko oni sami uporczywie przyglądali się swemu jednemu wnu kowi, który właśnie bohatercko zakończył akcję gaśniczą i zwijał szlauch.

— Co ty mówisz, dziadku? — zawołał bohater, który ze swego miejsca doskonale słyszał Mateusza. — Co ma z tym wspólnego babcia?

— A z tym paleniem w wychodku, powiem ci, to już przeszłaś samą siebie — ciągnął spokojnie Mateusz, który poza tym, że nie spuszczał zeń wzroku, nie zwracał żadnej uwagi na Roberta. — Pora dorosnąć, gołąbko. Naprawdę pora.

Regina nabrała powietrza w płuca, ujęła się pod boki, gotowa coś odpowiedzieć, po czym najwidoczniej zmieniła zdanie, bo tylko odwróciła się raptownie w stronę męża i posłała mu jedno ze swoich sławetnych spojrzeń.

— Dziewczęta, bigos czeka — powiedziała, obróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę domu.



Olo wyjechał, Mati odszedł, a Róża zorientowała się, że jest w ciąży.

Nigdy nie brała takiej możliwości pod uwagę. Wierzyła, że Bóg i natura są po jej stronie, więc nie bała się niczego. Teraz wiara ta również nie została zachwiana. Przeciwnie – Róża uznała to za znak i zaczęła się zastanawiać, co siły niebios i przyrody chcą jej tym oznajmić.

Problem polegał na tym, że nie wiedziała, który z nich jest ojcem. Skoro zaszła w ciążę, oznaczało to, że któryś z nich jest jej przeznaczony, jest tym, którego tak zawzięcie szukała. Natura była po jej stronie, dała jej znak i prawo do pierwszeństwa przed innymi.

Mati niewiele się liczył, podobał jej się Olo – prostą drogą rozumowania doszła zatem do wniosku, że nosi w sobie owoc poczęty pod konarami smukłych topoli. Z Matim spotykała się za łąkami.

Olo wyjechał bez pożegnania, ale wierzyła, że wróci. Bóg i natura były wszak po jej stronie.

ROZDZIAŁ 11

W nocy zerwał się wiatr. Był to pierwszy większy ruch powietrza od miesiąca. Regina obudziła się i słuchała, jak wiatr szumi w gałęziach lip. Było coś niepokojącego w tym wietrze, w tym szumie. Jakieś wyczekiwanie, jakaś niecierpliwość. Regina leżała w ciemnościach z otwartymi oczami i sama czuła się, jak gdyby na coś niecierpliwie czekała. Wiedziała, że już nie zaśnie.

Wstała ostrożnie, namacała ręką wełnianą chustę, która leżała na stoliku obok łóżka, okryła się i wyszła do kuchni. Cały dom był pogrążony w ciszy. Wszyscy spali lub też udawali że śpią, co wychodziło na to samo. Nalała sobie wody prosto z kranu i wypła duszkiem. Usiadła przy stole. Po chwili wstała i wyszła na ganek.

Tutaj słyszała wiatr dużo lepiej, szumiał nie tylko w gałęziach lip, ale też w gałęziach jarzębin rosnących przy drewnianym płocie. Wróciła do sieni, w ciemnościach odnalazła swoje stare kapcie, założyła je i wyszła z powrotem na ganek, starannie zamykając za sobą drzwi. Zeszła po schodkach i ruszyła w stronę stodoły. Wiatr igrał z jej rozpuszczonymi włosami. Ryża zawyla krótko, ale Regina wyszeptała coś i suka umilkła posłusznie.

Obeszła stodołę i stanęła na skraju sadu. Szum wiatru natężał się tutaj w przedziwną muzykę, wygrywaną na wilgotnych od nocnej rosy liściach wiśniowych drzew. Kiedy mrużyła oczy, można było ulec złudzeniu, że drzewa tańczą w takt tego osobliwego akompaniamentu.

Serce biło jej bardzo szybko. Czuła dziwny niepokój.



Kiedy Beata wracała myślą do poprzedniego dnia, dziwiło ją, że najtrudniejszym dla niej wspomnieniem wcale nie było spotkanie na łące, lecz wieczór w kuchni.

Gdy już wrócili do domu, po tym jak Robert świetnie się bawiąc, ugasił nieszczęsny wychodek, a biedna babcia została zdemaskowana, Regusia chcąc najwidoczniej prędko zatrzeć ten incydent, dziarsko zarządziła wspólne gotowanie bigosu. Dziadek, którego chyba mimo wszystko dręczyło poczucie winy, bo nie przywykł przemawiać do babci podobnym tonem, nawet w słusznej sprawie, zabrał Aleksandra i obaj wycofali się z nalewką do starego sadu. Za nimi, rzecz jasna, podążył Robert, nawet Cyprian zabrał Filipa, obiecując mu grę w warcaby w namiocie. Kuchnię milcząco pozostawiono kobietom.

Lecz jeśli babcia wyobrażała sobie, że oto siądą we cztery w tajemnym kobiecym sojuszu i oddadzą się wspólnie sztuce warzenia bigosu, snując przy tym babskie bajania, jeżeli tak sobie wyobrażała ten wieczór, to grubo się pomyliła. Ida z zaciętością godną lepszej sprawy w milczeniu kroїła kiszoną kapustę, podobnie jak w milczeniu niepodobnym do niej znosiła uwagi Reginy, że ciągle kroi zbyt grubo. Beata obserwowała ją ukradkiem i, w miarę jak obok Idy rosła górka pokrojonej kapusty, nabierała bolesnej pewności, że na wszelki ratunek jest już za późno. Usta Idy były zaciśnięte, a chociaż dłonie jej nie drżały i pewnie trzymały długi nóż, to w jej całej postaci było coś, co pozwalało się Beacie domyślać, jak wielkie emocje targają nią teraz.

Flora podśpiewywała cicho pod nosem. Beata brawurowo manewrowała spojrzeniem, tak by nie napotykać ani pięknej twarzy kuzynki, ani jej drwiącego spojrzenia, ale Regina usadziła je dokładnie naprzeciwko siebie i kazała im obu szatkować świeżą, słodką kapustę, więc kontakt był nieunikniony. Beata była święcie przekonana, że wszelkie uczucia, jakie przetaczały się przez jej duszę — zazdrość, nienawiść, a jednocześnie nagłe poczucie winy, już nawet nie wobec Filipa, ale i samej Flory — odmalowywały się z idealną dokładnością na jej twarzy. I jak to było możliwe, że siedząc tak przy jednym stole, Beata miała ochotę zatopić swój nóż w tym lodowatym sercu, które biło naprzeciwko, a jednocześnie, kiedy szatkowały wspólnie kapustę na urodziny ich wspólnej Reginy, gdzieś w żyłach odezwały się nagle jakaś przemożna solidarność kobieca i zew krwi? Florę też kiedyś skrzywdzono i na wieczną pamiątkę tej krzywdy został jej Filip. Filip odrzucono przez własnego ojca, Filip, którego teraz inny mężczyzna miał szansę odczarować i przywrócić Florze jako kochane i docenione dziecko.

Nie mogła znieść tego siedzenia przy jednym stole, tej wspólnej kobiecej pracy. Cisza wisiała nad nimi jak ołów — nawet Regina, ciągle chyba oszołomiona, stała przy kuchence zajęta topieniem słoniny na skwarki i w ogóle się nie odzywała. Może kiedy indziej, w innych okolicznościach próbowałyby żartować z tej całej afery, choć Beata szczerze wątpiła, czy którakolwiek z nich, z wyjątkiem Flory, odważyłaby się na serio docinać babci. Ale Flora też nie była dziś zainteresowana ostrzeniem języka. Siedziała, nie podnosząc głowy, nuciła sobie cicho i trudno było odgadnąć, czy zdaje sobie sprawę, że tego dnia ważono na szali jej los.

Żadna z nich nie była w stanie wytrzymać długo w tym towarzystwie. Jedna po drugiej opuściły kuchnię, zostawiając Reginę samą z wielkim garem, nad którym jeszcze długo odprawiała sobie tylko znane obrzędy. Dom wypełniał się ciężkim zapachem. Beata już z lipnego pokoju słyszała, jak Cyprian przyprował do domu Filipa, jak potem do domu wrócili dziadek i Aleksander i jak Aleksander zajrzał do kuchni i poradził Reginie dolać do bigosu dużo czerwonego wina.

Leżąc w bladym świetle poranka i słuchając nagłego wiatru, który szumiał w gałęziach lip, Beata ciągle jeszcze wzdrygała się na samo wspomnienie tego przerażającego wieczoru. Zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzyma z nimi pod jednym dachem.



Ubierając się do sadu, Ida zastanawiała się, jak to możliwe, że na zewnątrz wszystko pozostało takie samo. Zaczynał się kolejny dzień, podobny do poprzednich, słyszała, jak babcia krząta się w kuchni, jak powoli wszyscy schodzą się na śniadanie. Sprawy toczyły się utartym torem i wyglądało na to, że nic nie jest w stanie ich z niego wytrącić. Zjedzą śniadanie i rozejdą się, każdy do swoich zajęć. Czy więc te wszystkie rewolucje, które miały targać człowiekiem, dokonywały się wyłącznie w jego wnętrzu? Czy były tak mało istotne, że nie mogły zaznaczyć się w zewnętrznym świecie?

Usiadła przed toaletką i uważnie przyjrzała się swojej twarzy. Nawet tutaj nie mogła dostrzec żadnych zmian. Przypomniała sobie słowa Gołki, że od tej pory już nic nie będzie takie samo. Że będzie nowym człowiekiem. A tymczasem świat dookoła niej trwał bez zmian, ona wyglądała tak samo i nawet — co zaskoczyło ją najbardziej — czuła się tak samo. Znikł co prawda ten męczący niepokój, ale w jego miejscu Ida nie mogła się doszukać niczego nowego. Nie obudziła się jako nowa Ida, nowa kobieta. Serce nie podskakiwało w piersi, nie patrzyła na świat nowymi oczyma. Nie rozumiała więcej niż wczoraj.

Może gdyby stało się coś, co wytrąciłoby wszystko z tej denerwującej, obojętnej równowagi — może wtedy uwierzyłaby, że stało się coś przełomowego w jej życiu. Gdyby na przykład tego dnia wybuchła wojna. Koniec jej niewinności i koniec niewinności świata złączone jednym punktem w czasie. Wydarzenia dookoła niej nadałyby temu, co się stało, nowy sens. Ale spokojny głos babci dobiegający z dołu, szum wody w łazience, gdzie była Beata, jaskrawe słońce, które odbijało się oślepiającym blaskiem w złocistych łanach zbóż widocznych z okien lipnego pokoju, pokrzykiwania zmierzających do sadu rwaczy — to wszystko było dowodem na to, że zdarzenie pod gruszą nie miało w sobie żadnej istotnej siły, by w jakikolwiek sposób wpłynąć choć na jeden z trybików maszyny. I jeśli Ida chciała być uczciwa wobec samej siebie — nie miało żadnej istotnej siły, żeby wpłynąć znacząco na nią samą.

Cieężko było się z tym pogodzić. Schodząc na śniadanie, Ida czuła pretensję do świata, że nie przyszedł jej z pomocą i w momencie, kiedy ona sama nie była w stanie tego zrobić, nie odznaczył początku jej kobiecości w jakiś tylko dla siebie możliwy, spektakularny sposób.



Mateusz przyszedł z sadu z triumfalną miną.

— Słyszałaś nowiny? — zapytał, wchodząc po schodkach na ganek i siadając obok żony.

Regina nie podniosła oczu znad szydełka. Szydełkowała tak, odkąd wyprawiła Mateusza i dziewczęta z domu, czekając, aż Robert i Aleksander wstaną, a mimo to serce nie mogło wrócić do swego normalnego rytmu.

— Nie słyszałam — odrzekła.

— Wczoraj wieczorem aresztowali w miasteczku Heńka Charczuka — poinformował ją Mateusz. — Wdał się w jakąś bójkę czy coś, a że ma wyrok w zawieszeniu, to może mieć problem.

— Biedna Zocha — westchnęła Regina.

— Widzisz? Od początku ci mówiłem. — Mateusz zatarł ręce z dumą. — Miałem rację, widzisz? A nie mówiłem?

Mateusz rzadko miał okazję wypowiadać te słowa; teraz zaś już drugi raz w ciągu ostatniej doby mógł triumfować nad żoną.

— Od początku ci powtarzałem — ciągnął z upodobaniem. — To jest recydywista, nie ma sensu go przyjmować, ale ty oczywiście wiedziałaś lepiej. No i proszę. Całe szczęście, że nie wdał się w bójkę tutaj.

— O tak, masz rację, to istny cud, że nie wymordował w pień połowy pracowników z nami na czele — zakpiła Regina. — Bój się Boga, rzeczywiście znalazłeś powód do radości! — fuknęła, a Mateusz natychmiast się uspokoił. — Trzeba będzie pomówić z Zochą, biedna kobieta, nie ma spokoju nawet na starość.

— Zawiozę jej dziś zaległą wypłatę Heńka — powiedział potulnie Mateusz. — Nie odebrał pieniędzy za dwa ostatnie dni.

Regina odłożyła robótkę. Wstała, podeszła do barierki ganku i wychyliła się. Na jej twarz padły promienie słońca.

— Bardzo dziś przypieka, nie sądzisz?

— Normalnie — odparł Mateusz. — Od początku lipca przecież mamy upały.

— Nie, nie. — Regina pokręciła głową. — To nie jest normalny upał. Będzie burza.

— Co ty mówisz? — Mateusz wzruszył ramionami. — Niebo jest czyste, ani jednej chmurki.

— Będzie burza — powtórzyła Regina. — W nocy wiał zachodni wiatr.



Jakoś tak nagle, nie wiadomo skąd znowu była między nimi ta siostrzana bliskość, która w ciągu ostatnich dni gdzieś się zapo działa. Znowu rwały razem, w dalekim końcu sadu, z dala od ludzi, ustawione po przeciwnych stronach drzewka. Nie rozmawiały wiele, ale cisza, która była między nimi, już nie była tą ciszą pełną obcości i wycofania. To był ten stary rodzaj ciszy, znowu czuły, że są blisko siebie, że są dla siebie. Słońce przypiekało ich natłuszczoną balsamem skórę, powietrze stało nieruchomo, z daleka dobiegały głosy i śmiechy. Rwały leniwie, upał spowalniał każdy ruch, cały świat wokół żył w zwolnionym tempie. Na gołych łydkach czuły ciepło, jakim emanowała rozpalona ziemia.

— Nie poszłaś dziś do swego towarzystwa — powiedziała w pewnym momencie Beata.

— Nie — odrzekła Ida, czując z radością, że jednak może komuś wszystko opowiedzieć. — To już nie jest moje towarzystwo. To chyba nigdy nie było moje towarzystwo.

Beata popatrzyła na nią między gałęziami.

— Jesteś pewna?

Ida pokiwała głową.

— Już wystarczy. Pora się rozejść. Za kilka dni kończą się wiśnie.

— Nie wszystko musi się kończyć razem z wiśniami — powiedziała Beata ostrożnie.

— A ja myślę, że powinno — odrzekła Ida swobodnie. — Wiśnie to taki inny czas. Kończą się i pora wrócić do realnego świata.

Milczały przez chwilę.

— Mam nadzieję, że nie żałujesz — odezwała się nagle Beata i obie wiedziały, co ma na myśli.

— Nie. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Zbyszku? — Ida obeszła drzewko i stanęła przy kuzynce. Popatrzyła na jej twarz. — Lepiej, jak coś się zdarzy, niż jak się nie zdarzy. Rozumiesz? Pamiętasz? Widzisz to?

Beata zagryzła wargi. Pokiwała głową.

— A ty? — zapytała Ida. — Co się dzieje? Dokąd to wszystko zmierza?

Beata odwróciła się do drzewka i zaczęła rwać owoce.

— Coś się stało, prawda? — dociekała Ida — Widzę, że coś się zmieniło. I ona jest inna, inaczej się zachowuje, niby tak samo, ale inaczej. Siada obok niego przy stole. Zauważyłam to. On z nią zostanie, mam rację?

Beata milczała.

— A ty na to pozwoliłaś, prawda? Miałaś szansę zdecydować, na pewno miałaś. On czekał na twoją decyzję, tak to było? A ty to odrzuciłaś, zmarnowałaś. Och, Beata, nie gniewaj się, ja wiem, że jest ci teraz ciężko, ale tak głupio to rozegrałaś, sama jesteś sobie winna. Powiedz mi,

wytłumacz... dlaczego?

Ida wpatrywała się w tył głowy Beaty ze szczerą rozpaczą. A potem Beata się odwróciła. Ida zobaczyła jej minę i aż się przeraziła tego niemego żalu, który Beata miała wypisany na twarzy.

— Dlatego — powiedziała Beata spokojnie, choć kąciki ust jej drgały — że on nie zostaje z nią. On zostaje z nimi. Rozumiesz? Widzisz różnicę?

Ida otworzyła usta. Nigdy nie pomyślałaby o tym w ten sposób.

— A poza tym — ciągnęła Beata, usiłując się opanować — to wszystko nie jest takie czarno-białe, jak ci się wydaje. To nie jest tak, że ktoś zasługuje na miłość, a ktoś na odrzucenie. A na pewno nie jest tak dla niego. On nic nie poświęca, musisz to sobie uzmysłowić.

— Czyli wszystko stracone — wyszeptała Ida. Położyła dłoń na ramieniu Beaty i leciutko je uścisnęła. — Będzie tego żałował, oboje będziecie.

— A ja myślę — powiedziała Beata już zupełnie spokojnie — że on do następnego lata zapomni. Spojrzenia i gesty są ulotne, Iduniu, to ci cały czas usiłowałam powiedzieć. Dopóki nic się nie zdarzy, łatwiej jest przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego.

— Udawać, że nic się nie stało — burknęła Ida.

— Uwierzyć, że nic się nie stało — poprawiła ją Beata delikatnie.

— I siądziemy wszyscy w miłości i zgodzie do jubileuszowego stołu Regusi — powiedziała Ida szyderczo.

Beata milczała.



Robert obudził się z dziwnym uczuciem, że ma jakiś problem, ale w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, co to jest. Czuł niepokój, lecz nie mógł sobie uświadomić jego źródła. Może śniło mu się coś i to uczucie było ostatnim śladem nieprzyjemnych marzeń sennych, wąłym pomostem między światem snu i jawy. Tylko że Robert z zasady nie miewał snów.

Cypriana nie było w namiocie. Robert podejrzewał, że przyszły szwagier już od dawna daje popis pracowitości w sadzie. On sam nie zamierzał pokazywać się tam zbyt wcześnie. Podłożył ręce pod głowę i leżał tak przez chwilę, nadal nie mogąc zdefiniować dręczącego go uczucia. Pozostawało chyba tylko czekać, aż samo przejdzie. Robert ziewnął, odrzucił cienki koc, którym był nakryty do pasa, usiadł i przetaił zaspane oczy. Potem wyjrzał z namiotu.

Niedaleko, między rozłożystymi starymi jabłoniemi stały sztalugi, przesłaniając częściowo smukłą postać Flory. Flora miała na sobie długą zieloną sukienkę, na ręku pobrzękiwały jej ciężkie bransolety. Robert skojarzył ten odgłos, słyszał go, kiedy się obudził. Być może to

właśnie tak go zirytowało.

Wyszedł z namiotu i przeciągnął się. Flora popatrzyła na niego ironicznie ponad sztalugami.

— Dzień dobry — powiedział Robert. — Jaki piękny poranek, co, Florka? Widzę, że od świtu oddajesz hołd sztuce, to się chwali.

— Już prawie południe, Robert — odrzekła kpiąco Flora, przenosząc wzrok z powrotem na swoje płótno.

Przez jej twarz przemknął cień irytacji, który Robert wziął do siebie. Wzruszył ramionami.

— Przyganiał kocioł garnkowi — powiedział i podrapał się po plecach. — To pewnie już dawno po śniadaniu, co?

— My też jedliśmy niedawno — odezwał się cienki głosik i z altanki wyjrzał Filip. — Przyszliśmy tu przed chwilą.

Robert się roześmiał, nawet Flora uśmiechnęła się pod nosem. Pięknie wyglądała z rozpuszczonymi włosami i skupioną miną. Robert zawsze był pełen męskiego uznania dla swojej kuzynki.

— Regusia na pewno zostawiła ci jakiś smaczny kąsek — powiedziała, mieszając farby na palecie.

— Przede wszystkim napiłbym się kawy — wyznał Robert.

— Znowu siedzieliście wieczorem z nalewką, co? — Flora zaśmiała się krótko. — Znalazłam dzisiaj w altance pustą butelkę. A... — zawahała się na moment, po czym zniżyła głos tak, żeby syn jej nie słyszał — a Cypis siedział z wami?

— Nie. — Robert pokręcił głową. — Masz strasznie porządnego faceta, Flora. Po warcabach odprowadził Fifiego do domu, a potem poszedł prosto do namiotu. Jakiś przygaszony był, a może zmęczony po prostu. Postawił sobie chyba za cel zostać przodownikiem pracy u dziadka. W kategorii męskiej, rzecz jasna, bo ogólnie pani Gienia jest nie do pokonania.

Roześmiał się, ale Flora była poważna.

— Dlaczego przygaszony? — zapytała.

Robert znowu wzruszył ramionami.

— Oj, nie wiem, Florka, może tak mi się zdawało. W każdym razie nie miał nastroju siedzieć z nami. Ale poprzedniego wieczora, muszę przyznać, zaprezentował się z bardzo dobrej strony. Masz moje błogosławieństwo. Jeśli o mnie chodzi, to szwagier bardzo mi pasuje.

— Może skup się na rodzonych szwagrach, co? — poradziła mu Flora złowieszczo.

Robert pacnął się dłonią w czoło.

— Florka, a może ty coś wiesz? Zbych mi mówił, że Beata była w sklepie ze swoim chłopakiem. Była tu z kimś? Cały czas zapominam ją zapytać.

Flora w skupieniu oglądała płótno.

— Nie było tu nikogo — odrzekła.

— Nie rozumiem — zdziwił się Robert. — Zbych by mi nie kłamał. Chyba że to jakieś wasze babskie tajemnice, to w porządku — dodał obrażonym tonem.

— Nie było tu nikogo — powtórzyła Flora. — Jeśli Zbyszek widział z kimś twoją siostrę, to musiał to być ten szwagier, który tak bardzo ci pasuje.

Przeniosła wzrok z płótna na Roberta tak gwałtownie, że aż otworzył usta. Czuł w głowie znajomy powolny proces rejestrowania faktów, a chociaż nie był jeszcze w stanie poskładać ich do kupy — świeżo po przebudzeniu Robert miewał problemy z kojarzeniem — czuł, widział po minie Flory, że coś tu stanowczo nie gra. Zanim jednak zdołał coś powiedzieć, z altanki wyszedł Filip.

— Co to jest szwagier? — zapytał i natychmiast, nie czekając na odpowiedź, dodał: — Pójdę z tobą do babci, obiecała mi, że będę mógł jej pomóc lepić kluski na obiad. Na obiad będą kluski, wiesz? Tak śmiesznie się nazywają, ale zapomniałem.

— Leniwe — powiedziała machinalnie Flora i odwróciła się z powrotem do sztalug. — I poproś babcię, żeby dała ci pić, jest strasznie duszno.

Robert poczuł, jak w dłoń wpycha mu się mała piastka, więc odruchowo ją uściśnął. Z wysokości łokcia spoglądały na niego ufne oczy — Filip był gotowy iść z nim do domu. Flora znów mieszała farby na palecie, nie patrzyła na nich. Robert po raz kolejny miał to nieprzyjemne wrażenie, że jego świadomość nie nadąża za rzeczywistością. Kiedy czuł się tak ostatnio? Idąc za Fifim w stronę domu, przypomniał sobie nagle zdarzenie na podwórku u zielarki. To wtedy czuł się tak, jak gdyby oglądał to, co się dzieje, w zwolnionym tempie. Odetchnął z ulgą. Przynajmniej pierwsza sprawa, to poczucie niezidentyfikowanego zagrożenia, została wyjaśniona. Teraz pozostawało tylko czekać, aż druga wiadomość, ta o Beacie, ułoży mu się w głowie, a rezultat procesów kojarzenia dotrze do jego świadomości. Robert na razie przeczuwał tylko, że rezultat ten będzie bardzo zastanawiający.



Kanapki czekały na niego na stole. Nie był ostatnim gościem w kuchni — pod oknem siedział Aleksander z kubkiem swojej porannej kawy i miło gawędził z Reginą. Regina miała uprzejmy wyraz twarzy, ale Robert zauważył, że jej palce bębnią o blat stołu. Na odgłos ich wejścia odwróciła głowę.

— No jesteś wreszcie — powiedziała, a Aleksander urwał w pół zdania. — Bój się Boga,

Robert, już prawie południe.

— Młody chłopak musi się wyspać, Gina — wtrącił Aleksander. — Dajże mu spokój.

— Śniadanie czeka — rzekła Regina, ruchem głowy wskazując mu półmisek z kanapkami.

— Babciu, kiedy będziemy lepić kluski? — zapytał Filip, siadając przy stole obok Roberta.

— Jeszcze trochę, Fifi — odpowiedziała Regina. — Muszę załatwić jedną sprawę w sadzie, a potem możemy się zabierać do obiadu.

— A Cyprian jest w sadzie? Mogę pójść do niego? Mama kazała ci dać mi pić — przypomniało się Filipowi na jednym wydechu.

Regina wstała bez słowa i podeszła do kredensu, gdzie stał karton z sokiem. Wylała resztkę do szklanki, zgmiotła karton i wyrzuciła go do kosza. Podała Filipowi szklankę.

— Ja też wybiorę się z wami do sadu — odezwał się Aleksander, gładząc z zadowoleniem swoją brodę. — Ciekaw jestem, co tam Mateusz porabia.

— Jest strasznie parno, nie sądzicie? — powiedział Robert z pełnymi ustami. — Przynajmniej w starym sadzie.

— Czy mogę już iść do Cypriana? — zapytał Filip, odstawiając szklankę.

— Możesz — odrzekła Regina. — Fifi, naucz się wstawiać naczynia do zlewu.

— Dobrze, babciu — odpowiedział grzecznie Filip, po czym zsunął się z krzesła i wybiegł z kuchni, pozostawiając szklankę tam, gdzie stała. — Do widzenia, babciu! — krzyknął jeszcze z sieni i po chwili mogli go zobaczyć przez okno, jak radośnie biegnie do stodoły.

Robert parsknął śmiechem.

— Jeśli dasz mi pięć minut, to możemy pójść do sadu razem — zaproponował Aleksandrowi. — Tylko się ubiorę.

— Doskonale — zgodził się Aleksander. — Chyba że naprawdę trzeba ci pomóc, Gina, z tymi kluskami, co? Ja chętnie.

— Daj spokój. — Regina machnęła ręką. — Idźcie sobie, ja pozmywam i pójde załatwiać swoje sprawy.

— Dziękuję, babciu — powiedział Robert i przechodząc obok niej w drodze do łazienki, cmoknął ja przelotnie w policzek. — Było pyszne.



Regina wracała z sadu, dokąd udała się na poszukiwania pani Gieni.

Już od dawna wyobrażała sobie zastawiony na swój jubileusz stół — począwszy od tego, jakie potrawy się na nim znajdą i w czym zostaną podane, a skończywszy na kolorze serwetek.

Jeszcze zimą kupowała nowe salaterki do śledzi, nowy obrus. Lubiała wyobrażać sobie, jak to wszystko razem pięknie się skomponuje — jej najlepsza zastawa, eleganckie sztucce od Elżbiety, serwetki, szklaneczki, połyskliwe kieliszki, jej piękny wazon z mlecznego szkła, który napelni się kwiatami od dzieci. Ilekroć zaś przed oczyma stawał jej ten dostatni, uroczyście nakryty stół, królował na nim wielki, majestatyczny, pięknie udekorowany tort.

Wielki, majestatyczny, pięknie udekorowany tort przekraczał jednak możliwości Reginy. Może gdyby stanęła w obliczu takiej konieczności... ale wszak pod ręką była pani Gienia, która w ciągu roku dorabiała sobie pieczeniem wspaniałych tortów na wesela, komunie, chrzciny i osiemnastki. Nie było nic prostszego, jak tylko dobić targu z panią Gienią i zamówić u niej ten dostojny wypiek, który miał uwieńczyć jubileuszowy stół Reginy. Rozmawiały o tym już kilka dni temu — pani Gienia nieco zmartwiona, że być może będzie zmuszona opuścić wcześniej sad, by zdążyć z tortem. Dzisiaj zaś ustaliły ostatnie szczegóły. Regina, która stała pod drzewem, z zadowoleniem słuchała, jak pani Gienia, nie schodząc z drabiny i nie przerywając ani na moment roboty, pewnym głosem roztaczała przed nią wizję oszałamiającego, mieniącego się od kontrastujących ze sobą barw i smaków ciasta. Regina lubiła słuchać ludzi, którzy wiedzieli, o czym mówią, i mówili to pewnym, spokojnym głosem. Była przekonana, że pani Gienia zdąży na czas i że tort się uda, i ta pewność na moment zagłuszyła osobliwy niepokój dręczący ją od rana.

Z sadu wracała więc w dobrym humorze. Przestała nawet na chwilę zwracać uwagę na zdradziecko prażące słońce.

Przy ganku spotkała Marynię, która czekała na nią, piastując w objęciach duży kamionkowy garnek. Na widok Reginy Marynia się uśmiechnęła.

— Przyniosłam ci, Renia, smalec na twoje urodziny — rzekła z dumą. — Tak jak prosiłaś. Udał się, aż dziw bierze.

Regina odwzajemniła uśmiech i wzięła z rąk sąsiadki naczynie.

— Dziękuję ci, Maryniu — powiedziała. — Piotr się ucieszy, od małego przepadał za twoim smalcem.

— Tak, tak, pamiętam — rozjaśniła się Marynia. — Nieraz przybiegał do mnie na kromkę chleba ze smalcem. A że Franusia jeszcze nie miałam, to tak miło było, że jakiemuś dziecku smakowało to, co przyrządzałam, Renia, nawet nie wiesz. Jakem robiła teraz ten smalczyk, to też wspomniałam Piotrusia. Niech mu na zdrowie pójdzie. A udał się pyszny, ze skwareczkami, i cebulka mi się uprzyżyła w sam raz.

— Dziękuję, moja Maryniu — powtórzyła Regina. — Może wejdiesz na herbatę?

— Nie, nie. — Marynia pokręciła głową. — Zajrzę jeszcze do sadu, poszukam Franka. Hania

chce po południu jechać na zakupy, zapytam się go, czy czas znajdzie. Ach — powiedziała nagle i zatrzymała się w pół drogi, bo już była gotowa iść do sadu, kiedy przypomniało jej się coś ważnego i odwróciła się z powrotem w stronę Reginy. — Renia, Stach już bimber na twój jubileusz pędzi, bądź spokojna, dziś od rana w komórce siedzi. Będziesz miała rozrobiony z miodem na czas.

Regina z aprobatą pokiwała głową. Marynia uśmiechnęła się raz jeszcze i drobnym, prędkim krokiem udała się w stronę stodoły.



Wszystko na najbliższe dni zostało doskonale zaplanowane, a przygotowania rozsądnie rozłożone w czasie. Bigos był już gotowy, tort zamówiony. W sobotę, w przerwie między krojeniem sałatki jarzynowej a gotowaniem flaków miały wybrać się z Florą po ostatnie zakupy. Regina powtarzała sobie w duchu kolejność gotowania potraw, układała w myślach listę sprawunków, oczyma wyobraźni widziała nakryty stół. Nic nie było w stanie jej zaskoczyć, nic nie miało prawa się nie udać. Wszystko było obmyślane, dopracowane i przebiegało zgodnie z planem. Bigos, gotowany w milczącej, ciężkiej atmosferze, wyszedł znakomicie.

Plany i przygotowania wprawiały zazwyczaj Reginę w nastrój graniczący z błogostanem. Lubiała projekty zakrojone na szeroką skalę, bo wtedy w pełni mogła ocenić, że wszystko znajduje się pod jej kontrolą, że jest świetną organizatorką. Pierwszy raz zasmakowała tego uczucia, kiedy przed laty szykowała wesele Elżbiety. Elżbieta na początku kręciła nosem, choć nie miała odwagi przyznać się do tego przed matką; chciała wesela w Warszawie, w lokalu, ale nikt nie mógł jej tego zapewnić. Rodzice Andrzeja, krawiec i nauczycielka z małego miasteczka, na co dzień wiodący stabilne i umiarkowane dostatnie życie, nie mogli sobie jednak pozwolić na wystawne przyjęcia w stolicy, zresztą taki plan weselny w ogóle nie przyszedłby im do ich skromnych głów; nawiasem mówiąc, Regina obawiała się, że szybko ucichną zachwyty przyszłych teściów nad rozsądnym wyborem ich jedyne syna, który nie dał sobie zawrócić w głowie żadnej warszawiance, a wybrał skromną, zwyczajną dziewczynę z polskiej wsi. Kiedy na spotkaniu zapoznawczym Regina usłyszała z ust matki Andrzeja te właśnie dwa przymiotniki zestawione z osobą swojej córki, musiała ukryć twarz za serwetką.

Sam Andrzej był wtedy świeżo po studiach, pracował w swojej pierwszej kancelarii i dobrze, że w ogóle był w stanie wynająć dla nich dwojga mieszkanie. O finansowaniu nawet sukni panny młodej nie mogło być mowy. Stało więc na planie Reginy, która, kiedy już wszystko oddano w jej ręce, zorganizowała młodym huczne, szykowne wesele tutaj, na wsi; pomyślała nawet

zawczasu o wypożyczeniu ogromnych namiotów ze straży w miasteczku, które rozstawiono na podwórku na wypadek deszczu. Deszcz rzeczywiście padał, ale na szczęście dzięki namiotom goście w ogóle nie odczuli tego dyskomfortu, a Elżbieta wprost promieniała; zorganizowane przez matkę wesele przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Kiedy dwa dni później zwijano namioty, okazało się, że w miejscu gdzie rosła wcześniej bujna trawa, pozostało klepisko, udeptane stopami tańczących do białego rana gości. Mateusz przepowiadał ze smutkiem, że trawa nie odbije przez następnych parę lat, ale Regina wiedziała swoje. Trawa zazieleniła się już następnej wiosny. To ona organizowała to wesele. Trawa musiała odrosnąć.

Regina lubiła chwile, kiedy mogła ułożyć plany, a potem metodycznie wprowadzać je w życie. Niewiele rzeczy przynosiło jej równie głęboką satysfakcję. I dzięki niewielu rzeczom czuła się równie spokojnie i pewnie. Przygotowania zaś do swego jubileuszu rozpoczęła już tak dawno, że teraz na samą myśl o nim jej serce wypełniało uczucie zadowolenia. Toteż w pierwszym momencie nie mogła pojąć tego dziwnego stanu ducha, jaki ogarnął ją tej nocy ni stąd, ni zowąd. Jednak kiedy tylko nocny wiatr ucichł, a na twarzy poczuła pierwsze promienie porannego słońca, Regina pojęła, skąd bicie serca, drżenie rąk i niepokój, który nie pozwalał jej usiedzieć w miejscu. I który mniej był niepokojem, a więcej ekscytacją.

Nie dała się zwieść trwającym od tyłu dni upałom i ciszy w powietrzu. Słońce prażyło dziś zupełnie inaczej niż dotychczas, paliło skórę żywym ogniem, promienie były ostre jak brzytwa. A nieruchome powietrze wisiało nad ziemią ciężko jak teatralna kurtyna, która w odpowiedniej chwili miała się nagle rozsunąć i wpuścić na scenę wiatr, który przyczał się tuż za krawędzią horyzontu.

Regina czekała na burzę od rana. Wyostrzone zmysły gotowe były wychwycić najlżejsze drganie powietrza. Czekają razem z nią. I akurat kiedy pochylona nad stolnicą zagniała ciasto na kluski, jej ucho, łapczywiej niż zwykle rejestrujące odgłosy dnia, nagle wyodrębniło pomiędzy nimi daleki, cichy pomruk. Regina podniosła głowę i przysłuchiwała się przez moment echu, którym pomruk odbijał się w zakamarkach jej czaszki. Sięgnęła po ścierkę i wytarła ręce. Potem odwiązała fartuch.

Wyszła na ganek, starannie zamykając za sobą drzwi. Na podwórzu nie było nikogo. Zeszła wolno po trzeszczących stopniach i skierowała się na prawo. Przez moment jeszcze równinę przesłaniał jej dom i jarzębiny. Wyszła na drogę.

— Wieje z zachodu — powiedziała do siebie. — Wiedziałam.

Wiatr, któremu dostępu do Reginy nie broniły już żadne drzewa, szarpnął się, smagnął ją niespodziewanie po twarzy, rozwał kosmyki włosów. Był tak silny, że musiała zmrużyć oczy.

Niebo na zachodzie gwałtownie ciemniało, jego równa powierzchnia skłębiła się i zaczęła

sunąć do przodu. Zboże kładło się pod naporem poddmuchu, gotowe oddać się żywiołowi. Ponad drogą wzbił się tuman pyłu. Nad głową Reginy rozległ się głuchy pomruk, znacznie głośniejszy od poprzedniego. W jej zmrużonych oczach odbił się blask pierwszej błyskawicy.

— Jesteś nareszcie — powiedziała Regina do nadchodzącej burzy. — Czekałam.

A czarna chmura rozlewała się już nad całą zachodnią linią horyzontu i szła, nadciągała wprost nad drewniany dom. Silny wiatr gwałcił wierzchołki lip, rozwiewał ich gałęzie i obnażał konary. Regina zamknęła oczy. Czowała wiatr na swojej szyi, na piersi, szamotał się z jej sukienką, chciał się wdrzeć do jej wnętrza, plątał się we włosach. Zapierał dech. Odchyliła głowę do tyłu.

— Renia, co ty?! Renia! — usłyszała gdzieś z oddali przerażony głos Maryni Żałoskowej. Ocknęła się. Otworzyła oczy. Marynia biegła do niej przez podwórko.

— Renia, bój się Boga, zaraz zerwie się chmura! — wołała zdyszana Marynia. — Uciekaj!

Regina jeszcze raz spojrzała w niebo. Było całe czarne. Rozdzierały je tylko świetliste błyskawice. Odwróciła się i pobiegła w stronę Maryni. Uciekły obie na ganek.

— A w sadzie? — zapytała Regina zdyszana krótkim biegiem.

— Uciekają — mówiła Marynia urywanym głosem. — Chłopcy pojechali po skrzynki, uparli się, że zdążą. Boże! — przeżegnała się, bo tuż ponad ich głowami rozległ się ogłuszający grzmot. — Boże — wyszeptwała pobielającymi wargami i nagle zbiegła ze schodków na podwórko.

— Maryniu, dokąd?! — zawołała za nią Regina, ale wiatr wdarł się jej tak głęboko w gardło, że aż się zakrztusiła.

— Do domu! — Marynia zakryła uszy rękami, bo znów zagrzmiało, i tak pobiegła drogą, z rękami przyciśniętymi do głowy i, Regina mogła przysiąc, zamkniętymi oczami. Tuż nad nią zerwała się chmura. Nad domem stanęła ściana wody rozdzielana wiatrem. Regina nie mogła dostrzec stodoły. Nie wiedziała, co się dzieje w sadzie. Zaczęła nerwowo chodzić po ganku, ogłuszana kolejnymi grzmotami. Trzęsącymi się rękoma sięgnęła za stanik, który chwilę wcześniej chciał z niej zderzeć wiatr, i dopiero wtedy przypomniała sobie, że nie ma tam papierosa. Zaklęła pod nosem. Nigdy nie bała się burzy. To było coś innego.

Ludzie uciekali z sadu. Burza przyszła nieoczekiwanie, nikt w porę nie podniósł głowy, żeby zobaczyć, co się dzieje na niebie. Zbierali pośpiesznie swoje rzeczy, zagarniali dzieci i biegli do stodoły, oglądając się z przerażeniem na rozległą, atramentowoczną chmurę, która nadciągała nad sad. Cyprian zapalał traktor, słuchał Mateusza, który szybko tłumaczył mu, gdzie zostało najwięcej niezwiezionych skrzynek. Na przyczepkę wskoczyli Kuba i Boro, którzy jako pierwsi przybiegli z sadu, widząc, co się dzieje. Pojechali we trzech, nikt nie zatrzymał się w ulewnym deszczu. Janek i Roch chwycili wózki i pobiegli tam, gdzie było najbliżej, wymijając uciekających z sadu rwaczy. Wichura kręciła bicze z wody, którymi smagała ich po plecach, zrywała liście z drzew

i rzucała je im prosto w twarz, oczy i usta. Po ciemnym niebie przetaczały się grzmoty, tuż nad nimi. Nad sadem.

W stodole ludzie zbili się w kupki i przerażeni spoglądali w uchylone wrota. Ktoś zaczął szeptać zdrowaśki. I wtedy dach stodoły się zatrzęsł. Ogłuszył ich nieziemski hałas. W pierwszej chwili nie wiedzieli, co się dzieje. Potem ktoś pokazał na ziemię przed stodołą, która pobieliała. Padał grad.

Mateuszowi trzęsły się ręce. Patrzył na sad obramowany wrotami stodoły, gwałcony wichrem, który rozdzierał drzewa, gradem, który biczował owoce, i ulewą, która smagała ziemię. Ze ściany wody i lodu wynurzył się traktor, ludzie w popłochu rozpierzchli się po stodole, kiedy Cyprian z rozpędem wjechał na sam środek. Boro trzymał się za głowę, nie zdążył zasłonić się rękami, kiedy zaatakował grad. Po policzku spływała mu strużka krwi. Filip rzucił się Cyprianowi na szyję. Rozplakał się.

Zamykano pośpiesznie wrota, bo wichura wdzierała się do środka. Ludzie przyciskali dłonie do ust. Beata z pobielającymi wargami obserwowała tulącego się do Cypriana Filipa. Obok niej Ida szeptała z rozpaczą: „To moja wina, to moja wina”, a może coś innego, Beata nie była pewna, w końcu to było zupełnie bez sensu, a w stodole panował wielki harmider. Nie mogąc dłużej patrzeć na mężczyznę i chłopca, podeszła bliżej wrót i spróbowała wyrzeć poprzez szczelinę w stronę domu. Nie było go widać.



Regina tymczasem chodziła nerwowo po ganku. Wydawało się jej, że deszcz słabnie, że traci swój rozpęd i siły, ale nadal z trudnością mogła dojrzeć zarys stodoły. Nikogo nie było w domu, kiedy rozszalała się burza. Regina mogła sobie tylko wyobrazić, jak wszyscy oni są tam, zamknięci w tej niewyraźnej bryle, która majaczyła w oddali, pomiędzy strumieniami wody. Z chwilą gdy o daszek ganku zaczęły uderzać pierwsze kulki gradu, spomiędzy fałd szarej zasłony deszczu wyłoniła się niespodziewanie zielona postać i zdyszana, przemoknięta do suchej nitki Flora wbiegła na drewniane schodki.

— Matko Boska! — zawołała poprzez szum lejącej się dookoła wody. — Ledwo zdążyłam schować sztalugi do altanki. Co się dzieje? Gdzie jest Filip? — to ostatnie pytanie wykrzyczała ze strachem, bo tuż nad jej głową przetoczył się kolejny grzmot. Flora obejrzała się przez ramię, jakby spodziewała się ujrzeć za plecami rozpadające się na kawałki niebo.

— Nie wrzeszcz tak — odpowiedziała zdenerwowana nagle Regina. — Gdzie ma być? Na pewno jest w stodole.

Flora obróciła się z powrotem w stronę Reginy. Patrzyła na nią rozszerzonymi oczyma.

— Nie ma go w domu? — zapytała o wiele ciszej. — Jak to? Przecież miał ci pomóc lepić kluski. Gdzie on jest?

— Chciał pójść do Cypriana — odrzekła Regina, siadając w bujanym fotelu i niemal natychmiast z niego wstając. — Na pewno są teraz razem w stodole. Gdzie mają być, jeśli nie tam? Wszyscy są teraz w stodole.

Grad rozpadał się na dobre. Białe kulki uderzały w drewniany daszek, tuż nad ich głowami, trudno im było usłyszeć się nawzajem. Obie odwróciły się w stronę stodoły, podeszły szybko do barierki ganku. Liście dzikiego wina uginały się pod naporem lodu, wydawało się, że lada chwila grad rozerwie je na strzępy. Flora zacisnęła palce na poręczy.

— Pójdę tam — powiedziała. — Muszę go znaleźć.

— Daj spokój — Regina położyła jej dłoń na ramieniu. — Mówię ci, że miał pójść do Cypriana. Z nim jest bezpieczny. Nie bój się.

— On się tak strasznie boi burzy — wyszeptała Flora. — Sama wiesz, on się boi wszystkiego, ale burzy chyba najbardziej. A jeśli jest gdzieś teraz sam, w sadzie?

Regina zawahała się i stała tak przez moment w milczeniu. Ale oto wichura ustawała równie niespodziewanie, jak się rozpoczęła. Grad przestał padać, strugi wody nagle się przerzedziły, a po chwili były już tylko drobnym deszczykiem, jakby ktoś tam, na górze wylał wodę z wiadra, a teraz strząsał z niego ostatnie krople. Ich oczom ukazała się stodoła. Otwierano już wrota. Flora usiadła nagle na mokrych stopniach ganku — z ciemnego prostokąta otwartych wrót wyłoniły się dwie sylwetki, mała i duża, złączone ukośną linią. Cyprian prowadził Filipa za rękę.

— Mówiłam ci — odezwała się za jej plecami Regina. — Po co ta cała panika? Z nim był bezpieczny.



Cyprian zabrał zapłakanego Filipa do domu, kiedy tylko deszcz i grad ustał i otworzono wrota stodoły prowadzące na podwórko. Cała reszta zgromadzonych w stodole ludzi sprawiała wrażenie, jak gdyby nie bardzo wiedziała, co ma teraz ze sobą zrobić. Popatrywano nieśmiało na fragment sadu widoczny w obramowaniu wrót. Janek i Roch podeszli nawet bliżej i wyjrzel, ale jeśli naiwnie sądzili, że praca w sadzie za moment ruszy na nowo, jeżeli mieli proponować rozwieszenie skrzynek, to chyba na widok sadu słowa uwięzły im w gardle, bo w milczeniu wrócili z powrotem na środek stodoły. Kuba stał oparty o traktorek Franka i też chyba nie wiedział, czy może się już zabrać do rozładunku — zdążyli przywieźć z Borem i Cyprianem

całkiem sporo skrzynek. Ręce trzymał w kieszeniach, rozglądał się po stodole. W pewnym momencie jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Idy i oboje szybko spojrzeli w innych kierunkach. Jak dzieci, pomyślała Ida. Jej odwrócony pośpiesznie wzrok padł przypadkiem na Beatę, która chyba jako jedyna nie patrzyła w stronę sadu, lecz wyglądała przez uchylone wrota na podwórko. Po drugiej stronie stodoły Ida dostrzegła Roberta i Aleksandra, których nie widziała wcześniej. Robert nachylił się i mówił coś do towarzysza, a ten stał założywszy ręce i potakiwał. On też rozglądał się z zaciekawieniem dookoła. Może Robert tłumaczył mu, kto jest kim wśród zgromadzonych, może Aleksander szukał jakiejś znajomej twarzy, kogoś, kogo mógł znać pięćdziesiąt lat temu — to była chyba jedyna okazja, żeby zobaczyć jednocześnie połowę wsi, pomijając, rzecz jasna, niedzielną mszę. Ale to było tylko przypuszczenie Idy, może źle ich oceniała, może nie rozmawiali teraz o tak błahych sprawach, teraz, kiedy zgarbiony dziadek powoli podchodził do wrót stodoły, stawał na progu i patrzył na zdewastowany w okamgnieniu sad. Po tym fragmencie, który widziała ze swojego miejsca, Ida mogła tylko się domyślać, jak żaloszny widok przedstawia się teraz oczom dziadka. Sama nie miała odwagi podejść bliżej. Po chwili dziadek odwrócił się, odszukał wzrokiem Franka, a ten szybko podszedł do niego i obaj wyszli do sadu. Upłynęło kilka długich chwil, zanim wrócili.

Tymczasem szmer rozmów w stodole zaczął się nasilać. Ludzie jak gdyby odzyskiwali mowę. Pani Gienia ujęła się pod boki i wyszła na środek. Odwróciła się w stronę Mateusza, który właśnie wchodził do stodoły.

— Pomożemy zwozić, Mateuszu — powiedziała głośno. — Przecież w sadzie zostało jeszcze mnóstwo pełnych skrzynek.

Mateusz odwrócił się i spojrzał na panią Gienię ze słabym uśmiechem.

— Nie ma już czego zwozić, Gieniu — powiedział. — Zaraz policzymy, ile kto ma skrzynek. Beatko, zajmiesz się tym? Do południa wszystko jest zapisane, a z tym, co zostało niezwiezione w sadzie, liczę na waszą pamięć.

Pani Gienia otworzyła usta ze zdumienia. Kręciła powoli głową.

— Jeśli te skrzynki, które zostały w sadzie, do niczego się nie nadają, to ja nie mogę wziąć za nie pieniędzy, Mateuszu.

— Gieniu... — zaczął Mateusz, ale przerwał mu Roch.

— Ja też nie — powiedział głośno. — Jeśli rzeczywiście nic się już nie da z nimi zrobić, trzeba to po prostu spisać na straty. Bywa.

— To są moje straty, nie wasze — zaprotestował łagodnie Mateusz. — Wy zrobiliście, co do was należało.

— Ty również — powiedziała pani Gienia. — Bóg zesłał na nas wszystkich jednakowo,

Mateusz.

— To są nasze wspólne straty, proszę pana — poparł panią Gienię Janek. — Pracowaliśmy razem, i pan, i my. Ja nie zamierzam brać pieniędzy za nic. Wiśnie zostały w sadzie, znaczy się niezerwane. Proste.

— Dobrze mówią — odezwała się jakaś kobiecina i jeszcze kilka głosów wyraziło swoją aprobatę.

Mateusz potarł dłonią policzek. Zamierzał coś powiedzieć, ale Kuba nie dał mu już dojść do słowa.

— To co, panie Mateuszu, będziemy rozładowywać ten traktor — powiedział głośno, wskazując lekko na przyczepkę. — Boro, pomóż mi.

Do przyczepki podeszli także Roch i Janek i we czterech szybko rozładowali skrzynki, zważyli je i ustawili w równych słupkach. Mateusz podszedł do Beaty.

— Beatko, weź mój zeszyt i zlicz każdemu jego skrzynki, dobrze? — powiedział jakimś innym tonem. — Nie pomył się. I popatrz, komu zalegamy z wypłatą.

Ida, która stała obok, dopiero po chwili zrozumiała znaczenie ostatniego zdania.

— Dziadku? — powiedziała, ale Mateusz już się odwrócił, więc szybko podeszła i dotknęła jego ramienia. — Dziadku? — powtórzyła. — Jak to?

Mateusz spojrział na nią. Idę po raz drugi tego dnia uderzyło, jak wielki smutek może kryć się w samym spojrzeniu. Dziadek popatrzył na nią, a potem odwrócił się i powiedział głośno, do wszystkich:

— Koniec na ten rok, moi kochani. Dziękuję wam, jak zawsze, za waszą pomoc.

Ida patrzyła na Mateusza szeroko otwartymi oczami.

— Nic się nie da uratować? — zapytał Kuba, a kilka kobiet pokiwało skwapliwie głowami na znak, że miały zapytać dokładnie o to samo.

Mateusz pokręcił głową.

— Obejrzelśmy owoc z Frankiem, nie ma najmniejszego sensu zrywać tego, co zostało na drzewach. Ale przecież... — dodał weselej, tak że tylko Ida wyczuła fałszywą nutę w tym tonie — przecież oberwaliliśmy prawie wszystko. Nie ma tragedii, moi drodzy.

— Co prawda, to prawda — odezwała się młoda kobieta, do której tuliły się trzy dziewczynki. — Sad prawie oberwany. Tragedia to jest teraz na polach.

Ludzie pokiwali głowami. Każdy w duszy widział już położone gradem i ulewą zboże.

Mateusz westchnął.

— Beatka zaraz wszystko policzy i wypłaci wam pieniądze. Jeszcze raz wam dziękuję.

Przez następne pół godziny Beata liczyła i wypłacała rwaczom ich należności. Czekaając na

swoją kolej, ludzie jeszcze wymieniali uwagi, wyglądali z ciekawością do sadu, podchodzili do Mateusza, który każdemu ścisnął ręce i jeszcze raz dziękował. Niektórzy niecierpliwili się — chcieli jak najszybciej dotrzeć do domu i zobaczyć zniszczenia, które dotknęły ich własne gospodarstwa. Ale żywioł skupił swoje siły prawie wyłącznie nad sadem Mateusza. Wprawdzie trochę zboża rosnącego na polach, które rozciągały się wokół sadu i wzdłuż drogi, ucierpiało, ale nie tak znowu dotkliwie, i można było mieć nadzieję, że leżące kłosa jeszcze się podniosą. Odchodzący drogą rwacze bezwiednie odzyskiwali uśmiech; wszystko wskazywało na to, że ich samych grad tym razem oszczędził. Nawet pogoda zdążyła już zrobić niewinną minę dziecka, które za nic nie przyzna się do psoty, mimo że dookoła niego walają się popsute zabawki. Jak gdyby nigdy nic wyszło słońce, z ciekawością i udanym zaskoczeniem przeglądając się w ogromnych kałużach na podwórzu, a jednocześnie chyłkiem topiąc ostatnie ślady zbrodni — bielejące jeszcze gdzieś pod płotem kulki lodu. Ale już kilkadziesiąt kroków dalej świat wyglądał tak samo jak wcześniej.



Robert stał niezdecydowanie obok wypełnionych wiśniami skrzynek i nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Aleksander wyszedł ze stodoły wkrótce po tym, jak opuścili ją Cyprian i Filip. Beata była zajęta rozliczaniem się z pracownikami, Ida siedziała obok niej ze spuszczoną głową. Robert najchętniej wyszedłby razem z Aleksandrem, ale coś go przed tym powstrzymało. Gdzieś w środku miał nieprzyjemne poczucie, że mogłoby się to wydać nie na miejscu, teraz, kiedy zrobiło się jakoś tak dramatycznie, kiedy ludzie smutno ścisnęli ręce dziadkowi, zerkając niepewnie na sad. Janek i Roch kręcili się po stodole, coś przestawiali, sprawdzali, czy słupki skrzynek równo stoją, i też chyba czekali na jakiś ostateczny sygnał do wyjścia. Robert pozazdrościł Cyprianowi udanego pretekstu do pójścia do domu, jakim był zabeczany Filip. On sam znowu czuł irytację, przestępował z nogi na nogę i czekał niecierpliwie, kiedy te wszystkie pożegnania dobiegną końca.

— Panie Mateuszu, pan mówił, że nie ma czego zwozić, ale przecież z sadu trzeba by pozabierać skrzynki, co? — usłyszał w pewnej chwili głos Franka. — Ja bym się przejechał może traktorkiem?

— A my możemy wziąć wózki — dodał szybko Roch lub też Janek. — Co, panie Mateuszu?

Dziadek drapał się w głowę i patrzył na nich z wdzięcznością. Stojący we wrotach Kuba bez słowa podszedł do traktorka, który ciągle jeszcze tkwił na środku stodoły, i wskoczył na przyczepę.

— Wiśnie wyrzucie na końcu sadu — powiedział dziadek i odchrząknął. — Tam gdzie się wyrzuca gałęzie i chwasty do spalania, ty wiesz, Franek.

— Jasna sprawa, panie Mateuszu. — Franek już siadał za kierownicą.

— To ja pojedę z nimi, dziadku — powiedział szybko Robert, znowu mając denerwujące poczucie, że tego się właśnie od niego oczekuje. Wskoczył na przyczepkę i przysiadł naprzeciwko Kuby.

Franek zgrabnie wyjechał tyłem ze stodoły i skierował traktorek w główną aleję. Koła miesiły błoto, z gałęzi kapały na nich wielkie ciepłe krople. Poprzez spaliny Robert czuł odświeżone burzą powietrze. Zabębnił palcami o krawędź przyczepki.

Poszło im szybko, Kuba i Franek zdawali się świetnie orientować, gdzie mogą zastać porzucone przez rwaczy skrzynki. Na końcu sadu, przy resztkach zeszłorocznych gałęzi leżących wokół kręgu popiołu, spotkali Rocha i Janka, którzy z dziwnymi minami wyrzucali owoce z pojemników przywiezionych z innej części sadu.

— Jakem pierwszą skrzynkę wywalał, to aż mnie coś w środku ścisnęło — powiedział jeden z nich. — Do tej pory to się z taką pieczołowitością człowiek z tym obchodził.

Robert bez słowa wziął skrzynkę z przyczepki i odwrócił do góry dnem tuż nad popielatym kręgiem. Wiśnie wysypały się na kupkę z plaśnięciem, na popiół spłynęła czerwona maź. Tuż za nim stał już Kuba ze swoją skrzynką. I tak wyrzucali poranione owoce na krwawą górkę, która rosła i rosła i nad którą zaczęły już zlatywać się pierwsze muchy. Robert cieszył się, że jest ich kilku, sprawnie to szło i już po kilkunastu minutach Janek i Roch wzięli wózki i poszli przodem, a oni szybko uporali się z resztą wiśni z przyczepki i pojechali wolno za nimi. Jadąc z powrotem, Robert rozparł się wygodniej na przyczepce, tuż obok pustych skrzynek, ociekających wodą i sokiem, i popatrzył na zgarbione plecy Franka obleczone spłowiałą koszulą. Zachciało mu się śmiać.



Franek i Kuba wychodzili jako jedni z ostatnich. Janek i Roch też jeszcze kręcili się po stodole, ustawiali równo wózki, jeden z nich pomógł nawet Idzie poskładać porzucone bezładnie łubianki i zanieść je do bali z deszczówką. Tym, co wszyscy w tej chwili czuli najdotkliwiej, było zaskoczenie, że koniec przyszedł tak nagle, jak gdyby w połowie zdania, w połowie sceny. Przed godziną byli w sadzie, prażyło słońce, w rządkach rozbrzmiewały śmiechy, ustawione w cherlawym cieniu skrzynki z wiśniami czekały na przewiezienie do chłodnej stodoły. Minęła tylko godzina i oto mieli się żegnać, zostawiać sad na cały rok, aż do przyszłego lata. Ida wolno

plukała łubianki, nie mogąc uwierzyć, że robi to po raz ostatni w tym roku. Zakończenie zbiorów było zaplanowane na sobotę, babcia miała tradycyjnie upiec kruchy placek z wiśniami, Stach Żałoska już dostarczył dziadkowi rozsądną ilość swojego samogonu. Wszystko miało się odbyć we właściwym czasie. Ida potrzebowała tego czasu, który dzielił ją od soboty, żeby przygotować się w duchu do końca zbiorów; zawsze musiała się na to odpowiednio nastroić, bo koniec wiśni był dla niej końcem prawdziwego lata. Teraz czuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Dziadek miał tak nienaturalny głos, kiedy żegnał rwaczy, nikt nie pomyślał o czekającym w malowanym kredensie bimbrze, nawet Robert, do którego chyba też w końcu dotarło, co się stało.

Podwórzem przeszli Roch i Janek. Ida uświadomiła sobie, że nawet nie widziała, kiedy poszli Gośka i Boro. Miała rację, mówiąc Beacie, że wiśnie to inny czas. Kończyły się i każdy wracał do swojego świata. Bez pożegnania.

Składała umyte łubianki, kiedy usłyszała czyjeś kroki. Podniosła głowę. A jednak nie dla wszystkich takie rozstanie było oczywiste. Ida w duchu odetchnęła z ulgą. Była mu bardzo wdzięczna w tej chwili za to, że przynajmniej stwarza pozór tego, iż dla niego znajomość z nią także coś znaczyła.

— No i nadszedł koniec — powiedział Kuba. — Nagle, co?

— Zbyt nagle — odrzekła, prostując się.

Stali blisko siebie, ale nie tak blisko jak wtedy, na rozstajach. Już nigdy nie mieli być tak blisko.

— Szkoda sadu. — Kuba ruchem głowy wskazał stodołę, która z tego miejsca zasłaniała cały sad. — A przede wszystkim szkoda pana Mateusza.

Ida pokiwała głową. A więc on też wyczuł fałsz w tym pozornie dziarskim głosie dziadka. Wyglądało na to, że jednak się nie pomyliła, że dokonała właściwego wyboru.

— Kiedy wyjeżdżasz? — zapytali oboje w tej samej chwili i oboje zaśmiali się krótko.

— W niedzielę — odrzekł pierwszy. — A może w poniedziałek. W każdym razie zostaną tu jeszcze kilka dni, chcę na spokojnie odwiedzić Benka, mam tu jeszcze paru kumpli. A ty?

— W poniedziałek. Moi rodzice przyjadą i zabiorą mnie do Warszawy.

Rozmawiali obojętnie o tym, że jeszcze tu zostają, bo tak naprawdę czas każdego z nich już nie dotyczył tej drugiej osoby, oni sami już siebie nawzajem nie dotyczyli. Rozmawiali jak dwoje znajomych, którzy nie mieli wobec siebie żadnych zobowiązań, a swoimi planami interesowali się z czystej uprzejmości.

Kuba chciał jeszcze coś powiedzieć, może o coś zapytać, ale ze stodoły wyszedł Franek. Rozejrzał się, dostrzegł go i pomachał do niego ręką.

— Muszę iść — stwierdził Kuba. — Pan Mateusz powiedział, że mamy nie przychodzić

wieczorem, w stodole jest tego stosunkowo niewiele i dacie sobie radę z załadunkiem, więc... — urwał nagle, a Ida zrozumiała, że chciał powiedzieć: „więc pewnie się już nie zobaczymy”, ale w samą porę ugryzł się w język.

— Jasne, że damy sobie radę — powiedziała szybko. — Jest Robert i Cyprian.

— To w porządku. — Kuba się uśmiechnął. — Mam nadzieję, że... No, nieważne. Trzymaj się, Ida. Wszystkiego dobrego.

— Tobie również — odrzekła i została tak, wśród umytych łubianek, obserwując, jak Kuba odchodzi podwórzem razem z Frankiem, który coś do niego mówił, żywo gestykułując.

Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy Kuba zwrócił się do niej po imieniu i jak ładnie to imię zabrzmiało w jego ustach. Uśmiechnęła się.



Beata długo sprawdzała rachunki w poplamionym zeszycie. Ida przyniosła umyte łubianki, pokręciła się jeszcze chwilę po stodole, po czym poszła do domu. Beacie jakoś nie chciało się iść za nią. Stodoła opustoszała, dziadek poszedł do sadu i nie wracał już od dłuższego czasu. Beata też wyczuła, że jego ożywienie jest na pokaz; tak naprawdę, skoro bez dłuższego namysłu zdecydował się zakończyć rwanie, sad musiał być bardzo zniszczony. O wiele bardziej, niż swoim niewprawnym okiem mogła to ocenić ona sama, kiedy wreszcie wyszła na chwilę zobaczyć, co się stało. Ona widziała tylko błoto, połamane gałęzie i obite owoce; on musiał widzieć, jak bardzo sad ucierpiał pod swoją chropawą skórą. Wewnątrz.

Wróciła do stodoły, zamknęła zeszyt i położyła go na skrzynkach. Rozejrzała się dookoła. Skrzynki z wiśniami oczekujące na wieczorny przyjazd samochodu wyglądały jak zagubieni statyści, którzy zbyt długo pozostali na scenie, podczas gdy wszyscy już dawno rozeszli się do domów. Przyjazd samochodu, załadunek — to było jak niepotrzebna, bezsensowna formalność, teraz gdy zbiory zostały tak brutalnie przerwane. Powinni wyrzucić te owoce razem z tamtymi, których nie zdołano uratować, a potem zamknąć stodołę na cztery spusty i udawać, że nic się nie stało. Uwierzyć, że nic się nie stało. Za rok z trudem sobie przypomną, że tego lata burza splądrowała sad i zakończyła zbiory przed czasem. Nie było więc sensu martwić się tym teraz.

Beata westchnęła. Nie mogła dłużej odwlekać pójścia do domu. Obejrzała się jeszcze raz w stronę sadu, ale dziadka nigdzie nie było widać. Wyszła ze stodoły i ruszyła wolno przez podwórze. Zbliżając się do oplecionego winem ganku, coraz wyraźniej słyszała głosy. Mogła spodziewać się, co zastanie, a jednak gdy wspięła się po trzeszczących schodkach, widok, jaki ukazał się jej oczom, przeszył jej serce zapewne tak samo jak widok sadu przeszywał teraz serce

dziadka.

Siedzieli na ganku we troje. Filip jadł lody, miał umazaną buzię i opowiadał jednocześnie, jakiego hałasu narobił w stodole padający grad. Flora słuchała go, opierając policzek na rękę. Cyprian siedział po drugiej stronie chłopca, opierał głowę na rękę tak samo jak Flora i tak samo jak ona patrzył z uwagą na Filipa. Mały musiał przed chwilą nieświadomie powiedzieć coś zabawnego, bo wchodząc na ganek, Beata złowiła porozumiewawcze, rozbawione spojrzenia tych dwojga wymienione ponad głową chłopca. Zamrugła oczami, jak gdyby spodziewała się, że ta nieprawdopodobna scena jest wytworem jej wyobraźni i za chwilę zniknie — ale oczywiście nie znikła, tylko Flora usłyszała odgłos jej kroków i odwróciła się w tę stronę, mając jeszcze na twarzy ślady uśmiechu.

— No jesteś — powiedziała. — A gdzie dziadek?

— Nie wiem — odrzekła Beata, czując, że robi jej się słabo. — Nie wiem, chyba w sadzie.

— Jak to w sadzie? — W otwartym kuchennym oknie ukazała się głowa Reginy. — Nie przyszedł z tobą? Ida powiedziała, że zostaliście oboje w stodole.

— No właśnie — przytaknęła Flora. — Myśleliśmy, że przyjdziecie razem.

— Dziadek jest w sadzie — powtórzyła Beata jakoś dziwnie dobitnie. — Nie rozumiem, dlaczego tak was to dziwi.

Regina uniosła brwi, słysząc jej ton, ale nic nie powiedziała. Flora przenosiła wzrok z Reginy na Beatę.

— Beata ma rację — odezwał się Cyprian. Wszystkie trzy spojrzały naraz na niego, więc odchrząknął z zakłopotaniem. — To chyba oczywiste, że pan Mateusz jest teraz w sadzie.

Regina zabębniła palcami w parapet.

— Jeśli chcesz, idź go poszukać — dodała Beata, nadal tym samym tonem. — Myślę, że poczuły się lepiej, gdybyś tam poszła.

Regina wzruszyła ramionami i znikła za firanką.

— Pora w końcu zjeść obiad — dał się jeszcze słyszeć jej głos, już z głębi kuchni.

Odpowiedział jej głos Roberta, ale Beata nie zrozumiała słów. Zapewne wyrażał aprobatę dla tego planu. Beata nie patrząc więcej na siedzącą na ganku trójkę, weszła do domu.



Mateusz nadszedł w chwili, kiedy oni kończyli jeść obiad. Było już późne popołudnie, żadne z nich nie miało nic w ustach od śniadania, toteż apetyty dopisywały jak chyba jeszcze nigdy w ciągu tych ostatnich gorących dni, kiedy upał odbierał chęć jedzenia. I dopiero kiedy schodki

zatrzeszczały i na ganku ukazała się postać Mateusza, każde z nich na swój sposób nagle poczuło, że ten apetyt jest jakoś nie na miejscu. Ten obiad był nie na miejscu. Może nie tylko Regina, może wszyscy oni powinni być teraz w sadzie, razem z Mateuszem. Ida wymieniła spojrzenia z Beatą. Spuściły głowy.

— Smacznego — powiedział Mateusz, nadal tym swoim sztucznie dziarskim głosem.

Odpowiedziały mu niewyraźne, speszzone pomruki.

— Usiądź — powiedziała Regina, wstając od stołu i robiąc mu miejsce. — Zaraz ugotuję świeże.

Ale Mateusz pokręcił głową.

— A ty, łakomczuchu, jesz i nawet nie wiesz, co widać z podwórka — zagadnął Filipa, któremu po brodzie ściekało właśnie roztopione masło.

Filip otworzył buzię.

— Co takiego widać, dziadku?

— A widzisz! A kto zauważył, że domek pod brzózką się dymi, co? — zaśmiał się Mateusz. — I już myślałem, że jesteś nie lada obserwatorem, ale widać się pomyliłem.

Filip bez słowa zsunął się z krzesła i wybiegł na podwórko. Rozglądał się bezradnie dookoła.

— Nic nie widzę — zawołał żałośnie.

— Dlaczego przerywasz dziecku jedzenie? — powiedziała cicho Regina, z wymówką w głosie, ale tymczasem z ganku zeszła Ida i idąc w stronę Filipa, też rozglądała się uważnie. W pewnym momencie przystanęła.

— Jest! — zawołała. — Fifi, patrz! Do góry!

Filip zadarł głowę i spojrzał we wskazanym kierunku.

— Jaka śliczna! — zawołał. — Jak wstążeczka!

Teraz już wszyscy, z Reginalą na czele, schodzili z ganku, przystawali na środku podwórka, obok Idy i Filipa, i jedno po drugim podnosili głowy. Na błękitnym niebie, tuż nad gospodarstwem Żałosków wygięta w łuk mieniła się barwna, świetlista tęcza.

— Piękna — powiedział Cyprian. — I jak ładnie umiejscowiona, spójrzcie, jak gdyby zamykała w sobie całe domostwo.

— W życiu nie widziałam tak wyrazistej tęczy — przyznała Regina. — Rzeczywiście piękna. I akurat nad Żałoskami, jak śmiesznie.

Mateusz z uśmiechem pokiwał głową.

— Tęcze są takie tandetne. — Flora wzruszyła ramionami.

— Jak możesz — oburzyła się Ida.

— To jak szczęśliwy znak, prawda? — zagadnął Aleksander. — Tęcze chyba zwiastują coś

dobrego.

— Kluski nam stygną — wtrącił Robert.

Beata, która nie wytrzymała i odwróciła się w stronę Roberta, żeby coś powiedzieć, pierwsza zauważyła postać, która szybkim krokiem przecinała podwórze, idąc w ich stronę. Było w tej postaci coś takiego, że Beata zamarła z półotwartymi ustami.

— Kuba? — powiedział Mateusz zdziwionym głosem. — Przecież mówiłem...

— Ja nie dlatego — przerwał mu Kuba; był zdyszany, najwyraźniej biegł do nich i teraz łapał szybko oddech, podczas gdy wszyscy przyglądali mu się zdumieni.

Kuba powiódł wzrokiem po ich twarzach i zatrzymał się na Mateuszu. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy, po czym Mateusz wolno pokiwał głową, a Kuba powiedział tonem, który miał bardziej potwierdzić przypuszczenie Mateusza, niż oznajmić nowinę:

— Pan Stach nie żyje.



Marynia Żałowska od dziecka panicznie bała się burzy. Kiedy zrywał się wichur, najchętniej zatykała palcami uszy i chowała się pod kołdrę. Nie rozumiała tego żywiołu i miała silne przeczucie, że kiedyś przyniesie on ze sobą tragedię.

I przedziwny zbieg okoliczności sprawił, że tak się rzeczywiście stało — chociaż fakt, że Stach Żałoska akurat tego dnia postanowił zaryzykować i przepędzić swój bimber po raz trzeci, był najzupełniej przypadkowy. Stach zawsze przepędzał bimber dwa razy. Trzeci raz był niebezpieczny, ponieważ alkohol uzyskiwał bardzo wysokie stężenie. Ale tym razem Stach, którego poproszono o dostarczenie alkoholu na jubileusz Reni, postanowił nie tylko stanąć na wysokości zadania, ale też przejść samego siebie i wyprodukować samogon czysty, klarowny, o delikatnym smaku, w którym nikt nie miał prawa dostrzec drożdżowej nuty. Z samego rana wziął się do pracy, nucąc sobie pod nosem (ironią losu, chociaż nikt się tego oczywiście nigdy nie dowiedział, śpiewał starą przyśpiewkę z refrenem „umarł pijak, ale pan”), i akurat kiedy niebo na zachodzie skłębiło się i zaczęło sunąć do przodu, Stach Żałoska przepędzał bimber po raz trzeci. I ostatni. Kiedy bowiem pierwsza błyskawica rozcięła czarne niebo, a ponad zbożami przetoczył się pierwszy grzmot, w komórce Stacha Żałoski stężone opary etanolu rozsadziły destylator, a metalowy dekiel, który przykrywał bańkę z alkoholem, wyleciał w powietrze, uderzając zdumionego Stacha prosto w skroń.

Śmiertelnie przerażona Marynia, która przybiegła do domu chwilę później, upewniła się najpierw, czy nic nie grozi synowej i wnuczce, potem pomagała Hance zamykać okna i dopiero

kiedy burza nieco ucichła, przypomniała sobie o mężu zamkniętym w komórce. Za późno.



Beata stała na rozstajach. Dokoła niej zapadał łagodny lipcowy wieczór, nad polami zaległa siwa mgła, sosnowy lasek kryjący stację nabrał niebieskawego odcienia. Słońce już zaszło, na niebie rozmazały się różowe i fiołkowe smugi, wyżej, na granatowym tle błyskały pierwsze gwiazdy. Powietrze było rześkie i świeże, przy najpłytszym oddechu wypełniało całe płuca. W zbożu cykały świerszcze, tak głośno, że ten odgłos czuła niemal fizycznie. Na rozstajach rozlała się duża nieregularna kałuża, odbijał się

w niej fragment nieba, słup telegraficzny i pochylające się tuż nad jej powierzchnią ciężkie kłosa. Beata podeszła bliżej i przyjrzała się swemu buremu odbiciu. Potem popatrzyła na dom Żałusków. We wszystkich oknach paliły się światła, był stary pies Stacha i chyba słyszała też płacz Basi. Karetka, która na sygnale przecięła polną drogę, odjechała już dawno, uprzejmie przepuszczona na rozstajach przez Zdziśka zabierającego ostatnią lichą partię wiśni, które nieśmiało czekały na niego w stodole. I tak odjechały obie, malutka karetka i masywna ciężarówka. Beata obserwowała je z okna lipnego pokoju. Zastanawiała się, czy Stach jest w tej karetce. Przypuszczała, że nie.

Przypuszczała, że leżał teraz tam, w rześkości oświetlonym domu, otoczony łzami Maryni, krzątanią Hanki, wyciem swojego wiernego psa. Usłyszała chlupot wody. Stara kotka Żałusków także zmierzała do swego pana, zamierzała dołączyć do pozostałych domowników, złączyć się z nimi w żalu i teraz, napotkawszy na swej drodze rozległą kałużę, najwyraźniej usiłowała ją przeskoczyć. Nie dała sobie jednak rady, zawadziła tylnymi łapkami o tafelę tego małego jeziora i stanęła na jego brzegu, przyglądając się z niemą rozpaczą zabrudzonej sierści. Podniosła łeppek. Patrzyły chwilę na siebie, a potem każda wolno ruszyła w swoją stronę — kotka do Żałusków, a Beata do drewnianego domu pod lipami.



Idąc polną drogą, zanim dotarło się do bramy, trzeba było przejść wzdłuż starego sadu. Kiedy Beata była mała, stary sad, który już wtedy był stary, wydawał się jej ogromnym baśniowym domem, do którego prowadziły dostojne drzwi wsparte na dwóch filarach potężnych lip. I odwrotnie — przez drzwi między lipami można było wyjść z mrocznego sadu na słoneczny rozległy świat, jaki rozpościerał się aż po horyzont.

Przechodząc tędy, Beata często przystawała przy lipach. Były tak stare, że nie umiała sobie ich wyobrazić jako młodych drzewek. A przecież to z pewnością dziadek je tu posadził, podobnie jak wszystko inne. To on i babcia stworzyli ten kawałek świata: dom, stary sad, sad wiśniowy. I wszyscy oni — Ida, Robert, Flora, ich rodzice, Filip — też byli owocem ich stworzenia. Ten cały świat, który trwał i niósł w sobie poczucie ładu i harmonii, był dziełem dwojga ludzi. Co mógł czuć ktoś, komu istnienie zawdzięczał kawałek świata?

Dwie sylwetki zamajaczyły w starym sadzie, po czym znikły w namiocie. Beata stała na polnej drodze, przy lipach, dokoła niej szybko zapadał zmrok. Za jej plecami fioletowe smugi niemal zupełnie rozpuściły się w ciemności. Świerszcze cykały, zagłuszając wszystko.



Dziadkowie i Aleksander siedzieli w kuchni. Na stole stały trzy kieliszki i butelka, w której najprawdopodobniej znajdował się biber Stacha. Być może ten, którym dziadek miał pożegnać rwaczy. Obok butelki stał półmisek śledzi i wiklinowy koszyk z chlebem. Siedzieli w milczeniu; Regina opierała głowę na rękę, Mateusz miał zmarszczone brwi, Aleksander gładził w zadumie brodę.

Ida była na górze. Wracając z rozstajów, Beata widziała światło, które rozbłysło w lipnym pokoju. Z pokoju obok kuchni dobiegały dźwięki telewizora, Robert musiał się przecież gdzieś podziać. Stała chwilę na korytarzu, nieświadoma ironicznego uśmiechu, jaki wygiął jej usta, ze spuszczoną głową. Po chwili dopiero zobaczyła swoje stopy, chociaż patrzyła na nie od paru minut, a obok nich wąską stróżkę światła, która wypływała z pokoiku Filipa.

Klamka szczęknęła pod jej niepewną dłonią. Chłopczyk siedział na łożku, po turecku, na kolanach miał blok rysunkowy, wokół niego na kołdrze rozrzucone były kredki. Na dźwięk otwieranych drzwi podniósł głowę. Patrzyli na siebie przez moment, buzia chłopca nie wyrażała żadnych emocji.

— Co tam rysujesz? — Beata powiedziała pierwsze zdanie, jakie przyszło jej do głowy. Nie rozumiała, jak się tu znalazła.

Filip wzruszył ramionami.

— Nic.

Beata zrobiła krok w jego stronę, przymknęła za sobą drzwi.

— I jak wygląda to nic?

Filip uniósł brwi.

— Burzę — powiedział, jakby rozumiejąc, że ciotka nie ustąpi tak łatwo.

Był jak dorosły, który usiłuje zbyć natarczywe dziecięce pytania.

— Mogę zobaczyć? — Beata zrobiła jeszcze krok, chciała usiąść na krawędzi łóżka, ale zawahała się.

Filip trzymał blok tak, że trudno było zobaczyć rysunek.

— Rysuję sad dziadka po burzy — zdobył się na ostateczne wyjaśnienie. Nachylił się nieznacznie, cień rzucany przez jego drobne ciało całkowicie ukrył obrazek.

— Widziałeś sad po burzy? — zapytała go Beata.

Filip pokręcił głową.

— Ale widziałem burzę.

— No tak.

Na starym regale leżały zabawki Filipa, jakieś samochody, połamane kredki, klocki, kilka książek. Flora nie mogła przywieźć tego teraz. Rzeczy było tu za dużo, sam pokój miał w sobie coś, co sprawiało, że wyglądał jak stale zamieszkany. Beata nie umiała tego określić, ale w przeciwieństwie do lipnego pokoju, gdzie w każdym kącie widać było przejściowość i prowizorkę, sugerującą, że ktoś tu mieszka tymczasem, w pokoiku Filipa kilka niezauważalnych muśnięć i ściegów kazało sądzić, że jest on czyimś stałym lokum. Na parapecie Beata zauważyła dwa zdjęcia. Podeszła bliżej, czując na plecach podejrzliwy wzrok siostrzeńca.

Na pierwszej fotografii była Flora. Beata nie musiała nawet pytać chłopca, wiedziała, że autorem zdjęcia jest Cyprian. Wyglądało jak zrobione z zaskoczenia, a może po prostu świetnie upozowane. Flora patrzyła gdzieś obok obiektywu, na kogoś lub na coś, brwi miała zmarszczone, w oczach ślad jakiegoś zastanowienia czy zadumy. Cyprianowi udało się uchwycić jej twarz w chwili, kiedy nie gościł na niej zwykły ironiczny uśmiech, kiedy w oczach nie paliły się ognie drwiny i zniecierpliwienia. Beata nie widziała nigdy tego zdjęcia, nigdy też nie widziała takiej Flory.

Z drugiej fotografii uśmiechali się obaj — Cyprian i Filip — w jakimś parku czy ogrodzie, nie mogła tego rozpoznać w zamazanej zieleni tła. Filip stał roześmiany i z rączkami przyciśniętymi do ust, jak gdyby usiłował powstrzymać tę tryskającą radość, a Cyprian kuczał za nim, obejmując go w pasie splecionymi dłońmi, tak że chłopiec najwyraźniej się o niego opierał. Ponieważ dłońmi obejmował Filipa, Cyprian nie miał czym zasłonić malującej się na jego twarzy wesołości.

Dotknęła dłonią drewnianej ramki. Chciała podnieść zdjęcie bliżej twarzy, przyjrzeć mu się z bliska. Za plecami usłyszała nerwowe chrząknięcie. Drgnęła. Palce zacisnęły się na ramce.

— Mogę ci pokazać swój rysunek — powiedział Filip.

Odwróciła się. Chłopiec patrzył na fotografię, która teraz znalazła się w jej ręku.

— Pokażę ci.

Beata zrobiła krok w stronę łóżka. Filip pokręcił głową.

— Ale połóż zdjęcie z powrotem — powiedział. — Ze zdjęciem będzie ci niewygodnie oglądać — dodał i wykrzywił usta w sztucznym uśmiechu. Beata pomyślała, że na dziecięcej twarzy sztuczny uśmiech wygląda najbardziej obrzydliwie.

Bez słowa odstawiała zdjęcie na parapet. Podeszła do drzwi, położyła dłoń na klamce.

— Rysuj. Nie będę ci przeszkadzać.

Chłopiec pokiwał głową.

Na korytarzu znów przystanąła. W głowie miała znajomą pustkę, nie myślała o niczym, nie była w stanie myśleć o czymkolwiek. Z góry usłyszała dźwięki swojego telefonu, ale nie interesował jej zewnętrzny świat. Pragnęła zapaść się w bezpieczną głąb siebie. Z pokoju z telewizorem wyszedł Robert.

— Śpiący jestem — powiedział, przeciągając się. — Mam nadzieję, że Florka niedługo wróci, poszedłbym się już położyć.

Ziewnął szeroko i podrapał się po plecach. Beata oparła się o ścianę. Na szczycie schodów pojawiła się Ida z dzwoniącym telefonem w ręku.

— Jesteś — powiedziała, szybko schodząc po schodach i wyciągając telefon w stronę Beaty. — To twoja mama.

Beata wzięła telefon z rąk Idy. Nie spuszczać wzroku z Roberta, podniosła klapkę i przyłożyła aparat do ucha.

— Cześć, mamó.

Ida, stojąc w połowie schodów, przenosiła wzrok z Roberta na Beatę. Brat i siostra patrzyli na siebie. Beata kiwała głową, od cza su do czasu mówiła „tak”, „nie”, „dobrze”; Robert też kiwał głową, jak gdyby jej potakiwał. W końcu Beata zamknęła klapkę telefonu. Z kuchni wyjrzała Regina.

— Kiedy Joasia przyjeżdża? — zapytała.

— Jutro.

— Jutro? — zdziwił się Robert.

— Jutro.

— To miło — powiedziała Regina. — Szkoda, że nie zadzwoniła do mnie.

— Czy ktoś idzie do łazienki? — zapytała Ida.

— Znajdzie się jeszcze coś do jedzenia? — zapytał Robert.

— Powiedziałaś jej? — zapytała Regina.

Beata popatrzyła na nią.

— Co takiego miałam jej powiedzieć?

— No... — Regina zawahała się przez moment — właściwie nic. Przyjedzie, to sama zobaczy. Robert, na stole w kuchni są śledzie Aleksandra — dodała, cofając się.

Robert zniknął za Reginą w kuchni. Ida poszła do łazienki.

Beata stała oparta o ścianę, patrzyła na schody wiodące na górę, do pustych teraz pokoi. Flora wymknęła się z więzów jej umysłu. Już nie szeleściła kartkami za ścianą. Beata zdała sobie sprawę, jak bardzo kojący był ten szelest. Teraz z góry nie dobiegał żaden odgłos. Nic nie łączyło Beaty z nimi dwojgiem, żaden szmer. Byli poza jej zasięgiem.

W łazience zaszumiała woda.



Gina kochała burze. Kiedy tylko niebo skłębiało się na zachodzie i zaczynało sunąć do przodu, wprost nad ich dom, wychodziła na drogę i oddawała się żywiołowi. Pozwalała, żeby wiatr smagał jej twarz, wdzierał się pod sukienkę, ocierał o jej uda. Zamykała oczy. To były jedyne momenty, kiedy przeszkadzało jej, że nie jest sama, nigdy nie może być sama. Dziecko poruszało się pod jej sercem i musiała kłaść dłonie na brzuchu uspokajającym gestem, żeby się nie bało. Wtedy chciała, żeby już się z niej wydostało, żeby mogła je choć na chwilę zostawić w domu i być sam na sam z wiatrem, który nadciągał równiną.

Biegła do domu dopiero wówczas, kiedy na twarzy czuła pierwsze krople deszczu. Wtedy było już po wszystkim, napięcie, które zbierało się w chmurze i w niej, znajdowało ujście w ulewie. Nie było sensu stać dłużej na drodze.

Śmieszył ją paniczny strach Maryni przed żywiołem. Marynia, gdy tylko słyszała grzmoty, zatykała uszy palcami i chowała się pod kołdrę. Powtarzała, że nienawidzi burzy. I że wie, iż kiedyś burza wyrządzi jej straszliwą krzywdę.

ROZDZIAŁ 12

Nie miała ze sobą bagażu, przyjechała tylko na jeden dzień, chociaż nie powiedziała jeszcze o tym matce. Ani dzieciom. Jej dzieci. Uśmiechnęła się do siebie. Pomyślała, ile razy wysiadała na tej stacji, wiedząc, że u rodziców czekają na nią dzieci. To znaczy dawniej czekały. Kiedy były zupełnie małe. Potem, kiedy podrosły, przestały jej tak wyczekiwać. Teraz nie była pewna, czy w ogóle pamiętają, że ona dziś przyjeżdża.

Nie lubiła tego domu, który obrósł takim rodzinnym mitem. Nie rozumiała, dlaczego tak wiele znaczy on dla jej dzieci. Zresztą nie tylko dla nich, dla Idy i Flory też chyba znaczył bardzo dużo. A oni? Żadne z nich trojga nie zostało w domu — czy to o czymś nie świadczyło? Każde wyniosło się w swoją stronę, i wiedziała, że ani Piotr, ani Elżbieta nie zaglądają często do rodziców. Każde z nich miało zapewne inne powody. A może wszyscy mieli ten sam. I tym powodem była ich matka.

Nie wiedziała tego zresztą na pewno, jej rodzeństwo wiodło na pozór bardzo przyzwoite życie, chociaż matka zawsze potrafiła się do czegoś przyczepić. Co do niej — cóż, tutaj nawet nie trzeba było długo szukać. Nieudane małżeństwo, nieudane związki, a w tym wszystkim dzieci rosnące na poły samopas. Robert, który przejawiał coraz więcej cech swego ojca, zniewalającego lekkoducha, wykończonego zresztą całkiem niedawno przez delirium. Beata — zahukana, niepewna, nieśmiała. Matka zawsze obwinała ją o to, na jakich ludzi wyrastają jej dzieci, czuła to.

Jej jedyną ostoją był spokojny, wyciszony ojciec. Zawsze w cieniu despotycznej matki, stojący w kącie, na uboczu, cicho obserwujący życie. Jako dziewczynka uwielbiała chodzić z nim do sadu. Nie rozmawiali dużo, czasem żadne z nich się nie odzywało, ale ona tylko przy ojcu czuła się naprawdę swobodnie. Oglądali drzewka, czasem pomagała mu przycinać gałęzie. Ojciec pokazywał jej młode pędy, uczył rozpoznawać choroby drzew. To sad ojca był dla niej magicznym miejscem, nie dom jej matki. I to sad był jedynym miejscem, za którym obecnie tęskniła.

Sosnowy lasek się skończył, a wraz z nim lichej cień, którego starała się trzymać. Wyszła na polną drogę. Popatrzyła wzdłuż zachwaszczonej miedzy — na jej końcu wznosiły się dwie olbrzymie lipy, pod którymi przycupnął dom jej matki. Joanna pokręciła głową, otworzyła torebkę, wyjęła stamtąd paczkę tanich papierosów. Zapaliła jednego, zaciągnęła się nerwowo i ruszyła drogą, która odbijała najpierw w lewo, w stronę domu Żałosków.



Matka była w kuchni. Zmywała po śniadaniu.

— Dzień dobry, mamó — powiedziała Joanna, całując pomarszczony policzek. Dopiero potem przypomniała sobie, że Regina tego nie lubi.

Ale Regina spokojnie dała się cmoknąć, potem wytarła ręce w kraciastą ścierkę i wskazała córce miejsce za stołem.

— Przygotuję ci śniadanie, pewnie nic nie jadłaś.

— Jadłam — zaprotestowała słabo Joanna. — Jadłam drożdżówkę w pociągu.

— Został twarożek ze śniadania, Ida robiła. Jest jakiś dziwny, nasypała tam czegoś, co moim zdaniem śmierdzi, ale reszcie przypadł do gustu. Może zresztą udawali, nie wiem.

— Dobrze — zgodziła się Joanna słabo.

Znowu była małą dziewczynką, dziewczynką, której zrobiono herbatę, posmarowano kromki chleba masłem — dobrze, że nikt jej nie zawiązał śliniaka pod brodą. Posłusznie sięgnęła po twarożek. Rzeczywiście śmierdział.

Regina usiadła naprzeciwko z resztką herbaty w kubku.

— Jak podróż? — zapytała.

— Dobrze — odparła Joanna z pełnymi ustami. Przez chwilę bała się, że Regina zwróci jej za to uwagę.

Twarożek był wstrętny.

— Jak wiśnie? Dajecie sobie radę? Mam nadzieję, że dzieci wam pomagają.

— Bardzo.

— A Robert?

— Dlaczego pytasz osobno o Roberta? — zdziwiła się Regina.

— Bo jeżeli trzeba, to spróbuję z nim porozmawiać — powiedziała Joanna cicho. — Sama wiem, jaki jest. Jak jego ojciec.

— Nie ma takiej potrzeby. — Regina podniosła kubek do ust. — To już nie jest mały chłopiec, Joasiu, nie możesz na niego nakrzyczeć. Zostaw go w spokoju, to już nie czas, żeby go naprawiać. Powiedz lepiej, co u ciebie. Jak tam Roman?

— Mamó...

Z Romanem rozstała się ponad rok temu. Matka doskonale o tym wiedziała.

— A przepraszam. — Regina się uśmiechnęła się. — Faktycznie, to chyba nie był Roman, tylko Romuald, dobrze mówię? No, nieważne zresztą, twoje życie, twoja sprawa. Flora mi cały

czas to powtarza, oczywiście z innym zaimkiem dzierżawczym. Nawet już się trochę nauczyłam.

Siedziały chwilę w milczeniu. Joanna skończyła twarożek, odsunęła talerz i wstała od stołu.

— Gdzie jest ojciec? Chciałabym się z nim przywitać. Pewnie ma pełne ręce roboty?

— Niezupełnie. — Regina odsunęła kubek i oparła brodę na splecionych dłoniach. — Już nie rwiemy.

— Tak? — zdziwiła się Joanna. — Już skończyliście?

Regina pokiwała głową.

— Skończyliśmy — powiedziała. — Przeszła tędy wczoraj nawałnica. Koniec zbiorów na ten rok.

— O Boże — wyszeptała Joanna i usiadła z powrotem. — O Boże. Bardzo dużo zniszczyła?

— Nie wiem — odrzekła Regina spokojnie. — Nie byłam w sadzie.

— Biedny tata — szeptała Joanna. — Biedny tata.

— No... — Regina jakby się zawahała — jeszcze nie taki najbiedniejszy. Większa tragedia dotknęła Żałosków.

— Zboże?

Regina pokręciła głową.

— Stach nie żyje — odrzekła krótko.

Joanna przyłożyła dłoń do ust. Patrzyła na matkę rozszerzonymi oczami.

— Co ty mówisz...

— Tak więc przykro mi, Joasiu, ale nie trafiłaś najlepiej — powiedziała Regina, zbierając naczynia i wstając od stołu. — Teraz, jeśli chcesz, możesz iść szukać ojca. Ja mam tu robotę. Będę dziś piekła makowiec na mój jubileusz.



Mateusz pamiętał każde drzewo, które zasadził. Przez te wszystkie lata cały sad został wymieniony kilkakrotnie; drzewa umierały, więc je wycinał, a na ich miejsce sadił nowe, młode sadzonki, przypominające zwykłe patyki i tylko czułe, wprawne oko umiało dostrzec pod ich szaroburą skórką pulsujące życie, które miało wkrótce znaleźć ujście w zielonych liściach i soczystych owocach. Mateusz obserwował, jak młode drzewka rosły i rozwijały się, jak wydawały pierwsze owoce, i czuł się dumny z tego, że wszystkie one właśnie jemu zawdzięczają życie. Kiedy był bardzo młodym człowiekiem, marzył o tym, żeby mieć ogromny sad. To marzenie ziścił własną ciężką pracą. Jego pierwszy sad — nazywany teraz starym — to było trzydzieści jabłoni. Ale lata mijały, on różnymi sposobami zdobywał coraz więcej ziemi, a sad

rozrastał się, rozpełzał, rozlewał po wschodniej równinie, zagarniając ją zachłannie dla siebie. Nadszedł dzień, kiedy Mateusz stojąc u wylotu głównej alei, nie mógł już dostrzec jej końca.

Nigdy nie uprawiał zboża na większą skalę, nie hodował zwierząt. Przez lata to właśnie jego drzewka zapewniały jemu i jego rodzinie godziwy byt. To one dawały mu poczucie, że robi dokładnie to, co powinien i do czego został stworzony.

Potem czasy się zmieniły. Sad przynosił coraz mniej dochodu. Mateusz coraz częściej miewał poczucie, że praca jego i jemu podobnych nie jest należycie doceniana, wreszcie poprzedni rok sprawił, że po raz pierwszy Mateusz jako sadownik poczuł się nikim. Nie podobało mu się bardzo to uczucie. Regina narzekała na brak pieniędzy, ale dla niego to było coś więcej — to było tak, jakby dzieło jego życia ktoś zupełnie bezosobowy uznał za nic niewarte. Przez ten ostatni rok stan jego zdrowia bardzo się pogorszył. Ukrywał przed żoną nagłe zawroty głowy, ataki duszności, ciągłe zmęczenie i ociężałość.

Ale dopiero tego dnia, patrząc na ogołoceny przez nawałnicę sad, Mateusz poczuł nagle, jak bardzo brakuje mu sił. Dopiero teraz, patrząc na to dzieło zniszczenia, na ten prawdziwy krajobraz po bitwie, poczuł, jak bardzo uwierają go jego własne kości, jak bardzo zwiotczały mu mięśnie, razem z tym najważniejszym — sercem.

— Jesteśmy już obaj za starzy — powiedział do sadu.



Wychodząc z domu, Joanna natknęła się na Roberta i Aleksandra, którzy wracali ze stodoły.

— O! — powiedział Robert. — Witaj, mamo.

Wyglądał na zaskoczonego jej widokiem; a więc miała rację, zdążył już zapomnieć, że miała przyjechać dzisiaj.

— Witaj — odrzekła Joanna. — Dzień dobry — zwróciła się do nieznanego starszego pana. Pan, mimo widocznego wieku, trzymał się prosto i miał na sobie elegancką, wyprasowaną koszulę. Joanna zawsze zwracała uwagę na koszule.

— To jest Aleksander, przyjaciel dziadków — wyjaśnił jej Robert.

Dawno nie widziała syna. Już zapomniała, jak bardzo denerwujący był jego przyklepiony do twarzy uśmiech.

— Bardzo mi miło poznać panią — rzekł szarmancko starszy pan, ujmując jej dłoń i podnosząc do ust.

Joannę zaskoczył ten gest, rzadko się z nim spotykała. Opanowała instynktowny odruch wyrwania ręki z uścisku.

— Mnie również — odrzekła.

Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Nikt jej nie uprzedził, że w domu jest ktoś obcy.

— Aleksander przyjechał na urodziny babci — dodał Robert, ciągle się uśmiechając.

Był bardzo podobny do swojego ojca.

— Szukam dziadka — powiedziała Joanna; w jej głosie brzmiało rozdrażnienie.

Nie było to uprzejme, wiedziała o tym, i fakt ten rozdrażnił ją jeszcze bardziej. Ale Robert i Aleksander nadal się uśmiechali, najwyraźniej nie słysząc jej tonu. Przynajmniej Robert, była tego pewna, w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Aleksander był może po prostu dobrze wychowany.

— Dziadek jest w stodole — powiedział Robert.

— Zaprowadź mamę — wtrącił szybko Aleksander. — Ja tu poczekam. Mieliśmy iść do sklepu, Ginie skończył się cukier waniliowy, a piecze dziś makowiec — dodał, patrząc na Joannę ciepłym wzrokiem.

Robert nie rozumiał, w jakim celu miałby odprowadzać swoją matkę do stodoły, ale posłusznie obrócił się na pięcie i poszedł za Joanną przez podwórze. Jakiś czas szli obok siebie w milczeniu.

Robert rzadko widywał się z matką, która mieszkała w małym mieście pod Warszawą, w ich starym mieszkaniu, w którym wychowali się on i Beata i z którego po latach starań udało jej się wymeldować ich ojca — na krótko przed jego śmiercią zresztą. Robert nie lubił tego miejsca, domem nazywał je z przyzwyczajenia, za bardzo kojarzyło mu się z domowymi awanturami i płaczem matki oraz Beaty. Od lat tułał się po akademikach (jeśli akurat studiował) lub wynajętych mieszkaniach w stolicy, do matki zaglądając tylko z okazji świąt. Beata przyjeżdżała z Poznania częściej, przez pierwsze lata studiów spędzała u matki część wakacji, dopiero potem, za czasów Romana, skróciła swoje wizyty. Beata nie lubiła Romana. Robert słabo go znał.

— Wszystko dobrze u ciebie? — zapytała matka. Jej ton jak zwykle zakładał odpowiedź, którą najbardziej chciałaby usłyszeć. Jakby to zdanie było bardziej pożądanym stwierdzeniem faktów, a nie pytaniem.

— Oczywiście — odpowiedział więc zgodnie z jej życzeniem Robert.

— Wpisali cię na kolejny rok?

— Jeszcze walczę.

— Aha. Ale uda się — znowu stwierdzenie, które dopiero gdy już prawie wybrzmiało, przypominało sobie, że miało mieć intonację pytającą.

— Oczywiście — odrzekł znowu Robert z niezachwianą pewnością.

— To świetnie — westchnęła Joanna.

Został im jeszcze kawałek podwórza do przejścia.

— Burza zniszczyła sad — poruszył więc Robert pierwszy temat, który przyszedł mu do głowy.

— Tak, wiem. Nie mogę sobie tego wyobrazić, to straszne — odparła matka smutnym, płaczącym głosem, a Robert natychmiast pożałował, że w ogóle o tym wspomniał.

Już prawie dotarli do stodoły. Joanna rozglądała się po podwórku. W pewnym momencie jej wzrok padł na nadpalony wychodek. Robert widział, jak uniosły się jej brwi.

— Co tu się stało? — zapytała Joanna, patrząc na osmalone deski. — Co się stało z wychodkiem?

— Palił się — wyjaśnił Robert krótko.

Joanna przyłożyła rękę do piersi. Robert nie znosił tych jej tragicznych gestów.

— Boże, co się tu musiało dzieć — wyszeptła. — To musiał być prawdziwy kataklizm...

Teraz Robert spojrzał na nią zdziwiony, nie rozumiejąc. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co miała na myśli.

— Nie, nie — pokręcił głową. — To nie burza. To babcia spaliła wychodek. Dziadku, mama przyjechała — powiedział głośniejszym głosem, bo ze stodoły akurat wyszedł Mateusz.

Robert odetchnął z ulgą. Dziadek uśmiechnął się do matki i wyciągnął do niej rękę, ona podeszła, a on objął ją ramieniem i mocno przytulił do piersi. Stali tak przez moment, przytuleni i milczący. Robert podreptał chwilę w miejscu, po czym uznał, że może się oddalić. Widział, że Aleksander czeka na niego pod domem z wiklinowym koszykiem Reginy. Widocznie babci skończyło się nagle jeszcze wiele innych rzeczy.

— Dobrze cię widzieć — mówił tymczasem cicho Mateusz do swej młodszej córki.

— Ciebie również — odrzekła Joanna.

— Słyszałaś, co się stało?

— Tak.

Mateusz cofnął się i wpuścił ją do stodoły. Wrota wychodzące na sad były zamknięte, w środku panował półmrok. Mateusz podszedł do malowanego kredensu i wyjął stamtąd do połowy opróżnioną butelkę i dwa metalowe kieliszki. Joanna stała niezdecydowanie.

— Trzeba się napić — zachęcił ją ojciec. — Za twój przyjazd.

Podał jej napelniony kieliszek.

— To samogon Stacha Żałoski — powiedział.

— Mama mówiła, że Stach zginął podczas burzy — rzekła cicho Joanna. — Od pioruna? Mateusz chrząknął.

— Można tak powiedzieć — odparł wymijająco.

Joanna westchnęła i wypła kieliszek jednym haustem. Poczowała miłe ciepło w przełyku, a potem w żołądku.

— Idziemy wieczorem do Żałosków na Różaniec — powiedział Mateusz. — Możesz iść z nami, jeśli zechcesz. Stach bardzo cię lubił. Zawsze o ciebie pytał.

— Zobaczymy — odrzekła Joanna równie wymijająco jak przed chwilą jej ojciec.

— Chcesz zobaczyć sad? — zapytał Mateusz.

— Nie — pokręciła głową Joanna.

— Tak myślałem. Mnie też ciężko było pójść tam po burzy. Ale trzeba. Z takimi rzeczami trzeba się mierzyć.

— Ja nie potrafię — przyznała cicho. — Tyle lat dodawała mi siły myśl, że on jest. Trwa. Jeśli sad nie może przetrwać, to co może?

Mateusz patrzył na nią smutno.

— A może właśnie o to chodzi, że nic nie może przetrwać? — odezwał się po chwili. — Może to właśnie tego przede wszystkim trzeba być świadomym? W życiu nie ma nigdy i zawsze, może właśnie w tym rzecz?

— To straszne, co mówisz — wzdrygnęła się Joanna.

Mateusz milczał.



Robert i Aleksander wrócili ze sklepu na krzyżówce w samą porę, bo Regina zaczynała się niecierpliwić. Przygotowała już mak, który podgotowany wcześniej z mlekiem, miodem, białkiem i bakaliami stygł teraz na parapecie otwartego na oścież kuchennego okna, wyjęła mąkę i margarynę, przyniosła z sieni stolnicę. Aleksander pojawił się na ganku z pełnym koszykiem w chwili, kiedy Regina miała już wychodzić na drogę i wypatrywać ich powrotu.

— Czołem, Gina — zagadnął wesoło, wchodząc do kuchni. — Wszystko mamy, i sok dla Filipka, i ten cukier, i ser żółty na kolację, i Robert wziął też piwo. Proszę.

— Mam nadzieję, że Robert pamięta o Różańcu u Żałosków — odrzekła zgryźliwie Regina, biorąc od Aleksandra ciężki koszyk. — Piwa mu się zachciało. Gdzie on jest?

— Poszedł do dziewcząt do starego sadu. — Aleksander usadowił się za stołem, sapnął ciężko; długi spacer na krzyżówkę i z powrotem dał mu się we znaki. — Widzieliśmy z drogi Idzię i Florę. A gdzie Beata? Pewnie z mamą? Na pewno bardzo się ucieszyła z jej przyjazdu.

— Jeszcze się nie widziały — powiedziała Regina, zakasując rękawy i zabierając się do

zagniatania ciasta. Aleksander z zacięciem obserwował jej sprawne ruchy. — Beata jest na górze, a Joanna poszła do Mateusza.

— To doskonale. — Aleksander pokiwał głową. — Wiesz, Gina, Mati jest taki przybity, aż żal na niego patrzeć. Posiedzieliśmy z nim trochę w stodole, zanim poszliśmy do tego sklepu, ale on prawie nic nie mówi. Sprawia wrażenie, jakby chciał zostać sam. Może przyjazd waszej córki trochę go rozrusza. — Umilkł na chwilę, po czym dodał: — On chyba bardzo przeżywa ten sad.

Regina energicznie zagniała ciasto. Nie odzywała się.

— Dziwnie się czuję od śniadania — poskarżył się Aleksander. — Ten twarożek był jednak osobliwy, nie chciałem robić Idzi przykrości, ale cały czas odbija mi się jakimiś ziołami.

Regina ustawiła obok stolnicy blachę.

— Poczekaj chwilę, Olo, włożę ciasto do piekarnika i zaparzę ci miętę. Albo dziurawca, dobrze ci zrobi.

— Dziękuję. Pamiętasz, jak ci pokazywałem dziurawiec tamtego lata? W ogóle nie znałaś polnych roślin. Śmieszyły cię jego liście, pamiętasz?

— Pamiętam — uśmiechnęła się Regina. Podeszła do parapetu, wzięła salaterkę z makiem i wróciła na swoje miejsce. Zaczęła przekładać mak na wyłożoną ciastem blachę. — Wyglądały, jakby ktoś wyjątkowo skrupulatnie pokłuł je szpilką.

Aleksander odwzajemnił uśmiech.

— Cały czas coś sobie przypominam z tamtego lata, wiesz? — powiedział zamyślony. — Jakiś szczegół, nieważny drobiazg, ale tak mnie cieszy za każdym razem, kiedy przypomni mi się nawet jakieś pojedyncze zdanie. Zanim tu przyjechałem, miałem w pamięci jakiś ogólny obraz, tak jakby z tego lata została mi tylko niewyraźna fotografia. A teraz ono ożywa na nowo, okazuje się, że żyło we mnie cały czas, to wszystko jest tutaj — przyłożył dłoń do serca. — I wraca do mnie. Gesty, spojrzenia, słowa. Jakby ludzie na zdjęciu ożyli. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że tu przyjechałem.

Regina ukucnęła i włożyła makowiec do piekarnika. Potem wyprostowała się i zapaliła gaz pod czajnikiem.

— A wiesz, Olo, jeśli mowa o zdjęciach, to Flora ma w altance nasze stare albumy — powiedziała. — Zrobię nam dziurawca i pójdziemy je obejrzeć. Akurat zdążymy, zanim ciasto się upiecze.

Aleksander zatarł ręce.

— Wspaniale! — zawołał. — Ach, Gina, nawet nie wiesz, z jaką przyjemnością popatrzę na nas sprzed lat!



Dziewczęta zaintrygowane ich przybyciem porzuciły swoje zajęcia i przyszły do nich, do altanki. Flora oderwała się od sztalug, Ida podniosła się z koca, na którym czytała książkę. Przyszły do starego sadu zaraz po śniadaniu — Flora jak co dzień, a Ida nie wiedząc, co zrobić z czasem, którego nagle, wobec przerwanych zbiorów, miała tak dużo.

Ida czuła się tak, jak gdyby znowu była niedziela, dzień, którego serdecznie nie znosiła. Dzień wolny, bez ram, jakie narzucały codzienne zajęcia, dzień, który leniwie rozpełzał się, przesypywał przez palce jak piasek, zupełnie bez sensu. Wszyscy snuli się bez celu, bez żadnego konkretnego działania, było cicho i smutno. Po śniadaniu każdy wstał od stołu, nie wiedząc, co począć z tym nowym dniem, pierwszym dniem po tym, jak burza zniszczyła sad. Nikt nie miał wyobrażenia, jak dzień ten powinien wyglądać, jaki wyraz mu nadać, jaki scenariusz napisać. Wszyscy przyglądali się tej nowej sytuacji, chcąc, by rozwinęła się sama, by jakiś znak wskazał drogę, podpowiedział, co dalej. Tymczasem trwali w bezruchu. Beata po śniadaniu wróciła do lipnego pokoju, Cyprian zabrał Filipa na spacer, chcąc zrobić trochę zdjęć. Dziadek bez słowa poszedł do stodoły. Na samą myśl o tym Idzie ścisnęło się serce.

Dwa wydarzenia były dziś punktami odniesienia — przyjazd ciotki Joanny i Różaniec u Żałosków. Pomiedzy tymi dwoma faktami czas zdawał się nie istnieć. Już nie trzeba było obserwować słońca, patrzeć na zegarek i niecierpliwie czekać na obiad, świętą przerwę w pracy. Przez ostatnie dni Ida, nawet kiedy na chwilę udało jej się wymigać od rwania w sadzie, miała jednak przyjemne poczucie, że dzień i bez jej udziału przebiega rutynowo — rankiem nadchodzili rwacze, ustawiali się w rzędkach, pracowali do obiadowej przerwy, potem stopniowo słońce przetaczało się po niebie, cienie się wydłużały, zwożono skrzynki, ważono je, ustawiano w równych słupkach, wreszcie pracownicy przychodzili do stodoły, zostawiali łubianki, ktoś podliczał ich wyniki w poplamionym zeszyku, ktoś im płacił, pracownicy jeszcze przystawali na podwórku, zagadywali jeden drugiego, potem rozchodzili się do swoich domów, kończono ważyć owoce, płukano łubianki, w tym czasie nadjeżdżał samochód, który sprawnie ładowano, ktoś wypełniał blankiety odbioru, samochód ciężko wytaczał się na drogę i nikł wśród łąnów zbóż. Nic nie było w stanie zakłócić rytmu dnia, każda czynność miała swoje miejsce i niezmiennie musiała być wykonana. To dawało poczucie bezpieczeństwa. Dziś oprócz tego, że przyjedzie ciotka, a wieczorem pójdą do Żałosków, nic nie było pewne. No, może jeszcze makowiec babci. Nawet zniszczenia w sadzie i śmierć Stacha nie były w stanie zachwiać jej precyzyjnego jubileuszowego planu.

Ida ze swojego koca słyszała, że przyjechała ciotka, ale sądziła, iż chce się najpierw przywitać z Beatą. Pomiedzy starymi jabłoniemi widziała, jak Aleksander i Robert szli spacerkiem w stronę

rozstajów, wymachując wiklinowym koszykiem. Po niecałej godzinie wrócili. Do starego sadu zajrzał Robert, ale Flora była zajęta malowaniem, a ona sama jakoś nagle nie miała ochoty na jego żarty, i Robert, znudzony, szybko je porzucił. Zaraz po nim do altanki przyszli Regina z Aleksandrem. Byli jakoś tak ożywieni, uśmiechnięci, że Ida odłożyła książkę, czując, że ospałość i znudzenie pierzcha, i nawet Flora, zaintrygowana, zostawiła pędzel. Do altanki przyszły w tej samej chwili.

— Przyszliśmy obejrzyć stare zdjęcia — powiedziała Regina, sadowiąc się na drewnianej ławce. — Mam nadzieję, Floro, że trzymasz je tu w poszanowaniu.

— Zupełnym — odrzekła Flora, siadając obok niej.

Regina sięgnęła po najstarszy album.

— Zobacz, Aleksandrze, to nasze najwcześniejsze fotografie — powiedziała. — Sama nie widziałam ich już strasznie dawno. Popatrz, poznajesz? — podsunęła album Aleksandrowi, a ten uważnie się nad nim nachylił, zakładając na nos przyniesione ze sobą okulary.

To były te same zdjęcia, które kilka dni temu oglądała Ida. A więc to był ten młody chłopak, który pojawiał się na fotografiach razem z dziadkami, to był ten sam Aleksander, który siedział teraz obok niej z okularami na nosie, pomarszczony i siwy. Przyglądał się zdjęciom ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy, pewnie coś sobie przypominając. Regina nie patrzyła na album, patrzyła na profil Aleksandra — jego uśmiech odbijał się na jej twarzy, tęskny i zamyślony.

— I te jabłonki, właśnie tak to zapamiętałem, Gina, no popatrz! I my, jacy piękni i młodzi, prawda? — zwrócił się na moment do Idy, która skwapliwie pokiwała głową. — Ładni byliśmy, co? Ach, Gina — westchnął i z powrotem utkwiał wzrok w czarno-białych fotografiach. — Jak ja się cieszę, że ty mi to pokazujesz.

— To dzięki Florze — powiedziała Regina. — Jak przyjechała, uparła się, że musi je koniecznie obejrzyć. I to te najstarsze, które były na strychu.

— Lubię stare albumy — odrzekła Flora, zapalając papierosa. — Utrwalony czas. Jakie piękne złudzenie ludzkości.

— Ty jeszcze, dziecko, nie wiesz, co to znaczy widzieć siebie sprzed pół wieku — powiedział Aleksander. — Jak będziesz miała nasze lata, inaczej spojrzysz na złudzenia. To jedyne, co mamy. Złudzenia i wspomnienia, a wszystko zamknięte w kilku fotografiach, które nam pozostały — uśmiechnął się. — I Mati, jaki dumny, popatrz, Gina.

Regina spojrzała przez jego ramię na zdjęcie Mateusza w sadzie.

— Tak — powiedziała cicho. — Często miewał taki wyraz twarzy wtedy.

— Tylko ty jakoś tak dziwnie powychodziłaś. — Aleksander nachylił się nad zdjęciem tak, że

niemal dotknął go nosem. — Jakoś... inaczej ciebie pamiętam.

— Co pan ma na myśli? — zainteresowała się Flora.

— No... sam nie wiem. — Aleksander potarł dłonią czoło. — Niby widzę, że to Gina, ale jakby nie Gina. Nie sądzisz? — zwrócił się do Reginy.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam — odparła Regina, przyglądając się uważniej zdjęciom. — Może po prostu jestem niefotogeniczna.

— Może to ma coś wspólnego z mimiką? — podsunęła Flora. — I co, twierdzi pan, że nasza Regusia wyglądała wtedy inaczej? Ale w jaki sposób inaczej? Co się nie zgadza?

— Ale coś w tym jest, babciu — wtrąciła Ida, nie czekając na odpowiedź Aleksandra. — Faktycznie często wychodzisz na zdjęciach jakoś tak... inaczej, niż wyglądasz w rzeczywistości. Warto by zapytać Cypriana, on na pewno by wytłumaczył, o co chodzi. Może Flora ma rację, to te twoje miny tak cię zmieniają. Tego na zdjęciach przecież nie widać.

— W każdym razie — powiedział Aleksander, przewracając kilka kart — to cudownie, że pomyślałaś o tych albumach. Pozwolisz, Gina, że obejrzę je wszystkie? Opowiedzą mi waszą historię lepiej niż słowa.

— Naturalnie — odrzekła Regina, wstając. — Przepuść mnie, Floro. Muszę zajrzeć do makowca. A wy przyjdźcie potem przywitać się z ciotką. Jak już wróci z sadu.



Zbliżała się godzina odjazdu pociągu, naprawdę trzeba było się powoli zbierać, a ona wciąż nie powiedziała matce, że nie zostanie na te jej wydumane urodziny. Siedziała samotnie na ganku, wszyscy gdzieś się rozpierzchli po obiedzie, a Joanna była nawet z tego zadowolona. Nigdy nie lubiła być w centrum zainteresowania; jadąc tutaj, przez chwilę bała się, że uwaga wszystkich skupi się na niej, bo będzie gościem, nowym przybyszem — ale w domu było tylu nowych ludzi, że jej osoba rozmyła się w tle. Był narzeczony Flory, o którym już kiedyś słyszała od Elżbiety, sympatyczny chłopak, który zaraz po obiedzie poszedł z Filipem oglądać telewizję. Florze chyba wreszcie zaczynało się układać, Cyprian wyglądał na bardzo porządnego człowieka; Joanna złapała się nawet na myśli, jak bardzo pasowałby do Beaty, jak bardzo ona sama byłaby spokojna, gdyby jej córką zaopiekował się ktoś taki, ale szybko odpędziła tę myśl. Beata nie mogła konkurować ze swoją piękną kuzynką, podobnie jak ona sama nigdy nie mogła mierzyć się z przebojową Elżbietą. Ich życie należało do zupełnie innej kategorii.

Był też ten dziwaczny Aleksander, przyjaciel rodziców. Wydawał się bardzo zżyty z całą rodziną i z obejściem; Joanna zdziwiła się nawet, że nigdy dotąd o nim nie słyszała. Być może

należał już do tak odległej przeszłości, że i rodzicom wydawał się postacią z innej epoki, do której ich dzieci już nie należały. Epok nie należało ze sobą mieszać. Znowu wyczuła pedantyczną rękę matki.

Za jej plecami otworzyły się drzwi. Przez chwilę myślała, że to matka, ale z domu wyszła Beata. Z plecakiem.

— Ty nie zostajesz, mamo, prawda? — bardziej stwierdziła niż zapytała jej córka, siadając obok niej na przykrytym narzutą krześle.

Joanna popatrzyła na Beatę zaskoczona.

— Nie. Skąd wiesz?

— Pojadę z tobą — powiedziała Beata, nie zwracając zupełnie uwagi na pytanie matki.

— Ale... dlaczego? Jak to? — nie rozumiała Joanna. — A urodziny babci?

— Mogłabym ci zadać dokładnie to samo pytanie — odrzekła spokojnie Beata. Joanna nigdy dotąd nie słyszała u niej takiego tonu; był chłodny, stanowczy i był w nim jakiś dziwny dystans. — Jak to? Dlaczego nie zostaniesz? A jubileusz babci?

Joanna pokiwała głową.

— W porządku.

— A przecież nie pytam — ciągnęła Beata, nie słuchając, co mówi Joanna. — Ja przecież o nic nie pytam, ja po prostu chcę, żebyś mnie stąd zabrała.

— Powiedziałam: w porządku.

— Nic się nie stało, po prostu chcę stąd już wyjechać. — Beata patrzyła przed siebie, na podwórko i na rosnące pod płotem jarzębiny. — Tak po prostu. Pomyślałam, że fajnie będzie, jak się z tobą zabiorę. Ale nic się nie stało.

— W porządku — powiedziała po raz trzeci Joanna.

Siedziały chwilę w milczeniu.

Joanna nie rozumiała oczywiście, dlaczego jej córka tak nagle zdecydowała się wyjechać, ale wiedziała, że coś się stało, i to stało się coś bardzo poważnego. Widziała to w jej zmienionej twarzy, w jakimś niepojętym smutku w jej oczach, który od razu dostrzegła, kiedy tylko się przywitały, ale przede wszystkim słyszała to w jej głosie, w tym zimnym, odległym głosie, który brzmiał, jakby wydobywał się z głębi lodowatej studni. Beata siedziała z podkulonymi nogami na krześle, patrzyła nieruchomo przed siebie; czoło miała ściągnięte, przedzielone pionową bruzdą.

Joannie zrobiło się nagle tak żal własnego dziecka, że z trudem opanowała szloch, który podszedł jej do gardła. Nie rozumiała córki, nigdy nawet nie starała się zrozumieć tej kruchej, zamkniętej w sobie dziewczyny, którą teraz najwyraźniej targwały wielkie emocje, i taki wysiłek musiała włożyć w to, aby je stłumić, że poza tą walką był już tylko dystans i chłód. Joanna

patrzyła na Beatę i widziała siebie, tylokrotnie siedzącą w identycznej pozie, na kuchennym krześle lub wprost na gołej podłodze, kiedy Wojciech wracał pijany, kiedy krzyczał na małego Roberta, kiedy potem, gdy już wyrzuciła go z domu, on ciągle wracał i dobijał się do zamkniętych drzwi. Kiedy te wszystkie awantury ucichały, dzieci zasypiały, Wojciech — w zależności od sytuacji — albo również zapadał w ciężki sen, albo dawał za wygraną i odchodził w sobie tylko wiadomym kierunku; wtedy ona siadała z podkulonymi nogami na krześle w ciemnej kuchni, ze ściągniętym czołem i zapalonym papierosem w ustach. Nigdy nie wybuchła. Wszystkie emocje rodziły się i umierały w środku, a ona siedziała długo w noc, aż zdrętwiały jej nogi i wypalił się ostatni papieros. Nie była w stanie nic zrobić ze swoim chaotycznym życiem ponad to, że nigdy nie pozwoliła ujść swoim emocjom. To jedno zawsze jej się udawało. Cała reszta przesypywała jej się między palcami.

Czuła, zawsze czuła, że matka w jakiś sposób nią gardzi za tę jej życiową słabość. Ona zawsze była taka silna, wszystko miała pod kontrolą, wszystkie sznurki spoczywały w jej ręku. Joanna nie potrafiła odgadnąć, skąd Regina czerpie tę siłę, tę władzę nad własnym losem. Podejrzewała, że matka nawet umrze dopiero wtedy, kiedy sama to uzna za stosowne. Regina w oczach Joanny miała w sobie coś nadludzkiego, albo też nieludzkiego — i za to Joanna jednocześnie podziwiała ją i czuła do niej niechęć.

Z żadnym z ich trojga matka nie podzieliła się tym darem. Joanna uśmiechnęła się złym uśmiechem. Matka była egoistką, zawsze to wiedziała. Powtarzała im zawsze, że są kowalami własnego losu, ale było to tak, jakby sama będąc cechowym mistrzem, nie przekazała żadnemu z czeladników nawet dobrego młotka. Siedziała i patrzyła, czy sami ten młotek znajdą. I co było w niej najbardziej przerażające — nie patrzyła z matczynym współczuciem, z życzliwą zachętą; ona obserwowała z obojętną ciekawością, jak też jej dzieci poradzą sobie z życiem, z którym ona tak świetnie dała sobie radę.

Joanna nagle wstała.

Niespodziewany ruch wyrwał Beatę z zamyślenia. Spojrzała na zegarek.

— Musimy już iść, prawda? — zapytała. — Pociąg jest o szesnastej.

— Muszę iść do sadu — powiedziała Joanna. — Zdamy, to zajmie tylko chwilę.



A więc tak to wyglądało. Połamane drzewa, ubita deszczem ziemia, położone wichrem wysokie chwasty. Wszechogarniający chaos.

Teraz, kiedy na to patrzyła, nagle trudno było jej przypomnieć sobie sad sprzed burzy.

Wiedziała, że był schludny, drzewka równo przycięto, choć przecież każde roślo inaczej; gałęzie ugiwały się pod ciężarem krwistoczerwonych owoców, ziele było na czas wykoszone. Ojciec nie lubił stosować oprysków na chwasty w sadzie, podobał mu się lekki nieład, jaki wprowadzały do sadu bujne powoje, krwawnik i skrzyp polny. Matkę to zawsze denerwowało.

Czyżby ona też bała się chaosu? Czy to stąd wynikała jej chęć

kontrolowania wszystkiego i wszystkich? Joanna zapaliła papierosa. Czy to nieład i nieporządek były tym, co przerażało matkę? Jej szyderstwa sięgające wszędzie tam, gdzie komuś coś się nie udawało, kiedy coś biegło nie swoim torem, kiedy coś było nie tak, jak powinno być. Jej cicha aprobata wypolerowanego małżeństwa Elżbiety i ostentacyjne uwagi dotyczące jej, Joanny, wiecznych poszukiwań i nieformalnych związków. Czy to nie matka była zdeglustowana jeszcze bardziej od Elżbiety, kiedy urodził się Filip? Flora bardzo długo nie chciała powiedzieć, kto jest ojcem, a kiedy w końcu powiedziała, okazało się, że ten zamożny warszawski biznesmen nie ma zamiaru niweczyć spokoju swej bezbarwnej małżonki i Filipa tak czy siak nie uzna. Flora wzruszyła wtedy ramionami, jak zawsze. No i Elżbieta oczywiście zamartwiała się tym, co powiedzą jej koleżanki; ale u matki to było coś innego. Jej nie interesowało zdanie innych. Narodziny syna Flory były wymierzone w ład, jaki zaprowadziła w swojej części świata. I nie była to kwestia dotycząca sfery uczuć — matka niewątpliwie lubiła swego prawnuka. Ale Joanna zastanawiała się teraz, czy Regina kiedykolwiek w pełni zaakceptowała jego istnienie.

W miarę jak papieros leniwie się dopalał, Joanna przypominała sobie poranną rozmowę z matką. Ona też nie była w sadzie. Wtedy, w pierwszym odruchu Joanna wzięła to za ludzką słabość. Pomyślała, że matka nie jest w stanie spojrzeć na zniszczony sad. Teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, stwierdziła, że słabość była ostatnią cechą, o którą posądziłaby swą matkę. Dlaczego więc Regina nie przyszła zobaczyć sadu? Czy to też była manifestacja braku akceptacji dla zburzonego porządku jej świata?

Stojąc u wylotu głównej alei sadu, Joanna roześmiała się nagle. Zrobiło jej się dziwnie lekko na duszy, czuła przyjemny ucisk w żołądku. Widziała przed sobą ogromny ugór, który pozostał po wykarczowanym sadzie, łąkę porośniętą powojem, skrzypem, rumiankami i chabrami. Puste pole, nad którym rozpościerał się ogromny, zapierający dech w piersiach przestwór nieba, monumentalna scena dla ciężkich burzowych chmur i lekkich, pierzastych obłoczków. Joanna oczyma wyobraźni widziała bezkres, horyzont tak daleki, że aż niewyraźny. Bezmiar możliwości, w którym nie było miejsca dla nigdy i zawsze.

Papieros się wypalił, rzuciła go na ziemię i przydeptała obcasem. Sad już jej nie interesował, zobaczyła, co miała zobaczyć. Zawróciła i szybko minęła stodołę, spotykając po drodze ojca, który kręcił się na podwórku. Wyglądał, jak gdyby nie wiedział, co ze sobą począć. Joannę

zakłuło w sercu.

— Widziałam sad, tato — powiedziała, podchodząc do niego i obejmując go ramieniem. Nagle poczuła, jak bardzo jest kościsty.

Mateusz uśmiechnął się do niej.

— To dobrze — odrzekł.

— Muszę się pożegnać — dodała Joanna i na widok jego zaskoczonej miny zakłuło ją w sercu po raz drugi. — Przyjechałam tylko na jeden dzień, nie było okazji ci o tym powiedzieć.

Mateusz milczał, więc dodała jeszcze:

— Przykro mi, że nie będzie mnie na pogrzebie Stacha. To był dobry sąsiad.

— Tak, tak, dobry sąsiad — powtórzył za nią ojciec; wydawało jej się, że zrobił to bezwiednie.

Joanna przełknęła ślinę.

— Beata jedzie ze mną.

Ciężko było patrzeć na jego pomarszczoną, zaskoczoną i smutną twarz.

— I Beatka też... — powiedział cicho.

Joanna pokiwała głową.

— Już i tak długo siedziała wam na głowie — rzekła, ale słowa te były nie na miejscu, pojęła to z chwilą, kiedy je wypowiedziała, bo przecież zupełnie nie o to chodziło, że Beata była tu już prawie dwa tygodnie.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, coś, co zatarłoby tę niepotrzebną uwagę, ale przerwała im matka, która nadeszła od strony starego sadu. W ręku miała seler i pietruszkę, musiała wracać z ogrodu.

— Już miałam cię szukać — powiedziała, spotykając ich na środku podwórka. — Spóźnisz się na pociąg. Powinnaś już iść.

Joanna spojrzała na nią zaskoczona.

Regina uśmiechnęła się na widok jej miny.

— Przecież widziałam, że przyjechałeś bez bagażu, Joasiu, nie jestem głupia — powiedziała. — I nie żartuję, naprawdę się spóźnisz. Beata czeka na ciebie na ganku. Jeśli nie pożegnałeś Roberta, zrobię to za ciebie, a ty potem zadzwoń czy coś. Jak wolisz zresztą. Ale pośpieszcie się.

— Zadzwoń do niego. — Joanna pokiwała głową. Nagle zachciało jej się płakać. Wiedziała, że nie powinna była w ogóle tu przyjeżdżać.

— To zadzwoń — zgodziła się Regina. — Dałam Beatce do plecaka zawekowany bigos. I śledzie w śmietanie. Aleksander je zrobił na mój jubileusz, naprawdę dobre. I kawałek makowca. Na szczęście już zdążył ostygnąć.



Cyprian wyłączył komputer, poczochnął główkę Filipa, który siedział na łóżku Aleksandra i oglądał bajki, i wyszedł z małego pokoiku akurat w momencie, kiedy Joanna stała z rodzicami na podwórku. Nie wiedząc, co się dzieje w domu, zajrzał do kuchni, nalał sobie kompotu, który stał w dzbanku na stole, i wyszedł na ganek. Widok siedzącej na krześle Beaty skrępował go. Od środy i rozmowy na łące zaległa między nimi wielka cisza; on czuł się zakłopotany w jej towarzystwie, a ona najwyraźniej go unikała, chociaż był pewien, że myślą dokładnie to samo i że ona wie, iż to było najlepsze, co mogli zrobić. Cyprian zawahał się przez moment, z jedną nogą w powietrzu — rozważał w duchu bezszelestne wycofanie się do domu, kiedy jego wzrok padł na duży plecak, stojący tuż przy jej krześle. Opuścił nogę i deski ganku zatrzeszczały. Beata się obejrzała.

Cyprian był fotografikiem, a jednym z jego ulubionych tematów były kobiece twarze. Fascynowała go złożoność ich mimiki. Kobiety najczęściej próbowały — z większym lub mniejszym sukcesem — manipulować swoją twarzą, nadawać jej określony, pożądany wyraz, ale zawsze zdradzał je jakiś drobny szczegół. Nieuchwytny cień w oczach, mimowolny układ ust, wzdęte nozdrza, wciągnięte policzki. Zachwycała go zwłaszcza twarz Flory, na której bardzo często malowały się sprzeczne emocje. Dużo czasu zabrało mu jej rozszyfrowanie. Musiał zrobić jej setki portretów, zanim odkrył, gdzie tkwi klucz, którego ona sama nie była świadoma. Flora zawsze przybierała wystudiowane miny. Była przekonana, że panuje nad wyrazem całej twarzy; tym, co wywoływało dysonans, były jej oczy, które często bezwiednie zwężała, do tego stopnia, że w ich kącikach robiły się głębokie kurze łapki. I ten jeden fragment jej twarzy zdradzał prawdziwy niepokój i smutek.

Kiedy tu przyjechał, inna twarz zwróciła jego uwagę. Twarz Beaty była całkowicie odmienna od twarzy Flory, i to nie dlatego, że nie było między kuzynkami żadnego fizycznego podobieństwa, ale dlatego, że Beata nie potrafiła i nawet nie próbowała maskować swoich emocji. Wszystkie były widoczne jak na dłoni.

Teraz również — w odwróconej w stronę Cypriana twarzy, która znajdowała się na wysokości jego brzucha, przez co czuł swą niezręczną wyższość, widział wszystko, co działo się u niej w środku. Wiedział też, że nie miał tego oglądać.

— Wyjeżdżasz? — zapytał szybko, wskazując na jej spakowany plecak. — Dlaczego?

Beata odwróciła głowę. A więc ona także była świadoma tego, że nie panuje nad swoją twarzą.

— Wyjeżdżam razem z mamą — odpowiedziała spokojnie.

Cyprian nie wiedział, czy była to odpowiedź na jego pytanie, czy po prostu informacja. Na podwórku dostrzegł matkę Beaty, stojącą razem z Reginą i Mateuszem; rzeczywiście wyglądało to tak, jakby się żegnali.

— Myślałem, że twoja mama przyjechała na jubileusz pani Reginy.

— Nie.

Na szczęście stojąca na środku podwórza trójka zaczęła iść w stronę domu. Cyprian odetchnął z ulgą.

— O! — zawołała na jego widok pani Regina, kiedy już dotarli do ganku. — Przecież Cyprian może was zawieźć samochodem Flory. Nie spóźnicie się.

Beata tak błyskawicznie zerwała się z krzesła i zarzuciła plecak na ramiona, że omal nie uderzyła Cypriana łokciem.

— Nie ma takiej potrzeby — powiedziała szybko. — Na pewno zdążymy.

Joanna spojrzała na zegarek, a potem na twarz swojej córki. A jeszcze potem na twarz Cypriana.

— Oczywiście, że zdążymy — powiedziała spokojnie. — Ja też nie widzę potrzeby, żeby ktokolwiek nas podwoził.

Cyprianowi wydało się, że słyszy nacisk na słowo „ktokolwiek”. Ale nie wykluczał, że mogło mu się tak tylko wydawać. Choć w twarzy Joanny także było coś, co przykuwało jego uwagę. Nie była to pospolita twarz matki Flory, jego już prawie przyszłej teściowej, było w niej coś głębszego, coś niebezpiecznego, co powodowało, że czuł się w jej obecności niezręcznie. Ale znowu Cyprian nie wykluczał, że dzieje się tak tylko przez skojarzenie Joanny z Beatą.

Regina wzruszyła ramionami.

— Jak chcecie.

Cyprian z ganku obserwował to całe dziwne pożegnanie. Beata cmoknęła Reginę w policzek, objęła Mateusza i już na nich więcej nie patrząc, podążyła za matką, która tymczasem, również się nie oglądając, dotarła akurat do bramy. Był w tym wszystkim jakiś sztuczny pośpiech, niemający żadnego związku ze zbliżającą się godziną odjazdu pociągu. Regina i Mateusz stali nieruchomo, Regina z uniesionymi brwiami, Mateusz z malującą się na jego pocziwym obliczu smutną zadumą. Ich córka i wnuczka nie dały im szansy, żeby powiedzieć cokolwiek. A może już wszystko zostało powiedziane? Tego Cyprian oczywiście nie mógł wiedzieć.



Robert stał w drzwiach sieni, oparty o framugę, i obserwował to, co działo się w głębi domu Żałosków. Dom Żałosków był klasyczną wiejską chatą z czterema przechodnimi pomieszczeniami, z których dwa były pokojami, trzeci kuchnią, a czwarty, pełniący kiedyś funkcję tak zwanej komory — czyli składu rzeczy różnych — został przed kilkoma laty przerobiony na łazienkę. Teraz drzwi łączące oba pokoje były otwarte, tak aby mogli się zmieścić wszyscy żałobnicy, a z zasięgu ich wzroku zostały usunięte wszystkie rzeczy osobiste domowników, które zwykle, z braku miejsca, walały się na półkach i podłogach. Stach leżał w trumnie, w głębi drugiego pokoju, oświetlony kilkoma nierównymi świecami. Przy nim łkała Żałoskowa, obok siedział Franek ze ściągniętą twarzą, a dalej Hanka — Hanka, która ani razu nie podniosła wzroku, nie poszukała jego, Roberta, wśród zebranych. Siedziała w milczeniu, odpowiadając tylko na pozdrowienia napływających sąsiadów i krewnych i podając rękę do współczujących uścisków. Była ubrana na czarno, włosy miała ściągnięte do tyłu — wyglądała niepokojąco, oświetlona tymi samymi świecami co Stach, nieruchoma i nieobecna. Z nieprzeniknioną twarzą.

Robert przeniósł na chwilę wzrok na swoich. Ida płakała, Flora miała znudzoną minę — była rozdrażniona, bo co chwila zaczepiała ją któraś z przybyłych starszych kobiet, dopytując się, kim jest. Flora najchętniej została by w domu, ale nie miała żadnej wymówki — z Filipem zostali w domu Cyprian i Aleksander, którym powierzono w dodatku pilnowanie gotującego się na wolnym ogniu wywaru na mięsną galarete.

Obok Flory siedziała Regina, z bardzo podobnym wyrazem twarzy. Robert uśmiechnął się w duchu. Regina miała minę osoby, która zastanawia się, co też, u licha, robi wśród tych zawodzących wiejskich kobiet, które płaczącymi głosami wznosiły modły, głośno siąkały w chusteczki i wydzielaly słodkawy zapach starych ciał. Ona sama ubrana była w elegancką czerń, w dłoni trzymała piękny różaniec — Robert mógłby się założyć, że w ogóle nie liczy paciorków. Dziadek co chwila podnosił się z miejsca, witając się z nowo przybyłymi, uśmiechał się do nich współczująco, po czym siadał i zapadał z powrotem w letarg, w jaki wprowadzały go monotonne modlitwy. Naprzeciwko ich wszystkich siedział Kuba, który nawet nie udawał, że się modli — rozglądał się po pomieszczeniu, najczęściej zatrzymując wzrok na Florze. Robert, który na początku szczerze współczuł Kubie, że posadzono go w takim miejscu, z którego nie da się niezauważenie czmychnąć, teraz zastanawiał się, czy Kuba przypadkiem nie jest zadowolony. I czy sam celowo tam nie usiadł.

Robert bardzo lubił Stacha Żałoskę, który jako pierwszy dał mu spróbować swojego samogonu, gdy Robert skończył szesnaście lat, ale nie był w stanie wysiedzieć dłużej niż pierwszą dziesiątkę zdrowasiek. Gdy pani Gienia rozpoczęła drugą, przeżegnał się niedbale

i niepostrzeżenie wycofał się do sieni, a stamtąd na podwórko. Noc była ciepła, pachniało wilgotną ziemią. Robert zapalił papierosa i poszedł wolno w kierunku domu dziadków, omijając po drodze kałuże, które do tej pory nie zdążyły wyschnąć. Niedaleko domu zamajaczyła sylwetka — w jego kierunku nadchodził Aleksander.

— Już po Różańcu? — zapytał staruszek, kiedy go rozpoznał.

— Nie, dopiero się zaczął.

— Rozumiem. — Aleksander kiwnął głową; był teraz już zupełnie blisko i Robert mógł dostrzec porozumiewawczy uśmiech. — Ja myślę, że sam Stach by nie wytrzymał tego Różańca na swoją cześć. A ja właśnie wyszedłem zaczerpnąć powietrza, myślałem, że zrobię sobie spacer i wyjdę wam na spotkanie.

— To jeszcze długo potrwa — powiedział Robert; wyjął z kieszeni paczkę papierosów i podał Aleksandrowi. — Jeśli pozwolisz, to przejdę się razem z tobą.

— Chodźmy zatem. — Staruszek poczęstował się papierosem, podsunął go Robertowi do zapalenia i zaciągnął się z przyjemnością.

Szli przez chwilę w milczeniu. Wysoko nad nimi srebrzył się księżyc, wyglądający jak nadgryzione ciastko, wokół było cicho, a jednocześnie przestrzeń wypełniona była wiejskimi odgłosami; od strony zabudowań dobiegało ujadanie psów, od strony rzeki niósł się rechot żab, w zbożu cykały świerszcze. Robert głęboko zaciągał się dymem.

— Patrzę na te drzewa, tam. — Aleksander wskazał dłonią niewyraźną kępę topoli przed nimi. — I zastanawiam się czy to te same, które rosły tu, kiedy byłem młody.

Robert nic nie odpowiedział. Nie lubił rzewnych wspomnień starszych ludzi o ich rajskiej młodości. Nudziły go, poza tym nie wierzył w nie. Młodość jego zdaniem nie była jakimś szczególnym okresem w życiu człowieka i nie rozumiał roztkliwiania się nad nią.

— Nawet dobrze nie pamiętam, czy to było na pewno tutaj — ciągnął Aleksander, nie zważając na milczenie Roberta. — A powinienem przecież.

Robert wydał z siebie nieokreślony pomruk, uważnie przydeptał niedopałek.

— Tyle nocy spędziłem w tej kępie drzew. I to jakich nocy. Jak myślisz? — zapytał nagle Aleksander. — Czy ty przeżyłeś już coś takiego, co będziesz miło wspominał na starość? Robert dostrzegł figlarny uśmiech na pomarszczonej twarzy. Co ten staruszek teraz sobie przypomina? O czym myśli?

— Pytasz o kobietę?

— O kobietę, o kobiety... Kobiety! Trzeba dbać za młodu, mój chłopcze, żeby na starość zostały przyjemne wspomnienia. Adresy się gubią, imiona zacierają w pamięci, cóż na to poradzimy? Ale wspomnienia... one zostają. I uwierz mi, kiedy będziesz miał moje lata,

zrozumiesz, co znaczy dla zgrzybiałego starca spojrzeć na kępę drzew i przypomnieć sobie, do czego było się kiedyś zdolnym. Nie pozwól nigdy, żeby żale i pretensje zatarły piękne wspomnienia, pamiętaj. Wyrzutów sumienia nie należy pielęgnować. Starość karmi się tym, co było piękne w naszej młodości.

Robert się uśmiechnął. Przystanął.

— Wiesz co? Zabiorę cię do Jana. Myślę, że zdołamy coś niecoś u niego nabyć.



Meta u Jana była dużo bardziej popularna za innych czasów i za innego systemu, ale nawet obecnie, kiedy Zbyszek zamykał sklep o osiemnastej, Jan ratował niejednego desperata, który pukał do jego drzwi wieczorową porą. Prowadzenie mety oraz produkowanie wina z jabłek było dawniej bardzo ważną częścią życia Jana, toteż na starość ciężko mu się było z tym wszystkim rozstać. Wino z jabłek nastawiał ciągle z jednakowym upodobaniem, choć już nie w takich ilościach jak niegdyś i tylko dla wybranych, zawsze też miał w kredensie kilka butelek taniej wódki ze sklepu. Nie rozprowadzał tylko bimbru Stacha Żałoski, ponieważ między dwójką emerytów trwała od lat cicha wojna, która zresztą podzieliła całą wieś na amatorów samogonu i zwolenników jabola. Przynajmniej oficjalnie, ponieważ w rzeczywistości większość sąsiadów nie odmawiała sobie żadnego z tych trunków.

Podobnie było z Robertem: on też nie umiałby wskazać, który napój jest szlachetniejszy. Tego lata, kiedy ze Zbychem pili naprawdę dużo, o tym, czy odwiedzą Stacha czy Jana, decydowały bardziej względy bezpieczeństwa i na tym polu często dochodziło między nimi do poważnej różnicy zdań. Zbyszek, który mieszkał we wsi, niedaleko Jana, wołał chodzić do Stacha, z kolei Robert, który u Stacha mógł się natknąć na własnego dziadka, preferował wizyty u Jana. Najczęściej kończyło się na tym, że jednego wieczora odwiedzali ich obydwu.

Teraz jednak Stach już nie żył. Robert, prowadząc Aleksandra polną drogą, a potem szosą przez wieś, zastanawiał się, czy sąsiedzi uświadomili sobie wagę tej straty. Stach Żałoska był mistrzem. A Robert miał wszelkie powody, by sądzić, że mistrz zabrał swą tajemnicę do grobu. Franek nie był osobą, która godnie przejęłaby schedę po ojcu. Zdecydowanie brakowało mu charakteru. Robert westchnął. Wieś powinna teraz tym bardziej docenić starego Jana. Z jego odejściem zmieniłoby się już naprawdę wszystko.

— To tutaj — wskazał Aleksandrowi niską drewnianą chatę, dawno temu pomalowaną na zielono. Chata, jak większość starych domów we wsi, była ogrodzona drewnianym płotem, od szosy oddzielał ją mały, zapuszczony ogródek, w którym kwiaty plątały się z chwastami,

sięgającymi niskich okien. Weszli na ciemne podwórko — domy we wsi miały wejścia od podwórka, nigdy od szosy. Jan siedział na progu chaty, palił.

— Dobry wieczór — przywitał się Robert. — To ja, Robert.

— Od Mateusza? — zapytał Jan, mrużąc niedowidzące oczy.

— Zgadza się.

Jan kiwnął głową w geście powitania.

— A to jest przyjaciel dziadków — ciągnął Robert. — Aleksander.

Aleksander wyciągnął rękę. Jan popatrzył podejrzliwie, ale ją uścisnął.

— Coś potrzeba? — Staruszek uśmiechnął się nieznacznie. — Nie mam za dużego wyboru.

Ale dla ciebie, chłopcze, zawsze coś się znajdzie.

Robert się uśmiechnął.

— Jan wie, co by było najlepsze. Opowiadałem Aleksandrowi o Jana winie.

— Bardzo chętnie bym spróbował — wtrącił Aleksander. — Robert twierdzi, że to przedni trunek.

— Ma się rozumieć, że przedni — zgodził się Jan. — Najprzedniejszy we wsi.

— Ma Jan trochę na zbyciu? — zapytał Robert.

— Zobaczy się.

Jan podniósł się i wolnym krokiem poszedł do porośniętej trawą ziemianki. Szczęknięty ciężkie drzwiczki, Jan zniknął, a po chwili pojawił się z powrotem, niosąc nieduży gąsiorek, napęczniony płynem, którego kolor był zagadką w panującym dookoła mroku.

— Poczekają chwilę — powiedział Jan. — Mam w chałupie butelki, trzeba przelać.

— Jan należy dwie, jeśli można — powiedział Robert. — Po jednej dla każdego.

— Można — zgodził się Jan. — Jeśli nie strach. To nie popłuczyny, tylko porządne wino. Mocne, znaczy się. Nie to, co ten samogon Żałoski.

— Dlatego właśnie, że porządne, chcemy dwie — uciał Robert. Uważał, że Jan przynajmniej na te kilka dni żałoby po Stachu mógłby zakopać topór wojenny.

Jan wzruszył ramionami i zniknął w chacie.

— Może dwie to rzeczywiście za dużo? — szepnął Aleksander z powątpiewaniem.

— Spokojna głowa — odparł Robert, również szeptem. — Będzie akurat w sam raz.

Tymczasem Jan ukazał się na progu z dwiema butelkami po taniej wódce napęcznionymi winem oraz z gąsiorkiem, z którego ubyła znaczna ilość zawartości.

— Dwadzieścia złotych należy się — powiedział.

Robert wyjął z kieszeni portfel, a z niego różowy banknot.

— Niech pójdzie na zdrowie — powiedział Jan, oddając butelki dopiero, kiedy w jego rękę

znalazła się dwudziestozłotówka. — Ukłony dla babci i dziadka przekaże.

— Przekażę — odparł Robert. — Dziękuję i do zobaczenia.

— A kiedy pogrzeb Stacha? — zainteresował się nagle Jan.

Robert, który razem z Aleksandrem był już w drodze do furtki, przystanął.

— Jutro — odparł. — Jutro w południe.

Staruszek podrapał się w rozczochraną głowę.

— Szkoda chłopca — powiedział. — Chociaż bimber pędził paskudny. Nie to, co moje wino, pan spróbuje, to się przekona — zwrócił się do Aleksandra. — No i zginął przez to. Nie trzeba było się za to w ogóle brać, i tak nikt tego nie pił. Ale chłopca szkoda. Żegnam.

Pomachał im jeszcze życzliwie ręką, po czym usiadł z powrotem na progu i zapalił kolejnego papierosa.

— Jak tanio — powiedział ucieszony Aleksander, kiedy tylko odeszli dostatecznie daleko. — Butelka za dziesięć złotych, i jeśli rzeczywiście jest dobre...

— Stary zdierca — mruknął Robert. — Od tutejszych bierze piątkę. Jan to szczywany lis, wie, od kogo ile brać. W końcu tyle lat prowadził metę.

Ze starej kapliczki przy zakręcie popatrzyła na nich Matka Boska. Miała smutny wzrok i pękniętą suknię. Aleksander spojrział na nią z zaciekawieniem. Wydawało mu się, że pamięta tę przydrożną kapliczkę. Skłonił się nieznacznie.

Znaleźli się z powrotem na polnej drodze. Noc gęstniała, powietrze było wilgotne od rosy. Szli w milczeniu. Robert przez chwilę pomyślał o Hance. Coś go uderzyło w niej dzisiejszego wieczora, ale nie mógł już sobie przypomnieć, co to było. Chyba wyglądała jakoś inaczej, a może tylko tak mu się zdawało. Drogą skojarzeń przypomniał sobie za to, o czym Aleksander mówił w drodze do Jana.

— To jak to było z tą kępą drzew? — zagadnął. — Fajna ta panna była?

— Jaka panna? — zdziwił się Aleksander. Zerknął na Roberta, który właśnie upijał pierwszy łyk swojego wina, i zdecydował się pójść za jego przykładem. Odkręcił swoją butelkę.

Wino było lekkie i cierpkawe w smaku.

— Doskonale. — Aleksander się oblizał. — Doskonale.

— No, w tej kępie drzew — wyjaśnił Robert. — Kto to był? Ktoś tutejszy?

— No... — zaczął Aleksander z ociąganiem. Szli wolno polną drogą, omijając kałuże i popijając wino Jana. — Taka... Dziewczyna stąd.

— Ale kto? — dopytywał się Robert. — Zocha Charczukowa? A może pani Gienia?

— Nie, chyba nie Gienia. — Aleksander z zakłopotaniem podrapał się w głowę. — Naprawdę nie pamiętam imienia, ale chyba była z tej wsi, no bo skąd by się tu wzięła? Może

rzeczywiście Zosia? Nie, nie — dodał szybko — Zosia też nie, to było jakieś takie dziwne imię...

Robert się zastanowił. Najdziwniejsze imię w okolicy miała zmarła żona Jana.

— Ale chyba nie Eufrozyna? — zapytał. Byłaby to wielka ironia losu, pomyślał.

— Eufro... co? — Aleksander nie był nawet w stanie powtórzyć imienia żony Jana. — Pierwszy raz słyszę takie imię. Nie, nie pamiętam, naprawdę. To było tak dawno...

— Ale pamiętasz te noce w kępie drzew, mówiłeś mi, jak szliśmy do Jana — przypomniał mu Robert. Pociągnął z rozkoszą haust z butelki.

Aleksander się rozpromienił. O nim także trudno było powiedzieć, żeby sącył swój trunek.

— No, ma się rozumieć, że pamiętam. Tylko widzisz, głowa nie ta, imiona się ulatniają...

To akurat Robert doskonale rozumiał.

— Szkoda — powiedział. Język mu się nieco zawinał. — Byłem ciekaw, czy to nie któraś z sąsiadek.

Aleksander podrapał się w głowę. Do Jana szedł zamaszystym, marszowym krokiem. Teraz stapał mniej pewnie.

— Z tego co pamiętam, to ona mieszkała we wsi — powiedział z niejakim trudem. — Ale w którym domu? Nie wiem, czy nawet wtedy to wiedziałem — przyznał szczerze. — No, chłopcze, zabiłeś mi ćwieka.

Roześmieli się obydwaj. Wino Jana, na pozór lekkie, było bardzo zdradzieckie. Zdążyło im już dobrze zaszumieć w głowach. Na rozstajach Aleksandrowi przypomniła się przyśpiewka z jego młodzieńczych lat — usiłował ją zanucić Robertowi, chcąc sprawdzić, czy chłopak też ją zna, ale nucenie mu nie szło, więc zaczął śpiewać głośniej. Miał piękny głos. I niezwykle donośny.

Na ganku spotkali Reginę.

— O — powiedział Robert. — Babcia.

— Ja ci dam babcia. — Regina złowieszczo pokiwała głową. — Wstydu nie macie! Stach na marach, a wy urządzacie sobie pijackie śpiewy! Echem się niosło aż tutaj, i do Żałosków pewnie też!

— Wrócili? To oni? — zza pleców Reginy dobiegł głos Mateusza; staruszek pojawił się na progu. — To dobrze, martwiliśmy się — powiedział i uśmiechnął się swoim jasnym uśmiechem.

— Gina, a ty pamiętasz taką jasnowłosą pannę od was ze wsi? — zapytał Aleksander; oparł się o poręcz i poczuł się zdecydowanie pewniej. — Rozmawialiśmy teraz po drodze... Taka... Jasna...

— Nie pamiętam. — odrzekła szybko Regina. — Idźże spać, Olo, żal na ciebie patrzeć.

— Nie, nie — Aleksander miał coraz bardziej bełkotliwy głos, ale stał pewnie, głównie dzięki

poręczy. — Teraz mnie to będzie męczyć, bo nie mogę sobie przypomnieć, jak też ona miała na imię...

— Kto taki? — zainteresował się Mateusz. — O kim mówisz?

— Dajcie spokój — przerwała im Regina. — Olo, mówię poważnie, pościeliłam ci łóżko, idź spać. A ty to też masz pomysły — powiedziała gniewnie do Roberta. — Nie czas i miejsce na zabawy, nie ma dla ciebie nic świętego.

— Taka jasnowłosa — upierał się Aleksander. Zmęczyło go najwyraźniej stanie, bo ostrożnie przysiadł na schodkach ganku, ciągle jednak wspierając się na poręczy. — Żebym choć pamiętał, jak wyglądała... Jakżeż ona miała na imię...

— Ja w ogóle nie wiedziałem, żeś ty tu sobie wtedy pannę przygruchał — roześmiał się Mateusz. — Czy nie Zosia Charczuk? Ona była jasnowłosa i niczego sobie kobieta. Zosia to była?

— Już pytałem — wtrącił Robert; język plątał mu się tylko trochę mniej niż Aleksandrowi. — Nie Zosia i nie Gienia. I nie żona Jana.

— Jakieś takie... przyrodnicze miała imię. — Aleksander drapał się w głowę.

— Olo... — zaczęła znowu Regina, lecz Aleksander nagle plasnął dłonią w czoło.

— Róża — powiedział triumfalnie. — Różyczka! Oj, pamiętam już, gorąca była kobietka, sam miód!

— Aleksandrze, w tej chwili masz iść spać! — zawołała Regina nieswoim głosem. — Jesteś pijany!

— We wsi nie ma żadnej Róży — zdziwił się Robert. — Dziadku, ty znasz jakąś Różę?

— Owszem — odparł spokojnie Mateusz. — Owszem, mieszkała tu kiedyś pewna Róża. Umarła dawno temu.

— Umarła? — zainteresował się Aleksander. — Szkoda. Bardzo była... No cóż, sami wiecie. Pewnie wielu mężczyzn po niej płakało. Ja zachowałem ją, drodzy moi, we wdzięcznej pamięci. Bardzo mi umiliła tamto, skądinał i tak przyjemne, lato. Gina, czy mogę już iść spać? Słabo się czuję, nie posiedzę dziś z wami...

Regina prychnęła i znikła w domu, trzaskając drzwiami. Aleksander z trudem wspiął się za nią po schodkach, z jeszcze większym trudem otworzył zatrzaśnięte przed jego nosem drzwi i również zniknął. Mateusz usiadł ciężko na krześle. Robert odstawił pustą butelkę obok butelki Aleksandra, którą ten porzucił na schodkach, i przysiadł obok dziadka.

— Długo jeszcze się ciągnął ten Różaniec? — zapytał, ziewając szeroko.

— Co? — odrzekł nieuważnie Mateusz. — Jaki Różaniec?

Robertowi ciężko się było skupić. Powieki mu ciążyły. Ale wydawało mu się, że dziadek

powinien wiedzieć, o jaki Różaniec pyta.

— No ten... Na cześć Stacha...

— Nie wiem — odrzekł Mateusz nieobecny głosem i wstał z krzesła. — Muszę iść do sadu. — I nim do Roberta dotarł sens jego słów, Mateusz już dawno zniknął w ciemnościach.

Robertowi szumiało w głowie. Przymknął oczy. Stach... Jan... Różaniec... Aleksander... Muszę... Iść... Do... Sadu...

Usnął.

Mateusz, który po godzinie wrócił z sadu, był tak pogrążony we własnych myślach, że nie zauważył wnuka, który spał żałośnie na krześle, z rozrzuconymi nogami i głową zwieszoną na piersi.



Kiedy ciąża Róży stała się widoczna, ludzie zaczęli gadać. Różę niewiele to obchodziło, przywykła do plotek na swój temat. Pogodnie oczekiwała, aż Bóg i natura dadzą jej znak po raz drugi i sprowadzą jej Ola z powrotem.

Kobiety we wsi nie były tak pogodne jak ona. Kiedy przechodziła drogą, spluwały przez lewe ramię i ścigały ją złymi spojrzeniami. Każda z nich bała się dnia, w którym Róża stanie na progu jej domu i oznajmi, że nosi pod sercem dzieło jej męża.

Do Matiego szybko dotarły plotki o ciąży Róży. I chociaż przeklinał dzień, w którym po raz pierwszy uległ jej urokowi, to w końcu zwyciężyła szlachetniejsza część jego duszy. Nigdy niczego Róży nie obiecywał, ale wiedział, że należy jej się jego pomoc. Tym bardziej że, kiedy już minął pierwszy szok, Mati musiał przyznać z wdzięcznością, że Róża najwyraźniej chciała dotrzymać niepisanej umowy między nimi – nie nękała go, nie domagała się spotkania, a co najważniejsze, nie pisnęła słówka nikomu o tym, że to on jest ojcem. A Mati wiedział, że nikomu innemu nie przyszłoby to do głowy. Tak więc los jego i Giny był w rękach Róży. Tak, naprawdę należała jej się pomoc.

Mati ani przez moment nie miał wątpliwości, jakiego rodzaju pomoc zaoferuje Róży. Już nieraz słyszał o umiejętnościach mieszkającej pod lasem zielarki. Nie widział innego wyjścia. Chciał, żeby sprawa jak najszybciej się zakończyła i żeby była już tylko Gina i ich dziecko. Na inne dzieci nie było miejsca w jego życiu.

Spodziewał się, że Róża właśnie tego oczekuje, i był szczerze zdumiony jej zdecydowaną odmową. Nie, nie chciała takiej pomocy, nie chciała żadnej pomocy, w ogóle nic od niego nie chciała. Pozostała głucha na wszelkie jego prośby i zaklinania i Mati w końcu dał za

wygraną. Kazał jej przysiąc, że nikt nigdy się o nich nie dowie, i Róża przysięgła, choć Matiemu wydawało się, że była przy tym zupełnie nieobecna myślami.

Róża nie powiedziała mu, że czeka na Oła, że lada dzień dostanie od losu szczęśliwą rodzinę i że to z pewnością nie jest jego dziecko. Nie powiedziała mu, ponieważ jego propozycja w jakiś sposób nieoczekiwanie zabolła ją i zdecydowała pozostawić go na pastwę jego własnego sumienia.

Róża nie była na wskroś zła. Wiedziała, że ta sytuacja ani dla niej, ani dla Matiego nie potrwa długo. Bóg i natura były po jej stronie i Róża ufnie czekała na powrót Oła.

ROZDZIAŁ 13

Regina musiała szarpać Roberta naprawdę mocno, żeby go obudzić.

Robertowi zawsze ciężko przychodziło wychynąć z odmětów snu dnia następnego. Teraz też śnił jakiś męczący, zawiły sen, którego centrum stanowiła ogromna butla coca-coli. Mlaskał spierzchniętymi wargami.

Ale Regina nie miała w zwyczaju rezygnować.

– Robert – mówiła mu wprost do ucha, głośno i dobitnie. – Robert!

– Mhm – wymruczał w odpowiedzi.

– Robert. – Regina jeszcze raz potrząsnęła ramieniem wnuka, co sprawiło, że w końcu otworzył lewe oko. – Robert, telefon ci się urywa od rana. Obudź się!

– Gdzie? – zapytał Robert. Otworzył prawe oko i spojrzał na swą babkę półprzytomnym wzrokiem.

Regina włożyła mu w rękę milczący telefon.

– Zaraz będzie dzwonił znowu – zapewniła go.

Robert z trudem utrzymywał podniesione powieki. Raziło go poranne słońce. Spróbował się przeciągnąć – potwornie bolał go kark.

– Zdrętwiały? – zapytała Regina; Robertowi wydało się, że słyszy w jej głosie nieprzyjemną nutę.

Postawiła przed nim kubek z kawą i zniknęła w domu.

W kuchni nad takim samym kubkiem kawy kiwał się Aleksander. Wyglądał mizernie.

– Gina, a może dałabyś mi jakiś środek przeciwbólowy? – poprosił nieśmiało. – Głowa mi pęka...

– Głupia, to pęka – odrzekła Regina, nie patrząc na niego. Stała przy kredensie, gdzie przed chwilą zaczęła przygotowywać kanapki na śniadanie. – To zwykły kac, Olo, samo ci przejdzie.

– Skoro tak mówisz... – zgodził się potulnie Aleksander. – A Mateusz już wstał?

Z ganku dobiegł dzwonek telefonu.

– Mateusz jest w łazience.

– Aha.

Przez otwarte okno dał się słyszeć umęczony głos Roberta. Reginie trzęsły się ręce.

– Dzień dobry – przywitała się Ida, wchodząc do kuchni. Była już umyta i ubrana.

– Dzień dobry. – Aleksander zdobył się na uśmiech, ale zaraz się skrzywił. Kiedy bowiem się uśmiechał, głowa bolała go jeszcze bardziej.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała Ida, siadając naprzeciw niego przy stole. – Jakoś marnie pan wygląda.

– Doskonale, moje dziecko, doskonale – zapewnił ją słabo Aleksander. – Dziękuję.

– I Robert już wstał – zdziwiła się Ida, słysząc przez okno głos kuzyna. – Przecież dopiero dziewiąta.

Regina postawiła na stole półmisek z kanapkami.

– Gdzie Flora? – zapytała.

Ida podniosła oczy. Rzadko słyszała u Reginy tak poirytowany ton.

– Śpi – odrzekła.

– Ma nas zawieźć na pogrzeb, mam nadzieję, że pamięta.

– Przecież pogrzeb jest o dwunastej, babciu, mamy jeszcze mnóstwo czasu.

Regina nic nie odpowiedziała. Do kuchni wszedł Mateusz.

– Dzień dobry – przywitał się.

– Witaj – powiedział Aleksander.

– Jak się czujesz? – zapytał Mateusz.

– Doskonale – zapewnił po raz kolejny Aleksander. – Ale nie pogardzę spacerem na świeżym powietrzu, po śniadaniu.

– Świetnie się składa – odrzekł Mateusz, a Regina upuściła szklankę wprost na podłogę; nie stłukła się, brzęknęła tylko głośno i potoczyła się pod kredens.

Nikt nie zwrócił na to uwagi, ponieważ w tej samej chwili do kuchni wszedł Robert. Staął w progu i podrapał się w lekko prze chyloną głowę. Nie mógł trzymać jej prosto – za bardzo bolała go szyja.

– Babciu... – zaczął przeproszającym tonem, który Ida słyszała u niego po raz pierwszy. – Widzisz, jest dosyć paskudna sprawa...

– Słucham – powiedziała Regina, siadając przy stole.

– Mój kumpel się żeni.

– To straszne – odrzekła Regina.

Ida parsknęła śmiechem, ale szybko ucichła. W kuchni panował dziwny nastrój; dziadek mieszał łyżeczką herbatę i sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zauważył wnuka, Aleksander trzymał się ręką za czoło i też chyba nie słuchał, a Regina patrzyła na Roberta jakimś potępiającym spojrzeniem. Ida miała wrażenie, że to potępienie nie ma żadnego związku ani z jego opłakanym stanem, ani z tym, co mówił teraz.

– Hm – chrząknął Robert; było to głośne chrząknięcie, które odbiło się na twarzy Aleksandra bolesnym skurczem. – Tylko widzisz, babciu, on się żeni dzisiaj.

Regina bębniła palcami w blat.

– Kto się dzisiaj żeni? – Do kuchni zajrzała Flora. – Myślałam, że dzisiaj mamy pogrzeb.

– Dzwonił mój kumpel, podobno umawialiśmy się na wieczorze kawalerskim, że jedziemy we czwórkę na ten ślub – ciągnął Robert, nie zważając na Florę. – Zapomniałem, babciu – wyznał płaczliwym tonem przedszkolaka. – Myślałem, że ten ślub jest za tydzień.

Flora wywróciła oczami. Stała w progu, tuż przy zlewie, leniwie zawiązując pasek szlafrocza.

Regina milczała.

– Muszę jechać, babciu – powiedział Robert żałośnie. – To mój najlepszy kumpel ze studiów.

– Których? – prychnęła Flora. – Robert, jak zawsze przechodzisz samego siebie.

– Jak można zapomnieć o ślubie najlepszego kumpla – nie wytrzymała w tej samej chwili Ida.

Regina wstała od stołu.

– Autobus do Warszawy masz o jedenastej – powiedziała. -

Zjedz śniadanie i doprowadź się do porządku. Zdążysz w ogóle na ten ślub?

– Zdążę – powiedział słabo Robert. – Jest o osiemnastej. Zdążę jeszcze pojechać do siebie i się przebrać.

– To doskonale – rzekła Regina. – Flora, pamiętasz, że masz nas zawieźć na pogrzeb?

Flora lekko drgnęła. Obok niej, na haczyku przy zlewie wisiała ścierka. Flora zdjęła ją delikatnie.

– Widzisz, babciu... – zaczęła. – Ustaliliśmy, że Cypis was zawiezie.

– Dlaczego Cypis?

– Ponieważ... – Flora sięgnęła po stojącą na suszarce szklankę i zaczęła ją wycierać. Minę miała niepewną. – Ponieważ ja zostanę w domu. Muszę... Muszę nas spakować.

Regina usiadła z powrotem przy stole.

– Wyjeżdżamy dzisiaj – powiedziała Flora już bardziej zdecydowanym tonem; odstawiła szklankę z powrotem na suszarkę, odwiesiła ścierkę. – Cypis zarezerwował wczoraj pokój w Kazimierzu. Chcemy pobyć trochę sami. Nie zostało mi wiele urlopu.

Ida poczuła w duchu wdzięczność, że Beata tego nie słyszy.

– Rozumiem – powiedziała Regina. – Oczywiście, rozumiem. Cyprian nas zawiezie. Iduniu, czy ty nadal wybierasz się na pogrzeb Stacha, czy może też masz jakieś plany?

Idzie gospodarstwo Żałosków kojarzyło się obecnie przede wszystkim z Kubą, ale niestety nie miała równie spektakularnych wymówek co jej kuzynostwo.

– Wybieram się – odrzekła więc z pełną buzią. – Ja wyjeżdżam dopiero w poniedziałek, z rodzicami.

– Będziecie jechać w poniedziałek do Warszawy? – wtrącił Aleksander. – To może zabrałbym się z wami, z Warszawy miałbym już bezpośredni pociąg. Przesiadki w moim wieku są męczące. Chyba że to kłopot?

– Dobry pomysł, Olo – odrzekła za Idę Regina. – Będziesz miał szybciej i wygodniej. Dla nich to żaden problem.

– Doskonale. – Aleksander się uśmiechnął.

Na chwilę zapadła cisza. Robert wycofał się do łazienki, Flora wyszła do starego sadu obudzić Cypriana. Regina bębniła palcami w blat, ale Ida i tak widziała, że trzęsą jej się ręce. Nie wiedziała dlaczego, ale nagle pomyślała, że nie ma to żadnego związku ani z wyjazdem Flory, ani Roberta.

– Chodźmy na spacer, Olo – odezwał się nagle Mateusz, wstając od stołu. – Dziękuję, gołąbko, było pyszne.

– Było doskonale – dodał Aleksander, który nie przełknął nawet kęsa.

– Dziękuję – odrzekła Regina cichym głosem. – A może zrobię wam jeszcze kawy? Usiądziemy razem na ganku...

Ida zauważyła, że drżał jej głos.

– Nie – odrzekł krótko Mateusz. – Idziemy z Olem na spacer, a ty się spokojnie szykuj do kościoła.

Regina pokiwała głową, wpatrując się w męża dziwnym wzrokiem.

– Dobrze – wyszeptała. – Jak chcesz.



Aleksander z błogością wdychał rześkie, poranne powietrze. Znowu wiał wiatr, ale już nie zachodni, ten nie zwiastował żadnych burz, przynosił tylko ulgę po długotrwałym upale. Szli główną aleją zniszczonego sadu, którego jeszcze nikt nie uprzątnął.

– Chciałem zapytać ciebie o tę Różę – zagadnął Mateusz, kiedy znaleźli się mniej więcej w połowie sadu.

Aleksander potarł dłonią czoło. Skronie pulsowały mu tępym bólem.

– Ja niewiele pamiętam, Mateuszu – przyznał. – To była jakaś wasza znajoma? Wydawało mi się, że oprócz Żałosków nie znaliście wtedy nikogo. Na co umarła?

– Zmarła kilka miesięcy po twoim wyjeździe – powiedział Mateusz spokojnym głosem. Szli wolno, obaj patrzyli przed siebie. – Przy porodzie.

Aleksander milczał. Starannie obszedł wielki konar wiśni, który zagroził mu drogę, i z powrotem znalazł się przy Mateuszu.

– Poród był przedwczesny – ciągnął Mateusz. – Dlatego umarła. Razem z dzieckiem. To było sześć miesięcy po twoim wyjeździe.

Aleksander nadal milczał. Ręce założył za plecy.

Mateusz też umilkł. Szli tak przez chwilę, manewrując pośród walających się między rządkami urwanych gałęzi wiśni, które wyglądały jak odjęte komuś kończyny.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał w końcu Aleksander. – Po co?

– Nie mówiłbym ci... – przyznał Mateusz.

– A jednak mówisz.

Aleksander zatrzymał się i spojrzał na przyjaciela.

– A jednak mówię – znowu zgodził się Mateusz. – Bo widzisz, Olo, to mogło być twoje dziecko.

– Zrozumiałem cię doskonale – wzruszył ramionami Aleksander. – I umiem liczyć. Ale nadal nie wiem, po co mi to mówisz.

Znowu zapadła cisza. Aleksander myślał na tyle intensywnie, na ile pozwalała mu ciężko pulsująca głowa.

– Rozumiem, iż uznałeś, że mam prawo wiedzieć, tak? – zapytał po chwili. – Mam rację? Kiedy skojarzyłeś wczoraj fakty, wyszło na to, że dawno temu miałem dziecko i że ja, bezdzietny staruszek, mam prawo się o tym dowiedzieć. Tak? No, dziękuję ci, Mati, jestem ci za to wdzięczny, ale jeśli oczekujesz po mnie jakichś wzruszeń... To było tak dawno temu. Ale dobrze jest wiedzieć, na pewno. Dziękuję, że mi mówisz, tak, dobrze jest wiedzieć. Masz rację, że mi powiedziałeś.

– Nie – odrzekł Mateusz spokojnie. – Mówię ci to, ponieważ przez pięćdziesiąt lat myślałem, że to było moje dziecko.

Nie patrząc na Aleksandra, ruszył dalej alejką.

Aleksander zapomniał wreszcie o przeszywającym bólu w czaszce. Stał chwilę nieruchomo, potem ocknął się i dogonił przyjaciela.

– Co ty mówisz? – zapytał cicho. – Twoje?

– Tak myślałem – odparł Mateusz, idąc szybkim krokiem i nie patrząc na niego.

– To znaczy, że ty wtedy... Z nią? Też?

– Nie chcę o tym mówić.

Aleksander nabrał powietrza w płuca.

– Jak to nie chcesz mówić?! Jeśli nie chcesz mówić, to po co w ogóle zaczynasz ten temat?! – zawołał wzburzony. – Co to w ogóle ma znaczyć, Mati, bo ja nic z tego nie rozumiem! Byłeś z nią wtedy? Dlaczego ja nic nie wiedziałem? Czyje to w końcu dziecko? O co tu chodzi?

– Zacząłem ten temat, ponieważ do tej pory żyłem w przekonaniu, że sześć miesięcy po twoim wyjeździe zmarło moje dziecko – powiedział spokojnie Mateusz. – Wczoraj zaś dowiedziałem się, że nie byłem w tamtym czasie dla Róży jedynym. Być może ty wiedziałeś więcej.

– Nie. – Aleksander pokręcił głową; chwilowo nie był świadomy bólu, ale nagły ruch głowy miał się potem odezwać w jego czaszce ze zdwojoną siłą. – Jak Boga kocham, Mati, nie wiedziałem. Gdybym wiedział, to... No, sam nie wiem. Czyli okazało się, że to dziecko nie było twoje, lecz moje. Tak?

– Nadal może być moje – przypomniał mu Mateusz. – Ale to prawda, okazuje się, że może być również twoje.

Dotarli do końca sadu i przystanęli. Przed nimi roztaczał się wspaniały widok na równinę. Horyzont był niemal bezkresny.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznał Aleksander.

– Widzisz – odparł Mateusz – a dla mnie to dobra wiadomość. Może to nie była moja wina.

Aleksander podrapał się w głowę; nagle zaśmiał się cicho.

– To trochę jakby nasze wspólne dziecko, tak?

– Na to wygląda.

Aleksander uśmiechał się przez chwilę, potem spochmurniał. Westchnął.

– Byliście tacy szczęśliwi z Giną wtedy. Do głowy by mi nie przyszło...

– Nie chcę o tym mówić – przerwał mu Mateusz.

Aleksander pokiwał głową.

– Oczywiście. To nie moja sprawa.

Potoczył wzrokiem po rozciągającej się przed nimi równinie. Wśród pól, bezładnie porzrucane, przycupnęły gospodarstwa, każde wiodące swój własny żywot. Starzy ludzie. Nowe rodziny. Ilu z nich tutaj znało kiedyś Różę? Ilu ją teraz pamiętało?

– Jest pochowana na tutejszym cmentarzu? – zapytał po chwili. – Pokażesz mi jej grób, po pogrzebie?

– Naturalnie.

Aleksander spojrział na czubki swych butów. Kupiła mu je jeszcze Lidka.

– Czuję się dziwnie – powiedział. – Mateuszu, czy mógłbym tu chwilę postać sam? Widzisz, tobie ubyło pół dziecka z czworga, to w końcu nieduża różnica. A ja nie miałem do tej pory

dzieci. Chciałbym trochę pomyśleć.

Mateusz nic nie powiedział, położył tylko prawą dłoń na ramieniu przyjaciela i mocno je uściśnął. Odszedł bezszelestnie.



Na ganku zastał Reginę. Patrzyła na niego niespokojnym wzrokiem; wyglądała, jakby na niego czekała.

– Już pora wyjeżdżać? – zdziwił się Mateusz; nie miał przy sobie zegarka.

– Nie, jest jeszcze trochę czasu – odrzekła, uważnie mu się przypatrując. – Gdzie Aleksander?

– A... – Mateusz chrząknął – chodzi jeszcze po sadzie. Wiesz, chyba mu to dobrze robi.

Niech chodzi.

– Ale... – zaczęła Regina i urwała. – Aha. A Robert już niedługo idzie na autobus, to może Aleksander chciałby się pożegnać?

Pocierała dłonią policzek. Patrzyła na niego badawczo.

– Powiem Robertowi, żeby go poszukał w sadzie – odrzekł Mateusz, wchodząc na ganek; mijając Reginę, pogłaskał ją po ramieniu. – Na pewno zdążymy.

– Dobrze – powiedziała cicho Regina. – Aleksander jedzie z nami?

– Dlaczego miałby nie jechać? – zapytał Mateusz, przystając w progu.

Regina przygryzła wargę.

– Pomyślałam po prostu, że może źle się czuje po wczorajszym – odpowiedziała spokojnie.

– To drobiazg, nie przejmuj się nim. – Mateusz uśmiechnął się do niej swoim jasnym uśmiechem.

– Ale... wszystko dobrze, tak? – zapytała Regina.

Zanim Mateusz zdążył odpowiedzieć, z kuchennego okna wychyliła się Ida.

– Babciu, łazienka wolna – oznajmiła. – Dziadku, wstawiłam wodę, może napijesz się herbatki?

Z głębi kuchni dobiegł głos Cypriana, który dopytywał się, czy może teraz skorzystać z łazienki, skoro, jak widzi, jest chwilowo wolna. Regina usłyszała też marudzenie Filipa, że nikt mu nie zrobił kakao. Ida, nadal w oknie, odwróciła głowę w stronę kuchni i zaczęła tłumaczyć coś chłopcu niezbyt przyjemnym tonem. Robert, który najwyraźniej nadal tkwił przy stole, zamiast szykować się do drogi, poprosił, żeby byli nieco ciszej, na co dało się słyszeć prychnięcie Flory. Domowy chaos wylewał się przez otwarte okno na ganek i chyba jeszcze nigdy tak bardzo nie drażnił Reginy. Nim się obejrzała, Mateusz zniknął w drzwiach, a po chwili usłyszała gwizdek

czajnika.



Aleksander siedział na ganku z małą butelką wody mineralnej – jedną z tych, które kupiła Flora. Jemu również, zwłaszcza dzisiaj, wydawało się, że mała butelka jest bardzo nieekonomicznym rozwiązaniem.

Od strony drogi ganek był niemal szczelnie porośnięty dzikim winem – pole widzenia ograniczało się tylko do podwórka. Aleksander żałował, że nie może stąd podziwiać falującej zbożem równiny, ale nie miał sił do kolejnego spaceru.

Z sadu wrócił niedługo po Mateuszu – kiedy minął pierwszy szok, głowa przypomniła mu o sobie znowu tęnym bólem, a pragnienie przeszkodziło mu jasno myśleć o swoim nowo odkrytym dziecku. Aleksander podejrzewał, że kiedy wróci do fizycznej formy, nowina, którą usłyszał dziś rano, nabierze dla niego należytej wagi. Tymczasem z ulgą wrócił z sadu, zaopatrzył się w wodę i usiadł bezpiecznie na ganku, gdzie chwilowo nikt mu nie przeszkadzał. Flora była w starym sadzie, a cała reszta szykowała się do kościoła. Przez otwarte okno słyszał ich głosy, ale były stłumione, nikogo nie było w kuchni, wszyscy znajdowali się w głębi domu. Przymknął oczy.

Minęła długa chwila, Aleksander zdążył już zapaść w drzemkę, kiedy na progu ukazał się Robert. Zakładał swój granatowy plecak.

– No, Aleksandrze – powiedział głośno, tak że staruszek, który siedział plecami do drzwi, podskoczył i złapał się za serce. – Spokojnie, to tylko ja. – Robert położył Aleksandrowi dłoń na ramieniu. – Czas się pożegnać.

Aleksander z trudem podniósł się z bujanego fotela.

– A chociaż ładna ta panna młoda? – zapytał. – Może szkoda oddawać?

– Nie szkoda. – Robert pokręcił głową, po czym nachylił się Aleksandrowi do ucha i szepnął: – Wypróbowana.

Plecy Aleksandra zatrzęśły się ze śmiechu.

– Dobrze było cię poznać, chłopcze – powiedział, poklepując Roberta po ramieniu. – Zazdroścę Mateuszowi takiego wnuka.

Robert się uśmiechnął.

– Wszystkiego dobrego, naprawdę – powiedział. – Żal, że muszę jechać.

– I mnie żal. – Aleksander pokiwał głową. – Wybrałem się tutaj poszukać szczątków swojej młodości, a tymczasem zastałem ją w pełnym rozkwicie. Życie cały czas się toczy, człowiek

czasem o tym zapomina.

Robert chrząknął z zakłopotaniem. Z kuchennego okna wychyliła się Regina.

– Nie wzięłeś ze stołu kanapek na drogę – powiedziała, podając wnukowi białą paczuszkę. – Wszędzie trzeba za tobą chodzić.

Robert podszedł do okna i zanim wziął kanapki, wspiął się na palce i cmoknął Reginę w policzek.

– Dziękuję za wszystko – powiedział tonem, który rzadko kto kiedykolwiek u niego słyszał, tonem zarezerwowanym, choć nieświadomie, dla kilku tylko kobiet i tylko na wyjątkowe okazje. – I przepraszam. Nie ma sensu mówić ci nic więcej.

Kiedy stali obok siebie, Regina była od niego niższa o głowę, ale teraz, wychylając się z okna, była wyżej; uwolnioną od kanapek dłonią pogłaskała go po policzku. Aleksander zauważył, że miała mokre oczy.

– Włożyłam ci do plecaka makowiec i galaretkę. Zjedz jutro na moją cześć.

– Przepraszam – powtórzył Robert.

– Spóźnisz się – odrzekła Regina i cofnęła rękę. – Zadzwoń, jak dojedziesz.

– Będziesz na pogrzebie – przypomniał jej Robert.

– Nie szkodzi. – Regina pokręciła głową. – Zadzwoń koniecznie.



Dla osamotnionego na czas mianowania nowego proboszcza parafii wikarego, który skądinąd szczylił się piękną celebracją pogrzebów, ostatnia posługa w przypadku Stacha Żałoski była jednak pewnym wyzwaniem. Już w trakcie mszy zdarzył się przykry incydent – podczas Podniesienia przez dźwięk nowo nabytych dzwoneczków przedarł się ordynarny dzwonek telefonu, który nie umilkł nawet wówczas, kiedy po dzwoneczkach wybrzmiało już echo i zapadła pełna skupienia uroczysta cisza. Wulgarna melodyjka nie umilkła, ponieważ jedna z najbardziej szacownych i najbardziej przez wikarego nielubianych parafianek, Regina z kolonii, nie zorientowała się, że to jej komórka, i dopiero poruszenie wśród rodziny i pytania, czyj mianowicie telefon dzwoni, uświadomiły jej, że wesołe dźwięki dobiegają z torebki, którą trzymała. Jakby tego było mało, parafianka najbezczelniej w świecie wyszła z kościoła, żeby ów telefon odebrać. Przygotowując się w skupieniu do rozdzielenia komunii świętej, wikary nie mógł powstrzymać ganiącego chrząknięcia, którego zresztą nie usłyszeli nawet dwaj stojący nieopodal pryszczaci ministranci.

Prawdziwą jednak męką okazała się mowa na cmentarzu, nad świeżo wykopaną mogiłą.

Biedny duchowny musiał teraz bowiem dokonywać oratorskich cudów, żeby ominąć niechlubną przyczynę śmierci swojego parafianina. Rozwlekle opisał zatem straszny żywioł, który nawiedził wieś w dniu śmierci Stacha, i zgrabnie nawiązał do biblijnych kataklizmów, mających na celu nawrócić ludzkość na drogę posłuszeństwa i pokory, albowiem koniec mógł być blisko.

– I nie pytaj, komu bije dzwon! Bije on tobie! – zacytował na koniec straszonym głosem wikary, po czym zapewnił o swym współczuciu rodzinę i sąsiadów, pokropił trumnę wodą święconą i dał znak, że można już zacząć spuszczać ją do grobu. Uścisnął rękę łkającej Maryni, poklepał po ramieniu Franka, zgarnął ministrantów i oddalił się pośpiesznie ocienioną alejką. Za cmentarną bramą zadarł sutannę i z kieszeni spodni wyjął paczkę papierosów. Wikary musiał się uspokoić. Pogrzeb Stacha był dla niego trudny również i w osobistym wymiarze. Wikary boleśnie odczuł stratę tej jednej owieczki ze swojego stadka – kiedy odwiedzał Żałosków po kolędzie, Stach zawsze miał dla niego kilka butelek wiśniówki robionej na swym samogonie, chroniącej przed paskudnymi przeziębieniami, na które duchowny chronicznie zapadał. Fakt, że Stach Żałoska odszedł do wieczności, będąc u szczytu formy, wikary uznał za wyjątkową złośliwość losu.

Po odejściu księdza atmosfera przy grobie Stacha nieco się rozluźniła. Żałobnicy podchodzili do biednej Maryni, składając jej wyrazy współczucia, ktoś wspomniał głośno o niekwestionowanych talentach Stacha, sąsiadki zaś omawiały kazanie wikarego.

– Że Stach pędził bimber, to pędził – zagadnął Jan panią Gienię. – Że paskudny, to fakt. Ale żeby pijackie przyśpiewki nad grobem nieszczęśnika cytować, to nasz świątobliwy cokolwiek przesadził.

Pijacka przyśpiewka, o której wspomniał zbulwersowany Jan, była tą samą piosenką, którą nucił Stach Żałoska tuż przed śmiercią, choć o tym, oczywiście, nikt nie mógł wiedzieć. Pani Gienia pokiwała głową. Była jeszcze bardziej oburzona niż Jan.



Kiedy tylko zaczęto spuszczać trumnę Stacha do grobu, Mateusz i Aleksander dyskretnie się oddalili jedną z zadbanych, ocienionych kasztanami alejek.

Stary wiejski cmentarz rozłożył się na zboczu niedużego pagórka. Najstarsze groby znajdowały się wyżej, potem z biegiem lat cmentarz spełzał w dół, zagarniając coraz więcej ziemi. Ogrodzony i uporządkowany za czasów ostatniego proboszcza, był jednym z ulubionych miejsc spacerów okolicznych mieszkańców. Tuż przy pagórku biegła szosa, ale była ona rzadko uczęszczana; na cmentarzu było zazwyczaj niezwykle cicho, ciszę uzupełniał jedynie wiatr

szumiący w bzach i brzożach, które tutaj rosły. Młodziutki dziewczęta bardzo lubiły przechadzać się po najwyższej części cmentarza, wśród najstarszych mogił; ich ulubioną rozrywką było odczytywanie zatartych, omszałych napisów i odgadywanie historii, które kryły się pod ziemią.

Jednym z ich ulubionych grobów był grób Róży – nieduża, porośnięta trawą mogiła z prostym krzyżem i małą, pordzewiałą tabliczką. Róża umarła bardzo młodo i dziewczęta zawsze traktowały ją jak koleżankę, z tą różnicą w stosunku do nich, że żyła pół wieku wcześniej. Lubiły zajmować się jej grobem, który poza tym był zaniedbany i zapomniany; przynosiły bukiety polnych kwiatów, jesienią układały dookoła girlandy kolorowych liści. Na Święto Zmarłych kupowały jej zawsze biały znicz.

Dziewczęta lubiły wyobrażać sobie romantyczną historię Róży. Dawne plotki do nich nie dotarły – o Róży już zapomniano we wsi. Historia jej i pochowanego razem z nią syna była teraz niczyja, podobnie jak jej grób. Można było wymyślać ją na nowo. Toteż dziewczęta lubiły wyobrażać sobie, jak Róża wyglądała – musiała mieć długie kasztanowe włosy, lekko kręcone, które opadały jej na plecy wzburzoną falą. To w tych włosach zakochał się tajemniczy nieznajomy, któremu oddała siebie i który potem przepadł. Według jednej wersji zginął z ręki zazdrosnego narzeczonego Róży, według innej to on sam był związany słowem z bogatą panną, której nie kochał, rzecz jasna, ale którą był zmuszony poślubić. Róża zmarła, wydając na świat owoc głębokiej miłości. Jeszcze jedna wersja tej tragicznej historii głosiła, że jej zrozpaczony kochanek popełnił samobójstwo na grobie umiłowanej i niemowlęcia. W tym miejscu dziewczęta zwykle płakały.

Mateusz był oczywiście nieświadomy romantycznych legend, w jakie obrosła historia Róży. Gdyby wiedział, byłby zapewne zażenowany, a jeszcze bardziej zdumiony. Dziewczęca wyobraźnia zawsze była dla niego ogromną zagadką. Nigdy do końca nie mógł sobie zdać sprawy z jej ogromnej siły. Teraz prowadził Aleksandra wąską ścieżką, w którą zamieniła się alejka, na grób, na którym on sam bywał tylko od czasu do czasu – zawsze jednakowo zaskoczony ułożonymi na nim świeżymi kwiatami. Podczas pogrzebu Stacha próbował sobie przypomnieć Różę, ale jedyną rzeczą, jaką pamiętał dokładnie, był jej jasny warkocz. Cała reszta – twarz, barwa głosu, sylwetka – ulotniły się z jego pamięci całe lata temu. Mateusz westchnął.

– To tutaj. Aleksander pochylił się, żeby odczytać napis.

Róża Przasnyk

Żyła lat 19

Syn

Żył 1 dzień

Proszą o Zdrowaś Marya

Wyprostował się, postął chwilę z rękami założonymi do tyłu, po czym przysiadł na zielonej ławeczce, ustawionej niedaleko mogiły.

– Próbuję sobie przypomnieć, jak ona wyglądała – powiedział – ale nie mogę. Jakoś w ogóle nie pamiętałem o niej przez te wszystkie lata. To dziwne, prawda?

Mateusz usiadł obok przyjaciela na ławeczce.

– Żal mi jej bardzo – ciągnął Aleksander. – Biedna dziewczyna. I taka młodziutka... Myślałem, że była starsza. A mimo to... Patrzę na ten grób i jakoś nie umiem sobie tego chłopca wyobrazić. To jedna z tych mogił, które zostały wykopane tak dawno temu, że nie mają już absolutnie żadnego związku ze światem żywych. Rozumiesz, co mam na myśli? W tym samym roku pochowano moją babkę. To taka zamierzchła przeszłość, że trudno uwierzyć, iż kiedyś była prawdziwym życiem. I jakie w takim razie ma znaczenie, czy to było moje dziecko?

Mateusz westchnął.

– Ja przez te wszystkie lata byłem pewien, że to moje dziecko. A mimo to nie miało to dla mnie większego znaczenia – wyznał. – Obchodziło mnie tylko to, żeby Regina się nie dowiedziała.

Aleksander uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Myślisz, że nie wiedziała?

– Jestem pewien.

Aleksander westchnął znowu.

– To dobrze. Była dziś bardzo zdenerwowana, myślałem, że to przez Różę.

– Na pewno nie, nawet jej nie znała. – Mateusz potrząsnął głową. – To śmierć Stacha tak nią wstrząsnęła. I wyjazd Roberta. To jej ulubieniec, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

Patrzyli obaj na zieloną mogiłę, pod którą spoczywały szczątki młodej dziewczyny i ich wspólnego dziecka, ale widzieli tylko porośniętą trawą pagórek.

– Ciekawe, czy ona wiedziała, kto z nas jest ojcem – powiedział Aleksander, przy słowie „ona” wskazując ruchem głowy grób.

– Cóż... – rzekł ostrożnie Mateusz. – Wątpię.

– Dzieciaczkowi pewnie nie robi większej różnicy, kto z nas jest tatusiem – zauważył Aleksander. – Jednakowi z nas... Ech, szkoda gadać.

– To nikomu nie robi większej różnicy, Olo – powiedział Mateusz, wstając z ławeczki. – Chodźmy, czekają na nas.

W oddali, przy cmentarnej bramie gromadziła się grupa żałobników po Stachu Żałosce, szukających się już na stypę. Dostrzegł oddzielną sylwetkę Reginy. Patrzyła na nich.

– Biedna dziewczyna – powiedział Aleksander, rzucając ostatnie spojrzenie na porośniętą

trawą grób. – Pewnie nie zasługiwała na taki los.

– Trudno powiedzieć – odparł Mateusz, który jednak trochę Różę pamiętał.

– Spoczywaj w pokoju, Różyczko – rzekł Olo, dotykając palcem runda kapelusza. – I ty też, mały. Możesz sobie wybrać któregoś z nas, prawda, Mati? I złożyć go porządnie skrzydełkami, jak się już tam wszyscy spotkamy na górze.



Regina przestępowała z nogi na nogę, czekając, aż Mateusz i Aleksander zejda ze wzgórze, na którym znajdował się grób Róży. Nie odrywała od nich wzroku, próbując dostrzec ich miny i odgadnąć, o czym rozmawiają. Czy może raczej – jak rozmawiają, bo o czym rozmawiali, Regina wiedziała doskonale. Pięćdziesiąt lat temu bardzo się bała, że do tej rozmowy dojdzie, ale nie doszło i Regina na wiele lat odetchnęła z ulgą. A jednak strach się w niej czał, poznała to już pierwszego dnia, kiedy przyjechał Aleksander; irracjonalny strach, że ta rozmowa, której zapobiegła, i tak się w końcu odbędzie. I teraz odbywała się tam, na górze, przy grobie Róży, i Regina mogła tylko wyteżać wzrok, usiłując dostrzec chociaż zarysy ich twarzy. Nic więcej nie mogła już zrobić. Może jeszcze tylko przekląć w duchu, po raz kolejny, Różę.

Wreszcie Aleksander podniósł się z ławeczki, coś jeszcze powiedział – Reginie wydawało się, że mówi do grobu, ale stwierdziła, iż byłoby to zbyt idiotyczne – i zaczęli obaj schodzić stromą alejką. Regina niecierpliwie czekała pod cmentarną bramą. Za jej plecami żałobnicy sadowili się w autach, gotowi już jechać do Żałosków na stypę. Słyszała nabrzmiały od łez głos Maryni. Ale to wszystko było za jej plecami, dalekie i nieważne.

A oni cały czas schodzili alejką, dwaj mężczyźni u kresu, zakończywszy przed chwilą rozmowę, która położyła na szali ich przyjaźń oraz ich wspomnienia. Wracali z grobu swej wspólnej kochanki i dziecka, które było wspólne i niczyje jednocześnie. Przynajmniej tak zawsze myślała o nim Regina. Tak było dużo łatwiej. Szli alejką, a kiedy byli już na tyle blisko, iż Regina mogła dostrzec wyrazy ich twarzy, ze zdumieniem stwierdziła, że płacze.

– Poszliśmy się przejść po cmentarzu, Gina, i znaleźliśmy tę Różę – powiedział Aleksander i uśmiechnął się do niej swym jasnym, dobrym uśmiechem. – Jest pochowana na samym szczycie, na grobie leżą chabry. To miłe.

– Dlaczego płaczesz? – zapytał Mateusz z uśmiechem bardzo podobnym do uśmiechu Aleksandra.

Reginie usta wygięły się w podkówkę. Był to łuk równie głęboki jak na ich twarzach, tyle że odwrócony w drugą stronę. Otarła oczy wierzchem dłoni.

– Też pytanie! – fuknęła i z ulgą stwierdziła, że głos jej nie zawodzi. – Jesteśmy w końcu na pogrzebie, prawda?

– Prawda – przytaknął Mateusz, patrząc na nią jasnymi oczami.

– Piękny pogrzeb – wtrącił Aleksander. – Widać, że cała wieś szanowała Stacha. I czy mi się wydaje, czy widziałem Jana? Robert wspominał, że nie przepadali za sobą, a jednak przyszedł.

– Tak, to był Jan. – Regina pokiwała głową.

– Śmierć kładzie kres ludzkim zatargom – dodał Mateusz.

Patrzyli na siebie wszyscy troje, dobrymi, ciepłymi spojrzeniami.

Łzy Reginy szybko obsychały na wietrze. Mateusz podał jej ramię.

– Jedźmy już – powiedział – zanim zjedzą nam cały barszcz Maryni.



Flora skończyła pakowanie. Jej dwie walizki, mała torba podróżna z rzeczami Filipa i plecak Cypriana czekały ustawione w sieni. Filip był w domu, oglądał bajkę. Ona sama siedziała w altance i paliła. Obok niej, na stole leżały równo ułożone stare albumy. Pozostała już tylko jedna rzecz do załatwienia. Flora wychyliła się z altanki i spojrzała na stojące opodal sztalugi. Westchnęła.

Nagle ktoś zapukał w drewnianą ściankę altanki. Drgnęła.

– Tak myślałem, że tu będziesz – rozległ się znajomy, zuchwały głos.

Kuba nie wszedł do altanki. Jej drzwiczki były otwarte, stanął tuż przy progu i oparł na nim prawą nogę.

– Nie pojechałaś na pogrzeb Stacha.

Za nim, w oddali szumiały stare lipy. W pobliżu nie było żywego ducha.

– Ty też nie – odrzekła Flora, strząsając popiół do popielniczki. – Dlaczego?

– Ponieważ tak myślałem, że ty nie pójdziesz – Kuba uśmiechnął się do niej ironicznie. – A wszyscy inni z domu tak. I postanowiłem przyjść po raz ostatni i zapytać, czy masz ochotę na spacer.

Patrzył jej prosto w oczy, w swoich miał kpinę i determinację jednocześnie.

Flora wypuściła kłęb dymu. Czasem ją samą zadziwiała, jak głęboko potrafi się zaciągać.

– To, czy mam ochotę, nie ma tu nic do rzeczy – odrzekła. – Po prostu nie pójdę z tobą.

– Dlaczego?

– Ponieważ już podjęłam decyzję.

Kuba pokiwał głową.

– Ale wiesz, że to jest kompromis.

Cały czas patrzyli sobie w oczy. Żadne nie dawało za wygraną.

– Wiem – odpowiedziała spokojnie Flora. – Może właśnie na tym to polega. Jest lepiej, niż myślałam. Ostatecznie mogłam go stracić.

Kuba uniósł brwi.

– To już dużo – dodała Flora.

– Brzydzą mnie kompromisy – powiedział.

Flora przyglądała mu się uważnie. Potem nagle wykonała nieokreślony ruch głową, jak gdyby nią pokiwała. Zamrugła oczami.

Kuba uśmiechnął się dziwnie.

– Założę się, że jestem pierwszym mężczyzną, który się ciebie nie boi – powiedział.

Flora zgasła papierosa.

– Bardzo możliwe, że tak właśnie jest – odrzekła.

Wtedy Kuba przechylił się przez skrzydło drzwiczek i pocałował ją prosto w usta. Krótko i zdecydowanie. Potem się cofnął.

Nie spuszczała z siebie wzroku. Nawet podczas tego krótkiego pocałunku żadne z nich nie zamknęło oczu.

– Szczęśliwa kobieta, którą naprawdę pokochasz – powiedziała Flora. – Znikaj. Wszystkiego dobrego.

Kuba uśmiechnął się, przyłożył sobie palce do skroni gestem, który był zawieszony gdzieś pomiędzy salutowaniem a symulowanym strzałem w głowę, i odszedł, pogwizdując, z rękami w kieszeniach.



Marynia nawet pogrążona w żałobie po ukochanym Stachu nie zapomniała o obowiązkach gospodyni. Dzień wcześniej, kiedy już Różaniec się skończył i żałobnicy rozeszli się do domów, obie z Hanką zabrały się do szykowania stypy. Franek, który miał za zadanie odkurzyć dom i zająć się dzieckiem, zasnął w końcu ze ścierką do podłogi w rękę i z głową opartą o szczebelki łóżeczka córki, a one do późnej nocy gotowały barszcz, smażyły naleśniki na krokiety, piekły sernik i przygotowywały półmiski z wędliną. Regina jeszcze przed Różańcem wywołała Marynię do kuchni, gdzie wręczyła jej dwa słoiki ze śledziami po sułtańsku, które miała przyszykowane na swój jubileusz. Wzruszona jej dobrocią Marynia miała łzy w oczach, kiedy układała śledzie w szklanej salaterce.

Gdy więc żałobnicy dotarli z cmentarza do domu Żałosków, czekał już na nich poczęstunek. Hanka, która przejęła obowiązki pani domu i, jak zauważyła Ida, wydawała się bardzo pasować do tej roli, zniknęła w kuchni i zdążyła nagrzać barszcz, zanim goście rozsiedli się za rozłożonym kuchennym stołem, który na czas stypy został przeniesiony do pokoju. Barszcz był wyśmienity – Marynia słynęła z niego we wsi – mimo że podany w czterech różnych rodzajach miseczek, ponieważ w domu Żałosków nie było ani jednego pełnego kompletu zastawy stołowej.

– Doskonałe – mruczał Aleksander; na jego brodzie kołysały się różowe kropelki. – Doskonałe.

Atmosfera przy stole była bardzo swojska – na stypie zjawili się tylko najbliżsi sąsiedzi, a więc oprócz Reginy i jej świty jeszcze pani Gienia, Zocha Charczukowa oraz jeden nieznamy starszyszek – brat Stacha, który mieszkał w sąsiedniej wsi i który nie odzywał się za stołem, tylko jadł i pił, a wkrótce poprosił Franka, żeby ten odwiózł go do domu. Hanka, kiedy już ustawiła na stole wyjęte z lodówki półmiski, zajęła się marudzącą Basią. Marynia ze łzami słuchała pocieszeń pani Gieni, która była wdową od lat pięciu, i Zochy, którą mąż opuścił, kiedy Heniek był jeszcze mały. Zocha, kiedy wspomniała o Heńku, sama się rozpląkała i z kolei Marynia z panią Gienią zaczęły ją głaskać po plecach, każda ze swojej strony. Mateusz miał minę winowajcy. Regina rozmawiała cicho z siedzącym obok Cyprianem, który był jej za to bardzo wdzięczny, ponieważ na stypie nudził się do tego stopnia, że musiał się pilnować, aby z twarzy nie zesłała mu uprzejma mina.

Ida była równie znudzona jak Cyprian. Kiedy przyjechali do Żałosków, rozejrzała się ukradkiem za Kubą. Nie było go na pogrzebie, ale sądziła, że będzie chociaż tutaj. Jego nieobecność ją dotknęła – Ida wolała myśleć, że czuje się urażona w imieniu Stacha, który przecież użył Kubie i jego namiotowi swojego własnego podwórka. Należało mu się w zamian ostatnie pożegnanie. Bo przecież dla samej Idy obecność Kuby niczego by nie zmieniła – podobnie jak wczoraj, na Różańcu, unikałaby jego wzroku po to tylko, żeby stwierdzić, kiedy już zdecydowała się na niego spojrzeć, że on i tak na nią nie patrzy, a potem nie odezwałaby się do niego ani słowem, udając bardzo zajętą rozmową z Hanką. Ale jednak bez niego jej obecność tutaj nie miała sensu, tak jak jej czarna koronkowa bluzka, jej starannie upięte w kok włosy, delikatne srebrne kolczyki i tusz na rzęsach – to wszystko nie miało najmniejszego sensu, pozbawione świadka i widza. Ida poczuła złość na samą siebie, przypominając sobie, że kiedy Regina osobiście trąbiła na nią z samochodu Flory, poganiając ją do wyjścia, ona jeszcze w ostatniej chwili zmieniała kolczyki, nie będąc przekonana co do ostatecznego efektu.

– Idzia – zagadnął Aleksander szeptem. – Idzia, może poszukałabyś jeszcze, czy w kuchni nie został barszczyk? Jest doskonały.

Ida, która nie domyślała się, dlaczego Aleksandrowi aż tak smakuje barszcz, posłusznie wstała i udała się do kuchni. Zajrzała do gara, ale na dnie były już tylko resztki zupy.

– Zobacz, a tam? – Aleksander, który nie wytrzymał i przyszedł za Idą do kuchni, wskazywał teraz palcem na stojący na szafce pięciolitrowy słoje. W drugiej ręce miał swoją miseczkę.

– Nie wiem, czy można otworzyć – odrzekła Ida. – Może pani Marynia specjalnie zostawiła na później.

– Co zostawiłam? – zapytała Marynia, która przysła do kuchni po ścierkę; Basi ułało się mleko wprost na stół.

– Zjadłbym jeszcze barszczyku – wyznał Aleksander, w którym przemożne pragnienie wygrywało z poczuciem przyzwoitości. – Jest doskonały.

– Ależ naturalnie, Idzia, otwórz – zarządziła czym prędzej Marynia. – To pewnie Hania zawekowała, nagotowałyśmy tego tak dużo...

– Ja też prosiłbym o dokładkę, jeśli można. – W progu stanął Cyprian ze swoją miseczką w dłoni.

Marynia nieczęsto miewała gości z miasta. Czuła ogromny szacunek dla Cypriana, artysty z samej Warszawy, a wysoki, postawny i przystojny Aleksander, elegancki starszy pan wyglądający w oczach Maryni, jakby zszedł właśnie z ekranu telewizora, budził w niej niemal nabożne onieśmienie. Marynię zalała więc teraz fala dumy, że tych oto dwóch mężczyzn z lepszego świata stoi w jej skromnej kuchni, każdy z inną miseczką w dłoni, prosząc nieśmiało o dolewkę jej popisowego barszczu. Odsunęła Idę od kuchenki, sięgnęła po słoje, przycisnęła go do piersi i odkręciła z wielkim wysiłkiem. Uśmiechnęła się triumfalnie do Aleksandra i Cypriana, po czym pięknym ruchem wlała całą zawartość słoja do gara z resztkami pierwszej porcji barszczu. Aleksander się oblizał.

Kiedy jednak tylko Marynia zapaliła gaz i dno gara się rozgrzało, kuchnię wypełnił dziwny zapach. Cyprian zmarszczył brwi. Ida pociągnęła nosem.

– Maryniu... – Do kuchni zajrzała Regina. – Bójcie się Boga, co wy robicie? Czuć aż w pokoju, nie wypada na stypie, nawet po Stachu. Aleksandrze, myślałam, że wczoraj miałeś już dość.

Zapachem, który szybko wypełnił cały dom Żałosków, były bowiem opary Stachowej wiśniówki, po której skrycie szlochał wikary i która stała zamknięta w ostatnim słoju na szafce, a teraz grzała się przemieszana z resztkami Maryninego barszczyku. Cyprian szybko wyszedł na podwórze, Aleksander wycofał się zakłopotany do pokoju, a biedna Marynia stała na środku kuchni, spłonawszy krwawym rumieńcem, tak skonsternowana, że nie pomyślała nawet o tym, żeby zgasić ogień. Gaz przekręciła Regina.



Popielniczka była pełna, paczka papierosów – prawie zupełnie pusta. Flora bębniła palcami w blat. Kiedy patrzyła na swoją rękę, ten gest coś jej przypominał, ale nie mogła zrozumieć co.

W pewnym momencie usłyszała warkot silnika. Między starymi jabłoniami dostrzegła swojego srebrnego forda, który minął sad i dom i wtoczył się na podwórko. Po chwili usłyszała głosy Reginy i Aleksandra. Potem dziadka i Cypriana.

Minęła jeszcze chwila i wszyscy pojawili się w starym sadzie. Szukali jej.

– Tu jestem.

Flora wyszła z altanki. Odkasznęła. Ostatni papieros odzywał się drapaniem w gardle.

– Spakowana? – zapytała Regina.

Miała zaczerwienione oczy, a jednocześnie promieniało z niej jakieś dziwne szczęście. Flora pomyślała, że jednak nie wypada tak wyglądać, wracając z pogrzebu.

– Tak – odpowiedziała. – Filip musi jeszcze pamiętać o swoich płytach z bajkami. Jak pogrzeb?

– Było bardzo miło – odrzekła Regina nieuważnie; jej mina zdradzała, że myśli o czymś innym. – To znaczy na stypie – zreflektowała się.

– Pogrzeb był piękny, nawet pan Jan przyszedł – pospieszył Reginie z pomocą Aleksander.

Flora nie знаła Jana.

– To dobrze – odrzekła.

Kątem oka przyglądała się Idzie. Piekły ją usta. Spojrzała na Cypriana, który stał trochę z tyłu, za Aleksandrem.

– To co, będziecie jechać? – zapytała Regina. – Może jeszcze coś zjecie?

– Nie. – Flora potrząsnęła głową. – Robi się późno, musimy ruszać, chcemy dojechać za dnia. Jeszcze tylko... Mam dla ciebie prezent. Na jubileusz.

– Naprawdę? – Regina się uśmiechnęła. – Gdzie?

– Tutaj. – Flora machnęła ręką.

Wszyscy rozejrzeli się dookoła. W starym sadzie panował półmrok, wiatr szumiał w starych jabłoniach.

– Nie widzę – powiedziała Regina, rozglądając się z zaciekawieniem. – Ale nie spakowałaś sztalug, zawsze o czymś zapomnisz.

Flora wyróciła oczami. Nie mogła się powstrzymać.

– Namalowałam coś – wyjaśniła; w jej głosie zabrzmiała irytacja, i nie była to wcale reakcja

na uwagę Reginy. – Chciałam ci zrobić prezent. Znalazłam stare albumy i zamierzałam namalować twój portret. Jako młodej dziewczyny. Ale jestem beznadziejna – mówiła, teraz już wyraźnie rozzłoszczona. – Beznadziejna ze mnie malarka, oglądałam te zdjęcia tyle razy, śniłaś mi się jako młoda dziewczyna, a jednak cały czas mi wychodził mój własny portret. Nie wiem, jak to się stało.

Nikt się nie odezwał, nawet Ida, więc Flora podeszła do sztalug.

Odkąd przyszedł jej do głowy ten pomysł, lubiła sobie wyobrazać tę chwilę. Cała rodzina zgromadzona przy stole, z Reginą na honorowym miejscu, i ona sama, uroczystie odsłaniająca swoje dzieło, przykryte czerwoną tkaniną. W tym celu zabrała nawet swój jedwabny karminowy szal. Ale obraz się nie udał, w starym sadzie była ich teraz tylko garstka, szal leżał już spakowany na dnie walizki i chwila bynajmniej nie była uroczysta.

Flora westchnęła i odwróciła sztalugi tak, żeby mogli zobaczyć płótno.

Przez chwilę panowała cisza. Wszyscy patrzyli na obraz.

Rzeczywiście, to był portret Flory, ale też zarazem nie-Flory, to była twarz Flory, na którą w jakiś nieuchwytny sposób nałożone zostały rysy Reginy. Albo odwrotnie.

Aleksander gwizdnął i podszedł bliżej, odsuwając po drodze zdumioną Idę.

– Ależ to Gina z czasów, jak wyszła za Mateusza! – wykrzyknął. – Dokładnie taką ją pamiętam! Pytałaś, dziecko, jak ona naprawdę wyglądała, a ona właśnie tak wyglądała! Wiedziałaś lepiej niż te stare zdjęcia!

Regina wpatrywała się zdumiona w obraz.

Mateusz stał tuż obok niej, też zapatrzony.

– Taka wtedy byłaś – powiedział po chwili ogólnego milczenia. – Dziękuję ci, Floro. – Spojrzał na najstarszą wnuczkę, która stała obok sztalug, oszołomiona. – Odkąd byłaś mała, widziałem, jak bardzo jesteś podobna do babci. To nie jest twój portret. To jest wasz wspólny portret, jesteście na nim obie. W rysach babci już wtedy był załazek twojej twarzy. W twoich rysach pozostanie jej twarz – to mówiąc, podszedł do Flory, objął ją ramieniem i ucałował w czoło. – Dziękuję ci.

– I ja również dziękuję – odezwała się Regina dziarsko, choć Cyprianowi wydało się przelotnie, że oczy jej się zaszklily. – Piękny prezent, naprawdę, spodziewałam się raczej jakiejś gustownej popielniczki, znając ciebie.

– Cyprian ma popielniczkę – wyjąkała Flora. – Powiedział, że skoro w końcu zaczęłaś palić oficjalnie, to po tylu latach strzepywania popiołu za okno albo do doniczek należy ci się ładna popielniczka. Masz? – zwróciła się do Cypriana.

Cyprian skinął głową i bez słowa podał Reginie małą paczuszkę.

Regina odwinęła kolorowy papier. W środku znalazła rzeźbione cacko.

– Piękna – powiedziała, oglądając popielniczkę. – Szkoda tylko, że nie będę jej używać. Wicie... – potoczyła wzrokiem po zebranych – Odkąd wiem, że Mateusz wie, to w ogóle przestała być frajda. – Milczała chwilę, potem zwróciła się nagle do męża: – A od jak dawna wiesz? – zapytała zaciekawiona. – Tego nie powiedziałeś.

– Zorientowałem się na drugi dzień po ślubie – odparł Mateusz spokojnie. – Kiedy znikłaś rano, a potem wróciłaś do łóżka, pachnąc papierosowym dymem.

Miny tych dwojga były tak niepowtarzalne w tym momencie, że Cyprian miał ochotę biec do plecaka po lustrzanekę. Po raz pierwszy zobaczył chochliki Reginy w oczach Mateusza i szczere zdumienie Mateusza na twarzy Reginy.

– Aha – powiedziała Regina słabo. – W takim razie dziękuję ci, kochany, że w ciągu tylu lat nie odebrałeś mi tej przyjemności.



Był spokojny, łagodny wieczór. Wiatr szumiał delikatnie w gałęziach lip, przepływał wzdłuż łąnów dojrzałych zbóż, które podniosły się po nawałnicy i lada dzień miały zostać skoszone. Powietrze było miękkie i ciepłe.

Ida układała na toalecie swoje drobiazgi. Nagle, bez rzeczy Beaty, toaletka zrobiła się żałośnie pusta, podobnie jak szafa i nocny stolik, który znajdował się po jej stronie łóżka. Beata pakowała się w pośpiechu, Ida jeszcze wczorajszego wieczora znalazła pod łóżkiem jej książkę, założoną na sto pierwszej stronie, a na parapecie okna jej tusz do rzes. Ale to, że Beata naprawdę wyjechała, dotarło do niej w pełni dopiero dzisiaj, teraz, kiedy siedziała przed toaletką i spoglądała w swoje odbicie w starym lustrze. Ida nadal nie rozumiała jej decyzji, ale w tej chwili nie miało to już żadnego znaczenia.

Flora, Filip i Cyprian pojechali wkrótce po prezentacji obrazu. Regina zapakowała im przygotowane na niedzielę specjały – śledzie Aleksandra, galaretę, duży kawał makowca i słoik ogórków. Flora protestowała, ale Regina uświadomiła jej, że pakuje im część i tak przeznaczoną dla nich. Ida pomyślała, że to jak z Mahometem i górą – babcia zaplanowała jubileuszowy obiad dla całej rodziny; skoro rodzina nie mogła pojawić się na ucztę, ucztę musiała podążyć za nieobecnymi gośćmi.

Idzie zrobiło się bardzo przykro. W imieniu babci. Wstała od toaletki i wolnym krokiem zeszła na dół. W domu było dziwnie pusto, bez Filipa, bez Flory, bez Roberta. Bez Beaty i bez Cypriana. Jeszcze na schodach słyszała głośnie tykanie zegara w kuchni. Reginę zastała siedzącą

przy stole, zajęta krojeniem marchewki. Obok niej stała duża salaterka. Na kuchence, w ogromnym garze, cicho szumiał gotujący się rosół.

– Co robisz? – zagadnęła Ida, biorąc sobie małe jabłko, przyniesione przez kogoś ze starego sadu i porzucone na szafce.

– Kroję sałatkę jarzynową – odrzekła Regina, przechylając deskę do krojenia i ostrożnie zsuwając górkę pokrojonej marchewki wprost do salaterki. – Właśnie miałam cię wołać.

Ida bez słowa sięgnęła po drugą deskę i długi nóż, usiadła przy stole naprzeciwko Reginy.

– Gdzie dziadek?

– Poszli z Aleksandrem na spacer. On bardzo lubi spacerować, przecież wiesz.

Ida zakrztusiła się jabłkiem.

– Jesz jabłko, które przyniosłam do sałatki – poinformowała ją Regina, kiedy tylko Ida przestała kasłać.

– Przepraszam.

Siedziały przez chwilę w milczeniu.

– Co masz jeszcze w planach na dziś? – zapytała Ida. – W czym ci pomóc?

– W niczym – odrzekła Regina, biorąc się za krojenie ogórków kiszonych. – Drobniej, Iduniu, nie partacz tego, do czego się zabierasz. Flaki już prawie gotowe, pozostało tylko zrobić zasmażkę. Kurczaki przyprawione i przełożone cebulką. – Idzie niewiele to mówiło, ale kiwała ze zrozumieniem głową. – Pomożesz mi jutro rano z jajkami faszerowanymi.

– Jasne.

Ida przypomniała sobie wspólne gotowanie bigosu. Wtedy szatkowanie kapusty wydawało się ostatecznie odbierać jakiegokolwiek znaczenie temu, co się stało na miedzy pod gruszą. Teraz, krojąc ugotowane na twardo jajka, których żółtka rozsypywały się w palcach, pomyślała, że jednak to nie było tak do końca. Było coś znaczącego w tym, że dzień, kiedy stała się kobietą, zakończył się kobiecym rytuałem wspólnego przygotowywania posiłku. Była jakaś siła i jakaś magia w tych kobiecych głowach, pochylonych nad jednym stołem. Ida pomyślała, że dziś też tak powinno być. Powinny siedzieć tu wszystkie, Beata, Flora, obie ciotki, nawet jej matka, choćby po pięciu minutach miała się skaleczyć w palec. Powinny siedzieć wokół Reginy, tak jak kobiety siadywały od zarania dziejów, we wspólnym kręgu, wokół świętego domowego ognia.

– Następnym razem, kiedy będziesz gotowała flaki, pokażesz mi, dobrze? – powiedziała nagle i aż się uśmiechnęła na widok miny Reginy.

– Naturalnie – odparła Regina, uważnie przyglądając się wnuczce.

Ida westchnęła.

– W ogóle to chciałam ci powiedzieć, że... przemyślałam sobie to wszystko. – Przesypała

pokrojone jajka do salaterki i zabrała się do obierania jabłek. Spod palców spłynęły równe wstęgi obierek. – Będę zdawać na studia.

Regina pokiwała głową. Nie odezwała się.

– To chyba rzeczywiście był głupi pomysł – ciągnęła Ida. – Ta cała wolność to jedna wielka bzdura. Poza. Człowiek nie jest wolny. Trzeba się umieć przystosować.

Wydawało jej się, że kącki ust Reginy drgają, ale postanowiła to zignorować.

– W każdym razie – dodała jeszcze – doszłam do wniosku, że studia to jednak najlepsza przepustka do świadomej dorosłości. – Przerwała na moment i popatrzyła podejrzliwie na Reginę. – Czy ty się teraz śmiejesz?

– Ależ skąd – zapewniła ją Regina; Cyprian dostrzegłby w jej oczach roztańczone chochliki, ale Ida nie była widocznie aż tak spostrzegawcza. – Nie wszystko rozumiem, ale konkluzja jest chyba taka, że nabrałaś rozumu. Ogromnie mnie to cieszy.

– Wiedziałaś, że tak będzie, co? – mruknęła Ida.

– Oczywiście. – Regina pokiwała głową. – Iduniu, ani na moment nie zwątpiłam w twój zdrowy rozsądek, to chyba dobrze? Jak byłaś mała, to darłaś się wniebogłosy, ilekroć Robert chciał cię nauczyć chodzić po płocie. Już wtedy wiedziałam, że będziesz twardo stąpać po ziemi.



A potem leżała w lipnym pokoju, obok spoczywała otwarta książka, ale jej nie chciało się czytać. Nie zapaliła nawet światła, choć było już późno i w pokoju zalegała ciemność. Leżała na łóżku z szeroko otwartymi oczami, a po jej policzkach spływały duże, spokojne łzy. Wszystko toczyło się nie tak. Ona. Beata. Flora. Sad. Jubileusz babci.

Potem postarała się o niczym nie myśleć. Leżała i czekała, aż uczucia same do niej przyjdą. A kiedy nadeszły, rozpoznała, że tym, co czuła najdotkliwiej, była tęsknota. Tęskniła za czymś, co jeszcze było obok, ale już bardzo niewyraźne. Za małą Idką, którą podpuszczał starszy, uwielbiany kuzyn, żeby chodziła po płocie i biegała nocą na kraniec sadu. Za rubasznym śmiechem Stacha Żalosci i jasnym uśmiechem dziadka, kiedy rano witał nadchodzących rwaczy. Za zadumanym wyrazem twarzy Beaty, kiedy czesała się rano, siedząc przed starą toaletką. Za kpiącym spojrzeniem babci.

Tęskniła za szumem dojrzewającego zboża, odgłosem pierwszych wiśni wsypywanych do skrzynki, który przypominał przetaczające się kulki do gry. Tęskniła za powrotami z sadu, kiedy światło nabierało miodowej barwy, a cienie się wydłużały. Tęskniła za cieniem na ganku i za dotykiem starej narzuty w czarno-zielono-żółte paski. Za pluskiem wody w balii. Za gwarem

w sadzie. Za zapachem rozgrzanej lipcowym słońcem ziemi. Za cierpkim smakiem dojrzałych wiśni.

Stała na drewnianym pomoście, a to wszystko wymykało jej się z rąk, odpływało, kołysane łagodnie siną wodą, i ginęło w gęstej mgle. Nadchodziła jesień, a z nią cały smutek świata odczuwalny w nagich konarach drzew, burym deszczu i przenikliwym zimnie. Czy to tylko jesień, czy to całe życie było takie? Czy może ona nigdy nie siedziała pod uginającym się od owoców drzewem, w upale, który spływał strużkami potu wzdłuż jej pleców, nie piła zimnego piwa, które przyjemnie drapało w gardło? Może to był tylko fragment jakiejś pięknej baśni, naprędce opowiedziany, żeby opromienić całą mizerną resztę?

Żeby było z czego czerpać siły na dalszą drogę.



Dni mijały, Olo nie wracał i Róża zdecydowała się jednak pomóc Bogu i naturze i napisać do niego list. Pewnego słonecznego dnia udała się więc do domu pod lipami, aby poprosić o adres tego, który był jej przeznaczony.

W kuchni zastała tylko Ginę. Była pochylona nad kołyską i miała ten wyraz twarzy, jaki Róża dostrzegła u siebie, gdy stała wieczorem przed lustrem i dotykała swego wypukłego brzucha. Ginę zaskoczył widok Róży. Swego dziwnego strachu nigdy nie łączyła z tą dziewczyną; zajęta własnymi sprawami ledwo uświadamiała sobie jej istnienie.

Róża bez ogródek oznajmiła, że chce adres Ola.

– Ola?

No tak, potwierdziła, bo dziecko jest jego.

Róża swą wizytę w domu pod lipami traktowała jak wyprawę wojenną. Była zdeterminowana walczyć o swoją rodzinę, o rodzinę, której tak długo musiała szukać, a która Ginie dostała się tak łatwo. Nieoczekiwanie Róża zdała sobie sprawę z tego, jak okrutny i niesprawiedliwy jest los.

– To nie jest dziecko Matiego, nie martw się.

Pan Bóg wydawał się wreszcie spojrzeć na ten szczęśliwy dom pod lipami.

– Matiego?

Róża nie była na wskroś zła. Nie zależało jej na Matim. Ale jednak pamiętała jego propozycję.

– On myśli, że to jego – wskazała na swój brzuch.

– Trochę się nawet zastanawiałam nad tym, ale to Ola, jestem tego pewna. Chcę jego

adres, chcę mu o tym napisać, chcę, żeby wrócił. Myślałam, że wróci, ale on nie wraca.

Patrzyła na Ginę, której krew odpłynęła z twarzy. Zrobiło jej się żal tej dziewczyny z miasta. Róża nigdy nie żywiła do niej urazy, nie zależało jej na Matim.

– To nic takiego – powiedziała pocieszająco i nawet wyciągnęła rękę, jakby chciała pogłaskać Ginę po ramieniu, ale rozmyśliła się i cofnęła ją na swój brzuch.

– Ja chcę tylko Ola. Więc czy możesz mi dać jego adres? Chcę do niego napisać. Żeby wrócił.

Gina odwróciła się do okna. Bardzo nie lubiła okazywać uczuć przed innymi ludźmi, a nie była pewna wyrazu swojej twarzy.

– Czy oni wiedzieli o sobie nawzajem?

Nie wiedziała, skąd przyszło jej do głowy akurat to pytanie. Dlaczego akurat to okazało się w tym momencie najważniejsze. Róża też była zaskoczona.

– Czy wiedzieli? Nie. Mnie zależało na Olu. A Mati mnie zostawił.

Gina przełykała kulkę, która tkwiła jej w gardle, ale ta docierała do połowy przełyku i wracała uparcie na swoje miejsce.

– Zostawił?

– No tak – potwierdziła Róża. – Potem, jak zobaczył, co się stało, to nawet chciał mi pomóc, ale ja nie chcę jego pomocy, mnie zależy na Olu.

– Ale... – Gina przygryzła wargę – nie powiedziałaś mu, że to nie jego dziecko.

– No nie – przyznała Róża.

– Bardzo dobrze. – Gina odwróciła się od okna, ponieważ teraz już wiedziała, co maluje się na jej twarzy. – I nie powiesz mu. Adresu Ola też nie dostaniesz. Opuścisz za to w tej chwili ten dom.

Mówiła zupełnie spokojnie, ale jej twarz wyrażała tak ogromny, niemal boski gniew, że Róża uznała, iż lepiej jej posłuchać.

Uznała też, że ostatecznie może jeszcze trochę poczekać.

Bóg i natura były przecież po jej stronie.

ROZDZIAŁ 14



Najbardziej lubiła sad w maju, w porze kwitnienia. Wychodziła o zmierzchu, kiedy zapach białych drobnych kwiatów był najbardziej odurzający, a cały sad, oświetlony ogromną srebrną tarczą księżyca, wyglądał jak spowity magiczną mgłą. Szła wolno główną aleją na sam jej kraniec, potrącając białe kiście i pozwalając, żeby opadała na nią wieczorna rosa. Było spokojnie i cicho, a jednocześnie zewsząd napływały do niej różne dźwięki – świerszcze grały swą zagadkową melodię, lekki wietrzyk z trzaskiem łamał wiotkie gałązki wiśni. Czasem dobiegł ją czyjś śmiech – ktoś gdzieś w tym momencie był szczęśliwy. Ktoś gdzieś na pewno coś komuś szeptał, ale ona nie wiedziała co. Ktoś się komuś poddawał, ale to nie była ona.

Na samym końcu sadu przystawała. Tam był świat, który kiedyś wzywał ją i kusił – nawet teraz słyszała jego wabiące szepty, chociaż już dawno było za późno. Nigdy go nie usłuchała, choć nigdy też w pełni nie zrozumiała dlaczego; zawsze stała chwilę z podniesionym dumnie czołem, jakby rzucając światu wyzwanie, po czym nagle obracała się na pięcie i podążała z powrotem, już szybciej, do swego domu pod lipami.

Regina obudziła się o świcie. Leżała chwilę z otwartymi oczyma. W szarawym świetle wczesnego letniego poranka zaczynały już być dostrzegalne kształty przedmiotów, jakie wypełniały ich wspólny pokój. Gdzieś tam, za sadem, wschodziło piękne, młode, różowe słońce. Zaczynał się dzień, który tak często sobie wyobrażała już podczas zimy, a który ostatnio nabierał coraz realniejszych kształtów, jakie nadawały mu zawekowane słoje bigosu, pachnące blachy z makowcem, świeżo wykrochmalone białe obrusy. I piękny długi stół, zbity specjalnie dla niej i całej ich rodziny przez Mateusza.

Regina wstała ostrożnie, tak żeby nie obudzić męża, narzuciła na plecy swoją wielką chustę i bezszelestnie wyszła z pokoju. W kuchni nastawiła czajnik, nie nakładając gwizdka, aby świst gotującej się wody nie obudził śpiącego za ścianą Aleksandra. Mieszając kawę, pomyślała przez chwilę, że słyszy wołanie sadu, i już-już miała odwracać się w stronę drzwi, iść tam, wprost na spotkanie wschodzącemu słońcu, kiedy przypomniała sobie, że do sadu już iść nie może,

i przebiegł ją nagły dreszcz. To było tak, jak czasem, w chwili nieuwagi, zapomina się o tym, że osoba, która niedawno odeszła, nie żyje, i ma się przemożną ochotę zawołać za nią. Kiedy świadomość straty powraca, człowiek po raz kolejny doznaje szoku — i tak wciąż, na nowo, dopóki nie oswoi się ze straszną rzeczywistością.

Regina stała na środku kuchni ze ściągniętym czołem. Przykładała swoje wyobrażenia do tego, jakim w istocie zapowiadał się dzień. Wreszcie sięgnęła po kubek z kawą i otuliwszy się szczelniej chustą, wyszła na ganek, wprost na chłód i wilgoć wczesnego poranka.

Niebo nad stodołą, za którą dźwigało się słońce, gwałtownie różowiało, ale podwórze było jeszcze zasnute delikatną mgłą. W powietrzu czuć było zapach rosy. Regina usiadła na starym krześle, pasiasta narzuta, która je okrywała, była wilgotna i zimna. Na blacie stołu zebrały się drobne kropelki. Jeszcze chwila i pierwsze spragnione języki słońca zlizą wilgoć, jaką okryty był świat, krople rosy w trawie rozjarzą się na moment wszystkimi kolorami tęczy pod słonecznymi promieniami i zaraz potem zginą od nich. Wstanie nowy dzień. Ale od tego momentu dzieliła świat jeszcze chwila — ulubiona przez Reginę pora dnia, stan zawieszenia, kiedy czas przystawał, kiedy noc już się skończyła, a dzień jeszcze nie nastał, był dopiero zapowiedzią samego siebie, jeszcze wszystko można było sobie wyobrazić, wszystko zaplanować. Nowy dzień leżał przed Reginą rozpostarty jak czysta kartka, czekająca na zapisanie. Pióro było w jej ręku. Uwielbiała to uczucie. Potem, w ciągu dnia wielokrotnie się irytowała — z chwilą kiedy pierwsze promienie słońca padały na sad, a potem na podwórze, czas i wydarzenia zaczynały z nią walczyć, usiłowały za wszelką cenę wymknąć się spod jej kontroli. Coś działo się za wcześnie, coś za późno, ktoś przychodził nie w porę, zwlekał lub za bardzo się śpieszył, słowa były wypowiedziane i nie dało się ich cofnąć, każdy gest i każde spojrzenie wprawiało w ruch maleńkie lawiny na pozór nic nieznaczących zdarzeń, i tak ciężko było nad tym wszystkim zapanować, ogarnąć, nadać wszystkiemu właściwe znaczenia i skierować na właściwy tor. Ileż wysiłku wymagało od niej chronienie ich przed nimi samymi, przed ich myślami i czynami, które wydawały się nie do okiełznania, kiedy mówili i działali bezmyślnie, nie rozumiejąc tej misternej układanki i bezwiednie usiłując ją zniszczyć. Bez przerwy, bez wytchnienia musiała nad nimi czuwać, żeby nie unicestwili się sami, błędząc na oślep w zawierusze życia. Nieraz brakło jej sił. Ale dzięki tej chwili każdego poranka Regina wciąż na nowo wierzyła, że z każdym kolejnym dniem uczy się coraz więcej i coraz większą ma moc, by nadać sprawom właściwy bieg. Ochronić ich wszystkich. Zaczynał się nowy dzień, a nowy dzień zawsze był nową nadzieją.

Tymczasem podwórze jaśniało. Jeszcze nie dosięgał tu żaden słoneczny promień, ale światło dnia już zaczynało rozlewać się nad równiną, przeciskać przez szpary i szczeliny, tam, dokąd bezpośrednie promienie jeszcze nie miały szans zajrzeć. Regina straciła na chwilę poczucie czasu.

Siedziała otulona swoją chustą, z kubkiem wystygłej kawy w dłoni. Jeszcze trochę, pomyślała, i przyjdzie pora przestawić się wyłącznie na ziółka. Ale to nie był ten poranek. Kawa wciąż przyjemnie ją pobudzała.

Z kuchni dobiegło ją bicie zegara. Była szósta. Jeszcze chwila i obudzi się Mateusz. Trzeba będzie rozstawić stół w starym sadzie, a przedtem złożyć namiot — Cyprian, rzecz jasna, nie pomyślał o tym. Zajrzeć do altanki i sprzątnąć popielniczkę Flory oraz puste filiżanki po kawie — Regina mogła się założyć, że znajdzie tam co najmniej trzy. Po niedzieli sprzątnie pokoik Filipa. Zadzwoi do Flory z informacją, ile rzeczy zostawiła ona sama, a ile zostawił jej syn. Ale to po niedzieli. Dziś było jej święto. Dzisiaj był ten dzień, który gdzieś tam, w zakamarkach jej wyobraźni formował się już od bardzo dawna — może nawet jeszcze wtedy, kiedy z wielkim już brzuchem, który skrywał Elusię, przechadzała się między świeżo posadzonymi jabłonkami. Tak, Regina była pewna, choć wtedy sobie tego nie uświadamiała — to tam ten dzień miał swój prapoczątek. Kiedy założyła rodzinę, stała się przewodniczką nowych ludzi, którzy kolejno pojawiali się na tym świecie — to wtedy w jej duszy narodził się ten dzień, dzień jej osobistego triumfu, dzień, który miał być hołdem dla niej, kiedy wszyscy, nad którymi czuwała i których chroniła przez tak niewyobrażalnie długi czas, których prowadziła przez życie, mieli zgromadzić się przy jej stole i wspólnie oddać cześć jej trosce i poświęceniu. Oddać cześć Przewodniczce i Karmicielce. Ten dzień miał być ukoronowaniem życia, które rozpoczęła dawno temu, kiedy pierwszy raz przekroczyła próg domu pod lipami.

Mgła zdążyła już podnieść się ponad podwórze i rozwiać w delikatnych podmuchach porannego wiatru, kiedy Regina usłyszała szelest. Ktoś nadchodził od strony starego sadu, prędkim, pewnym krokiem. Na ganku ukazała się drobna, jakby skurczona postać Maryni.

— Tak myślałam, że może już nie śpisz — powiedziała cienkim głosem Marynia. Miała czerwone, zapuchnięte oczy, które wyraźnie odcinały się od bladej, umęczonej twarzy.

Przysiadła skromnie na skraju krzesła. Ręce miała złożone na piersi — wyglądała, jak gdyby usiłowała utulić samą siebie.

— Witaj, Maryniu — powiedziała Regina.

Marynia pociągnęła nosem.

— Przychodzę tak wcześnie, ale spać nie mogłam i tak leżałam, i myślałam, że lepiej teraz przyjdę, jak u ciebie wszyscy śpią. Żeby nie przeszkadzać. Dzisiaj u ciebie rwetes będzie.

— To prawda — pokiwała głową Regina.

Przez chwilę siedziały w milczeniu.

— Jak się czujesz? — zapytała w końcu Regina.

— Oj, Renia, co ja ci będę mówić... — Po policzkach Maryni momentalnie popłynęły łzy,

ani odrobinę nie zmieniając wyrazu jej twarzy. Jak gdyby w środku Maryni wystarczyło odkręcić kran, a woda sama wylewała się przez jej wyblakłe oczy. — Co ja ci będę mówić, to jakbym ja sama umarła. Stach mi się śni, ilekroć zdołam zmrużyć oczy, i budzę się, a jego nie mogę namacać pod pierzyną. I dziwię się, gdzie on polazł tak wcześnie? Pewnikiem do komórki bimber nastawiać. I zaraz mi się przypomina wszystko, Renia, wszystko... — Płakała bezgłośnie, nawet nie ocierając policzków.

Regina pogłaskała ją po rękę.

— Ale, Renia, mam coś dla ciebie — powiedziała Marynia, wycierając nos rękawem. Rozluźniła uścisk, którym samą siebie opłotała, i oczom Reginy ukazała się butelka przezroczystego płynu. Marynia postawiła ją na stole.

— To bimber Stacha, ten... ostatni — powiedziała. — Ten, co to go pędził na twój jubileusz. Dziś nie mogłam spać i odważyłam się w końcu zajrzeć do tej komórki, co to Stach... I tam znalazłam. To dla ciebie.

— Ale... — zaczęła Regina i urwała. To, co chciała powiedzieć, było idiotyczne, ale czuła, że tak właśnie należało postąpić. — Ale to ostatni samogon Stacha, Maryniu — podjęła więc. — Jesteś... jesteś pewna? Bo to coś jak... Hmm, pamiątka.

Marynia przerwała jej ruchem ręki.

— To dla ciebie — powtórzyła. — Stach by na pewno tak chciał. On cię bardzo szanował, Renia. Zawsze powtarzał, że ty jesteś z innej gliny. Weź.

Podsunęła butelkę delikatnie w stronę Reginy.

Regina dotknęła butelki koniuszkami palców.

— Dziękuję wam — powiedziała cicho.

— Na zdrowie — odrzekła Marynia, a jej głos zabrzmiał naraz bardziej dziarsko. — Na twój jubileusz. Na rodzinne spotkanie.

Regina oparła podbródek na dłoni. Popatrzyła na Marynię.

— Nie wszyscy będą, Maryniu — powiedziała.

Marynia pokiwała smutno głową.

— Ale — Regina uśmiechnęła się i rzekła równie dziarsko jak Marynia — to nic, ja wiem, że oni wszyscy bardzo chcieli przyjechać, tylko ten świat jest taki... ciągle coś komuś wypada. Ale przyjedzie dziś Piotr i Monika, jest Ida, no i nasz Aleksander. On jest moim niespodziewanym gościem, Maryniu, a tacy goście zawsze wróżą coś dobrego, prawda? Jestem dobrej myśli.

— To dobrze, Renia — odpowiedziała Marynia i pociągnęła nosem. Z domu dobiegł je brzęk naczyń, to Mateusz wstał i zaparzał sobie herbatę do śniadania. — To ja już pójdę, Renia, wszystkiego dobrego ci życzę na twój jubileusz, wszelkiej pomyślności. Wszystkiego dobrego.

Regina podniosła się i wyciągnęła do niej dłonie. Marynia również wstała, uściśnęła rękę Reginy i szybkim, drobnym krokiem niemal zbiegła ze schodków i w okamgnieniu znikła w starym sadzie. Na skróty, przez warzywniak Reginy pobiegła do domu.



Piotr pewnie trzymał kierownicę i łagodnie prowadził samochód wąską szosą, która za parę kilometrów miała ich doprowadzić do jego rodzinnej wsi. Cicho grające radio nadawało wiadomości — była jedenasta. Chciał być na miejscu wcześniej, ale Monika grzebała się rano w łazience, a on zdecydował, że nie będzie jej poganiać. Nie chciał ryzykować kolejnej kłótni. Monika gotowa była z nim nie pojechać, a on nie zamierzał dopuścić do tego, żeby jej nieobecność uraziła jego matkę. Poza tym Idce byłoby przykro.

Kątem oka spoglądał na małżonkę, która przez boczną szybę obserwowała zmieniający się krajobraz. Mijali złociste pola, gdzieś tam już czerwieniły się masywne cielska kombajnów. Zieleń rosnących wzdłuż szosy drzew była spłowiała, jeszcze trochę i pojawią się pierwsze żółte liście. Piotr westchnął. Od ilu już lat pory roku zmieniały się niezauważalnie dla niego? Zwłaszcza lata, tego prawdziwego, rozbuchanego lata zazwyczaj nie dostrzegał, z klimatyzacją w pracy, w której spędzał nieraz po dziesięć godzin dziennie, z klimatyzacją w samochodzie, w którym przez kolejną godzinę przeciskał się przez zakorkowaną stolicę, żeby znaleźć się wreszcie w domu, gdzie przezornie w ciągu upalnych dni spuszczano rolety. Nieraz zazdrościł swojej córce, która pakowała plecak i wyjeżdżała do jego rodziców w porze zbiorów, w samym środku lata. Kiedy wracała, nawet nie musiał pytać, widział po jej minie, że lipiec był wyborny w tej małej wiosce, pachniał rozgrzaną trawą, smakował wiśniami, w dotyku był jak płynny miód z pasieki Stacha Żałoski. Skóra Idki też nabierała miodowej barwy, już nie była taka blada jak na co dzień.

Piotr westchnął, bo myśląc o córce, znowu przypomniał sobie jej idiotyczną decyzję o studiach. Nie rozumiał, nadal nie mógł pojąć jej zawiłych argumentów, dla niego to był zwykły kaprys, z którego konsekwencji młoda dziewczyna nie zdawała sobie sprawy. Ich zadaniem było powstrzymać ją przed tym bezmyślnym krokiem. Monika wyjątkowo podzielała jego opinię, chociaż podejrzewał, że z całkowicie odmiennych powodów. Szkoda tylko, że nie potrafiła przeprowadzić z własną córką rzeczowej rozmowy. Piotr był świadkiem jednej — Monika plątała się we własnych argumentach tak samo, jak Idka plątała się w swoich. W ten sposób mogły spędzić na jałowych dyskusjach okrągły rok, to jest dokładnie ten czas, który Idka dała sobie, żeby się wyszaleć. Czy też poznać życie. Piotr nie pamiętał, jak to dokładnie ujęła.

Liczył, że może chociaż jego matka stanie na wysokości zadania. Wiedziała o wszystkim, Piotr zadzwonił do niej na kilka dni przed przyjazdem Idki. Matka wysłuchała go życzliwie, po czym zapewniła, że jeśli tylko uzna za stosowne podjąć jakieś działania, na pewno to zrobi. Więcej żadnych obietnic i zapewnień nie usłyszał. Teraz więc Piotrowi pozostawało tylko mieć nadzieję, że matka uznała za stosowne przemówić najmłodszej wnuczce do rozumu. I że przedstawi jej lepsze argumenty niż Monika, która tłumaczyła Idce coś o kobiecej niezależności i samostanowieniu o sobie. Piotrowi pachniało to feminizmem, a feminizm jego zdaniem nie miał tu nic do rzeczy. Jego córka miała po prostu zdobyć wykształcenie, a nie sprzedawać piwo, koniec i kropka.

Na horyzoncie, w nieckowatym obniżeniu terenu dostrzegł zarysy znajomych od dziecka kęp drzew, nieduży sosnowy las, porzucane tu i tam domostwa. Zwolnił, bo zbliżali się już do krzyżówki, którą zawsze oblegała tutejsza młodzież. Minął kilka ubranych odświętnie kobiet, które szły poboczem, zapewne do kościoła. W domach na pewno pozostawiły gotujący się na wolnym ogniu niedzielny rosół. Właśnie tak powinna wyglądać niedziela, poranna msza, potem rodzinny obiad. Dwudaniowy, z deserem, taki, jaki zawsze podawała jego matka. Jeszcze raz spojrzął na żonę. Z beznamiętną twarzą przyglądała się mijającym kobietom.

Piotr nieraz przebiegał myślą ostatnie dwadzieścia parę lat swego życia, usiłując określić moment, w którym miejsce jego żony zajęła obca kobieta. Kiedy poznał Monikę, była na drugim roku polonistyki, pochłonięta całkowicie przez fikcyjny świat swoich książek. On kończył politechnikę, był młody, silny i miał wielkie plany. W planach tych było też miejsce dla uroczej towarzyszki życia, która byłaby mu wsparciem i zapewniła bezpieczne, domowe zaplecze. Podczas pewnego wiosennego popołudnia, kiedy spacerowali razem po parku Łazienkowskim, a Monika opowiadała coś o tym, że nie wie, co zrobić ze swym życiem, i że najchętniej studiowałaby nieprzerwanie, pod kierunkiem wielbionych przez siebie profesorów, Piotr doznał nagle olśnienia i zobaczył ją w fartuszkach, stojącą nad kuchenką, z chochlą do mieszania w jednej ręce i z książką w drugiej. Obraz ten wydał mu się tak idealnym wcieleniem ludzkiego szczęścia, że natychmiast poprosił Monikę o rękę.

Na początku wydawało się, że Monika, choć nieco oszołomiona szybkim rozwojem wypadków, doskonale wpasowała się w jego marzenia i instynktownie zajęła w nich przeznaczone jej miejsce. Uwielbiała ich pierwsze mieszkanie, dbała o nie, uczyła się gotować i z uśmiechem oczekiwała powrotów męża z pracy. Po kilku latach starań na świat przyszła Ida. Przez cały okres ciąży Monika była pogodna, dużo czytała i spokojnie czekała na rozwiązanie. Dopiero kiedy w domu pojawił się pomarszczony noworodek, jak gdyby nagle straciła rezon. Nie wiedziała, co począć z wrzeszczącym wniebogłosem niemowlęciem, które budziło się

o najdziwniejszych porach, bez przerwy wymagało karmienia i brudziło niepojętą ilość tetrowych pieluch. Piotr musiał przyznać, że we wczesnym dzieciństwie Idka była dość kłopotliwym dzieckiem, ale z drugiej strony jego koleżanki z pracy wychowywały nieraz i po troje dzieci i świetnie dawały sobie radę. Tymczasem kiedy kolej pójścia do pracy przyszła na Monikę — to było wtedy, gdy jego firma przechodziła kryzys i w domu zrobiło się krucho z pieniędzmi — okazało się nagle, że bycie matką, gospodynią i kobietą pracującą jednocześnie zupełnie przerasta jej możliwości. O roli żony Piotr już nawet nie wspominał. Kiedy więc jego firma znowu stanęła na nogi, pozwolił Monice zrezygnować z pracy, ale w domu poprawiło się tylko odrobinę. Monika rzadko kiedy wychodziła, przynajmniej pod tym względem nie miał jej nic do zarzucenia, ale dom i tak sprawiał wrażenie, jak gdyby nie była w stanie go ogarnąć. Gdy Ida była młodsza, Piotr próbował jeszcze walczyć o tę bezpieczną przystań, jaką zapamiętał z dzieciństwa, z obiadem, kwiatami na stole i zapachem świeżo rozwieszzonego prania. Całkiem niedawno machnął ręką. Z Moniką rozmawiało mu się coraz trudniej, coraz częściej miał wrażenie, że ona zupełnie nie rozumie, co on do niej mówi, a znowu Idka była już prawie dorosła. Nie potrzebowała normalnego domu tak bardzo jak wcześniej.

Piotr ocknął się parę metrów przed krzyżówką i w ostatniej chwili zgrabnie skręcił w lewo. Mijali drewniane chałupki przycupnięte w kolorowych ogródkach, z białymi firankami w oknach, ocienione kasztanami, dębami i ogromnymi krzakami przekwitłego bzu. Jeszcze trochę i za oknami mignęła stojąca na zakręcie kapliczka, potem szosa usunęła się im spod kół i skręciła dalej w lewo, a oni pojechali prosto, polną drogą, minęli sosnowy lasek, skręcili na rozstajach. Na podwórze rodziców wjechali w chwili, kiedy spiker w radiu radośnie obwieszczał, że jest dziesięć po jedenastej.



Piotr wysiadł z samochodu i rozejrzał się po podwórku. Nie zauważył nikogo. Ganek także był pusty. Podszedł do bagażnika, otworzył go i wyjął ogromny bukiet przepysznych czerwonych róż oraz małą złotą paczuszkę, w której znajdowały się drogie perfu my. W perfumerii spędził prawie godzinę, wyszedł stamtąd oszołomiony zapachami i z nadciągającym bólem głowy, ale był bardzo zadowolony — jeszcze raz spojrzął z dumą na swój prezent, wytworny i elegancki, idealny na tak dostojną okazję. Monika wysiadła z samochodu, zatrzasnęła drzwi i czekała, aż on zamknie bagażnik. Wyglądała bardzo ładnie, w nowym kostiumie, z zaczesanymi gładko do tyłu jasnymi włosami. Piotr zatrzasnął bagażnik, ruchem głowy wskazał dom i oboje bez słowa wspięli się po schodkach na ganek, a stamtąd, bez pukania weszli do kuchni.

Regina siedziała plecami do wejścia, naprzeciwko niej siedziała Ida, obie były zajęte nakładaniem jakiejś burej masy do wydrążonych połówek ugotowanych jajek. Obok Idy siedział jakiś nieznajomy staruszek z siwą brodą, który skrupulatnie kroił cebulę na dużej drewnianej desce.

Piotr chrząknął, Ida i staruszek podnieśli głowy, Regina obróciła się na krześle.

— O! — powiedziała. — Już jesteście.

— Już jesteście? — zapytała w tej samej chwili Ida, z zaskoczeniem w głosie. — Mówiłeś, że przyjdziecie dopiero na obiad.

— Jesteśmy jeszcze niegotowi — wyjaśnił staruszek, patrząc na przybyłych jasnym wzrokiem.

— No to macie małą niespodziankę — powiedział Piotr. — Mamo, pozwól, że od razu złożę ci życzenia.

— Tak w kuchni? — wtrąciła zdumiona Ida, ale Piotr zignorował córkę. Stał elegancki, w kremowym garniturze, z naręczem róż w dłoni, tuż za nim uśmiechała się Monika.

— Mamo, cóż możemy powiedzieć? Żyj nam w zdrowiu, jak dotychczas, niech ci się spełniają wszystkie twoje marzenia. Niech rodzina będzie dla ciebie źródłem radości. Dziękujemy ci, mamo, że jesteś z nami. — Z tymi słowy wyciągnął róże w stronę jubilatki.

Regina wytarła rękę w ścierkę i przyjęła ciężki bukiet.

— A to taki drobiazg dla ciebie — dodał Piotr, wkładając jej w drugą dłoń złotą paczuszkę.

Monika podeszła do teściowej i ucałowała ją w obydwie policzki, z niejakim trudem, bo między nią a Reginą znajdowała się teraz ogromna kolczasta wiązanka.

— Wszystkiego dobrego, mamo — powiedziała.

— Dziękuję wam — odrzekła Regina, wodząc wzrokiem od bukietu do paczuszki, które trzymała w rozłożonych dłoniach. Przez chwilę wyglądała, jak gdyby nie wiedziała, co ma z tym wszystkim zrobić. Potem podniosła wzrok na syna i synową.

— Zapraszam was na ganek, tu nie ma za bardzo jak usiąść. Zaraz zrobię kawę.

Aleksander chrząknął za jej plecami.

— A tak — powiedziała Regina. — To jest nasz stary przyjaciel, Aleksander. Aleksandrze, to mój syn i synowa. Poznajcie się.

— Bardzo mi miło, bardzo — powiedział Aleksander, przechylając się ponad stołem i wyciągając dłoń do Moniki i Piotra. — Jestem przyjacielem jeszcze z czasów, kiedy byliśmy bardzo młodzi.

— Cała przyjemność po mojej stronie — rzekł Piotr, ściskając podaną mu dłoń. — Cześć, mała — dopiero teraz zwrócił się bezpośrednio do córki. — Co tam robisz?

— Robimy z babcią jajka faszerowane — poinformowała go Ida.

— A ja siekam cebulkę do tataru — dodał Aleksander. — Jestem mistrzem w przygotowywaniu tataru, przekona się pan. Gina pozwoliła mi samemu się tym zająć.

Regina napełniała pod kranem wazon. Monika przytrzymywała jej bukiet.

— Może ci w czymś pomóc, mamó? — zapytała.

— Nie trzeba — odrzekła Regina. Zakręciła kran. Wazon, skądinąd słusznych rozmiarów, był komicznie mały w zestawieniu z ogromnym pękiem długich, smukłych róż.

— Chyba trzeba go będzie o coś oprzeć — zauważyła Monika.

— Postaw go na ganku, pod ścianą — powiedziała Regina. — Potem zabierzemy go do starego sadu.

— Obiad będzie w starym sadzie — wyjaśniła matce Ida. — Dziadek zbił specjalnie stół, zaraz go będziemy nakrywać. Wszystko miało być gotowe przed waszym przyjazdem, zaskoczyliście nas.

— Aha — odrzekła Monika i spojrzała na męża.

Piotr podszedł do żony, stanął obok niej.

— Słyszałem, że Elżbieta i Aśka nie przyjadą — powiedział.

— Już były — poprawiła go Regina.

— No tak. W każdym razie kłopot z głowy. — Piotr zatarł ręce. — Nie ma potrzeby robić sobie tyle zachodu, mamó, z tym stołem w starym sadzie. Doskonale pomieścimy się wszyscy na ganku.

Monika bez słowa wyszła z bukietem z kuchni.

— Poza tym — kontynuował Piotr z promiennym uśmiechem — my i tak musimy dziś wcześniej wyjechać. Nasi znajomi obchodzą srebrne wesele.

W kuchni na moment zapadła cisza. Słyszać było tykanie starego ściennego zegara.

— Wcześniej to znaczy o której? — zapytała Regina spokojnie.

— Chcemy wyjechać najpóźniej o trzeciej. Mam nadzieję, że zdążymy zjeść obiad, co?

— Naturalnie — pokiwała głową Regina. — Iduniu, zostaw te jajka i obierz ziemniaki. Na szczęście przygotowałam już kurczętą, pozostało tylko włączyć piekarnik.

— Ale... — zaczęła Ida, ale Regina jej przerwała:

— Skończę jajka później, nie przejmuj się.

Ida bez słowa, nie patrząc na ojca, pozostawiła połówki jajek na stole i wyszła do sieni po ziemniaki.

— Widzę, że mamy też flaczki — mówił tymczasem Piotr, zaglądając do wielkiego gara stojącego na kuchence. — Cudownie.

— Gina, a co ja mam teraz robić? — zapytał nieśmiało Aleksander.

— Możesz poszukać Mateusza — odrzekła Regina, zapalając gaz pod garem. — I przyprowadź go, zaraz będą flaki.

— Mamo, a jak ojciec się czuje? — zainteresował się Piotr, napełniając sobie szklankę sokiem ze stojącego na szafce kartonu. — Pewnie bardzo przeżył ten sad? Całe szczęście, że zbiory już dobiegały końca...

— Istotnie — odparła Regina.

Piotr uśmiechnął się i dodał:

— No widzisz, mamo, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Aleksander z uprzejmym uśmiechem minął go i wyszedł z domu. Przez otwarte okno dobiegały głosy Idy i Moniki. Alek sander przystanął na moment, zamienił z nimi kilka słów, po czym jego głos ucichł. Regina obserwowała przez drugie okno, jak szybkim krokiem zmierzał w stronę stodoły.



Kurczęta przyrumieniły się pięknie akurat w momencie, gdy Ida odcedzała ziemniaki, a Regina naprędce kończyła surówkę z białej kapusty. W zlewie piętrzyła się sterta miseczek po flaczkach. Przez otwarte okno dobiegały głosy Piotra, Mateusza i Aleksandra; Monika stała w drzwiach kuchni z niepewną miną, obserwując, jak córka i teściowa krzątają się wokół obiadu.

— Może pozmywam? — zaproponowała w pewnej chwili.

— Nie trzeba — odpowiedziała Regina, próbując surówki. — Pochłapiesz się tylko.

— Możesz zabrać talerze na ganek — powiedziała Ida, przekładając ziemniaki na ogromny półmisek.

— Oczywiście.

Po chwili usłyszały, jak Monika rozkłada talerze i sztućce na stole. Nie wróciła już do kuchni. Ida przez okno podawała jej półmiski z ziemniakami i kurczętami, salaterkę z surówką, dzbanek z kompotem. Regina wyjęła jeszcze z szafki kolorowe serwetki, które kupiła na jubileusz Flora, i obie z Idą wyszły z kuchni na ganek.

— Takie jest moje zdanie, tato — mówił właśnie Piotr, najwyraźniej kończąc dłuższą wypowiedź. — Dochód był z tego żaden, nie zaprzeczysz chyba, i pora pomyśleć rozsądnie. Zwłaszcza w takich okolicznościach.

Monika stała oparta o poręcz ganku, patrzyła w stronę stodoły. Mateusz przyglądał się uważnie swoim splecionym dłoniom, nie odpowiadał. Ida zauważyła, że Regina, siadając przy

stole, spojrzała uważnie na jego twarz, potem przeniosła wzrok na syna. Ona również nic nie powiedziała.

— Jeśli pan pozwoli, panie Piotrze — odezwał się nagle Aleksander. — Myślę, że pański ojciec ze wszystkiego doskonale zdaje sobie sprawę i na pewno w odpowiednim czasie podejmie słuszną decyzję.

Regina uniosła brwi, Idzie wydawało się przez moment, że przez jej twarz przemknął cień niedowierzania. Potem się uśmiechnęła.

Monika oderwała się od poręczy.

— Poza tym przyjechaliśmy na urodziny — powiedziała, siadając obok Idy. — Mamo, pachnie wspaniale.

— Dziękuję — odrzekła Regina z uśmiechem.

Mateusz rozlał do kieliszków ciemnoczerwoną nalewkę.

— Twoje zdrowie, Gina! — Aleksander uniósł swój kieliszek w stronę jubilatki, wychylił go jednym haustem, po czym zabrał się do kurczaka. — Doskonale, doskonale — mruzczał.

Monika umoczyła usta w nalewce. Ida otworzyła sobie przyniesione z lodówki piwo.

— Pamiętaj, że wyjeżdżamy o trzeciej — przypomniał córce Piotr. — Zdążysz się spakować?

— Zdążę — westchnęła Ida i kątem oka zerknęła na Reginę, ale ta zajęta była nakładaniem Mateuszowi surówki. — Tato, nie teraz, co?

— Tylko ci przypominam — wzruszył ramionami Piotr. — Zbyt wiele razy byłem w życiu zmuszony na ciebie czekać.

Monika uśmiechnęła się leciutko i tylko do siebie.

— A właśnie... — Aleksander odchrząknął i otarł usta wzorzystą serwetką. — Skoro o wyjeździe mowa...

Regina podała salaterkę Idzie i spojrzała na Aleksandra.

— Tak jak mówiłem, Gina — zwrócił się do niej Aleksander — najwygodniej byłoby mi zabrać się z państwem do Warszawy.

— Naturalnie, to żaden problem — wtrącił Piotr. — Jeśli pan zdąży przygotować się do wyjazdu o trzeciej...

— Tato...

— Oczywiście — rozjaśnił się Aleksander. — Pięć minut i będę spakowany. Byłbym bardzo wdzięczny.

— No proszę, jak świetnie się złożyło — powiedziała Regina.

Mateusz chrząknął. Ida powoli kręciła głową.

— Myślałem, że jeszcze sobie pogawędzimy — mówił tymczasem Aleksander. —

Pożegnamy się na spokojnie. Ale skoro tak wyszło... Zresztą co to za różnica, Gina, prawda? I tak wam już długo siedzę na głowie.

— Nie przejmuj się, Olo.

W ciszy, która nagle zapadła, dał się słyszeć kuchenny zegar, wybijający pierwszą.

— No to jedzmy — zatarł ręce Piotr.

Sztućce brzęknęły o porcelanowe talerze. Przez chwilę jedli w milczeniu, nie podnosząc głów, skupieni na kurczakach, które jak zwykle sprawiały kłopot przy próbach eleganckiego ich spożycia. Wiał lekki wiatr, ale na ganku było zacisznie; powietrze, które od czasu burzy zrobiło się lżejsze, już tak nie zalegało na ramionach, a cień rzucany przez dzikie wino wreszcie dawał chłód.

— A może przekazesz swoim rodzicom wielką nowinę? — zagadnęła niespodziewanie Regina, uważnie oddzielając mięso od kości. Była jedyną znaną Idzie osobą, która potrafiła zjeść kurczaka, używając wyłącznie sztućców.

Monika i Piotr podnieśli głowy, utkwili w córce pytające spojrzenia. Na twarzy Moniki odmalował się przestach. Ida pomyślała z ironią, jak bardzo niewiele odbiegają od rzeczywistości kobiece obawy jej matki. Tak naprawdę to była nowina, którą chętnie by się z matką podzieliła, gdyby matka nie była matką, a ona nie była jej córką, gdyby były po prostu dwiema kobietami, bez żadnych powiązań i zależności. Gdyby jedna mogła tak po prostu opowiedzieć o tym drugiej.

— Postanowiłam zdawać jednak na studia — powiedziała spokojnie i omal nie parsknęła śmiechem na widok niewymownej ulgi, jaka odbiła się jednakowo na ich tak różnych twarzach.

— Córeczko... — wyszeptała Monika, a Piotr w tej samej chwili plasnął otwartą dłonią w udo.

— No nareszcie! — zawołał, zagłuszając żonę. — Dzięki Bogu, mała, poszłaś wreszcie po rozum do głowy! Tato, polej, trzeba uczcić najmądrzejszą życiową decyzję mojego dziecka. Szkoda, że dziś prowadzę, naprawdę.

— Tato, przestań. — Ida wywróciła oczami i w tej samej chwili poczuła na sobie wzrok Reginy. — Zdecydowałam, jak zdecydowałam, zawsze ze wszystkiego musisz zrobić cyrk.

— Idunia chce powiedzieć, żebyście nie nadawali takiej wagi jej decyzjom — wtrąciła Regina. — Jeszcze za wcześnie na to. Nie kładźcie jej na barki takiego ciężaru.

— Nie rozumiem, o co wam chodzi, ale ja osobiście bardzo się cieszę — powiedział Piotr, po czym sięgnął jednak po kieliszek żony i upił z niego mały łyk. — Popatrzcie, jaki niespodziewanie udany dzień. Kto by pomyślał.

— O tak — zgodziła się Regina. — Kto by pomyślał.



Szły w milczeniu przez mroczny stary sad, aż dotarły do bujnego warzywniaka Reginy. Dookoła panowała martwa, popołudniowa cisza, tylko z daleka dobiegały głosy biesiadujących na ganku członków rodziny. W rządках marchwi spała kotka Żałusków; spłoszona odgłosem zbliżających się kroków, czmychnęła niespodziewanie tuż pod ich nogami i pomknęła na przełaj w sobie tylko znanym kierunku. Monika przystanęła, wystraszona. Regina, nie oglądając się na nią, skręciła w lewy koniec ogrodu.

Nad zagonem ogórków drgały zawieszane w powietrzu żółte motyle. Regina pewnie stapała po niewidocznych ścieżynkach, które wiły się między spływającymi na ziemię liśćmi i płożącymi się łądogami. Pochylała się co chwila i wyłuskiwała z tej zielonej płataniny zgrabne ogórki, które wrzucała do koszyka. Monika nadal stała na skraju warzywniaka, nie śmiejąc uczynić ani jednego kroku więcej — dla niej ścieżki były zupełnie niedostrzegalne i obawiała się, że rozdepta najcenniejsze, wypielegnowane okazy swej teściowej.

— Dam ci jeszcze trochę pomidorów — odezwała się Regina, nadal pochylona nad zielonym labiryntem.

— Dziękuję, mam, naprawdę nie trzeba.

— Nie dostaniesz takich na targu.

Monika nieśmiało rozglądała się po buchającym zielonością ogrodzie teściowej. Na pierwszy rzut oka panował tu nieład i rozgardiasz, ale Monika za dobrze знаła Reginę, aby dać się zwieść pozorom. Wiedziała, że Regina doskonale panuje nad tym rogiem obfitości. Monika co prawda nie była w stanie tego ocenić, ale zgadywała, że grządki na pewno były wypielone na czas i wszystko rosło dokładnie tak, jak powinno. Z pewnością na żadnym targu nie było takich pomidorów, jakie rosły u Reginy.

— Narwę jeszcze trochę malin dla Idy. A wracając, wstąpimy do piwnicy, mam tam już gotowy sok. Ona się często przeziębła, będziesz miała dla niej na zimę.

— Po co mama robi sobie tyle kłopotu...

— Przecież nie masz soku w domu, prawda?

Monika w milczeniu pokręciła głową. Nie, nie miała, podobnie jak nie miała żadnych innych przetworów, od których uginały się drewniane półki w ziemiance Reginy.

— No właśnie.

Monika nagle poczuła ukłucie w sercu. Nie była to złość, nie ośmieliłaby się odczuwać złości w towarzystwie teściowej. To był raczej jakiś dziwny, przeszywający smutek. Chrząknęła.

— W ogóle pilnuj Idy — ciągnęła Regina, wyszukując pomiędzy wspartymi na drewnianych żerdkach łądogami najpiękniejszych pomidorów. — Ona pewnie jeszcze nie raz będzie chciała

rzucić studia. Albo zmienić. Musisz nauczyć się rozpoznawać, kiedy to będzie jej kaprys, a kiedy rzeczywista potrzeba. Musisz rozumieć ją lepiej niż ona sama, inaczej jej nie pomożesz.

Monika kiwała głową. W sercu kłuło ją coraz dotkliwiej. Przełknęła ślinę.

— Dziękuję, mamó, że ją przekonałaś. Spadł nam kamień z serca.

— Nie przekonywałam jej — powiedziała Regina, umieszczając w koszyku dorodne pomidory. — Sama doszła do tego wniosku. Potrzebowała po prostu trochę czasu. A może stało się coś, dzięki czemu zrozumiała pewne sprawy. Trudno mi powiedzieć. W każdym razie ja nie miałam z tym nic wspólnego.

W to akurat Monice ciężko było uwierzyć. Stało się jak zawsze, teściowa wkładając o wiele mniej wysiłku, osiągała o wiele lepsze rezultaty niż ona sama. Tak było z przetworami, tak było z Idą. I tak jak zawsze Monika westchnęła na myśl o tym, jaką życiową niedołęgą musi się jawić w oczach Reginy. I tak jak zawsze zabolęło ją to, jak gdyby spotykała ją jakaś niesprawiedliwość i krzywda.

— Pewnie uważasz, mamó, że nie jestem najlepszą matką — powiedziała nagle i sama się zdziwiła, słysząc to zdanie. Jak gdyby zamierzała je tylko pomyśleć, a ono wymknęło się spod jej kontroli, samo wypłynęło na usta i niefrasobliwie podążyło w kierunku stojącej opodal teściowej. Regina wydawała się tym równie zaskoczona jak Monika, bo wyprostowała się i spojrzała na nią uważnie.

— Dlaczego tak sądzisz?

— I pewnie uważasz, że nie jestem dobrą żoną dla twojego syna. — Monika słuchała swoich myśli, które wydobywały się na zewnątrz i harcowały w powietrzu, dźwięcząc jej w uszach.

Regina podniosła pełny koszyk z ziemi i ruszyła w stronę malin.

— Nie rozumiem, skąd ten pomysł — powiedziała przez ramię.

Monika musiała ruszyć za nią. Maliny rosły w przeciwległej części ogrodu.

— A może po prostu nie każdy został stworzony do roli, jaką akurat wypadło mu grać w tym teatrze — już nie tylko zdania, ale i ton głosu stawał się zuchwały.

Dotarły do gęstych krzaków malin. Regina przystanęła i zaczęła zwinnie skubać drobne owoce. Monika zatrzymała się kilka kroków za nią.

— Nigdy nie myślałam o tym w takich kategoriach — odezwała się Regina. — Nie uważam, żebym miała prawo cię oceniać. Może łatwiej jest być babką niż matką. Może łatwiej jest być matką niż żoną.

Monika milczała.

— Kocham go jako syna, ale czy kochałabym go jako mężczyznę? To jest twoje życie, Monika, nie moje. Nie musisz mi się tłumaczyć ze swoich decyzji. Każdy ma prawo być

szczęśliwy po swojemu.

Monika zagryzła wargi.

— Równie dobrze to ja mogłabym cię przeprosić — ciągnęła tymczasem Regina — za to, że nauczyłam go takiego domu, jakiego ty nie byłeś w stanie odtworzyć. Zamiast dać ci główną rolę, on każe ci być dublerką, skoro już użyłaś tego porównania. Ale widzisz, ja przez całe życie postępowałam tak, jak uznawałam za słuszne. Mogłam się oczywiście mylić. Ale przeproszać nie będę.

Regina odwróciła się nagle od rozłożystego krzaka i popatrzyła na Monikę.

— Skończyłam — powiedziała, podając jej koszyk. — Możemy wracać.

Ruszyła przez stary sad w stronę domu.

Piotr już czekał przy samochodzie, rozmawiał z Mateuszem, ale na jego twarzy widać było zniecierpliwienie. Aleksander stał obok, gotowy do drogi. Regina wyprzedziła Monikę i nie oglądając się na nią, skręciła do ziemianki. Skrzypnęły ciężkie drzwiczki. Po chwili Regina wynurzyła się stamtąd z powrotem i zniknęła z kolei w domu. Monika podeszła do otwartego bagażnika, który czekał na plecak Idy, i ustawiła koszyk z warzywami obok spoczywającej tam walizki Aleksandra. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła Reginę schodzącą po schodkach ganku. Teściowa niosła w objęciach butelki soku i srebrne zawiniątka.

— Ida kazała powiedzieć, że już schodzi — poinformowała syna, po czym wyciągnęła zawiniątka w stronę Moniki. — Zapakowałam wam sałatkę jarzynową, kroiliśmy wczoraj z Idą. I trochę tataru, to popisowe danie Ola. Olo, możesz uznać, że to od ciebie, i przestać im tak dziękować za to podwiezienie.

— Doskonale — rozjaśnił się Aleksander.

— A na tym półmisku, Monika, są jajka faszerowane, uważaj na nie podczas jazdy. W domu będziesz tylko musiała dodać majonez, bo już nie zdążyłam.

— Mamo, naprawdę...

— Nie ma za co — przerwała jej Regina i Monika umilkła.

Piotr spojrział na zegarek, po czym stanowczym ruchem sięgnął w głąb samochodu i preraźliwie zatrąbił. W tym samym momencie wejściowe drzwi otworzyły się gwałtownie i z ganku zbiegła Ida z niedopiętym plecakiem i parą dzinsów w ręku.

— Przestań robić szopkę — burknęła do ojca.

Piotr wyraźnie powstrzymał się od komentarza, wziął plecak z rąk córki, wrzucił go do bagażnika i zatrzasnął go z hukiem.

— Do widzenia — rzucił, usiadł za kierownicą i stamtąd wymownie spojrział na Idę.

Ale ona nie patrzyła na niego.

— Babciu... — zaczęła, ale Regina jej przerwała.

— Powodzenia na egzaminach, Iduniu — powiedziała. — Teraz, kiedy się już zdecydowałaś, nie wypada nigdzie się nie dostać.

Monika, stojąc z boku z półmiskiem jajek w ręku, obserwowała zaintrygowana, jak Ida i Regina patrzyły sobie w oczy i na ustach obu zaigrał nagle ten sam uśmiezek. Przy czym u Idy niemal natychmiast zgasł, zniknął, kiedy tylko odwróciła się do Mateusza. Monika przez chwilę nie widziała jej twarzy, ale wystarczyło, że usłyszała teścia.

— No coś ty, Iduniu — powiedział staruszek drżącym głosem. — No coś ty.

Monika usłyszała, jak córka pociąga nosem.

— Nie zdążyłam pójść do sadu — powiedziała Ida, której głos drżał jeszcze bardziej niż głos Mateusza.

Mateusz pogłaskał Idę po policzku, a ona mocno go przytuliła.

— Czy mógłbym usiąść z przodu? — pytał tymczasem Aleksander.

— Oczywiście — dobiegł z głębi samochodu zirytowany głos Piotra.

Zadowolony Aleksander usadowił się na przednim siedzeniu i stamtąd pomachał Reginie ręką.

— Do widzenia, Gina — powiedział. — Jeszcze raz dziękuję za gościnę. Do widzenia, Mati!

— Do widzenia, Olo — odrzekł Mateusz, wypuszczając Idę z objęć. — Bardzo się cieszę, że przyjechałeś.

— Wiem. — Aleksander pokiwał głową, a Regina roześmiała się nagle, zupełnie niezrozumiale dla Moniki.

— Szerokiej drogi — dodał Mateusz, który też się nagle uśmiechnął, a Regina odwróciła się do Moniki i wyciągnęła do niej rękę.

— Odwagi — powiedziała tylko, ściskając jej dłoń.

— Do widzenia, mamó — wyjąkała Monika, odwzajemniając uścisk tak leciutko i niepewnie, że teściowej musiało się wydawać, że ściska wilgotny, martwy przedmiot.

Usiadła na tylnym siedzeniu, z półmiskiem tych nieszczęsnych jajek na kolanach, obok Idy, która pociągała nosem i patrzyła uparcie przez okno, a za plecami Aleksandra, który, nim Piotr zdążył włączyć radio, rozpoczął barwną opowieść o tym, jak przyjechał przed laty do drewnianego domu pod lipami, i wytrwale snuł swe wspomnienia aż do samej Warszawy.



Zbyszek bardzo dawno nie był już w drewnianym domu pod lipami. Tamtego pamiętnego lata

zresztą też bywał w nim niezmiernie rzadko — najczęściej razem z Hanką czekał na Beatę na drodze, tuż pod oknem lipnego pokoju, albo siedział z Robertem w starym sadzie. Sam dom był twierdzą pani Reginy, a Zbyszek wolał nie wchodzić jej zbyt często w drogę. Czuł, że to nie jest miejsce dla niego.

Trudno powiedzieć, kiedy zdecydował, że jednak przyjdzie z wizytą. On sam nie umiał tego określić. Może już wtedy, kiedy Beata przyszła do jego sklepu i siedzieli razem pod kasztanem, pijąc zimne piwo, a może dopiero wtedy, kiedy ten pomysł mimochodem podsunęła mu Flora. Decyzja dojrzewała w zakamarku jego duszy, aż wreszcie dziś rano, leżąc jeszcze w łóżku z rękami pod głową, Zbyszek pomyślał, że niepotrzebnie tak się waha. Nie było nic dziwnego w tym, że zajrzy do nich w leniwe, niedzielne popołudnie, wszak byli wszyscy starymi znajomymi. A potem może sprawy potoczyłyby się jakoś tak zgrabnie, że udałoby się wyciągnąć Beatę na spacer.

W ciągu roku rzadko o niej myślał, a jednak cały czas jej postać czaiła się gdzieś tam w jego wyobraźni. Kiedyś Beata była dla niego kimś z lepszego czasu, który miał dopiero nadejść, ale kiedy — tego Zbyszek nie wiedział. Czekanie, jakie się z tym wiązało, przyjmował jako coś oczywistego, przeciwko czemu nie zamierzał się buntować i w czym potrafił nawet odnaleźć pewną przyjemność. Kiedyś — to było cały czas w nieokreślonej przyszłości, a do przyszłości Zbyszek zawsze odnosił się z cierpliwością i bez ponaglenia. Ta prosta filozofia bardzo mu pomogła, kiedy niespodziewanie zmarł jego ojciec. Dzięki niej nigdy nie miał poczucia, że stojąc za ladą rodzinnego sklepiku, stoi w miejscu. Chwilowo po prostu jego życiem zawładnęła teraźniejszość, a przyszłość odsunęła się jeszcze bardziej w przyszłość, na jeszcze odleglejszy czasowy plan. Ale przecież nie zniknęła całkowicie.

Od kilku dni jednak w głowie Zbyszka uporczywie dźwięczały beztroskie słowa Roberta. Może była jakaś racja w tym, co powiedział stary przyjaciel, może ta jego cierpliwość była tak naprawdę zgrabnie zamaskowanym lękiem. I chociaż Zbyszek nadal uważał, że wszystko, co ważne, dzieje się samo, to jednak od kilku dni prześladowała go myśl, że może jednak powinien trochę dopomóc wydarzeniom. Nie widział Beaty przez długi czas, uczucia wyblakły i nie miał już do stracenia tyle co kiedyś. Poza tym skądś wziął się jeszcze ów tajemniczy mężczyzna, który pojawił się w sklepie i z którym Beata wtedy wyszła. Zbyszek nigdy nie rozważał istnienia innych mężczyzn w jej życiu. Jeśli byli, to w niedostępnym dla niego świecie, a więc dla Zbyszka równie dobrze mogli nie istnieć w ogóle. Nigdy jakoś się nimi nie przejmował.

Tym razem jednak rywal pojawił się na jego własnym terytorium. Robert zarzucił mu, że jest tchórzem. I Beata była ciągle taka ładna.

Szedł polną drogą, już z daleka widząc stojący wśród złocistych pól drewniany dom

i wyniosłe lipy. Było popołudnie, dochodziła czwarta, upał zelżał i było przyjemnie ciepło. Wiał mocny, suchy wiatr. Zbyszek czuł pod koszulą niespokojne serce i uśmiechnął się sam do siebie. Miał ochotę roześmiać się głośno, a jednocześnie czuł, jak bardzo z nerwów zeszywniał mu kark. Na podwórko wszedł, nie wiedząc już, czy bardziej jest podekscytowany, czy zestresowany.

Na ganku nie było nikogo. Zbyszek zawahał się przez moment, a potem szybkim krokiem pokonał schodki i głośno zapukał do drzwi. Odczekał chwilę, zapukał znowu. Nikt nie odpowiedział.

Cofnął się na ganek i podszedł do uchylonego okna, za którym, jak pamiętał, była kuchnia. Nasłuchiwał przez chwilę, potem ostrożnie odchylił firankę i zajrzał do środka. Tu również nie było nikogo, z głębi domu nie dobiegały żadne odgłosy. Zbyszek odczekał jeszcze chwilę, po czym wolno zszedł z ganku. Emocje opadły tak nagle, jak nagle się pojawiły. Czuł ogromny zawód. Westchnął i już miał wyjść na drogę, kiedy niespodziewanie między śpiwnymi podmuchami wiatru usłyszał głosy dobiegające zza domu. Znowu podskoczyło mu serce i już bez wahania ruszył w tym kierunku.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, był piękny długi stół stojący na samym środku starego sadu, pod ogromnymi, starymi jabłoniami. Pan Mateusz ustawiał krzesło przy jednym jego końcu, jeszcze jedno krzesło stało nieopodal, czekając na swoją kolej. Pani Regina walcząc z wiatrem, układała na stole śnieżnobiały obrus. Na ziemi, przykryte folią, stały półmiski. Zbyszek chrząknął i podszedł bliżej.

— Dzień dobry — powiedział, czując się bardzo głupio.

Pani Regina podniosła głowę.

— Dzień dobry, Zbyszku — odrzekła, a pan Mateusz pokiwał głową i obdarzył go jasnym uśmiechem. Wymamrotał pod nosem coś, co najprawdopodobniej było powitaniem, po czym zajął się ustawianiem drugiego krzesła w przeciwległym końcu stołu.

Dopiero wtedy Zbyszek przypomniał sobie o jubileuszu, o którym wspominał Robert. Zaklął w duchu. Liczba półmisek oczekujących na ustawienie na stole wskazywała na to, że zaraz ze wszystkich zakamarków domostwa wychynie cała rodzina. Nie można było chyba misterniej dobrać momentu, w którym zdecydował się pojawić z planem wyciągnięcia Beaty na dyskretny spacer. Opatrzność wykazała się niesłychanym poczuciem humoru.

— Szukam Roberta, mam do niego... sprawę — powiedział, starając się, żeby jego głos zabrzmiał pewnie. Czuł się okropnie, był intruzem na rodzinnej uroczystości, o której zapomniał i na którą nikt go nie zapraszał, stawiając w dodatku panią Reginę w kłopotliwej sytuacji. Wypadało jej teraz zaprosić go do stołu, chociaż na pewno nie życzyła sobie obecności obcych w dzisiejszym dniu, a z jego strony, mimo tej świadomości, niegrzecznie było jej odmówić.

— Roberta nie ma — powiedziała pani Regina, a Zbyszek natychmiast oczami wyobraźni ujrzął siebie siedzącego wśród ciotek i wujków Beaty, pozbawionego nawet tego wątpliwego wsparcia, które mogło płynąć z obecności przyjaciela. Bezwiednie westchnął.

— Szkoda — powiedział, a pani Regina schyliła się po półmisek z czymś, co wyglądało na tatara, i ustawiła go na stole.

Zbyszek czuł, że powinien zaproponować pomoc, trzeba było przynieść więcej krzeseł, a z drugiej strony może była jeszcze szansa, żeby się stąd oddalić, wycofując się tym samym z niezręcznej sytuacji. Należało się pożegnać, zanim nadejdą pozostali członkowie rodziny. Zbyszek przestąpił z nogi na nogę, chcąc coś powiedzieć, ale pani Regina go uprzedziła.

— Jeżeli zaś szukasz Beatki — powiedziała spokojnym głosem, ostrożnie podnosząc z ziemi paterę z oszłamiającym tortem — to jej również nie ma. — Ustawiła tort i odeszła kilka kroków, żeby ocenić, czy stoi dokładnie na środku. — Już nikogo nie ma, Zbyszku, przyszedłeś jak zwykle za późno.

To mówiąc, podniosła głowę i popatrzyła na niego z dziwnym uśmiechem. Pan Mateusz chrząknął. Zbyszek przełknął ślinę.

— No... cóż... — wyjąkał. — W takim razie... Cóż... Do widzenia. I... — Zawahał się przez moment, myśląc gorączkowo, czy nie powinien przypadkiem złożyć pani Reginie życzeń, ale w jej wzroku było coś takiego, że ugryzł się w język i zakończył niezgrabnie: — Do widzenia.

— Do widzenia — odrzekła pani Regina spokojnym, niskim głosem.

— Do widzenia, Zbyszku — powiedział pan Mateusz.

Zbyszek odwrócił się na pięcie i oddalił tak szybko, jak tylko pozwalało na to poczucie przyzwoitości. Nigdy jeszcze nie czuł się tak nieswojo, tak bardzo nie na miejscu i tak bardzo nierozumiejący sceny, której był świadkiem.



Długi drewniany stół rozstawiony w starym sadzie był pięknie nakryty. Regina wyjęła swój najlepszy serwis, biały w drobne pąki różyczek, oraz komplet eleganckich sztućców, które kiedyś dostała od Elżbiety. Półmiski z wędliną były gustownie udekorowane, obok stały salaterki z sałatką jarzynową. Patera z makowcem. Śledzie Aleksandra w śmietanie i na słodko, z rodzynkami. Tatar w wianuszkach drobno krojonej cebuli. Faszerowane jajka, spowite cienkimi zwojami majonezu. Wielka zdobiona miska z bigosem. Parzone ogórki i garnuszek smalcu Maryni Żałoskowej. Na środku zaś pysznił się dostoyny, olśniewający tort.

Wiatr, który wzmagął się od południa, podwiewał teraz oba obrusy, którymi przykryty był

długi stół. Róg jednego z nich trafił prosto w garnuszek z chrzanem. Regina obserwowała to ze zmarszczonymi brwiami.

Siedziała na swym honorowym miejscu i bębniła palcami w blat. Tą ręką, która zazwyczaj w takich sytuacjach sięgała za stanik. Za stanikiem nie miała już jednak czego ukrywać, toteż dziś, po raz pierwszy od wielu lat nie założyła go. Ubierając się rano, wyjęła swój najlepszy biustonosz, obejrzała go jak rzecz zupełnie dla niej nową, po czym odłożyła z powrotem do szuflady. Wiedziała, że już go nigdy więcej nie założy, i czuła się dziwnie.

— Może jednak przesiądę się bliżej ciebie — zaproponował niepewnie Mateusz, który siedział przy drugim końcu stołu. Musiał nieco natężyć głos, żeby Regina poprzez podmuchy wiatru w ogóle go usłyszała.

— Nie — odparła krótko. — Będziemy siedzieć tak, jak zaplanowałam.

Mateusz opuścił głowę i skupił się na swoim talerzu, gdzie miał kawałek mięsnej galarety. Regina zapomniała o occie, ale zdecydował się o tym nie wspominać.

Westchnął.

Dziobnął widelcem galaretę. Uciekała mu po talerzu.

Westchnął znowu. Odłożył widelec.

— Rozmawiałem wczoraj z Frankiem Żalorską. Chce wydzierzawić naszą ziemię.

Powiedziawszy to, wyteżył wzrok, próbując dojrzeć minę żony, ale siedziała zbyt daleko. Spojrzał więc z powrotem na swój talerz.

— Z sadem? — dobiegło go z drugiego końca stołu spokojne, głośne i wyraźne pytanie.

Pokręcił głową.

— Bez sadu. Wytnie go. To najlepsze rozwiązanie. Zamierza posadzić tam porzeczkę.

Znowu wyteżył wzrok i znowu na próżno. Z tonu głosu żony zaś nie mógł nic odczytać.

— Jak ci smakuje galareta? — zapytała Regina; splotła palce i oparła na nich brodę. — Wydaje mi się, że jest za mało słona.

— Jest znakomita. — Mateusz się uśmiechnął, pamiętając, że żona ma lepszy wzrok od niego.

— Nalej mi wódki.

Mateusz podniósł się z miejsca i sięgnął po stojącą obok koszyczka z pomidorami butelkę z ostatnim bimbrem Stacha Żalorski, który przyniosła Marynia. Podeszedł do Reginy i napełnił jej kieliszek. Potem wrócił na swoje miejsce i nalał również sobie.

— Zanim zaczęliśmy sadzić nowy sad, też tam coś rosło, pamiętasz? — odezwała się Regina, zamyślona. Podniosła swój kieliszek i oglądała go pod światło. Alkohol był doskonale klarowny.

— Pamiętam. — Mateusz pokiwał głową. — Maliny. Chociaż nie... — Potarł palcem odświeżniętą ogoloną brodę, usiłując przywołać w pamięci obraz sprzed pół wieku. — Nie, to

chyba były właśnie porzeczki.

— Zabawne — powiedziała Regina, jakby do siebie. — Wszystko wróci do stanu sprzed nas. To jak zatoczone koło, tylko ja zawsze myślałam, że to będzie mieć jakiś sens — mówiła jakimś niezwykłym u niej, zaskoczonym tonem; potem wypła kieliszek jednym haustem, odstawiła go i sięgnęła po widelec. — Jedzmy, Mateuszu. Smacznego.

EPILOG



Gina nie powiedziała Matiemu o wizycie Róży. Wiedziała, że nie może tego zrobić, że jego poczciwa natura nie poradzi sobie z poczuciem winy wobec niej. A jego męska duma nie poradzi sobie ze zdradą lekceważonej kochanki z jego najlepszym przyjacielem. Tak przynajmniej sądziła Gina. Uważała też, że robi ogromną przysługę Ołowi, którego zupełnie nie mogła sobie wyobrazić z wiejską dziewczuchą.

Poza tym czuła, była pewna, że ta sprawa szybko się rozwiąże, że stanie się coś, co pozwoli im obojgu szybko o tym zapomnieć. Pewnej nocy przyśnił jej się ogromny czarny kruk, który zataczał kręgi nad leżącą na łące nagą Różą.

Tak więc nie powiedziała Matiemu o wizycie Róży. Kiedy wrócił wieczorem, podała mu kolację i pocałowała go. Potem słuchała, jak gaworzy z niemowlęciem, układając je do snu. A potem długo siedziała mu na kolanach.

Czuła wielką ulgę. Bóg w końcu sobie o nich przypomniał, odmierzył rozsądną ilość goryczy i teraz już nic jej z Jego strony nie zagrażało. Zniknął strach i Gina poznała wielką prawdę o sobie: o tym, że jest silna i wszystko zniesie. Teraz miała chronić innych. Matiego. Elusię. A kiedy była sama, kątem oka swej duszy dostrzegała niewyraźne cienie ludzi, którzy mieli dopiero trafić pod jej opiekę, do drewnianego domu pod lipami, gdzie gościły spokój i nadzieja.